

*Autor  
bestsellerów*  
**THE  
KILLING**

**DAVID HEWSON**  
**WILLA  
MISTERIÓW**

MARGINESY



**DAVID HEWSON**

**WILLA  
MISTERIÓW**

Przełożył  
DARIUSZ ŻUKOWSKI

**MARGINESY**

Spis treści

Karta redakcyjna Lupercalia Idy marcowe Venerdi Liberalia Aprile

Tytuł oryginału THE VILLA OF MYSTERIES Przekład DARIUSZ ŻUKOWSKI Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA Korekta AGNIESZKA RADTKE, JAN JAROSZUK Projekt okładki, opracowanie typograficzne PIOTR ZDANOWICZ Łamanie

**manufaktura** | manufaktu-ar.com zdjęcia na okładce

© cotesebastien / E+ / Getty Images;

Michelangelo Merisi da Caravaggio, *Głowa Meduzy*, tondo; *Satyr i menada*, fresk, Pompeje, Muzeum Narodowe w Neapolu Zdjęcie autora

© Mark Bothwell *The Villa of Mysteries*

Copyright © David Hewson 2003

All rights reserved. No part of this publication may be reproduced, stored in or introduced into a retrieval system, or transmitted, in any form, or by any means (electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise) without the prior written permission of the publisher. Any person who does any unauthorized act in relation to this publication may be liable to criminal prosecution and civil claims for damages. Copyright © for the translation by Dariusz Żukowski

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2017 Warszawa 2017

Wydanie pierwsze w tej edycji ISBN  
978-83-65586-80-3 Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c.

## LUPERCALIA

Bobby i Lianne Dexterowie byli porządnymi ludźmi. Mieli nowy drewniany dom pięćdziesiąt kilometrów od Seattle, stojący na dziesięcioarowej działce, która wcinała się klinem w spory sosnowy zagajnik. Pracowali do późna w pobliskim biurze Microsoftu, Bobby w dziale marketingu, Lianne w księgowości. Co weekend szli w góry, a raz do roku wspinali się na szczyt Mount Rainier. Trenowali też trochę, chociaż Bobby'emu wciąż nie udawało się zwalczyć, jak to nazywał, brzuszka tatuśka, który przelewał się nad paskiem jego dżinsów. A miał dopiero trzydzieści trzy lata.

Dexterowie byli spokojnymi, wygodnie żyjącymi Amerykanami z klasy średniej. Jednak każdej wiosny na dwa tygodnie w roku zupełnie się zmieniali. Wyjeżdżali na zagraniczne wakacje. Wszystko jest kwestią proporcji, twierdzili. Ciężka praca przez pięćdziesiąt tygodni w roku, przez pozostałe dwa – ostra balanga. Najlepiej tam, gdzie miejscowi człowieka nie znają i gdzie obowiązują inne zasady albo nie ma ich wcale. Dlatego właśnie w ten chłodny piątek, zalani w trupa czerwonym winem i grappą, siedzieli w wynajętym renault clio piętnaście kilometrów od Rzymu. Bobby jechał stanowczo za szybko wyboistą nieoznakowaną dróżką prowadzącą z lotniska Fiumicino ku szarej, płaskiej linii meandrującego Tybru.

Lianne spoglądała na męża, starając się nie okazywać zaniepokojenia. Bobby wciąż jeszcze był wściekły. Cały ranek zmitrężył z wykrywaczem metalu, polując na skarby na obrzeżach odkopanych ruin Ostia Antica, miasta portowego z czasów cesarstwa rzymskiego. Właśnie w chwili, gdy z urzędzenia dobiegło kilka piknięć, dwaj niemiło wyglądający archeolodzy wyszli z terenu wykopalisk i zaczęli na nich pokrzykiwać. Żadne z nich nie znało włoskiego, ale zrozumieli przesłanie: albo spakują swój wykrywacz i odjadą *per favore*, albo coroczne wakacje Dexterów zakończą się bijatyką z dwoma przypakowanymi studentami w stylu italo, których nie trzeba specjalnie zachęcać, gdy pojawia się okazja, by dać komuś w pysk.

Bobby i Lianne podkulili ogony i wycofali się do pobliskiej

przydrożnej osterii, gdzie kelner, nieogolony prostak w ufajdanym swetrze, pouczył ich, że słowa „makaron” nie należy wymawiać z amerykańską.

Bobby słuchał, a jego obwisłe policzki czerwieniały z gniewu. „No, to podaj, kurwa, stek”, uciął, po czym zażądał jeszcze litr rosso della casa. Lianne nie skomentowała. Wiedziała, że kiedy Bobby jest w takim nastroju, lepiej go nie zaczepiać. Jeśliby za dużo wypili, zawsze będą mogli zostawić samochód przy lotnisku i pojechać taksówką do miasta. Zresztą Włosi i tak nie mieli nic przeciwko prowadzeniu po pijaku. Sami ciągle jeździli pod wpływem, a przynajmniej tak się jej zdawało. We Włoszech panował pełny luz. Ona i Bobby po prostu zachowywali się jak miejscowi.

– Co jest nie tak z tymi ludźmi? – zrzędził Bobby, podczas gdy clio toczyło się po skorupie z błota, które zastygło w równą, twardą powierzchnię po niedawnych zimowych deszczach. – Przecież tego cholerstwa jest dość dla każdego.

Lianne wiedziała, gdzie tkwi problem. Zeszłej jesieni Jorgensenowie przywieźli z wakacji w Grecji niesamowite popiersie wielkości piłki. Przedstawiało młodego mężczyznę, może Aleksandra Wielkiego, z gęstymi włosami i ładną, nieco kobiecą twarzą. Dla lepszego efektu na początku nic nikomu nie powiedzieli. Pewnego dnia Tom Jorgensen niespodziewanie zaprosił Dexterów na drinka do swojego wielkiego drewnianego domu w stylu skandynawskim (dwa piętra i dobre piętnaście arów ziemi) stojącego kawałek dalej przy tej samej ulicy. Tak naprawdę chodziło właśnie o to, żeby pokazać im marmurowe popiersie. Jorgensen „wytrzasnął je”, jak to ujął, kręcąc się wokół wykopalisk pod Spartą. Odczekał, aż kopacze pójdą do domu, po czym dał w łapę stróżowi, który pokazał mu miejsce, gdzie znajdowało się prawdziwe składowisko rzeźb. Tom długo opowiadał, jak to w luku bagażowym przemycał popiersie do kraju. Lianne podejrzewała, że wszystko to sobie wymyślił, a w rzeczywistości kupił rzeźbę w sklepie jak każdy. Ten wielki, umięśniony skurczybyk zawsze opowiadał niestworzone historie na taki czy inny temat. To właśnie dlatego udało mu się wskoczyć po plecach Bobby’ego w cały ten interes z muzyką pop i telewizją, którym zajmował się obecnie Microsoft, właśnie dlatego

spotykał się z aktorami i gwiazdami rocka, podczas gdy Bobby, na pewno równie bystry jak on, jeśli nie bystrzejszy, ciągle musiał znosić dziwactwa komputerowych nudziarzy doznających orgazmu na myśl o bazach danych.

Mały pokaz Toma poruszył czułą strunę. Dwa tygodnie później Bobby oznajmił, że tegoroczne wiosenne wakacje spędzą z Lianne we Włoszech. Nawet nie spytał jej o zdanie. Lianne po cichu liczyła, że pojedą na Arubę, ale nie protestowała. Lepiej było nic nie mówić, a zresztą okazało się, że Rzym to całkiem niezły wybór. Naprawdę zaczynała lubić to miasto. I nagle tego ranka wszystko się posypało. Jakiś złowieszczy brytyjski profesorek zrobił im przy śniadaniu w bufecie wykład z historii. Opowiadał, jak to było w czasach starożytnych Rzymian, którzy składali w ofierze kozły i psy, a ich krew wcierali w czoła swoich dzieci, żeby zapamiętywały przodków. Po tej historii w głowie Bobby'ego zapaliła się lampka i kwadrans później szukali firmy, żeby wypożyczyć wykrywacz metalu.

A teraz tkwili pośrodku niczego, schlani w trupa i bez żadnego pomysłu, co robić dalej. Lianne usychała z tęsknoty za Arubą, a uczucie to było tym gorsze, że nie miała pojęcia, jak tam jest. Uważając, żeby Bobby się nie zorientował, położyła rękę na kierownicy i skręciła rozkołysanym clio tuż przed głazem leżącym na poboczu. Dróżka robiła się coraz węższa. Po niedawnym deszczu w błotnistej ziemi tu i ówdzie powstały dziury. A jeśli auto nawali i będą musieli wracać na piechotę po pomoc? Nie podobała jej się ta perspektywa. Nie wzięła odpowiednich butów.

– To zwykła chciwość, Bobby – powiedziała. – Nic innego.

– Co im zależy? Jak człowiek nic nie znajdzie, cholera i tak zostanie w ziemi! Jakoś nie widzę, żeby co metr stał Włoch i wyciągał to gównno z błota.

Tu się mylił. Sama widziała mnóstwo wykopalisk. Wiele wyglądało na opuszczone, może dlatego że brakowało rąk do pracy, żeby obsłużyć wszystkie miejsca. Mimo to lepiej było zgodzić się z mężem.

– Wcale tego nie potrzebują, Bobby. Już i tak mają więcej, niż mogą przerobić. Uszami im wyłazi.

To fakt, Włosi mieli tego dużo. Wciąż jeszcze kręciło jej się

w głowie od wszystkich muzeów, które zwiedzili przez ostatnie dwa dni. Takie mnóstwo! W przeciwieństwie do Bobby'ego czytała teksty w przewodnikach i zdawała sobie sprawę, że tylko prześlizgnęli się po powierzchni. Spędzili w Rzymie cały tydzień, ale wiedziała, że wyjadą, nie zobaczywszy wszystkiego. Miasto było wielkie i źle zorganizowane, pełne tandetnej architektury. Bobby miał rację: gdyby Włosi byli koleżeńscy, toby się podzielili.

Wóz wjechał w rozpadlinę, wyskoczył z niej, na moment zawisł w powietrzu i z hukiem uderzył w ziemię. Coś chyba urwało się w podwoziu, pomyślała Lianne. Przesunęła wzrokiem po roztaczającym się przed nimi krajobrazie. Na pierwszym planie widziała trawy, jakie rosną raczej w okolicach bagien niż przy plaży, w oddali zaś ciągnęła się szara wstęga spienionej rzeki. Dróżka kończyła się przy niskim brzegu. Żeby pobawić się swoim wykrywaczem, Bobby musiał się tutaj zatrzymać. Potem trzeba będzie odstawić samochód z powrotem do firmy Avis i czmychnąć do miasta, zanim ktoś zauważy wgniecenia karoserii czy jeszcze gorsze rzeczy.

– Nic się nie martw – powiedziała. – Na pewno coś tu znajdziesz, Bobby. Czuję to. Wykopiesz coś takiego, że ten dupek Jorgensen pozielenieje z zazdrości, a ty...

Jej mąż nagle wcisnął hamulec i samochód zatrzymał się gwałtownie dwadzieścia metrów przed końcem drogi. Patrzył teraz na nią z zimnym, zawziętym wyrazem twarzy, który widywała tylko raz czy dwa razy w roku. Nie znosiła tego spojrzenia, nienawidziła go do tego stopnia, że czasem zaczynała się zastanawiać, czy małżeństwo z Bobbym Dexterem, pulchnym Bobkiem, za którego plecami dziewczyny w szkole chichotały, było faktycznie dobrym posunięciem.

– Co takiego? – spytał martwym, płaskim tonem, który w zamierzeniu miał być znaczący.

– Ja tylko... tylko... tylko... – zaczęła się jąkać i zamilkła.

Dźgnął ją w pierś pulchnym palcem. Poczula zapach wódki w jego oddechu.

– Naprawdę sądzisz, że tu chodzi o pieprzonego Toma Jorgensena?

– Nie!

– Sądzisz, że wyszukałem, zabukowałem i opłaciłem te całe



kurewskie wakacje, że zabrałem cię w te wszystkie śliczne miejsca, że cię wyciągnąłem tu, w to cuchnące zadupie... tylko z powodu pieprzonego Toma Jorgensena i jego gówno wartego kawałka kamienia?

Nie odpowiedziała od razu. W ciągu trzech lat małżeństwa Bobby doprowadził ją do łez tylko raz, w Cancún. Poszło o pewne seksualne zachcianki, które wydały jej się bezsensowne, niepotrzebne i bardzo niehigieniczne. Tamto wspomnienie wciąż bolało. Nie rozumiała, czemu nie chce odejść w niepamięć.

– Nie sądzę. Zdawało mi się... Sama nie wiem... – W jej głowie kotłowały się tylko niewłaściwe zdania.

– Jezu! – ryknął Bobby. – Jezu Chryste!

Wcisnął pedał gazu, wprowadził silnik na wysokie obroty i puścił sprzęgło. Mały samochód skoczył odważnie naprzód, od czego serce podeszło Lianne do gardła, przechylił się i nadział na garb wyschniętego błota, w środku którego krył się palik ogrodzeniowy. Samochód zamarł na szczycie muldy pod dziwacznym, przyprawiającym o mdłości kątem. Uniesione koła obracały się, motor wył bezsilnie. Cała przednia część clio wisiała w powietrzu.

Bobby popatrzył oskarżycielsko na Lianne.

– Cudownie, kurwa – mruknął. – Po prostu, kurwa, cudownie.

Płakała, próbując powstrzymać szloch.

– Nie rób mi tego, Lianne. Nie dzisiaj. Nie jesteśmy już w Cancún. Stąd nie dodzwonisz się do tego bydlaka, którego nazywasz swoim ojcem, żeby przyjechał i zagroził mi biciem, bo akurat bolała cię głowa czy coś w tym rodzaju.

Wiedziała, że skarżenie się ojcu to był błąd, ale Bobby sam się o to prosił. W Cancún przeciągnął strunę. Chciała, żeby to do niego dotarło.

– Bobby... – powiedziała przez łzy.

Patrzył przez okno na szarą rzekę i pianę płynącą leniwie po powierzchni wody.

– Co?

– Czuję benzynę – powiedziała, nagle poważniejąc. Jej łzy wyschły w jednej chwili i ustąpiły miejsca narastającemu strachowi. – Ty nie czujesz?

– Jezu! – sapnął. Jednym ruchem odpiął pas bezpieczeństwa,

którym była przypięta, i otworzył drzwi od jej strony. Uśmiechnęła się do niego przez łzy. Odpiął jej pas, zanim pomyślał o swoim.

– Bobby...

– Wyskakuj, na litość boską! Tępa krowa...

Bobby Dexter spojrział po raz ostatni, czy Lianne jest bezpieczna, po czym odwrócił się, wyrzucił na ziemię kilka przedmiotów z tylnego siedzenia i wyskoczył z dziwacznie przekrzywionego pojazdu. Był tak pijany, że zrobił fikołka i wylądował ciężko na zimnej, twardej ziemi, objając boleśnie łokcie. Zaklął paskudnie.

Podniósł się, opierając się na roztrzęsionych rękach, zebrał rzeczy i popatrzył, czy Lianne oddaliła się na bezpieczną odległość od cieknącej benzyny. Lianne przyglądała mu się, stojąc na skraju drogi dobre dziesięć metrów od dogorywającego clio, z rękami splecionymi z tyłu jak uczennica, która czeka, żeby ktoś jej powiedział, co ma robić.

Bobby podbiegł do żony.

– Wszystko gra? – spytał. Wyglądało na to, że przejął się rozwojem wypadków. To już coś, pomyślała.

– Tak. – Już nie płakała. Chyba był z tego zadowolony.

Od strony samochodu dobiegi huk podobny do ciężkiego westchnienia. Patrzyli, jak spod maski strzelają wąskie jęzory ognia i rozlewają się po przedniej szybie.

– Ożeż ty... – powiedział Bobby. – To mi się właśnie podoba w autach z wypożyczalni. Coś takiego dzieje się na twoich oczach, a ty możesz stać spokojnie i podziwiać fajerwerki. Teraz żałuję, że nie wziąłem czegoś większego.

Nagły powiew wiatru podsycił płomienie. Wijąc się, ogień wpadł przez okna do wnętrza i pochłonął siedzenia, na których parę minut wcześniej Bobby i Lianne Dexterowie siedzieli skłóceni. Chwilę później renault eksplodował z potężnym hukiem. Płonął wśród fal gorącego powietrza, wydzielając chmury czarnego dymu.

Lianne, wczepiona w ramię męża, wpatrywała się w widowisko. Bobby miał rację: to był problem wypożyczalni. Od tego byli i za to właśnie kasowali tak wielkie sumy.

– Co my teraz zrobimy? – zapytała. Spojrzała na niego i z ulgą zauważyła, że jej mąż uśmiecha się po raz pierwszy od wielu godzin.

Uniósł jedną z rzeczy, które udało mu się zabrać z tylnego siedzenia. Był to wykrywacz metalu wypożyczony tego ranka w jakimś zakładzie niedaleko hotelu.

– To, po cośmy przyjechali – powiedział Bobby Dexter. – Tatuś idzie na polowanko.

Wydobyła z siebie śmiech i pomyślała, że chyba wypadł sztucznie. Nie miało to zresztą znaczenia, bo Bobby i tak już nie zwracał na nią uwagi. Zmierzał w dół, ku brzegowi rzeki, po bagnistym gruncie, który sprawiał wrażenie, że lada moment może się pod nim zapaść. Założył słuchawki.

Nagle zaczął się śmiać. Najwidoczniej musiał coś głośno i wyraźnie usłyszeć. Lianne podeszła do niego. Stali może dwadzieścia kroków od rzeki. W promieniu wielu kilometrów nie było żywej duszy. Cokolwiek tu znajdą, będzie należało do nich.

– Słyszysz? – spytał.

Wzięła od niego słuchawki i przytknęła jedną do ucha. Urządzenie zwariowało, wysyłało serie pisków jak stara gra wideo.

– Pieprzony Tom Jorgensen. – Bobby splunął. Lianne nie miała odwagi patrzeć mu w oczy, kiedy mówił takim tonem. – Dam temu tłustemu skurczysynowi nauczkę. Przynies sprzet.

Siedział przyczajony w kafejce za rogiem niedaleko Questury, gdy weszła Barbara Martelli w swoim nieskazitelnie czystym mundurze, z kaskiem w ręku. Jej długie blond loki falowały przy każdym kroku.

– Nico – powiedziała zaskoczona. – Wróciłeś do pracy?

– Dzisiaj pierwszy dzień – odparł, spoglądając na zegarek. – Gdy tylko postanowię, że czas się ruszyć.

– Ach...

– Jak się masz, Barbaro?

– Świetnie. Jak zawsze. A ty?

Dopił macchiato.

– Może być.

– Gdybyś przypadkiem zapomniał, to nie jest kawa, jaką piją gliniarze.

– Więc czemu ty tutaj przyszłaś?

Roześmiała się. Barbara Martelli prawie dorównywała Nicowi

wzrostem. Miała figurę, która sprawiała, że wszystkie głowy odwracały się za nią, gdy szła przez komisariat. Jej rozwichrzone jasne włosy były tak bujne, że sprawiały wrażenie, jak gdyby nie dawały się zmieścić pod małym, czarnym kaskiem motocyklowym. Nie miała twarzy policjantki. Była zbyt atrakcyjna, jakby nieustannie gotowa, żeby się uśmiechnąć. Wyglądała raczej na kobietę z telewizji – mogłaby zapowiadać pogodę albo prowadzić jakiś show. Zamiast tego kursowała po mieście na swoim wielkim motorze i wypisywała mandaty, a robiła to z takim wdziękiem, że ponoć kiedy tylko kierowcy orientowali się, że Barbara jedzie za nimi, wciskali gaz do dechy.

W dawnych czasach, przed strzelaniną, która odstawiła go na boczny tor, gdzie zmagał się ze swoimi demonami, Nico Costa zastanawiał się nieraz, czy nie podoba się Barbarze. Kilku chłopaków namawiało go, żeby się z nią umówił, no i wszystko potem opowiedział, rzecz jasna. Nigdy do tego nie doszło. Ona była po prostu zbyt doskonała. Każdy egzamin z prowadzenia samochodu albo motocykla zdawała z maksymalną liczbą punktów. Strzelała też świetnie – miała talent, dzięki któremu brano ją do większości zadań związanych z ochroną dyplomatów. Barbara Martelli była po prostu odrobinę zbyt idealna, by można ją było tknąć.

– Czasem człowiek musi ukryć się na jakiś czas, Nico. Czy to właśnie teraz robisz? Skoro tak, to chyba trochę za wcześnie. Jeśli chcesz usłyszeć gong, musisz wrócić na ring.

– Ja tylko piję kawę – wymamrotał.

– Ile to już minęło?

– Sześć miesięcy.

Sześć długich miesięcy powolnego leczenia fizycznych i psychicznych ran po postrzale. Czasem zastanawiał się, czy kiedyś uda mu się w pełni wyzdrowieć, czy w ogóle mu na tym zależy.

Patrzyła na niego szczerym spojrzeniem. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że była chyba najatrakcyjniejszą kobietą w Questurze. Sam się sobie dziwił, że nigdy się z nią nie umówił. Nie chodziło nawet o to, że chciał, by coś między nimi zaszło, ale o to, że Barbara była po prostu dobrą towarzyszką, kimś, kto sprawia, że człowiek czuje się wyjątkowo. Tak naprawdę w ogóle jej nie znał.

– Ty chcesz wrócić, prawda? Nie chodzi tylko o to, że Falcone cię naciska.

– Nie. Faktycznie chcę. Nie umiałbym wymyślić sobie innego zajęcia. A ty byś umiała?

– Nie.

– Wszyscy tacy jesteśmy, prawda? – powiedział. – Nie mamy wyboru.

Słuchał własnego głosu i nie podobało mu się to, co w nim pobrzmiwało. Jakby pretensje, rozczulanie się nad sobą. Miał dwadzieścia osiem lat. Nigdy wcześniej nie mówił w taki sposób. Zmieniła go sprawa Denneya, jak ją teraz nazywano – nierozwiązana gmatwanina komplikacji, za którą jego partner, Luca Rossi, zapłacił życiem, a Costa uniknął śmierci o włos. Ten nowy Nico Costa nie biegał już wokół Campo dei Fiori jak szaleniec za każdym razem, gdy chciał oczyścić umysł. Sprzedał małe mieszkanie przy Vicolo del Bologna i przeprowadził się do starego domu swojego ojca, rozwalającej się chaty opodal Via Appia Antica, w której dorastał. Rany fizyczne Costy już się w większości zagoiły. Te na duszy wciąż od czasu do czasu bolały.

Nicowi brakowało rozsądku Luki i jego przenikliwych opinii, które potrafił wyrażać w kilku słowach. Żałował, że nie nauczył się bardziej go cenić w tym krótkim czasie, który spędzili, pracując razem. Zdawał sobie też sprawę z tego, że wróci do policji, gdy znowu poczuje chłód, cynizm i brutalność świata. Trzeba było włączyć zmysł nazywany przez Falconego – człowieka, który sam wydobył go z wózka inwalidzkiego i przywrócił do służby – pragmatyzmem.

Inspektor Falcone, mężczyzna chłodny i pełen determinacji, postrzegał jego przemianę jako rzecz nieuniknioną. Być może miał rację, jednak Costa wciąż nie był tego pewien. Nigdy nie znosił cyników i defetystów, którzy twierdzili, że czasem lepiej odwalić złą robotę najsolidniej, jak się da, bo inaczej walka będzie przegrana na całej linii. Nie zamierzał dopasowywać swoich zasad do reguł twardej, brutalnej rzeczywistości. Przynajmniej to jedno miał po ojcu, upartym i nieugiętym członku partii komunistycznej, który narobił sobie więcej wrogów przez swoją uczciwość niż inni z powodu machlojek.

Barbara Martelli dopiła kawę z małej filiżanki. Była

zamyślona. Wyglądała, jakby martwiło ją coś, o czym trudno się rozmawia.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Słucham?

– W kwestii wyboru.

Przez jej twarz przemknął cień wątpliwości, cierpienia. Pojął, że uroda nie zawsze działała na korzyść Barbary. Niekiedy mogła być brzemieniem. Ludzie osądzali ją właśnie po wyglądzie i nie dostrzegali w niej człowieka, jakby jej wnętrze było czymś dziwnym i odległym.

– Nico, najlepiej przyjąć rzeczy takimi, jakie są, i brać się do roboty. Nie możesz... – zerknęła do jego filiżanki, która od dawna była już pusta, o czym oboje dobrze wiedzieli – ...nie możesz chować się w jakimś kącie. To do ciebie nie pasuje. Wydaje mi się, że znam cię na tyle.

Był już spóźniony. Gdyby nie weszła, wciąż siedziałby przy stoliku, zżerany wątpliwościami. Zdawał też sobie sprawę z tego, że w pewnym momencie nadeszłaby chwila, w której wyszedłby z kafejki i wrócił do domu, po czym otworzyłby butelkę dobrego wina i przekreślił wszystko, co udało mu się osiągnąć przez kilka ostatnich miesięcy rekonwalescencji i odbudowywania szacunku do samego siebie. W pewnym sensie taki upadek miał w sobie coś chwalebego. Gdyby tylko dało się przedłużyć to uczucie na zawsze, można by przeżyć w ten sposób całe życie. Kłopot w tym, że ono było nietrwałe. W pewnym momencie człowiek się budzi, a rzeczywistość wsuwa głowę przez drzwi i mówi „dzień dobry”. Nie miał wyjścia, a to z bardzo prostego powodu: to, przed czym uciekał, leżało wewnątrz niego.

– Mam cię tam zaprowadzić czy co? – spytała.

– Myślałem, żeby wziąć chorobowe.

– Nie! – Jej wielkie zielone oczy rozszerzył gniew.

Zdał sobie sprawę, że flirtowali ze sobą, choć nie na poważnie. W ten sposób Barbara naciskała, żeby się ruszył. Zrobiłaby to dla każdego w potrzebie.

– To jest nasz zawód – oznajmiła. – Nasze powołanie. Nie ma stanów pośrednich. Albo jesteś na pokładzie, albo za burtą. Więc jak będzie?

Przez głowę przebiegła mu dzika myśl i wskoczyła nagle do jego ust, tak szybko, że nie zdołał się zastanowić nad konsekwencjami swoich słów.

– Sądysz, że moglibyśmy się kiedyś umówić, Barbaro? Byłoby to możliwe?

Jej policzki zaróżowiły się lekko. Barbara Martelli dostawała randkowe propozycje dziesięć razy dziennie.

– Spytaj mnie o to jutro – powiedziała. – Pod jednym warunkiem.

Czekał, zawstydzony nieoczekiwaną intymnością między nimi. Długim, zadbanym palcem wskazała budynek Questury.

– Spytasz mnie tam.

We Włoszech wszystko robiono na opak. Do cappuccino dawano za mało mleka. Makaron smakował paskudnie. Pizza była za cienka. A wódka... Lianne Dexter sama nie wiedziała, co z nią jest nie tak. Normalnie skutki picia dwie godziny po obiedzie powinny już mijać, ale ona czuła się równie pijana jak w chwili, gdy wyszli z osterii, i zaczynała ją to denerwować. Dopili z Bobbym butelkę wody Pellegrino znaną w plecaku, który udało się porwać z samochodu, zanim wybuchł pożar. Teraz nie mieli już co pić, co jeść i czym płacić. Nie chciała nawet myśleć o pieszej wędrówce błotnistą ścieżką do głównej drogi. Jak zatrzymuje się na szosie włoskiego kierowcę, żeby cię zabrał do Avisy po zwrot pieniędzy za gówniane wypożyczone auto? No i co zrobić z rzeczami, które znalazł Bobby? Jak dotąd zaliczała się do nich moneta, coś, co wyglądało na bardzo stary wielki gwóźdź, oraz półokrągły przedmiot wielkości dziecięcej dłoni, pokryty zaschniętym błotem, który według zapewnień Bobby'ego po oczyszczeniu miał się okazać wspaniałym rzymskim naszyjnikiem. No i świetnie, tyle że oni nie powinni szukać tych rzeczy i Włosi na pewno dobrze o tym wiedzą. Zresztą naszyjnik to pewnie tylko linka hamulcowa. Ojciec Lianne był mechanikiem samochodowym. Znała się trochę na tych sprawach i według niej ta rzecz cholernie przypominała linkę hamulcową.

Oblizła wargi. Czuła straszną suchość w ustach. Alkoholowa migrena pulsowała w jej skroniach. Zbliżała się trzecia po południu i powoli zaczynało zmierzchać. Powinni ruszać. Nie chciała zostać całą noc na tym podejrzanym odludziu, wśród dziwnych zapachów i ryku

samolotów z Fiumicina przelatujących nad ich głowami co dwie minuty, jeśli nie częściej.

– Bobby... – jęknęła.

Nie był zadowolony z łupu. Tom Jorgensen miał marmurową głowę, która wyglądała lepiej niż te wszystkie rzeczy.

Zerwał z uszu słuchawki i warknął:

– Czego?

– Niedługo się ściemni. Musimy iść.

Spojrzał w górę na szare niebo i pociągnął nosem.

– Jeszcze pięć minut.

Z powrotem założył słuchawki i podążył w kierunku brzegu. Było tam bagno. Lianne wyczuwała to instynktownie.

Dobiegał stamtąd specyficzny kwaśny zapach, który kojarzył się jej z plantacjami żurawiny w Maine, dokąd wybrali się w czasie jednych z wcześniejszych wakacji.

– To torf – stwierdziła, jakby nagle coś sobie przypomniała.

Bobby spytał głośno, nie zdejmując słuchawek:

– Co znowu, do cholery?

Boeing 747 przetoczył się nad nimi tak nisko, że poczuła, jak trzęsie się ziemia. Musiała przycisnąć dłonie do uszu, żeby nie ogłuszył jej ryk silników.

– Nic – szepnęła sama do siebie, sunąc wzrokiem za boeingiem, żałując, że nie jest gdzieś indziej. Może nawet z powrotem w domu. Na plantacjach żurawiny było fajnie. Ciekawie. Prowadzili je ludzie mówiący tym samym co ona językiem, wśród których ani przez chwilę nie czuła się obco. W Rzymie było inaczej. Miała wrażenie, że wszystkie twarze na ulicy bezustannie się na nią gapią, jakby w oczekiwaniu, że powie coś niestosownego, że skręci w złą uliczkę. Wszystko było tu obce.

Niespodziewanie Bobby gwizdnął. Zdjął słuchawki i wskazał pokryty wątlą trawą kawałek wilgotnej ziemi parę kroków przed sobą.

– Jeszcze tylko jedna próba, kochanie, i zjeżdżamy. Podaj szpadel.

Zrobiła, o co prosił. Bobby Dexter przycisnął szpadel do ziemi i naskoczył na niego obiema nogami. Ostrze weszło w ziemię jak nóż w ciepłe masło. Bobby stoczył się ze szpadla i padł na ziemię.



– To torf – powiedziała znowu, patrząc, jak jej mąż wije się i klnie.  
– Jest miękki, Bobby. Nie trzeba tak ostro. Popatrz...

Podniosła narzędzie i kucnęła przy miejscu, w którym szpadel wgrzył się w ziemię. Lianne oglądała kiedyś na Discovery program archeologiczny. Widziała, jak się robi takie rzeczy, chociaż po co się tak męczyć po sześć, osiem godzin dziennie, tego pojąć nie mogła.

– Trzeba delikatnie – powiedziała i wsunęła koniec ostrza w miękką glebę. Kwaśny opar owiał jej twarz. Przypomniała się jej żurawina, cierpki czerwony sok zmieszany z wódką. – Spójrz...

Odsłoniła kawałek powierzchni, starając się nie wdychać cuchnących wyziewów. Nagle szpadel zatrzymał się na czymś twardym. Lianne Dexter mimowolnie przełknęła ślinę i zaniepokoiła się, czy się nie zakrztusi. Kilka razy wsunęła na próbę szpadel w ziemię. Za każdym razem natykała się na ten sam twardy przedmiot.

Bobby podszedł chwiejnie i odebrał jej narzędzie. Zaczął kopać. Trochę zbyt ostro, uznała.

– Co to jest? – spytała.

Obiekt był coraz lepiej widoczny. Miał kolor torfu: ciemny, brązowy i był twardy. Bobby odsłonił jeszcze trochę gruntu, po czym oboje wzięli głęboki oddech i usiedli. To, co na ich oczach powoli wyłaniało się z ziemi, wyglądało na wyrzeźbione ludzkie ramię, prawdopodobnie kobiece. Pomiędzy grudami ziemi widać było prostą szatę, oddaną z mistrzowską dokładnością.

– Wygląda jak prawdziwa – powiedziała wreszcie Lianne.

– Halo! – zawołał Bobby sarkastycznie. – Ziemia do Lianne! To jest posąg! On właśnie ma wyglądać prawdziwie.

– Posągi są innego koloru.

– Lianne... – Znowu ogarniało go rozdrażnienie. W oczach pojawiały się gniewne błyski. – Leżał w tej gnojówce parę tysięcy lat. Niby jaki ma mieć kolor? Śnieżnobiały? Według ciebie zafoliowali go, nim się tu znalazł?

Nie odpowiedziała. Bobby miał rację.

Zeskrobał jeszcze trochę ziemi. Na końcu ramienia pojawiła się dłoń. Jej smukłe palce były mocno zaciśnięte na grubym drzewcu. Oboje cofnęli się na chwilę i zaczęli przyglądać przedmiotowi w błocie. Dla

Lianne figura wyglądała kobieco i dziwnie znajomo. Wreszcie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce i zrozumiała, z czym posąg jej się kojarzy. Ta dziwna, martwa rzecz w ziemi przypominała miniaturową wersję Statui Wolności, która usiłuje ustać prosto w bagnie i utrzymać w górze wielką kamienną pochodnię.

– To nie metal, Bobby! – powiedziała. Zmartwiła się, słysząc w swoim głosie gniew. – Nie zastanowiło cię, że twój sprzęt to wykrył?

Popatrzył na nią spod oka.

– Czasem naprawdę mnie zadziwiasz. Ja tu być może odkrywam pieprzony grobowiec Tutanchamona, a jedyne, co słyszę od ciebie, to jojczenie i narzekanie. Możesz na chwilę dać mi święty spokój? Próbuje myśleć.

Odsłonił ziemię po przeciwnej stronie, gdzie mogło znajdować się drugie ramię. Faktycznie tam było, kilkanaście centymetrów pod powierzchnią torfowiska. Być może niedawny deszcz zmył trochę pokrywającego je błota. Bobby przesunął delikatnie szpadlem w przestrzeni między ramionami. Pojawiła się pierś figury. Posąg miał na sobie szatę, która wyglądała jak klasyczna tunika z rozcięciem w dekolcie sięgającym na tyle głęboko, by dało się zauważyć łagodną krzywiznę niedużych, bardzo realistycznych piersi. Powierzchnia figury, gdy Bobby ściągnął z niej tyle ziemi, ile się dało, okazała się dość szczególna. Miała kolor starej skóry i lekko lśniła. Przez krótką chwilę, gdy Bobby wsuwał i wyciągał szpadel, Lianne zdawało się, że materiał posągu poddaje się naciskowi, ale uznała, że to złudzenie wywołane wpływem wódki.

Bobby uklęknął i ściągnął mniej więcej dziesięć centymetrów ziemi kawałek poniżej miejsca, które już odsłonił. Dobrze trafił. Pojawił się zarys kostek, jedna w pewnej odległości od drugiej, doskonałych, nagich, nieosłoniętych wyrzeźbionymi fałdami szaty.

– To jest posąg naturalnej wielkości, Bobby – powiedziała Lianne.

– Wiem!

– No to co z nim zrobisz?

– Chryste, gdybym tylko mógł w tej chwili zobaczyć głowę tego tłustego skurwiela Jorgensena. Masz aparat?

Pokręciła głową.

- Zapomniałam.
- Typowe. Wielkie dzięki.
- Bobby!

Popatrzył na żonę. Lianne powoli zaczynała się irytować. Już jej nie zależało. Działo się coś niedobrego. Być może nadszedł czas, by zająć jakieś stanowisko.

– Co z nią zrobię? – spytał Bobby. – Co tylko mi się zamarzy, Lianne. Co tylko mi się, kurwa, zamarzy.

– On jest za duży. Nie będzie można go przewieźć w luku bagażowym. Ma kolor gówna. I w dodatku cuchnie. Nie czujesz?

– To siedziało w bagnie przez pieprzony milion lat. Ma niby wyłonić się z ziemi wśród zapachu fiołków?

Odsunęła się od znaleziska i gniewnym gestem skrzyżowała ramiona na piersi.

– Nie chcę tego brać, to śmierdzi. I przestań na mnie krzyczeć. To wcale nie jest miłe.

Burknął pod nosem i podszedł do górnej części posągu, gdzie powinna znajdować się głowa. Tym razem ziemię odsłonił ostrożnie. Lianne miała nadzieję, że głowy nie będzie, a Bobby znajdzie tylko tułów i parę wystających nóg. Ciekawe, czy Tom Jorgensen poczułby ironię tej sytuacji.

Lecz głowa była. Bardzo piękna, gdyby zmyć z niej brud. Gdy Bobby Dexter, oczyszczając rzeźbę, gwizdnął z podziwu, jego żona łączyła w myśli kawałki układanki i powoli zaczęło do niej docierać, co znaleźli. To był naturalnej wielkości rzymski posąg, mający być może kilka tysięcy lat. Był co prawda straszliwie brudny po tak długim leżeniu w torfie, lecz poza tym – idealny. Zrozumiała, o czym myślał Bobby: kto wie, jakie cuda można w dzisiejszych czasach wyczyniać w laboratorium. Może da się przywrócić marmurowi nieskazitelną biel, żeby był taki jak wtedy, gdy oglądał go Juliusz Cezar albo inny dawno zmarły Rzymianin.

Więc mieli problem. Posąg był zbyt wielki. Nawet we dwoje nie daliby rady wyciągnąć go z ziemi. Kamień był wysoki na metr sześćdziesiąt albo więcej i ważył pewnie dobrą tonę. Gdyby nawet ściągnęli kogoś do pomocy, nie było możliwości, żeby go przewieźć do

Stanów.

– Zostawmy go, Bobby – powiedziała Lianne. – Zadzwonimy do jakiegoś urzędu i powiemy, co znaleźliśmy. Może dostaniemy nagrodę i napiszą o nas w gazecie. Podetkniesz ją przed nos Jorgensenowi i zobaczysz, co on na to.

– Pieprzyć nagrody – odwarknął. – Tu są Włochy, Lianne. Zabiorą posąg, a nas zamkną za to, żeśmy tu kopali.

– No to co chcesz zrobić?

Przeciwstawiała mu się otwarcie i oboje o tym wiedzieli. To był punkt zwrotny w ich małżeństwie. Po nim jej życie mogło potoczyć się dwojako: ku wolności albo podporządkowaniu.

Bobby wstał, poszedł po szpadel, podniósł go, zważył w rękach, po czym zaczął wpatrywać się rozgorączkowanym wzrokiem w niezwykle brązowy kształt, na wpół zakopany w torfie.

Lianne popatrzyła na niego i w jej żołądku zaczął się zawiązywać zimny supeł strachu.

– Bobby? – spytała błagalnym tonem. – Bobby?!

Nico Costa prowadził nieoznakowanego policyjnego fiata na wschód, główną ulicą biegnącą wzdłuż brzegu rzeki od strony miasta. Gianni Peroni, partner, którego przydzielono mu tego ranka, siedział na fotelu pasażera i napychał się panino z kawałkami pieczonej wieprzowiny wystającymi po bokach. Był to wielki, umięśniony, dobiegający pięćdziesiątki facet, z twarzą, której nie dało się zapomnieć. W pewnym momencie służby – Costa wiedział, że długo nie wytrzyma i spyta go o to – Peroni musiał chyba zderzyć się ze ścianą. Nos miał złamany paskudniej niż jakikolwiek gracz rugby, którego Nico widział w życiu. Jego czoło zwieszało się nisko nad parą jasnych, bystrych świńskich oczek. Szpetna blizna biegła ukośnie przez prawy policzek. Jakby specjalnie, żeby dopełnić obrazu, Peroni strzygł się na krótkiego jeża jak *marines*. Pod krawatem, w schludnym ciemnym garniturze i białej wykrochmalonej koszuli wyglądał jak bandyta wystrojony na wesele. Posterunkowa wieść niosła, że Peroni ani razu w czasie swojej kariery zawodowej nie podniósł pięści na żadnego typka. Po prostu nie musiał tego robić. Gość spoglądał na niego, przełykał ślinę i się uspokajał. Między innymi z tego powodu Peroni był znany wszem

wobec jako jeden z najpopularniejszych i najbardziej szanowanych inspektorów w policji. To ostatni człowiek, o którym Costa by pomyślał jako o tym, z którym będzie dzielił ten sam samochód jak równy z równym.

– Nie rozumiem, jak oni mają czelność nazywać to coś porchetta?  
– marudził Peroni. – Tam, skąd pochodzę, wiesz, takie zapyziałe miasteczko koło Sieny, sami rolnicy i żadnych atrakcji turystycznych, tam to dopiero jest porchetta. Przyrządzają ją regularnie co niedziela. Mój wujek Fredo był rolnikiem. Pokazał mi, jak to się robi. Zabijasz świnię, patroszysz ją, potem wyciągasz wątrobę i macerujesz w grappie i innych takich. A potem czuwasz całą noc i ją pieczesz. Fredo mawiał, że to jedyna taka noc w tygodniu, kiedy śpi przy świni, co nie chrapie. – Peroni przypatrywał się Coście i czekał na reakcję. – No dobra, może musiałbyś spotkać tego babsztyla, żeby zrozumieć. Tak czy inaczej, to dopiero była porchetta. Gorąca, świeżutka, ze spieczoną skórką. A ten szajs tkwił w lodówce przez wieki. Chcesz trochę?

Costa zerknął na blade, suche mięso.

– Dzięki, nie mogę, prowadzę. A zresztą nie jem mięsa.

Peroni wzruszył ramionami, opuścił szybę i wyrzucił tłusty papier w ciepłe powietrze rzymskiego poranka.

– No tak, zapomniałem. Twoja strata.

Costa odwrócił na chwilę wzrok od tłocznej ulicy nad rzeką i popatrzył na Peroniego.

– Zanieczyszczasz środowisko. Nie rób tego, gdy jedziesz moim autem.

– Chciałeś powiedzieć: zanieczyszczasz środowisko, sir.

– Nie – zaprzeczył Costa. – Chciałem powiedzieć to, co powiedziałem. Jesteś teraz normalnym gliną. Słyszałeś Falconego.

Dziwnie sztywna twarz Peroniego nagle się ożywiła.

– Równy stopień, równy stopień. Jak Leo mógł mi to zrobić? Chryste, i pomyśleć o tych wszystkich rzeczach, które jemu uszły na sucho... A przecież Leo i ja niby jesteśmy przyjaciółmi, do diabła. Oto ile dziś znaczy przyjaźń na tym świecie.

Costa podjął decyzję w chwili, gdy tylko się dowiedział, że jego nowym partnerem będzie Peroni. Nie zamierzał dać sobie w kaszę

dmuchać. Żadnej podległości. Może dlatego właśnie Falcone tak to ustawił. To była lekcja, a może też swojego rodzaju kara. Dla nich obu.

Ludzie w Questurze świetnie wiedzieli, jakie przestępstwo popełnił Gianni Peroni: opowiadano sobie o nim przy różnych okazjach w taki sposób, jakby to była fabuła horroru. Ta historia w dodatku miała morał: nawet najbystrzejszy i najlepszy twardziel może wypaść z gry, i to z powodu drobnej pokusy. Peroni długie lata piał się w górę w szeregach obyczajówki i nigdy nie padł na niego nawet cień podejrzenia o korupcję. Jako inspektor rozpracował trzy największe grupy zajmujące się prostytutką w mieście i zaczął prowadzić infiltrację szajki albańskich cwaniaczków zajmujących się handlem kobietami, którzy próbowali rozwijać swoją działalność niedaleko Rzymu. Nigdy nie zboczył z prostej drogi i nie poszedł na żadne propozycje przyjaźni ani układów. Nie ukrywał, że w głębi serca pozostał chłopaczkiem z farmy, członkiem klasy pracującej, który nie czuje się komfortowo w towarzystwie policyjnej wierchuszki. Mimo to widać było, że czekają go wielkie sukcesy. Może już by je nawet osiągnął, gdyby nie jego specyficzny, odstraszaający wygląd. I nagle w jedną noc kilka tygodni temu wszystko zmarnował, a wieść szybko dotarła do uszu uszczęśliwionych dziennikarzy.

To miała być precyzyjna operacja zorganizowana przez Direzione Investigativa Antimafia, cywilną agencję pozostającą poza kontrolą policji, utworzoną specjalnie do zwalczania działalności mafijnej. DIA urządziła fałszywy burdel w Testaccio, w którym pracowały prawdziwe prostytutki przywiezione z Bolonii. W ciągu trzech tygodni ich przybytek dorobił się dość klienteli, by zwrócić uwagę grubych ryb w świecie alfonsów, którzy wkrótce, o czym wiedzieli ludzie z DIA, mieli pojawić się z propozycją: albo udział w zyskach, albo potoczy się głowa tego, kto z interesu spija śmietankę. I faktycznie, trzech byczków pojawiło się w czwartkową noc. Agenci DIA zwinęli ich, po czym, tak z czystej ciekawości, zatrzymali klientów burdelu i przejrzeni ich portfele, zanim w prezencie oddali je policji. Gianni Peroni miał tego pecha, że w chwili, gdy agenci wpadli do burdelu, był w pokoju z pewną blondynką z Czech. Nie udało mu się z tego wywinąć, chociaż próbował wyjaśnić sprawę na wszystkie sposoby. Wieść doszła do Questury.

Peroni najpierw został zawieszony, a potem strącony na sam dół, do roli zwykłego detektywa w normalnych ciuchach. I tak mógł mówić, że mu się poszczęściło. Gdyby chodziło o kogoś innego, cała kariera prysnęłaby jak bańka mydlana.

Jeśli wierzyć plotkom powtarzanim w Questurze, degradacja i obniżenie poborów były ostatnią rzeczą, którą Peroni się przejmował. Nie podziwiano go tylko za to, że był świetnym gliną. Miał też opinię człowieka przywiązanego do rodziny. Wszyscy znali jego żonę i dwoje nastoletnich dzieci, syna i córkę. Ludzie z zespołu regularnie jadaliby obiady w jego domu. Gdy popadali w kłopoty, Peroni zastępował im ojca – udzielał porad i pomagał utrzymać się na prostej.

To wszystko rozpadło się pewnego mroźnego styczniowego wieczoru. Peroniego nie postawiono w stan oskarżenia – nie popełnił żadnego przestępstwa. On po prostu wszystko stracił. Żona wróciła do Sieny z dziećmi i zażądała natychmiastowego rozwodu, rozgłaszając wszem wobec, że mąż ją zdradził. W kilka tygodni z wysokiego rangą policjanta z kochającą rodziną zmienił się w samotnego, starzejącego się człowieka o niepewnej przyszłości zawodowej. A teraz Leo Falcone wsadził go do wozu razem z Nikiem Costą, którego pozycja w policji zdawała się równie chwiejna jak jego własna, a ścieżka kariery mglista. Costa nie miał pojęcia, jak sobie radzić z tą sytuacją, ale wiedział, że Gianni Peroni także nie ma na to pomysłu.

Tuż za oknem, przy Piazza della Bocca della Verità, stały dwie małe rzymskie świątynie – para perfekcyjnych okrągłych kształtów z innego, arkadyjskiego świata. Dzień był przyjemny, a w powietrzu wyczuwało się ciepło, znak zbliżającej się wiosny. Nico Costa żałował, że nie może usiąść przy świątynce i przemyśleć paru spraw.

Peroni odwrócił się ku niemu i zaczął mu się przyglądać.

– Co byś powiedział na krótką rozmowę dla oczyszczenia atmosfery?

Costa spojrzał w tę skupioną, sponiewieraną twarz i zadał sobie pytanie, ile czasu będzie musiało upłynąć, zanim przyzwyczai się dzielić przestrzeń samochodu z człowiekiem, który wygląda jak czarny charakter z kreskówki.

– Będę szczery. Ty jeszcze niedawno miałeś problemy z głową.

Potem było picie. Mnie przyłapali z opuszczonymi gaciami z czeską dziwką i dlatego muszę bawić się teraz w pielęgniarską. Widzę to tak: jeśli uda mi się utrzymać cię na równym kursie przez miesiąc czy coś koło tego, i kto wie, może przy okazji przyskrzynimy paru bandytów, Leo skreśli mnie ze swojej czarnej listy. Będę mógł znowu zacząć myśleć o tym, co robię najlepiej, a jest to dowodzenie ekipą, i nie będę musiał tkwić w jakimś śmierdzącym wozie patrolowym jako niańka gołowąsa, którego trzeba trzymać z dala od flaszki. To dla mnie ważne, chłopie. Zrobię wszystko, żeby Leo był uśmiechnięty. Ale ty będziesz musiał mi w tym pomóc. Im szybciej się dogadamy, tym szybciej będziesz miał mnie z głowy i przyślą ci kogoś normalnego. Jasne?

Costa przytaknął.

– Powiem ci jeszcze jedno. Nie znoszę picia. W swoim czasie za często oglądałem, jak dobrzy ludzie zmieniają się w zapijaczony ścierwa. Jak mi to zrobisz, będę się bardzo gniewał. Nie spodobałoby ci się to. Nikomu się nie podoba.

– Spróbuję nie zapomnieć. Dostanę coś w zamian? Na przykład obietnicę, że będziesz się trzymać z dala od dziwek?

Peroni spojrział na niego gniewnie i Costę mimowolnie przeszedł dreszcz.

– Nie przeginaj pały. Wiem, że Falconemu na tobie zależy. Bóg wie, czemu ten głupi skurczykot czuje się winny, że cię postrzelili. Z tego, co słyszałem, wynika, że sam się wpakowałeś w ten bajzel.

Costa nie dał się sprowokować.

– Pytałem poważnie. Jestem ciekaw. Każdemu się zdawało, że cię zna: oto porządny facet z klasy pracującej, doskonała rodzina, idealne życie. A teraz ludzie myślą, że od samego początku się mylili, i zadają sobie pytanie: czy to ja wszystko przeinaczyłem, czy problem tkwił w nim? Kto nawalił?

– Ja – od razu odparł Peroni. – Powiem ci jedno: każdy ma w sobie małego czarnego potworka. Każdy zastanawia się, jak by to było wyjąć go pewnego dnia i zabrać na spacer. Nawet ty. Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

– Myślałem, że ten potworek to właśnie to, czego człowiek nie chce.



– Chodzi mi o picie. Ludzie, którzy piją, robią to w jednym celu: żeby coś zabić. Może byłoby lepiej, gdyby zamiast tego od czasu do czasu dali sobą zawładnąć ciemnej stronie.

Faktycznie jest to jakiś pomysł, pomyślał Costa, choć nie taki, jakiego by się spodziewał po gliniarzu, a już na pewno nie po kimś w rodzaju Peroniego.

– Powiedz mi coś, chłopcze. Widziałem rano, jak wchodziłeś do budynku z Barbarą Martelli. Cudna panna, nie? Wyobraź sobie, że podchodzi do ciebie pewnego dnia, kiedy jesteś już żonaty i szczęśliwy i myślisz, jak się wszystko świetnie przed tobą układa, a w dodatku czujesz się już trochę stary. A ona mówi: Nico, tak bym chciała zobaczyć, jak by to było. Tylko jeden raz. Nikomu nie stanie się krzywda. Nikt się nie dowie.

– Nie jestem żonaty.

– Wiem, ale spróbuj sobie wyobrazić. – Peroni czekał na odpowiedź, aż zdał sobie sprawę, że jej nie otrzyma. – Powinieneś się z nią umówić. Coś błyszczy w jej oczach, jak na ciebie patrzy. Ja dostrzegam takie rzeczy.

Costa się zaśmiał.

– Poważnie?

– Tak. I pozwól, że powiem ci coś jeszcze. Znałem jej starego. Też służył w obyczajówce, jeszcze kilka lat temu. To jeden z najpodlejszych, najnędnieszych skurwieli, jakich w życiu widziałem. Jak mu się udało takie potomstwo, tego w życiu nie odgadnę. No więc masz powód, żeby się z nią nie umawiać. Musiałbyś się spotykać z tym skurczysynem.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Wyglądasz mi na człowieka, który lubi wynajdywać usprawiedliwienia, żeby czegoś nie robić. Mnie to zresztą nie przeszkadza, skoro niedługo się z tego wozu wyniosę. Rozumiemy się?

Costa się nie zdenerwował. W pewnym sensie poczuł nawet ulgę. Dowiedział się w końcu, na czym stoi.

– A więc załatwione? – spytał. – Jeśli tak, możemy już wrócić do swoich ról. Stary i młody glina oczyszczają ulice Rzymu.

Ale wielkolud w fotelu pasażera już go nie słuchał, tylko gestem

kazał mu się zamknąć. Z radia wywołano ich numer. Peroni podniósł mikrofon i zameldował się. Wysłuchali wezwania, po czym Nico Costa odpalił silnik, ruszył wprost ku piramidzie Cestiusza i autostradzie biegnącej w stronę wybrzeża i lotniska. Od czasu do czasu włączał niebieskiego koguta i syrenę, by utorować sobie drogę między samochodami.

– Co za dzień – mruknął Peroni. – Najpierw zabawa w nianię, teraz w strażaka. Trudno powiedzieć, co gorsze.

Lianne umiała rozpoznać determinację w twarzy Bobby'ego i wiedziała, że to oznacza nadciągające kłopoty.

– Powiem ci, co zrobimy – oznajmił jej mąż. – Otóż zabierzemy głowę i pokażemy ją Jorgensenowi. Niech sobie popatrzy. Jest tysiąc razy lepsza niż to jego greckie badziewie.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Co takiego?!

Bobby uniósł szpadel jak siekierę, dysząc z niecierpliwości.

– Patrz. Patrz i ucz się.

Zadał mocny cios w miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa statui. Nic się nie stało. Rozprysnęło się trochę ziemi. Lecz Lianne zaczęła krzyczeć, i to głośniej niż kiedykolwiek.

– Bobby! – wrzasnęła. – Co ty do cholery wyprawiasz?! Ta rzeźba to dzieło sztuki i w ogóle. To historia. Rozwalisz ją w drobny mak, żeby udowodnić, że masz większe jaja niż Tom Jorgensen?

Znów trzymał szpadel wysoko, kołysząc nim lekko.

– Skąd wiesz, jakie jaja ma Jorgensen?

– To przerośnia, kretynie.

Bobby Dexter spojrzał na nią i zamrugał. Wyglądał beznadziejnie. Ściemniało się coraz bardziej i wokoło robiło się dziwnie. Zadał kolejny cios i znów chybił szyi posągu, posyłając w powietrze strugę cuchnącej ziemi, która trafiła go prosto w twarz. Trochę piachu wpadło mu do ust. Wypluł go, jakby miał do czynienia z trucizną.

– Jeśli zniszczysz ten posąg, Bobby, to koniec z nami – powiedziała śmiertelnie poważnym tonem. – Właśnie tak. Nie pobiegę do ojca. Pójdę do prawnika, gdy tylko dotrzemy do Seattle.

Zawahał się i spojrzał na nią, jakby zastanawiał się, czy Lianne

faktycznie zamierza spełnić groźbę.

– Powiedz mi to znowu, gdy już będziemy w domu z najlepszą salonową rzeźbą, jaka jest w prywatnym posiadaniu w całym pieprzonym stanie Waszyngton. Nawet nie wiesz, jak taka ozdóbka w salonie potrafi rozruszać imprezę.

– Bobby! – krzyknęła.

– Dość chrzanienia. – Znów się zamachnął.

I tym razem trafił. Ostra krawędź szpadla weszła głęboko w szyję. Powinien dać się słyszeć przenikliwy dźwięk rozłupywanego kamienia, co by znaczyło, że pęknięcie jest gładkie i czyste, a może trochę nierówne, dzięki czemu wygląda autentycznie. Znała Bobby'ego na tyle, że wiedziała, co myśli. Już pewnie zaczął sobie wyobrażać różne imprezowe sceny.

Lecz wszystkie wizje, jakie mieli, natychmiast wyparowały im z głowy, gdy szpadel uderzył w posąg. Lianne Dexter zrozumiała, że się pomylili, oboje okropnie się pomylili. Widzieli to, co chcieli zobaczyć, a nie to, co istniało naprawdę. Być może mieli po temu nieuświadomiony powód. Bo przecież taka prawda była ostatnią rzeczą, której potrzebowali do szczęścia, a już na pewno w chwili, gdy zdani na łaskę losu tkwili w jakimś grajdołku na brzegu śmierdzącej rzeki, w kraju, gdzie ich umiejętności językowe były ograniczone do zamawiania pizzy, piwa i wina.

Szpadel nie uderzył w twardy kamień. Wszedł w tkankę, w jakiś rodzaj ciała. Wyglądało jak skóra, było ciemne i wytrzymałe, ale elastyczne. Ostrze trafiło dokładnie w miejsce, w którym szyja przechodzi w tułów, i rozcięło coś, co przypominało prawdziwe ludzkie ścięgna. Prysnęło na nich ohydnie cuchnące mokre błoto, w którego zapachu wyraźnie poczuli organiczną nutę kojarzącą się z czymś żywym.

Twarz Lianne pokryły grudki torfu, które obsypały ich, gdy Bobby uderzył szpadlem. Zaczęła je wypluwać, łkając i walcząc z wymiotami. Gdy doszła do siebie, zobaczyła, że Bobby z poważnym wyrazem twarzy nachyla się nad tą rzeczą w bagnie.

W ziemi przed nimi, częściowo oddzielona od ciała uderzeniem szpadla, spoczywała głowa młodej, najwyżej szesnasto- czy siedemnastoletniej dziewczyny odzianej w antyczną szatę, z grubą

rytualną różdżką w lewej dłoni. Siła uderzenia spowodowała, że z jej twarzy odpadła większa część twardej błotnej skorupy. Dziewczyna była piękna. Miała wydatne czoło i mocno zarysowane kości policzkowe. Nieskazitelnej skóry nie szpeciła ani jedna zmarszczka. Jej oczy były zamknięte, a usta na wpół rozchylone, jakby wydawała właśnie ostatnie, przedśmiertne westchnienie. Miała doskonałe zęby, pozbawione szpar i nierówności, które świeciły bielą o perłowym odcieniu wśród brudnobrązowej ziemi. Jej długie włosy były splecione z tyłu głowy i zlepione w grube strąki. Na twarzy widniał wyraz najwyższego spokoju. Lianne pomyślała, że dziewczyna umierała szczęśliwa, choć w tych okolicznościach było to przecież absurdalne.

Gdyby mieli jeszcze jakiejkolwiek wątpliwości, co przed nimi leży, wystarczyło spojrzeć na szyję. Mocnym uderzeniem szpadla Bobby osiągnął swój cel: wciął się głęboko. Teraz wraz z żoną wpatrywał się we wnętrze ludzkiego gardła, czarną, poszarpaną płataninę tkanek z widocznymi kośćmi, ścięgnami i kanałami żył. Wszystko to wydawało się jakby znajome, wyuczone na niemal zapomnianych lekcjach biologii.

– Niech to diabli – mruknął Bobby i zaczął się trząść.

Boeing 747 przewalił się nisko nad nimi. Poczuli ciepło jego oddechu, a w ich nozdrza uderzył chemiczny wyziew monstrualnych silników. Gdy gigant oddalił się z rykiem, do Bobby'ego Dextera dobiegł innego rodzaju dźwięk. Wrzask żony.

– Nie – powiedział błagalnym tonem. – Nie teraz, Lianne. Próbuję myśleć, na Boga.

Chwilę potem on też się poddał. Dwóch mężczyzn, jeden niski, drugi wysoki, szło w ich stronę, wpatrując się w całą scenę z uwagą. Kawalek za nimi czerwony wóz strażacki sunął mozolnie dróżką w kierunku poczerniałych, kopających szczątków clio.

Faceci wyjęli policyjne odznaki. Nie sprawiali sympatycznego wrażenia.

Starszy gliniarz wyglądał jak szympan. Miał byczy kark, groźną, zdeformowaną twarz i agresywne, przeszywające spojrzenie, które sugerowało, że nic się przed nim nie ukryje. Młodszy, niższy, przyglądał się leżącemu w torfie ciału o ohydny kolorze, którego głowa, wskutek cięcia Bobby'ego, odchyliła się w tył.

– Ten dzień staje się coraz dziwniejszy – mruknął Gianni Peroni. –  
Uszczypnij mnie. Powiedz, że to sen.

– To nie sen – odparł Nico Costa.

Nie mógł oderwać wzroku od zwłok na wpół zagrzebanych w błocie. Nie zwracał uwagi na szlochającą kobietę, która chyba przed chwilą z wymiotowała, a teraz siedziała skulona nad brzegiem rzeki, ani na mężczyznę trzymającego niepewnie szpadel w dłoniach i kołyszącego się miarowo.

Człowiek ten nagle wycelował narzędzie w policjantów i powiedział bełkotliwym, pełnym napięcia głosem:

– Nie próbujcie ze mną żadnych numerów, jasne? Nawet o tym nie myślcie. Jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych.

## IDY MARCOWE

– Jak długo ona tam leżała waszym zdaniem?

Teresa Lupo, patolog, stała przy sztywnych, brązowych, wykręconych pod dziwnym kątem zwłokach spoczywających na lśniącym stalowym stole w kostnicy. Zachowywała się tak, jakby ciało, którym się zajmowała, stanowiło jej własność. Była chyba bardzo zadowolona z siebie. Od czasu, gdy Nico Costa i Gianni Peroni natknęli się na rozwrzeszczaną parkę Amerykanów na błotnistym brzegu Tybru, zaledwie kilka kilometrów od morza, minęły dwa tygodnie. Bobby i Lianne Dexterowie byli już w domu w stanie Waszyngton. Prowadzili rozwodowe rozmowy z prawnikami, ustalali, kto weźmie pod opiekę kota, i cieszyli się, że udało im się uciec z Europy bez konieczności odpowiadania na jakiegokolwiek zarzuty. Dla Lianne było to zresztą kolejnym dowodem na to, jakimi ludźmi się okazali. Tymczasem Costa i Peroni nie zadzierzgnęli może szczególnych więzów, ale przynajmniej stali się w jakimś stopniu partnerami. Dzięki temu udawało im się bezboleśnie przeżyć kolejne dni pracy z poczuciem wspólnoty obowiązków oraz nadzieją, że niebawem ich wymuszona współpraca dobiegnie końca.

Odkrycie zwłok trafiło na pierwsze strony gazet na całym świecie. Ktoś jakoś przemycił do mediów zdjęcie. Pokazywało ono spokojną, zastygłą twarz wydobytą z chemicznie cuchnącego torfowego bagna. To była prawdziwa zagadka. Nikt nie miał pojęcia, ile lat ciało leżało w ziemi ani czy dziewczyna zmarła z przyczyn naturalnych, czy padła ofiarą jakiejś ponurej zbrodni. W kilku włoskich tabloidach pojawiły się dzikie spekulacje na temat starożytnych kultów, których kapłani zabijali adeptów, jeśli ci zawiedli podczas obrzędów inicjacyjnych.

Nico Costa nie zwracał na to uwagi. Wszelkie dociekania będą próżne, póki Teresa Lupo nie wyda własnej opinii. Wreszcie nadszedł ten moment. Wezwano ich do kostnicy na dziesiątą rano, natomiast na dwunastą Lupo zaplanowała konferencję prasową, podczas której miała w zarysie przedstawić wyniki swoich badań. Wiele mówił już fakt, że zrobiła to sama, bez zgody Falconego. Najwyraźniej była przekonana, że

w grę nie wchodzi sprawa kryminalna, a Costę i Peroniego zaprosiła w zasadzie z uprzejmości: skoro dostarczyli próbkę, mieli prawo poznać rozwiązanie zagadki. Costa wolałby zresztą, żeby patolog już nie zawracała im głowy. Czuł, że znowu wraca do policyjnej roboty, i zaczynało mu się podobać, że może zajmować się czymś, w czym jest niezły. Skoro ta sprawa faktycznie była zamknięta, wolał zacząć pracować nad taką, którą trzeba rozgryźć.

Falcone, Peroni i Costa siedzieli we trzech na zimnej, twardej ławce i obserwowali, jak patolog dokonuje ostatnich pobieżnych oględzin ciała. Costa rozumiał, o co chodzi: ich wizyta była próbą generalną przed konferencją prasową, która stanowiła kolejny krok na drodze powrotu Teresy Lupo do policyjnego życia. Po zamknięciu sprawy Denneya patolog rzuciła pracę i przysięgła, że nigdy nie wróci. Przyjaźniła się z Lucą Rossim i jego śmierć zabolą ją równie mocno, jak wszystkich policjantów z komisariatu. Być może przybiła ją nawet bardziej niż Nica Costę, a na pewno bardziej niż Falconego, który, choć dręczony poczuciem winy z powodu utraty jednego ze swoich ludzi, zajmował się pracą tak obsesyjnie, że nic nie mogło na dłużej wytrącić go z równowagi.

Żałoba wyrwała ją z mocnego uścisku policyjnej wspólnoty i żałoba ją tam zagnała z powrotem. Teresa była bowiem tak samo uzależniona jak pozostali. Nie potrafiła żyć z daleka od tej roboty. Uwielbiała zapoznawać się ze swoimi klientami, dowiadywać się, jak żyli i co przywiodło ich na stół sekcyjny. W rozwiązywaniu łych zagadek znajdowała spełnienie i Costa zauważył, że zaczyna to być po niej widać. Pozbyła się kucyka i zastąpiła go fryzurą w stylu businesswoman. Krótkie czarne włosy układała starannie, by ukryć zarys masywnej szyi. Miała dużą, żywą twarz i nieco wypukłe niebieskie oczy, które nieustannie lustrowały otoczenie. Było w tej kobiecie coś osobliwego, może odrobina obsesji, co odstraszało większość mężczyzn próbujących się do niej zbliżyć. Chyba właśnie dzięki temu gliniarze zawsze woleli mieć panią patolog po swojej stronie i nie zwracali uwagi na jej wybuchowy temperament ani cięty język.

– Dziesięć lat, maksimum dwadzieścia – rzucił Peroni. – Zresztą czy ja wiem? Jestem tylko prostym gliną, którego wywalili

z obyczajówki. Będziesz musiał wziąć odpowiedzialność za wszystko, co schrzanię, Leo. Ja zawsze miałem do czynienia z ludźmi, o których od samego początku było wiadomo, że są winni. Ta cała detektywistyczna robota... to nie moja działka.

Falcone przyłożył dłoń do ucha.

– Że co proszę?

– Panie inspektorze – poprawił się pokornie Peroni. – Pan będzie ponosić odpowiedzialność, panie inspektorze.

Falcone miał na sobie szary garnitur, który wyglądał tak, jakby go kupił tego ranka. Przesuwał palcami po kanciastej, ostro przyciętej, srebrzystej brodzie, patrzył na zwłoki i zastanawiał się. Zaledwie dzień wcześniej wrócił z wakacji. Odpoczywał w słonecznej okolicy. Jego twarz i czoło były mocno opalone, niemal orzechowe. Miały prawie taki sam kolor jak ciało na stole sekcyjnym. Inspektor wydawał się nieobecny. Być może myślami wciąż przebywał na plaży czy w innym miejscu, w którym się relaksował, a może martwił się brakami kadrowymi. W mieście szalała epidemia grypy i co chwila ktoś dzwonił, żeby zawiadomić, że bierze zwolnienie lekarskie. Rano w Questurze było tyle pustych biurków, ile bywa w Boże Narodzenie.

Teresa się uśmiechnęła. Peroni powiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć.

– Sensowne datowanie, nawet jak na glinę wywalonego z obyczajówki. A z czego to wnioskujez?

– Wystarczy na nią spojrzeć. – Powiódł ręką nad stołem. – Trochę już nieświeża, ale nie cuchnie za bardzo. Nie rozkłada się. Wy tu na pewno widzieliście gorsze rzeczy i pewnie nieraz czuliście znacznie paskudniejszy smród.

Skinęła głową.

– Pachnie tak z powodu chemii. Gdy tylko przywieźli ciało, zaraz włożyliśmy je pod prysznic. Piętnastoprocentowy roztwór glikolu polietylenowego i wody destylowanej. Dużo się naszukałam przy okazji tej sprawy. Poczytałam trochę książek, porozmawiałam z paroma osobami. Jestem w kontakcie mejlowym z kilkoma naukowcami z Anglii, którzy wiedzą, jak postępować z ciałem w takim stanie. Za jakieś dziesięć tygodni trzeba ją będzie wysuszyć przez mrożenie, żeby



porządnie dokończyć robotę.

– To nie pogrzebiemy jej na koniec? – spytał Costa. – Czy przypadkiem nie to należy zrobić z umarłym?

Na jej dużej, bladej twarzy pojawił się wyraz zdziwienia.

– Żartujesz? Myślisz, że uniwersytet by na to pozwolił?

– A od kiedy ona należy do nich? – zapytał. – Niezależnie od tego, ile ma lat, kiedyś była ludzką istotą. Skoro nie będzie się rozpoczynać dochodzenia, to w czym problem? W którym momencie ciało zamienia się w okaz badawczy? Kto o tym decyduje?

– Ja – powiedział Falcone, budząc się nagle ze snu na jawie. Costa zerknął na niego. Działo się coś dziwnego. Szef nie był tak wyluzowany i pewny siebie jak zawsze. Wyglądał posępnie, inaczej niż zwykle. Rzadko okazywał jakiegokolwiek ludzkie emocje. Costa zastanawiał się, z kim Falcone był na wakacjach. Nieudane małżeństwo inspektora zakończyło się pięć lat temu. Pojawiały się co prawda pogłoski o okazjonalnych związkach, ale mogły to być tylko komisariatowe plotki. Kiedy Leo Falcone wchodził do Questury, wszystko poza pracą przestawało dla niego istnieć. Gdy wychodził, znikał zupełnie: nie umawiał się ze znajomymi z policji, nie przyjmował zaproszeń na obiad. Może inspektor, który zawsze wydawał się tak spokojny i opanowany, gdy miał do czynienia z życiem innych ludzi, z własnym nie potrafił dać sobie rady? Może pojechał na urlop sam, siedział na jakiejś słonecznej plaży i czytając książkę, zamieniał się w coraz bardziej brązowego gada?

– Posłuchajcie mnie – poprosiła Teresa. – Wszystko się wyjaśni, obiecuję. Kilka dziesięcioleci? Niezła próba, lecz niestety nietrafiona, i to o jakieś dwa milenia.

Peroni prychnął.

– Ktoś tu ześwirował, Leo. To znaczy, panie inspektorze. Normalny człowiek nie wymyśliłby takiej bzdury.

– Chwila, wolnego – zawołała patolog, kiwając na niego palcem. – Na razie nie mogę jeszcze dać dokładnych wyników, ale mam nadzieję, że niedługo się dowiem. Zwłoki cały czas leżały w torfie. Jeżeli ciało wpadnie do takiego bagna, zaczyna się konserwować. Zachodzi coś między mumifikacją i garbowaniem. Ostatecznego rezultatu w ogóle nie da się przewidzieć. W dodatku w rzece w tamtym rejonie jest gęsto od

ścieków przemysłowych, a Bóg wie, jaki one mają wpływ. Jej ciało w niektórych miejscach jest twarde prawie jak drewno, za to w innych całkiem miękkie. Normalna sekcja absolutnie nie wchodzi w grę – powiem wam zaraz dlaczego: więc nie wiadomo, w jakim stanie są narządy wewnętrzne. W każdym razie ustaliłam wiek. Torf wyczynia cuda z typowymi metodami datowania radioaktywnym węglem. Nie będę się wdawać w szczegóły techniczne, powiem tylko tyle, że kwas zawarty w wodzie rozpuszcza wszystko, czego można by użyć do takiego datowania. Spróbuję też pobrać z niej cholesterol, który jest prawie całkiem odporny na długotrwałe nasączenie. W każdym razie w tej chwili pracuję nad próbką materiału organicznego znalezionej pod jej paznokciami. Datuję go na okres między pięćdziesiątym a dwieście trzydziestym rokiem naszej ery.

Policjanci wpatrywali się w nią bez słowa.

– To naprawdę możliwe? – spytał po chwili Falcone.

Podeszła do biurka i wzięła do ręki leżącą obok komputera dużą brązową kopertę.

– No pewnie. To żadna nowina. Archeolodzy nazywają je ciałami z bagien. Leżały w ziemi przez stulecia, ale nikt ich nie zauważył, dopóki firmy ogrodnicze nie zaczęły wykopywać torfu. Teren za Fiumicinem nie był nigdy na tyle rozległy, żeby go w ten sposób eksploatować. Poza tym weźcie pod uwagę, że tej zimy dużo padało. Może deszcz spłukał wierzchnią warstwę ziemi i łatwiej było znaleźć zwłoki.

Przeszła przez salę i wręczyła im plik kolorowych zdjęć. Pokazywały ludzkie zwłoki: zbrązowiałe, pokręcone, pokurczone, na wpół z mumifikowane. Ciała na fotografiach były mocniej zniekształcone niż to na stole, lecz bez wątplenia zaszły w nich podobne procesy.

– Przyjrzyjcie się temu – powiedziała patolog, wskazując pierwsze zdjęcie. Przedstawiało głowę mężczyzny, która wyglądała jak zrobiona ze skóry. Regularne rysy twarzy zachowały się prawie idealnie. Człowiek był spokojny i wyciszony, miał zamknięte oczy, jakby spał. Nosił prymitywną skórzaną czapkę, na której wciąż widoczne były nieporadne szwy. – Tollund, Dania. Ciało znalezione w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Niech was nie zmyli wyraz twarzy. Miał

pętlę wokół szyi. Stracono go z jakiegoś powodu. Było dużo dobrego materiału do datowania węglem. Ustalono, że zmarł nieco ponad dwa tysiące lat temu. A ten...

Na następnym zdjęciu zobaczyli ciało człowieka pólżące na czymś, co wyglądało jak skała. Było bardziej wysuszone niż poprzednie. Głowa porośnięta rudymi, zmatowiałymi włosami wykręcona była pod nienaturalnym kątem.

– Grauballe, także w Danii. Niedaleko poprzedniego, ale starsze: trzecie stulecie przed naszą erą. Ten miał gardło poderżnięte od ucha do ucha. W jelitach znaleziono resztki sporyszu, magicznego grzyba. Trudno odtworzyć, co tam zaszło, ale w większości przypadków jedna rzecz się powtarza: ci ludzie zostali zamordowani, być może w czasie jakiegoś obrzędu. Często w sprawie występują narkotyki. Patrzenie...

Zaczęła rozkładać zdjęcia na ich kolanach. Ciało za ciałem. Zmumifikowane, udręczone zwłoki, skulone w pozycji, którą każdy gliniarz potrafi od razu rozpoznać, jeśli widział choć jedno miejsce zbrodni.

– Dziewczyna z Yde w Holandii: kłuta nożem i duszona. Najwyżej szesnaście lat. Człowiek z Lindow, Anglia: pobity, uduszony i wrzucony do bagna. Człowiek z Dätgen, Niemcy: pobity, kłuty i pozbawiony głowy. Kobieta z Borremose w Danii: twarz wbita do wnętrza czaszki prawdopodobnie za pomocą młota lub maczugi. Ci wszyscy ludzie pochodzili z pierwotnych społeczeństw rolniczych. Być może popełnili jakieś wykroczenie, a może brali udział w rytuale ofiarnym. Wydaje się, że torfowiska często miały dla tych plemion znaczenie obrzędowe. Może chodziło o ofiarę dla boga bagien czy coś w tym rodzaju.

Falcone odłożył fotografie. Wyglądało na to, że się nimi w ogóle nie zainteresował.

– Nie obchodzi mnie, jak było ileś tysięcy lat temu w Danii. Co stało się tutaj? Jak zmarła ta konkretna dziewczyna?

– Niech pan posłucha – odparła ostro. – Nie mamy nieograniczonych zasobów. Nico zadał trafne pytanie: kiedy mówimy o ciele, a kiedy o materiale naukowym? Sama sobie na nie odpowiedziałam. To bardzo stare zwłoki. Ja jestem patologiem, nie historykiem. Są ludzie, którzy będą potrafili przeprowadzić badania na

tej dziewczynie, ale to robota nie dla nas.

– Jak ona zmarła? – spytał ponownie Falcone.

Teresa Lupo popatrzyła na zeszywniałą, skórzastą twarz. Zawsze odczuwała sympatię wobec swoich klientów. Nawet wtedy, gdy odeszli kilka tysięcy lat temu.

– Tak jak pozostali: w straszny sposób. Czy tego chciał się pan dowiedzieć?

– Przeważnie jest to pierwsza sprawa, którą powinniśmy ustalić.

– Przeważnie tak – zgodziła się, po czym wskazała ciało na stole. – Ale czy to wygląda panu na typowy przypadek?

Niekiedy Emilio Neri miał wrażenie, że utrzymywanie domu przy Via Giulia to idiotyzm. Dostał tę nieruchomość trzydzieści lat temu jako spłatę długu od jednego durnego bankowca, który splukał się w kasynie. Neri, wówczas rosnący w siłę *capo* rzymskiej mafii, przyjął dom z oporami. Najchętniej zabrałby frajera za miasto i kazał kopać dół. Ale to było dawno temu, gdy na jego działania wpływali inni. Dopiero dziesięć lat później Neri dzięki własnej ciężkiej pracy stał się prawdziwym donem. Mógł bezpośrednio wydawać rozkazy egzekucji i brać procent od każdej transakcji, którą księgowano w papierach rodziny. Tymczasem bankowiec wrócił do zawodu i ku rozczarowaniu Neriego nigdy więcej nie popadł w długi.

W latach siedemdziesiątych Via Giulia była jeszcze normalną ulicą, po której chodzili zwyczajni rzymianie, a nie modnym bulwarem dla bogatych obcokrajowców i handlarzy antykami jak teraz. Powstała w szesnastym wieku jako reprezentacyjna droga wjazdowa do Watykanu z mostem wiodącym do Castel Sant'Angelo i biegła równolegle do rzeki, nieco poniżej zatłoczonej ulicy ciągnącej się wzdłuż Tybru. Plac Campo dei Fiori leżał najwyżej dwie minuty pieszo od niej. Gdy szło się minutę dłużej i przekroczyło Ponte Sisto, średniowieczny most dla pieszych, wchodziło się na Trastevere. W słoneczne letnie poranki, takie jak ten, Neri chadzał regularnie tą trasą, przystając pośrodku mostu, by popatrzeć na rzekę i majestatyczną, oświetloną promieniami słońca kopułę Bazyliki Świętego Piotra. Nigdy nie interesowały go ładne widoczki, ale ten z jakiegoś powodu był wyjątkowy. Może to właśnie dlatego nie sprzedał jeszcze domu, chociaż mógł sobie pozwolić na każdą posiadłość

w Rzymie i założył już nawet teczkę, do której wkładał oferty. Zawierała między innymi propozycje sprzedaży domów w Nowym Jorku, Toskanii i Kolumbii oraz dwóch wiejskich posiadłości na jego rodzinnej Sycylii.

Spacer po Trastevere spowodował, że na chwilę się rozmarzył. Restauracje też były tu niezłe, a dobremu jedzeniu Neri nigdy nie potrafił się oprzeć. Dopóki nie stuknęła mu pięćdziesiątka, był dobrze zbudowanym, muskularnym facetem, który w razie potrzeby potrafił wymusić swoją wolę tylko fizyczną siłą. Potem jedzenie i wino zwyciężyły. Teraz miał sześćdziesiąt pięć lat i ważył znacznie więcej, niż powinien. Czasem patrzył w lustro i zastanawiał się, czy można jeszcze coś z tym zrobić. Wtedy przypominał sobie, kim jest. Wiedział, że jego tusza nie ma znaczenia. Posiadał więcej pieniędzy, niż zwykły człowiek może sobie wyobrazić. Miał piękną młodą żonę, która robiła wszystko, na co miał ochotę, i była na tyle bystra, że odwracała oczy, gdy zdarzał mu się skok w bok. Fakt, może i był tłusty. Może i cuchnęło mu z ust do tego stopnia, że między swoje grube, zszarzałe wargi wkładał tyle miętówek, ile papierosów wypalali niektórzy z jego ludzi. Może i zdarzało mu się puszczać wiatry. I co z tego? Nazywał się Emilio Neri i był donem, który wzbudzał strach w Rzymie i poza nim. Miał wpływy. Na jego zamorskie konta lała się twarda gotówka z prostytutki, narkotyków, pralni pieniędzy, broni i mnóstwa różnych półlegalnych interesów. Nie obchodziło go, jak wygląda i czym pachnie. To był ich problem.

W swoim komfortowym życiu miał tylko jeden mały problem, a był nim Mickey, jego jedyny syn, który wrócił właśnie do domu po dwóch latach spędzonych na wkurzaniu mieszkających w Stanach przyjaciół rodziny. Neri i Adele zajmowali dwa górne piętra domu i mieli wyłączny dostęp do obszernego tarasu z fontanną, na którym rosły palmy, natomiast chłopak wprowadził się do mieszkania pod nimi, i to chyba głównie w tym celu, żeby jeszcze bardziej denerwować ojca. Mieszkał nad pokojami zajmowanymi przez liczącą sześć osób służbę, zatrudnioną zupełnie bez potrzeby, tylko po to by zapełniać sobą przestrzeń i przecierać bibeloty, zanim kurz zdąży na nie opaść.

Mickey zatrzymał się u nich tylko tymczasowo. Neri chciał mieć oko na chłopaka i dopilnować, żeby znowu nie zaczął ćpać. Planował go

zwolnić w chwili, gdy uzna, że Mickey wyszedł na prostą. Trzymał go u siebie także po części z troski o własne interesy. Jego syn wyrósł wewnątrz organizacji i mógłby narobić kłopotów, gdyby zaczął paplać lub zadawać się z niewłaściwymi ludźmi. Jednak poczucie ojcowskiej powinności także grało tu rolę. Mickey był dupkiem. Może odziedziczył to po matce, zawsze opalonej amerykańskiej aktorce grającej drugorzędne rólki, którą Neri poznał przez pewnego producenta, gdy prał lewą forszę, pompując ją w film Felliniego. Małżeństwo przetrwało pięć lat, a potem Neri zrozumiał, że albo się z suką rozwiedzie, albo będzie ją musiał załatwić. Teraz wylegiwała się w słońcu Florydy, stopniowo coraz bardziej upodabniając się do iguany. Zresztą iguana, pomyślał Neri, nawet w czasie snu mogłaby ją zdeklasować pod względem inteligencji.

Mickey nigdy nie chciał siedzieć przy mamusi. Wolał trzymać się ze swoim starym. Sądził, że niedługo będzie donem, i zawsze szukał okazji, żeby się popisać. Miał problem z kobietami. Po prostu nie mógł odpuścić, nieważne – zamężna czy nie. Ratowało go tylko to, że dosłownie wielbił swojego ojca. Wszyscy inni, w tym Adele, byli posłuszni Neriemu ze strachu, Mickey natomiast robił, co mu ojciec kazał, z prostszego powodu. Większość dzieci idealizuje tatę do siódmego, ósmego roku życia, a potem zaczyna dostrzegać, kim stary tak naprawdę jest. Z oczu Mickeya klapki nigdy nie opadły, jak gdyby w genach miał zapisane jakieś nieprzemijające uwielbienie. Dla Neriego było to nawet w pewnym sensie wzruszające. Z tego powodu pozwalał dzieciakowi robić różne rzeczy, na przykład włóczyć się po domu, gdy tylko naszła go ochota, mimo że on i Adele, tylko rok starsza od trzydziestodwuletniego Mickeya, nienawidzili się do szpiku kości. W dodatku nie zauważył nadciągających kłopotów, kiedy chłopak trochę za bardzo zaprzyjaźnił się z prochami i wódką, co niekiedy miało bardzo kosztowne konsekwencje. Czasami Emilio zastanawiał się, kto jest na czyich usługach. Odkąd Mickey się wprowadził, myślał o tym naprawdę często.

Ranek miał się właśnie ku końcowi, a oboje najeżdżali na siebie od śniadania: jazgot przerywany chwilkami ciszy. Adele póżełała na sofie, ciągle jeszcze w jedwabnej fiołkowej piżamie, ze wzrokiem utkwionym

w żurnalu. Emilio uważał, że jego żona wygląda fantastycznie, ale wiedział, że to kwestia gustu. Sączyła spremutę, sok z wyciśniętych czerwonych pomarańczy o barwie prawie identycznej jak kolor jej włosów, których strzyżenie kosztowało fortunę. Regularnie wysyłała jednego ze służących na targ, żeby kupował tony owoców, a potem patrzyła, jak Nadia – służąca, którą osobiście wybrała – wyciska z nich sok w kuchni. Dla Adele to było niemal jedyne pożywienie. Mickey nie mógł tego znieść.

– Może dlatego jest taka chuda – powiedział. – Po co żeniłeś się z taką rudą szkapą, chudą jak ołówek, kiedy mogłeś mieć prawie każdą kobietę w Rzymie?

– I wciąż mogę mieć – odpowiedział mu Emilio.

– Właśnie. To czemu ona?

– Bo nie chcę mieć nad kominkiem takiej samej fotki jak każdy. Tyle niech ci wystarczy.

– Nie kapuję.

Emilio objął dzieciaka wielkim ramieniem. Mickey odziedziczył posturę po matce. Był szczupły, umięśniony i przystojny. Szkoda tylko, że ciągle nosił młodzieżowe ciuchy i tlenił sięgające ramion włosy na nienaturalny jasny blond.

– Nie musisz rozumieć. Tylko nie najeżdżajcie tak na siebie bez przerwy. A przynajmniej nie wtedy, kiedy ja jestem w pobliżu.

– Przepraszam – odparł chłopak, natychmiast pokorniejac.

Neri nie powiedział tego na głos, ale czasem sam nie wszystko rozumiał. Adele była niepodobna do innych kobiet, z którymi sypiał: zawsze na luzie, żadna przygód, gotowa na wszystko, na co miał ochotę. Choć była młoda, nauczyła go kilku nowych sztuczek. Może właśnie to go do niej przyciągało. Bo z pewnością nie chodziło o jej osobowość, której chyba nigdy do końca nie rozgryzł, poza podstawową potrzebą pieniędzy i bezpieczeństwa. Szczerze mówiąc, Adele była po prostu kosztownym zwierzątkiem, żywą ozdobą, która wносиła w jego życie trochę piękna.

– No dobra – powiedział Neri i spojrzał na nich dwoje. – Jakie plany ma na dzisiaj moja rodzinka?

– Może wyjdziemy? – spytała. – Moglibyśmy pójść gdzieś na

obiad.

– A po co tyle zachodu? – rzucił Mickey z uśmiechem. – Poślę kogoś na Campo, niech ci kupi parę liści sałaty. Wystarczy na tydzień.

– Hola! – zawołał Neri. – Dość tego! A poza tym przestań posyłać służących po rzeczy, po które sam możesz pójść. Nie płacę im, żeby ganiłi po twoje papierosy.

Mickey wrócił do pisma o sportowych autach i nie odpowiedział. Neri czuł, że chłopak chciał spytać: „Więc za co niby im płacisz?”. Jemu samemu też się nie podobało, że w domu są służący. Adele twierdziła, że tego wymaga ich pozycja, a jej mąż powinien posiadać ludzi. To miało się w jakiś sposób opłacać. Jednak Neri dorastał w tradycyjnej rzymskiej rodzinie z klasy pracującej i walczył, żeby wyrwać się z blokowisk Testaccio. Źle się czuł, wiedząc, że na dole kręcą się jacyś ludzie. Kilku z nich było jego porucznikami i trzymał ich dla bezpieczeństwa. To rozumiał. Ale dom był dla rodziny i nie powinni chodzić po nim obcy.

– Mam trochę roboty – powiedział. – Kilka spotkań. Będę dopiero przed wieczorem.

– Więc pójdę na zakupy – odparła jego żona z cieniem niezadowolenia w głosie.

Mickey potrząsnął głową z niedowierzaniem. Adele często chodziła na zakupy.

– A ty...

– Słucham. – Mickey zamknął czasopismo.

– Idź do Cozziego i przyciśnij gnidę. Chwyć go za jaja i spytaj o rachunki. Skurwiel robi nas w konia, czuję to. Powinniśmy dostawać od niego więcej w tydzień, niż płaci co miesiąc.

– A co mam zrobić, jeśli coś zobaczę?

– Jeśli coś zobaczysz? – Neri podszedł do Mickeya i zmierzwił mu włosy. – Nie baw się w twardziela. Zostaw go, ja zadecyduję.

– Ale...

– Żadnych ale.

Neri popatrzył na żonę i syna. Adele zachowywała się, jakby dzieciak w ogóle nie istniał.

– Chciałbym, żebyście choć czasem spróbowali podjąć ten wysiłek i zachowywać się wobec siebie jak cywilizowani ludzie. Cholernie by mi



to ułatwiło życie. – Patrzył na nich. Nawet nie wymienili spojrzeń. – Rodzinka... – stęknął Neri. Zadzwoił do ludzi na dole i kazał przygotować mercedesa. Wstukał kod na panelu i otworzył wielkie metalowe drzwi pokoju. Niekiedy czuł się jak w więzieniu: chował się za plecami goryli i jeździł wozem wypełnionym kuloodpornymi płytami. Ale takie to właśnie czasy nastąpiły. – Na razie – mruknął i wyszedł, nie oglądając się za siebie.

Mickey odczekał chwilę, udając, że czyta czasopismo. Wreszcie odłożył je i spojrzał na Adele. Szklanka po soku pomarańczowym była pusta. Dziewczyna leżała z zamkniętymi oczami w swojej nieskazitelnej piżamie. Jej błyszczące rude włosy rozsypane były na białym skórzanym obiciu sofy. Udawała, że śpi, ale nie spała. Oboje o tym wiedzieli.

– Może on ma rację – rzucił.

Otworzyła oczy i leniwie odwróciła głowę, tylko tyle, by spotkać jego spojrzenie. Miała żywe, intensywnie zielone oczy. Nie są inteligentne, pomyślał, ale tak pozbawione wyrazu, że łatwo za nimi ukryć kłamstwo.

– W jakiej sprawie?

– Żebyśmy się lepiej dogadywali.

Stała się czujna, niespokojna. Popatrzyła na drzwi. Na jej twarzy odmalował się lęk.

Mickey wstał, przeciągnął się i ziewnął. Miał na sobie koszulkę i firmowe džinsy. Spojrzała na niego z niepokojem. Trzy piętra niżej trzasnęły drzwiczki i zaraz potem dał się słyszeć ryk silnika odjeżdżającego mercedesa.

Wstała z sofy, podeszła do drzwi i zamknęła je na zasuwę, po czym zbliżyła się do swojego pasierba, położyła dłoń na zamku jego spodni, rozsunała go i chwyciła to, co było pod nim.

– Musisz kupić nową piżamę – powiedział Mickey.

– Co?

Położył ręce na jedwabnym kołnierzyku i jednym mocnym ruchem rozerwał materiał. Koszula rozchyliła się szeroko. Drobne jasne piersi wskoczyły pod jego dłonie. Nachylił się i pocałował je lekko. Podskakując, strząsnął z siebie džinsy i pomógł Adele zrzucić resztki ubrania. Sunął dłońmi po całym ciele dziewczyny. Dotknął językiem

ciasnego pępka i podążył niżej, ku kępcie brązowych włosów.

Wyprostował się, ujął w dłonie nieduże, szczupłe pośladki Adele, uniósł ją i pchnął, aż oparła się plecami o drzwi. Zielone oczy wpatrywały się w niego. Może coś w nich jednak było, jakaś potrzeba? A może nie.

– Nigdy nie kręciły mnie chude sztuki, póki ty się nie pojawiłaś – wymamrotał – a teraz nie chcę pieprzyć żadnych innych.

Poruszała dłońmi, robiła rzeczy, które były jednocześnie zręczne, delikatne i brutalne. Stwardniał w jej palcach. Uniosła nogi i oplótła go nimi mocno, trzymała w uścisku, naprowadzała.

– Jak on się dowie, Mickey...

– To mamy przerabane – powiedział, czując, jak ich ciała spotykają się tam, gdzie trzeba.

Pchnął i wbił się w nią. To było najlepsze uczucie, jakie znał. Adele jęczała, traciła zmysły, gryzła go w szyję, ciągnęła za włosy, szeptała świństwa do ucha. Pchnął mocniej. Wszedł głęboko, najgłębiej, jak się dało.

– Ale nie żałuję – wydyszał. Już wiedział, że będzie musiał się mocno skoncentrować, żeby przyjemność potrwała dłużej. Może i na to Adele znała jakieś sposoby. – Nie żałuję nawet sekundy.

– Dobra – powiedziała rażno Teresa Lupo. – Harowałam nad tym parę nocy, ale spróbuję wam streścić w kilku zdaniach. Spójrzcie na to.

Wstali, podeszli do stołu i stanęli nad zwłokami. Costa uznał, że dziewczyna wygląda dość młodo, jakby była w połowie drogi między podlotkiem a kobietą. Miała najwyżej siedemnaście lat. Jej twarz była niepokojąca, wciąż jakby żywa i bez wątpienia piękna, o saksońskich, może skandynawskich rysach, których symetryczna doskonałość kojarzyła mu się z jasnowłosymi ludźmi Północy. Część zmatowiałych włosów dziewczyny oczyszczono. Ich naturalny blask zgasił muł, a torf przydał im rudego odcienia. Z bliska dało się wyczuć ostry bagienny zapach.

– Pamiętajcie – powiedziała Teresa, wskazując rozcięcie w gardle dziewczyny – że nasz bystry amerykański przyjaciel sądził, że ma przed sobą posąg, i próbował odrąbać mu głowę. To rozcięcie zostało zrobione ostrą krawędzią jego łopaty. Swoją drogą nie mogę uwierzyć, że daliście

temu skurwielowi zwać bez konsekwencji, ale to w końcu wasza sprawa.

– A nie mówiłem? – zgodził się Peroni.

– Już to przerabialiśmy, Gianni – powiedział Costa. – Niby o co mieliśmy go oskarżyć?

– Choćby o jazdę po pijaku – odparł Peroni.

– To by nie wystarczyło, żeby ich zatrzymać w kraju do procesu.

Starszy z mężczyzn się skrzywił.

– A co z brakiem szacunku? Tak, wiem, to nie przestępstwo. Może powinno się nim stać.

Teresa uśmiechnęła się do Peroniego.

– Zgadza się z tym – powiedziała. Wzięła wskaźnik do ręki i pokazała miejsce na szyi dziewczyny tuż nad głęboką szczeliną zrobioną przez szpadel Bobby’ego Dextera. – Dawne ślady wciąż są widoczne. To nie łopata pierwsza rozcięła szyję. Ktoś poderznął jej gardło. Sądząc po ranie, stał za nią. Zrobił to od jednej strony do drugiej. Gdy zabójca stoi z przodu, wygląda to inaczej: od środka na zewnątrz. Popatrzcie... – Na biurku leżało więcej zdjęć. – To otwór, który zrobił wasz przyjemniaczek. Na tkance prawie w ogóle nie ma ziemi. Ale tutaj...

Uważnie przyjrzeni się fotografiom. Na zbliżeniu widać było wyraźnie drugą, starszą ranę, którą przez lata odbarwiły brązowe kwaśne wody.

– To nie stało się dwa tygodnie temu. Ranę zadano niedługo przed tym, jak ciało znalazło się w bagnie. Oto przyczyna śmierci.

Falcone skinął głową, patrząc na zdjęcia.

– Dobra robota – stwierdził. – To właśnie chciałem wiedzieć.

– To jeszcze nie wszystko – dodała, starając się ukryć podniecenie.

Falcone się roześmiał. Zaniepokoiło ją, że szef widzi coś zabawnego w tej sytuacji.

– Niech pani tylko nie mówi, że rozwiązała sprawę, określiła motyw, czas i sprawcę.

– Tego ostatniego nawet ja nie potrafię stwierdzić. A co do reszty... niech pan będzie cierpliwy.

Inspektor uśmiechnął się w rozbawieniu i dał znać dłonią, by

mówiła dalej.

Na biurku leżała książka. Teresa uniosła ją, by wszyscy mogli przeczytać tytuł: *Dionizos i Willa Misteriów*. Na okładce widniało zdjęcie starożytnego malowidła przedstawiającego kobietę w rozwichrzonej sukni z ręką wzniesioną nad głową i wyrazem przerażenia na twarzy na widok istot nocy, skrytych w cieniu, umieszczonych przy krawędziach malunku, wpatrujących się w nią demonicznym spojrzeniem. Postacie częściowo zatarł czas. Stworzeń prawie nie dało się rozpoznać, lecz zasadnicza treść była czytelna. Chodziło o jakiegoś rodzaju obrzęd, w którym kobieta cierpiała, a może składano ją w ofierze.

– Tę książkę napisał profesor z naszego uniwersytetu – powiedziała Teresa Lupo. – Dostała się w moje ręce dzięki jednemu naukowcowi z Yale, który badał ciało znalezione w bagnie w Niemczech, w pobliżu pewnej rzymskiej osady.

– Czy to dla nas istotne? – spytał Falcone.

– Tak mi się wydaje. Większość tych śmierci nie była przypadkowa. Chodziło o jakiś rytuał. Facet, który to napisał, starał się odpowiedzieć na pytanie, na czym on polegał.

– To miało związek z Dionizosem? – spytał Costa. – Nie rozumiem. Przecież ta willa jest w Pompejach. Kiedyś byłem tam na wycieczce szkolnej.

– Ja tak samo! – dodał Peroni. – Wtedy pierwszy raz w życiu się schlałem.

– Chryste – jęknęła Teresa. – Rozkoszna z was parka. Tak, Nico. Willa Misteriów jest w Pompejach. Zdaniem tego profesora, który wedle moich informacji jest największym światowym specjalistą od misteriów dionizyjskich, faktycznie tam się znajdowała. Ale nie była jedyna. Pompeje były prowincją, czymś w rodzaju przedmieść cywilizacji. Tamte misteria to drobnostka w porównaniu z tymi, które organizowano gdzie indziej, a szczególnie w Rzymie. Sam sobie odpowiedz: kto ma większe kościoły? My czy oni?

Falcone westchnął.

– To ma sens. A co dokładnie mówi ta książka?

Znowu pokazała im okładkę. Costa spojrzął na przedstawioną na

niej przerażoną kobietę. Obraz wyglądał bardzo współcześnie.

– Kult Dionizosa przybył tu z Grecji. Pewnie lepiej go znacie jako Bachusa.

– Ten od winka? – zainteresował się Peroni. – Słowem, to wszystko jest skutkiem pijackich orgii?

Skrzywiła się.

– Oglądasz za dużo kiepskich filmów. W tym kulcie chodziło o coś więcej niż picie. Jego wyznawcy działali potajemnie i z powodu natury rytuałów, które odprawiali, uznawano ich za pogan jeszcze przed nadejściem chrześcijaństwa. Trudno było zdusić kult. Jeszcze kilka wieków temu w Grecji i na Sycylii odprawiano obrzędy dionizyjskie. Może ciągle są praktykowane, tylko my nic o nich nie wiemy.

Falcone w znaczący sposób spojrzał na zegarek.

– Moja jurysdykcja nie sięga poza Rzym.

– Dobra, dobra – powiedziała. – Wróćmy do Rzymu. – Otworzyła książkę na stronie oznaczonej żółtą samoprzylepną karteczką. – Tu jest kilka zdjęć z pewnego miejsca w Ostii. Teraz to co prawda przedmieście, ale w czasach, gdy tę dziewczynę wrzucono do bagna, Ostia była głównym ośrodkiem portowym Rzymu, znacznie większym niż Pompeje. Mnóstwo bogaczy i piękne wille na skraju miasta, między innymi ta...

Wskazała punkt na mapce konturowej, po czym przewróciła stronę. Zobaczyli serię fotografii starodawnego, przypominającego kościół budynku, a obok kilka ujęć wnętrza i malunków na ścianach. Było wśród nich zdjęcie malowidła z okładki, a pozostałe przedstawiały ciąg roztańczonych postaci ludzkich i mitycznych stworów, wyobrażonych w scenach tańca i kopulacji.

– W Pompejach mają dużo więcej malowideł ściennych. Przedstawiają chyba, tak przynajmniej twierdzi autor książki, ceremonię inicjacji adeptów kultu. Współcześnie to wszystko jest mało zrozumiałe. Wiadomo, że obrzędy odprawiano wszędzie, zarówno w Ostii, jak i w Rzymie. Prawdopodobnie gdzieś opodal centrum był też największy, najświętszy, ukryty ośrodek.

– To, co ten człowiek nazywa Pałacem Misteriów? – spytał Costa.

– Otóż to – odparła Teresa, kiwając głową. – Zapewne właśnie tam

zmarła ta biedaczka. Zbadałam brud za jej paznokciami. Nie pochodzi z okolic rzeki, nie jest z Ostii. Raczej zginęła gdzieś w centrum Rzymu.

Peroni był zdezorientowany.

– Czyli to były takie jakby świątynie? I oni je ukrywali?

– Niezupełnie. Raczej domy rozrywki stojące w cieniu, które można było otworzyć we właściwym czasie.

Peroni przesunął palcem po zdjęciach na stronie książki.

– Żeby zabijać ludzi?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Gdy czytam tę pracę, to czasem mam wrażenie, że facet wie, o czym pisze, a czasami wydaje mi się, że wszystko sam wymyślił. Twierdzi, że niekiedy inicjacja się nie udawała, a wówczas mogły nastąpić poważne konsekwencje. Odbywał się jakiś tajemniczy akt, prawdopodobnie seksualny, z udziałem kogoś, kto reprezentował bóstwo. Wszyscy byli na strasznym haju, więc zapewne dzieciaki nie stawiały specjalnego oporu i mogli z nimi robić, co im się podobało. Ale jeśli inicjowany się wycofał... – Nie musiała kończyć zdania.

– To dziewczica? – spytał Peroni.

– Jak mówiłam, odłożyłam pełną autopsję do czasu, aż będę miała pewność co do datowania. Teraz już wiemy, że można przekazać ciało archeologom z uniwersytetu. Może oni to zbadają. Ja nie mogłam tego określić, przykro mi. Naprawdę musisz wiedzieć?

– Racja, nie muszę – zgodził się. – Słuchajcie. Jak już mówiłem, nie jestem detektywem, ale jak dla mnie w tej sprawie jest za dużo luk. To może być zbieg okoliczności. W dodatku datujemy brud spod jej paznokci, a nie ją samą.

– Wiem, wiem – powiedziała stanowczo patolog. – Cierpliwości. Wszystko po kolei, dochodzę do sedna. Widzisz, co ona trzyma w ręku?

Był to rodzaj różdżki albo laski mniej więcej metrowej długości. Dziewczyna przyciskała ją do boku, a końcówka laski niknęła pod jej ramieniem. U drugiego końca widoczne było jakieś okrągłe, guzowate zgrubienie.

– Dokładnie coś takiego jest opisane w książce. Jestem pewna. Potwierdzają to źródła historyczne. Pobrałam próbki. Ten przedmiot jest zrobiony z kilku związanych z sobą łodyg kopru, a na szczycie ma

przymocowaną sosnową szyszkę. Nazywa się to tyrs. Używano go w obrzędach dionizyjskich. Spójrzcie...

Przewróciła kilka stron. Zobaczyli malowidło wyobrażające na wpół ubraną kobietą postać z bardzo podobną różdżką w ręku, którą trzyma przed twarzą satyra – pół człowieka, pół kozła – spoglądającego na nią pożądliwie.

– Używano jej do ochrony oraz oczyszczenia.

– Co wykazało datowanie? – spytał Falcone.

– Radiochronologia kosztuje – odparła. – Chcesz, żebym trwonila na to czas i pieniądze, czy lepiej, żebym zajęła się czymś świeżym z ulicy?

– Tylko pytałem. – Falcone wskazał głową książkę. – Zrobiłaś kawał dobrej roboty. Gratulacje.

Jednak wciąż nie wyglądało na to, że sprawa go interesuje.

– Jest coś jeszcze – powiedziała szybko, jakby obawiała się, że mężczyźni mogą w każdej chwili wyjść z pomieszczenia.

– To znaczy?

– Pamiętajcie, że Amerykanie znaleźli ciało, używając wykrywacza metalu. Ale jak? Na ciele dziewczyny nie ma nic metalowego: żadnych naszyjników, pierścionków czy naramienników.

Teresa Lupo oczekiwała, że sami wpadną na to, jak brzmi odpowiedź. Zawiodła się jednak. Podeszła więc znowu do biurka i wróciła ze zdjęciem rentgenowskim czaszki. Położyła je na brzuchu dziewczyny.

– Widzicie?

Mieli przed sobą prześwietlenie głowy wykonane *en face*. Na wysokości dolnej trójki widać było jasny mały obiekt.

– Moneta włożona pod język – powiedziała patolog. – Zapłata dla Charona, przewoźnika zabierającego zmarłych na drugi brzeg Styksu, do Hadesu. Inaczej nie można by się tam dostać. Nie potrzebowałam książek, żeby się o tym dowiedzieć. Jako dziecko uwielbiałam mity.

Ku zaskoczeniu Nica Costy, Falconego bardzo ożywiło to odkrycie.

– Masz tę monetę?

– Jeszcze nie – odparła. – Czekałam z tym na was.

– Proszę...

– Chwileczkę! Mam tu masę innej roboty.

Zdawali sobie z tego sprawę. Wiedzieli też jednak, że Teresa bardzo lubi mieć rację i publicznie to udowodniać.

Popatrzyła na twarz nieboszczki, jej półotwarte usta i doskonale równe, poplamione zęby. Następnie przyjrzała się ponownie zdjęciu, by ustalić, jak dostać się do monety. Wreszcie wzięła skalpel i wykonała nacięcie na lewym policzku dziewczyny, równo z linią dolnej wargi. Odłożyła skalpel i sięgnęła po lśniące stalowe szczypce.

– W tamtych czasach umieszczano datę na monetach. Jeśli okaże się, że mieści się ona w granicach, które wyznaczyłam, to mam u was kolację w wybranej przeze mnie restauracji. U każdego z osobna.

– Umowa stoi – natychmiast odrzekł Falcone.

– Ojej! – Teresa pisnęła z udawanym dziewczęcym rozbawieniem, wsuwając jednocześnie szczypce w rozcięcie. – Kolacja z gliniarzami! Ale ze mnie szczęściara! O czym będziemy rozmawiać? O piłce? Laskach? Filozofii eksperymentalnej?

Narzędzie tkwiło w otworze w policzku. Poruszała nim pewnie i zręcznie, badała, naciskała, aż szczypce zamknęły się na jakimś przedmiocie.

– Podaj mi jedną z tych niklowanych nerek – poleciła Coście. – To was będzie drogo kosztować, chłopaki.

Powoli wysunęła narzędzie z otworu w ciele i umieściła przedmiot w nerce. Następnie naląła do naczynia jakiegoś płynu i delikatnie oczyściła obiekt małym pędzelkiem.

Była to niewielka, błyszcząca moneta o srebrnym brzegu i brązowym środku. Z powodu torfowych zabrudzeń sprawiała wrażenie, jakby stopniowo zamieniała się w miedź. Wyglądała dość znajomo.

Teresa Lupo sięgnęła po duże szkło powiększające umocowane na wysięgniku. Wszyscy troje stłoczyli się wokół niej, by popatrzeć na przedmiot. Obróciła go dwa razy, żeby mieć pewność.

Peroni stał obok Teresy. Pokręcił głową.

– Mój syn zbierał monety, dopóki ktoś mu nie powiedział, że to obciachowe – stwierdził. – Pomagałem mu wybierać egzemplarze do kolekcji. Kupiłem mu taką samą, nówkę prosto z mennicy. W dodatku



z datą pierwszego wybicia, kiedy wchodziła na rynek. Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi. Pięćset lirów. Wiecie co? To była pierwsza na świecie moneta złożona z dwóch metali. Nikt wcześniej nie robił takich, srebrnych z zewnątrz, a brązowych w środku. I jeszcze jedno: jak spojrzycie na awers, nad wizerunkiem Kwirynału zobaczycie nominał napisany brajlem. To też było wyjątkowe. – Nikt nie słuchał. Peroni zjeżył się. – Hej, stary głupi gliniarz dzieli się informacjami! Ktoś robi notatki czy gadam sam do siebie?

– Cholera – szepnęła Teresa Lupo, wpatrując się w monetę. – Jasna cholera.

– Ciało leżało w torfie nie dłużej niż dwadzieścia parę lat – powiedział Costa.

– Nawet krócej – dodał Falcone.

Wszyscy zwrócili się ku niemu. Inspektor tymczasem wyjął z teczki folder. Otworzył go i wyciągnął fotografię, portret nastoletniej dziewczyny. Miała długie jasne włosy sięgające ramion. Uśmiechała się do obiektywu.

Położył zdjęcie na ciele nieboszczki, przykrywając nim kliszę rentgenowską czaszki. Rysy twarzy były identyczne.

– Wiedział pan? – Teresa nie mogła w to uwierzyć. Nie potrafiła ukryć zdumienia i gniewu. Peroni chichotał, jego ramiona unosiły się i opadały, jakby był podłączony do prądu.

Falcone, nachylony nad ciałem, przypatrywał się znamieniu, czy może tatuażowi na lewym ramieniu dziewczyny.

– Tylko się domyślałem. Pamiętaj, że dopiero wczoraj wróciłem z urlopu. Ledwie miałem czas, żeby to wykopać z archiwum. – Wskazał teczkę z aktami.

– Wiedział pan? – spytała znowu.

Costa też się schylił i zaczął przyglądać. Na skórze dziewczyny widniał okrągły tatuaż wielkości monety. Przedstawiał wrzeszczącą, szaloną twarz z wielkimi ustami i włosami splecionymi w długie dredy.

– To wygląda jak maska z rzymskiej komedii – powiedział Falcone. – Dionizos był także bogiem teatru. Maski również stosowano podczas obrzędów. Zasłużyła pani na ten obiad, Tereso. Wywiążę się z zakładu. Prawie wszystko pani odgadła, tylko umknęło pani parę

tysiącleci.

Teresa Lupo wyciągnęła w stronę piersi Falconego serdelkowaty palec.

– Wiedział pan? Sam pan sobie zeżryj swoją pieprzoną kolację.

– Niech i tak będzie – odpowiedział. Patrzyli na niego. Falcone nie mógł oderwać wzroku od tatuażu. Coś działo się w jego głowie i chyba nie chciał się tym dzielić.

– Trzeba odwołać konferencję prasową – powiedział.

– Wiadomo – mruknęła głucho. – Ale co ja im powiem?

– Proszę coś wymyślić. Niech pani powie, że boli panią głowa, wyjaśni, że brakuje nam ludzi przez tę grypę i takie tam. To zresztą przecież prawda. – Podniósł zdjęcie z ciała martwej dziewczyny i schował je z powrotem do koperty. Costa nie mógł nie zauważyć, że Falcone nie pozwolił im nawet poznać jej imienia.

– Inspektorze... – zaczął, zmieszany.

– Tak, panie Costa? – Lśniące oczy Falconego nie zdradzały żadnych tajemnic. – Bardzo mi miło, że znów jest pan z nami.

– Co mamy robić?

– Chyba moglibyście przyskrzynić kilku złodziei. Trzeba pomóc naszym ludziom na Campo. Dużo tam w tej chwili kradną.

– Miałem na myśli tę sprawę.

Falcone po raz ostatni spojrzął na ciało.

– W tej sprawie... nic nie róbcie. Biedaczka przeleżała w torfie szesnaście lat. Dzień czy dwa nie mają dla niej znaczenia. – Przesunął wzrokiem po całej trójce. – Chciałbym, żeby jedno było jasne. O tym, co tu mamy, nikt nie może się dowiedzieć. Ani w tym budynku, ani na zewnątrz. Dam znać, kiedy będę was potrzebował.

Patrzyli, jak energicznie wychodzi z pomieszczenia. Teresa Lupo wpatrywała się w zwłoki, a na jej szerokiej bladej twarzy malował się wyraz cierpienia i rozczarowania.

– Wszystko rozpracowałam – jęknęła. – Wiedziałam dokładnie, co się stało. Rozmawiałam z tymi naukowcami i w ogóle. Jezu...

– Słyszałaś, co powiedział – rzucił Costa. – Dobrze ci poszło. Mówił szczerze.

Teresa przesuwiała palcami po mahoniowej skórze nieboszczki.

Współczucie Costy nie było jej potrzebne. Już przeboleła swoją porażkę. Gorycz zastąpiło inne uczucie, bardziej ekscytujące.

Trup na jej stole nie był już obiektem archeologicznym. Zmienił się w ofiarę morderstwa. Teraz wymagał jej opieki.

Costa spojrział na srebrzysty skalpel w jej ręce, a potem zerknął na Peroniego.

– A więc witaj, Campo – oznajmił, a starszy mężczyzna potaknął zgodnie.

– Zdaje mi się, że faktycznie nie ma pośpiechu – powiedział Peroni w samochodzie. – Żałuję tylko, że Leo nie puścił więcej pary. Nie znoszę, jak się mnie zostawia we mgle.

Costa wzruszył ramionami. Znał Falconego na tyle, żeby się tą sprawą nie przejmować.

– Powie w swoim czasie. Zawsze tak jest.

– Wiem. W obyczajówce to byłoby fatalne podejście. Tam trzeba wejść w sprawę z ludźmi od samego początku.

Peroni zapewne obserwował drogę kariery Falconego. Ich relacja była trudna do określenia, oparta w połowie na przyjaźni, w połowie na podejrzliwości. Nie było w tym zresztą nic niezwykłego. Falcone był inteligentnym, trzeźwo myślącym gliniarzem, który umiał wykonać świetną pracę umysłową, gdy czuł, że rzecz jest tego warta. Był zawsze uczciwy, nieugięty. Ale miał gdzieś popularność. Czasem Coście wydawało się, że Falconemu odpowiada antypatia i niechęć granicząca z nienawiścią, jaką wzbudzał w innych. W ten sposób łatwiej mu było podejmować trudne decyzje.

Peroni zapalił papierosa i wydmuchnął dym przez okno.

– Umówiłeś się wreszcie z Barbarą Martelli?

Czemu tak go to interesuje, zastanowił się Costa.

– Nie było jeszcze dobrej okazji. – Peroni spojrział na niego z wyrazem twarzy, który mówił: „Jaja sobie robisz, człowieku?”. – Nie jestem jeszcze gotowy, jasne?

– To przynajmniej uczciwe postawienie sprawy. Ile minęło, odkąd ostatni raz miałeś do czynienia z kobietą? Wybacz pytanie, w obyczajówce ciągle się o tym gada.

– Pewnie związki liczycie na godziny – odparł bez namysłu Costa

i natychmiast tego pożałował. Peroni zasępił się. Wyglądało na to, że słowa Nica go dotknęły. – Przepraszam, Gianni. Nie o to mi chodziło. Po prostu wymknęło mi się.

– Mówimy sobie po imieniu, to chyba znaczy, że możemy powiedzieć, co nam się nie podoba.

– Ja tylko...

– Nie ma sprawy – przerwał Peroni. – Nie przepraszaj. Masz pełne prawo mi przygadać, kiedy zachowuję się jak palant.

Peroni miał bardziej złożoną osobowość, niż chciał pokazać, tyle przynajmniej Costa rozumiał. Jakaś część starego policjanta chciała jednak porozmawiać o tym, co mu się przytrafiło, nawet gdyby trzeba było pobawić się w owijanie tematu w bawełnę.

– Czemu to zrobiłeś, Gianni? Miałeś rodzinę, a poszedłeś na dziwki.

– Daj spokój, to się dzieje każdego dnia. Wydaje ci się, że tylko single mają na to ochotę od czasu do czasu?

– Nie, tylko że to do ciebie nie pasuje.

Peroni westchnął głęboko.

– Pamiętasz, co ci kiedyś mówiłem? Każdy ma w sobie mroczną skazę.

– Nie każdy ją ujawnia.

Wielka brzydka głowa zaprzeczyła wolnym ruchem.

– Każdy. W taki czy inny sposób. Czy tego człowiek chce, czy nie. Dlaczego to zrobiłem? Czy prosta odpowiedź nie wystarczy? Ta dziewczyna była prześliczna. Szczupła, młoda, jasnowłosa. I młoda, czy już o tym wspominałem? Może przy niej czułem, że znowu żyję. Po dwudziestu latach małżeństwa nie pamiętasz już, jak to jest. I zanim spytasz, powiem ci, że twoja żona też nie pamięta. Możesz mnie winić podwójnie.

Costa nic nie powiedział w obawie, że przeciągnie strunę i zniszczy delikatną więź, którą udało im się zbudować przez ostatnich kilka tygodni. Zmaltretowaną twarz Peroniego wykrzywił wyraz zdziwienia milczeniem Costy.

– Ach, rozumiem. Myślisz sobie: „Co mu się we łbie roi, temu pokancerowanemu bydlakowi? Że jest casanovą?”

– Przyznaj, że faktycznie nie wyglądasz jak Banderas. Bez urazy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Naprawdę. – Costa czuł, że to śliski temat. Zastanawiał się, czy będzie miał odwagę zapytać.

– Mówisz, że jestem brzydki? Niekiedy ludzie tak mówią, Nico, i muszę ci wyznać, że tego nie lubię.

– No, nie... – wyjąkał Costa. Ogarnął długim spojrzeniem poobijaną twarz partnera. – Zastanawiałem się tylko...

– Nad czym?

– Co ci się, do diabła, przytrafiło.

Gianni Peroni wybuchnął śmiechem.

– A to dobre! Naprawdę! Odkąd tu pracuję, jesteś pierwszą osobą, która spytała wprost. Uwierzyłbyś?

– Tak – powiedział Costa z wahaniem. – Wiesz, to w końcu sprawa osobista. Większość ludzi obawia się, że mógłbyś to źle odebrać.

Peroni machnął przyjacielskim gestem przed twarzą Costy.

– Sprawa osobista? Co ty gadasz? Cały komisariat musi oglądać tę straszną gębę każdego dnia. Ja muszę z tym żyć. To jest po prostu... – wskazał grubym palcem swoją twarz – ...zjawisko przyrodnicze.

Costa zrozumiał, że chyba udało mu się posunąć rozmowę naprzód.

– Więc...?

Peroni znowu zachichotał i pokręcił głową.

– Niewiarygodne. Niech to zostanie między nami, dobra? Nikomu nie powiesz? Ludzie nie mają pojęcia. Chłopaki myślą, że tak wyglądam, bo się tłukłem z jakimś zbirem czy coś w tym rodzaju. Niech tak zostanie, pasuje mi to.

Costa zgodził się skinieniem głowy.

– Pewien gliniarz mi to zrobił – powiedział Peroni. – Miałem dwanaście lat. To był wioskowy policjant, a ja byłem wioskowym bękartem. I to dosłownie. Moja mama pracowała w barze dla pewnego małżeństwa i pewnego razu po targu zaszła w ciążę. Zawsze była trochę naiwna. I tak spędziłem dwanaście lat jako wioskowy bękart. Traktowali mnie stosownie do pochodzenia. Pluli. Bili. Wyśmiewali w szkole. Wreszcie pewnego dnia jeden tępy bachor, który był moim największym prześladowcą, posunął się o krok za daleko. Wyraził się brzydko o mojej

mamie, więc załatwiłem go tak, że narobił w gacie. Pierwszy raz w życiu coś takiego zrobiłem. I powiem ci prawdę, to był też ostatni raz. Teraz już nie muszę. Patrzę na człowieka i robię: „Buuu!”.

– W to akurat nie wątpię. – Costa pokiwał głową.

– To dobrze. Głupio wyszło, bo zapomniałem, że ten kretyn, którego stłukłem, był synalkiem wioskowego gliny. Więc tatuś się pojawił, a że wychylił parę głębszych, zaczął mnie okładać pasem. Ale to mu nie wystarczyło. Więc założył kastety, które nosił, ma się rozumieć, tylko do obrony własnej. – Peroni popatrzył przez okno na przejeżdżające samochody. – Obudziłem się dwa dni później w szpitalu z głową jak dynia. Siedziała przy mnie mama. Nic nie widziałem. Pierwsze, co powiedziała: „Nic nikomu nie mów. On jest gliniarzem w tej wiosce”. A zaraz potem: „Nie patrz w lustro przez jakiś czas”.

– Mogłeś komuś powiedzieć – westchnął Costa.

Peroni spojrział na niego pobłażliwie.

– Wychowałeś się w mieście, prawda?

– No, tak.

– Widać. W każdym razie kilka tygodni później wyszedłem ze szpitala i zaraz zrozumiałem, że coś się zmieniło. Ludzie spoglądali na mnie i w następnej chwili podziwiali swoje buty. Raz jakaś para przeszła na drugą stronę ulicy, kiedy zobaczyła, że idę. A wiesz, co było najgorsze? W weekendy pomagałem wujkowi Fredowi sprzedawać świniaki. Wróciłem do tego. Co innego mogłem zrobić? Więc on do mnie przychodzi za jakiś czas ze łzami w oczach i mnie zwalnia. Nikt nie chce nic kupić od człowieka z taką gębą. To właśnie było wtedy najgorsze. Jak dorastałem, nie chciałem robić absolutnie nic innego, tylko hodować te świny, a potem je sprzedawać co weekend. Ci ludzie... wydawali się tacy szczęśliwi, że to robią. No, ale... – Skrzyżował ręce na piersi, odchylił się do tyłu w fotelu i popatrzył na Costę, żeby się upewnić, że opowieść do niego dotarła. – Widać nie było mi to pisane. Zamiast tego zostałem gliniarzem. Nic innego nie mogłem robić. Częściowo dlatego, żeby się odegrać na tym starym skurwielu, który tak mnie pobił. Ale głównie z tego powodu, żeby chociaż trochę poprawić świat. Nigdy nikogo w tej robocie nawet nie tknąłem i nie zamierzam, chyba że miałbym jakiś bardzo dobry powód. Ale przez dwadzieścia lat

pracy nigdy takiego nie znalazłem. To kwestia równowagi.

Costa nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Przykro mi, Gianni.

– Czemu? Pogodziłem się z tym całe lata temu. Natomiast ty ostatnie pół roku spędziłeś na dnie flaszki. To mnie jest przykro, chłopcze.

Sam sobie na to zasłużyłem, pomyślał Costa.

– Dobra. Więc teraz jesteśmy kwita.

Peroni wpatrywał się w niego swoim przenikliwym, wszytkowidzącym spojrzeniem.

– Powiem to tylko raz, Nico. Zaczynam cię lubić. Coś mi mówi, że będzie mi brakowało tego czasu, który razem spędzamy. Nie żebym chciał go dodatkowo wydłużać, sam rozumiesz. Przyjmij jednak ode mnie szczerą radę. Przestań się oszukiwać, że jesteś kimś szczególnym. Nie jesteś. Miliony ludzi usiłują dojść do ładu z popieprzonym życiem. My to tylko dwóch kolesi w tłumie – powiedział, prostując się na siedzeniu, podczas gdy Costa parkował wóz w wąskiej przestrzeni na poboczu w pobliżu dawnego getta. – A po tym małym wykładzie mam do ciebie prośbę. – Peroni spojrział koledze w twarz z nadzieją. – Kryj mnie. Muszę załatwić coś ważnego. Spotkamy się tu o drugiej.

Costa nie wiedział, co powiedzieć. Obrywanie paru godzin z dnia pracy nie było niczym nowym. Po prostu nie sądził, że Peroni jest gliniarzem, który robi takie rzeczy.

– Powinienem o czymś wiedzieć? – zapytał.

– Sprawa osobista. Jutro są urodziny mojej córki. Chciałbym jej coś wysłać, żeby pomyślała, że jej ojciec nie jest może do końca takim palantem, jak sądzi. Sam dasz sobie radę na Campo, tylko ogranicz się do mniejszych złodziei, dobra?

Leo Falcone czytał akta leżące na swoim biurku i starał się skupić. Nie chciał działać pochopnie. Zbyt wczesne publiczne nagłośnienie sprawy wzmogłoby czujność ludzi, których chciał przesłuchać, chociaż biorąc pod uwagę, ile informacji ostatnimi czasy wyciekało z Questury, pewnie i tak już wszystko wiedzieli. Spokojne tempo pozwoliłoby mu też przyzwyczaić się na powrót do pracy po dwóch tygodniach spędzonych samotnie na Sri Lance w luksusowym hotelu z widokiem na

morze. Nie poznał tam nikogo, kto mógłby go zainteresować, a zresztą nie szukał towarzystwa. Zmęczył się tylko, wynudził i wrócił w złym humorze, choć teoretycznie powinien próbować odetchnąć od gliniarskiej rutyny. Teraz cieszył się, że znowu jest za biurkiem i ma ciekawą sprawę do rozgryzienia.

Mimo to od czasu do czasu gdzieś z tyłu jego głowy odzywały się wątpliwości. Podczas tych przewlekłych, bezbarwnych wakacji Falcone odkrył ze zdziwieniem, że czuje się samotny. Mijało właśnie pięć lat, odkąd się rozwiódł. Oczywiście pojawiały się w tym czasie kobiety, atrakcyjne i inteligentne, ale żadna z nich nie zainteresowała go na tyle, by próbował dążyć do czegoś więcej poza kolacją, kinem i łóżkiem. Zeszłej nocy, gdy zupełnie wbrew swoim zwyczajom osuszył całą butelkę pysznego, drogiego brunello o głębokim smaku, zdał sobie sprawę, że w jego życiu były tylko dwie prawdziwe miłości: żona Mary, Angielka, która po rozwodzie przeprowadziła się z powrotem do Londynu i kontynuowała swoją karierę prawnika, oraz kobieta, przez którą Mary odeszła: Rachele D'Amato.

Teraz, w świetle dnia, którego intensywność trochę mu dokuczała z powodu niewielkiego kaca, zauważył ciekawy zbieg okoliczności. Na Sri Lance po raz pierwszy od kilku lat rozmyślał o tych dwóch kobietach. Po powrocie do Włoch nieoczekiwanie znowu pojawiły się w jego życiu. Otrzymał od Mary zaproszenie na ślub. Wychodziła za jakiegoś brytyjskiego adwokata. Imprezę zorganizowali w ich wiejskim domu w hrabstwie Kent. Wymyślił jakiś pretekst i odmówił, zresztą był pewny, że Mary się tego spodziewała. Zaprosiła go z czystej uprzejmości. Jego zdrada bardzo głęboko ją dotknęła. Z kolei Falconego mocno zraniło jej nagłe odejście. Nie dała mu najmniejszych szans na wyjaśnienie. Ból czuł też z powodu zachowania Rachele, która w chwili, gdy tylko stracił żonę, opuściła go równie nagle jak Mary i jeszcze mniej subtelnie.

Nigdy sobie nie wybaczył, że do tego dopuścił. Im także nie wybaczył. A teraz Mary wychodziła za męża, a Rachele, dobra prawniczka, która przekwalifikowała się na detektywa, stopniowo wspinała się coraz wyżej w hierarchii DIA. Falcone wiedział, że będzie musiał z nią współpracować w związku ze sprawą, której akta przyniosła



mu Teresa Lupo.

Historia jego relacji z DIA sięgała daleko wstecz, znacznie dalej niż ostatnia operacja, która zrujnowała karierę Peroniego, a była raczej demonstracją siły niż autentycznym triumfem nad zorganizowaną przestępczością. Falcone znał DIA od lat. W Questurze nie było chyba gliniarza, u którego te trzy litery nie wywoływałyby gęszej skórki. W chwili, gdy stało się jasne, kim jest zabita dziewczyna, Falcone zdał sobie sprawę, że nie ma sposobu, by uniknąć współpracy. Prawdę mówiąc, powinien był zacząć działać od razu, już w momencie, gdy zorientował się, jakiego rodzaju ludzi będzie musiał przesłuchiwać.

Wpatrywał się w kolejne strony raportów i starał się sobie przypomnieć, jak ta sprawa wyglądała, gdy ją otwierano. Szesnaście lat temu był zwykłym detektywem. Questurą dowodził wtedy inspektor Filippo Mosca, rzymski glina starej daty o tak zwanym elastycznym kręgosłupie, który, jak wielu z jego pokolenia, nawet niespecjalnie ukrywał przyjaźnie, jakich nie powinno się zawierać.

Zgłoszenie zaginięcia Eleanor Jamieson przyszło do nich dziewiętnastego marca, całe dwa dni po tym, jak jej ojczym, Amerykanin, ostatni raz ją widział. Trochę wcześniej dziewczyna obchodziła szesnaste urodziny. Odkąd przyjechała z Nowego Jorku na Boże Narodzenie, mieszkała w willi wynajmowanej przez Vergila Wallisa na Awentynie. Była Angielką. Jej matka opuściła Wallisa rok wcześniej, po sześciu miesiącach małżeństwa. Falcone nigdy nie dowiedział się dlaczego i już nigdy nie miał się dowiedzieć: popełniła samobójstwo w Nowym Jorku dziesięć dni po zniknięciu córki.

Leo pamiętał tę sprawę. Ludzie dostawali przez nią szalu. Wallis był nietypowym człowiekiem: mimo że pochodził z murzyńskiego getta, był tak dobrze wykształcony, że można by go nazwać erudytą. Miał wtedy czterdzieści parę lat. O swoich interesach i sprawach rodzinnych mówił mało, był opornym świadkiem. Niechętnie opowiadał o tym, dokąd dziewczyna chodziła, z kim się przyjaźniła i jakie mogłaby mieć powody, żeby uciec z domu. Nie potrafił przekonująco wyjaśnić, dlaczego zgłosił zaginięcie dopiero po dwóch dniach. Twierdził, że musiał wyjechać z Rzymu w interesach. Stawiał opór nawet wtedy, gdy poproszono go o kilka fotografii pasierbicy, dziewczyny młodej i bardzo

ładnej, o trochę naiwnym spojrzeniu, blond włosach do ramion i szczerym uśmiechem. Na zdjęciu zrobionym dzień przed zaginięciem wyraźnie było też widać na jej ramieniu nietypowy tatuaż, którego pochodzenia Wallis nie potrafił wyjaśnić. Wzór zafascynował Falconego od chwili, gdy go zobaczył. W tamtym czasie była moda na tatuaże, robili je sobie wszyscy gwiazdorzycy rocka i filmu, ale takiego nie miał nikt. Starożytny obrazek nie pasował do nastolatki, wyglądał bardziej jak piętno właściciela niż ostatni krzyk mody.

W dodatku, o ile wiedzieli, raczej nie pasował do charakteru dziewczyny. Według Wallisa Eleanor spędziła dwa tygodnie na podróżach po kraju, a potem zapisała się na intensywny kurs włoskiego w szkole językowej niedaleko Campo. Była inteligentna i dobrze się uczyła. Wallis planował, żeby posłać ją do college'u artystycznego we Florencji w drugiej połowie roku. W szkole nie miała wielu przyjaciółek ani, jeśli wierzyć Amerykaninowi, żadnego chłopaka, ani aktualnego, ani eks. Żadne fakty, do których udało im się dotrzeć, nie tłumaczyły jej nagłego zniknięcia. Po prostu, według ojczyma, wyjechała na skuterze do szkoły siedemnastego marca około dziewiątej rano i nigdy nie wróciła.

Ekipę Moski już po kilku dniach ogarnęła otępiająca bezsilność, która często pojawia się w sprawach uprowadzeń. Nikt nie widział Eleanor w drodze do miasta. Po nakręceniu rekonstrukcji wydarzeń i pokazaniu jej w programie telewizyjnym nie zgłosił się ani jeden wiarygodny świadek. Było tak, jakby w jednej chwili istniała, a w następnej zniknęła z powierzchni ziemi.

Przez cały czas trwania dochodzenia Falcone miał ochotę protestować. Sprawa śmierdziała aż pod niebo i już wkrótce jego podejrzenia zaczęły nabierać kształtu. Trzeciego dnia rano Mosca zabrał go na bok i w zaufaniu ujawnił, czego dowiedział się poprzedniego wieczoru od przyjaciela z ministerstwa spraw zagranicznych. Vergil Wallis nie był, jak twierdził, zwyczajnym biznesmenem z Los Angeles zakochanym w Rzymie do tego stopnia, że rozważał zakupienie tu drugiego domu. Był wysoko postawionym członkiem mafii z Zachodniego Wybrzeża, mającym wszędzie układy i wtyki, tak ważnym, że mógł pozwolić sobie na to, by spędzać we Włoszech połowę

roku i zajmować się swoimi ciemnymi sprawkami. Interpol od lat siedział mu na ogonie i wielokrotnie usiłował bez powodzenia postawić go przed wymiarem sprawiedliwości za naruszenie różnych paragrafów, od wymuszenia okupu po morderstwa. Karabinierom usiłującym rozpracować Wallisa też nie wiodło się lepiej.

Działo się to na krótko przed stworzeniem DIA. Wtedy, podobnie jak obecnie, cywilna policja konkurowała zaciekle z karabinierami podlegającymi władzy wojskowej. Kompetencje obu służb zachodziły na siebie, a w niektórych sferach były celowo rozmyte. Falcone uważał, podobnie jak coraz większa liczba ludzi krytykujących obecną sytuację, że należy powołać jedną państwową policję. To było rozwiązanie logiczne i nieuniknione, ale dla wierchuszki obu organizacji takie twierdzenia stanowiły herezję, za którą można było wylecieć z pracy. Inspektor starał się więc nie ujawniać swoich poglądów. Zresztą niebawem powstała DIA i w biznesie ścigania rosnącej w siłę armii kryminalistów pojawił się kolejny poziom komplikacji.

A Vergil Wallis wciąż był na wolności. To tyle, jeśli chodzi o postęp.

Mosca po cichu zamknął sprawę Eleanor Jamieson, tłumacząc, że nie ma sensu prowadzić dalszego dochodzenia, dopóki nie pojawią się nowe dowody. Układy Wallisa z włoską mafią nie były łatwe. Według informacji, które zdobyto dużym nakładem kosztów, ryzykując życie wielu policjantów, był on czymś w rodzaju dyplomaty świata przestępczego, negocjatora dbającego o interesy swoich ludzi podczas rozmów z Sycylijczykami. Według Falconego miało to sens. Mafia z Zachodniego Wybrzeża nie była silnie związana z włoskimi organizacjami w Stanach. Istniało duże ryzyko nieporozumień. Szefowie mafii już dawno temu pojęli, że współpraca i układy, nawet z tymi, których się nienawidzi, zapewniają znacznie większy stan konta niż bezlitosne wojny gangów. W dzisiejszych czasach liczyły się pieniądze. Nikt już nie szedł na barykady za honor. Nastąpiła epoka pragmatyków, w której królowała gotówka.

Falcone był obecny przy trzech różnych przesłuchaniach Wallisa i wciąż nie mógł wyrobić sobie opinii o tym człowieku. Amerykanin był rozważny i elokwentny, zupełnie inny niż wszyscy przestępcy, których

do tej pory poznał. Oczytany, wiedział o historii starożytnego Rzymu więcej niż niejeden Włoch. Wieść niosła, że latami przygotowywano go do roli dyplomaty i przepchnięto przez studia prawnicze po tym, jak wspinał się na szczyt gangsterskiej hierarchii w czarnej dzielnicy Watts w Los Angeles. Łatwo było go sobie wyobrazić w działaniu, jak godzi strony w czasie jakichś trudnych negocjacji, balansując na krawędzi katastrofy.

Był jednak jeden zasadniczy problem. Jeśli uliczne pogłoski zawierały prawdę, jego podstawowym kontaktem był Emilio Neri, bezwzględny bandyta, który drogę z socjalnego blokowiska w dzielnicy Testaccio na wyżyny rzymskiej mafii przebył, w brutalny sposób usuwając każdego, kto wszedł mu w paradę. Teraz był bywalcem włoskich i amerykańskich oper. Mieszkał w eleganckim domu przy Via Giulia otoczony armią służących i ochroniarzy. Falcone miał okazję dobrze poznać to miejsce w czasie wielu bezowocnych wizyt. Stary oprych bardzo starannie kultywował swój zwodniczy, tworzony na użytek publiki *image* człowieka wytwornego. W ten sposób mógł nabrać chyba tylko tych, którzy byli zbyt tępi albo zbyt zastraszeni, by dostrzec prawdę. Falcone śledził jego karierę prawie od pierwszego dnia swojej służby. Miał po temu dobre powody. Neri masowo opłacał wszystkich gliniarzy, którzy zgodzili się brać od niego pieniądze. Robił to po prostu dlatego, żeby mieć ich po swojej stronie. Sam Falcone odrzucił zawołaną propozycję łapówki, którą złożył mu jeden z ludzi gangstera w samym środku dochodzenia związanego z wymuszaniem haraczy na sklepikach przy Corso. Filippo Mosca zamknął tę sprawę właśnie w chwili, gdy zaczęli odnosić sukcesy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat trafiło za kratki trzech gliniarzy opłacanych przez Neriego. Żaden z nich zapytany o źródło nadwyżki na koncie bankowym nie wymienił jego nazwiska. Woleli pójść do więzienia, niż narazić się na gniew mafiosa.

Neriego od innych donów odróżniał system obsesyjnej kontroli, który roztoczył nad rodziną. Większość ludzi o jego randze już dawno przestała brudzić sobie ręce codzienną prozą życia organizacji przestępczej, ale on nie zamierzał schodzić z pierwszej linii. Miał to we krwi. Była to pozostałość po dawnym życiu w Testaccio. Za bardzo lubił

akcję, żeby sobie odpuścić. Wieść niosła, że nieraz osobiście siłą wymuszał to, czego chciał, jak w czasach, kiedy był jeszcze młodym byczkiem na usługach mafii. Tyle że teraz jeden z jego siepaczy przytrzymał mu ofiarę, gdy brał się do dzieła. Falcone tyle razy patrzył w martwe, szare oczy starego łajdaka, że traktował te pogłoski serio.

Odłożył ostatnią stronę raportu. Znał humory i zmienność gangstera, potrafił więc czytać między wierszami. Z tekstu wynikało, że początkowo Wallis i Neri sprawiali wrażenie najlepszych przyjaciół. Ich rodziny jadały razem obiady. Sześć tygodni przed śmiercią Eleanor Jamieson Wallis i jego pasierbica byli na krótkich wakacjach z Nerimi w ich wielkiej posiadłości na Sycylii. Ubili ze sobą kilka nieokreślonych interesów. Amerykanie byli w siódmym niebie, podobnie jak Włosi.

Potem, mniej więcej w czasie, gdy dziewczyna zaginęła, w ich relacje wkraść się chłód. Gdy Neri był na Sycylii, Wallis ponad jego głowę rozmawiał bezpośrednio z ważniejszymi szefami, co wkrótce wyszło na jaw. Pojawiła się plotka, że coś poszło źle podczas jednej z transakcji narkotykowych. Ponoć Amerykanie, oskubani do czysta, mocno się zdenerwowali. Neri, gdy nadarzyła się okazja, nigdy nie potrafił oprzeć się pokusie wyciśnięcia dodatkowego grosza, nawet jeśli odebrał już swoją działkę.

Między oboma gangsterami wybuchła potężna awantura. Jedna z wtyk twierdziła, że nawet doszło do rękoczynów. Potem obaj mieli problemy ze swoimi szefami. Neriemu powiedziano bez ogródek, że traci stanowisko pośrednika w kontaktach z Amerykanami. Wallisowi góra także zmyła głowę, chociaż wciąż pozostawał w Rzymie przez połowę roku, ale w nic się nie angażował, tylko odbudowywał swoją reputację. Nastął chwiejny rozejm. Dwa miesiące później jednego z ludzi Wallisa znaleziono w samochodzie stojącym pod burdelem w Testaccio z gardłem poderżniętym od ucha do ucha, a nieco później opłacany przez Neriego gliniarz zginął śmiercią, która miała sprawiać wrażenie samobójczej. Falcone zaczął się zastanawiać, czy można powiązać te fakty. Czy na wpół zmumifikowane zwłoki szesnastolatki mogą wywołać tamte stare duchy? A jeśli tak, jak będzie wyglądała sytuacja teraz, kiedy na każdym kroku DIA patrzy mu na ręce?

Falcone spojrział na zegarek. Minęła dwunasta. Przebiegł w myśli różne ostrożnie sformułowane wytyczne, jak postępować w sprawach związanych ze znanymi mafiosami, po czym wyjął notes i wykonał telefon.

– Tak?

W odległym, chłodnym głosie Rachele D'Amato brzmiała nuta, która wciąż mogła go poruszyć. Falcone sam nie wiedział, czy dzwoni do niej w sprawach zawodowych, czy prywatnych. W końcu doszedł do wniosku, że w jednych i drugich. Nie zamierzał zresztą się z tym kryć.

– Zastanawiałem się, czy jesteś na nogach. Wszyscy, do których dzwonię, leżą w łózkach. Grypa szaleje.

Przez chwilę milczała.

– Nie spędzam już tyle czasu w łóżku, co dawniej, Leo, chora czy zdrowa.

W jej stanowczym, sączącym się powoli głosie brzmiała pewność siebie. Falcone odgadł, co miała na myśli, a przynajmniej tak mu się zdawało. Po tym, jak się rozstali, w jej życiu nie było nikogo.

– Ciekaw jestem, czy nie zrobiłabyś sobie przerwy na obiad – powiedział. – Tyle czasu minęło.

– Obiad? – Ucieszyła się. – Co za niespodzianka. Kiedy?

– Może dzisiaj? W tej winiarni, do której chodziliśmy. Zaszedłem tam pewnego wieczoru i odkryłem, że mają nowe wino z Toskanii. Musisz go spróbować.

– Nie pijam wina w przerwie. To policyjny zwyczaj. Poza tym mam zaraz spotkanie, będę musiała lecieć. U nas też wszyscy są chorzy.

– Więc wieczorem, po pracy?

– Od kiedy to dla ciebie praca kończy się wieczorem? – Westchnęła. – O co chodzi, Leo?

– O nic – odparł. – Ja tak tylko...

Stracił wątek. Poczul wstyd. Rachele twierdziła, że powodem ich rozstania po tym, jak odeszła od niego Mary, była praca. Ale tak naprawdę wina leżała po jego stronie. Był zaborczy. Miał na jej punkcie obsesję i to jej przeszkadzało.

– Nie przepraszaaj – rzuciła kwaśno. – Ja też nie kończę pracy o piątej. Już nie.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie – powiedziała. Chwilę potem w jej głosie zabrzmiała poważna, zawodowa nuta: – Macie ciało. To córka Wallisa?

– Tak – westchnął. Natychmiast spiął się wewnątrz i zaczął zastanawiać, kto puścił parę z gęby.

– Nie denerwuj się, Leo. Na tym polega moja praca.

Zwłoki leżały w kostnicy od dwóch tygodni. Każdy mógł zauważyć tatuaż i dodać dwa do dwóch. Wiedział, że odnalezienie tego, kto się wygadał, jest niemożliwe.

– Jasne. Ostatnimi czasy świetnie ci idzie, Rachele.

– Dziękuję.

Zastanawiał się, jakim to zrzędzeniem losu zakochał się w dwóch prawniczkach. Czemu nie w kobietach trochę mniej dociekliwych? A do tego łagodniejszych...

– Więc się spotkamy – oznajmiła. – Zadzwoń później. Muszę już iść.

Nawet nie spytała, czy jemu to odpowiada. Rachele nigdy się nie zmieni.

– Jeszcze jedno, Leo.

Wiedział już, co usłyszy.

– Tak?

– To będzie spotkanie w sprawach zawodowych i nic więcej. Czy to jasne?

Było jasne, chociaż nie przestawał mieć nadziei.

Costa przeciął ruchliwą ulicę i skierował się ku Campo dei Fiori. Kiedyś mieszkał w tej okolicy. Miał stąd wspomnienia, przeżył tu ważne chwile, w kamieniach placu wycisnął część siebie. Czasami brakowało mu Campo. W tamtych czasach był niewinnym, młodym chłopakiem, któremu świat jeszcze nie dokopał. Zdarzały mu się przelotne związki, krótkie mgnienia, których Gianni Peroni pewnie w ogóle nie nazwałby romansami. To było szczególne miejsce. Brukowana *piazza* nawet w swoich najlepszych czasach była, delikatnie mówiąc, zaniedbana, targ przyciągał masy turystów, a ceny zawyżano. Jednak ten plac był tym, co w Rzymie autentyczne. Skupiał wokół siebie społeczność ludzi mieszkających tam od zawsze. Nica ogarnęło przyjemne uczucie, jak

zwykle, gdy szedł Via dei Giubbonari prowadzącą na plac. Handlarze robili niezły biznes: na straganach leżała wiosenna zielenina, cykoria, brokuły, cavolo nero i lśniące żywym kolorem pomarańcze z Sycylii, po zimie dobre już tylko na sok. Na stoisku sprzedawcy grzybów piętrzyły się wysoko świeże opieńki i suszone borowiki. Garstka handlarzy ryb zajmujących cały jeden róg placu wyłożyła przegrzebki, langustynki, turboty i worki pełne świeżych małży. Nico, przecisnąwszy się przez tłum, kupił pęczek rukoli i trochę szczypiorku na później, po czym podszedł do dostawczej furgonetki i poprosił o kawałek parmezanu.

– Mam tu piękną wędzoną szyneczkę, panie władzo – powiedziała sprzedawczyni. Najwyraźniej go poznała. – Pan sam zobaczy...

Podniosła różowy płat mięsa i pomachała nim przed twarzą Nica, który uznał, że gdyby jadł mięso, nie umiałby znaleźć w Rzymie lepszego.

– Innym razem.

– Wegetarianizm to dziwactwo – oznajmiła przekupka. – Pan przyjdzie tu kiedyś, jak pan znajdzie chwilę, to sobie pogadamy. Bardzo się o pana niepokoję.

– Droga pani – odparł Costa – już się o mnie martwi zbyt wiele osób.

– Znaczy, że coś jest nie w porządku.

Kupił szynkę tak czy inaczej. Gdy straganiarka zniknęła mu z oczu, oddał ją umorusanemu dziecku, synkowi Kosowianina, który regularnie wystawał na placu i katował starodawne skrzypce. Mężczyźnie podał parę monet. Ten rytuał, odprawiany dwukrotnie każdego dnia jak mycie zębów, również zaginął gdzieś po drodze. Powrót na Campo uświadomił Nicowi, do czego takie drobne gesty są człowiekowi potrzebne. Za dużo czasu spędził w samotności, zamknięty w wiejskim domu na przedmieściach, pogrążony w rozmyślaniach. Czasem trzeba wyjść i dać się ponieść życiu.

Przepchnął się właśnie przez tłum na Il Forno z kawałkiem słonej, wyjętej prosto z pieca pizzy w rękę, gdy zobaczył, że coś się dzieje. Leo Falcone miał rację. Campo przyciągało turystów, a za nimi szły problemy. Kieszonkowcy, naciągacze, czasem poważniejsi bandyci. Policja zawsze miała tu ludzi na służbie, umundurowanych i po



cywilnemu. Karabinierzy też lubili pokazywać się na placu. Parkowali swoje lśniące alfy romeo w bezsensownych miejscach i wsparci o maskę spoglądali na tłum zza markowych okularów przeciwsłonecznych. Na pewno uważali, że w swoich czarnych odprasowanych mundurach wyglądają bardzo bajerancko.

Costa unikał karabinierów, jak tylko się dało. W samej Questurze dość było rywalizacji, nie potrzebował konkurować jeszcze z tymi żołdakami przebranymi za gliniarzy. Kompetencje policjantów i karabinierów podległych dowództwu wojskowemu częściowo na siebie zachodziły. Mieli prawo aresztować tych samych ludzi w tych samych miejscach. Przeważnie obowiązywała zasada kto pierwszy ten lepszy. Krążył stary dowcip: przystojniacy szli do karabinierów dla munduru i kobiet, a brzydki i bystrzy wstępowali do policji, bo tylko to im zostało. Było w tym dużo prawdy.

Karabinierzy byli na Campo i dzisiaj. Stali sztywno wyprostowani obok samochodu, podczas gdy szczupła blondynka, kalecząc włoski, perorowała o czymś zawzięcie i wymachiwała dużą portretową fotografią.

– Tylko się nie mieszać... – mruknął Costa sam do siebie, ale i tak podszedł ku nim, na wszelki wypadek. Kobieta trzęsa się z nerwów. Słysząc było, że nauczyła się kilku włoskich przekleństw. Costa odgryzł kęs pizzy, przystanął i nadstawił ucha.

Spojrzał na zdjęcie, które kobieta trzymała w dłoni, i poczuł, jak coś chłodnego przesuwają się wzdłuż jego kręgosłupa. Zamarł. Pizza wypadła mu z rąk na chodnik.

Wiedział, że to wariactwo, ale na widok twarzy na fotografii stanęła mu przed oczami dziewczyna ze zdjęcia, które tego ranka Falcone rzucił na zmumifikowane zwłoki leżące na stole sekcyjnym Teresy Lupo. Przypomniała mu się blondynka na wyblakłej odbitce, którą wtedy zobaczył. Dziewczyna, którą ujrzał przed chwilą, wyglądała dokładnie tak samo. Dziecko u progu dorosłości, przekonane, że przyszłość będzie się składać z romansów i zabaw.

Lecz zazwyczaj jest całkiem inaczej, odezwała się w tyle jego głowy dobrze znana nuta.

Dwaj karabinierzy stali jak na wybiegu. Bardziej dbali o czystość

swoich ray-banów niż o to, co działo się właśnie tuż przed ich nosem. Coście zdawało się, że jednego z nich rozpoznał, ale nie był pewny. Wszyscy wyglądali identycznie, a ci dwaj mieli nawet jednakowo brzmiące, nosowe głosy chłopaczków z klasy średniej. Popatrywali na stojącą przed nimi kobietę i nawet nie próbowali ukrywać znużenia.

– Czy wy mnie słuchacie? – zawołała.

– A mamy wybór? – odparł jeden z nich, chyba starszy. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat.

– To moja córka – powiedziała, wskazując fotografię. – Właśnie ją porwano! A wy, idioci, przyglądaliście się temu i ziewaliście.

Młodszy chłopak w mundurze rzucił Coście ostrzegawcze spojrzenie pod tytułem: „Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby się wtrącać”. Nico nie ruszył się z miejsca.

Ten, który się wcześniej odzywał, oparł się o alfę, wsunął rękę w tylną kieszeń spodni munduru, wyjął paczkę gum do żucia i włożył listek między idealnie równe zęby.

Kobieta stała przed nimi z furią w oczach. Wsparła się rękami na biodrach. Costa spojrział na fotografię, którą trzymała w dłoni. Mogłaby być siostrą tej dziewczyny, starszą o dziesięć czy piętnaście lat. Była może trochę mocniej zbudowana i miała nieco inny kolor włosów: jasne, ale nie aż tak jak prawie sztuczny blond, który widział na zdjęciu jej córki.

Costa podszedł i gdy kobieta usiłowała odzyskać oddech, powiedział, przechodząc na angielski, którego nie miał okazji często ćwiczyć:

– Czy mogę w czymś pomóc?

– Nie – natychmiast odparł starszy mundurowy. – Może pan stąd iść i zająć się swoimi sprawami.

Kobieta spojrzała na Costę i z ulgą, że może mówić po angielsku, powiedziała:

– Pomóc? Niech mi pan tu przyprowadzi prawdziwego policjanta.

Wyjął odznakę.

– Ja jestem prawdziwym policjantem. Nico Costa.

– Niech to szlag – wymamrotał gadatliwy karabinier za jego plecami. Oderwał się od maski samochodu, wyprostował i stanął przed

Costą. Był znacznie wyższy.

– Jej nastoletnia córka uciekła stąd ze swoim chłopakiem na motorze. Ona twierdzi, że to porwanie. Naszym zdaniem mamy do czynienia z dzieciakiem, który chce się zabawić. – Ray-bany rzuciły kobiecie martwe, czarne spojrzenie. – Dla nas sprawa jest jasna. Jeśli wy, chłopcy, macie inne zdanie i chcecie zabłysnąć, śmiało. Tylko błagam, zabierzcie ją stąd.

Nicowi udało się chwycić kobietę delikatnie za ramię, które już zmierzało w stronę faceta. Inaczej głupek w czarnym mundurze miałby niespodziankę, pomyślał Costa.

– Widzieliście zajście? – spytał.

Młodszy odzyskał głos.

– Jasne, trudno byłoby nie zauważyć. Wyglądało to tak, jakby panienska chciała, żeby cały świat widział. Nie masz pojęcia, jakich rzeczy można się naoglądać, gdy się wystaje na Campo dzień i noc. Kilka dni temu przyłapaliśmy jedną parkę na ostrej akcji w biały dzień. A ona chce, żebyśmy zaraz wszczynali raban, bo jej córka wsiadła na motor z jakimś gościem.

Kobieta potrząsnęła głową, jakby zła na siebie, a następnie popatrzyła w kierunku Via del Corso, dokąd zapewne odjechał motocykl.

– To do niej niepodobne – powiedziała. – Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje. Czemu wy w ogóle nie chcecie mnie wysłuchać?

Przymknęła oczy. Costa zastanawiał się, czy kobieta się rozpłacze. Spojrzał na zegarek. Peroni wróci do samochodu dopiero za jakieś czterdzieści minut. Było trochę czasu.

– Postawię pani kawę, dobrze? – powiedział.

Zawahała się, po czym włożyła zdjęcie z powrotem do koperty, w której było też kilka innych fotografii. Znowu spytał w duchu sam siebie, czy to kwestia rozpalonej wyobraźni, czy faktycznie dziewczyna była prawie identyczna z tą na zdjęciu Falconego.

– Pan jest taki sam jak oni? – spytała.

– Nie – odparł tak, żeby karabinierzy usłyszeli. – Ja należę do służb cywilnych. To skomplikowana sprawa, czasem nawet dla nas samych.

Wrzuciła kopertę do torebki, którą zawiesiła na ramieniu.

– Więc dam się zaprosić na tę kawę.

– Dobra robota – powiedział Costa i poklepał starszego oficera w ramię okryte rękawem eleganckiego munduru z serży. – To wielka frajda przyglądać się, jak karabinierzy ćwiczą na ludziach swoją wersję *public relations*. Bardzo nam to ułatwia życie.

Następnie, nie zważając na potok przekleństw skierowany w jego plecy, ujął kobietę pod ramię i poprowadził przez plac.

Zostawiła karabinierów z widoczną ulgą. Teraz, gdy z jej twarzy znikło napięcie, zupełnie się zmieniła. Była ubrana swobodnie, miała na sobie dżinsy i starą wyblakłą kurtkę, lecz to do niej nie pasowało. Sprawiało wrażenie przebrania. Roztaczała wokół siebie jakąś uwodzicielską aurę, emanowała z niej elegancja. Costa nie potrafił sprecyzować tego odczucia.

Zaprowadził ją za róg do kafejki na tyłach placu. Na ladzie stały pucharki ze śmietanką, którą klienci łyżkami wlewali do filiżanek, żeby osłabić działanie kofeiny. Kobieta oparła się o kontuar. Wyglądała tak naturalnie, jakby przychodziła w to miejsce codziennie.

– Nazywam się Miranda Julius – powiedziała. – Wiem, że to wygląda na jakieś wariactwo. Może faktycznie zwariowałam. Pan jeszcze pożałuje, że mnie tu zaprosił.

Costa wsłuchiwał się w jej historię, którą opowiadała powoli i metodycznie, ze szczegółami i uwagą, którą chciałby częściej słyszeć w zeznaniach świadków.

– O co chodzi? – zapytała, gdy jej opowieść dobiegła końca.

– Nic takiego.

Spojrzała mu w twarz z zainteresowaniem.

– Chyba jednak coś jest nie w porządku.

Myślał o tym, co powiedziała. Być może córka faktycznie uciekła na motocyklu z chłopakiem, którego matka nie zdążyła poznać. Może rzeczywiście sprawa była tak trywialna, na jaką wyglądała. Podejrzenia Mirandy opierały się tylko na przeczuciach, a nie faktach. Po prostu odniosła wrażenie, że coś jest nie tak. W zasadzie potrafił zrozumieć, dlaczego dupki na placu chciały ją spławić.

– Wspomniała pani, że wczoraj córka przyszła do domu z tatuażem.

– Ale byłam durna. Zrobiłam z tego kolejny powód do awantury. Nie tak to miało wyglądać, nie po to przyjechałyśmy do Włoch. – Potrząsnęła głową, a Costę zirykowało to, że nie potrafi oderwać od niej wzroku. Teraz, gdy widział ją z bliska, zauważył, że jest trochę starsza, niż wydawało mu się na Campo. W kącikach niebieskich oczu miała zmarszczki powstałe wskutek stresu, ale to tylko dodawało charakteru jej twarzy, która musiała być aż zbyt doskonała, gdy Miranda była młoda. Wyglądała jak modelka, która postanowiła zająć się przez jakiś czas pracą fizyczną i robić coś, dzięki czemu życie nabiera rumieńców i można nabić sobie parę guzów.

– Jak wyglądał?

– Ten tatuaż? Kretańsko. Czego można się spodziewać po szesnastolatce. Zrobiła go sobie kilka dni wcześniej, a dopiero wczoraj zebrała się na odwagę, żeby mi go pokazać. Poznałam po tym, że opuchlizna zdążyła już zejść. Twierdziła, że to był jego pomysł, kimkolwiek jest ów on, ale że oczywiście jej się spodobał. Chciałbyś to zobaczyć?

– Słucham?

Sięgnęła do torebki i wyjęła teczkę pełną fotografii.

– Pstryknęłam go, tak po prostu, żeby mieć na zdjęciu. Rano odebrałam film z zakładu i dlatego mam tu z sobą te wszystkie odbitki. Zajmuję się fotografią. To taka moja obsesja.

Przejrzała plik zdjęć, po czym wyjęła jedno i położyła na stole. Przedstawiało dziewczęce ramię w dużym zbliżeniu. Widniał na nim zrobiony czarnym tuszem tatuaż przedstawiający krzyczącą twarz.

– Wie pani, co to jest? – spytał Nico.

– Powiedziała mi, że to jakaś maska teatralna. Gdyby wytatuowała sobie motyw z okładki płyty Grateful Dead, tobym zrozumiała. Nie spodobało jej się, jak powiedziałam, że chcę zrobić zdjęcie na pamiątkę.

– Popatrzyła w jego oczy z nagłą szczerością. – Nie zwracałam uwagi na jej protesty. Tatuaż... Chryste, gdybym ja zrobiła coś takiego w jej wieku... – Zawahała się. – Panie Costa...

– Mówmy sobie ty.

– Czy coś jest nie w porządku?

– Nie jestem pewny. Muszę podzwonić po ludziach. Daj mi

minutę.

Widać było, że Miranda zaczyna się niepokoić.

– To pewnie nic takiego – powiedział Nico i zdał sobie sprawę, jak nieprzekonująco brzmią jego słowa.

Miranda Julius wynajmowała mieszkanie na ostatnim piętrze przypominającego twierdzę, obszernego gmachu Teatro di Marcello, postawionego w cieniu Kapitolu. Powiedziała, że znalazła je przez internet, a właściciel dał dobrą zniżkę za zapłacenie kilku miesięcy czynszu z góry, poza tym było to miejsce z przeszłością. Mimo że przez wieki dużo się zmieniło, teatr trwał. Jego budowę rozpoczął Juliusz Cezar, a dokończył jego przybrany syn August. Używano go jako twierdzy i pałacu, aż ostatecznie został przekształcony w apartamentowiec. Mieszkanie miało okna wychodzące na rzekę i Wyspę Tyberyjską. Przez grube, podwójnie szklone okna dobiegał równomierny pomruk ruchu samochodowego. Nico tysiące razy mijał ten budynek, ale nigdy nie miał okazji zajrzeć do środka. Teraz, gdy zobaczył, jak tu jest, przestał zazdrościć ludziom mieszkającym pod tym prestiżowym adresem. Było głośno i daleko do miasta. Niby w Rzymie, ale jakby poza nim.

Martwił się, czy przypadkiem nie zareagował zbyt ostro. Zadzwoił od razu do Falconego, nie omówiwszy wcześniej sprawy z Peronim, i to chyba było błędem. Jego partner pojawił się dopiero w chwili, gdy ruszyły tryby maszyny. Costa zaryzykował też gniew Falconego, dzwoniąc z zaproszeniem do Teresy Lupo, ale uznał, że warto to zrobić. Teresa jako jedyna czytała tę książkę, której fragmenty cytowała im w kostnicy. Tylko ona miała bezpośredni dostęp do materiałów naukowych i wiedzę, której potrzebowali. Teraz we czworo siedzieli w mieszkaniu Mirandy Julius, słuchali jej zeznań i zastanawiali się, czy to wszystko może być jedynie zbiegiem okoliczności.

Miranda wraz z córką Suzi przyjechała do Rzymu z Londynu tydzień temu. Była fotografem prasowym. Zatrudniono ją w Anglii, ale pracowała wszędzie, gdzie tylko jej agencja miała fantazję ją posłać. Suzi na ogół mieszkała u babci, z którą spędziła większą część swojego życia. Studiowała historię sztuki w tamtejszym college'u. Matka zabrała ją do Rzymu na dwumiesięczne wakacje pod hasłem „musimy się lepiej

poznać”. Suzi zapisała się na kurs włoskiego do szkoły przy Piazza della Cancelleria – tej samej, w której uczyła się nieżyjąca Eleanor Jamieson. W wolnych chwilach razem z matką chodziła po rzymskich muzeach. Po kilku dniach zaprzyjaźniła się z jakimś chłopakiem. Nie poznała go w szkole, tylko gdzieś indziej. Mieszkał niedaleko. I nie chciał, dodała Miranda, poznać matki swojej przyjaciółki. Nie wiedziała z jakiego powodu.

– Ile ona ma lat? – spytał Falcone.

– W grudniu skończyła szesnaście.

– A pani? – dodał.

Teresa spojrzała na niego gniewnie. Falcone był zawsze bezpośredni w kontaktach z kobietami, bezpośredni do granic chamstwa.

– Ja mam trzydzieści trzy lata, inspektorze – odparła od razu. – Tak, dobrze pan liczy. Gdy zaszłam w ciążę, byłam jeszcze w szkole. Facet to zwykły palant. Zwiął, zanim się urodziła. – Miranda mówiła z akcentem z wyższych sfer, który nie pasował do jej białych jakich ubrań i swobodnego zachowania. Gdzieś tu kryły się duże pieniądze. Apartament musiał ją sporo kosztować. – Czy to ważne? – spytała. – Nie mam nic przeciwko temu, że pan o to pyta, ale chciałabym wiedzieć dlaczego.

– Gdy chodzi o zaginioną nastolatkę, każdy szczegół może okazać się istotny – powiedział Costa.

Odwróciła się od Falconego i zapatrzyła w wielkie okno, w punkt gdzieś poza ulicznym ruchem.

– O ile zaginęła. Może robię problem z niczego. Przecież ona może w każdej chwili wejść przez te drzwi. Jak ja się będę wtedy czuła? – Spojrzała na nich. Costa uznał, że ten pokaz pewności siebie jest udawany. Na twarzy Mirandy widać było lęk. Zastanawiał się, w jakim stopniu on sam ją nastraszył. – Możecie mi wyjaśnić, czemu nagle traktujecie tę sprawę tak poważnie?

Falcone przemilczał to pytanie.

– Proszę nam powiedzieć coś więcej o tym tatuażu.

Nie zrozumiała.

– A o czym tu opowiadać? Zauważyłam, że ciągle nosi bluzki z długimi rękawami. Wczoraj znenacka mi wyznała, o co chodzi. To on

jej kazał zrobić ten tatuaż. Powiedział nawet, jak ma wyglądać. Zabrał ją do jakiegoś zakładziku i sam zapłacił, dacie wiarę?

– Wiesz, jak ten chłopak się nazywa? – zapytał Costa. – Mówiła, gdzie mieszka?

Miranda pokręciła głową.

– Chyba jeszcze nie była gotowa, żeby mi go pokazać.

– Dlaczego? Mogła mieć jakiś powód?

– Ona ciągle jest dzieckiem, i to niedojrzałym, nawet jak na swój wiek. Wciąż jest na etapie, kiedy wstydzi się rodziców. Co ja mogłam zrobić? Nie chodziło tu o spanie ze sobą ani nic z tych rzeczy. I to jest naprawdę dziwne. Cóż, przyznam, że nigdy nie wygrałabym konkursu na matkę roku. Przez większość życia Suzi tkwiłam na jakimś zadupiu świata i fotografowałam trupy. Ale znam swoją córkę i umiem z nią rozmawiać. Ona nie spała z tym chłopakiem. Jeszcze nie. Wyglądało to tak, jakby na coś czekali. Zresztą ona... – zawahała się w obawie, by nie posunąć się za daleko – ...nigdy z nikim nie spała. Jest dziewicą. Tak postanowiła. Może patrząc na mnie, zobaczyła, dokąd to prowadzi.

– Na co czekali? – spytał Falcone.

– Gdybym wiedziała, powiedziałabym wam – ucięła Miranda. – Ale jednego jestem pewna. Znam datę. To się stanie dokładnie siedemnastego marca. Słyszałam, jak rozmawiała przez telefon. Umawiała się z nim. Była mocno podekscytowana. Oczywiście ze mną nie zamieniła na ten temat ani słowa.

Costa zastanowił się. Siedemnasty marca. Zbyt wiele zbiegów okoliczności.

– Czy możemy zerknąć na jej pokój?

– Proszę bardzo. To ten wysprzątnany na końcu korytarza.

Falcone skinął głową Coście. Teresa, nieproszona, wstała i ruszyła za Nikiem. Poszli oboje korytarzem, odprowadzani jednostajnym głosem Falconego. Inspektor wciąż wypytywał Mirandę Julius. Costa z ciekawości zerknął do pokoju, który chyba był jej sypialnią. To nie był ten wysprzątnany. Wszędzie wałały się ubrania, na łóżku leżały dwa profesjonalne aparaty fotograficzne i otwarty, gotowy do pracy laptop.

– Jezu – jęknęła Teresa, gdy wyszli z zasięgu słuchu. – Ten człowiek ma maniery nosorożca. Dałbyś wiarę, że miał żonę? Czego my



szukamy, Nico? Dlaczego ja tu przyjechałam, na litość boską? Przecież chodzi o zaginioną nastolatkę, prawda?

– Przepraszam. Pomyślałem sobie, że może będziesz chciała skorzystać z okazji, żeby pobawić się trochę w detektywa.

Stała i spojrzała na niego karcąco.

– Na stole w kostnicy mam na wpół rozgrzebane ciało. Wygląda, jakby miało dwa milenia, a leżało w ziemi tylko szesnaście lat. Spadły mi na głowę takie sprawy, że naukowcy piszą o nich książki, których tytułów nie umiałbyś nawet wymówić. A ty mi tu wciskasz kit o zabawie w detektywa?

Otworzył drzwi do pokoju Suzi.

– To chcesz spojrzeć czy nie?

– Suń się. – Wkroczyła do środka i rozejrzała się. Ostrożnie zamknęła drzwi, żeby nie słyszeć głosu Falconego i w spokoju zebrać myśli. – To pokój nastolatki? Rany, moje mieszkanie wygląda gorzej. A skoro już o tym mowa... – Teresa spekulowała na bieżąco. Costa zawsze lubił patrzeć, jak na jego oczach zachodzi proces myślowy – ..jak to możliwe, że ta kobieta tak wygląda? Mogłaby być jej siostrą. Jest ledwie rok młodsza ode mnie, u licha, a jakby się przeszła przez Questurę, każdy gliniarz trzymałby się za przyrodzenie i dyszał obleśnie, jak to faceci mają w zwyczaju.

– Gdybyś ty przeszła, byłoby tak samo, ale boją się, że dostaną w mordę.

Spojrzała na niego spode łba.

– Sam nie mogłeś od niej oderwać wzroku. Nie dało się nie zauważyć.

Zignorował tę uwagę i podszedł do stolika przy łóżku dziewczyny. Leżał tam plik czarno-białych wielkoformatowych fotografii. Przejrzał je. Były to obrazy wszystkich wojen, o których informowały nagłówki gazet w ciągu ostatnich dziesięciu lat: Afganistan, Palestyna, Rwanda, jakieś miejsca w Afryce, których nie potrafił nazwać. Teresa stanęła obok niego.

– To właśnie miała na myśli, kiedy mówiła, że jeździ po świecie i fotografuje trupy?

– Wygląda na to, że jest fotografem wojennym.

Wszędzie leżały ciała, potrzaskane, okrwawione. Wielkie jak spodki oczy osieroconych dzieci wpatrywały się w nich z odbitek.

– Przy czymś takim moja robota wygląda całkiem normalnie – powiedziała Teresa. – Co człowieka do tego ciągnie? Zwłaszcza gdy w domu czeka dzieciak?

– Nie wiem. – Czy zdjęcia znalazły się w pokoju Suzi, bo jej się podobały, czy dlatego, że sama zadawała sobie to samo pytanie?

Costa pomyślał, że całą tą sprawą rządzą jakieś bardzo skomplikowane relacje.

– Gdyby moja matka robiła takie zdjęcia, to faktycznie miałabym ochotę uciec z domu – powiedziała powoli Teresa. – Wiesz, co mam na myśli?

Wiele razy prowadził dochodzenia w sprawie zaginięcia dziecka. Wiedział, jak to wygląda. A tu wszystko było inaczej.

– Jasne. Dzieciaki na gigancie przeważnie nie idą ku czemuś, ale uciekają przed czymś. Myślisz, że tu było tak samo? One tu przyjechały na wakacje, Teresa. Prowadziłem więcej takich dochodzeń, niż mogę spamiętać, i nie było ani jednego przypadku, żeby uciekło dziecko zagranicznego turysty.

– Tu mnie masz – powiedziała cicho. – A jednak...

Na stoliku przy łóżku leżał też plik zdjęć z wakacji. Miranda Julius zrobiła ich mnóstwo. Większość przedstawiała cudowną, szczęśliwą dziewczynę. Kilka wykonał ktoś inny, może przechodzień albo kelner. Matka i córka, roześmiane, przed willą Borghese, na Schodach Hiszpańskich, w pizzerii. Nico Costa patrzył na nie z poczuciem winy. Jeśli miał rację, Suzi Julius była w poważnych tarapatach, które przyniosą jej matce ból i cierpienie niezależnie od tego, jak się skończy cała sprawa. Te zdjęcia opowiadały historię dwóch kobiet związanych ze sobą i kochających się.

Teresa także się w nie wpatrywała.

– Niezłe fotki – stwierdziła lekko. – Dobrze wiedzieć, że babka fotografuje nie tylko trupy.

Przez myśl Costy przemknęło pytanie: czy w głosie Teresy Lupo nie brzmi przypadkiem jakaś gorzka nuta, jakiś ukryty szept? Patrz i zazdrość, bo tobie nigdy nie będzie to dane, ty nigdy nie poczujesz

takiej radości ani takiego bólu...

– Wyobrażasz sobie tę odpowiedzialność? – odezwała się. – Jak to jest wiedzieć, że ktoś polega na tobie do tego stopnia?

Pomyślał o swoim ojcu. Wiedział, jak to jest, lecz tylko z perspektywy tego, który ufa.

– Ona ma to wypisane na twarzy – ciągnęła. – Niezależnie od tego, czy się pokłóciły, czy nie, siedzi tam teraz i w kółko zadaje sobie jedno pytanie: „Czy ja mogłam jakoś temu zapobiec?”

– Zawsze tak jest – wyjaśnił. – Ty tego nie widzisz, jesteś patologiem.

Bawiła się jednym ze zdjęć: matka z córką, roześmiane, w bladym zimowym słońcu na Ponte Sisto.

– To, że zawsze tak jest, wcale nie przynosi ulgi.

– To prawda. – Zastanawiał się, czy podobieństwo rzeczywiście istnieje, czy tylko wyobraźnia płata mu figle. Trudno było porównać żywe, oddychające dziecko z wytrawionym kwasami ciałem leżącym na stole sekcyjnym. – Ona faktycznie wygląda jak tamta martwa dziewczyna? Czy taka zbieżność nie mogła komuś czegoś przypomnieć? Może ten, kto jest odpowiedzialny za zbrodnię sprzed szesnastu lat, znowu poczuł chętkę na widok Suzi?

Teresa wzruszyła ramionami.

– Chyba trochę przesadzasz, nie sądzisz? To młoda ładna blondynka, jeśli dobrze rozumiem, do czego zmierzasz. Sądząc po zdjęciach, powiedziałabym, że dla większości Włochów byłaby deczko za chuda, to raczej matka jest w naszym wymiarze. Przynajmniej chciałabym tak myśleć... Nico, w Rzymie cały czas pojawiają się szczupłe jasnowłose panienki. Niby czemu ktoś miałby czekać szesnaście lat? Spójrz prawdzie w oczy: to pewnie po prostu kolejny dzieciak na gigancie.

Zastanowił się nad rozsypaną układanką faktów, którą mieli przed sobą.

– Nie wydaje mi się. Coś tu nie gra. Co to wszystko oznacza, do diabła? Co o tym piszą w tej twojej książce? Skąd oni biorą swoje ofiary i co się dokładnie dzieje?

– To nie są ofiary, Nico – zaprzeczyła. – Jeśli tak to widzisz,

znaczy, że nie zrozumiałeś. To, co je spotyka, jest przywilejem, nawet jeśli w danej chwili wygląda inaczej.

– Chyba że coś pójdzie źle.

– Tak, chyba że coś pójdzie źle. Ale to na pewno nie zdarzało się często. Te dziewczyny były podarunkami. Niektóre niewolnicami wręczanymi przez panów. Inne przyprowadzali ojcowie. Przechodziły przez obrzęd, który je odmieniał. Pamiętaj, że uważano je za akolitki boga. To musiało mieć jakieś znaczenie.

– Ale jakie? Ciągle mi się wydaje, że coś tu nie gra.

– Mnie nie pytaj. Ja jestem patologiem, nie archeologiem ani nawet gliniarzem. A tym bardziej jasnowidzem. Posłuchaj sam siebie: coś mi tu nie gra. Naprawdę zamierzasz wrócić do Falconego z takim tekstem?

A jednak był pewny, że Teresa też dostrzegła powiązanie między faktami. Widział to w jej twarzy: objawiało się jasną iskrą zrozumienia zmieszanego z niepokojem, co te nowe informacje mogą oznaczać.

– Jesteś jedyną osobą, która przebadala tę sprawę. Pomóż nam.

Usiadła z westchnieniem.

– Nico, proszę cię, nie traktuj każdego mojego słowa jak wyroczeni. Nie znoszę nieprecyzyjnie podawać faktów. Uczono mnie czegoś dokładnie odwrotnego.

– Wskaż mi tylko kierunek, a ja sam sprawdzę resztę, obiecuję. Powiedz mi coś więcej o tym obrzędzie.

– Wiem tylko tyle, ile przeczytałam. Chodziło w nim o to, by wprowadzić dziewczynę w dorosłość. Odbывał się jednego, konkretnego dnia: siedemnastego marca. Brzmi znajomo? Była wtedy duża impreza. Na pewno brali w niej udział mężczyźni, kapłani i pewnie różni przypadkowi goście, którzy liczyli, że może uda im się wkłęcić i trochę pohulać. Pili, tańczyli i ładowali w siebie wszystkie znane starożytnemu światu narkotyki, jakie mieli pod ręką. Potem robili sobie takie rzeczy, że na ich widok banda harleyowców wyszłaby z imprezy z poczuciem, że jest za ostro. Ceremonia skupiała się na dziewczynach. Chcieli dać im coś na przyszłość, coś, czego mogłyby użyć w dorosłości. Jakiś rodzaj wiedzy, a może członkostwo w klubie, które mogło się przydać pewnego dnia.

Costa wpatrywał się w nią. Oczekiwał czegoś więcej.

– Słuchaj – powiedziała. – Nawet autor tej książki przyznał, że to wszystko w dużej mierze zgadywanka. Nikt naprawdę nie wie, jak to wyglądało. Wiadomo tyle, że niekiedy sprawy wymykały się spod kontroli. I to do tego stopnia, że po jakimś czasie Rzymianie zakazali tych obrzędów, a było to na długo przed chrześcijanami i hasłem *peace and love*. Nawet oni mieli dość. Organizatorów potajemnie skrócili o głowę, po czym odnowili rytuały już jako miłe imprezki dla grzecznych dzieci znane pod nazwą Liberalia. Chrześcijanie taki sam numer wycięli ze świętami Bożego Narodzenia, jeśli pamiętasz. A co było wcześniej – tego nie wie nikt.

Nico próbował połapać się w tym wszystkim.

– Więc może dwa tysiące lat później ktoś próbuje wskrzesić tamte obrzędy?

– Tego nie wiemy. Mamy jedynie tatuaż, datę...

– ...i trupa.

Usiłowała przybrać optymistyczny wyraz twarzy.

– Trup może nie mieć z dziewczyną żadnego związku. Bądź ze sobą szczery. Matka pewnie ma rację i dziewczyna stanie w drzwiach, pewna siebie i uśmiechnięta, z myślą: dzięki Bogu, to już za mną. Jezu, szesnastoletnia dziewica. Gdzie ci ludzie żyją?

Costa nie słuchał. Zajął się przeszukaniem. Otwierał szuflady i przepatrywał ich zawartość, tyle że nieco ostrożniej niż większość kolegów po fachu. Nie przewracał wszystkiego do góry nogami i nie wywalał rzeczy na podłogę. Przeglądał wszystko ostrożnie, jakby czuł, że jest tu intruzem.

– Zdajesz sobie sprawę – powiedziała Teresa znienacka – że gdybym teraz kogoś poznała i miała z nim dziecko, to ono byłoby w wieku Suzi, kiedy mnie stuknęłaby pięćdziesiątka? Rety, i kto tu jest dziewczicą...

Costa wysunął jedną z dolnych szuflad, włożył dłoń pod równo złożoną podomkę i spojrzał w górę na Teresę.

– Co jest? – spytała.

Wyjął dwa przedmioty. Rzeczy, które należało ukryć. Sekretne. Złe.

Jednym z nich była wysuszona gałązka jakiejś rośliny. Do

cieńszego jej końca niezdarnie przytwierdzono taśmą klejącą sosnową szyszkę. Wyglądało to jak zadanie domowe z robót ręcznych.

– To chyba próba przed zrobieniem prawdziwego – powiedziała ponuro Teresa.

– Jakżeż się to nazywało? – spytał.

– Tyrs. – Wzięła gałązkę z jego ręki i powąchała ją. Nagłe spoważniała. – To koper. Tak samo jak w przypadku dziewczyny z bagna.

– A to? – Costa pokazał plastikową torebkę pełną nasion. Powąchał zawartość. – Nie gandzia.

– Przynajmniej nie taka normalna.

Zerknęła do wnętrza woreczka z wyrazem głębokiego przejęcia na twarzy.

– Teresa?

– Znalazłam to samo w kieszeniach zmarłej. Czekam na pełny raport z laboratorium. Moje niewielkie doświadczenia z kuchni podpowiadają mi, że to mieszanka ziół jadalnych. Kminek, kolendra, znowu koper i może coś halucynogennego. Zapewne jakieś magiczne grzybki.

Nico nic nie mówił, zastanawiając się, skąd ona to wie.

– Zgodnie z tym, co mówi książka, to stanowiło część rytuału. Mały dar od boga. Podziękowanie za to, co dostawał w zamian.

– A to było...?

Nie odpowiedziała.

– Zgadnij. Popisz się kobiecą intuicją.

– Jeśli dobrze zrozumiałam: raj. Dziewczyna traciła dziewictwo, i to z jakimś świątynnym, budzącym trwogę dziwadłem w masce jak ta z tatuażu. Tu chodziło o ekstazę, fizyczną, umysłową i duchową. – Zmrużyła oczy, usiłując sobie przypomnieć fakty. – Książka mówi, że siedemnastego marca oficjalnie rzymscy chłopcy stawali się mężczyznami. Nieoficjalnie dziewczęta także zyskiwały jakiś specjalny status. Przynajmniej te, które były związane z kultem.

– A jeśli to przestało któregoś z nich odpowiadać? Jeśli odmówiła?

– Wówczas, jak sądzę, czekało ją spotkanie z mocno wkurzonym bogiem. – Zawahała się. – Naprawdę sądzisz, że ta biedaczka bierze

udział w czymś takim? I wydaje jej się, że to tylko zabawa?

Spojrzał na różdżkę domowej roboty i zielony woreczek z nasionami.

– Jest taka możliwość i nie można jej lekceważyć.

– Ale nie ma dość śladów, żeby Falcone mógł zacząć pociągać za sznurki.

Miała rację. Były tylko cienie w mroku. Nie wylaniało się z tego wszystkiego nic, co pozwoliłoby odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: dlaczego właśnie ona? Czemu angielska nastolatka, która w Rzymie mieszka dopiero od tygodnia?

Wrócili do salonu. Miranda Julius miała zaczerwienioną twarz i podpuchnięte oczy. Falcone musiał ostro nad nią pracować. Spojrzała na nich, gdy weszli do pokoju, i w mgnieniu oka odczytała wyraz ich twarzy.

– Co znaleźliście? – zapytała.

Costa pokazał jej tyrs i woreczek z nasionami.

– Widziałaś to już wcześniej? Wiesz, co to jest?

Popatrzyła na nich i pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Gdzie to znaleźliście?

– W jej sypialni – odparł Costa.

– Co to jest? – Wyglądała, jakby znów miała się zaraz rozplakać.

– To może być zbieg okoliczności – powiedział Costa.

– Otóż to – wtrącił Falcone. – Zarejestrujemy zaginięcie pani córki.

Roześlemy jej rysopis. Przeważnie takie sprawy kończą się w sposób naturalny, bo dziecko samo wraca do domu. Zwykle najpierw dzwoni. Może nawet dzisiaj.

– Słuchajcie – przerwała mu Teresa. – Mamy czas. Trzeba tu popracować nad wieloma wątkami. Jeśli...

Falcone wstał i spojrzał na nią groźnie. Wiedziała, kiedy się zamknąć.

– Pani doktor – mruknął – zawrzyjmy umowę. Ja nie będę chwytął za skalpel, przechodząc obok ciała, a pani nie będzie przesłuchiwać potencjalnych świadków.

Costa przez krótką chwilę myślał, że mogłaby go walnąć, i zastanawiał się, co byłoby później. Teresa podeszła do Mirandy Julius,

usiadła obok niej na sofie i otoczyła ją ramieniem.

Falcone i obaj detektywi odeszli kilka kroków.

– To poważna sprawa – powiedział Costa. – Wiem, że wygląda dziwnie, ale...

– Nie ucz mnie, jak mam pracować – krótko uciął Falcone. – Mamy jedno ewidentne morderstwo oraz zaginięcie nastolatki, które można wpisać jako kolejną pozycję na listę zaginięć w tym tygodniu. Nic tych spraw nie łączy. W każdym razie nic, co można by poważnie brać pod uwagę. Gdybyśmy mieli...

Costa popatrzył na Falconego. Wolałby, żeby inspektor częściej odsłaniał chociaż niektóre karty. To zapewne faktycznie był zbieg okoliczności, co nie znaczyło, że powinni zlekceważyć całą sprawę.

– Możemy przekazać jej zdjęcie mediom – zaproponował.

– I co im powiemy? – spytał Falcone. – Że matka nie widziała dziewczyny od rana? Chcesz, żebyśmy zrobili z siebie durniów?

– Nie obchodzi mnie, co z siebie zrobimy.

Peroni poklepał Costę po plecach.

– Pomyśl, Nico. Nie mamy się tu czego chwycić.

– Roześlijcie zdjęcie do komisariatów – rozkazał Falcone. Oddalając się ku drzwiom, spoglądał na Teresę Lupo, która popatrywała na niego gniewnie z sofy, obejmując Mirandę. – Zadbajcie, żeby wszyscy dobrze mu się przyjrzeni. I wyciągnijcie nagrania z kamer bezpieczeństwa filmujących Campo. Później je obejrzymy. Może masz rację, Nico. Ja po prostu nie uważam, że nadszedł już czas, żeby rzucać śledztwo na głęboką wodę. Poza tym mamy spotkanie. – Spojrzał z ukosa na Costę. – Zwróć uwagę na końcówkę „my”. I niech twoja koleżanka z kostnicy już się w to nie miesza. Ma inne sprawy na głowie.

Ostatnimi czasy, gdy Emilio Neri miał interesy do załatwienia, brudną robotę pozostawiał Bucciemu, umiejętnionemu trzydziestolatkowi z Turynu. Bruno Bucci pracował u niego od czasów, gdy jako nastolatek kierował handlem trawką na dworcu Termini. Neri lubił go jako pracownika i człowieka. Był lojalny, małomówny i uparty. Wiedział, kiedy mówić, a kiedy się zamknąć. Nigdy nie wracał, póki nie załatwił sprawy, niezależnie od tego, ile czasu i środków musiał poświęcić. Gdy Neriemu zachciewało się osobiście dać komuś klapsa, Bucci



przytrzymał frajera, żeby przypadkiem na widok człowieka, który zabiera się do przestawienia mu twarzy, a ma na karku sześćdziesiąt sześć lat i dyszy jak stado cuchnących wieprzy, nie przyszedł mu do głowy jakiś głupi pomysł.

Niekiedy Neri zastanawiał się, czemu Mickey nie wyrósł na kogoś takiego jak Bruno. Miałby znacznie mniejszy kłopot, w czyje ręce przekazać swoje imperium, kiedy będzie już za stary, żeby ciągnąć za sznurki. A to nastąpi raczej wcześniej niż później, jeśli wziąć pod uwagę, jak się czuł ostatnimi czasy. Nie chodziło nawet o wiek. Neri był pewny, że mógłby jeszcze dobre dziesięć lat trzymać wodze w ręku. Dołowało go coś innego: może to była nuda albo poczucie, że powoli wypada na aut. Wielki dom, banda służących, nawet Adele wylegująca się na sofie całymi dniami jak dmuchana lala... Wszystkie te insygnia władzy i dobrobytu wydawały mu się teraz jakby nierzeczywiste, może nawet niewłaściwe. Siedział w więzieniu z kratami ze złota, skazany na utopienie się w bogactwie.

Zdawał sobie sprawę, że powinien myśleć o przekazaniu władzy, jednak Mickey miał trudny charakter. Przeważnie robił, co mu się kazało, ale bez przerwy kombinował też coś na boku i zajmował się jakimiś prywatnymi interesikami, o których nic nikomu nie mówił. Neri często musiał sprzątać po jego zabawach – prochy, pieniądze, kobiety. Chłopak nigdy nie kłamał w tych sprawach, trzeba było jedynie umiejętnie zadawać pytania. Neri znosił to jeszcze, kiedy Mickey miał dwadzieścia lat, ale teraz zaczynało go to męczyć. Może dałoby się znaleźć jakiś kompromis. Bucci mógłby przejąć interes, a Mickey nie mieszałby się do spraw, tylko dostawał swój udział.

Neri spojrzał na taki układ z punktu widzenia Bruna. Wiedział dobrze, co każdy porządny, pracujący gangster zrobiłby w tej sytuacji. Poczekałby, aż staruszek wykituje, a zepsutego bachora posadził na przykład za kółkiem taksówki albo, co bardziej prawdopodobne, położył spać z dziurką w czole. Może tak to już musi być, pomyślał Neri. Rodzina to w końcu niedoskonały twór. Kto powiedział, że będzie trwać wiecznie?

Ranek spędzili, objeżdżając miasto i odbierając długi. W Nerim wciąż się gotowało, gdy tylko pomyślał, jak Mickey i Adele najeżdżają

na siebie w jego obecności, i zastanawiał się, czy powinien obojgu dać nauzkę. Nie mógł przestać o tym myśleć i dręczyło go to do tego stopnia, że aż zaczął się zastanawiać, dlaczego tak go to męczy. Jego umysł nie pracował już tak szybko jak kiedyś. Czy działo się coś, co powinien zauważyć? Jakiś nowy pomysł Mickeya? Rozparł się na tylnym siedzeniu pancernego mercedesa i przymknął oczy, marząc, by nie musieć się ciągle martwić o tych dwoje. Ta żoźza, płacąc kartą, wydawała co miesiąc prawdziwą fortunę. Każdy grosz szedł na pokrycie rachunków, które wsuwano pod drzwi. Mickey nie był lepszy. Pochłaniała go żądza posiadania wszystkiego, co ma w środku silnik spalinowy. W ciągu czterech miesięcy zajeździł cztery sportowe auta, przebierał wśród stada motocykli i był o mały włos od kupienia pipera comanche'a, gdy na komórkę Neriego zadzwonił szef szkoły lotniczej z dyskretną informacją o tym, jakiego to interesu właśnie zamierza dobić jego synalek.

Poza tym były też kobiety. Każdy rozmiar, każdy kształt, każdy kolor, pochodzenie bez znaczenia. Jedynym, co je łączyło, była zdolność niepohamowanego pochłaniania pieniędzy, oczywiście nienależących do Mickeya.

Neri kochał ich oboje na swój sposób. A ściśle rzecz biorąc, cieszył się, że ich ma, tym, że byli od niego całkowicie zależni. W zamian powinni trzymać się kilku zasad, a jedną z nich było nieokazywanie sobie antypatii w jego obecności. Lecz oni nie umieli zmusić się do przestrzegania nawet tak prostej reguły. Poczucie urazy rosło w Nerim z każdą minutą, przez co nie potrafił skoncentrować się na czekającej go pracy. Zostawił Bucciego sam na sam z jednym alfonsem z Termini, któremu zachciało się robić przekręty, i poszedł zadzwonić do Mickeya, żeby dowiedzieć się, co ten leniuch robi, by zasłużyć na swoje utrzymanie. Przywitała go poczta głosowa. Potem kazał Bucciemu przycisnąć Toniego Lucarellego, właściciela baru na Trastevere, który podbierał forszę należną Neriemu, żeby mieć na utrzymanie jakiejś algierskiej cizi z drugiej strony miasta. Neri pacnął go w twarz parę razy, niezbyt mocno i nie od serca. Lucarelli był w sumie miłym gościem, chciał się tylko trochę zabawić i przekroczył budżet.

Wtedy ten kretyn wszystko schrzanił – zamiast przyjąć bicie jak

mężczyzna, pękł i zaczął się mazgać jak dziecko na zapleczu tego swojego zaplutego baru. Neri już chciał powiedzieć Bucciemu, żeby trochę odpuścił, ale nie umiał przegnać sprzed oczu obrazu Adele, zimnej, bezlitosnej Adele, która znała więcej łóżkowych sztuczek niż kobieta w jej wieku powinna, na jego syna patrzyła jak na śmiecia i sprawiała wrażenie, że jej chłodna postawa jest przemyślana, jakby zastępowała kpiarski śmiech. Kazał Bucciemu mocniej przycisnąć Lucarellego, po czym wyszedł i zadzwonił do niej, ale i w tym wypadku się nie połączył. Wspaniały dzień. Wszystko byłoby takie proste, gdyby nie musiał wlec wszędzie za sobą ochroniarza. Nie można być szefem i nie mieć wrogów, jednak czasem z tego powodu życie stawało się piekłem.

Potem Neri już nikogo nie cisnął. Pozwalał tylko, by delikwent spojrział na Bucciego i zadał sobie pytanie, czy warto. W porze obiadowej, która teoretycznie powinna stanowić przyjemną część dnia, zadzwonił do starego znajomego pracującego w Watykanie. Rozmawiali o innej stronie interesów Neriego: zamorskich kontaktach bankowych, rajach podatkowych, trefnych przelewach i podwójnie opodatkowanych funduszach. Później poszli razem na obiad do trattorii za rogiem, prowadzonej przez człowieka, którego Neri pewnego dnia zatrudnił, dzięki czemu nigdy nie płacił rachunków. Ekonomista z Watykanu czmychnął z powrotem do pracy po jednej porcji spaghetti carbonara, bo nie chciał, żeby ktoś go w tym miejscu zobaczył. Neri został jeszcze na baraninie z cykorią i lodach zabaglione. Przez cały czas nie mógł się opędzić od myśli o Mickeyu i Adele.

Wtedy dostał telefon z informacją o tym, co się dzieje w Questurze. Spróbował powrócić pamięcią do wydarzeń sprzed szesnastu lat. W notesiku, który trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki, zapisał kilka szczegółów: nazwiska, zdarzenia, ludzie, do których trzeba zadzwonić. Wszystko notował. Jego pamięć nie była już taka jak dawniej.

– Cholerny świat – mruknął do siebie, spoglądając na stojące przed nim puste talerze. – To przecież historia. Jestem za stary i za bogaty, żeby takie gówno mnie teraz przyszpiliło.

Gdy wszedł w boczną uliczkę opodal Piazza del Risorgimento,

zobaczył, że Bruno Bucci siedzi na murku obok czarnego mercedesa. Na jego dużej, pozbawionej rysów twarzy malowały się emocje. Był wkurzony.

Neri podszedł i usiadł obok niego. Dzień był miły. Wiosna mozolnie przecierała sobie szlaki. Na niebie prześwitywał błękit, w powietrzu dało się wyczuć ciepło. Ładne dziewczyny na ulicy ubrały się w kolorowe sukienki, spod których było widać długie, opalone nogi. Sztuczna opalenizna, pomyślał Neri, a może ich chłopcy biorą je na Karaiby, gdzie wylegają się razem to na plaży, to w łóżku. Były czasy, gdy on sam czuł się na tyle wyzwolony z więzów pracy, że to właśnie robił.

– Wóz się spieprzył – oznajmił Bucci. – Nie odpala.

Neri pokręcił głową, patrząc na wielką bryłę czarnego metalu.

– Tyle forsy i proszę. Sam mam się z tym teraz chrzanić?

– Dzwoniłem do zakładu. Powiedzieli: dwie godziny. Jutro sam się tam przejdę. Wyjaśnię parę spraw osobiście.

Neri spojrział w brązowe oczy Bucciego. Przez większość czasu wydawały się puste, ale to był taki trik. W rzeczywistości Bruno był bystrym facetem. Nie marnował żadnej okazji.

– To niezła myśl – powiedział Neri, poklepując wielkie kolano turyńczyka. – Powiem ci coś. Życie jest za krótkie, żeby się przejmować takimi pierdołami. Daję ci wolne popołudnie. Załatwiliśmy interesy. Mamy wiosnę. Wróc tam i pogadaj z tym alfonsem. Powiedz mu, żeby dał ci się zabawić za friko, niech myśli, że tym nas udobrucha.

Bucci poruszył się niezręcznie w swoim obcisłym szarym garniturze.

– To miłe, szefie, ale mnie takie rzeczy niepotrzebne. Nie teraz. Chociaż naprawdę dziękuję za tę propozycję.

Neri spojrział na niego i znów przypomniał mu się Mickey.

– Porządny z ciebie chłop, Bruno. Cieszę się, że dla mnie pracujesz.

– Ja też. Poczekaj, szefie, znajdę taryfę i razem wrócimy.

– Nie! – Neri roześmiał się. – Mówiłem poważnie, jest wiosna, czas wyjść ze snu. Poczuj, że żyjesz. Na dziś koniec ściągania pieniędzy. Niekiedy tak mnie to nudzi, że głupieję. Idź, zabaw się. Zabierz jakąś

panią na randkę. Ja stawiam.

– To miłe z twojej strony, szefie – odparł Bucci. Brązowe oczy znów były puste. – Ale nie powinienem cię zostawiać samego.

Na twarzy Neriego pojawił się wyraz gniewu.

– O czym ty mówisz? Masz mnie za jakiegoś starego połamańca czy co? Wydaje ci się, że sam sobie nie dam rady?

Bucci był zakłopotany.

– No nie, tyle tylko że... sam zawsze mówiłeś...

– Chrzanić, co zawsze mówiłem! Teraz mówię co innego. Niby kto miałby mi tu coś zrobić? Zresztą do domu zabiorę się... – Neri przerwał, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Mężczyzna czasem musi poczuć się swobodnie, Bruno. Rozumiesz, prawda?

– Czym pan pojedzie do domu?

– To jedyna w swoim rodzaju forma transportu. Na przystanku na rogu złapię autobus. Chcę spojrzeć w oczy kilku nieznanym, usłyszeć, o czym się dziś mówi. Nie robiłem tego od lat, a to błąd. Człowiek odcina się od wszystkiego, zapomina, jak czytać ludzi.

– Autobus? – powtórzył Bucci.

– Pewnie, a czemu nie? – Neri zawahał się. Nie cierpiał obarczać innych swoimi osobistymi problemami. – Pozwolisz, że cię o coś spytam?

– Oczywiście.

– Chodzi mi o tego mojego durnego dzieciaka Mickeya. I Adele. Jak sądzisz, co powinienem z nimi zrobić? Doprowadzają mnie do szału.

Bruno Bucci poruszył się na murku, jakby mu było niewygodnie. Neri przyglądał mu się, myśląc o tym, jaki dyskomfort może spowodować kilka prostych słów. Nie był pewny, czy lekki rumieniec, który pojawił się na policzkach turyńczyka, może coś oznaczać.

– Język ci skołowaciał? Zadałem niewłaściwe pytanie czy co?

– Chciałbym pomóc, szefie – wykrztusił wreszcie Bucci. – Wiesz o tym. Jeśli jest cokolwiek, co mogę dla ciebie zrobić... to tylko powiedz.

– Co ty możesz dla mnie zrobić! – Neri wybuchnął śmiechem, wciąż usiłując rozgryźć reakcję Bucciego. – O czym ty mówisz, Bruno? Ja cię tylko pytam o zdanie. Problem jest mój. Syn, którego kocham, kobieta, którą kocham, a oboje nie mogą znieść swojego widoku.

Sądziś, że będę cię prosił, żebyś to naprawił? Jezu...

– Ja nie mam zdania.

Klepnął Bucciego w ramię.

– Tak, jasne. Wy, chłopaki z północy. Zdaje się wam, że znacie odpowiedź na wszystkie pytania, tylko nie chce się wam o tym gadać, o co.

– Tu mnie masz, szefie – odparł Bruno. W jego brązowych oczach wpatrujących się w twarz Neriego nie dało się zauważyć żadnych emocji.

– Trzymaj. – Neri wręczył mu kilka banknotów o wysokich nominałach. – Masz rację, to moja sprawa. Nie powinienem stawiać cię w takiej sytuacji. Idź, zabaw się czy co tam chcesz. „Jeśli jest cokolwiek, co mogę dla ciebie zrobić...”. Wy, chłopaki, czasem macie naprawdę zabójcze teksty.

Bruno Bucci podniósł się i przeliczył pieniądze.

– Dzięki – powiedział.

Neri patrzył, jak jego szerokie plecy znikają w uliczce.

– Skromność – mruknął sam do siebie. – Tego właśnie światu dzisiaj brakuje.

W drodze na plac za rogiem zastanawiał się, ile to czasu już minęło, odkąd po raz ostatni jechał autobusem, i starał się sobie przypomnieć, jak to jest być młodym. Różne myśli mieszały się w jego głowie.

Pogodny nastrój nie trwał długo. Neri musiał stanąć w kolejce. Zagraniczni turyści przepychali się, potrącali i zadawali głupie pytania. Nim dotarł do drzwi autobusu, minęło dziesięć minut. W chwili gdy wsiadał do sześćdziesiątkiczwórki, jego humor wrócił do stanu sprzed godziny – znów był wkurzony i myślał o swojej durnej rodzinie.

W dodatku nie miał gdzie usiąść. Jakiś uśmiechnięty, elegancko ubrany człowiek, niedużo młodszy od niego, wstał i zaproponował mu swoje miejsce. Neri spojrzał w twarz nieznanego, zastanawiając się, czemu był tak głupi, że nie chciał jechać taksówką, którą proponował mu Bucci, tylko wsiadł do tego dziadostwa. Jesteś starym durniem, pomyślał o sobie, i może powoli zaczyna to do ciebie docierać.

Człowiek nie przestawał się uśmiechać. Neri nie pojmował,

z czego można się cieszyć w cuchnącym, zatłoczonym autobusie. Nie mógł się doczekać, kiedy przejedzie przez most na Via Arenula, skąd będzie mógł spacerkiem dotrzeć do domu na Via Giulia.

– Siedź pan – warknął Neri. – Ja mogę postać. Niby czemu pan myślisz, że muszę usiąść?

– Nie wiem – powiedział człowiek, wciąż się uśmiechając. Wyglądał na naciągacza. Albo jakiegoś aktora grającego drugoplanową rolę w jednym z filmów Felliniego. – Pomyślałem tylko...

– To źle pan pomyślałeś – burknął Neri i zacisnął dłoń na uchwycie. Przez całą drogę marzył o tym, by móc opaść na siedzenie i ulżyć spoconym nogom. Teraz miejsce zajął murzyński nastolatek ze słuchawkami, z których dobiegało stłumione cykanie perkusji.

Neri wysiadł na Via Arenula w wielkim tłumie. Musiał odczekać prawie pięć minut, nim mógł przejść na drugą stronę ruchliwej ulicy. Gdy dotarł do domu, padał z nóg i cuchnął potem, a w jego głowie głosy kłócących się Mickeya i Adele mieszały się z tym, co usłyszał od człowieka z Questury.

Dom był pusty. Chciałby, żeby jego syn i żona w nim byli. Kiedy zadzwonił telefon, wiedział już, że sprawa ciała sprzed lat wyszła na światło dzienne. Działo się to, co przewidywał, że kiedyś nastąpi, i nie można było mieć nadziei, że uda się przed tym uciec.

Dwadzieścia minut po wyjściu z Teatro di Marcello Nico Costa i Gianni Peroni jechali w ślad za samochodem Falconego wąską prywatną uliczką biegnącą u stóp wzgórza Janiculum, które wznosiło się nad rzeką nieopodal Trastevere i stanowiło rozległy teren parkowy.

Peroni wrzucił do ust ostatni kawałek drugiej tego dnia porchetty, strząsnął okruszki ze swoich spodni na podłogowy dywanik fiata i powiedział:

– Wiesz, Nico, podoba mi się, jak prowadzisz. Ostrożnie, a jednak bez przesady, zwykle spokojnie, ale kiedy trzeba ostro. Gdy mnie przywrócą do poprzedniej rangi, znajdziesz u mnie robotę. Będiesz mnie wszędzie woził. Wszystkie chłopa, z którymi jeździłem, bez przerwy obijały auta, a to rozprasza i denerwuje takiego wrażliwego dżentelmena jak ja.

Rozerwał opakowanie batonika i odgryzł kawałek, a resztę schował

do kieszeni.

– Roztyjesz się od takich rzeczy – zauważył Costa. – To nienaturalne.

– Moja waga nie zmieniła się od piętnastu lat. Wszystko w sobie spalam, wiesz, napięcie wewnętrzne i te sprawy. Widzisz tylko moją zewnętrzną powłokę: spokojny, opanowany, zawsze czujny facet, brzydki jak końska dupa, i ja chcę, żebyś widział tylko tyle. Ale w środku jestem buzującym kotłem gwałtownych emocji. Przeżywam traumy, które potrafią spalić dowolną ilość węglowodanów i cholesterolu wrzuconych w ten kocioł. Spójrz na mnie. Widzisz, żebym przytył o jeden gram, odkąd się znamy?

– Nie.

– Poza tym musisz wiedzieć, że chleb i mięso, nawet ten szajs, który kupuje się w Rzymie, to najlepsze zabezpieczenie przed grypą. Opuść sobie te brednie o jarzynkach i owockach. Widziałeś kiedyś szympanasy? Skurczykoty bez przerwy kichają. Albo robią to drugie, wiesz. Niekiedy obie rzeczy jednocześnie.

Costa zastanawiał się przez chwilę.

– Nigdy w życiu nie widziałem kichającego szympanasa.

– Bo musisz rozwinąć zmysł obserwacji. A teraz mam iść z tobą i trzymać cię za rączkę czy mogę zostać w aucie i uciąć sobie drzemkę? Te wszystkie zmumifikowane ciała i lekcje historii to za dużo jak na jeden dzień dla takiego nocnego zwierzęcia jak ja.

Peroni wyjął papierosy, popatrzył na Costę i schował paczkę z powrotem.

– No dobra, raz dziennie dam ci postawić na swoim, ale nie więcej. A co do tej dziewczyny z Anglii, sędzę, że Falcone robi, co może w tych okolicznościach. Rozesłał zdjęcie, kazał analizować film z placu. Nie jestem detektywem, ale to, co usłyszeliśmy od jej matki, jest mętne.

– Często tak bywa. W obyczajówce jest inaczej?

– Raczej tak. – Skinął głową. – My dbamy o to, żeby prawo było przestrzegane, nie zajmujemy się wykrywaniem przestępstw. Po prostu mamy na wszystko oko, pilnujemy, żeby niewinnym nie działa się krzywda, i staramy się trzymać ludzi z daleka od prochów. To inna praca niż wasza. Tak naprawdę to ja jestem pracownikiem socjalnym. Pamiętaj



o tym. Jeśli dochodzi do przemocy albo czegoś gorszego, sprawę przejmują inni. My jesteśmy licencjonowanymi informatorami, którzy przekazują w wasze ręce plotki z ulicy. Sam przyznasz, ludzie nas muszą kochać.

– A jeśli jest ci potrzebna jakaś informacja?

– Wtedy pytam – odparł Peroni. – Prosto z mostu. Jestem w tym dobry. Żadnego owijania w bawełnę. Tylko w ten sposób można załatwiać takie sprawy. Spytałem cię jeszcze raz: w czym tu problem? Chcesz się zakręcić wokół mamuśki? Fakt, facet powinien dbać o swoje życie intymne, ale mówię ci, zaprosz na randkę Barbarę. To naprawdę miła dziewczyna.

– O co ci chodzi? – Peroni był czasami zbyt bezpośredni. I zbyt bystry, żeby nie zauważyć pewnych spraw.

– O to, że widziałem, jak na nią patrzyłeś. Nie zrozum mnie źle, ciuchy z second handu są często równie dobre jak nowe. Babka jest starsza od ciebie, chociaż to może niekoniecznie zła rzecz. Nie w moim typie. Czegoś miała w życiu za dużo, może wódy albo nocnych koszmarów.

– Myślę tylko, że w tej sprawie coś jest – odparł Costa. Peroni nie słyszał tyle, ile on, a może zbyt wolno myślał.

Stary policjant położył dłoń na ramieniu Costy.

– Nico, słyszałeś, co mówił Falcone. Może nawet masz rację, ale przemyśl to sobie. Ledwie wróciłeś do pracy. W Questurze są ludzie, którzy uważają, że stary zwariował, skoro w ogóle dał ci drugą szansę. Jesteś na okresie próbnym. Tak samo jak ja.

– I sądzisz, że jak się będę upierał, to zmarnuję nie tylko swoje szanse, ale i twoje.

– Jeśli już stawiasz sprawę w ten sposób, to tak – zgodził się Peroni. – To częściowo prawda. Jednak przede wszystkim myślę o tobie. Szczerze. Przez tych parę tygodni poznałem cię trochę. Niekiedy bierzesz pewne sprawy do siebie i problemy innych stają się twoimi.

– Dzięki za komplement.

– To jedna strona medalu. Druga jest taka, że to najlepszy sposób, żeby dać się wydymać. Albo wydymać samego siebie.

– Nie schrzanię tego, Gianni. Nie przejmuj się mną. Co z zaginioną

dziewczyną? Co, jeśli te dwie rzeczy są z sobą powiązane? Te wszystkie rytuały...

Peroni westchnął i pokręcił głową.

– Kawał łodygi i trochę nasion? Posłuchaj, nie nazywają jej Szaloną Teresą bez powodu. Uwielbiam ją tak samo jak wszyscy, ale sam musisz przyznać, że ona nagina fakty. Nawet jeśli się nie myli w sprawie zwłok, to nie można zaraz twierdzić, że one mają coś wspólnego z córką Mirandy Julius. Dzieli je szesnaście lat. Mielibyśmy uwierzyć, że ktoś ciągle bawi się w te przebieranki? Jak to możliwe, że przez tyle czasu nic o tym nie słyszeliśmy? Zdaje ci się, że od czasu dziewczyny z bagna nie stanęła w Rzymie stopa żadnej ładnej blondyneczki?

To było dobre pytanie. Też się nad tym zastanawiał.

– Może przedtem wszystko było dobrze. Może ktoś ginie tylko wtedy, gdy coś pójdzie nie tak. Na przykład gdy dziewczynie sprzykrzy się zabawa. Sam nie wiem.

Peroni pokiwał głową.

– Czyli jeśli młoda Julius pozwoli temu sukinsynowi na wszystko, czego będzie chciał, to nic się jej nie stanie? Uwolni ją?

Nawet więcej. Przypomniał sobie, co Teresa wyczytała w książce. Dziewczyna zostaje nagrodzona. Smakuje raj. Przechodzi inicjację i dołącza do klubu. A następnym razem bierze udział w obrzędzie jako wykonawczyni. Obserwuje, jak ktoś inny zostaje wtajemniczony.

– Być może – powiedział.

– To chyba małe piwo. Z kobietami takie rzeczy działy się, odkąd wypelźliśmy z morza.

Gianni Peroni był człowiekiem innego pokolenia. Costa zanotował sobie w myśli, żeby o tym pamiętać.

– W tym stuleciu to już nie jest małe piwo.

Peroni spojrzał na niego czujnie.

– Przepraszam, odzywa się we mnie dinozaur. Zapomnij o tym, dobra? Moja rada jest taka: nie wychylajmy się i róbmy, co każą. Tak dokonuje się postęp we współczesnych siłach policyjnych.

Zaryczał silnik sportowego samochodu. Czarna alfa romeo coupe zaparkowała obok wozu Falconego. Costa patrzył, jak elegancka kobieta

w oficjalnej ciemnej marynarce i obcisłej spódnicy kończącej się tuż nad kolanem wychodzi z samochodu i energicznie obejmuje Falconego, składając na jego policzku lekki pocałunek.

Peroni zamknął oczy.

– Jasny gwint. Czas na drzemkę. Bóg naprawdę nie istnieje, a jeśli istnieje, łobuz z niego. Słuchaj, bo to znowu dinozaur mówi. Wiesz, co to za babka?

Costa pokręcił głową.

– Królowa śniegu z DIA, Rachele D’Amato. Obecnie prawdziwa szychca. Trzymają się jej takie rzeczy, jak obława na burdel bez uprzedniego powiadomienia obyczajówki. Nigdy z nią nie zadzieraj, rozumiesz? Chyba że dochrapiasz się stopnia inspektora, a nawet wtedy w rękawiczkach. Falcone świntuszył z nią, póki jego żona się nie dowiedziała. Co ona tu robi, do diabła? A skoro już o tym mowa, co my tu robimy? Czuję się z wami, ludzie, jak ślepe dziecko we mgle.

Pod bramą posesji między Falconem i kobietą trwała ożywiona dyskusja. Mówili o sprawach zawodowych, przynajmniej ona.

– Coś jeszcze powinienem o niej wiedzieć?

– Jedna sprawa – dodał Peroni – babka nienawidzi gliniarzy. A przynajmniej... Pozwól, że sprecyzuję. Ma do nas uraz. Może powstał po doświadczeniach z Falconem. Według niej wszyscy jesteśmy dupkami, i to przeważnie skorumpowanymi. Zanim mnie przyskrzyniła, załatwiła też w zeszłym roku dwóch chłopaków z wydziału narkotyków za jakieś małe wziętki.

– Należało im się – warknął Costa. Nie znosił przekupnych gliniarzy i nie mógł pojąć, czemu ktokolwiek w Questurze miałby brać ich stronę.

– Ach tak, zapomniałem. Pan Świętoszek. – Peroni westchnął. – Powiem ci coś, chłopcze. To byli dobrzy gliniarze. Posłali za kraty wielu ludzi, którzy na to zasłużyli. Radziłbym ci nie osądzać przedwcześnie innych, póki sam nie dowiesz się, jak to jest. W tej robocie nie zawsze można podzielić ludzi na czarnych i białych, bo z białymi nikt nie chce gadać.

Costa wpatrywał się w swojego partnera. Chciałby zrozumieć go lepiej. Niekiedy Peroni mówił niepokojące rzeczy.

– Tak czy inaczej – ciągnął starszy mężczyzna – ta suka ma jaja, to trzeba jej przyznać. Wieść niesie, że rok temu jeden facet wyznaczył cenę za jej głowę. Jak się o tym dowiedziała, zajechała do jego domu, kiedy jadł ze swoją starą śniadanie i... doszli do porozumienia.

Ludzie z DIA faktycznie żyli na krawędzi. Costa znał jednego z nich: został ciężko ranny w zamachu bombowym na Sycylii. Organizacja nie była strukturą policyjną. Część pracowników stanowili prawnicy. W oczach mafii to chyba czyniło z nich łatwiejsze cele.

– Ciągłe jest na czarnej liście?

– Żyje, prawda?

Peroni wysiadł z samochodu i ruszył ku bramie. Costa poszedł za nim. Rachele D'Amato była szczupłą kobietą po trzydziestce. Costa znał ten typ: poważna kobieta czynu, która nigdy nie używa urody, żeby postawić na swoim, choć z pewnością mogłaby to robić. Była nieco wyższa niż Costa i miała figurę, która w innych kobietach musiała budzić nienawiść. Kostium podkreślał jej wąską talię. Pod rozpiętą marynarką nosiła obcisłą, jedwabną, kremową koszulę z dużym dekoltem. Miała piękną twarz o ostrych rysach, na której gościł sztuczny, podkreślony ciemnoczerwoną szminką uśmiech, oraz nieskazitelne, długie, brązowe włosy związane z tyłu głowy. Costa potrafił ją sobie wyobrazić z Falconem. Stanowiliby sensowne połączenie. Zastanawiał się, jak wiele zaufania mieli do siebie, gdy trwał ich związek.

– Nie chcę wyjść na piniacza, ale ciekawi mnie, co tu robi osoba cywilna? – rzucił Peroni.

Rachele D'Amato odwróciła się ku niemu z uśmiechem.

– O, chyba pana pamiętam. Detektyw Peroni, prawda?

– Bingo! – Uśmiechnął się szeroko. – A już się bałem, że w ubraniu mnie pani nie pozna. Jeśli dobrze sobie przypominam, tamtego pamiętnego wieczoru akurat na moją twarz ani razu pani nie spojrzała. No cóż... Nico, poznaj panią z DIA, Rachele D'Amato. Milutka, prawda? Czemu do policji nie przysyłają nam takich ślicznotek?

Costa uśmiechnął się, ale nic nie odpowiedział.

– A pani pewnie przejazdem, co? – ciągnął Peroni. – Nie musi pani

odpowiadać. To fajnie, że się pani zatrzymała, żeby powiedzieć dzień dobry. Tak w ogóle właśnie robimy tu coś, co określa się mianem dochodzenia. Patrzy pani w tej chwili na trzech ostatnich gliniarzy w Rzymie, którzy mają czyste drogi nosowe, chociaż nie gwarantuję, jak długo tak będzie w przypadku mojego trawożernego partnera. A teraz lepiej niech pani zmyka, bo jeszcze coś nieprzyjemnego się wydarzy.

Falcone spojrzał na niego kwaśno, po czym wduśił przycisk wideofonu.

– Pani D’Amato jest tutaj, ponieważ poprosiłem ją o pomoc.

Peroni nie zamierzał się poddawać.

– Znaczy, że tu też jest burdel? Rany boskie, w dzisiejszych czasach zakładają je w najdziwniejszych miejscach. Oho, lodowate spojrzenie. Czyli to nie burdel. Więc pewnie dom jakiegoś mafiosa? Nie, nie przypominam sobie, żeby któryś z nich rezydował w tej części miasta. Hawira wygląda, jakby mieszkał tu jakiś playboy czy ktoś w tym rodzaju.

To była celna uwaga. Dom znajdował się w głębi posesji, dobre sto metrów od masywnej bramy. Wyglądał jak rzymska willa, jednopiętrowy pałac z patiem pośrodku. Po obu stronach alei prowadzącej w kierunku budynku stały klasyczne posągi, a wieńczył ją staw z fontanną.

Rachele D’Amato przyjrzała się uważnie Coście, podczas gdy Peroni stał obok, szeroko uśmiechnięty.

– Pana nie znam. Leo dał mu pana na partnera? To musiała być kara za coś bardzo złego.

– Nico Costa – odparł, wyciągając rękę. – Lubię wyzwania.

– To tak jak ja, chłopcze – mruknął Peroni.

– A więc konwenanse za nami – powiedziała. – Jestem tutaj, bo beze mnie sobie nie poradzicie. Przykro mi, ale w dzisiejszych czasach tak to właśnie wygląda. Wallis nie żyje w próżni. W tym momencie nie sprawia mi problemów, ale ma przeszłość i zna ludzi, którzy problemy sprawiają. Czy to wystarczy?

Costa zobaczył twarz, która wypełniła ekran wideofonu. Należała do przystojnego czarnoskórego mężczyzny w średnim wieku znakomicie mówiącego po włosku.

– Policja – powiedział Falcone, podnosząc wizytówkę do kamery.  
– Musimy porozmawiać.

– Czego chcecie? – padło pytanie.

– Chodzi o pańską pasierbicę, panie Wallis. Znaleźliśmy ciało. Trzeba je zidentyfikować. Możemy wejść?

Costa obserwował twarz na ekranie. Słowa Falconego sprawiły ból temu człowiekowi.

– Wchodźcie – mruknął Vergil Wallis i zamek w furtce zaczął buczeć.

Silvio Di Capua dużo się nauczył jako asystent patologa w ciągu trzech lat spędzonych u boku Teresy Lupo. Pokazała mu sztuczki związane z sekcją zwłok, o których nie można się dowiedzieć na uczelni. Poznał mnóstwo sposobów na to, co zrobić, kiedy gliniarzowi robi się słabo albo zamierza wymiotować. Wprowadziła go też w środowisko pracowników Questury i przedstawiła ludziom, dzięki czemu stał się jej oczami i uszami – źródłem większości bieżących plotek, które krążyły po komisariacie. Przede wszystkim jednak Teresa objawiła Di Capui, dobremu katolikowi wychowanemu przez mnichów, który w wieku dwudziestu siedmiu lat nie przebywał jeszcze nigdy na osobności z osobą pici przeciwnej, rozkosze nieujarzmionego języka wyzwolonego spod ograniczeń obyczaju, elegancji i pruderii.

Zanim ją poznał, mniemał, że włoski, który znał z książek i gazet oraz rozmów z kolegami ze szkoły klasztornej, jest cywilizowaną mową o klarownej strukturze. Teresa Lupo rozwiąła te mity w ciągu paru tygodni, nabijając mu głowę mnóstwem potocznych i slangowych wyrażen, tak barwnych i cudacznych, że naiwny, oszołomiony Silvio Di Capua miał wrażenie, jakby wkroczył do nowego, cudownego świata.

Nawet po trzech latach słuchanie kwiecistych, potocznych wypowiedzi Teresy wciąż było dla niego pasjonującym doświadczeniem, które ujawniało tajemne, ukryte głębie języka zupełnie innego niż poznany w dzieciństwie. Teraz sam także klął jak szewc, chociaż nie zawsze trafnie. Wiedział, że brakuje mu wycucia chwili, które mistrzowsko opanowała Teresa. Czasami myliły mu się słowa, co prowadziło do niezręcznych sytuacji, a raz prawie skończyło się pobiciem, kiedy pewien goryl w mundurze wziął jego przyjazny żarcik

za insynuowanie perwersyjnych praktyk, których miał jakoby dopuszczać się w samotności.

Zastanawiał się niekiedy, czy jest zakochany w swojej szefowej. W jego wyobraźni miłość była uczuciem niewinnym, czystym, eterycznym i zupełnie niezwiązanym z seksem, który Di Capui jawił się jako rzecz budząca zakłopotanie i wstręt, zarówno teraz, jak i piętnaście lat temu, gdy po raz pierwszy w szkolnym dormitorium w pełni opisano mu całą rzecz.

Nie spędzał jednak dużo czasu na takich rozmyślaniach. Silvio akceptował swoje niedoskonałości. Był trochę niższy od Teresy. Grube, czarne włosy zaczęły mu wypadać, gdy miał osiemnaście lat, i teraz miał na głowie łysy placek przypominający mnisią tonsurę. Z lenistwa pozwalał, by pozostałe włosy rosły w długich strąkach. Mówił chrapliwym falsetem, bardzo irytującym dla niektórych ludzi. Pulchny z zadatkami na grubasa miał tak amorficzną, niewyróżniającą się twarz, że bez przerwy musiał wszystkim powtarzać, jak się nazywa. W dodatku wyglądał na dziesięć lat młodszego, niż był w rzeczywistości. Życie Di Capui było zjawiskiem powtarzalnym w skali historii rodzaju ludzkiego i on o tym wiedział. Mimo to nie ustawał w swoim podziwieniu dla Teresy Lupo, który z każdym dniem tej cieplej wiosny powoli przechodził w uwielbienie.

Poza tym wszystkim była też sprawa przezwiska. Wymyślił je w zeszłym roku jakiś gliniarz z drogówki, gadatliwy jak przekupka. Przylgnęło do niego i trzymało się z uporem godnym lepszej sprawy. Teresy nikt nigdy nie nazwał Szaloną Teresą prosto w twarz. Pozycja Silvia była jednak słabiej ugruntowana. Po prostu musiał się nauczyć reagować na tę cholerną ksywę. Od czasu do czasu nawet Teresa jej używała.

Wepchnął ciało z bagna z powrotem pod urządzenie nazwane przez techników z kostnicy prysznicem, gdy w drzwiach pojawił się gliniarz ubrany po cywilnemu. Na stole sekcyjnym na uwagę Di Capui oczekiwał świeży trup młodego ćpuna. Teresa popracowała przy nim już trochę – wykonała typowe badanie mające ustalić, czy śmierć tego pulchnego, owłosionego człowieka leżącego nago na stole nastąpiła z powodu przedawkowania, po czym przekazała ciało Di Capui, wydała kilka

związanych poleceń, chwyciła płaszcz i wyszła. Silvio siedział teraz przed komputerem, w skupieniu przeglądając różne akta.

– Hej, Księżulo – zawołał gliniarz – dam ci radę: odpal Google i wpisz „prawdziwe życie”. Ale najpierw powiedz mi, gdzie jest Tereska. Falcone niedługo chce mieć wyniki tej autopsji na biurku, a ja nie zamierzam go rozczarować.

Di Capua spojrział znad monitora i warknął:

– Pani doktor Lupo nie ma w tej chwili przy biurku.

Policjant bawił się nerkami laboratoryjnymi, podnosił skalpele i oglądał narzędzia, których nie powinien ruszać. Podszedł do ciała i pociągnął nosem, po czym chwycił szczypce i ostrożnym ruchem uniósł szarawy, zwiotczały penis nieboszczyka.

– Słuchaj, chłopcze, nie leć ze mną w kulki. Wystarczy, że z nią trzeba się użerać. Co tej kobiecie dolega? Zachowuje się tak, jakby czerwona flaga powiewała każdego dnia miesiąca. Nie mów mi tylko, że masz ten sam problem.

Di Capua wstał i podszedł do ciała, odpychając gliniarza na bok.

– Nigdy nie podchodź do narkomana, jeśli nie jesteś zaszczepiony – powiedział. – Właśnie powoli potwierdza się teoria, że można zakazić się HIV od zapachu. Wiedziałeś o tym?

Policjant odsunął się o krok.

– Jaja sobie robisz?

– Nigdy w życiu. Wczesne objawy przypominają grypę, która właśnie szaleje. Ból gardła, katar... – przerwał – ...i swędzenie nosa, tak dokuczliwe, że nie można przestać się drapać. – Gliniarz pociągnął nosem, po czym wyjął chusteczkę i zaczął przecierać twarz. Di Capua wskazał plaketkę wiszącą na ścianie nad stołem sekcyjnym. – Przypuszczam, że nie znasz łaciny?

Policjant popatrzył na napis. *Hic locus est ubi mors gaudet succurrere vitae.*

– Tu jest napisane: „Nie trzeba być świrniętym, żeby tu pracować, ale jak jesteś, to tym lepiej”.

– Niezupełnie. „Oto miejsce, w którym śmierć cieszy się, że może przyjść z pomocą życiu”.

– I co to niby za pierdoły?



Di Capua popatrzył na zwłoki. Nacięcie w kształcie litery Y, które wykonała Teresa, biegnące od ramion do mostka i dalej do podbrzusza, na martwym ciele odcinało się wąską, ciemną linią.

Podobna linia przekreślała czoło. Skóra na głowie była rozcięta i pozwalała się odchylić, by można było rozpiłować czaszkę i dostać się do jej wnętrza. W normalnych warunkach nie zajmowałby się tym sam, lecz Teresa wyszła, a w dodatku trwała epidemia grypy, więc w kostnicy nie było nikogo więcej. Poza policjantem.

– Ot, takie pierdoły patologów – odparł, wziął do ręki nóż wibracyjny, pewnym, mocnym ruchem odciągnął skórę z głowy trupa i zaczął piłować czaszkę od przodu.

Gliniarz pobladł i czknął.

– Nie rzygamy w kostnicy – pouczył go Di Capua. – To przynosi pecha.

– O cholera... – jęknął mężczyzna, obserwując szeroko otwartymi oczami linię rozcięcia powstającą pod ostrzem małej elektrycznej piły.

– Wstępny raport leży tam – powiedział Di Capua, wskazując głową biurko Teresy. Obok komputera leżała teczka z dokumentami. – Zwróć uwagę na słowo „wstępny”. To pierwsze, pobieżne spojrzenie. A gdy wpadniesz tu znowu, to dla twojej informacji mam na imię Silvio. Możesz też mówić doktorze Di Capua. Jasne?

– Tak – odpowiedział gliniarz i znowu czknął.

Silvio odprowadził kretyna wzrokiem. Policjant wyszedł, jedną dłoń zaciskając na teczce, drugą na własnych ustach.

– W czym problem? – zapytał na głos Di Capua. – To tylko ciało, na litość boską.

Miał poważniejsze zmartwienia. Jednym z nich była Teresa. Dokąd poszła, i to tak wściekła, że Silvio nie śmiał jej nawet zapytać? Dlaczego po raz kolejny wtykała nos w policyjną robotę? I, problem najważniejszy, czemu nie chciała dostrzec tego, co do niej czuł?

– Wiecie, jaki mamy miesiąc? – spytał Vergil Wallis. – To miesiąc Marsa. Rozumiecie, co to znaczy?

Siedzieli w salonie ufortyfikowanej willi na wzgórzu Janikulum. Było to dziwne miejsce, urządzone częściowo w stylu orientalnym, a częściowo klasycznym. Posągi z czasów cesarstwa, być może kopie,

stały obok delikatnych, porcelanowych waz pokrytych japońskimi malunkami: chryzantemami i scenkami z życia wsi pełnymi patykowatych postaci. Piękna, drobna Azjatka w długim białym fartuchu podała herbatę. Wallis ledwie dostrzegł jej obecność.

W czasie krótkiej rozmowy, którą odbyli w drodze do willi, Rachele D'Amato wyjaśniła im, że Wallis dawno temu skończył z mafią i teraz większość czasu spędza we Włoszech i Japonii, które to kraje były źródłem jego dwóch obsesji. Po przejściu na emeryturę wciągnęła go historia: Rzym czasów cesarstwa i okres Edo. Wyglądał na mniej więcej pięćdziesiąt lat, dobre dziesięć mniej, niż miał faktycznie. Był wysoki, wysportowany i postawny. Miał krótko przycięte, ciemne włosy oraz twarz o czujnym wyrazie i szlachetnych rysach, w której dominowały duże, żywe, inteligentne oczy. Gdyby nie wprowadzenie, jakie otrzymali od D'Amato, Costa uznałby, że ma przed sobą uczonego albo artystę o eleganckich manierach. Tylko jeden zewnętrzny szczegół, jak im powiedziała, zdradzał jego przeszłość. Wallis mieszkał przez kilka lat w Tokio i wszedł w układy z Sumiyoshi-gumi, jedną z większych rodzin jakuzy. W pewnym momencie życia stracił mały palec lewej dłoni, pieczętując zapewne jakiś rytuał braterstwa z japońską mafią. W przeciwieństwie do większości eksgangsterów z jakuzy nie starał się ukryć okaleczenia i nie używał protezy. Być może uważał, że stoi ponad tego rodzaju sztuczkami. Albo przebolewał stratę, jeśli wierzyć Rachele D'Amato. Costa doszedł do wniosku, że odcięcie palca samo w sobie stanowiło rytuał przyjęcia do grupy, braterstwa. Jeśli Teresa Lupu miała rację, w wyniku podobnego obrzędu straciła życie jego pasierbica.

– Chodzi o wojnę – powiedział Costa. – Mars jest bogiem wojny.

Wallis dał znać dziewczynie, by przyniosła więcej zielonej herbaty.

– Racja. Ale chodzi o coś więcej. Pozwólcie mi na mały wykład. To właśnie moja rozrywka, przynajmniej przez pół roku, gdy jestem tutaj. – Mówił po włosku niemal doskonale. Gdyby Nico zamknął oczy, mógłby oszukać sam siebie, wierząc, że rozmawia z Włochem. Miękkie brzmienie głosu Wallisa sprawiało wrażenie, że mówiący jest człowiekiem wykształconym, profesorem. – Mars był ojcem Romulusa i Remusa. W pewnym sensie był więc ojcem samego Rzymu. Czczono

go raczej z tego powodu, niż dlatego że patronował wojnie. Miesiąc Marsa był poświęcony zdrowiu Rzymu, co dla jego mieszkańców oznaczało zdrowie świata. Chodziło tu o odrodzenie i odnowę poprzez ćwiczenia wojskowe i pokazy siły.

– A ofiary? – spytał Costa.

Wallis popatrzył na niego, zastanawiając się, jak odpowiedzieć.

– Być może je także składano. Kto wie, co można by zobaczyć w tym miejscu dwa tysiące lat temu? – Przesunął wzrokiem po ich zaskoczonych twarzach. – Więc wy nic nie wiecie? Myślałem, że DIA wie wszystko. Zbudowałem tę willę przed dziesięcioma laty na miejscu starożytnej świątyni. Budowa zajmowała mi czas, a mam go dużo do wypełnienia. Niektóre z posągów, które tu widzicie, wydobyto spod ziemi. Mam nadzieję, że nie doniesiecie Soprintendenza Archeologica. Wszystko przekazuję miastu w swoim testamencie. Nikomu nic się nie stanie, jeśli przez jakiś czas postoją u mnie w domu, prawda? Zresztą jest ich mnóstwo w muzeach.

– Nie przyjechaliśmy tu w sprawie posągów – powiedziała Rachele D'Amato.

Wallis popatrzył na nią i dało się zauważyć błysk pogardy w jego ciemnych oczach.

– I to mówi rzymianka. Człowiek dorastał w takim mieście, a mimo to chodzi po nim jak z zamkniętymi oczami. Chociaż ludzie się zmieniają. Dziesięć lat temu znacznie łatwiej rozmawiało się z urzędnikami od planowania przestrzennego niż teraz. Byli bardziej... elastyczni. Dziś, rzecz jasna, nigdy bym tego nie zrobił. Oni są inni, ja także. – Przerwał. – *Signora*, jest pani z DIA. Spotkaliśmy się już wcześniej, prawda? Dwa, może trzy razy?

– Dwa.

– Właśnie. Wówczas poświęciłem pani dużo czasu. Obecnie nie mam go aż tyle. Ta sprawa nie wymaga pani obecności. Oboje dobrze wiemy, że przeszedłem na emeryturę krótko po zniknięciu mojej pasierbicy. Nie ma pani powodu, by tu teraz być. Rozumiem, dlaczego w zaistniałych okolicznościach policja prosiła mnie o spotkanie, ale pani nie mam nic do powiedzenia.

Peroni złowił spojrzenie Costy, uśmiechnął się ukradkiem i po

kryjomu uniósł w górę kciuk.

– To prawda... – powiedziała i zająknęła się, zaskoczona jego bezpośredniością.

– Więc dlaczego pani tu przyjechała? – spytał Wallis.

– Z powodu tego, kim pan kiedyś był.

– Kim kiedyś byłem – powtórzył. – Spróbuję podejść do tego spokojnie, lecz musi pani zrozumieć, że jest to dla mnie rozpamiętywanie podwójnej straty.

– Podwójnej? – zapytała.

– Moja żona zmarła w Nowym Jorku niedługo po zniknięciu Eleanor.

Przypomniała sobie nagle i to złamało jej pewność siebie.

– Faktycznie, zapomniałam – wyjąkała. – Przepraszam.

– Zapomniała pani? – Wydawał się raczej zdziwiony niż urażony. – Taki drobny szczegół.

D'Amato usiłowała powiedzieć coś, by podtrzymać rozmowę.

– Jak to się stało? – przyszedł jej z pomocą Costa.

– Proszę ją spytać. – Wskazał głową Rachele. – Tak jak mówiłem, są wszystkowiedzący.

– Nie przypominam sobie szczegółów – wymamrotała.

– Nie? – Na przystojnej twarzy Wallisa przez chwilę zagościł wyraz ironicznego triumfu. Widząc to, Nico Costa pomyślał, że w tym człowieku wciąż czai się coś mrocznego. – Niech pani poczyta akta. Ja i żona podjęliśmy decyzję o separacji rok wcześniej, nim to się stało. Wynająłem dla niej apartament na pięćdziesiątym piętrze w wieżowcu blisko Rockefeller Center. Niedługo po zniknięciu Eleanor skoczyła z balkonu.

Trzej mężczyźni popatrzyli po sobie. Costa wiedział, co każdy z nich myśli: nie sposób odgadnąć, co tak naprawdę poczuł Wallis, kiedy to się stało.

– Przykro mi. Jednak procedura wymaga – podjęła D'Amato z naciskiem – by podczas przesłuchania osoby, która ma takie akta jak pan, był obecny ktoś z DIA.

Wallis uśmiechnął się lekko.

– Jakie akta? Nigdy nie byłem o nic oskarżony ani nie przyznałem

się do żadnej zbrodni. Nigdy w życiu nie popełniłem przestępstwa.

– Więc proszę mi wybaczyć, ale tak po prostu musi być.

Wallis wzruszył ramionami.

– Umiłowanie biurokracji jest jedną z cech tego kraju, których nie umiem pojąć. Nie chcę pani urazić, *signora*, ale powtórzę to, co powiedziałem wcześniej: to nie pani działka. Z policją w tych okolicznościach oczywiście porozmawiam, ale co do pani, sprawa wygląda inaczej. – Wskazał gestem podwójne drzwi wiodące na patio. – To nic osobistego. Proszę iść. Jeśli pani nie pójdzie, nie będę rozmawiać z nikim. Proszę.

– Ale... – zająknęła się i spojrzała na Falconego, szukając wsparcia. Inspektor wzruszył ramionami. Peroni cicho zachichotał.

– To absolutnie nie w porządku – syknęła, wstając z miejsca. – A my... – spojrzała gniewnie na Falconego – ...porozmawiamy na zewnątrz.

Wallis uśmiechnął się i patrzył, jak D'Amato energicznie idzie w stronę drzwi i wychodzi.

– Jest takie japońskie powiedzenie: wczoraj wróg, dziś przyjaciel. Nie zawsze się sprawdza. A szkoda. To czarująca kobieta.

– Pierwszy raz słyszę, żeby ktoś ją tak określił – powiedział Peroni.

Wallis spojrzał na niego z wyrzutem.

– Twierdzicie, że znaleźliście moją pasierbicę. Jesteście tego pewni?

– Jesteśmy – potwierdził Falcone.

– To co zajęło wam tyle czasu, że nie mogliście mi powiedzieć od razu? Przecież ciało odkryto dwa tygodnie temu.

Falcone był zbity z tropu.

– Wiedział pan, że znaleźliśmy ciało?

– Niech pan nie żartuje – powiedział Wallis miłym tonem. – Eleanor nie była co prawda moją córką, ale ją kochałem. Była wspaniałą dziewczynką. Wesolą, uroczą, inteligentną. Kochałem także jej matkę, choć to nie było łatwe. Biorę na siebie winę za to, że nasz związek był nieudany. Ale Eleanor... – Jego oczy zabłyśły, kiedy zaczął o niej mówić. – Odziedziczyła wszystkie dobre cechy swojej matki, które się w niej jeszcze uwypukliły. Miała dopiero szesnaście lat, a była tak pełna

życia, tak się we wszystko angażowała... Historia, języki. Powiem wam coś, czego nigdy nie mówiłem tej kobiecie z DIA. To Eleanor i jej matka obdarzyły mnie... tym. – Powiódł ręką wokoło.

– Jak to? – spytał Costa.

W oczach Wallisa pojawił się długo skrywany ból.

– Po prostu sprawiły, że zdałem sobie sprawę z istnienia pewnych rzeczy. Były wykształcone. Otworzyły oczy dzieciakowi wychowanemu w getcie, który do tej pory marzył tylko o nowych zabawkach. Ludzie w Stanach zadbali, żebym został magistrem prawa. W ten sposób zasmakowałem w łacinie. Lecz zanim pojawiła się Eleanor i jej matka, nie zdawałem sobie z tego sprawy. To ironia, ale gdyby ona wciąż żyła, zapewne nie byłbym tym, kim jestem. Dopiero jej strata sprawiła, że zacząłem się zastanawiać nad sobą, zmieniłem swoje życie. Dla niej to była tragiczna wymiana. Żałuję, że to się stało. – Spojrzał na Falconego. – Oczywiście wiedziałem, że macie ciało. Rodzic, który traci dziecko, nawet jeśli nie jest rodzicem w biologicznym sensie, w inny sposób czyta gazety. Myśli: „Czy to już koniec? Czy teraz już naprawdę wiadomo?”. To staje się źródłem cierpienia. Nie chodzi o samą stratę czy scenariusze jej śmierci pojawiające się w głowie. Chodzi o brak wiedzy, o wątpliwości, które dzień i noc nie dają spokoju.

Wallis wykonał gest ręką. Nie miał już nic więcej do powiedzenia.

– Mógł pan do nas zadzwonić – powiedział Costa.

– Miałbym dzwonić za każdym razem, gdy gdzieś we Włoszech odnajdują zwłoki dziewczyny? Macie pojęcie, ile czasu musiałbym spędzać przy telefonie? Zdajecie sobie sprawę, jak szybko ludzie zaczęliby mnie nazywać wariatem?

Miał rację. Nico Costa zajmował się wieloma sprawami zaginięć i wiedział, co się dzieje, gdy śledztwo nie przynosi rezultatów i nie ma ciała, tropów ani żadnych wskazówek, w jaki sposób dziecko mogło zniknąć. Często sprawa dochodzi do momentu, w którym pogrążeni w żalu rodzice stają się ciężarem i powinien zająć się nimi raczej psycholog niż policja, bo już tylko on może im naprawdę pomóc.

– Jesteście pewni? – ponowił pytanie Wallis. – Absolutnie pewni?

– Tak – odparł Falcone.

– Ale w gazetach napisano, że ciało było bardzo stare.

Falcone zmarszczył brwi.

– To pomyłka patologa. Zwłoki leżały w torfie i trudno było przeprowadzić normalne badania. W dodatku ja byłem na urlopie. Nie pozostał nikt, kto brał udział w tamtym śledztwie i mógłby dodać dwa do dwóch.

– Każdy popełnia błędy – stwierdził Wallis. – Czego w tych okolicznościach ode mnie oczekujecie?

– Chcielibyśmy, żeby pojechał pan z nami do Questury dokonać oficjalnej identyfikacji zwłok.

Wallis pokręcił głową i niemal się uśmiechnął.

– Czy jest sens identyfikować szesnastoletnie zwłoki? Poza tym powiedział pan, że już ją rozpoznaliście.

– Nie jest tak, jak pan myśli – wtrącił Costa.

– Tak, wiem. Widziałem jej zdjęcie w gazetach i pomyślałem w pewnej chwili... być może. Lecz to nie jest moja pasierbica, to trup. Zorganizuję pogrzeb i wtedy ją zobaczę. Gdy oboje będziemy przygotowani.

– Nie – powiedział twardo Falcone. – To niemożliwe. Tu trwa śledztwo w sprawie morderstwa, *signor* Wallis. Ciało nie zostanie wydane, dopóki na to nie zezwolę. Jeśli będziemy kogoś skarżyć przed sądem...

Wszyscy uchwycili nutę wahania w głosie inspektora. Wallis wpatrywał się w niego.

– Jeśli...?

– Proszę pana, żeby wrócił pan myślami do tamtego czasu. Musimy znowu otworzyć sprawę. Mamy zeznania, ale może coś nowego przyszło panu do głowy.

– Nic – odparł natychmiast Wallis. – Absolutnie nic. Już wtedy powiedziałem wam wszystko, co wiedziałem. Teraz mniej pamiętam, i może to lepiej.

– Może jeśli pan pomyśli... – wtrącił Costa.

– Tu nie ma o czym myśleć.

– Ta dziewczyna została w brutalny sposób zamordowana – powiedział Costa. – Być może podczas jakiegoś rytuału.

Wallis zamrugał.

– Rytuału?

– Starożytnego rzymskiego obrzędu, prawdopodobnie dionizyjskiego – ciągnął Costa z nadzieją. – W Pompejach jest miejsce zwane Willą Misteriów. Pewien profesor z uniwersytetu napisał na ten temat książkę, w której pokazuje swój sposób interpretacji tych obrzędów. Czytał ją pan?

Wallis przechylił głowę, najwyraźniej zaintrygowany.

– Czytam książki historyczne, a nie oparte na spekulacjach. Nic nie wiem o żadnych obrzędach dionizyjskich.

Costa spojrział na Falconego. W willi Amerykanina znajdowało się mnóstwo rzymskich zabytków z okresu cesarstwa. Zbudowano ją na pozostałościach starożytnej świątyni. Z tego, co było wiadomo, wynikało, że Wallis spędza sześć miesięcy w roku na prowadzeniu prywatnych badań historycznych. Było zupełnie niewiarygodne, żeby nic nie wiedział o misteriach.

– *Signor* Wallis – powiedział Falcone cichym głosem. – Być może jest to zbieg okoliczności, lecz zaginęła kolejna dziewczyna. Niewykluczone, że uciekła z chłopakiem. To możliwe, ale nie skłaniam się ku tej hipotezie bardziej niż ku innej: że ktoś odprawiał obrzędy dionizyjskie, kiedy zginęła pańska pasierbica, i teraz robi to ponownie. Proszę sobie przypomnieć, czy Eleanor nie była zamieszana w jakiegoś rodzaju grupę wyznaniową?

Na spokojnej twarzy Wallisa pojawiło się zdumienie.

– Co takiego? Czy wy robicie sobie żarty? Ona była zbyt inteligentna, żeby wpaść w takie kręgi. A poza tym coś bym zauważył, prawda?

– Rozumiem więc, że pan nic nie zauważył? – spytał Costa. – Czy dzień, w którym zaginęła, nie różnił się czymś od innych?

Wallis jęknął.

– Wszystko już wam opowiedziałem szesnaście lat temu. Wsiadła na skuter i pojechała do szkoły językowej. Patrzyłem, jak odjeżdża. I wiecie co? Faktycznie byłem zaniepokojony. Młoda dziewczyna na skuterze w środku Rzymu... Bałem się, że ktoś ją potrąci. Taki byłem mądry.

Falcone wręczył mu jedno ze zdjęć z mieszkania Mirandy Julius:



stojąca na placu, roześmiana Suzi. Reakcja Wallisa była zaskakująca. Wydawał się bardziej wstrząśnięty widokiem fotografii niż wszystkim, co do tej pory usłyszał. Jego twarz wykrzywił wyraz bólu, taki sam, jaki Costa zauważył w wideofonie przy bramie. Wallis zamknął oczy i milczał prawie przez minutę.

Następnie popatrzył na każdego z nich z osobna i wejrzał kolejno w ich twarze.

– Co to za przekręt? Zdaje się wam, że można ze mną pogrywać? – Wallis pokręcił głową, niezdolny kontynuować.

– To nie jest gra – powiedział ostrożnie Costa. – To zdjęcie dziewczyny, która niedawno zaginęła. Poznała chłopaka, który namówił ją, żeby zrobiła sobie na ramieniu tatuaż, taki sam, jaki miała Eleanor. Naopowiadał jej o tych obrzędach, mówił, że coś się stanie siedemnastego marca, tego samego dnia, którego zaginęła pańska pasierbica. Czy pan ją zna?

Wallis słuchał uważnie. Po raz ostatni spojrzął na fotografię, po czym oddał ją Falconemu.

– Nie. Przykro mi. Nie powinienem tracić panowania nad sobą. Ta dziewczyna przypomniała mi córkę. Jej włosy... dokładnie takie same, to wszystko. Przypuszczam, że o to wam właśnie chodziło.

Falcone odwrócił wzrok od intensywnego spojrzenia Wallisa.

– Nam chodzi o prawdę. Po to tutaj jesteśmy. Nic innego.

– To już dla mnie przeszłość. Pewnie macie jakieś domysły. – Wallis najwyraźniej chciał już zakończyć rozmowę.

– Żadnych – powiedział gorzko Falcone. – Jest ciało i kilka zbiegów okoliczności. – Popatrzył na Wallisa. – I pan.

– Do niczego się wam nie przydam, inspektorze. Nikomu się do niczego nie przydam. Jestem tylko starym człowiekiem, który próbuje godnie żyć. Moja pasierbica odeszła dawno temu. Już przed laty byłem pewny, że nie żyje. Człowiek tak naprawdę wcale nie wierzy, że dziecko tylko uciekło i żyje gdzieś teraz, ma męża, wychowuje dzieci i nie chce zadzwonić. Pozwólcie mi pograć się w żałobie. A jeśli chodzi o tę zaginioną dziewczynę... Zapewniam, że jeśli mógłbym w jakikolwiek sposób pomóc, zrobiłbym to.

Falcone stracił rezon.

– Chciałbym, żeby poszedł pan z nami na komisariat. Trzeba zidentyfikować ciało i przejrzeć pańskie zeznania...

– Zeznania, które złożyłem szesnaście lat temu! Dziś nic nie mogę już do nich dodać.

– Czasem tak bywa – wtrącił Costa – że można coś sobie przypomnieć, wracając do wydarzeń z perspektywy czasu. Jakieś drobne szczegóły, które wówczas nie wydawały się istotne.

– Nie – powiedział twardo Wallis. – Już wtedy dosyć przeżyłem. Postawmy sprawę jasno. Czy jestem podejrzany? Powinienem skontaktować się z prawnikiem?

– Zawsze może pan to zrobić – odparł Falcone – ale nie jest pan podejrzany.

– A więc nie możecie mnie zmusić, żebym z wami poszedł. Pamiętajcie, panowie, że w swoim czasie zdobyłem wykształcenie prawnicze. Na studia posłali mnie ludzie, którzy bardzo potrzebowali doradców w tej dziedzinie. To było co prawda prawo amerykańskie, ale jeśli będzie trzeba, wiem, jak uaktualnić swoją wiedzę. Nie próbujcie ze mną żadnych sztuczek, nie pozwolę na to. Nasze spotkanie dobiegło końca. Umówię się z firmą pogrzebową i jej pracownik skontaktuje się z wami w sprawie ciała. Gdy będziecie gotowi, pochowam dziecko.

Wallis klasnął w dłonie. Dziewczyna w białym fartuchu weszła do pokoju i ukloniła się, oczekując na polecenia.

– Załatwiliśmy już nasze sprawy, Akiko. Proszę, odprowadź panów do wyjścia.

Skłoniła się i znacząco popatrzyła w stronę drzwi.

– „Zawrzyjmy umowę. Ja nie będę chwytał za skalpel, a pani nie będzie przesłuchiwać potencjalnych świadków”. Za kogo on się uważa, ten Falcone? Gdyby nie ja, nie wiedziałby połowy tego, co wie. Zdaję sobie sprawę, że nie mam prawa żądać od niego wdzięczności, bo to zbyt wygórowane oczekiwania, ale przydałaby się chociaż odrobina szacunku.

Teresa Lupo siedziała za kierownicą swojego wiśniowego seata leona i jechała sto sześćdziesiąt na godzinę autostradą biegnącą w stronę wybrzeża za lotniskiem Fiumicino. Swoje uwagi kierowała do pulchnej pomarańczowej maskotki, kota Garfielda, która kiwała się na sznurku

przyczepionym do lusterka. Kot był zszarzały od papierosowego dymu i wyglądał, jakby nie zdążył uciec z Pompei na swoich poliestrowych nóżkach. Towarzyszył jej w wielu samotnych podróżach. Był dobrym słuchaczem.

Wspomnienie uwag Falconego dręczyło ją przez całą drogę powrotną do biura. Jego słowa płonęły w jej głowie, gdy kończyła wstępny raport na temat zwłok z bagna, oparty na wynikach kilku badań. Miała nadzieję, że gniew nie wpłynie na obiektywność jej sądów. W zasadzie nie dało się nic dodać do tego, co już wiedzieli. Dziewczyna zmarła, ponieważ ktoś rozciął jej gardło. Rana była dość równa i czysta, co wskazywało, że raczej nie powstała w czasach rzymskich. Mieli też nasiona, wysłane do analizy mieszkającemu we Florencji ekspertowi, który zajmował się ogrodnictwem. Takie były fakty i chociaż dokładna autopsja miała zostać przeprowadzona następnego ranka, Teresa Lupo wiedziała, że ze zwłok nie uda się już pozyskać wiele informacji. Wszystkie ślady, które dawało się odkryć w normalnych przypadkach – nitki, odpryski farby, włosy, plamy krwi, a przede wszystkim DNA – jeśli w ogóle były na zwłokach, zostały wypłukane przez kwaśne wody oddziałujące latami na ciało biednej dziewczyny.

Wciąż dziwiło ją, że pierwsza hipoteza, którą postawiła, była tak bardzo obojętna Falconemu. Może i dziewczyna zmarła szesnaście, a nie kilka tysięcy lat temu, jak początkowo uważała, ale przecież nie można odrzucić tezy, że wszystko to było w jakiś sposób powiązane z tajemnymi obrzędami i rytuałami dionizyjskimi. Kiedy w apartamencie w Teatro di Marcello obejmowała zdenerwowaną i spiętą Mirandę Julius, wiedziała, że Nico Costa ma rację. Ta część zagadki – kto i dlaczego spowodował zniknięcie Suzi – wciąż domagała się wyjaśnienia. Może była nawet ważniejsza niż inne. W końcu Suzi, jak można przypuszczać, ciągle żyła.

Falcone spoglądał na sprawę z policyjnego punktu widzenia. Mógł mieć rację. Zwykle miał. A jednak Teresa nie mogła się pozbyć wrażenia, że w jego rozumowaniu tkwi jakieś niedopatrzenie, którego nie umiała wskazać. Przecież choćby jutro, o ile Suzi Julius się do tego czasu nie odnajdzie, Falcone mógł wypuścić ludzi na ulice i rozpocząć szeroko zakrojoną akcję poszukiwawczą, gdyby uznał to za właściwe.

Mógł przekazać fotografię telewizji i gazetom w nadziei, że ktoś rozpozna dziewczynę. Takie działania według Teresy były potrzebne, ale wdrażano je zbyt powoli. Falconemu wymykała się całość układanki. Ktoś wykorzystał Eleanor Jamieson do liczącego kilka tysięcy lat obrzędu. Dlaczego? Jakiego rodzaju ludzie zachowywali się w ten sposób? Co ich do tego skłaniało? A wreszcie, pytanie bardzo zasadnicze, skąd brali swoje pomysły? Mieli jakąś instrukcję obsługi przekazywaną z pokolenia na pokolenie? Jeśli tak, to przez kogo?

Teresa Lupo nie potrafiła wymazać z głowy obrazu Mirandy Julius. Nie wiedziała, co to znaczy być matką. Instynkt podpowiadał jej, że nigdy się nie dowie. Mimo to tam, na sofie, w luksusowym, bezosobowym apartamencie, który już zaczął sprawiać wrażenie, jakby zamieszkiwała go jedna samotna osoba, wyczuwała jakieś potężne emocje rozpalające tę kobietę. Fakt, że Miranda była kiepskim rodzicem. Fakt, że dziewczyna mogła po prostu mieć ochotę, żeby się trochę zabawić. Nie byłaby to pierwsza sprawa, w której rozpoczynano poszukiwania, a potem okazywało się, że chodziło tylko o szczeniackie figle. Jednak to było bez znaczenia. Mieli przecież obowiązek postępować w taki sposób, jakby chodziło o najpotworniejszą zbrodnię, i nie spuszczać z tonu do chwili, aż Suzi Julius znajdzie się bezpiecznie w ramionach matki.

Albo się nie znajdzie.

Tłumaczyła sobie, że to właśnie z tego powodu pędzi teraz jak wariatka autostradą wzdłuż wybrzeża, w kierunku Ostii. Naginała regulamin tak mocno, że w każdej chwili mógł pęknąć na tysiąc kawałków wraz z jej karierą. Musieli dowiedzieć się więcej o tej stronie sprawy, którą Falcone wydawał się najmniej zainteresowany: co się stało ze starożytnymi obrzędami i dlaczego komuś przyszło na myśl, że należy je wskrzesić.

Wiedziała, że jest tylko jeden człowiek, z którym może o tym porozmawiać. Profesor Randolph Kirk z Uniwersytetu Rzymskiego powinien znać odpowiedź. Wciąż myślała o jego książce. Nie chodziło tylko o to, że była to jedyna praca naukowa na ten temat, jaką udało jej się znaleźć. Książka była na poły akademicka, na poły oparta na spekulacjach. Kirk pisał tak, jakby znał odpowiedź dosłownie na każde

pytanie, ale nie chciał się nią dzielić. Może przygotowywał drugą część. Wtedy mogłaby się zaoferować jako recenzentka. Wystarczyło dostać się na wykopaliska, gdzie – jak ją zapewniono przez telefon – Randolph Kirk tego dnia pracował.

Zjechała z autostrady i zatrzymała się na poboczu szosy, żeby sprawdzić mapę. Wykopaliska znajdowały się blisko miejsca, gdzie znaleziono zwłoki dziewczyny – w odległości dwóch, może trzech kilometrów. Nasunęło jej się dziwne skojarzenie. Odepchnęła je od siebie.

Pięć minut później znalazła miejsce, do którego jechała. Znajdowało się na skraju terenu wykopalisk Ostia Antica, niedaleko stacji benzynowej przy bocznej drodze wiodącej do Rzymu. Posesję otoczono siatką, a wykop nowoczesnym murem ochronnym. Wcisnęła guzik domofonu przy bramie, zastanawiając się, czy gdzieś tam brzmi dzwonek. Gdy spojrzała przez siatkę, zobaczyła, że jedynym miejscem, w którym mogli skryć się ludzie, były przenośne budynki biurowe, zgrupowane po przeciwnej stronie ogrodzonego terenu.

Po chwili pojawił się samotny, łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce z rzadką siwą brodą. Miał na nosie grube okulary, zza których patrzyły nieobecne oczy. Randolph Kirk był mniej więcej wzrostu Teresy i najwyraźniej mocno się zapuścił. Jego obrośnięte brodą policzki były rumiane, a nos wyglądał jak czerwona poduszeczka na szpilki. Pewnie od picia. Gdy chodził, kołysał się zabawnie na boki jak człowiek, który ma problemy z biodrami. Nie nosił ubrania w stylu safari, którego się po nim spodziewała, lecz workowate tanie dżinsy i spłowiałą zieloną wiatrówkę. Bardzo się zawiodła. Wyobrażała sobie kogoś w stylu Indiany Jonesa, zaniedbanego, ale pełnego romantyzmu. Może wykopywanie starożytnych domów nie przyciągało takich typów.

Nagle mężczyzna kichnął. To było zdumiewająco potężne kichnięcie z użyciem pełnej objętości obu płuc, tak głośne, że mogłoby obudzić umarłego, i bardzo mokre. Mimowolnie zamknęła oczy, świadoma, że na dobre kilka sekund powietrze wokół niej zmieniło się w wilgotną mgłę. Gdy je otworzyła, zobaczyła, jak Randolph Kirk grzebie w swoim czerwonym, bulwiastym nosie za pomocą najbardziej ufajdanej chusteczki, jaką w życiu widziała, pokrytej ciemnymi

zawijasami, które wyglądały jak tajemne hieroglify.

– Profesor Kirk? – spytała. Uśmiechnęła się tak szeroko, jak tylko potrafiła, usiłując zagłuszyć dźwięczącą w jej głowie dziecięcą podwórkową rymowanek: „Tylko proszę dłubie w nosie”.

– To ja – powiedział i rozejrzał się wokół. Jest tu sam, pomyślała Teresa. Czy samotna kobieta jest aż tak straszna?

– Nazywam się Teresa Lupo. Dzwoniłam do pana w sprawie książki.

W rozmowie telefonicznej rozplýwała się w pochwałach. Autorom książek zawsze się to podoba.

– Ach tak, proszę mi wybaczyć – wydyszał, atakując kłódkę zestawem kluczy. – Nie chciałem być nieuprzejmy. Proszę wejść, zapraszam serdecznie.

Wypowiadał się w sposób precyzyjny, z akcentem ludzi wykształconych, który we Włoszech zawsze dało się usłyszeć w mowie angielskich profesorów z Cambridge albo z Oksfordu, wynoszących się ponad slang i język zwykłych ludzi.

Kirk raz jeszcze kichnął z siłą gejzeru.

– Co za diabelne przeziębienie. Nie znoszę chorować.

Teresa wyminęła go w dużej odległości. Przeszli obok rozkopanych pozostałości starożytnej willi, ponakrywanych plandekami i obstawionych rusztowaniami, i dotarli do większego z przenośnych baraczków biurowych. Kirk zaprowadził ją do swojego tonącego w bałaganie biura. Wszędzie wały się papiery, kawałki kamieni i zdjęcia malowideł. Jedno małe okienko ledwie przepuszczało światło. Profesor zasiadł w starym, skórzanym fotelu, który wyglądał, jakby sam go sobie wykopał, a Teresa przycupnęła naprzeciwko na rozchwierutanim taborecie przeznaczonym najwyraźniej dla studentów. Zapropował jej puszkę ciepłej coli. Odmówiła.

– Podobała się pani książka?

– Bardzo, profesorze. Otworzyła mi oczy. Zawsze sądziłam, że ten okres historyczny był bardzo interesujący, ale pan pozwolił mi zobaczyć różne sprawy w nowym świetle.

– No proszę – westchnął i wrzucił do ust kilka tabletek, które splukał łykiem coli. – Jest pani bardzo miła. Trzeba pani wiedzieć, że

prawie nic nie zarobiłem na publikacji. Przeklęty wydawca zapłacił jakieś drobniaki za manuskrypt, wydrukował kilka egzemplarzy i zamknął je w magazynie gdzieś na zadupiu. To cud, że pani do niej dotarła.

– Cuda się zdarzają.

– To prawda – powiedział z uśmiechem i wznosił toast puszką.

Teresa spojrzała na zewnątrz. Teren wykopalisk był opustoszały.

– Dzisiaj nie kopiecie?

– Cała ekipa wyjechała na tygodniową praktykę do Niemiec.

Przyszedłem tu tylko po to, żeby wypełnić kilka dokumentów. – Machnął ręką w kierunku papierów piętrzących się na biurku.

– Jest pan pewny, że to takie pilne? Ma pan grypę i w ogóle.

– Tak, to pilne – rzekł, po czym dodał z nutą próżności w głosie: – Może pani wie, że jestem szefem wydziału.

– Oczywiście – potwierdziła gorliwie, nie mogąc oderwać oczu od chusteczki, która znów poszła w ruch.

– Chciałaby pani ją zobaczyć?

– Co?

– Naszą Willę Misteriów, cóż by innego? Zazwyczaj nie wpuszczamy tam ludzi bez zaproszenia. I nawet wtedy nie proponujemy zwiedzania byle komu. Nie uwierzyłaby pani, ilu tu wszędzie wokół złodziei. Parę tygodni temu przyjechała dwójka Amerykanów. Szukali skarbów z wykrywaczem metali, wyobraża to pani sobie? Posłałem kilku chłopaków, żeby ich przegonili.

– Słusznie. Może kiedy indziej obejrzę willę.

Jej reakcja chyba go rozczarowała. Powinna była odnieść się do propozycji z większym entuzjazmem. – Nie jest oczywiście tak sławna jak ta w Pompejach, co nie znaczy, że mniej interesująca.

– Jest duża?

– O tak. Zapewne okaże się większa, niż widać, ale tego się dowiemy, kiedy skończymy kopać.

– Będzie wielkości przeciętnej świątyni tego typu?

Przez jego twarz przemknął wyraz niezadowolenia, jakby zadała pytanie, którego się nie spodziewał.

– Świątynia to niezbyt dobre określenie. To były raczej prywatne

budynki o religijnym charakterze. Do świątyń mógł wejść niemal każdy.

– Racja. – Pomyślała o brudzie znalezionym za paznokciami martwej dziewczyny. Nie pochodził z Ostii, ale z Rzymu, co do tego nie było wątpliwości. – Zastanawiam się... skoro coś tak fascynującego znalazł pan na przedmieściach, to jak wyglądałaby taka willa w samym Rzymie?

Pociągnął nosem.

– Byłaby potężna. Zapierająca dech w piersiach. Przypuszczam, że ona gdzieś tam jest. Czeka, żeby ją odkryć. Jak napisałem w książce, jest to Willa Misteriów. Serce kultu. Miejsce, które zapewne przed śmiercią chciał zobaczyć każdy akolita. Oczywiście nikt mi nie da pieniędzy na poszukiwania. – Popatrzył ponuro na leżące przed nim papiery. – Zresztą i tak nie mam czasu.

W duszy tego człowieka tkwiła dziwna mieszanina arogancji i rozczulenia nad własnym losem. Lubił też zwodzić. Może właśnie po to napisał książkę: miała stanowić rodzaj historycznej prowokacji.

– Bardzo bym chciała trochę się tu rozejrzeć, profesorze – powiedziała – ale czy najpierw mogłabym zadać panu kilka ważnych pytań?

W jednej chwili nabrał podejrzliwości.

– Pytań?

Oparła się łokciami o stół, skrzyżowała ramiona i spojrzała w paciorkowate oczy profesora. Randolph Kirk kiepsko wyglądał i nie chodziło tylko o przeziębienie. Wydawał się zmęczony, jakby niewiele spał w ostatnich dniach. I spięty.

– Będę z panem szczerą. Kiedy powiedziałam panu, że jestem naukowcem i szukam porady, nie wyjawiałam całej prawdy.

– Tak? – powiedział cicho.

Wyjęła legitymację.

– Profesorze, nie jestem tutaj oficjalnie. Nikt w Questurze nie wie nawet, że się z panem spotykam, więc proszę się niczego nie obawiać. Nie chcę marnować pańskiego czasu, więc nie będę opowiadać całej historii. – W którą i tak by pan pewnie nie uwierzył, pomyślała, bo trudno dać wiarę, jak oporni mogą być gliniarze, kiedy chodzi o wykorzystanie osiągnięć nauki i własnej inteligencji. – Streszczę się



w kilku słowach. Jestem patologiem policyjnym. Mam właśnie na stole ciało, które wygląda, jakby żywcem wyjęte z obrzędów, które tak akuratnie opisał pan w swojej książce. Znaleźli je ci sami Amerykanie, którzy panu przeszkadzali. Pisano o tym w gazetach.

– Poważnie? – powiedział jękliwie. Nie wyglądał na człowieka, który czyta gazety i ogląda telewizję.

– Na ramieniu ma tatuaż przedstawiający wrzeszczącą maskę. W ręce trzymała tyrs, łodygę kopru z sosnową szyszką przymocowaną u góry. W jej kieszeni znalazłam nasiona. Wszystko wyglądało tak, jak pan to opisał. Ciało znaleziono niedaleko stąd, w torfie, który je zakonserwował i uniemożliwił zastosowanie normalnych metod datowania, co początkowo trochę nas... zmyliło.

Poruszył się niespokojnie w fotelu, który skrzypnął i stęknął.

– Ach tak.

Kirk powoli zaczął działać Teresie na nerwy.

– Wszystko jest tak jak w pana książce. Dziewczyna miała szesnaście lat. Właściwy wiek. Jedyna różnica jest taka, że poderżnięto jej gardło. Od tyłu. Jeden ruch. Ostry nóż.

Teresa wykonała gest ręką, jakby trzymała ostrze. Zarumienione policzki profesora poblady nieco, po czym chusteczka wykonała taniec po jego twarzy.

– Początkowo myślałam, że mam do czynienia z ciałem z bagna, sprzed tysiący lat, zwłokami osoby, którą być może poświęcono i pogrzebano w torfie. Lecz tak nie było. Wiemy, co to za dziewczyna, a przynajmniej tak nam się wydaje. Zmarła zaledwie szesnaście lat temu. Włożono jej nawet monetę do ust. Zapłata dla przewoźnika. Co pan na to?

– Hm – mruknął. – Ciekawe.

– Ja po prostu chcę zrozumieć, co kierowało tymi ludźmi. Co chcieli osiągnąć? Wiedzę?

Pokręcił głową.

– Nie chodziło o wiedzę.

– A więc co? Jakiś rodzaj umiejętności? Może to był tylko sposób na przyjęcie do klubu czy coś w tym rodzaju?

Pomyślał przez chwilę.

– Przyjęcie do klubu – powiedział. – Ciekawy pomysł.

Teresa zaczęła odczuwać rozdrażnienie.

– Liczyłam na to, że jako znawca tych obrzędów będzie mi pan mógł pomóc. Bo widzi pan, jest jeszcze jedna dziewczyna. Dzisiaj zaginęła. Wydaje się... – szukała odpowiednich słów – ...że te dwie sprawy są do siebie podobne. Jakby coś miało nastąpić pojutrze, siedemnastego marca.

– Siedemnastego marca? – Poza grzebaniem w ospowatym, czerwonym nosie Kirk miał jeszcze jeden nawyk. Wskazującym palcem prawej ręki przesuwał po nim okulary w górę i w dół. Teresa uznała, że to pomaga mu myśleć. – Pani jest policjantką?

– Nie – zaprzeczyła. – Jestem patologiem współpracującym z policją.

– Dlaczego pani im nie powiedziała, że tutaj przyjeżdża?

– Dlatego że... – To było dziwne pytanie. Dzwonek alarmowy, który zaczynał dzwonić gdzieś w tyle jej głowy, nagle zgłupiał. – Czy może mi pan pomóc, profesorze?

Okulary wędrowały w górę i w dół. Nie wyglądał na silnego faceta. W ogóle nieszczególnie wyglądał.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Randolph Kirk i nagle wstał z fotela. – Mam problem z żołądkiem. Muszę na chwilkę wyjść. – Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił w jej stronę. – Proszę poczekać. To może potrwać parę minut.

Pół godziny później coraz bardziej skołowana Teresa wstała i nacisnęła klamkę. Profesor zamknął drzwi na klucz. Podeszła do okna i przyjrzała się ramie. Skobelek zardzewiał dawno temu. Zapewne nikt nie otwierał go od lat.

– Niech to szlag trafi – jęknęła. – Niech to cholerny szlag trafi.

Komórka ledwie łapała zasięg. Teresa zaczęła się zastanawiać, do kogo zadzwonić i co powiedzieć. Falcone rozedrze ją na strzępy. I oby to był jej największy problem.

– Nie panikuj, kobieto. To naukowiec. Ma nos jak dynia, a wirusy w jego żyłach tańczą macarenę. Nie ma powodu do obaw, chyba że stanie w drzwiach z siekierą w ręku.

Mimo to rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś,

czego mogłaby użyć jako broni. Na szafce z dokumentami znalazła mały młotek, nic więcej.

– Nico – mruknęła, wybierając numer. – Przyjedź i uratuj księżniczkę. O cholera...

W telefonie zabrzmiał jeden sygnał i nastąpiła cisza. Na zewnątrz dał się słyszeć silnik motocykla. Sądząc po niskim basowym dźwięku, była to potężna maszyna.

Zamarła z ręką na klawiaturce i zaczęła nadśluchować. Chyba działo się coś ważnego.

Minęło kilka sekund i do Teresy Lupo przestały docierać dźwięki. Jakaś niewidzialna siła, może tętnienie krwi w uszach, wygłuszała wszystkie hałasy dochodzące zza drzwi i Teresa poczuła, że powinna przyjąć to z ulgą. Była zaznajomiona ze śmiercią, ale nie z umieraniem. Znalazła się w roli przypadkowego świadka podsłuchującego niemy spektakl, który rozgrywał się w cieniu. Nawet gdy pracowała jako lekarz i widziała ludzi umierających w szpitalu, było to w jakimś sensie normalne. Nic nie działo się nieoczekiwanie ani brutalnie. W inny sposób kończyło życie wielu jej klientów trafiających na chromowany stół sekcyjny, lecz ona sama nie miała pojęcia, jak to jest.

Teraz jednak działo się to kilka metrów od niej, za cienkimi drzwiami biura profesora Kirka. Usłyszała rozgrywający się dramat, głośniejszy niż bicie jej serca. Był jak transmisja radiowa, którą słyhać przez ścianę w mieszkaniu sąsiada. Głos, dwa głosy, oba wysokie, jeden się wznosi, drugi, przerażony, opada.

Potem wrzask i wystrzał pistoletu, tak głośny, że zagłuszający wszystko.

Na moment Teresa przestała oddychać. Stało się coś dziwnego. W jej głowie pojawiła się pustka, czysta karta oczekiwania na to, co będzie dalej, której miejsce zajęła złowieszcza, mroczna pewność, że ludzka istota, a konkretnie Randolph Kirk, straciła życie. Istnienie człowieka zostało przerwane, a Teresę Lupo najbardziej przeraziło to, że chyba coś poczuła, może jego ducha, jakiś oddalający się cień, który przeniknął przez jej ciało, zostawiając w umyśle tylko jedno słowo: uciekaj.

Nie potrafiła jasno myśleć. Ledwie mogła złapać oddech.

Zabrzmiały kroki, a ona nie była w stanie się poruszyć, tylko wpatrywała się w drzwi i wsłuchiwała w pobrzękiwanie kluczy trzymanyh niezaznajomioną z nimi ręką, kluczy, które jeden po drugim chrobotwały w zamku.

– Wyłącznie to cholerstwo – warknął Falcone. – Usiłuję myśleć.

Siedzieli w gabinecie Falconego i oglądali nagrania z kamer filmujących Campo, kiedy zadzwonił telefon Costy. Zabrzmiał tylko raz, nim Costa go wyciszył. Panowały minorowe nastroje. Rachele D'Amato obraziła się i nie interesowało jej poszukiwanie związków między Eleanor Jamieson i Suzi Julius. Falcone na widok skąpego wstępnego raportu na temat zwłok pasierbicy Wallisa zmarszczył tylko gniewnie brwi. Zapis z kamer na pierwszy rzut oka wydawał się przewidywalny, ale nie dawał Coście spokoju.

Kierowca motocykla miał na sobie błyszczący kask z nieprzezroczystą szybą i okrywający całe ciało czarny, skórzany ubiór, podobny do tych, jakie noszą uliczni złodziejaskowie wyjeżdżający do miasta, żeby ukraść coś na wydrę. Dziewczynie brakowało tylko wielkiego neonu z napisem „turystka”. Zobaczyli ją na ekranie – przeciskała się przez falujący na Campo tłum z płócienną torbą na ramieniu, ubrana w podkoszulek i czarne dżinsy, tuż przed oczami dwóch umundurowanych, znudzonych karabinierów stojących obok samochodu. Costa nie mógł uwierzyć, jak bardzo nic ich nie obchodziło. Suzi chyba przed czymś uciekała, a przynajmniej tak mu się wydawało. Komuś powinien się odezwać dzwonek alarmowy.

Dłoń motocyklisty poruszała się na manetce gazu. Z dziewczyną działo się coś dziwnego. Nie mógł rozpoznać, czy płakała, czy się śmiała. Wtedy kolejna postać pojawiła się w polu widzenia kamery. Miranda Julius biegła, przepychając się przez tłum kupujących, i wołała w ślad za oddalającą się córką.

Costa zastanawiał się, czy przypadkiem nie odczytuje całej sceny w błędny sposób. Niekiedy policjanci za bardzo się angażowali. Wplątywali się w sprawy rodzinne, które najlepiej było pozostawić samym sobie. Mylnie interpretowali wydarzenia i kończyli obrzuceni jajkami. Suzi podbiegła do dużego, potężnego motocykla, cmoknęła bok kasku, wsiadła na tylną część siodła i objęła kierowcę w talii. Wskoczył

bieg, motorem szarpnęło i chwilę potem oboje odjeżdżali, lawirując wśród tłumu.

Kiedy motocykl docierał do rogu placu, dziewczyna odwróciła się, wciąż obejmując kierowcę jedną ręką, i popatrzyła w tył, jakby szukała kogoś wzrokiem. Miranda zatrzymała się i spojrzała na karabinierów. Nie mogła złapać tchu. Suzi uniosła dłoń do ust i posłała pożegnalnego całusa przez Campo, a potem motocykl zniknął w głębi Corso.

Nastolatka ucieka z chłopakiem? Być może, pomyślał Costa. To wszystko wyglądało jak proste rodzinne nieporozumienie i nawet sprawiało wrażenie, jakby było wyreżyserowane na użytek obserwatorów. Może nawet dziewczyna tak to właśnie widziała. Jednak coś tu było nie tak. Motocykl nie miał tablicy rejestracyjnej. Nawet uliczne łobuziaki nie ubierały się całkiem na czarno i nie nosiły kasków z matową szybką. Raczej nie jeździły też na takich wielkich motorach z potężnym silnikiem. Skutery są tańsze i łatwiej nimi manewrować. To wszystko za bardzo przypominało przedstawienie.

– Nie podoba mi się to – powiedział, kiedy film z kamery dobiegi końca. – Czemu motocykl nie ma tablicy?

Rachele D'Amato poruszyła się na krześle.

– Może byśmy tak skupili się na tym, czym powinniśmy się zająć? Nie przyszedłem tu po to, żeby szukać nastolatk na gigancie.

– Te sprawy mogą być powiązane – powiedział Falcone. – Costa ma rację. Jest w tym coś dziwnego.

Wstał i otworzył drzwi biura. Główna sala Questury świeciła pustkami: przy biurkach pracowało góra dziesięciu funkcjonariuszy, czyli – z powodu grypy – mniej niż połowa normalnego stanu. Falcone spojrzał na policjanta siedzącego najbliżej drzwi jego gabinetu.

– Bianchi. Kto z was zna się najlepiej na kamerach miejskiego monitoringu?

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

– Z ludzi, którzy są akurat w pracy? Ja. Prawdziwym macherem jest Ricci, tylko że on siedzi w domu z Niagarą zamiast nosa. Jak będzie trzeba, mogę do niego przekręcić, powie mi co i jak. A w czym problem?

– Załatwcie zapis z kamer na Corso. Chcę się dowiedzieć, dokąd pojechał ten motocykl.

Bianchi zawahał się.

– To kawał roboty, inspektorze. Każda kamera obserwuje kawałek ulicy długi na mniej więcej sto metrów. Raz już to kiedyś robiłem. Można przepatrzeć góra kilometr dziennie. Jeśli gość przejechał większy dystans, to przy dużej dawce szczęścia zajmie nam to tydzień.

Falcone zmarszczył brwi i raz jeszcze przesunął wzrokiem po biurze.

– Poświęć na to jeden dzień. Może nie pojechał daleko.

– Dobrze – powiedział Bianchi.

– Dostarcz też mediom kilka zdjęć. Ale nie rób wokół sprawy wiele szumu, nie chcemy wzbudzać paniki. Powiedz tylko tyle, że dziewczyna zaginęła i poszukujemy informacji. Na razie nie ma powodu do obaw, ale chcielibyśmy, żeby skontaktowała się z nami osobiście albo żeby odezwał się ktoś, kto ją widział.

– Zrobi się, szefie – powiedział Bianchi, podnosząc słuchawkę telefonu.

Falcone zamknął drzwi, wrócił do swojego biurka i popatrzył na D'Amato.

– Powiedz mi o Wallisie coś, czego nie wiem.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Mówisz poważnie? Sytuacja, jeśli dobrze rozumiem, wygląda tak, że on w ogóle nie chce mieć ze mną do czynienia, a gdy w rozmowie zaczynają padać ważne pytania, z wami także nie rozmawia.

– Wydaje mi się, że nie on sam o tym decyduje – powiedział Costa – a w każdym razie nie całkowicie. Jest tak, jakby ciągle oglądał się na kogoś. Tylko na kogo?

Rzuciła mu chłodne spojrzenie. Znała odpowiedź, ale chciała, żeby na nią zapracowali.

– Słucham – ponaglił Falcone.

Przeklęła cicho pod nosem.

– Wallis poważnie naraził się gangsterowi, z którym miał się zaprzyjaźnić. Chodzi o Emilia Neriego.

– To wiemy – przerwał jej Falcone niecierpliwie.

– Być może – odparła – ale nie rozumiecie, co to oznacza. Ludzie

z obu stron, Amerykanie i Sycylijczycy, musieli przyjechać, żeby ich rozdzielić. Grube ryby nie lubią takich sytuacji. Wallisa ukarano, wysyłając go na emeryturę. Kara nie pozostaje bez konsekwencji. Moje domysły są takie: jeśli oni dowiedzą się, że Wallis znowu kombinuje przy sprawach, od których powinien trzymać się z daleka, i że z nami rozmawia, będzie miał poważne kłopoty.

– A co z tym Nerim? – spytał Peroni. – Pamiętam go z roboty. Jaką on dostał karę?

– Dali mu klapsa i pogrozili palcem – odparła. – Neri był tu na swoim terenie. Każdy wiedział, że kiedyś wespnie się na szczyt. Poza tym... to jednak inny gatunek człowieka. Wallis jest wykształcony, zna granice. Przyjechał tu w interesach, a nie żeby wypełnić jakąś osobistą wendetę. Za to Neri byłby zdolny rozkopać grób swojej babci i zrobić sobie bransoletę z jej zębów.

Costa pomyślał, że ta wiedza nie zbliża ich do ustalenia, co się stało z Eleanor Jamieson, ani do tego, gdzie jest teraz Suzi Julius.

– A może Neri miał coś wspólnego ze śmiercią dziewczyny? – powiedział. – Może właśnie w ten sposób ukarał Wallisa?

– Neri to bandyta bez skrupułów – stwierdził Falcone. – Gdyby chciał kogoś zabić, zabiłby jego samego.

Zwrócił się do D'Amato:

– Mylisz się, jeśli twierdzisz, że Neri nie ma żadnych zasad. Ludzie tacy jak on postępują według określonych reguł. Muszą utrzymywać pozycję w oczach swoich żołnierzy. Zabicie nastolatki, żeby ukarać innego gangstera... nie wygląda dobrze. Źle wpłynęłoby na jego wizerunek. Poza tym musiałby to zrobić tak, żeby każdy widział, czyja to robota, w przeciwnym razie po co się trudzić? Gdyby się przyznał, wiedzielibyśmy o tym.

– Mimo to zostaje wiele spraw, o których moglibyśmy z nim porozmawiać – stwierdziła D'Amato. – Co to szkodzi?

– Rozumiem! Rozumiem! – powiedział Peroni trochę zbyt głośno. – Znaczy to tyle, że DIA trzyma się nas, póki mamy na celowniku mafię. Jeśli okaże się, że to dochodzenie w sprawie morderstwa, nie będziecie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

Strzeliła w niego dzikim spojrzeniem.

– Usiłuję pomóc! Moglibyście wreszcie przestać mnie traktować jak wroga?

Peroni spojrzał przez okno i gwizdnął.

– A co z dziewczyną? – spytał Costa. – Gdzie w tej układance mieści się Suzi Julius?

Falcone popatrzył na ekran telewizora, gdzie zamrożony obraz pokazywał stojącą na Campo Mirandę z oczami utkwionymi w miejscu, z którego odjechał motocykl. – Cholernie chciałbym to wiedzieć. Miejmy nadzieję, że to po prostu jeszcze jeden dzieciak, który uciekł z domu. Nie mam wyjścia, muszę traktować tę sprawę właśnie w taki sposób, chyba że wyjdą jakieś nowe fakty. Jeśli znajdziecie jakikolwiek trop, który wskazywałby, że może chodzić o coś więcej, dajcie mi o tym natychmiast znać. Ale na razie... – Falcone zwrócił się w stronę Costy – ...musimy jasno określić nasze priorytety. Mamy zabójstwo i to ono powinno być w centrum uwagi. To w tej chwili jedyna rzecz, której jesteśmy pewni.

– Suzi Julius ciągle żyje. – Oczywiście wyobraźni Nico wciąż widział Mirandę oraz cierpienie i pełne strachu wyczekiwanie wypisane na jej twarzy.

– Wiem o tym – powiedział stanowczo Falcone. – Robimy wszystko, co możemy, Nico.

– Nas też dopuścisz do śledztwa? – zapytała D'Amato. – Znasz zasady, Leo. Tu chodzi o przestępczość zorganizowaną. Czy ci się to podoba, czy nie, ludzie, o których rozmawiamy, siedzieli w tym po uszy przez całe lata. Neri zresztą wciąż siedzi.

– Dobra, dobra. Dopuszczam was do śledztwa. – Falcone popatrzył na zegarek, a później na nią. – Ale umawiamy się, że dzielimy się wszystkim. Czy to jasne?

Uśmiechnęła się.

– Nie mogłoby być inaczej.

Falcone podniósł się z miejsca, a wraz z nim wszyscy troje.

– Pogadajmy z tą harpią z kostnicy. Jej raport jest marny i ona o tym wie.

Costa włączył telefon, kiedy wychodzili z biura. Martwił się, że nie mógł odebrać. W tej chwili wolał trzymać rękę na pulsie.



Dzwonek zabrzmiał w chwili, gdy Costa był w połowie korytarza. Głos Teresy Lupo był tak głośny, że prawie uszkodził mu bębenek.

Wypowiedziała tylko jedno urwane zdanie, po czym nastąpiła cisza.

W pewnych sytuacjach głupie rzeczy same przychodzą do głowy.

Człowiek myśli na przykład, żeby chwycić przedpotopowy monitor komputerowy i rzucić nim w okno z zardzewiałym zamkiem, przez które i tak nie da rady się precyzyjnie, nawet gdyby pękła szyba czy puścił skobel.

Albo siedzi w podrabianej rzymskiej willi na wzgórzu Janikulum, wspominając czasy, gdy trzeba było mocno się nagłówkować, żeby pozostać przy życiu.

Albo też, jak Emilio Neri, którego telefon tego popołudnia rozgrzał się prawie do czerwoności, sunie niczym chmura gradowa przez pokoje nowobogackiego pałacu przy Via Giulia zdumiony, jak to możliwe, że przeszłe sprawy mogą nagle wypłynąć dosłownie znikąd, a przy tym przeklinając swojego marnotrawnego syna i rozrzutną żonę, bo nie ma ich pod ręką, kiedy miałby ochotę na nich nawrzeszczyć.

Strach i wściekłość zajmują to samo terytorium i przenikają się wzajemnie. Teresa patrzyła, jak krok od niej przekręca się gałka w drzwiach, i poczuła, że ogarnia ją jednocześnie furia i przerażenie. Usiłowała za wszelką cenę narzucić swoim myślom porządek. Nagle wziął górę zwierzęcy instynkt. Stała obok drzwi od strony zawiasów i uniosła oburącz mały młotek, czekając, co nastąpi.

Zajęło to krótką chwilę. Gałka przekręciła się, a drzwi powoli otworzyły. Wstrzymała oddech, zastanawiając się, co spodziewa się ujrzeć napastnik. Pewnie drżącą postać skuloną w rogu.

– Nie jestem tchórzem – wyszeptała sama do siebie. Czekwała, aż tamten szerzej otworzy drzwi i stanie w przestrzeni między nimi a framugą.

Miała mięśnie patologa i ważyła trochę więcej, niż powinna. Wzięła wdech, odsunęła się o krok, po czym walnęła z całej siły barkiem w środek sklejkowej płyty. Drzwi trafiły motocyklistę. Powtórzyła uderzenie i usłyszała wysoki okrzyk bólu. Wtedy wyskoczyła i zobaczyła go: czarna postać w skórzanym ubiorze z twarzą zasłoniętą

przez ciemną szybę kasku. Facet próbował podnieść się z ziemi z ręką przyciśniętą do piersi. Być może złamała mu kilka żeber, taką przynajmniej miała nadzieję. Długi czarny pistolet leżał na brudnej podłodze biura, tam gdzie motocyklista go upuścił. Kopnęła broń i z przerażeniem zobaczyła, że odsunęła się najwyżej metr od gościa. Odrzuciła młotek, chwyciła motocyklistę za kask i mocno szarpnęła.

Wpadł do wnętrza biura. Nie był zbyt dużym facetem. Gdyby Teresa zapisała się na kurs samoobrony, co sobie od dawna planowała, pewnie dałaby mu radę tu i teraz. Stłukłaby go i przywiązała do krzesła. Byłaby jak Linda Hamilton w *Terminatorze 2*, nic tylko wściekłość i muskuły. Albo ktoś w tym rodzaju. Zaczynała ją niebezpiecznie ponosić wyobraźnia. Kopnęła motocyklistę, przebiegła przez próg i ucieszyła się, gdy stanęła w przyćmionym świetle padającym z czystego, wieczornego nieba przez okno większe niż w poprzednim pomieszczeniu.

Zatrzasnęła za sobą tanie, sklejkowe drzwi. Przekręciła klucz w zamku, wyjęła go i cały pęk cisnęła w kąt pokoju, dysząc i zastanawiając się, co dalej.

Patrz.

Profesor Randolph Kirk leżał na podłodze, skulony w kałuży krwi, z twarzą zwróconą do góry. Jego martwe oczy wpatrywały się w sufit, a w czole czerniała nierówna dziura, z której sączyła się krew. Mimowolnie przeprowadziła w myślach autopsję, wyobraziła sobie konieczne nacięcia, badanie organów, a wszystko po to, by dojść do oczywistego wniosku: „Ten człowiek zmarł wskutek wpakowania kawałka ołowiu w mózg. Jego stan nie rokuje nadziei na poprawę. Przypadłość wydaje się przewlekła”.

Trzęsącymi się palcami Teresa Lupo znowu wyjęła telefon komórkowy z kieszeni i zaczęła wybierać numer Nica Costy, modląc się, żeby nie pomylić żadnego przycisku.

Jego głos zatrzeszczał w słuchawce. Brzmiał bardzo młodo. Nico był wyraźnie zaskoczony.

– Nico! Nico! – zawołała. – Jestem po uszy w gównie. Pomóż!

Nie było odpowiedzi. Zastanawiała się, czy słyszy jego oddech, czy to tylko elektroniczny szum, powodowany przez toksyny

przeżerające kable w Morzu Śródziemnym, którego brzeg znajdował się kilometr dalej na zachód.

– Jestem tuż przy Ostia Antica – wychrypiała – w tym miejscu, o którym ci opowiadałam. Proszę...

I nagle z tyłu dobiegi ją huk, wystrzał tak głośny, że Nico także na pewno musiał go usłyszeć, na pewno zorientował się, że nie chodzi o błahostki. W tym momencie Teresa Lupo zdała sobie sprawę, jak bardzo była głupia.

On wciąż miał pistolet.

– Kretynka – wymamrotała pod nosem sama do siebie, po czym wybiegła na dwór wśród huku pocisków dziurawiących drzwi wokół zamka za jej plecami.

Trzy policyjne alfy romeo na sygnale z błyskającymi światłami przemknęły obok piramidy. Falcone siedział w pierwszym samochodzie. Prowadził Peroni: pruł środkiem ulicy, podczas gdy wszystkie inne auta zjeżdżały na bok. Costa, z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na desce rozdzielczej, starał się połapać, o co w tym wszystkim chodzi.

– Głupie babsko – mruknął Falcone. Księżulo wydusił z siebie, dokąd pojechała Teresa, dopiero gdy go porządnie nastraszyli. – Co ona sobie wyobraża?

– Sami powinniśmy byli pogadać z tym facetem – powiedział Costa.

Falcone nachylił się ku niemu z tylnego fotela i dźgnął go palcem w ramię.

– Przewidziałem to na jutro, cwaniaku. My tutaj wszystko robimy po kolei. – Odchylił się z powrotem, rozparł w fotelu i zapatrzył przez okno w szeregi bezbarwnych podmiejskich domów. W oddali, za zasłoną trującego miejskiego smogu, zachodziło czerwone słońce. Miasto wyglądało ponuro, jak wymarłe. – Nigdzie nie wybieramy się na własną rękę. Może jeszcze nie zauważyliście, że mamy tu do czynienia z grubszymi rybami. Żadnej brawury. Nie znoszę pogrzebów.

Rachele D'Amato jechała w samochodzie za nimi. Falcone tak zarządził.

– Może powiecie, że się powtarzam – zaryzykował Peroni – ale czy naprawdę musi wlec się za nami baba z DIA?

– Może się przydać – odparł Falcone. – Nigdy nie wiadomo.

– Ten facet to jakiś profesorek z uniwersytetu, dobrze mówię? – upewnił się Peroni. – Co taki człowiek może mieć wspólnego z mafią?

Falcone nie odpowiedział. Peroni przyhamował gwałtownie, by nie zderzyć się z pojazdem oczyszczania miasta, po czym otworzył okno i zaczął wyrzaskiwać obelgi w nieświeże wieczorne powietrze.

Wróciła do domu o piątej trzydzieści i położyła na podłodze torby z zakupami z logo kilku najlepszych firm odzieżowych. Wyglądała perfekcyjnie, jak zawsze. Rude włosy Adele były idealnie wymodelowane i jakby trochę jaśniejsze niż wcześniej, bo teraz prześwitywał wśród nich odcień blond. Każde pasemko było na swoim miejscu. Nosiła białe spodnie od kostiumu z gniecionej jedwabiu i popielatą marynarkę. Neri nie potrafił rozpoznać, czy to nowe rzeczy. Kupowała tyle ciuchów, że chyba musiała co tydzień połowę wyrzucać, żeby zrobić miejsce na następne.

Przyglądał się, jak idzie do kuchni i przyrządza sobie spremutę, zalewając sok wódką Stolicznaja.

– Gdzieś ty była przez cały dzień, do diabła? Nie mogłem się dodzwonić.

– Rozładowała mi się bateria.

– No to ją, kurwa, ładuj, nim wyjdiesz z domu. O ile wyjdiesz. Bo może będzie szlaban.

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek, a jej wolna ręka przesunęła się lekko po jego rozporku.

– Zły dzień, kochanie?

– Jak cholera. A gdzie jest moja rodzina, gdy jej potrzebuję?

Zamrugnęła. Miała bardzo długie, cudowne rzęsy. Zastanawiał się, ile kosztowały i jaka ich część była prawdziwa.

– Potrzebowałeś mnie? – Jej ręka znowu powędrowała w dół. Odsunął ją.

– Nie mam teraz na to czasu.

– To co jeszcze mogę dla ciebie zrobić? – spytała bezbarwnym tonem. – Co w ogóle mam robić?

– Masz być mi żoną. Powinnaś tu siedzieć, wspierać mnie. Ale na miejscu są tylko moi ludzie i gromada służących, którzy wałęsają się na

dole i gównu robią.

– Wspierać cię? W jaki sposób?

Wolałby, żeby dała już temu spokój. Zwykle nie drażyła tematu, ale ostatnio jakby się zmieniła. Zachowywała się inaczej, odkąd Mickey przyjechał i zamieszkał z nimi. Ten chłopak był jak zła wiadomość, jak kaczor w kurniku. Ciągłe się w coś pakował, utrudniał życie, a z jajek nici. Neri zastanawiał się, jakie interesiki kręcił na boku i o czym mu nie mówił. Kretyńskie ubrania i tlenione wioski zaczynały mu już działać na nerwy. A jeszcze te jego ciągłe kłótnie z Adele. Przypadkowa myśl przepłynęła mu przez głowę. Wiedział, że niekiedy człowiek widzi to, co chce widzieć albo co inni chcą, żeby zobaczył. Rzadko kiedy prawdę.

– Nieważne... Mickey był z tobą na zakupach? Powinien już tu siedzieć od kilku godzin.

– Ze mną? Na zakupach? – Popatrzyła na niego, jakby oszalał. – Nie wydaje ci się, że w domu mam dość okazji, żeby się na niego napatrzeć? To twój syn, nie mój. Sam się dowiaduj, gdzie się teraz włóczy i kogo posuwa.

Neri nie wierzył w to, co słyszał. Nigdy w ten sposób nie mówiła. Podniósł rękę.

– Uważaj na słowa.

Adele wyciągnęła ku niemu smukły palec.

– Nie próbuj mnie bić, Emilio. Niech ci przez myśl nie przejdzie, że mógłbyś to zrobić.

Zacisnął dłoń w pięść i zamarkował cios, ale zatrzymał go przed jej twarzą. Dość już miał na głowie i nie chciał, żeby takie głupoty rozpraszały go i drażyły myśli. Policzy się z Adele później, a jak będzie trzeba, to i z Mickeyem.

– Gdzie on jest? – zapytał ponownie.

– Nie widziałam go od rana. Wyszedł z domu przed południem. Może pieprzy jakąś głupią gęś w swoim samochodzie. To bardzo w jego guście, prawda?

Już kiedyś się o to sprzeczali. Dwa miesiące wcześniej policja przyłapała Mickeya, jak zabawiał się z tanią afrykańską prostytutką w klasycznym alfie spiderze swojego ojca w bocznej uliczce opodal Via Veneto. Durny dzieciak nie znał się w ogóle na prawie, przez co

gliniarze zatrzymali samochód. Neri musiał uruchomić wszystkie swoje zdolności przekonywania i dorzucić niemałą łapówkę, żeby odzyskać alfę. Kolejny wydatek. Koszty ojcostwa. Czy Mickey się czegoś nauczył? Zapewne nie. Jemu to po prostu było obojętne.

– Słuchaj – powiedział Neri, ujmując Adele za szczupłe, delikatne ramię i lekko potrząsając. – Posłuchaj mnie uważnie.

Uwolniła się z jego uścisku, ale wyglądała na zaniepokojoną. Wyczuła, że zmienia się klimat, pomyślał Neri, i zastanawiała się, czy ją to jakoś dotknie.

– Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, w ostatnim czasie mam trochę problemów – powiedział – a to oznacza, że i tobie nie będzie dobrze. Spróbuj to sobie zakonotować w tej swojej wychudłej główce. Dzieją się złe rzeczy, które w moim wieku nie służą zdrowiu. Możliwe, że kilka z nich sam sobie zgotowałem, ale za inne ponoszą winę ludzie, którym trzeba będzie wyjaśnić parę spraw. Chcę, żebyś to dobrze zrozumiała.

– Złe rzeczy, Emilio? – spytała zaskoczona jego nieoczekiwanym przychylnym szczerości. – Bardzo złe?

Z zewnątrz dobiegł ich dźwięk kilku silników. Podeszli do okna. Rozpadało się. Srebrzystoczarne deszczowe nitki przecinały noc i pokrywały warstwą wody ruch uliczny na Lungotevere.

Neri patrzył na nią, gdy śledziła wzrokiem mężczyzn wysiadających z samochodów. Nie była głupia. Wiedziała, co to za ludzie. W normalnych okolicznościach w ogóle nie wpuściłby ich do domu.

– Czemu tu przyjechali?

– Byłaś kiedyś na wojnie? – zapytał i znienawidził to słowo w chwili, gdy je wypowiedział. Wojny już się nie zdarzały. Były kosztowne. Mogły bardzo rozgniewać tych, którzy uważali, że tamte czasy nie powinny nigdy wrócić.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc ucz się – wymamrotał po trosze do siebie, po trosze do niej. – Takich jak oni nazywamy żołnierzami.

– Cztery kółka dobrze, dwa kółka źle. – Teresa Lupo powtarzała sobie to zdanie jak dziecięcą wyliczankę, podczas gdy jej seat sunął dziurawą drogą i przeskakiwał garby z prędkością stu dwudziestu

kilometrów na godzinę. Ledwie zdążyła dopaść samochodu, gdy tamten wybiegł z przenośnego biura, wciąż w kasku z zamkniętą szybą na głowie jak jakiś zabójczy owad szukający zdobyczy.

Teraz insekt siedział na motocyklu, a ona była w samochodzie. Trzeba było wykorzystać przewagę tej sytuacji. Było ciemno, z nieba padał gruby deszcz. Cztery kółka dobrze...

Problem w tym, że w obecnej chwili cztery kółka na niewiele mogły się przydać. Motocyklistę obowiązywało chyba jakieś inne prawo grawitacji. Seat leon wyskoczył z bocznej dróżki na pas przelotowej szosy, zawisł na chwilę w powietrzu, po czym z piskiem opon zakręcił w stronę lotniska.

Gdy odzyskała panowanie nad samochodem i z ulgą rozpoznała odległe światła głównego terminalu kilka kilometrów przed sobą, zdobyła się na odwagę, by spojrzeć w lusterko. Facet nadrabiał dystans. Jego hondę wyprodukowano chyba w piekle. Trzymała się śliskiej szosy w taki sposób, że w porównaniu z seatem zdawała się do niej przyklejona. Dzieliło ich dobre trzysta metrów, kiedy motocykl dojechał do końca bocznej drogi i wypadł na główną. Zostawił dziury i garby za sobą i ruszył do przodu jak łajno z gorącej szufli.

– Kurwa mać – szepnęła bezsilnie i spojrzała na komórkę leżącą na siedzeniu pasażera, ale nawet nie przeszło jej przez myśl, żeby znowu dzwonić. Nie mogła zdjąć rąk z kierownicy. Musiała nastawić swój umysł wyłącznie na to, jak przetrwać.

Zredukowała na czwórkę, wdusiła gaz i wyminęła parę jadących wolniej ciężarówek, z których jedną chwilę potem zaczęła gramolić się na lewy pas, by wyprzedzić drugą. W lusterku przez moment widziała stalową masę dwóch lewiatanów walczących o dominację na szosie. Nagle między nie wskoczył motocykl, wcisnął się w szparę szeroką na nie więcej niż metr i pomknął dalej.

– Jezu. – Patrzyła w lusterko. – Czym ja na to zasłużyłam? Gdzie gliny, na miłość boską?

Terminal wydawał się wciąż bardzo odległy. Jeśli miała jakieś marzenia o tym, jak to w jego światłach odnajduje bezpieczeństwo, zaczęły się one stopniowo rozwiewać. Zresztą instynkt podpowiadał jej, że pan Owadzi Łeb nie przejmuje się specjalnie reflektorami. Mogłaby

podbiec prosto do VIP-owskiego okienka linii Alitalia, a on i tak wpadłby tam za nią na swojej lśniącej maszynie, przystanął, żeby wpakować jej w łeb kilka kulek, a potem wyjechał jak gdyby nigdy nic, bo przecież tym właśnie zajmują się ludzie na motorach.

Cztery kółka dobrze...

Kształt w lusterku powiększał się z każdą chwilą. Jeszcze kilka ruchów owadzim nadgarstkiem na manetce gazu, a zrówna się z nią i zapuka w szybę.

– Niech to szlag – powiedziała i gwałtownie skręciła kierownicą w lewo, wciskając jednocześnie hamulec do deski.

Motocyklista szybko się połapał. Nie zamierzał wpakować się prosto w jej burtę, przekoziółkować przez dach i polecieć jak czarna kukła niesiona śmiertelną siłą bezwładności. Zamiast tego wystawił obutą w skórę stopę i zahamował bocznym ślizgiem, ani na chwilę nie tracąc panowania nad maszyną, po czym stanął i zaczął się w nią wpatrywać.

– Twarda sztuka – mruknęła Teresa i znów wdusiła pedał gazu. Wyprostowała kurs seata jednym ostrym skrętem i nagle zdała sobie sprawę, że zmierza prosto na budowlany szlaban zakazu wjazdu ustawiony na drodze najwyżej sto metrów przed nią.

Zobaczyła pracujących tam ludzi w białych kurtkach i żółtych kaskach. Wcisnęła klakson i patrzyła, jak rozbiegają się na wszystkie strony. Seat leon wszedł w długi, leniwy boczny poślizg. Kierownica miotła się w jej rękach jak dzikie zwierzę obdarzone własnym pomysłem na życie.

Instynktownie skręciła w stronę zgodną z kierunkiem poślizgu i poczuła, że odzyskuje panowanie nad autem. Coś rozbiło tylną szybę i wyleciało przednią, zamiast widoku drogi pozostawiając krąg strzaskanego szkła, zza którego pędziła jej na powitanie czarna pustka. Rzuciła okiem na prędkościomierz. Dziewięćdziesiąt na godzinę. Nie słyszała absolutnie nic poza rykiem silnika.

– Naprawdę kiepski dzień – mruknęła Teresa i coś podpowiedziało jej, by zdjąć ręce z kierownicy, ponieważ ważniejsze sprawy domagają się jej uwagi.

Za oknem tuż obok siebie ujrzała długą, czarną, zabójczo groźną



postać z wyciągniętym ramieniem. Owad był gotów żądlić.

Wiedziała, że to głupie, a jednak szybkim ruchem puściła kierownicę i skuliła się na fotelu, obejmując głowę rękami. W przerwach na modlitwę powtarzała sobie jedno zdanie, które słyszy się rzadko i przeważnie na manewrach: „Padnij i kryj się”.

Seat podskoczył. Świat wywinął orła. Przez jedną krótką chwilę była świadoma, że wszystko jest inaczej, niż być powinno, i pomyślała, że może zaczyna się wielka tajemnica zwana śmiercią. I wtedy, gdy leon koziółkował w powietrzu, naszła ją kolejna nieprzyjemna myśl.

– Tylko nie Księżulo – mruknęła. – Niech to zrobi ktokolwiek, byle nie Księżulo.

Zawył rozzdzierany metal. U szczytu jej czaszki zapłonął ostry ból. Poczowała, że obija się wewnątrz konającego seata jak groszek w puszcze.

Nagle świat zamarł w bezruchu.

Teresa Lupo wisiała na pasach w dziwnej pozycji. Po jej głowie ściekało coś ciepłego i lepkiego: krew. Wyciągnęła rękę, żeby zbadać ranę. Jedno proste rozcięcie powyżej skroni.

– Co za kurewski psi fuks – wydyszała i zdusiła w sobie chęć, żeby się głośno roześmiać.

Od strony drzwi kierowcy, skierowanych obecnie w czarne nocne niebo, dobiegało uporczywe skrobanie. Usłyszała ludzkie głosy i skuliła się w fotelu z obawą, że owad się rozmnożył. W tym momencie cały świat zdawał się wrogi. Logika i ludzkie odruchy zniknęły z powierzchni planety.

Zimne powietrze owiało jej twarz. Kilka par oczu wpatrywało się w nią. Mężczyźni wypowiadali typowe w takich sytuacjach komentarze o kobietach za kierownicą.

– Może się pani ruszać? – spytał człowiek w żółtym kasku, wyciągając rękę.

Spróbowała się podciągnąć. Udało się. Kilka otarć i cięć na linii włosów, nic więcej.

Musiał uciec, pomyślała. Nie odważyłby się wjechać w tłum.

Teresa Lupo wydostała się z samochodu. Zastanawiała się, czy dostanie ataku histerycznego chichotu. Leon spoczywał na boku pośrodku placu budowy. Kilka metrów dalej ziała rozległa przepaść

o betonowych brzegach, tak wielka, że zmieściłby się w niej pociąg.

– Gdzie motor? – spytała.

Mężczyzna, który pomógł jej się wydostać, popatrzył w mroczną czeluść i wskazał ją dłonią.

– Nie jest dobrze – powiedział. – Zdrowo dawał po garach.

– Jak tu głęboko?

– Bardzo. Kopiemy pod metro.

– Rety – powiedziała i uśmiechnęła się szeroko, chociaż czuła stłuczenia i chyba miała pęknięte zebro.

Z oddali dobiegi dźwięk syren i błyski policyjnych kogutów. Pomyślała o Falconem i tym, jak się wkurzy. Potem przypomniała sobie Randolpha Kirka i Suzi Julius, zaginioną dziewczynę, która stanowiła sedno całej sprawy.

– Ściągniemy tu żurawia – powiedział człowiek. Zawahał się. – Klótnia małżeńska? Wezwaliśmy karetkę.

– Karetkę? – zdziwiła się. – Dzięki, ale nic mi nie jest.

Spojrzał na nią dziwnie i wskazał głową wielką czarną dziurę w ziemi.

– Dla niego...

– Tak? – Podeszła do krawędzi szczeliny i popatrzyła w nicość. Następnie podniosła kawał betonu i cisnęła go w dół. Patrząc, jak znika, wykrzyknęła: – Ty bezczelny skurwysynu!

Wróciła do mężczyzny i chwyciła go za ramię. Wzdrygnął się.

– Ja się nim zajmę – powiedziała z uśmiechem. – Jestem lekarzem, pracuję w policji. Niech pan przegoni gapiów. Nie ma tu nic ciekawego.

Obszar wykopalisk Randolpha Kirka otoczono policyjną taśmą. Reflektory stojące przy przenośnym biurze oświetlały krwawe plamy na podłodze. Pracę nad ciałem powierzono Księżulowi, bo Teresa Lupo stwierdziła, co zresztą można było zrozumieć, że ona sama źle przeprowadzi badanie z powodu osobistego zaangażowania w sprawę. W rzeczywistości chciała dołączyć do drugiej ekipy, która zajmowała się opuszczeniem za pomocą żurawia w głąb przepaści ludzi mających wydobyć ciało motocyklisty. Desperacko pragnęła, żeby czarny owad z jej wyobraźni zamienił się na jej oczach w zwykłego martwego człowieka.

Falcone rozmowę z nią odłożył na później. Chyba nawet nie był wściekły. Może oszczędzał swój gniew na moment, kiedy Teresa będzie mogła pełniej go odczuć.

Nico Costa przyglądał się, jak Księżulo i jego ludzie wynoszą ciało. Inspektor stał nieco dalej, pogrążony w jakiejś osobistej rozmowie z D'Amato. Peroni zerkał na nich co chwila, bez przerwy pomrukując z dezaprobatą.

– Ona tu będzie tylko do zakończenia sprawy – powiedział Costa, gdy już nie mógł tego dłużej znieść. – Może po prostu pogódź się z tym.

– Ale dlaczego? Facet miał tyle wspólnego z mafią, co ja z drogimi samochodami, czyli nic. Był profesorem, do cholery!

– Tego nie możemy być pewni – stwierdził Costa. – Wiemy jeszcze mniej niż kilka godzin temu.

Suzi Julius czeka na ratunek – nie miał co do tego wątpliwości, choć jej nazwisko i okoliczności tajemniczego zaginięcia powoli tonęły w zbiorowej nieświadomości ekipy dochodzeniowej, spychane przez wydarzenia większe i bardziej naglące. Dziewczyna mogła być blisko, może nawet gdzieś tu, martwa, dlatego że wszystkie piękne plany założone na dwa dni z góry przestały nagle pasować do rzeczywistości. Omiótł spojrzeniem okolicę, popatrzył na budynki biurowe i niski kształt ruin rzymskiej willi.

– Idę się rozejrzeć – oznajmił. – Falconemu teraz nie będę potrzebny.

W drugim biurze nie znalazł nic interesującego. Bardziej obiecująco wyglądała willa. Być może w przeszłości była kościołem albo czymś w tym rodzaju. Jej ściany zrobiono z cegieł spojonych kruszącą się zaprawą. W ciemności ginęła większość detali, ale domyślał się, że budynek ma znaną mu, bladomiodową barwę, podobnie jak ściany starych domów przy Via Appia Antica, wśród których dorastał. Willa stała na kwadratowej parceli o boku długim na mniej więcej czterdzieści metrów i miała z przodu otwarte podwórze zarzucone mnóstwem obtluczonych kamieni, na którym znajdowała się ogrodzona siatką mała mozaika, niedająca się zidentyfikować w ciemności. Wejście z rzędami kolumn po obu stronach nie miało zadaszenia. Costa wszedł do środka i znalazł się w zimnym, wilgotnym przedsionku

z przylegającymi po bokach dwoma pomieszczeniami ciągnącymi się w głąb budynku. One także nie miały dachów i były puste. Centralna komnata Willi musiała więc być pozbawioną okien halą. Dziwne rozmieszczenie. Budynek absolutnie nie nadawał się na zwyczajny dom mieszkalny.

Dostęp do wnętrza zagradzały stare drewniane drzwi zamknięte łańcuchem spiętym zardzewiałą kłódką. Costa wrócił do samochodu po dużą latarkę i łom. Rozerwanie kłódki zajęło mu niecałą minutę i chwilę później jasny snop elektrycznego światła rozjaśnił ściany smoliście czarnego wnętrza. Pomieszczenie wyglądało na puste: zwykły, pozbawiony wystroju pokój. Więc dlaczego na drzwiach ktoś założył kłódkę? Co chciał ochronić?

Costa przeszedł wzdłuż ścian i uważnie obejrzał salę. Nic nie znalazł. Nagle, gdy już miał się poddać i wyjść, poczuł coś pod stopą. W starożytną murarkę wmontowana była nowoczesna drewniana kłapa. W wystającym z niej metalowym uchu także tkwiła kłódka, nowa i lśniąca.

Podważył ją łomem i mocował się z nią przez chwilę. Gdy odsunął płytę, jego oczom ukazały się wąskie schody prowadzące w ciemność, do jakiejś podziemnej jaskini.

Doprowadzono tam nawet elektryczność. Kable biegły na dół po jednej stronie schodów, a włącznik światła umieszczono w głębi korytarza w chropowatej ścianie. W mroku zauważył nagą żarówkę, zapewne pierwszą z wielu, zwisającą z sufitu. Costa nie znał się za bardzo na archeologii, ale zamontowanie instalacji zastanowiło go. Wyobrażał sobie, że w takich miejscach badacze używają raczej przenośnych reflektorów. Rząd żarówek wyglądał jak zwyczajne oświetlenie, jakie można znaleźć w korytarzu bloku mieszkalnego.

Powinniśmy chodzić we dwóch, napomniał sam siebie Costa. W Willi mogli być jacyś ludzie. Stanowiła znakomitą kryjówkę, miejsce, gdzie można się schować, aż sprawy przycichną.

A potem zaciągnąć Suzi gdzie indziej... albo zostawić ciało na klepisku.

– Nie ma czasu – powiedział sam do siebie. Zresztą mdliło go już na widok zmęczonych spojrzeń, które wszyscy mu posyłali, gdy tylko

wspominał o dziewczynie.

Wyjął broń z kabury, położył dłoń na ścianie i stopień za stopniem ruszył w głąb, do podziemnej jaskini. Natychmiast poczuł, jak temperatura spada o dobrych kilka stopni. Owionął go wilgotny zapach pleśni i zgnilizny.

Panowała zupełna cisza. Gdy dotarł do końca korytarza, wcisnął włącznik światła i przeszedł przez drzwi tak niskie, że musiał się schylić.

Pomieszczenie było jasno oświetlone. Zdał sobie sprawę, że musiano je współcześnie odrestaurować. Niemożliwe, żeby oryginalne malowidła naścienne zachowały po dwóch tysiącach lat tak jasne i żywe kolory. A może wcale nie chodziło o konserwację, może ktoś namalował je tu niedawno w sobie tylko znanym celu.

Nico przyjrzał się obrazom i pomyślał: „Oto kraina sennych koszmarów”. Niewykluczone, że właśnie taką miały pełnić funkcję. Może była to desperacka próba wydobycia trucizny z umysłu, egzorcyzmowania jej, przemienienia prawdziwych demonów z wnętrza ludzkiej duszy w obrazki na starożytnej ścianie w pogańskiej piwnicy?

Malowidła biegły wokół prostokątnego pomieszczenia seriaj ujęć na jednakowym, czerwonym tle. Obramowanie dla każdej sceny stanowiła mozaika przedstawiająca delfiny i morskie stwory. Jedną od drugiej oddzielały namalowane na ścianie kolumny. Costa zauważył, że obrazy tak pomyślano, by układały się w ciąg i oglądane kolejno, opowiadały historię. Jeśli dobrze pamiętał poranny wykład Teresy, była to opowieść o inicjacji podczas misterii dionizyjskich.

Historia zaczynała się, jak przypuszczał, po jego prawej, na wąskim odcinku ściany obok drzwi. Postać potężnego mężczyzny, zapewne boga we własnej osobie, spoczywała w leniwej pozie na złotym tronie, a po obu jej stronach stały dwa rogate satyry spoglądające do wnętrza srebrnych mis wypełnionych wodą. U stóp mężczyzny leżała młoda kobieta z twarzą zasłoniętą woalem i tyrsem w dłoni. Na sąsiedniej długiej ścianie były trzy kolejne sceny. Nagie dziecko czytające tekst ze zwoju. Trzy kobiety trzymające się za ręce i tańczące wokół urny. Staruszka w ciemnej szacie przycupnięta na spróchniałym pniu drzewa, wpatrzona zazdrośnie w siedzącą przed lustrem piękną dziewczynę z kosmykiem włosów w dłoni.

Na głównej ścianie naprzeciw wejścia było tylko jedno malowidło. Młodą kobietę prowadzono przed oblicze boga. Czarni niewolnicy poganiali ją różgami. W tle satyry grały na lutniach. Na twarzy inicjowanej malowało się przerażenie. Bóg wpatrywał się w nią ze swego tronu głodnymi oczami.

Costa odwrócił się do ściany po lewej. Ukazano tam kolejne rytuały: chłostę, pijaństwo, tańce, kopulację. Cztery sceny przedstawiały orgię, która zdawała się mieć niemal sakralny charakter, jakby powstała w wyobraźni jakiegoś rzymskiego Hieronima Boscha. W rogach obrazu nieprzytomni i wymiotujący uczestnicy orgii. Ciężarna kobieta z dzieckiem u jednej piersi, a kozłem u drugiej. Lwy i konie w objęciach leżących kobiet. Dwie dziewczyny związane krwawą walką, toczące się po podłodze i próbujące wydrapać sobie oczy.

Natomiast ostatnia scena przedstawiała egzekucję: kobietę z zawiązanymi oczami prowadzono w stronę boga. Gardło drugiej rozcinał złośliwie uśmiechnięty satyr z przyrodzeniem przyciśniętym do jej pośladków.

Costa popatrzył na fresk namalowany na tej samej ścianie co pierwszy, na lewo od drzwi. Bóg wciąż siedział na tronie, lecz teraz miał na twarzy obsceniczną, wyjąca maskę, która musiała być pierwowzorem tatuażu na ramieniu zarówno nieżyjącej Eleanor Jamieson, jak i wciąż żywej Suzi Julius. Jednak tatuaże były kiepskimi kopiami. W masce na twarzy boga widać było ślepa, głodną furię, której nie można sprowadzić do paru kresek na skórze.

Inicjowana dziewczyna stała nago z szeroko rozstawionymi nogami, a bóg brał ją od tyłu, zaciskając mocno dłoń na jej lewej piersi. Twarz miała częściowo skrytą za woalem, a usta otwarte w przeraźliwym, agonialnym krzyku. Pomiedzy jej nogami widać było potężną erekcję mężczyzny. Satyry i pozostali uczestnicy orgii przyglądali się łapczywie z rozchyłonymi ustami i dzikością w szeroko otwartych, głodnych oczach.

Czy takiej właśnie próby odmówiła pasierbica Wallisa? – zastanawiał się Costa. Może stało się to w pomieszczeniu bardzo podobnym do tego. Gdyby się jednak nie sprzeciwiła, gdzie byłaby teraz? Gdziekolwiek, pomyślał. Jeśli Teresa miała rację, ta sala była

jedynie przyczółkiem. Gdzieś w Rzymie stała Willa Misteriów, serce kultu, świątynia podobna do tej, ukryta pod ziemią.

Elementy układanki nie pasowały do siebie. Było pewne, że jeden człowiek nie dałby rady tego wszystkiego zorganizować. Na jadącym przez Campo motocyklu z roześmianą Suzi Julius za plecami nie mógł siedzieć Randolph Kirk. To musiał być ktoś młody, ktoś, kogo znała.

Costa usiłował myśleć praktycznie. Te wykopaliska nie były czynne. Wokoło nie widział żadnych śladów niedawnych robót. Jednak ludzie odwiedzali to miejsce regularnie. Znalazł tutaj niedopałek papierosa i kilka papierków po cukierkach. Uniwersytet utrzymywał te zabytki zapewne w celach dydaktycznych.

Chodził wzdłuż ścian i latarką oświetlał ukryte w ciemnościach szczegóły. Nagle na podłodze, przy obrazie krzyczącej dziewczyny i boga, coś zabłysło. Wyjął z kieszeni plastikową torebkę na dowody, schylił się i podniósł kolorową gumkę do włosów. Była czerwono-żółto-zielona, w barwach rastafarian. Mogła ją nosić młoda dziewczyna. Raz jeszcze dokładnie przeszukał pomieszczenie, ale już nic interesującego nie rzuciło mu się w oczy.

Wrócił schodami na górę i poszedł do przenośnego biura. Robiło się późno. Falcone był zmęczony i wściekły. D'Amato stała przy nim w milczeniu.

– Ludzie z ekipy kryminalistycznej mogą rzucić okiem na tamto pomieszczenie, kiedy już tu skończą – stwierdził po wysłuchaniu relacji Costy. – Nie wiem, co sobie myślisz, Nico, ale po szesnastu latach nic już z tamtego wydarzenia nie zostało. Zresztą zdaniem Lupo dziewczynę zabito pewnie gdzieś w mieście.

– Wiem – odparł i podniósł torebkę z gumką do włosów. – Ale to nie ma szesnastu lat.

Rachele D'Amato zerknęła na plastikowy woreczek.

– Coś takiego mogłoby nosić dziecko – powiedziała. – Wpuszczano tam wycieczki szkolne?

Przypomniał sobie malowidła na ścianach.

– Nie wyobrażam sobie tego.

Falcone uniósł brew.

– Nie wyobrażasz sobie? Żyjemy w wyzwolonych czasach.

Słuchaj, jest już późno. Jeśli sądzisz, że warto iść tym tropem, skontaktuj się z matką. Zrób to sam, nie mamy ludzi. Jeżeli ona rozpozna tę gumkę, oddaj ją do laboratorium. W końcu takich frotek mogą być miliony, musimy mieć pewność. A potem idź odpocząć. Jutro wszyscy będziemy wyrabiać nadgodziny.

– I kto to mówi... – szepnęła D'Amato.

Costa zauważył, że wymienili spojrzenia. Zastanawiał się, czy coś się między nimi dzieje i czy może to zaburzyć zwykle znakomitą zdolność Falconego do oceny sytuacji.

Inspektor podszedł do niego i odprowadził na bok.

– Jak się czujesz? Wyglądasz jak cień człowieka. Piłeś ostatnio?

– Nie – odparł Costa. – Jesteś moim szefem czy opiekunem?

– Po trosze jednym i drugim. Przynajmniej przez jakiś czas. – Zadzwoił telefon. Inspektor odebrał i posłuchał chwilę, po czym powiedział: – Poczekaj na mnie.

Costa zawahał się, ciekaw nowych wieści.

– Pojedziemy kawałek za tobą – powiedział Falcone. – To była ekipa z Fiumicina. Za chwilę wyciągają ciało. Zdaje się, że Szalona Teresa nie może się doczekać, kiedy będzie mogła pokroić faceta.

– Nie można jej za to winić – mruknęła D'Amato.

– Można, do cholery, i to jeszcze jak – odpowiedział Falcone, idąc tak szybko, że musieli truchtać, żeby za nim nadążyć.

Przestało padać. Miasto zaczynała stopniowo wypełniać cisza. Tłusty księżyc oglądał własne odbicie w czarnych, lśniących wodach Tybru. Ciepło dnia ustąpiło miejsca wieczornemu chładowi – zima powoli i opornie rozluźniała swój uścisk.

Adele Neri leżała sama w łóżku. Jej mąż wciąż był na nogach i prowadził długą, trudną rozmowę z ludźmi o nijakich, szarych twarzach, których zaprosił do domu. Głosy wpełzały do sypialni przez szparę pod drzwiami, zakłócając bieg jej najskrytszych myśli. Mickey nie wrócił, nie zadzwonił. Dziwne, chociaż niezaskakujące. Ostatnio był jeszcze bardziej roztargniony niż zwykle. Po części pewnie przez prochy, które brał w tajemnicy przed ojcem, a po części przez interesy, które robił na boku, oraz ciągły strach, że Emilio się o nich dowie. Jednak przede wszystkim jego sposób bycia brał się z nagiej, potężnej



fascynacji własną macochą, której ona nie zamierzała w nim gasić. Podobało jej się, w jaki sposób o niej myślał. Potrafiła robić z nim takie rzeczy, że odchodził od zmysłów. Adele miała na Emilia pewien wpływ, ale niewielki, ściśle ograniczony. W dodatku stopniowo coraz mniejszy. Jej mąż czuł brzemień wieku i zdawał sobie sprawę, że zmiany są nieuniknione.

Mickey był inny. Robił dosłownie wszystko, co mu kazała. Wszystko. W dodatku był młody. Emilio przygniatał ją przez parę minut, a zaraz potem staczał się na bok i zasypiał wśród posapywań i chrząknięć. Od Mickeya dostawała coś w zamian. Chociaż z drugiej strony, gdy się nad tym zastanawiała, zdawała sobie sprawę, że seks z chłopakiem nie stanowi już dla niej takiej atrakcji jak dawniej. Fizyczne uniesienia nie trwały wiecznie. Wraz z wiekiem przychodziła świadomość, że w życiu są istotniejsze wartości: władza, kontrola, bezpieczeństwo. Możliwość kształtowania własnego przeznaczenia.

Mickey nie był zresztą jedynym mężczyzną, którego miała w odwodzie. Zdumiewało ją, że udało jej się tak długo utrzymywać swoich kochanków w tajemnicy. Była ostrożna, dyskretna i wybierała tylko takich, którzy dobrze wiedzieli, że paplanie może się źle skończyć. Emilio Neri to jednak człowiek czujny i mściwy. W jego oczach od jakiegoś czasu dostrzegała błysk czegoś, co się jej nie podobało. Zdawała sobie sprawę, że pewnego dnia jej powie, o co chodzi, i nie wiedziała, czego się może po nim spodziewać. Uważała, że w życiu, jakie wiodła, wpisana jest pewna nieuchronność: najpierw przychodzi okres namiętności, później czas satysfakcji, a na końcu ostatni etap wędrówki – *ennui*, znużenie, zapaść. Chyba że miało się plan i w odpowiedniej chwili wykonało ruch. Emilio stawał się powolny i otępiały. Nadchodzi czas przejęcia władzy, pomyślała, zanim piasek w klepsydrze się przesypie, a imperium popadnie w ruinę.

Nico Costa zaparkował samochód pod ponurą bryłą dawnego rzymskiego teatru, podszedł do drzwi mieszkania i nacisnął dzwonek. Wciąż usiłował uporządkować myśli i nadać sens temu, co się działo. Czuł się tak, jakby musiał rozsypać splątany motek wełny.

– Słucham? – W głosie kobiety brzmiało zdenerwowanie i wyczekiwanie. Jego odpowiedź rozczarowała ją pewnie, a może nawet

wystraszyła.

– Przyjechałem z jedną drobną sprawą, którą muszę wyjaśnić – powiedział szybko. – Przepraszam, że przeszkadzam.

– Proszę, wejdz – mruknęła i wpuściła go do środka.

Miranda Julius siedziała sama w salonie rozbrzmiewającym hałasami ruchu ulicznego na Lungotevere. Miała na sobie luźną bawełnianą piżamę i czerwony szlafroczek. Jej blond włosy były ciemne od wilgoci po wyjściu spod prysznic. Wydawała się jakby młodsza. Może sprawiały to oczy większe, niż zapamiętał, jaśniejące intensywnym błękitem. Cierpienie i napięcie przydawało jej twarzy subtelności. Nie umiał sobie wyobrazić, co musiała czuć.

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Nie ma żadnych nowych wiadomości, prawda?

– Niestety nie.

Westchnęła. Była na to przygotowana, pomyślał.

– Masz ochotę na drinka czy jesteś na służbie?

Trzymała w ręku kieliszek czerwonego wina. Przypomniawszy sobie, ile razy nurkował pod powierzchnią tego aromatycznego jeziora i jak wiele czasu zajęło mu, by z niego wypłynąć i się otrząsnąć. Pragnienie nigdy do końca nie zniknęło.

– Malutkiego – powiedział. Od razu poszła do kuchni i wróciła z butelką barolo. Dobry, drogi rocznik.

– Tyle się dzieje tej nocy. Nie mogłam spać. Ciągle się zastanawiam... Naprawdę nikt jej nie widział?

Costa widział już wcześniej kobiety w podobnych sytuacjach. Niektóre się załamywały, inne zamykały w sobie. Z Mirandą Julius było jednak inaczej. Z determinacją nie dawała się pokonać rozpacz. Miał nadzieję, że ten jej hardy nastrój się utrzyma.

– Nie – odpowiedział szczerze. – Na razie upłynęło mało czasu. Nie jest ani dobrze, ani źle. Tak po prostu bywa. Ciągle może się okazać, że chodzi o zwykłą ucieczkę nastolatki. Zdziwiłabyś się, jak często takie sprawy kończą się w ten sposób.

Uniosła kieliszek.

– Dzięki, Nico. Dzięki, że się starasz.

Potem niezręcznie naląła mu wina. Kilka kropel purpurowej cieczy

spadło na jego marynarkę.

– Przepraszam – powiedziała, osuszając plamę chusteczką. – Wypiłam już trochę wcześniej. Na nerwy.

– Nie przejmuj się.

Upił łyk wina. Smakowało niesamowicie, miało bogaty, pełny i wykwinny bukiet.

Costa wyjął z kieszeni foliową torebkę.

– To może nic nie oznaczać, ale muszę spytać. Poznajesz ją? Czy Suzi taką nosiła?

Popatrzyła na kolorową gumkę do włosów.

– Tak... Tak mi się wydaje. Ale one są dość popularne.

– Wiem. Czy ta gumka ciągle tu jest?

Poszedł za nią do pokoju dziewczyny. Przepatrzyli sterty ubrań i szuflady. Jak tu czysto, pomyślał. Kilka gumek do włosów leżało w szufladzie przy łóżku. Żadna nie przypominała przyniesionej przez Costę.

– Gdzie ją znalazłeś? – spytała Miranda.

– Może należeć do kogoś innego. Zaniosę ją do laboratorium. Będzie potrzebny materiał porównawczy. Jest tu szczotka do włosów?

Dwie szczotki leżały na toalecie. Skinęła głową. Wziął większą. Była pełna złotych, miękkich włosów, jaśniejszych o kilka odcieni od włosów Mirandy.

Niebieskie oczy wpatrywały się w niego pytająco.

– Nico... gdzie?

– Dziś po południu w pobliżu lotniska zamordowano człowieka. To był profesor pracujący przy wykopaliskach. Mógł mieć coś wspólnego z jakimś rodzajem kultem. Znajduje się tam starożytna willa, w której odprawiano obrzędy, i to być może niedawno. Jeszcze nie jesteśmy pewni.

– Zamordowano...?

– Nie znamy motywu. Wątpię, że coś łączy te sprawy. Nie mamy dowodów, że Suzi tam pojechała. Oczywiście sprawdzimy gumkę.

– Czy ktoś... – Zacisnęła dłoń na kieliszku i skuliła ramiona. – Czy w czasie tych obrzędów skrzywdzono kogoś jeszcze? Może wcześniej?

– Nie wiemy nic o tym, żeby coś przytrafiło się Suzi – oznajmił

stanowczo.

– Ale wiecie coś, o czym nie chcesz mi powiedzieć. Te obrzędy... Nie natrafiliście na nie po raz pierwszy, prawda?

– Na to wygląda.

– Czy ktoś już wcześniej zginął?

– Szesnaście lat temu. To dużo czasu.

Niebieskie oczy utkwily w jego twarzy.

– Kto to był?

– Nie mogę ci powiedzieć. W każdym razie to pewnie zbieg okoliczności. – Spostrzegł, że mu nie uwierzyła. Wróciła do salonu i dołała sobie wina. Stała przy stole zdenerwowana i niepewna siebie. Costa poszedł za nią. Zauważył, że Miranda drży. Odstawił swój kieliszek i bardzo delikatnie ujął ją za ramiona. – Mogę zadzwonić po jedną z policjantek, żeby przyjechała tu i została z tobą. Nie musisz być sama.

Była skupiona, jakby właśnie przyszło jej do głowy coś, co trudno ująć w słowa. Costa zdał sobie nagle sprawę, że ta niezwykła, pogrążona w cierpieniu kobieta pociąga go wbrew temu, co podpowiada rozsądek.

– Wiesz, jak to jest mieć dzieci? – spytała. – Doprowadzają cię do szału, ale zarazem trzymają przy zdrowych zmysłach. Minęły całe lata, zanim zdałam sobie sprawę, że właśnie z tego powodu oddaliłam się od Suzi. Gdybym z nią żyła, musiałabym zachowywać się odpowiedzialnie. Ona próbowałaby zrobić ze mnie kogoś, kim nie jestem. Dlatego pozbywałam się jej, zostawiałam w jakimś bezpiecznym miejscu. Stawała się wtedy dla mnie niewidzialna, a ja robiłam, co mi się podobało. Moje wyjazdy miały dla mnie znaczenie właśnie dlatego, że były głupie i bezsensowne. Mogłam zapomnieć, że ona w ogóle istnieje.

– Dlaczego postanowiłaś to zmienić? – zapytał.

– Sądzisz, że coś się zmieniło?

– Jesteś tutaj, przyjechałaś z nią. Z tego, co mówisz, wynika, że jeszcze jakiś czas temu byś się na to nie zdecydowała.

Chyba była mu wdzięczna, że to zauważył. Costa odsunął od niej rękę. W jego głowie zaczęły pojawiać się myśli, których wcale sobie nie życzył.

– Przynajmniej raz chciałam zrobić, co należy – powiedziała. –

Było tak, jakbym już o niej całkiem zapomniała. Jakbym straciła część siebie...

Szybko uzupełniła kieliszek i wypła długi łyk.

– Suzi zasługiwała na coś więcej. Poszłam kupić bilet i zarezerwowałam to mieszkanie. Akcja pod hasłem *last minute*. Pomysł wydawał się niezły: po prostu wyjść z domu i gdzieś pojechać. Razem.

– Dlaczego właśnie teraz?

Wydawało się, że Miranda nie bardzo chce o tym opowiadać. Sprawiało jej to ból. Costa sam nie wiedział, czemu pyta.

– Chyba chodziło o to, że potrzebowałam kogoś. W moim życiu pojawiła się luka i na swój egoistyczny sposób uznałam, że może czas wypełnić ją rodziną. – Przechyliła głowę, zanurzając się we wspomnieniach. – W zeszłym roku, kiedy jeszcze pracowałam, pojechałam do jakiejś kolejnej zabitej dechami dziury na Bliskim Wschodzie, żeby patrzeć, jak ludzie rozrywają się na strzępy. Byłam wtedy z kimś. To był francuski reporter. Dużo się przy nim śmiałam, ale nic więcej. To mi wystarczało. Jednego dnia wsiadł do dżipa i... – Odstawiwszy kieliszek, podeszła blisko Nica. Spojrzała mu w oczy i pokręciła głową. – To była zwykła kraksa. Wyobrażasz to sobie? Przez tyle lat wychodziliśmy cało spod ostrzałów, jeździliśmy przez pola minowe... Pewnego dnia on wsiada do samochodu, a kretyn za kierownicą skręca w lewo zamiast w prawo. Trach i lecą z klifu. Trup na miejscu.

– Przykro mi.

– Dlaczego? – spytała ostro. – Przecież go nie znałeś. Mnie też nie znasz.

Jej oddech pachniał winem, a ciało drogimi perfumami.

– Nie kochałam go, raczej lubiłam. Szanowałam. Zanim to się stało, postanowiłam, że go rzucę. To powinno zmniejszyć ból, ale było tylko gorzej.

Wyciągnęła rękę i oparła dłoń na jego piersi. Costa odsunął się o krok i powiedział:

– Miranda, jesteś przygnębiona. Zadzwońię po policjantkę.

– Nie potrzebuję żadnej policjantki. – Mówiła trochę niewyraźnie, ale bardziej z powodu zmęczenia niż alkoholu. – Przepraszam –

szeptnęła. – To taki mój nawyk. Kiedy sprawy zaczynają się chrzanić, śpiam z nieznajomymi. I wiesz co?

Nie śmiał się odezwać. Jego myśli gnały ku obrazom, których wolał nie oglądać.

– To czasem pomaga. Niekiedy to najlepsza, najmielsza rzecz, jaką można mieć.

Delikatnie otoczyła go ramionami i położyła wilgotną głowę na jego piersi. Nico poczuł przez chwilę ciepło jej ust na szyi.

– Nie chcę być sama dziś w nocy. Proszę. Tylko mnie przytul, jeśli nie chcesz nic więcej, ale mnie nie zostawiaj. Proszę...

Odsunął się od niej z największym wysiłkiem.

– Muszę iść. Zadzwoń rano. Rozwiążemy tę sprawę, obiecuję.

W jej spojrzeniu był głód, desperacja.

– Oczywiście – powiedziała. Nie potrafił odczytać, co myślała.

Na zewnątrz było zimno, mżawka zasłoniła księżyc lekką mgiełką. Szedł do samochodu i myślał, że prawie się poddał, że ona mogła mieć rację i że to wszystko w ogóle mogło być bez znaczenia.

Teresę Lupo obudziło jasne światło reflektorów żurawia wyciągającego z budowlanej przepaści nosze, które kołysały się na boki, jak gdyby po to, żeby się z nią drażnić. Ziewnęła i spojrzała na zegarek.

Zbliżała się północ. Zdawało się, że ten dzień nigdy nie dobiegnie końca. Bolało ją całe potłuczone ciało. Desperacko potrzebowała snu. Facet próbował ją zabić, to było całkiem nowe doświadczenie. Jego zwłoki zasługiwały więc na uwagę. Chciała popatrzeć w martwe oczy zabójcy i spróbować znaleźć w nich odpowiedź, jaki był sens tego wszystkiego.

Kiedy zapadła w drzemkę, Falcone rozmawiał przez telefon od ponad godziny. Wcześniej przedstawiła mu krótko, co wydarzyło się w biurze Randolpha Kirka, i potem już się do niej prawie nie odzywał. Jeśli tak miała wyglądać kara, mogła uważać się za szczęściarę. Była świadoma, że kilka razy przekroczyła granice, ale jeśli to miało pomóc znaleźć Suzi Julius, jeśli dzięki temu będzie można rozwiązać zagadkę śmierci Eleanor Jamieson, to gra była warta świeczki. Może wszystko będzie jej odpuszczone.

Rachele D'Amato w milczeniu siedziała w swoim samochodzie.

Patolodzy i ludzie z kostnicy, w mniejszej niż zwykle liczbie, ponieważ zostali podzieleni między biuro Kirka i wykop przy lotnisku, bez słów wykonywali swoją pracę. Czuli, że coś jest nie tak. Teresa zauważyła trzy różne rodzaje służb na miejscu wypadku: policję, patologów i DIA. Ich członkowie nie rozmawiali z sobą zbyt dużo. Osobiste niesnaski, zranione ego i różne dawne zaszłości sprawiały, że nie garnęli się do współpracy. Nie potrafili zachować się profesjonalnie i odłożyć prywatnych spraw na bok. Teresę można było zresztą winić nie mniej niż każdego z nich.

– Srał to pies – szepnęła do siebie. – Niech tylko znajdziemy jeden nowy trop, a już będziemy o krok dalej niż teraz.

Falcone i Peroni podeszli do niej. D'Amato wyszła z samochodu i także się zbliżyła. Wszyscy troje wyglądali jak wyjęci z wyżymaczki.

– Mamy ciało – burknął inspektor. – Zakładam, że chciałaby je pani zobaczyć.

– No pewnie. – Czekala kilka godzin, aż technicy znajdą bezpieczny sposób na wydobycie zwłok. Musieli ściągnąć więcej maszyn, dłuższe kable i dodatkowych ludzi, którzy zniknęli pod ziemią w swoich żółtych kaskach, wkurzeni i zdziwieni, dlaczego każą im to robić. To nie było miejsce zbrodni, tylko plac budowy.

Teraz, gdy zwłoki były na górze, przypięte pasami do noszy błyszczących w sztucznym słońcu zamontowanego na żurawiu reflektora, Teresa Lupu nie rwała się już tak bardzo jak przedtem do oglądania ich. Wiedziała, że obraz czarnogłowego owada próbującego odebrać jej życie na długo pozostanie w jej pamięci.

– Co mam zrobić? – zapytała, gdy szli w stronę grupki ludzi zebranych niedaleko krawędzi rozpadliny wokół stojących na kółkach noszy.

– Przydałoby się go zidentyfikować – powiedział Falcone.

– Mogę zdjąć mu hełm i przepatrzyć kieszenie. A co z motocyklem?

– Już go sprawdziliśmy – odparł Peroni. – Miał fałszywe blachy, ale dotarliśmy do niego po numerze na ramie. Skradziony w Turynie dwa tygodnie temu. Ostatnio zniknęło tam trochę ścigaczy. Wygląda to na działanie jakiejś grupy.

– To prawda – potwierdziła D’Amato. – Mamy informacje, że turyńska mafia przywozi je tutaj cały czas. Neri jest w to zamieszany. Nie on jeden, ale...

– Później – przerwał Falcone.

Stanęli nad zwłokami leżącymi na noszach twarzą w dół, z kończynami powykręcanymi dziwacznie jak u połamanej lalki. Lewe ramię było prawie wyrwane z barku. Przy stawie było widać kość, strzępy poszarpanego ciała i kawałek nagiej skóry. Teresa kazała wyłączyć wielki reflektor żurawia. Rozpraszał ją. Ich własne przenośne oświetlenie wystarczało.

– Jest mniejszy, niż sądziłam – odezwała się. Może zawsze ma się takie wrażenie, pomyślała. Przeważnie miała do czynienia z trupami i nie zastanawiała się, jak mogli wyglądać jako ludzie, kiedy oddychali, rozmawiali, żyli.

Falcone rzucił okiem na zegarek i westchnął.

– Cierpliwości – mruknęła i nachyliła się, niepewna własnych uczuć. Zastanawiała się, czy będzie w stanie odnaleźć w sobie szacunek dla zwłok, który starała się zachować podczas każdej autopsji.

Motocyklista zginął zapewne w chwili, gdy uderzył w ścianę rozpadliny, jeszcze zanim jego potrzaskane ciało upadło na dno wraz z pojazdem. Miał złamany kark i głowę przekrzywioną ku lewemu ramieniu. Kask ledwie przetrwał wypadek – na jego szczycie wzór spękań znaczył miejsce uderzenia. Czarną szybę pokrywały rysy, błoto i kurz.

– Biedny sukinsyn – szepnęła mimowolnie, rozpinając pasy przy noszach. W normalnej sytuacji powiedziałaaby Falconemu, że nie ma mowy o badaniu ciała w takich warunkach, o północy, w mrozie wiejącym z ugorów wokół Fiumicina. Mógł poczekać, aż wróćą do kostnicy, gdzie będzie miała swoje narzędzia i swobodny dostęp do wszystkich magicznych sztuczek profesji patologa. Lecz inspektor nie chciał czekać, podobnie jak ona. Człowiek i tak był martwy. Na piękny pogrzeb się raczej nie zanosilo.

Teresa Lupo poprosiła jednego z asystentów o torbę lekarską, wyjęła skalpel, ostrożnie rozcięła paski trzymające kask i tak delikatnie, jak umiała, zaczęła go zsuwać z głowy motocyklisty. Początkowo



napotkała opór. Przekręciła głowę trupa i znalazła lepszy sposób. Pod naciskiem jej palców plastik poruszył się, połamany kark lekko się uniół. Powoli, z wielką ostrożnością, zdjęła popękana skorupę kasku.

Matowe, żółte włosy polepione krwią, rozsypały się na jej dłoniach.

Peroni zaklął ostro i odwrócił się do nich plecami. Nikt nie odzywał się przez dobrą minutę.

Barbara Martelli, policjantka z drogówki, o której fantazjował każdy facet w Questurze, leżała zalana światłem przenośnych reflektorów. Jej posklejane krwią blond loki okalały twarz, na której zastygł grymas bólu. Miała półotwarte oczy. Na zębach, dawniej tak równych i białych, widać było oznaki jej brutalnej śmierci. Z gardła wyciekła krew i zastygła na nich lepka czernią pod pełnymi, teraz pobielającymi ustami.

– Niech to szlag! – zawołał Peroni w powietrze. – Niech to szlag!

Teresa Lupo rozpięła motocyklową kurtkę i odsłoniła zamaskowaną skórzanym strojem kobiecą sylwetkę. Martelli wciąż miała na sobie policyjną koszulę. Wilgotna, czarna plama ciągnąca się od gardła w dół przesiąkła przez nią. Dobrze pamiętała tę kobietę. Była zupełnie niepodobna do jakiegokolwiek innej policjantki. Czasem przyglądała się jej, jak idzie przez komisariat, wiedząc, że oglądają się za nią wszyscy faceci, a także spora część kobiet. Zastanawiała się, jak to jest być tak atrakcyjną i ile trzeba wkładać pracy w to, żeby każdego dnia wyglądać świeżo i doskonale, jakby się właśnie wyszło z salonu piękności. Zazdrościła jej. Teraz ta zazdrość wydawała się tak żałosna. Teresa Lupo nie miała pojęcia, jak skojarzyć ze sobą informacje. Dlaczego akurat Barbara Martelli spośród wszystkich ludzi okazała się zabójcą czy raczej zabójczynią, która przyjechała, by posłać Randolpha Kirka do piekła? Czy Martelli postanowiła na własną rękę i z własnej inicjatywy włączyć przerażoną panią patolog do swojej zabójczej gry, czy działała na czyjś rozkaz? A jeśli tak, to czyj? Zdawało się, że czas biegnie wstecz: z każdą minutą wiedzieli mniej, a świat stawał się mętny i nielogiczny.

– Gdybyś poprosiła, odwróciłabym wzrok – powiedziała miękko do siebie. – Nawet nie zdążyłam poznać Jasia Smarkojada.

Wtedy jej spojrzenie przyciągnął pewien szczegół i już nie wiedziała, czy mgła powoli się rozwiewa, czy zagęszcza tak, że już nic przez nią nie widać.

Z rozmyślań wytrącił ją Falcone, który położył jej rękę na ramieniu i potrząsnął lekko. Miała przed sobą jego ostre rysy i kwaśny wyraz podkreślonej srebrną brodą twarzy. Patrzył jej w oczy.

– Wielkie dzięki, pani doktor – powiedział.

– Nie ma za co.

– Jak to nie ma? – W głosie inspektora krył się sarkazm, który powinna była od razu wyczuć. – Przecież teraz dzięki pani mamy jeszcze martwą policjantkę.

– Co takiego?

Falcone odwrócił się od niej i zamierzał odejść. Nie mogła w to uwierzyć. Nawet Peroni wydawał się zażenowany.

– Hola! – krzyknęła.

Odwrócił się do niej. Przypomniała sobie pewną sztuczkę, którą poznała, kiedy grała przez jakiś czas w damskiej drużynie rugby, zanim wyrzucono ją za zbyt częste faule.

Wyrzuciła przed siebie stopę i wytrąciła Falconego z równowagi. Chwyliła poję jego marynarki i sprowadziła go do parteru.

Jego własna masa zadziałała na jej korzyść. Peroni potrząsał głową, kłął pod nosem i patrzył na nich, jakby ich zachowanie było poniżej wszelkiej krytyki. Wstrząśnięta Rachele D'Amato w milczeniu oglądała ten mały dramat. Teresa nie chciała myśleć, co w tym momencie robili ludzie z kostnicy. Pewnie tylko trzymali się za głowy.

– Chrzanić to... – wymamrotała, podniosła Falconego i przyciągnęła do zwłok. Puściła go i pokazała niemal wyłamane z barku ramię. – Widzisz pan to?! – powiedziała ostrym tonem, zmuszając inspektora, by nachylił się nad zmasakrowanym ciałem. – Widzisz?

Falcone, pozbawiony tchu, walczył, by zachować resztkę godności.

– Widzę – odparł, a ona odniosła wrażenie, że w jego chłodnej odpowiedzi kryje się przykry, może nawet przeprasający ton.

Tatuaż był mały, ale wyraźny. Na wyłamanym ramieniu Barbary Martelli widniał naniesiony fachowo czarnym tuszem rysunek. Wytatuowaną twarz otaczały sploty wężowych włosów. Jej pełne usta

wykrzywił grymas towarzyszący potwornemu wrzaskowi.

– Nie ma za co – powiedziała miękko do siebie Teresa Lupo, po czym warknęła kilka rozkazów i jej ludzie zaczęli ładować ciało.

## VENERDI

. Wiosna nadeszła z wigorem. Emilio Neri rozkazał ludziom wystawić na taras kilka grzejników, dzięki czemu było dość ciepło, by mógł wraz z rodziną zjeść pierwsze w tym roku śniadanie na otwartym powietrzu z widokiem na Via Giulia. Była ósma rano. W domu panowała inna atmosfera. Neri odesłał służących. Potrzebował przestrzeni dla swoich żołnierzy. Bez służby czuł się znacznie lepiej. Wysłał jednego z ludzi na Campo po pieczywo i owoce. Sam wolał się stąd nie ruszać, chyba że chodziło o ważne sprawy. Miał jeszcze jeden powód, żeby rozmawiać na tarasie, wysoko ponad brukiem Via Giulia. Skurczysyny z DIA nie cofnęłyby się przed niczym, żeby tylko go dopaść. Niekiedy miał wrażenie, że dom jest pełen podsłuchów, a oni nagrywają każde jego słowo. Zastanawiał się, czy na starość nie dostaje paranoi. Tak czy inaczej w bladych promieniach porannego słońca, słuchając odległych pomruków aut na Lungotevere, nieobserwowany przez nikogo, czuł się znacznie lepiej.

Może to także były pobożne życzenia. Mogli podglądać go przez zamontowane gdzieś w pobliżu kamery albo z przelatujących nad domem helikopterów. Tak działał współczesny świat – ludzie wtrącali się nawzajem w swoje prywatne sprawy, węszyli, zadawali głupie pytania. A tymczasem prawdziwe życie zeszło na psy i nikt niczego nie zauważył.

Adele i Mickey siedzieli obok siebie naprzeciw niego. Tego ranka wydawali się jeszcze bardziej skłóceni niż kiedykolwiek. Przedstawienie – bo to właśnie określenie wydało się Neriemu właściwe – trwało. Jego syn wrócił do domu krótko przed północą, milczący i w podłym humorze. Może dziewczyna nie przyszła na randkę. Neri nie pytał i nie chciał wiedzieć. Ostatnim, czym teraz miał czas się zajmować, były erotyczne sukcesy i porażki syna.

Na dole miał sześciu ludzi w pełni wyposażonych na wypadek każdej sytuacji. Zadzwoił też po kilku starych *compari* z dawnych czasów. Wezwał każdego z nich z osobna do swojego biura i każdemu popatrzył w oczy w poszukiwaniu oznak nielojalności, których jednak

nie znalazł. Potem powiedział im, by wzięli kilka dni wolnego na wypadek, gdyby ich potrzebował. To byli ludzie, którzy mieli powody, by mu okazać wdzięczność. Dobrze wiedzieli, że pewnych długów nigdy nie można do końca spłacić. Neri zdawał sobie sprawę, że jeśli wybuchnie wojna, potrzebny będzie każdy człowiek, jakiego można znaleźć. Prowadził interesy po Rzymie. Nie utrzymywał sztywnej, militarnej struktury, którą tak bardzo lubili Sycylijczycy. Nie miał *consigliere*, do którego mógłby się zwracać po poradę, nie negocjował z innymi mafiami, żeby wszystkich zadowolić. Nie miał też żadnych *capi* dowodzących żołnierzami niższego szczebla. Był jedynie Bruno Bucci, ktoś w rodzaju prawej ręki, ale on nigdy nie robił zbyt wiele we własnym imieniu.

Neri zawsze lubił sam załatwiać sprawy. Szczególnie w przeszłości był z tego znany. Teraz, gdy się nad tym zastanawiał, dochodził do wniosku, że przez swoją obsesyjną chęć sprawowania absolutnej kontroli wystawia się na strzał. Nie mógł jednak łatwo przekazać komuś innemu obowiązków. Miał za mało żołnierzy. W Rzymie od dwudziestu lat nie było zakrojonej na pełną skalę wojny między mafiami. Panowało powszechne przekonanie, że od tamtych czasów reguły gry uległy zmianie, a ludzie trochę bardziej się ucywilizowali. Kto tak sądził, był głupi, myślał Neri. Ludzka natura jest niezmienna, najwyżej zasypia na chwilę. Teraz on sam musiał się przystosować. I to szybko.

Bucci wszedł po metalowych schodkach na taras, niosąc na tacy śniadanie: pieczywo, soki, kawę. Adele przyglądała się, jak stawia tacę na stole, z szacunkiem pochyla głowę przed Nerim i wychodzi, po czym powiedziała:

– Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, co się tutaj dzieje? Goryl podaje do stołu. Na dole siedzą ludzie, którzy raczej nie pasują do wystroju wnętrza. Dlaczego muszę dzielić dom z bandą zombie w czarnych garniturach, kiedy jeszcze nie zdążyłam przebrać się z piżamy?

Neri wiedział, że musi jakoś jej to wyjaśnić. Adele chodziła po domu, jakby nic się nie zmieniło. Siedziała obok Mickeya pod jednym z grzejników w nowej, jedwabnej piżamie, która wyglądała jak uszyta z czystego złota. Nie miała nic pod spodem. Nie chciało jej się też zapiąć koszuli, czego nie mógł nie zauważyć. Nie chciał, żeby jego ludzie też

mogli ją sobie oglądać. Przypuszczał, że plotkują na jej temat. Zastanowiło go też, że Mickey nawet nie rzucił na nią okiem w jego obecności.

– Może ubieraj się trochę wcześniej – powiedział i upił łyk kawy pogrążony w myślach.

Siedziała sztywno z jedną ręką na stole. Spojrzała lodowato na Mickeya.

– Obudziłeś mnie. O której przychodzisz do domu? Nie możesz sobie załatwiać kurew, które pracują w normalnych godzinach?

Mickey uśmiechnął się, a loczek tlenionych włosów na jego czole zafalował głupawo.

– Jakich kurew? Byłem zajęty. Ściąganie długów zabiera więcej czasu niż zakupy. Pracowałem. A ty co robiłaś?

Neri wiedział, że chłopak kłamie. Jego mózg krył się pod rozporkiem, zawsze tak było. Kręcił na boku jakieś nowe, prywatne interesiki, dało się to wyczytać z jego twarzy.

– Co się stało z twoim telefonem? Zdaje się, że w tej rodzinie mamy jakiś ogólny telefoniczny problem.

Chłopak wzruszył ramionami. Wyglądał trochę dziwnie. Na jego brwi pojawiła się kropla potu, strzelał spojrzeniem dookoła.

– Spieprzył się. Dałem do naprawy.

– Dobrze – warknął Neri. – Mam już dość na głowie, żeby się jeszcze martwić o waszą dwójkę.

Zastanawiał się, jak im to przekazać. I ile mogą wiedzieć. Adele jako jego żona powinna znać fakty. Mickey pewnie sądził, że mu się ta wiedza także należy.

– Musimy być ostrożni – zaczął. – Być może, powtarzam: być może, mamy kłopoty.

– Czemu? Sycylijczycy maćą? – zapytała od razu Adele, a Neriego zastanowiło, że to pytanie padło z jej ust, a nie Mickeya.

Machnął ręką ze zniecierpliwieniem.

– E tam. Posłuchajcie mnie. Ze strony moich ludzi nie mam się czego obawiać. Znamy się od lat. Sądzicie, że pół życia pełzałem wokół różnych prymitywów bez powodu? Tu nie ma zagrożenia, o ile od czasu do czasu damy im possać trochę krwi.

– Więc kto? – spytała znowu Adele, a Neri nie mógł oderwać od niej oczu. Trzymała w swojej delikatnej, szczupłej dłoni rogalika i nie mogła powstrzymać się od ziewania. Nawet nie próbowała. To wszystko było tak odległe od jej życia.

– Dawno temu – powiedział cicho gangster – kiedy mój syn był jeszcze nastolatkiem, mieliśmy pewien problem z Amerykanami.

Mickey odetchnął głęboko.

– To już zamknięty rozdział.

Neri uśmiechnął się nieprzyjemnie i ponad stołem spojrzął na chłopaka.

– Być może ktoś uważa inaczej. Może ktoś sądzi, że to my ponosimy odpowiedzialność.

– A ponosimy? – Adele wpatrywała się w niego szeroko otwartymi, naiwnymi oczami. To chyba najgorsze pytanie, jakie można zadać w tych okolicznościach, pomyślał Neri.

– Ludzie mają krótką pamięć – powiedział. – Potrafisz sobie przypomnieć, co robiłaś szesnaście lat temu?

– Jasne – odpowiedziała. – A ty nie? Uczyłam się rżnąć. Wydawało się wtedy, że to cenna umiejętność.

– Taa, no cóż, nie wszystkie sprawy dotyczą tyłka – odparł. Przynajmniej nie zawsze, dodał w myślach. – W tej chwili musimy się zająć tym, co najważniejsze. To nasze miasto. Póki wszyscy tego nie pojmą, macie być tutaj, bo tylko tu mogę was chronić.

Adele posłała Mickeyowi teatralne spojrzenie, pełne czystego obrzydzenia.

– Mam tkwić tu razem z nim? Jak więzień?

Neri patrzył na nich, jego umysł pracował.

– Popatrz na to jak na terapię. Wychodzenie z zakupoholizmu.

– Czasami – mruknęła Adele – w tym domu dosłownie pękam z radości.

Mickey zachichotał. Wyglądał dziwnie. Miał lekko zaczerwienioną twarz. Może znowu ćpa, pomyślał Neri. Tylko tego mu teraz było trzeba.

– To tak jak ja – warknął, po czym wstał i zszedł na dół, żeby porozmawiać z ludźmi. Niekiedy jego rodzina potrafiła wywołać depresję.

Adele patrzyła, jak odchodzi. Mickey zamknął oczy, rozanielony. Ranek był taki piękny. Po niebie sunęło kilka mew. Gdzieś nad ich głowami krążył helikopter i być może ustawiał się tak, żeby wszystko dobrze widzieć. Adele zajmowała się Mickeyem, głaskała go, drażniła, przesuwała się w równym rytmie w dół i w górę. Jego kogut stał pod stołem sztywno wyprostowany i pulsował w jej mocnym chwycie. Działo się to przez cały czas nudnego wykładu ojca.

Mickey był na krawędzi nieopanowanej eksplozji. Adele odsunęła obrus i pochyliła się, jej głowa powędrowała w dół. Poczł jej włosy na swojej dłoni i usta, w których zamknął się wypływający z niego żar. Język Adele wykonywał dwa doskonałe kręgi rozkoszy.

Mickey nie mógł się powstrzymać i wydał z siebie krótki okrzyk. Kiedy otworzył oczy, Adele siedziała już znowu wyprostowana na swoim krześle. Rogiem chusteczki ocierała kącik ust. Widział koniuszek jej różowego języka.

– Robiła ci to, Mickey? – spytała, gdy doprowadziła się do porządku. – Robiła ci to ta twoja zdzira w nocy?

– Mówiłem ci – odparł sennym głosem – że pracowałem.

– Mam nadzieję, że to prawda. – Patrzyła na niego jakoś dziwnie. Pomyślał, że zmieniła się przez ostatnich kilka dni. Widać było, że czegoś pragnie i jest to coś więcej niż pieprzenie.

– Słuchałeś, co mówił? – zapytała.

– Trudno mi się skupić na słowach ojca, gdy macocha robi mi dobrze pod stołem. – Miał niezaprzeczalną rację, a mimo to jego słowa zabrzmiały jak tania wymówka.

– Może to powinien być ostatni raz. Może dam sobie z tym spokój, zanim on się zorientuje.

Zamruął niezdolny do przyswojenia tej myśli.

– A może – ciągnęła – powinnam powiedzieć mu, że to ty mnie do tego zmusiłeś. Nie dawałeś mi spokoju. Rzuciłabym mu się do stóp i błagała o litość. Założę się, że posłuchałby.

Poruszył się niespokojnie. Kiedy się odezwał, jąkał się lekko, co zdarzało się czasem, gdy był mocno zdenerwowany.

– N... n... nie żartuj w t... t... ten sposób, Adele.

Chwyciła go za ramię. Szczupłe palce wbiły mu się w skórę.



– Musimy spoważnieć, Mickey. Powinieneś słuchać. On jest stary, kończy się, nie wie, czego chce. Za to Sycylijczycy... Wiesz, co to za ludzie?

– To przyjaciele – wyjaśnił, próbując nadać słowom wiarygodności.

– Nie przyjaciele, tylko wspólnicy. Jeśli uznają, że jest słaby, że wypadł na aut, po prostu wejdą i przekażą cały interes komuś innemu. Gliny znajdą twojego trupa w aucie gdzieś na zabitej dechami wsi, a ja będę pokazywać swoje sztuczki jakiemuś nadzianemu staremu przykowi, któremu już nie będzie chciał stanąć.

– O czym ty mówisz? – Nastraszyła go trochę. Mickey lubił Adele, może to nawet była miłość. Dziwne rzeczy zdarzają się wiosną.

– Mówię, że... – przerwała i zawahała się, myśląc. – Musimy być przygotowani.

Gdzieś z dołu dobiegły ich głośnie hałasy: ryk silników, wycie syren. Podeszli do barierki i spojrzeli na wąską uliczkę. Mickey odetchnął głośno i cofnął się o krok. Nigdy nie lubił wysokości. Nie podobało mu się też to, co zobaczył. Na brukowej kostce zaroilo się od niebieskich samochodów. Policyjne wozy zablokowały przejazd. W pobliżu kościoła po zatybrzańskiej stronie z nieoznakowanej alfy wysiadł wysoki, dystyngowany mężczyzna. Towarzyszyła mu młoda, elegancka, dobrze ubrana kobieta.

– Cholera – mruknął Mickey i z zawrotami głowy ruszył w głąb tarasu. Piętro niżej natarczywie brzęczał dzwonek do drzwi.

Costa wcześniej przyszedł do Questury. Zaniósł gumkę i szczotkę do laboratorium kryminalistycznego. Gburowaty technik w białym kitlu popatrzył podejrzliwie na plastikowe torebki.

– Do jakiej sprawy mam je przydzielić?

– Co takiego?

– Mamy nowe procedury zarządzania takimi materiałami. Musi mi pan powiedzieć, z jaką sprawą są związane te rzeczy, żebym mógł je podpiąć pod właściwy budżet.

Costa westchnął.

– Zaginiona nastolatka, Suzi Julius. Najdalej dziś po południu muszę wiedzieć, czy włosy na szczotce i gumce są ze sobą zgodne.

Technik uniósł brwi. Był niskim, szczupłym człowiekiem koło czterdziestki, o podłużnej, bladej twarzy. Zaniósł torebki do swojego biurka i obejrzał je dokładnie pod światłem lampy.

– Mogę panu odpowiedzieć już teraz. Nie są zgodne.

– Jak to?

– Niech pan sam spojrzy. Te włosy różnią się kolorem.

Costa zabrał laborantowi torebki i zaczął się przypatrywać ich zawartości. Facet mógł mieć rację. Włosy faktycznie miały trochę inny odcień. Te z gumki znalezionej w willi były ciemniejsze. Być może należały do kogoś innego, a może zabrudziła je ochra na podłodze.

– Czy włosy mają taką samą barwę na całej głowie? – zapytał.

– Nie, chyba że ktoś je bardzo starannie ufarbuje.

– Niech więc mi pan zrobi tę przysługę i zaspokoi moją ciekawość – poprosił Costa. – Proszę je sprawdzić.

Technik stęknął i powiedział:

– To będzie dobrze wyglądać na cotygodniowej kontroli finansowej. Przez tę grypę mamy w tej chwili połowę stanu. Coś czuję, że i mnie bierze. Niech pan się nie spodziewa cudów.

– Więc jak długo?

– Minimum trzy dni – odpowiedział. – W tych okolicznościach nie da się szybciej, przykro mi.

– Jezu... – mruknął Costa i wrócił do biura, gdzie przy swoim biurku zastał rozpartego w fotelu Peroniego. Stary policjant siedział z zamkniętymi oczami i poszarzałą, obwisłą twarzą.

– Wygodnie ci? – zagadnął Nico.

– Oduściłeś sobie „dzień dobry”. Zgadzam się, wcale dobry nie jest. Masz gościa na zewnątrz. To ta Brytyjka.

Costa spojrział na niego ostro.

– Spokojnie! – zaprotestował Peroni. – Chciałem sobie z nią pogadać, ale nic z tego. Nie ma Nica Costy, nie ma gadki.

Costa wyszedł na zewnątrz do strefy przyjęć. Miranda Julius siedziała na ławce. Miała worki pod oczami i wyglądała żałośnie.

Prowadząc ją do biura, minął Teresę Lupo, która z opuszczoną głową biegła truchtem przez korytarz.

Peroni poszedł za nimi i patrząc na Mirandę, przyciągnął sobie

krzesło do biurka.

– Co możemy dla pani zrobić, pani Julius? – zapytał. Costa pojął, że w ten sposób chce czytelnie dać do zrozumienia, że są partnerami i Miranda musi rozmawiać z nimi oboma.

– Czy macie jakieś nowe informacje? Jakiegokolwiek?

Peroni zmarszczył brwi.

– Obiecuję, że skontaktujemy się z panią natychmiast, jak tylko się czegoś dowiemy.

– A co robicie? – naciskała. – Co z tą gumką do włosów, którą znaleźliście? Wiecie już, czy należała do Suzi?

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Racja, pójdę się dowiedzieć – powiedział Peroni.

Costa patrzył, jak jego partner wychodzi z gabinetu.

– Potrzeba czasu, żeby to sprawdzić – powiedział. – Na wszystko trzeba czasu. Sama nie byłaś pewna co do frotki. Pewnie wypadła jakiemuś dziecku z wycieczki szkolnej.

Wycieczka instruktazowa połączona z poznawaniem rzymskiego porno, pomyślał Costa. A może studenci z uniwersytetu.

Miranda nachyliła się nad stołem, chwyciła go za ramię i popatrzyła mu w oczy. W jej spojrzeniu były emocje, które już nauczył się rozpoznawać.

– Nico, moja córka zaginęła. Słyszałam w telewizji różne spekulacje o tych obrzędach. Pamiętam, co znalazłeś w jej pokoju. A co, jeśli ona jest w to zamieszana?

Skinął głową.

– W tej chwili nie mamy żadnych śladów, które kazałyby nam wiązać Suzi z tym, co stało się w Ostii. Zresztą skąd mielibyśmy je mieć? Czy rozpoznałaś kogokolwiek z tych ludzi, których pokazywali w wiadomościach? Profesora, policjantkę?

– Nie.

Na twarzy Julius malował się wyraz strachu i samooskarżenia, który często widział w tego typu sytuacjach.

– Suzi uciekła – powiedział. – Spuściłaś ją na chwilę z oka i poznała jakiegoś głupiego chłopaczka. Rozesłaliśmy wszędzie jej fotografię. Ktoś ją w końcu zobaczy, a pewnie ona sama wcześniej do

ciebie zadzwoni.

Spojrzała na zegarek.

– Przepraszam. Po prostu czuję się taka... bezsilna.

– Rozumiem. Tak jak mówiłem, mogę załatwić kogoś, żeby z tobą był, jeśli chcesz.

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – Nie potrzeba.

Milczała przez chwilę.

– Przepraszam za moje zachowanie zeszłej nocy. To było żenujące.

Nie mogę sobie wybaczyć.

– Nie ma sprawy.

– Jest sprawa – powiedziała stanowczo. – Większość mężczyzn...

Cóż, wiem, jak postąpiłby ktoś inny na twoim miejscu. I... dziękuję.

Nie chciał ciągnąć rozmowy w tym kierunku.

– Co teraz będziesz robić?

– Przejdę się trochę po mieście. Będę rozmyślać, czekać. Gdy tkwię w tym cholernym mieszkaniu, odchodzę od zmysłów. Suzi zna numer mojej komórki, jeśli będzie chciała się skontaktować.

Podał jej swoją wizytówkę.

– Możesz do mnie dzwonić o każdej porze. Nie musisz szukać powodu. Dzwon, nawet jeśli nie będziesz miała żadnych ważnych wiadomości, po prostu po to, żeby porozmawiać.

Schowała wizytówkę do torby.

– Nie zrozum mnie źle – powiedziała z wahaniem. – Nie jest tak, jak mówiłam. Nie mam zwyczaju sypiać z obcymi mężczyznami. Nie chcę, żebyś myślał... Tak jakoś wyszło. – Przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy.

Uratował go Peroni. Wszedł do biura, kręcąc głową, i powiedział, że kryminaliści nie mają jeszcze wyników, ale wciąż prowadzą badania, natomiast pojawiły się już pierwsze telefony od ludzi.

Usiadł obok niej, zdjął kurtkę, zawiesił ją na oparciu krzesła i powiedział poważnym tonem.

– Robimy, co w naszej mocy, pani Julius. Jeśli od wczoraj coś nowego przyszło pani do głowy...

Przycisnęła ręce do piersi i nerwowo potrząsnęła głową. Jej jasne włosy zafalowały.

– Nie, nic. – Zastanowiła się chwilę i powiedziała z nieoczekiwanym ożywieniem: – Nie, przepraszam, mam zamęt w głowie. Zeszłej nocy po twoim wyjściu znalazłam w pokoju Suzi aparat fotograficzny, jednorazówkę. Właśnie odebrałam film z zakładu. Na zdjęciach nic nie ma. Takie tam zwykłe obrazki. Trochę zabytków. Jakiś chłopak. To po prostu fotki z wakacji. Nie ma ujęć żadnych konkretnych osób, przynajmniej nic takiego tu nie widzę, ale mogę je wam zostawić.

– To może być bardzo pomocne – powiedział Peroni pełnym zaangażowania głosem. – Dokładnie takiej pomocy od pani oczekujemy.

Costa popatrzył na swojego partnera i zdał sobie sprawę, że bardzo go polubił. Obaj wiedzieli, że na zdjęciach nic nie ma. Peroni chciał tylko, żeby kobieta czuła się włączona w sprawę.

Miranda sięgnęła do swojej płóciennej torby, wyjęła kopertę z odbitkami i podała ją Coście. Przejrzał je: zwykłe turystyczne obrazki. Schody Hiszpańskie. Fontanna di Trevi. Koloseum. Suzi zwiedzała miasto.

– Przyjrzymy się im – obiecał.

Patrzyli, jak Miranda Julius wstaje i wychodzi.

– Nie znoszę kłamać – powiedział Peroni, kiedy kobieta znalazła się poza zasięgiem głosu. – Mielśmy trzy telefony od świrów, którzy zawsze dzwonią. Nie mogę uwierzyć, że nikt nie widział tej dziewczyny.

– Dokładnie tak samo było z tą Jamieson.

Peroni nie był chyba przekonany.

– Daj spokój, Nico. Trochę się znam na takich sprawach i wiem, że tak to wygląda w połowie przypadków. Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Ta biedna kobieta zdaje sobie sprawę, że i tak je wyciągamy, i boi się jeszcze bardziej.

Costa westchnął. Peroni miał rację.

– Problem polega na tym – ciągnął stary policjant – że ja wcale się nie różnię od innych ludzi z Questury. Nie mogę przestać myśleć o Barbarze. Doprowadza mnie to do szału. Co tam się u niej mogło pochrzanić, do diabła? Jej stary był dupkiem, łapownikiem i damskim bokserem, ale ona wydawała się całkiem inna. Patrzyłem na nią i myślałem sobie: jak człowiek chce, może wyjść z szamba, w które

wrzucił go świat. Wychodzi na to, że się myliłem, prawda? Była równie zatruta jak każdy. Nawet bardziej. Dlaczego?

Costa widział się przez chwilę z Falconem przed wizytą w laboratorium. Wiedział, gdzie powinni się teraz udać.

– Pracowałeś z jej ojcem?

– Miałem tę przyjemność – mruknął Peroni. Nagle spojrzał Coście w oczy, pełen złych podejrzeń. – Nie. Nawet mi nie mów. Falcone chce, żebyśmy pojechali pogadać z tym sukinsynem, tak? Proszę, powiedz, że się mylę.

Costa rozłożył ręce w geście rezygnacji.

– Znasz go, Gianni. Zresztą to trzeba zrobić. Człowiek, który pojechał tam wczoraj w nocy, wrócił z niczym.

Peroni wstał i zdjął kurtkę z krzesła.

– Czemu takie rzeczy muszą się przytrafiać właśnie mnie? Pozwól, Nico, że cię o coś spytam. Ja też mam córkę. Jest właśnie w wieku, w którym dzieciak zaczyna dostrzegać wokół siebie dorosłe sprawy. Skąd będę wiedział, jeśli pójdzie tą samą drogą co Barbara? Jak można się zorientować, czy dziecko nie czerpie z ciebie tego, co najgorsze, czego nawet sam nie dostrzegasz? – Wielka brzydka twarz wpatrywała się w Costę z wyrazem bezradności, a może nawet gniewu. – Nie umiałem tego wypatrzeć u Barbary Martelli. Tak łatwo nas wszystkich nabrała. Skąd można wiedzieć?

Costa nie słuchał zbyt uważnie. To nie był dobry moment na psychoanalizę Peroniego. Mieli czas tylko na to, żeby przejrzeć fotografie. Przed jego oczami przesuwały się obrazy znanych budynków i ludzkie masy, głównie turyści. Morze pozbawionych wyrazu twarzy, z których każda kryła własne tajemnice.

– Nie mam pojęcia – odparł.

Po wypadku wszystko ją jeszcze bolało. Na głowie, w miejscu, którym przywaliła w sufit samochodu, miała naklejony plaster. Ranek w rzymskiej kostnicy zapowiadał się naprawdę przeciekawie. Na stolach leżały dwa nowe ciała. Mogła zabrać się do kolejnych fascynujących eksperymentów na zmumifikowanym ciele Eleanor Jamieson. Od kiedy trafiła tutaj osiem lat temu, praca nigdy nie była tak interesująca. Mimo to teraz, pogrążona w myślach, stała zgarbiona, oparta o ścianę dzielącą

prosektorium od głównego budynku Questury, i paliła trzeciego już papierosa. Wydarzenia przesuwają się obok niej. Falcone wyruszył z całą ekipą. Nico Costa i Peroni pomachali jej na do widzenia kilka minut później i także wyjechali. A wszyscy, pomyślała, jadą w złym kierunku.

Gdy zaryzykowała samotną wyprawę do Ostii, jedna obsesyjna myśl wypełniała jej umysł: młoda dziewczyna nazwiskiem Suzi Julius jest w poważnych tarapatkach i o tym nie wie. W jakiś sposób dostała się w ręce psychopaty, człowieka inteligentnego i ostrożnego, ale szalonego. W najlepszym razie mogła zostać zgwałcona, i to pewnie nie w pozycji misjonarskiej. W najgorszym...

Teresa pomyślała o zbrązowiałym, skórzastym ciele na stole sekcyjnym i po raz pierwszy w swojej karierze zaczęła się zastanawiać, czy to, co robi, nie zaczyna się odciskać na jej psychice. Czy to możliwe, że jej lęk o Suzi Julius był w rzeczywistości objawem czegoś innego, głębokiego poczucia, że praca, którą wykonuje, jest kompletnie bezużyteczna? Lubiła to zajęcie. Od czasu do czasu odkrywała coś, co okazywało się pomocne. Była dobra, lepsza niż inni, i dlatego góra tolerowała jej zachowanie. Ale niezależnie od tego, co wymyśliła i jak bardzo była spostrzegawcza, bystra czy przewidująca, jej rola zaczynała się już po zejściu. Mogła pocieszać się myślą, że ujęcie mordercy uniemożliwia mu zabicie kolejnego człowieka. Jednak dzięki temu nie dało się przywrócić do życia tych, których zdążył zabić. Szczerze mówiąc, była po prostu jeszcze jednym żałobnikiem na pogrzebie, który mógł płakać i współczuć, ale nic więcej. Była pomocna, ale to nie wystarczyło. Przynajmniej nie Teresie Lupo.

A teraz już nawet tego nie mogła robić. Gdy jechała do Ostii, liczyła w głębi ducha, że odnajdzie coś, co pozwoli uzyskać lepszy obraz wydarzeń i pokaże, jak w dziwny sposób historia zatoczyła koło i połączyła śmierć Eleanor Jamieson ze zniknięciem Suzi Julius. Bo te sprawy musiały być powiązane. Teresa nie miała co do tego cienia wątpliwości, chociaż nie potrafiła racjonalnie wyjaśnić, czemu jest tak tego pewna. Falcone był dobrym policjantem. Gdy dać mu dowody, wręczyć karty, którymi mógł grać, nie ma od niego lepszych. Jednak widziała, z jakim wyrazem twarzy siedział poprzedniego dnia

w mieszkaniu w Teatro di Marcello. Dla niego liczyło się tylko morderstwo – nieważne, że popełniono je przed szesnastu laty. W porównaniu z tym i z zaangażowaniem w sprawę ludzi z mafii, o czym wszyscy na komisariacie wiedzieli, jeszcze zanim pojechała do Ostii, zniknięcie nastolatki, które wyglądało w dodatku na ucieczkę, wydawało się kwestią mniej istotną, jeśli nie zupełnie błąhą.

Tyrs, zbieżność dat, nasiona... Żaden dowód, który Costa znalazł w pokoju Suzi, nie był dość ważki. Może dziewczyna wciągnęła się w jakiś dionizyjski kult przez internet? W sieci pełno było różnych sekt, Teresa sprawdziła to z samego rana. Może tatuaż na ramieniu był po prostu czymś, co robią nastolatki. Jednak tak naprawdę nie wierzyła w to ani przez chwilę. Falcone też prawdopodobnie nie wierzył, ale bez wyraźniejszych śladów, nad którymi mógłby się pochylić, był zagubiony.

To właśnie dlatego złamała wszystkie reguły i pojechała zobaczyć się z profesorem Randolphem Kirkiem. Wyobrażała go sobie jako Harrisona Forda z gotową odpowiedzią na każde pytanie, a spotkała Jasia Smarkojada, który wprowadził tylko jeszcze więcej zamieszania i tajemnic. Okazało się, że podjęła najgorszą możliwą decyzję, i to nie tylko dlatego, że mogła za to zostać zwolniona z pracy. Wraz ze śmiercią Kirka Falconemu przybyła kolejna prawdziwa zbrodnia, w którą musiał wbić zęby, a przy tym dostał kolejny powód, dla którego mógł jeszcze głębiej zamieść pod dywan kwestię Julius. Kiedy Teresę zaczął gonić na potężnym ścigaczu zamaskowany zabójczy żuk, który niedługo potem okazał się policjantką po godzinach, w dodatku taką, na której widok ślinili się wszyscy chłopcy z Questury, cała sprawa weszła na kolejny poziom skomplikowania. A zaginięcie nastolatki zeszło z pola widzenia.

Rankiem, przed przystąpieniem do niemiłego obowiązku dokonania sekcji zwłok Barbary Martelli, Teresa posłała Księżula do Questury, żeby dowiedział się, o czym tam plotkują. Policjanci na wpół z niego kpili, na wpół się nad nim litowali, dzięki czemu zawsze zbierał pokątną ilość informacji. Jeszcze się nie zameldował, lecz już wiedziała, co powie. Nikt nie widział Suzi Julius. Mimo wysiłków nikt też nie widział powodu, żeby uznać, że ta sprawa to coś więcej niż ucieczka nastolatki, która chce popробować, na czym polega dorosłość, i nie



obchodzi ją, jakiego stracha napędziła matce.

Teresa też wybrała się na krótki spacer po komisariacie. Kiedy zobaczyła, jaki wyraz twarzy mają gliniarze, zrozumiała, co usłyszałyby, gdyby zaczęła z nimi gadać o Suzi. „Była raz sobie w drogówce niesamowita babka. Miała włosy koloru złota i cycki, które nie chciały się zmieścić pod skórzaną kurtką. Pewnego dnia ten anioł, ta bogini seksu wsiadła na swojego ducati, żeby bez żadnego konkretnego powodu rąbnąć sobie profesorka. Zaraz potem postanowiła też załatwić trochę dziwną patolog, a jeszcze później skończyła martwa na dnie jakiejś cuchnącej jamy w Fiumicinie. Za to ty nas pytasz o zaginioną panienkę, którą ostatni raz widziano, jak uśmiecha się wesoło i macha na pożegnanie swojej z lekka sfiksowanej mamie, a potem odjeżdża z chłopaczkiem przystojniaczkiem do najbliższej apteki po kondomy. Czy słowo priorytet znaczy coś w miejscu, z którego się urwałaś? Zastanawiasz się czasem, skąd się wzięła ksywka Szalona Teresa?”

Mieli trochę racji z gliniarskiego punktu widzenia. Jednak w ich twarzach było coś jeszcze. Patrzyli na nią tak, jakby sądzili, że to jej wina. Gdyby nie pojechała do Ostii, Barbara Martelli i Randolph Kirk wciąż by żyli, a oni nie wyobrażaliby sobie nawet, że jedno może chcieć zabić drugie.

– Tak, ale... – powiedziała głośno, dźgając palcem stojącego przed nią wymagowanego przeciwnika. Sprzeczała się z zadymionym powietrzem rzymskiej wiosny – ...to, że o czymś nie wiedzieliśmy, nie oznacza, że nie działo się tam zło. Po prostu nie rozumieliśmy, co to było i skąd się wzięło.

I ciągle nie rozumiemy, pomyślała ponuro. Nic nie rozumiemy.

– I tak by się to stało – wymamrotała sama do siebie. – To nie moja wina. Ignorancja wcale nie jest błogosławieństwem.

Otworzyły się tylne drzwi prowadzące do komisariatu i wytoczył się z nich Księżulo. Poczłapał w kierunku Teresy ze zwieszoną głową, unikając jej spojrzenia.

– Silvio – powiedziała wesoło. – Mój mężczyzno, moje oczy i uszy, powiedz mi, mój drogi, co tam opowiadają o twojej ukochanej szefowej? Będzie dyscyplinarka czy mogę już kandydować na prezydenta?

Oparł się o ścianę obok Teresy, wziął od niej papierosa, zapalił go z wdziękiem i precyzją dziewięciolatka, zaciągnął się głęboko i zaniósł kaszlem.

– Nie musisz palić, bo ja palę – zauważyła Teresa. – Prawdę mówiąc, Silvio, wolałabym, żebyś w ogóle nie palił. Nie wyglądasz na palacza. To ci po prostu nie pasuje.

Posłusznie rzucił papierosa na ziemię i zdusił go obcasem.

– To zwykłe dupki, ci gliniarze. Dupki co do jednego.

Chwyliła go za rękę, oparła się o jego ramię i przez chwilę po dziewczęcemu bawiła się kosmykiem rzadkich długich włosów Silvia. Musiała się nieco pochylić. Nie był najwyższym mężczyzną na planecie.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem, serce ty moje. Co z córką Julius?

– Nie mają nic nowego.

– Czym się zajmują w takim razie?

– Falcone pojechał spotkać się z jakimś mafiosem czy kimś w tym rodzaju. Costę i tego drugiego, dziwnego, wysłali, żeby dowiedzieli się czegoś o przeszłości Barbary Martelli. Mają wy badać, czemu chciała zabić profesorka.

– I mnie. Nie zapominaj o mnie, Silvio. Mnie też chciała zabić.

– Właśnie. – Uciekł spojrzeniem na drugą stronę podwórka.

– Co dalej? – Jeszcze nie chciała go puścić. Widać było, że ma więcej wieści.

– Są na ciebie wściekli, Teresa. Są naprawdę wkurzeni.

– To ci nowina.

– Nie. – Opadło na nią spojrzenie jego okrągłych, wilgotnych oczu i przez chwilę czuła się winna, że przez nią tak się wystraszył. – Nie rozumiesz. Nigdy nie słyszałem, żeby mówili w taki sposób. Jakby...

Urwał i popadł w milczenie.

– Jakby to była moja wina?

Wbił wzrok w swoje buty.

– Tak.

Pomyślała, że mocne uderzenie wyrwałoby go z takiego stanu, ale stwierdziła, że w tych okolicznościach może to nie być najwłaściwsze rozwiązanie.

– Ale to nie jest moja wina. Prawda? Popatrz na mnie, Silvio, u licha.

Podniósł oczy. Żałosny wyraz jego twarzy stanowił piękny widok.

– Powiedz: Tereso, to nie twoja wina.

– Tereso, to nie twoja wina.

– Świetnie. A jaka jest ich... teoria, jeśli można to tak nazwać?

– Żadnej nie mają. Sądzą, że sprawa dziewczyny z bagna ma jakiś związek z mafią. Myślą, ale nie chcą spojrzeć prawdzie w oczy, że Barbarę Martelli opłacała jedna ze stron, żeby trzymała rękę na pulsie. Informowała. Jeździła na posyłki.

Nie mogła pozbyć się obrazu czarnego kasku w oknie swojego samochodu.

– Ładne mi posyłki.

– Oni sami nie wiedzą, Teresa. Wydaje mi się, że ciągle są w szoku.

– A Randolph Kirk? Jak on pasuje do tego wszystkiego?

– Kiedy zaczęłaś z nim rozmawiać, ktoś się wystraszył, że facet się wygada na taki czy inny temat, i posłał Barbarę, żeby go kropnęła i zdusiła sprawę w zarodku. Woleli, żeby nie było świadków, dlatego ścigała także ciebie.

– Znaczy, że profesorek też musiał być w mafii. Faktycznie, w dzisiejszych czasach właśnie w taki sposób większość mafiosów ukrywa się przed glinami. Znajdują sobie stanowiska naukowe na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Rzymskiego.

– Tego się już nie dowiedziałem – wymamrotał. – Nie chciałem w to wchodzić.

– I naprawdę myślą, że zniknięcie Suzi Julius nie ma z tym związku?

– Sami nie wiedzą, co myśleć. Wiesz, jacy są. To organizmy jednokomórkowe. Bez zdolności dzielenia uwagi. Mogą skupić się tylko na jednej rzeczy naraz. W dodatku zdziesiątkował ich wirus grypy. Nas zresztą tak samo, niech to szlag.

Przesunęła dłonią po włosach. Tego ranka nie zajęła się nimi tak uważnie jak zwykle. Prawdę mówiąc, były w kompletnej ruinie. Tak jak za dawnych lat.

– Tylko że Suzi Julius ciągle żyje, Silvio, i jeśli mam rację, będzie żyła co najmniej do jutra. Czy ktokolwiek to rozumie?

Wymamrotał coś na temat priorytetów i jak niesprawiedliwie postąpiła, obciążając go tym wszystkim, po czym znowu przyjął postawę zbitego psa. Sama siebie nie znosiła za to, że gniew wyładowuje na takim nieszczęśniku. To było okrutne i niesprawiedliwe. Tak właśnie postępowali gliniarze.

– Przepraszam – wyszeptała. – Nie gniewam się na ciebie, tylko na siebie, jeśli chcesz wiedzieć.

Położył dłoń na jej ramieniu, co było doznaniem, od którego mogły człowieka przejść ciarki.

– Wracajmy do środka, Tereso. Mamy dużo pracy, a chyba tylko ty i ja w tej firmie jako tako się trzymamy. Nie wychylajmy się i poczekajmy, aż to wszystko się przewali. Znajdą, co chcą, i zapomną o całej reszcie.

To śliczna wizja, pomyślała, ale prędzej śnieg spadnie w piekło, nim się ona ziści.

– Nie ma tu niczego, z czym ty i reszta ekipy nie dacie sobie rady – powiedziała oschle. – Fakty są takie, że nie trzeba geniusza, żeby się dowiedzieć, jak zmarli piękna Barbara i profesor. A co do dziewczyny z bagna, to raczej robota dla naukowca niż kryminalistyka. Po co się oszukiwać. Nie jesteśmy w stanie dostarczyć żadnych odpowiedzi. Powinniśmy się przede wszystkim skupić na tym, żeby Suzi Julius nie trafiła tu do nas na stół.

Cofnął rękę. Widać było, że się boi.

– To im za to płacą. My mamy własną robotę. Ja sam nie dam sobie rady.

– Dasz, dasz, Silvio – powiedziała. – Poradzisz sobie lepiej, niż ci się wydaje.

– A jeśli stanie się coś jeszcze? Jeśli...

Znowu chwyciła go za ramię i uśmiechnęła się.

– Spokojnie. Statystyka. Ile nagłych zgonów zdarza się w Rzymie? Trzy, mamy je tu na stołach. To wynik z całego tygodnia. Nic się dzisiaj nie stanie, zaufaj mi. Muszę zrobić sobie przerwę i pomyśleć.

Błada, sflaczała twarz lekko się zaróżowiła.

– Chcesz gdzieś pojechać – powiedział oskarżycielskim tonem. – Znam cię. Będzie powtórka z wczoraj. Chcesz gdzieś pojechać, a to wcale nie jest dobrze.

– Pomyślałam sobie tylko, że mogłabym...

– Nie! Nie! Nic mi nie mów, bo ja nie chcę tego słuchać. Dwie rzeczy złe nie dają jednej dobrej.

– Ja się nie myliłam! Może tylko byłam głupia. Ale dwa głupstwa dają... głupotę. Większość palantów w Questurze i tak uważa mnie za durną, więc nic złego się nie stanie.

– Proszę cię. – Złożył swoje małe dłonie jak do modlitwy. – Błagam cię, Tereso. Pomyśl o mnie. Nie rób tego, cokolwiek chcesz zrobić.

Pocałowała go lekko w policzek i ujrzała, jak krew napływa gwałtownie do jego twarzy, od szczęk po gałki oczne.

– Wszystko będzie dobrze, Silvio. Posłuchaj swojej przyjaciółki Teresy. Utrzymaj twierdzę przez godzinę, a ja przez ten czas wszystko załatwię i wrócę. Nikt się nawet nie spostrzeże.

Wyglądał jak człowiek załamany i przerażony.

– Godzinę? To będzie ziemska godzina czy mierzona standardami twojej macierzystej planety?

– Silvio, Silvio – westchnęła. – Powiedz mi, co takiego mogłoby pójść źle?

Beniamino Vercillo był człowiekiem poukładanym i zorganizowanym. Lubił zaczynać pracę wcześniej rano: w każdy dzień powszedni punkt siódma siedział już za biurkiem w piwniczce w bloku przy Via dei Serpenti in Monti. Jego biuro przylegało do znanego zakładu optycznego. Składał się na nie jeden nieduży, dwudziestopięciometrowy pokój pozbawiony okien, za który płacił ustalony czynsz. Do wnętrza z ulicy prowadziły żelazne schodki. Miejsca było akurat tyle, by pomieścić Vercilla oraz jego sekretarkę, która od dziesięciu lat służyła mu, pełniąc funkcje nie tylko zawodowe. Każdego ranka, po dziesięciominutowej przejażdżce autobusem z cichych przedmieść dzielnicy Paroli, jadł śniadanie – rogalika i cappuccino – w kafejce po drugiej stronie ulicy. Na obiad szedł do jednego z pobliskich barów, gdzie zamawiał pizzę po wiejsku. O szóstej

był już z powrotem w domu, wolny od pracy, gotowy na wyzwania życia rzymskiego księgowego w średnim wieku. Vercillo miał pięćdziesiąt dwa lata. Ubierał się w ciemne garnitury i odprasowane białe koszule, do których wiązał ciemne krawaty i wkładał stare, znoszone buty. Gdy szedł zatłoczoną uliczką łączącą ospałą, nowoczesną magistralę Via Cavour z pełną butików Via Nazionale, sam sobie wydawał się najbardziej szarym człowiekiem w tłumie.

Taki przynajmniej wizerunek podtrzymywał na użytek innych i miał po temu istotny powód. Vercillo był księgowym Emilia Neriego. Miał w głowie każdy szczegół włoskich inwestycji mafiosa, zarówno jawnych, jak i nielegalnych. Te informacje, które można było zapisać, trzymał na dysku jedyne w biurze komputera, skąd łatwo dało się je wydrukować w postaci oświadczeń podatkowych, wypełnionych precyzyjnie z dokładnością do jednego centa. Vercillo był dobrym księgowym. Wiedział, co ujdzie mu na sucho, a w którym momencie inspektorzy podatkowi uznają, że przeciągnął strunę. Sprawy delikatniejszej natury notował w inny sposób: najpierw we własnej niezawodnej pamięci wytrenowanej dzięki matematycznym sztuczkom, których uczył się w szkole, by zaimponować nauczycielom. Następnie na papierze za pomocą kodu, którego nigdy nikomu nie wyjawiał, a już szczególnie strzegł go przed Nerim. Klucz do niego spoczywał w sejfie ukrytym w ścianie jego podziemnego biura.

To był dobry układ. Za trzymanie wścibskich z dala od Neriego Vercillo zarabiał prawie pół miliona euro rocznie, natomiast sekretny kod gwarantował mu bezpieczeństwo na wypadek, gdyby coś jednak poszło źle i grubas się pogniewał. Vercillo świetnie wiedział, jaki los spotyka księgowych, z których szefowie nie są zadowoleni. Jeśli coś schrzanisz, czeka cię solidne lanie. Ukradniesz, jesteś trupem. Ale jeżeli dobrze wykonujesz swoją robotę, trzymasz głowę nisko i masz w pamięci kluczyk do informacji, którego nie posiada nikt poza tobą, wszyscy są zadowoleni. Władzę udawało się utrzymać na bezpieczny dystans. Neri wiedział, że jeśli Vercillo pewnego razu wyjdzie po schodkach na ulicę i wpadnie pod turystyczny autobus linii sto siedemnaście, tajemnice jego imperium pozostaną tajemnicami i nie będą ich w stanie zgłębić urzędnicy podatkowi ani agenci DIA, nawet

gdyby wpadli na ślad księgowego. A ten ze swojej strony zabezpieczył się przed Nerim i taki niepisany układ odpowiadał obu stronom. Był wygodny. Dzięki temu Vercillo nie musiał zbyt często dzwonić do szefa, chyba że potrzebował informacji, a wielki, stary oprych też nie miał powodów, by niepokoić Beniamina. Tak właśnie być powinno. Vercillo był buchalterem, człowiekiem od pieniędzy, a nie żołnierzem, którego wysła się do miasta w poszukiwaniu guza. To mu odpowiadało.

Vercillo dał swojej sekretarce Soni wolny dzień, żeby mogła odwiedzić chorą matkę w Orneto. Dziewczynie stuknęła niedawno trzydziestka. Już nie zapewniała mu tyle radości co dawniej. Niebawem będzie musiał wymyślić jakiś powód, żeby ją zwolnić i w jej miejsce zatrudnić młodszą i bardziej interesującą panienkę. Nie lubił jednak o tym myśleć. Zawsze starał się tak ustawić sprawy, by uniknąć konfrontacji. W dzisiejszych czasach było to coraz trudniejsze. Biznesowe imperium Neriego rozrastało się bez końca, czasami w kierunkach, które niepokoiły Vercilla. W latach sześćdziesiątych, kiedy trwał krótki okres gospodarczej hossy określanej jako II Boom, a on był rzymskim nastoletnim molem książkowym, wyobrażał sobie, że świat rozwija się w miarowy, jednostajny sposób, ludzie zaś z każdym rokiem stają się szczęśliwsi, bogatsi i coraz bardziej pokojowo nastawieni. Jednak stało się coś całkiem przeciwnego. Przyszły Czerwone Brygady, potem odeszły i znowu wróciły. Zaczęto podkładać bomby, a ludzi ogarnęło szaleństwo. W Izraelu wskutek samobójczego zamachu terrorystycznego zginął jego kuzyn. Vercillo w tamtych czasach w zasadzie nie uważał się za Żyda, ale sama myśl, że można tak po prostu umrzeć, bo szło się akurat ulicą albo wstąpiło do niewłaściwej kawiarni, była przerażająca. Społeczeństwo domagało się uporządkowania, nie zaszkodziłaby też nauka uprzejmości. Zamiast tego wciąż padały trupy, a obcokrajowcy rozpychali się łokciami i każdy chciał wysforować się przed innych. W ciągu ostatnich czterdziestu lat coś gdzieś poszło źle, a on za nic w świecie nie potrafił powiedzieć, jak i kiedy to się stało.

Najbardziej wkurzali go turyści: Anglicy schlani w trupa po każdym meczu piłkarskim, Japończycy bezustannie przyklejeni do aparatów fotograficznych, wałęsający się bez celu, niezdolni powiedzieć

jednego słowa po włosku, no i Amerykanie przekonani, że mogą pozwolić sobie na wszystko, póki mają w kieszeni parę dolarów. W Rzymie byłoby dużo lepiej bez nich. Niszczyli miejscowy klimat. Psuli miasto. A dzisiaj szczególnie. Niedaleko Koloseum trwał jakiś festiwal teatrów ulicznych. Właśnie się szykowali, kiedy szedł do pracy. Aktorzy z *commedia dell'arte* wbijali się w swoje kostiumy. Afrykańscy. Azjaci. Grupy cwaniaczków poprzebieranych za gladiatorów, którzy wyciągali od ludzi pieniądze w zamian za zdjęcie.

Beniamino Vercillo podniósł wzrok znad biurka. Czuł, że ogarnia go zły humor, gdy tak tkwi w tej swojej ciasnej, ciemnej norze, a w ustach narasta mu kwaśny posmak niezadowolenia. Zaczął się zastanawiać, w jakiej mierze jego myśli były przypadkowe, a w jakiej wywołało je coś, co nieświadomie dostrzegł kątem oka.

Na wprost niego w prostokącie otwartych drzwi stała postać jak ze snu idioty. W stroju przypominającym teatralny kostium wyglądała jak zwariowany bożek: długa, czerwona marynarka, tanie, workowate brązowe spodnie. A do tego maska wprost z sennego koszmaru z poskręcanyimi strąkami włosów i czarną jamą wykrzywionych w szaleńczym śmiechu ust.

Postać teatralnie postąpiła krok naprzód, niczym aktor zmierzający do kulminacyjnego punktu wystąpienia. To musiał być członek jednej z trup ulicznych, które Vercillo widział wcześniej tego dnia.

– Nie daję datków – powiedział stanowczo mały księgowy.

Postać wykonała dwa kolejne komedianckie kroki. Vercillo zaczął się zastanawiać, przywoływać z pamięci zdarzenia sprzed lat.

– O co tu chodzi, do cholery? – wymamrotał. – Czego chcesz?

– Neri – czysty, spokojny głos cudacznego bożka wypłynął spod maski.

Vercilla przeszedł dreszcz. Zastanawiał się, czy nie ma omamów.

– Że co?

Istota rozchyliła marynarkę i jej prawa ręka sięgnęła w dół, ku skórzanej pochwie przymocowanej do pasa. Vercillo z przerażeniem ujrzał krótki, szeroki miecz, który załśnił w świetle jarzeniówek.

Ramię bożka uniosło się, błyszczące ostrze przecięło powietrze i zagłębiło się w biurku przed księgowym, rozcinając kabel telefoniczny



wraz ze stertą dokumentów leżących na blacie.

– Księgi – powiedziała postać.

– Tu ich nie mam, tu ich nie mam...

Zamilkł. Końcówka miecza mierzyła w jego gardło. Ostrze zakłuło go w szyję.

Szalony bożek pokręcił głową i nacisnął mocniej. Vercillo poczuł ostry impuls bólu, a po chwili ciepło krwi, która zaczęła spływać wąską stróżką w dół szyi.

– On mnie zabije – wymamrotał.

– On cię zabije? – Nie umiał określić, jaka twarz kryła się pod maską. Na pewno była zdeterminowana, co do tego Vercillo nie miał żadnych wątpliwości.

Uniósł ręce i palcem wskazał biurko. Miecz odsunął się o centymetr. Vercillo położył rękę na uchwycie jednej z szuflad i lekko pociągnął. Ostrze wciąż mierzyło w jego szyję, było tuż przy gardle. Ostrożnie wyjął pęk kluczy.

– Muszę wstać – powiedział głosem łamiącym się ze strachu.

Zamaskowana postać skinęła głową.

Beniamino podszedł do ściany biura po przeciwnej stronie od wejścia. Drżącą dłonią przekręcił klucz w drzwiach sejfu, po czym zaczął wybierać cyfry szyfru zamka. Po kilku próbach drzwi się otworzyły. Księgowy sięgnął do środka i wyjął duże kartonowe pudło z dokumentami. Obaj wrócili do biurka. Vercillo postawił pudło na blacie i cofnął się o krok.

Skórzane palce szalonego bożka zanurzyły się w papiery i wyjęły plik dokumentów. Postać rzuciła je na biurko bez słowa. Spod nieruchomego uśmiechu sączył się niewidzialny gniew. W dokumentach były tylko przypadkowe znaki. Rzędy liter. Niezrozumiałe.

Vercilla przeszedł dreszcz strachu. Żałował, że nie wziął biura na piętrze z oknem wychodzącym na ulicę zamiast tej cholernej szcurzej nory, do której każdy mógł wejść niedostrzeżony przez tłum ludzi zajętych własnymi sprawami.

– Kod – powiedział krótko bożek, wskazując rzędy liter na stronach leżących przed nimi.

Księgowy usiłował myśleć klarownie i wyobrazić sobie

następstwa. Nie potrafił. Liczyła się tylko jedna możliwość.

– Jeżeli ci powiem... – Szalona twarz, pozbawiona jakichkolwiek ludzkich cech, wpatrywała się w niego bez emocji. – Jeżeli ci powiem, zostawisz mnie w spokoju?

Mógłby uciec. Miał trochę zaskórniaków poukrywanych w miejscach, do których nikt nie mógł dotrzeć. Mógł pojechać gdzieś, gdzie gniew Neri go nie dosięgnie. Do Australii. Albo Tajlandii, gdzie dziewczęta są młode i nikt nie zadaje pytań. Rozejrzał się po swoim obskurnym, małym biurze, pomyślał o swoich szaroburych, starych ubraniach. Wyglądało na to, że los wyświadcza mu przysługę. Całe życie spędził na służbie u tłustego oprycha i udawaniu, że jest kimś, kim nie był. Kłamał, oszukiwał, wmawiał sobie cały czas, że wszystko gra. Cokolwiek Neri robił, żeby zdobyć pieniądze, to nie on, księgowy, miał krew na rękach. Zwodził sam siebie. Neri go dotknął. Naznaczył. To przez niego Vercillo zaczął sprowadzać sobie dziewczyny. Neri go zachęcił, wprowadził w ten świat. To był jeden ze sposobów, by trzymać go w garści.

Pomyślał, żeby się wycofać, skończyć z bezbarwną egzystencją zbudowaną na kolumnach cyfr, wydał mu się nagle atrakcyjny.

A poza tym przebiegła mu przez głowę oderwana myśl: „Czy masz jakiś wybór? Jesteś księgowym, nie żołnierzem”.

– Zostawię cię w spokoju – powiedział szalony bożek. Vercillo znów spróbował uchwycić tembr jego głosu i wyobrazić sobie ludzką twarz pod maską. Bez wątpienia należała do człowieka młodego, ale nie prymitywnego jak ludzie grubego mafiosa.

Księgowy sięgnął po słuchawkę telefonu. Bożek szybko podniósł ostrze, jakby zapomniał, że przeciął kabel. To przeoczenie rozbawiło Vercilla. Jednak pod maską kryły się ludzkie cechy.

– Spokojnie – powiedział. – Chcę ci coś pokazać. Patrz. – Położył stronę zapisaną nieczytelnymi rzędami liter obok aparatu. – To proste. Osoba, o którą chodzi, jest zanotowana za pomocą jej numeru telefonu. Kolejne znaki to także liczby. Suma długu. Procent. Ile zostało spłacone.

Poczuł dziecinne podniecenie. Przez dwadzieścia pięć lat nigdy z nikim na ten temat nie rozmawiał.

Szalony bożek przypatrywał się znakom na stronie i porównywał je

z klawiaturą telefonu, pomagając sobie końcówką miecza.

– Proste i sprytne – dodał Vercillo. – Trzeba tylko wziąć Q jako zero i Z jako jeden. – Kod faktycznie był dobry. Pozwalał zapisać cyfrę 2 na trzy różne sposoby, jako A, B lub C, a jednak każdy, kto miał pod ręką telefon, mógł poznać prawidłowy wynik w ciągu sekundy. Ludzie zakładali, że pod szyframi ukrywa się litery, nie liczby. Póki trzymali się tego założenia, kod był nie do złamania. Rzecz jasna agentów FBI nie dałoby się w ten sposób wyrolować, ale innych tak, na przykład Emilia Neriego, a to liczyło się przede wszystkim.

Szalony bożek zaśmiał się. W tym dźwięku było coś złowróżbnego.

– Tego właśnie chciałeś? – zapytał Vercillo.

Maska nie odpowiedziała.

– Ja... – Księgowy spodziewał się pochwały, może nawet wdzięczności, ale nic takiego nie otrzymał. – Mogę ci dać więcej informacji.

– Więcej nie potrzebuję – mruknął bożek, ruszając naprzód i unosząc krótkie, szerokie ostrze.

– Powiedziałeś, że... – Vercillo zaczął i zamilkł. Nie było sensu rozmawiać z mieczem. Nic już nie miało sensu. Świat oszalał. Cały zmienił się w maskę, która wpatrywała się w niego, rosła, stawiała się coraz bardziej obłąkana z każdą upływającą sekundą.

Barbara Martelli mieszkała z ojcem na pierwszym piętrze, w mieszkaniu przy placu Laterańskim. Drzwi wejściowe komunalnego bloku wychodziły na miejsce, w którym stała niegdyś pierwsza Bazylika Świętego Piotra zbudowana przez Konstantyna. Okna skierowane były na wewnętrzne podwórko. W pięciu dużych pokojach stały drogie meble, dobrane z kobiecym smakiem. To ona musiała je wybrać, pomyślał Costa. W samochodzie przed blokiem czytał z Peronim raport policjanta, który był tu poprzedniej nocy. Stary człowiek nie powiedział dużo, ale w tle pojawiły się interesujące szczegóły. Było ich więcej, niż się spodziewali. Kiedy wchodzili do budynku, Costa pomyślał o innych, wcześniejszych raportach i zawartych w nich mglistych, nigdy nieudowodnionych podejrzeniach. Gdy tylko rzucił okiem na ojca Barbary, od razu zrozumiał, skąd brały się pieniądze.

Martelli miał ponad pięćdziesiąt lat i był chudy jak szkielet. Siedział zgarbiony w wózku inwalidzkim, patrząc na nich zimno martwymi oczami. Mimo to Costa potrafił sobie wyobrazić, jak stary mógł prezentować się w czasach swojej świetności. Musiał być podobny do Peroniego – wysportowany, silny, charyzmatyczny. Teraz wyglądał źle, i to nie tylko z powodu żałoby. Costa wiedział, na jaką cierpi chorobę, potrafił rozpoznać jej objawy. Włosy przerzedzone chemioterapią. Płaskie spojrzenie wyschniętych oczu. Mimo to Martelli wciąż kopał jak komin. Całe mieszkanie przesiąknięte było nieświeżym odorem nikotyny.

Chory policjant popatrzył na Peroniego i pokręcił głową.

– No proszę, czarna owca – warknął. – Słyszałem, że cię wywalili z obyczajówki. Nigdy nie sądziłem, że upadniesz tak nisko. Jak ci się to podoba?

– Jest nieźle – powiedział Peroni. – Dobrze człowiekowi robi, gdy czasami dostanie kopa w jaja. W dodatku ta detektywistyczna zabawa jest całkiem do rzeczy. W obyczajówce zawsze nam się zdawało, że to my dostaliśmy złą kartę. Można było się co najwyżej zastanawiać, jak bardzo sprawy się spieprzą i ile gówna do nas przyłgnie na stałe. – Wskazał dłonią Costę. – A chłopaki z dochodzeniówki nie mają tego przywileju. Zawsze muszą zakładać, że delikwent jest niewinny, póki nie udowodnią, że jest inaczej. Wierz mi, Toni, to potrafi człowiekowi popsuć zabawę. Na szczęście jeszcze się od nich tego nie nauczyłem.

– Jakbyś trzymał ptaka w spodniach, nigdy byś nie potrzebował się uczyć – odparł Martelli.

Peroni skrzywił się. Nigdy nie lubił tego człowieka.

– Sam to sobie powtarzam. Czemu rozmawiamy w ten sposób, Toni? Przyszedłem tu z tym chłopakiem, żeby złożyć ci kondolencje. Obaj znaleźliśmy Barbarę. Uwielbialiśmy ją. Wstrząsnęło nami to, co się stało. Po cholere teraz sobie docinamy? Ty chcesz znać prawdę i my tak samo.

Martelli dostał nagłego, gwałtownego ataku kaszlu. Widać było, że czuje ból. Gdy się uspokoił, wziął dwa świszczące hausty powietrza i wychrypiął:

– Powiedziałem już wszystko, co miałem do powiedzenia, zeszelej

nocy. Zostawcie ojca jego rozmyślaniom.

Peroni przysunął krzesło do wózka Martellego i usiadł. Spojrzał na Costę wzrokiem mówiącym: „Patrz i ucz się”, po czym zapalił papierosa.

– Wiem, wiem. Tylko że ten dupek Falcone ciągle nas ciśnie.

Martelli parsknął.

– Pamiętam go. Taki sobie średniak. Jak mu się udało dochrapać stopnia inspektora? Nie ma już dzisiaj rzetelnych gliniarzy?

– Jest kilku – odparł Peroni. – Powiedz, co porabiasz? Ludzie ciągle o ciebie pytają.

– Nie wciskaj mi kitu. Od miesiący aż do zeszłej nocy nie przyszedł mnie odwiedzić nikt z Questury. Za to teraz nie mogę zasnąć, bo mnie co rusz budzi dzwonek.

Peroni wzruszył ramionami i zapatrzył się w ścianę.

– Jak dawno przeszedł pan na emeryturę, *signor* Martelli? – spytał Costa.

– Sześć lat temu. Jeden głupek, z którym pracowałem, skarżył się, że przeszkadza mu mój kaszel. Nim się zorientowałem, już mnie prześwietlili i posłali do szpitala. Zwolnienie z przyczyn medycznych. Przymusowa emerytura.

– On wyświadczył panu przysługę – stwierdził Costa. – Mój ojciec umarł na raka. Im wcześniej się go wykryje...

– Przysługę? – Ciemne oczy Martellego zaczęły się w niego wpatrywać. – Ty to nazywasz przysługą?

– Tak.

– No cóż, to się przyjrzyj. Ciągle kaszlę. Czuję się jak gównno. Włosy mi wypadają, a bebechy harczą, jakby miały jakieś własne plany. Też mi przysługa. Mogłem pracować jeszcze kilka lat. Mogłem odwalić kawał dobrej roboty. Co potem? Może przydzieliliby mi jakiegoś żółtodzioba, co nie odróżnia prawej ręki od lewej, i nadziałbym się na jednego z tych przemiłych dżentelmenów zza wschodniej granicy, którzy ostatnio kręcą prochami na Termini. Noże, spluwy, cały ten szajs, którym nie musieliśmy się przejmować, póki się nie pojawili. Do diabła, ja się nie nadaję na emeryturę.

Wydawało się, że starego policjanta zżera litość nad sobą. Przyszli, żeby porozmawiać o śmierci jego córki, a okazało się, że Toni Martelli

miał tylko czas porozmyślać o własnym losie i o tym, jak wszystko, co się stało, wpłynęło na jego delikatną osobę. Costa usiłował przypomnieć sobie Barbarę, ale stwierdził, że nie potrafi. Gdy teraz o tym myślał, zdał sobie sprawę, że zawsze otaczała ją aura jakiejś nieuchwytej tajemniczości. Starła się ją ukrywać i dlatego zachowywała się przyjacielsko wobec każdego. Może to była część przedstawienia, bo przedstawieniem na pewno można nazwać udawanie, że jest zwykłą, niczym niewyróżniającą się policjantką. W tym wielkim mieszkaniu musiały znajdować się jakieś odpowiedzi, podobnie jak w głowie jej ojca. Wiedział, że nie da się ich stamtąd wydobyć tak po prostu. Toni Martelli bez uszczerbku wygrzebał się z poważnych zarzutów o korupcję i po przejściu na chorobowe dostawał sto procent emerytury. Nie był typem człowieka, który oddaje informacje za friko.

– Czy pan pracował razem z Barbarą? – spytał Costa.

– Zależy, co rozumiesz przez „razem”. Ja zajmowałem się głównie prochami i dziwkami. Ona robiła w drogówce. Spotykaliśmy się na korytarzach i mówiliśmy sobie cześć. Nie rozmawialiśmy o pracy, jeśli o to ci chodzi. Dobry glina robotę zostawia w biurze. Może nie jesteś dość stary, żeby to zrozumieć.

– Cieszył się pan, kiedy wstąpiła do policji?

Poruszył się niespokojnie w fotelu.

– Tak, cieszyłem się. Czemu miałbym się martwić?

– Kto dał jej tę pracę. Toni? – wtrącił Gianni.

– Nie pamiętam.

Peroni w zamyśleniu podrapał się po ostrzyżonej na jeża głowie.

– To był jeden z tych szemranych gości, z którymi się kumpłowałeś, co? Jak się nazywał ten półgłówek, twój koleżka? Wiesz, ten, co siedział za łapówkę, którą dostał od Neriego. Filippo Mosca, prawda?

– Nie chce mi się z wami gadać – wychrypiał Martelli. – Nie muszę się już babrać w tym gównie.

Peroni uśmiechnął się, nachylił i zacisnął dłoń na kościstym kolanie starego policjanta.

– Niestety właśnie o to chodzi, Toni, że musisz.

– Gdzie jest jej matka? Czy ona wie? – zapytał Costa.

– W domu na Sycylii. Oczywiście, że wie. – Martwe oczy Martellego wpatrywały się w niego groźnie. – Mają tam telewizornię i gazety, co nie? Jak mogłaby nie wiedzieć?

– Powinieneś do niej zadzwonić, Toni – powiedział Peroni. – Niekiedy trzeba zakopać topór wojenny.

Wychudzony palec dziobnął powietrze przed twarzą Peroniego.

– Nie mów mi, kurwa, co powinienem robić. Nie mieszaj się w sprawę, o których nie masz zielonego pojęcia. Ta baba odeszła bez powodu i jeśli o mnie chodzi, może się smażyć w piekle.

Gdy Peroni usłyszał odpowiedź Martellego, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Ona cię rzuciła jakoś tak wtedy, gdy Barbara postanowiła włożyć mundur, prawda? Widzisz tu jakiś związek?

– Wal się.

To nie żałoba zżerała tego człowieka, ale nienawiść, a może także lęk.

– Czy możemy coś dla pana zrobić? – zapytał Costa. – Pomóc coś załatwić?

Martelli utkwiał spojrzenie w dywan.

– Nie.

– Nie chciałby pan nam o czymś powiedzieć?

Milczał.

Peroni odchylił się i zmrużył oczy.

– Jakie ładniutkie mieszkanie. Żałuję, że mnie na takie nie stać. Aż mnie ochota naszała, żeby siedzieć tu cały dzień, palić fajki i rozmyślać. Masz coś w lodówce. Toni? Poślę chłopaka po żarcie, może tymczasem wróci ci głos. Masz ochotę na piwko? Kawalek pizzy?

Martelli pokręcił głową.

– Ona miała trzydzieści dwa lata, na litość boską. To była dorosła kobieta. Myślicie, że mi się spowiadała? Przyszła tu koło wpół do czwartej po pracy. Zaraz potem telefon. Widziałem tylko, jak wkłada swój kombinezon i wyjeżdża na motorze. Dzień był cholernie ładny. Sądziłem, że wyszła pojeździć dla frajdy albo że umówiła się z jakimś chłopakiem.

– Nic nie powiedziała? – spytał Costa.

Martelli zwrócił się do Peroniego.

– Skądżeś ty wytrzasnął juniora? To jeden z tych stażystów, co ma zobaczyć, jak wygląda praca? – Kościsty palec wymierzył w Costę. – Gdyby coś powiedziała, tobym o tym gadał. Nie odwaляłem tej roboty przez ponad trzydzieści lat, żeby teraz zapomnieć, jak się stawia jedną nogę przed drugą.

– Oczywiście – przytaknął Costa i znów pomyślał: „Gdzie się podziała żałoba? Czy Toni Martelli przeżywał to wszystko wewnątrz? Może było coś jeszcze, coś silniejszego nawet od bólu po stracie córki? Lęk? Poczucie, że on też jest teraz na celowniku?”.

– Moglibyśmy załatwić kogoś, z kim mógłby pan porozmawiać. Mamy psychologów.

– Załatwcie flaszkę grappy i kilka paczek fajek. Psycholog? A ludzie się dziwią, że policja schodzi na psy.

– Możemy załatwić ochronę – zaproponował Costa.

– A po cóż mi ona?

– Nie wiem, niech pan mi powie. Barbara miała swoje tajemnice, tyle wiemy na pewno. Może jest ktoś, kto sądzi, że się nimi z panem dzieliła. – Costa nachylił się. – Może faktycznie tak było.

– Nie próbuj ze mną podchodów, synku – odciął się Martelli. – W swoim czasie takich jak ty zjadałem na śniadanie. Mów do rzeczy albo zjeżdżaj. Będzie mecz w telewizorni.

Wydawało się, że to, co się stało, jest dla niego zwykłym, codziennym zdarzeniem. Może Martelli pilnował, by go to nie dotknęło, bo bał się własnych emocji? Costa w ogóle nie potrafił zrozumieć tego dziwnego, starszego człowieka.

Peroni popatrzył na zegarek, potem na Costę. Obaj wiedzieli, że nie są w stanie niczego wyciągnąć.

Nico nie chciał jednak dać za wygraną.

– Nie wie pan, panie Martelli, czy Barbara miała chłopaka?

Wyblakłe, stare oczy spojrzały na niego ponuro.

– Ktoś był, ale bez żadnych zobowiązań.

– Podała jakieś imię? Spotkał się pan z nim kiedykolwiek?

– Nie. – Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zamknął oczy. – To nie był mój interes. I wasz też nie.



Peroni poklepał go po kolanie z uśmiechem.

– Teraz już tak. Musimy zajrzeć do jej pokoju, Toni. To przysłuży się i nam, i jej. Zawsze wracała późno do domu czy zostawała u niego na noc?

– Was to rajcuje, zboki? – spytał Martelli.

Costa zignorował jego uwagę.

– Zostawiała jakiś numer telefonu, żeby się z nią kontaktować w razie czego?

Stary gliniarz znów zamilkł i patrzył na nich zgaszonym wzrokiem. Widać jednak było, że się zastanawia. Wyglądał prawie tak, jakby doznał jakiegoś olśnienia.

– Nie umawiała się z facetami – oznajmił. – Nie zrozumcie mnie źle, z kobietami też nie. Po prostu jej to nie interesowało. Było tak od dłuższego czasu. Ja... – Na krótką chwilę na jego twarzy pojawił się wyraz bólu. – Wolałbym, żeby się z kimś przespała, wyszła za męża, rodziła dzieci. Lepsze by to było niż całe to gówno. Ta cholerna, kurewska samotność...

– Czemu była samotna? – zapytał Peroni. – Przecież mogła mieć każdego faceta, jakiego chciała. Mogła kilku wypróbować, ot tak, dla frajdy.

– Nie mam pojęcia – mruknął Martelli, dochodząc do siebie. – Mnie nie pytajcie, nigdy mi o niczym nie opowiadała.

Nico poczuł nagłą awersję do tego oschłego człowieka. Peroniego też najwyraźniej coś uderzyło. Barbara nigdy się z nikim nie umawiała, chociaż na pewno bez przerwy dostawała propozycje. Bała się mężczyzn? Czy w jej życiu stało się coś, co sprawiło, że nie potrafiła utrzymywać z nimi normalnych relacji?

– Nie chodziło mi o to, czy panu mówiła – powiedział Costa. – Nie bezpośrednio. Jeśli to w ogóle możliwe, panie Martelli, proszę spróbować spojrzeć na to z boku. Mamy tu trzy możliwości. Albo działała z własnej woli, motywowana sobie tylko znanymi powodami, albo była to prywatna przysługa dla kogoś, lub może w pewnym momencie któraś z mafii nawiązała z nią znajomość, wykorzystywała ją do takiej czy innej roboty w wolnej chwili i płaciła jej.

Martelli zaciągnął się desperacko papierosem i wydmuchnął siwą

chmurę przez pokój. Costa odegnał dym ręką.

– Był pan jej ojcem – ciągnął – i był pan policjantem. Gdzie trzymałaby pieniądze?

Papieros znów żarzył się jasno.

– A skoro już mowa o pieniądzach – dodał Costa – gdzie są rozliczenia bankowe Barbary? Albo pańskie?

– Wszystko zabrali – odciął się Martelli. – Zeszłej nocy. Są czyste. Nie znaleźli nic podejrzanego. Czy ja wyglądam na idiotę?

Costa wstał.

– Nie będzie miał pan nic przeciw temu, jeśli raz jeszcze przeszukamy mieszkanie? Mogli coś przeoczyć.

Stary człowiek zwrócił swoje zmęczone spojrzenie na Peroniego.

– Mam już dość tej zabawy. Nie macie papierów, nie wolno wam tego robić.

Peroni pokręcił głową.

– Nie wyjdziemy stąd z pustymi rękami, Toni. Musimy coś znaleźć. Może przypomniałeś sobie jakiś szczegół po tym, jak wczoraj w nocy od ciebie wyszli. Inaczej idziemy po browar i pizzę, przysięgam.

– Wielkie dzięki – jęknął Martelli. – Powiedz im tyle: Barbara była dobrą córką. Troszczyła się o mnie. Zawsze pamiętała, że rodzina jest na pierwszym miejscu. Żałuję, że tego bardziej nie doceniałem. Żałuję, że...

Jego głos się załamał, oczy wypełniły łzami.

Toni Martelli płacze z żalu nad samym sobą, pomyślał Costa. Nic złego nie miało prawa mu się przytrafić. Mafijne znajomości uchroniły go dawniej przed sądem. Zapewne myślał, że jest nietykalny. Może wierzył, że ta nietykalność dotyczy również Barbary.

– Musi być strasznie żyć ze świadomością – powiedział cicho Costa – że to, co spowodowało śmierć córki, zapoczątkowało się samemu.

– Wypierdalać mi stąd, obaj – warknął Martelli – i nigdy nie wracać.

Costa pomyślał nad jakąś ciętą ripostą, ale uznał, że kłótnie nie mają sensu. Stary gliniarz czuł, że jest chroniony. Dopóki tkwił w tym swoim wielkim, pustym mieszkaniu na Lateranie, mógł sam siebie oszukiwać, że sprawy świata nigdy nie przenikną do jego prywatnego

piekła. Ale to nie mogło trwać wiecznie i wiedział o tym równie dobrze jak oni. Między innymi właśnie dlatego ogarnęło go przerażenie.

Wyszli w milczeniu na światło dnia. Ranek był boleśnie jasny, mocne promienie słońca raniły oczy. Miasto wydawało się chropowate i dwuwymiarowe.

– Musimy jeszcze dopracować tę metodę dobry glina i zły glina – zauważył Peroni, gdy szli w kierunku samochodu. – Sam już nie wiedziałem, jaką rolę mam tam grać.

– Naprawdę? A która bardziej ci odpowiada?

– Dobrego gliny – wyjaśnił. – Może nie w wypadku takich dupków jak on, ale ogólnie, biorąc pod uwagę mój temperament, jestem w niej dużo lepszy. Za to ty... Wydaje mi się, że gdybyś chciał, mógłbyś być bardziej zawzięty niż Falcone. Czy to cię trochę nie martwi, Nico?

– W ostatnim czasie niespecjalnie.

Peroni rzucił mu zakłopotane spojrzenie.

– Nie każ mi myśleć jak detektyw. To bolesne. Nie nadaję się do tego.

– Jakie masz wnioski?

Wskazał brodą blok, z którego wyszli.

– Martelli brał w łapę, to wiemy na pewno. W takim razie Barbara też musiała być w tym umoczona. Chyba że zrobiła to w ramach zadośćuczynienia za winy Martellego. Po prostu odziedziczyła jego parszywe grzechy. – Spojrzał na Costę z rezerwą. – Co jest? Czemu tak się na mnie patrzysz?

– Główka pracuje – powiedział Costa z uśmiechem. – Nie jest źle. Może jednak nadajesz się na detektywa.

Starszy policjant wybuchnął śmiechem i wskazał samochód.

– Ja nadaję się na inspektora, a ty na mojego kierowcę. To tylko chwilowa przerwa, drobne zachwianie naturalnego porządku rzeczy. Pewne sprawy nigdy się nie zmieniają.

A jednak, pomyślał Costa. Świat już jest inny. Gliniarze w wolnych chwilach zabijają ludzi i sami przy tym giną. Na wolności szaleje jakaś siła, która jest ślepa i działa przypadkowo, co tylko dodaje jej mocy.

Nico usiadł za kierownicą, odczekał, aż Peroni zapnie pas, po czym włączył się do ruchu i zaczął meandrować wśród aut na wielkim,

zatłoczonym rondzie wokół placu. Rozmyślał o Mirandzie Julius i jej zaginionej córce i zastanawiał się, czy nie zostały mimowolnie włączone w jakiś większy, mroczny plan, który wczoraj zawiódł Barbarę Martelli z zabójczą misją do Ostii.

– Przynajmniej się czegoś dowiedzieliśmy – odezwał się.

– Tak?

– Tym, kto zabrał wczoraj Suzi Julius na motocyklu, nie była Barbara Martelli. Miała wtedy służbę. Jeszcze dokładnie sprawdzę, gdzie ją pełniła, ale już wiadomo, że nie ma takiej możliwości, żeby to była ona na Campo. Nie udałoby się jej przebrać i zmienić motocykl tak, że nikt by tego nie spostrzegł.

Peroni przytaknął.

– No pewnie. Jezu, że też sam tego nie zauważyłem.

– Świetnie ci idzie, Gianni. Musisz po prostu szukać powiązań. Wyobrażać sobie, co do czego może pasować.

– Nie lubię sobie wyobrażać – sprzeciwił się Peroni z jękiem. – Wolę pytać i dostawać odpowiedzi, jasne? Tylko nie mów, że nie jestem dobrym partnerem. – Zaczął gmerać w kieszeni kurtki Costy, podczas gdy fiat pędził ze wzgórze w dół, ku Koloseum.

– Chyba za dużo sobie pozwalasz – powiedział Nico.

Peroni wyjął kopertę z wakacyjnymi zdjęciami, którą dała im Miranda Julius, i pomachał nią przed jego twarzą.

– Mogę zerknąć, prawda? Chyba do niczego między wami nie doszło, przynajmniej na razie?

– Bardzo śmieszne.

Peroni parsknął.

– To świetnie. Masz czas, żeby pozbyć się swoich impertynenckich odzywek, Nico. Nie pozwolę ci na nie, kiedy zostanę twoim szefem. Twardy, ale sprawiedliwy, oto moja reguła. Nie będzie już żadnego...

Nagle zamilkł. Costa wcisnął się za tramwaj i zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Bezsilnie przyglądał się, jak turyści kompletnie ignorują sygnalizację i ryzykują życie, przebiegając pomiędzy samochodami.

– O co chodzi? – spytał.

Peroni trzymał przed sobą cztery fotografie. Zwykle ujęcia

przedstawiające tłum przy fontannie di Trevi.

– Widziałeś naszego świętej pamięci profesorka w Ostii?

– Nie miałem okazji. Rozglądałem się po okolicy.

– Więc powinieneś być dziś rano pooglądać wiadomości. Pokazali jego gębę. I proszę, oto ona. – Wskazał niczym niewyróżniającego się człowieka w średnim wieku, który stał w tłumie na zdjęciu i wpatrywał się z zainteresowaniem w obiektyw.

– I jeszcze tu. – Kolejne ujęcie fontanny zrobione mniej więcej minutę później. Postacie w tłumie zmieniły się, ale Randolph Kirk wciąż tam tkwił i ciągle się przypatrywał.

– I tu. I tu też.

– Cztery zdjęcia – powiedział Costa. Sam nie wiedział, czy powinien czuć zadowolenie, czy strach.

– Wychodzi na to, że ten oblech ją śledził – stwierdził Peroni. – Może był jej anonimowym wielbicielem i nigdy nie posunął się dalej. Chyba że to zwykły zbieg okoliczności.

Costa spojrział w lusterko, wdusił pedał gazu i wcisnął się w ruch uliczny wśród wściekłego porykiwania klaksonów.

– Nie wiem jak tobie – powiedział – ale mnie tolerancja na zbiegi okoliczności już się wyczerpała.

– Niech pani spróbuje jeszcze raz. To się nie rymuje z „wagina”. Uwaga, jestem drażliwa na tym punkcie.

Teresie Lupo zabrakło słów. Spodziewała się typowej, nudnej kadrowej z uniwersytetu, a tymczasem za połyskliwym biurkiem z drewna tekowego siedziała sztywno wyprostowana szczupła Szkotka w średnim wieku, ubrana w elegancką, aksamitną sukienkę. Miała nieskazitelną, bladą szyję przyozdobioną sznurem pereł. Obie kobiety dzieliła wielka, imponująca mosiężna tabliczka z wygrawerowanym napisem „Regina Morrison, Dyrektor Administracyjny”, poprzedzonym ścięciem tytułów naukowych. Teresa nie była pewna, jak się wobec niej zachowywać. W dodatku zaczynała źle się czuć. Bolała ją głowa, piekły oczy i czuła suchość w gardle.

– Słucham?

Kobieta przesunęła stojące na biurku zdjęcie małego teriera tak, że pies wbijał w Teresę natarczywe spojrzenie przenikliwych oczek.

– Re-dżaj-na Morrison. Nie ja odpowiadam za moje imię. Niekiedy się zastanawiam, czy go nie zmienić na jakieś normalniejsze, ale potem sama się pytam, niby czemu? Po co naginać się do zasad świata głupców? Niech oni się nagną.

– Re-dżaj-na.

– No proszę, udało się – powiedziała kobieta z szerokim uśmiechem. Miała świetnie wypracowaną, chłopięcą fryzurę: granatowoczarne włosy przycięte blisko przy skórze. – Nie było tak ciężko, prawda? No, ale do rzeczy. Pani jest policjantką?

– Teresa Lupo. Pracuję w policji.

Regina Morrison nachyliła się i złożyła dłonie w geście, który na pewno ciągle musieli oglądać krnąbrni studenci.

– Więc pani nie jest policjantką?

Uznała, że nie ma sensu zwodzić tej kobiety.

– Nie dokładnie. Jestem patologiem. Tu, we Włoszech, relacje w policji są dość skomplikowane, pani profesor.

– Pracuję tu od sześciu miesięcy i już to zdążyłam zauważyć. Wygląda na to, że powinnam być wdzięczna, że ktokolwiek raczył się w ogóle pojawić. Gdyby to się stało w Edynburgu, pod moim biurem miałabym niekończącą się kolejkę ludzi zadających głupie pytania i tuzin stacji telewizyjnych. Właśnie mija dzień od zabójstwa Randolpha i oto mam panią. Powinnam być wdzięczna czy urażona?

– Niech mnie pani o to spyta, gdy już pojawią się prawdziwi gliniarze – stwierdziła Teresa kwaśno. – Gdybym się miała zakładać, wybrałabym „wdzięczna”.

Chyba ją to rozbawiło. Szczupłe ramiona poruszyły się lekko.

– Dlaczego więc to pani jest tutaj, a nie oni?

– Ponieważ... – Wzruszyła ramionami. – Kobieta, która zabiła pani pracownika, była policjantką, a to zmienia postać rzeczy. Sprawa skupiła się na niej, nie na profesorze, przynajmniej chwilowo. Dzisiaj rano przejrzałam raport. Wynikało z niego, że Kirk był samotnikiem. Mieszkał sam, nie miał krewnych we Włoszech, niewielu przyjaciół. Policjanci są jak... – usiłowała wymyślić dobrą analogię – ...administratorzy uniwersyteccy. Lokują swoje zasoby tam, gdzie spodziewają się największych zwrotów inwestycji. Kobietę, która zabiła

profesora, dobrze znali i dlatego pewnie im się wydaje, że jeśli najpierw zajmą się nią, pójdą ze śledztwem naprzód skuteczniej i szybciej, niż gdyby mieli cały dzień krążyć po mieście i tropić każdego kumpla od kieliszka, z którym Kirk spotykał się w barze.

– Randolph Kirk pił samotnie, biedaczek – oznajmiła Regina Morrison z nutą twardości w głosie.

Otworzyła szufladę i wyjęła w połowie pełną butelkę słodowej whisky Glenmorangie oraz dwie szklaneczki.

– Na zdrowie – powiedziała, rozlawszy alkohol. Podniosła szklanekę i spojrzała ponad lśniącem biurkiem prosto w oczy pani patolog.

– Niestety – powiedziała Teresa. – Jestem na służbie. Mówiąc o Kirku, nie miałam nic złego na myśli, to było tylko takie obrazowe stwierdzenie. Jeśli był pani przyjacielem albo...

– Nie – oznajmiła kobieta z równym przekonaniem i wypłała whisky jednym łykiem. – Tym także nie był. Nic z tych rzeczy. Trochę mnie martwi, że Randolph i w ogóle cała nasza akademicka społeczność jesteśmy znacznie mniej interesujący niż pani koleżanka zabójczyni.

Teresa wyjęła z torby książkę Kirka i potrząsnęła nią w powietrzu.

– Nie dla mnie. Miałam nadzieję, że on pomoże mi rozwiązać kilka trudnych kwestii. Co prawda nie mogę powiedzieć, żebym go szczególnie dobrze poznała w czasie naszego wczorajszego krótkiego spotkania, ale przeczytałam jego książkę. Okazała się bardzo ciekawa. To właśnie z jej powodu tu przyjechałam, pani profesor.

– Więc to pani? – spytała zaintrygowana. – To pani była przy nim, kiedy to się stało?

– Nie byłam przy nim. Siedziałam zamknięta w jego biurze. Wydaje mi się, że Kirk uratował mi życie. Zapewne mimowolnie.

– Nie docenia się pani – powiedziała Regina Morrison z nutą podziwu w głosie.

Teresa nieświadomie skubała plaster naklejony na głowę.

– Może i tak.

– Nie rozumiem jednak, czemu to właśnie pani tu jest. Przypuszczam, że ma pani dużo własnej pracy.

Regina Morrison potrafiła przejść do sedna z podziwu godną

bezpośredniością. Jej uwagi były w dodatku celne. Teresa pomyślała o Księzulu, którego zostawiła samemu sobie, i poczuła wyrzuty sumienia.

– Muszę dopasować do siebie części tej układanki. Czytała pani książkę Kirka?

– O, tak – odpowiedziała. – Pracuję obecnie w administracji, ale w sercu wciąż jestem filologiem klasycznym. Pewnego dnia wrócę do wykładania, i to raczej wcześniej niż później, jeśli znowu w tak gwałtownych okolicznościach stracę pracownika. Przysłali mnie tutaj z Edynburga zeszłej jesieni, więc niech pani nie oczekuje z mojej strony jakichś głębokich analiz osobowości Kirka, ale jego książkę czytałam i bardzo ją cenię. Kiedy się tu znalazłam, miałam nadzieję, że pracuje nad kolejną i będę mogła rzucić na nią okiem przed wydaniem. To był jeden z powodów, dla których zdecydowałam się na przyjazd. – Zamilkła, zastanawiając się, jak sformułować następną myśl. – Jednak bardzo się myliłam.

– Dlaczego? – zapytała Teresa niecierpliwie.

– Szczerze mówiąc, myślałam, że będę o tym rozmawiać z prawdziwym policjantem.

Widać było jednak, że nie chce tak długo czekać. Reginę Morrison kusiło, by opowiedzieć komuś tę historię.

– Wszystko przekażę, obiecuję.

– No pewnie, wiem – zachichotała kobieta. – Chodzi o to, że zamierzałam go zwolnić. Mam tu w tej chwili jedną parszywą sprawę po drugiej. Ściągnięto mnie do Rzymu nie bez powodu. Nikt miejscowy, a w szczególności żaden Włoch, nie chciał stanąć twarzą w twarz z... trudnościami, które wymagały rozwiązania. W zasadzie mogę pani powiedzieć, to i tak wyjdzie pewnego dnia. Chodzi o złe zarządzanie, defraudacje, podejrzane projekty naukowe... no i o Randolpha Kirka. Był wspaniałym naukowcem i w swoim pokoleniu jednym z najlepszych uczonych w Cambridge. Problem w tym, że żył samotnie i miał nawyki samotnego człowieka. Nie potrafił utrzymać rąk przy sobie. Większość naukowców przenosi się co jakiś czas, bo w ten sposób można lepiej zarabiać. Ale nie Randolph, on miał powód, by trzymać się tego uniwersytetu, moja droga. Nie miał wyjścia. Za takie rzeczy, jakie



wyczyniał, w każdym innym miejscu na świecie zostałyby dożywotnio pozbawiony pracy, a każdy grosz wydałby na spłatę zasądzonych odszkodowań. Może nawet wylądowałby w więzieniu.

Przez chwilę Teresa poczuła się jak gliniarz stojący u progu ważnego odkrycia. To było wspaniałe doznanie.

– Co on robił?

– Molestował młode kobiety. Im młodsze, tym lepsze. Nie mam pełnego obrazu tego, co się działo. U nas, w Szkocji, jest prawie tak jak w Stanach: dziewczyna robi aferę, jeśli ktoś jej powie, że ma ładną sukienkę. Nie pojmuję, dlaczego Zygmunt Freud zamieszkał w Wiedniu. W Edynburgu wszyscy są sto razy bardziej analnie zafiksowani. Tu, we Włoszech, jest zupełnie inaczej. Każdy trzyma buzię na kłódkę. Mimo to, nim upłynęło sześć tygodni od mojego przyjazdu, miałam już dość dowodów, żeby go zwolnić, i proszę mi wierzyć, zrobiłabym to bez wahania, gdyby w sprawę nie wmieszała się pani koleżanka z pracy i jej pistolet.

Teresa położyła dłoń na książce.

– Czy to miało jakiś związek z tą publikacją?

Regina Morrison uśmiechnęła się do niej znad biurka.

– Ciekawe, widzę, że nasze myśli biegną podobnym torem. Przeczytałam tę pracę po raz pierwszy kilka lat temu. Później, kiedy zaczęły do mnie dochodzić plotki na temat Randolpha, przeczytałam ją jeszcze raz. Musiałaby pani poznać, żeby to zrozumieć. Kirk nie pisał po prostu pracy historycznej; on wykladał podstawy jakiejś swojej osobistej filozofii, którą najwyraźniej wzorował na tych obrzędach. I wie pani, co myślę? On to odgrywał. Przekonał kilka naiwnych dziewczyn, że warto spróbować. Sama nie wiem, jak mu się udało je ogłupić tymi dyrdymałami, no ale wie pani, jakie bywają dziewczyny. Najwyraźniej coś z tego miały. Pewnie zakładał jedną z tych masek, o których tyle pisał, udawał, że jest wielkim bogiem, i dostawał, czego chciał. Przypuszczam, że i tak nikogo nie nabrał. Dziewczyny robiły to w zamian za oceny. Nawet jeśli zapraszał czasem jakichś gości – a sądzę, że to się zdarzało, bo był człowiekiem, który potrzebował, żeby mu w kółko powtarzać, jaki to on jest wspaniały – to nie sądzę, żeby ktoś z nich dał się wciągnąć w te bzdury z mitów. Przychodzili po prostu,

żeby się zabawić za friko. Rzecz jasna, nie wiem nic na pewno. Zgaduję tylko, czyli robię coś, czego nie powinien robić żaden naukowiec, ale czuję, że się nie mylę. Rozmawiałam z kilkoma dawnymi studentkami. Nie chcą o tym mówić, za bardzo się boją. Ciekawe czego.

Serce łomotało w piersi Teresy. Musiała znaleźć jakieś dowody. Regina Morrison na pewno mogła ich dostarczyć.

– Zna pani jakieś nazwiska, miejsca?

Kobieta po drugiej stronie biurka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Przez panią mogę mieć poważne kłopoty. Zdążyłam podpaść tu wielu ludziom. W końcu sprowadzono mnie, żeby wyczyścić różne sprawy, a taką pracą nie zdobywa się przyjaciół. Kiedy ja już skończę zwalniać ludzi, oni zwolnią mnie. Tak się rzeczy mają i każdy o tym wie, ale nie chcę im dawać żadnych przedwczesnych powodów.

– Regina – powiedziała, uważając, by wymówić imię jak najdokładniej – to nie jest ciekawostka naukowa. Nam nie chodzi o to, żeby się dowiedzieć, czemu umarł Randolph Kirk, a przynajmniej nie bezpośrednio. Zaginęła pewna dziewczyna. Szukamy jej. Być może została porwana. Może poszła z porywaczem z własnej woli, nie wiedząc, na co się pisze. Jestem pewna, że sprawa Kirka ma coś wspólnego z tym porwaniem. W jej mieszkaniu znaleźliśmy dowody: tyrs i kilka innych przedmiotów. Właśnie z tego powodu pojechałam się z nim spotkać.

Teresa Lupo spojrzała na zegarek. Musiała wracać do prosektorium. Tyle pytań chciała zadać tej niezwyklej, bystrej kobiecie, a miała tak niewiele czasu.

– Ale skoro Randolph nie żyje... – zaczęła się zastanawiać Regina Morrison. – Nie, z pewnością nic jej nie grozi. Chyba nie sądzi pani, że profesor tak sobie porywał dziewczyny jak gdyby nigdy nic. Nie mógłby tego robić. A przynajmniej... – Regina Morrison zawahała się.

– A przynajmniej?

– Przynajmniej nie sam. – Przez twarz Szkotki przemknął cień troski. Teresa zauważyła, że ona faktycznie przejęła się zaginięciem. – Siedzę tutaj od samego rana – powiedziała Regina, bawiąc się zdjęciem psa – i czekam, aż ktoś od was się pojawi. Gdzieście się podziewali? Nagle wyrasta pani jak spod ziemi i woła, że trzeba się spieszyć. Kiedy

wczoraj w nocy dowiedziałam się, co się stało z Randolphem, rozejrzałam się trochę po jego biurze. Można powiedzieć, że się włamałam. Pomyślałam sobie, że warto będzie tam wejść, zanim wy się pojawicie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, w jaki sposób zarządzacie czasem, sama pani rozumie.

– Włamała się pani do jego biura? – powiedziała Teresa ze szczerym zdziwieniem i nutą fascynacji.

Regina Morrison postukała w tabliczkę ze swoim nazwiskiem.

– Do tego właśnie służą tytuły. Znalazłam coś ciekawego. Było zamknięte w szufladzie na malutką kłódeczkę. Randolph nie miał pojęcia, jak się ukrywa takie rzeczy. Chodził z głową w chmurach. Mam nadzieję, że nie jest pani szczególnie wrażliwa?

– Jestem patologiem.

– Miałam na myśli wrażliwość... obyczajową.

– Niby ja?

Regina Morrison wysunęła szufladę i podała jej papierową teczkę. Pochyłym pismem zdradzającym wykształcenie napisano na niej jedno słowo: „Menady”. Poniżej przyklejony był obrazek przedstawiający znajomą, wykrzywioną teatralną maskę z otwartą czeluścią ust. Regina nachyliła się nad biurkiem i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

– Wie pani, kim były menady, prawda?

– Proszę, niech mi pani odświeży pamięć – szepnęła oszołomiona Teresa, bez tchu przerzucając kolejne strony wydruków i zdjęć.

– Wyznawczyńie boga. Dionizosa albo Bachusa, miał wiele imion. Menady były jego kobietami. On sam lub, przez implikację, jego wyznawcy poddawali je obrzędom inicjacyjnym w czasie tych swoich misteriów.

Palce Teresy przebiegały szybko po kolejnych stronach.

– Co dokładnie się działo w czasie misteriów?

– Nawet Randolph twierdził, że nie wie. A w każdym razie nie wiedział dokładnie. Podczas naszych rozmów odnosiłam wrażenie, że ma na tę sprawę pełniejszy pogląd niż ten, który wyłożył w książce. Tu chodziło o obrzędy, Tereso, nie zapominaj o tym.

Zatrzymała się nad stroną niezrozumiałego tekstu.

– Czemu to takie ważne?

– Bo obrzędy podlegają pewnej formie. Mają określoną strukturę. Nic nie dzieje się w nich przypadkiem. Tych dziewczyn nie porywano po prostu z ulicy. Niektóre zgłaszały się na ochotnika, inne były oddawane jako prezent przez rodziny.

– Co? – Teresa nie rozumiała. – Dlaczego jacykolwiek rodzice mieliby zrobić coś takiego?

– Ponieważ sądzili, że to jest właściwe. Czemu nie? W dzisiejszych czasach oddaje się Kościołowi wiele dziewcząt na zakonnice. Jest tu jakaś różnica?

Przypomniała sobie książkę.

– Zakonnice się nie gwałci.

– Jedne i drugie są darem dla ich wybranego boga. Różnice leżą w szczegółach. Wyjąwszy co dziwniejsze elementy – te, które szczególnie lubił Randolph – nie są takie duże. Czy były podarunkami, czy ochotniczkami, poddawały się obrzędowi. Stawały się narzeczonymi boga. Tyle że w kulcie Dionizosa małżeństwo ulegało fizycznemu skonsumowaniu przy pomocy, jak sądzę, różnych takich Randolphów Kirków.

– A co potem?

– Potem stawały się własnością boga i mężczyzn, którzy go wyznawali. Czciły go, czy może ich. Raz w roku powracał, by poznać swoje nowe narzeczone i odnowić związek z tymi, które miał wcześniej. Dawał im wszystko, czego chciały: szal, ekstazę. Jeśli Randolph się nie mylił, to ostrzejsze kawałki, te z przemocą i seksem bez zahamowań, miały miejsce po ślubie, a nie w jego trakcie. Odbywało się coś, co moglibyśmy nazwać orgią; czystą, bezrozumną, niebezpieczną, wyzwalającą orgią. Następnie dziewczyny wracały do domu i przez cały rok były dobrymi matkami. Czytałaś *Bachantki* czy Eurypides ci nie leży?

– Ostatnio nie miałam okazji.

Regina Morrison sięgnęła za siebie na półkę z książkami i wyjęła cienki, oprawiony w niebieską skórę tom.

– Mogę ci pożyczyć, jeśli chcesz. Tę historię można interpretować na wiele sposobów. Zgodnie z tradycją liberalną w dramacie chodzi o podwójną naturę człowieka, o potrzebę uwolnienia dzikiej części

naszej osobowości, przynajmniej od czasu do czasu, ponieważ jeśli tego nie zrobimy, ona i tak wynurzy się na powierzchnię w chwili, gdy się tego najmniej spodziewamy. Załamuje się wtedy naturalny porządek. Oszalałe, żądne krwi kobiety rozrywają ludzi na strzępy tylko dlatego, że ktoś złamał zasady, nawet niechcący. – Nachyliła się nad biurkiem. – Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Teresa Lupo nie była pewna, czy chce, ale mimo to spytała:

– Co takiego?

– W tym wszystkim chodzi o facetów, władzę i seks. Mogą się pieprzyć, kiedy tylko chcą, niezależnie od tego, czy kobiecie się to podoba, czy nie. A my powinnyśmy być wdzięczne, choćbyśmy tego nienawidziły, bo, spójrzmy prawdzie w oczy, bóg mieszka w nich, a nie w nas, więc jedyny sposób, żeby go trochę posmakować, to pozwolić im włożyć go trochę w siebie. Wiesz, o co mi chodzi?

– O tak, tak – przyznała Teresa.

– Nikt nie chce uchodzić za purytanina, Tereso. Szkotka taka jak ja wie o tym szczególnie dobrze. Nie ma nic złego w – jak to Amerykanie określają? – *zipless fuck*, pieprzeniu bez zobowiązań. Każdy lubi spuścić sobie trochę pary od czasu do czasu. Pół godziny przyjemności i żadnych zmartwień na potem. Sama dobrze o tym wiesz, prawda?

Teresa Lupo popatrzyła na tę poważną elegancką kobietę naprzeciwko i po chwili tylko jedna odpowiedź przyszła jej do głowy.

– Tak.

– Ale szybki numerek po ciemku to nie to samo, prawda? Nasz staruszek Randolph planował całą rzecz. To takie cholernie samcze zachowanie.

– Racja. Chyba chodziłyśmy z tymi samymi facetami, Regino, wierz mi.

– Ja z facetami już się nie umawiam – powiedziała Regina Morrison słodkim głosem. – Gdzie tu radość łowcy? Gdzie wyzwanie? Po co się trudzić, skoro wiadomo od początku, że oni łakną tego jak zwierzęta, z kimkolwiek i gdziekolwiek się da? Trzymaj, to moja wizytówka. Tu jest numer mojej komórki.

– Dzięki – odparła, przeklinając w myślach swoją głupotę. Wyjęła jednak wizytówkę ze smukłej dłoni Reginy, tak na wszelki wypadek.

– To kwestia wyczucia chwili – powiedziała Szkotka. – Jak wszystko.

Teresa raz jeszcze popatrzyła na dokumenty w teczce. Mnóstwo stron, mnóstwo zdjęć.

– O czym mówisz?

– Zależy ci, żeby znaleźć tę dziewczynę, prawda? Dlatego przyjechałaś tu na własną rękę. Policja nie widzi związku między tymi sprawami.

Teresa popatrzyła na nią. Ta kobieta od początku była dwa kroki przed nią. To było takie frustrujące.

– Nie są jeszcze pewni.

– Trzeba mieć nadzieję, że mają rację, a ty się mylisz. Weź pod uwagę daty.

– Daty?

– Czytałaś książkę. Jutro są Liberalia, dzień, w którym powstają nowe menady, a te narodzone wcześniej przychodzą się zabawić.

– Tak, wiem o tym. – Pomyślała o Nicu Coście. – My o tym wiemy.

Regina Morrison uśmiechnęła się do niej zdezorientowana.

– Wyglądasz, jakbyś była czymś... przejęta.

Teresa Lupo wyjęła jedno ze zdjęć z teczki i położyła je na blacie. Przytknęła dłoń do nosa i stłumiła kichnięcie.

To była stara fotografia, zrobiona potajemnie, jak wszystkie inne, tanim aparatem w kiepsko oświetlonym wnętrzu. Odbitkę przypuszczalnie wywołano w domu i pewnie dlatego – oraz z powodu upływu lat – kolory były wyblakłe. Malowidła na ścianie w tle ledwie dało się rozróżnić. Były prawie takie same jak tańczące fauny i satyry o lubieżnych spojrzeniach z książki Kirka, sfotografowane w Ostii, na jego dziwacznym, prywatnym placu zabaw. Trochę się jednak różniły. Malunki ze zdjęcia wydawały się starsze i jakby bardziej mroczne. Sala też była chyba większa. Być może znalazł rzymską Willę Misteriów i utrzymywał ją w jednym, konkretnym celu.

Pośrodku kadru widniała Barbara Martelli. Miała na sobie zwykły, biały podkoszulek i dzinsy. Była taka młoda i słodka jako nastolatka, że aż bolało. Teresie zakręciło się w głowie, kiedy starała się pogodzić ze

sobą te sprzeczne obrazy i złożyć je w zrozumiałą całość. Oto niewinność tuż przed zepsuciem, dziewczyna u progu długiej drogi, która zamieni ją, cudowną nastolatkę, w zabójczego owada w czarnym kasku. Czy bestia kryła się w niej już wtedy, jak kokon nienawiści i śmierci narastający przez lata?

Wolała nie wpatrywać się zbyt uważnie w postać obok Barbary. To była Eleanor Jamieson, co do tego nie miała wątpliwości. Jej widok, tak pełnej życia, z iskrami w oczach, był już niemal ponad wyczerpujące się siły Teresy. Przywykła myśleć o dziewczynie jak o zmumifikowanym ciełe leżącym na lśniącym stole sekcyjnym. Na tym zdjęciu zobaczyła w niej jednak kogoś innego. Poczucie autentycznej, przejmującej obecności, tak intensywnej, że niemal nie do zniesienia, nawiedziło nagle Teresę i z potężną mocą uświadomiło jej potworność śmierci Eleanor. To, co widziała, działo się, zanim bóg do nich przyszedł. Może w ogóle nie zdawały sobie sprawy z tego, że nadchodzi.

Była jeszcze jedna kwestia, uwierająca myśl, której nie dało się zlekceważyć. Teresa nie potrafiła zapomnieć zdjęć córki Mirandy Julius. Suzi i Eleanor były do siebie tak podobne, że mogłyby być siostrami, uśmiechniętymi klonami, które wyszły z jednej formy klasycznej blond piękności. Tyrs, tatuaż, nasiona... Te wszystkie zbiegi okoliczności bladły przy ich fizycznym podobieństwie i Teresa była pewna, że właśnie dlatego Suzi zniknęła. To z tego powodu zanurzyła się w mroczne, wąskie ścieżki, pomiędzy cienie, z których ją wołano. Ktoś wiedział, co zdarzyło się szesnaście lat temu, i widok ślicznej, nieznanym, młodej dziewczyny idącej ulicą poruszył jego pamięć. Koło się obróciło. Obrzęd rozpoczęto.

– Teresa? – Regina Morrison wyglądała na zmartwioną. – Dobrze się czujesz?

– Tak – powiedziała miękko. Zakaszła i poczuła, jak śluz przesuwa się boleśnie w jej zatokach. – Chciałabym zabrać te dokumenty.

Regina potaknęła.

– Oczywiście. Jesteś pewna, że nic ci nie jest? Szklaneczka whisky mogłaby ci pomóc.

– Nie, naprawdę wszystko w porządku.

Kłamała. Znowu zaczęły ją swędzieć i piec oczy.

Popatrzyła na twarz Eleanor. Nigdy czegoś takiego nie przeżywała. Gdy ludzie trafiali pod jej nóż, zawsze byli martwi, naprawdę martwi, martwi od dawna, martwi, zmarli i nieżywi. Zgasło im światło, życie przełączyło się z „Wł.” na „Wył.” i nie było nic pomiędzy ani potem.

Przypomniała sobie, jak kryła się w obskurnym biurze Randolpha Kirka i co stało się, gdy usłyszała strzały. Coś jakby przez nią przeniknęło, niespodziewanie i bezwolnie, jak ostatni oddech odchodzącego człowieka.

Gdy wpatrywała się w postać Eleanor Jamieson, znowu ogarnęło ją poczucie bezsensu tego, co robi. Zajmowała się tym, żeby pokryć rachunki i rzucić coś na pożarcie nienasyconej paszczy państwa. A teraz Suzi Julius była w jakimś nieznanym miejscu i szła prosto między te same cienie i ku temu samemu przeznaczeniu co Eleanor, lecz nikt w Questurze nie zwracał na to uwagi, bo Teresa Lupo, Szalona Teresa, wzięła dochodzenie w swoje ręce, zaczęła udawać, że jest kimś, kim nie jest, i tylko pogorszyła sprawy.

– Tereso – powiedziała Regina Morrison, podając jej chusteczkę. – Proszę, weź ją.

– Dzięki – powiedziała, odkładając zdjęcie drżącą ręką. Wzrok przesłoniły jej łzy. Wychyliła whisky jednym haustem, a potem, gdy Regina Morrison szybko uzupełniła jej szklankę, także kolejną.

Falcone spojrzał z zainteresowaniem na grupę mężczyzn przyczajonych na pierwszym piętrze domu Neriego. Gruby gangster ponaglił go i poprowadził po schodach na górę.

– Nie wiedziałem, że masz gości – powiedział Falcone. – Kto by pomyślał, że będziesz sam otwierać drzwi. Służący chcą za dużo w dzisiejszych czasach?

– Nie potrzeba mi żadnych zafajdanych służących – odparował Neri. – Chrzanisz mi tu głodne kawałki, Falcone, a mogłem cię odprawić z kwitkiem, jeszcze nim wszedłeś. Nie masz papierów, żeby wpieprzać się ludziom do domów ot tak. A co do niej... – Neri popatrzył ostro na Rachele D’Amato. – Skończyły się ciche dni? Słyszałem, że się zaczęły, gdy łóżko wystygło.

– Chodzi o sprawy zawodowe – odparła szybko, podążając za



Nerim do dużego salonu umeblowanego z maksymalnym nakładem pieniędzy i minimalnym poczuciem smaku: współczesne skórzane sofy i fotele, reprodukcje obrazów na beżowych ścianach, a na środku wielki szklany stół.

Na sofie siedziała szczupła, atrakcyjna kobieta po trzydziestce oogniście rudych włosów i zaciętym wyrazie twarzy oraz trochę młodszy od niej chłopak o ciemnych, rozbieganych oczach, nerwowych gestach i kiepsko utlenionych włosach.

– Nie mam pod ręką adwokata – powiedział Neri – więc pogadamy przed moją rodziną. Będę miał świadków, jeśli zaczniecie coś wymyślać. Falcone skinął głową.

– Nie przedstawieś nas – powiedziała kobieta. – Jestem Adele, jego żona.

– Obecna – dodał Neri.

– Właśnie – przyznała. – A to Mickey, mój pasierb. Przywitaj się z policjantami, Mickey. Uspokój palce, to mnie wkurza. I przestań się gapić na tę panią.

Mickey przestał kręcić młynka palcami i mruknął:

– Miło mi.

Neri opadł na wielki, puchaty fotel naprzeciwko nich i gestem zaprosił Falconego i D'Amato do stołu.

– Dałbym wam kawy, ale srał pies. Po coście przyleźli? Co niby znowu zrobiłem?

– Nic – powiedział Falcone. – To wizyta towarzyska.

Pierś Neriego zatrzęsa się od suchego śmiechu.

– Jeśli uznamy, że coś przeszkrobałeś, Emilio, nie przyjdziemy tylko we dwoje – dodała Rachele D'Amato, rozbawiona tym, że Mickey wciąż się na nią gapi. – Mamy naprawdę dużo ludzi. Jest też telewizja i dziennikarze. Coś mi mówi, że byliby bardzo zainteresowani.

– To się nigdy nie stanie – mruknął Neri. – Nie ma żadnego powodu.

Popatrzyła na jego syna.

– Tego też przymkniemy? Już wszedł w rodzinny biznes?

– To ty mi powiedz. Wy, łapserdaki z DIA, ciągle węszyć wokół mnie. I jak ci się zdaje?

Uśmiechnęła się do Mickeya. Zarumienił się lekko i spuścił wzrok.

– Chyba nie jest do ciebie podobny. Może tylko udaje i specjalnie nie zachowuje się tak jak ty. Nie wiem.

– Otóż to – zgodził się Neri – nie wiesz. I powiem ci coś. Jeśli chcecie kogoś przyskrzynić, żeby poprawić sobie statystyki, to go zabierajcie. Najlepiej z nią do kompletu. – Mówiąc to, patrzył na żonę i syna spode łba. – Tylko posadźcie ich w jednej celi. Ona ma więcej oleju w głowie niż chłopak, z nią mogą być problemy.

– Szczęśliwa rodzina, co za krzepiący widok. – Falcone się uśmiechnął.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu. Przechodźcie do rzeczy.

– Sprawa jest taka – odparł natychmiast Falcone – że chcemy wiedzieć, co robiłeś szesnaście lat temu. Chcę, żebyś mi opowiedział o Vergilu Wallisie i o tym, co się stało z jego pasierbicą.

Wyblakłe, gadzie oczy Neriego zwężyły się.

– Robicie sobie jaja. Jak niby miałbym pamiętać coś sprzed tylu lat? O kim wy w ogóle mówicie?

– Vergil Wallis – powtórzyła D’Amato. – Był twoim łącznikiem z mafią z Zachodniego Wybrzeża. Nie próbuj zaprzeczać, mamy zdjęcia operacyjne, na których jesteście razem. Wiemy, że robiliście wspólnie interesy.

– Jestem człowiekiem towarzyskim – zaprotestował Neri. – Spotykam się z wieloma ludźmi. Mam pamiętać każdego z nich?

– Jego na pewno pamiętasz – powiedział Falcone. – Przez niego prawie wypadłeś z sycylijskiej mafii. Oszwabiłeś go na jakimś interesie. Ciągle ma do ciebie pretensje? Rozmawialiście ostatnio ze sobą?

– Co takiego?! – Wybuch gniewu Neriego wypadł raczej teatralnie. Zresztą tak właśnie miał wyglądać. – Słuchaj, Falcone, jeśli zamierzacie zadawać mi takie pytania, to dokończymy tę rozmowę kiedy indziej i w towarzystwie adwokata. Nie teraz.

D’Amato przesunęła palcami po doskonałych, kasztanowych włosach, tak specjalnie na użytek Mickeya.

– Nie potrzebujesz prawnika, Emilio. Nikt cię o nic nie oskarża. Chcemy tylko wiedzieć, czy sobie czegoś nie przypominasz. Wszyscy wiemy, że spotykałeś się z tym człowiekiem, i nie dlatego tu

przyszliśmy. Szesnaście lat temu zamordowano jego pasierbicę. Niedawno znaleźliśmy jej zwłoki.

– Myślicie, że ja gazet nie czytam? O niczym nie wiem?

– Więc? – spytał Falcone.

Neri zwrócił się do Mickeya.

– Pamiętasz tego czarnego gościa sprzed lat? Coś gdzieś mi dzwoni... Niestety, żadnych szczegółów.

– Racja – stwierdził Mickey. Wyglądało, że jest jeszcze bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek wcześniej. – Razem z córką był z nami na wakacjach. Mieli chyba fioła na punkcie historii. Ciągłe o tym nawijali, nic tylko muzea i inne takie. Nie dało się wytrzymać.

– A pamiętasz jego pasierbicę? – spytała D'Amato.

– Trochę – powiedział Mickey. – Zdawało mi się, że to jego niunia, jeśli wiecie, o czym mówię. Czarny facet i chuda blondyneczka. Wiadomo, co sobie człowiek myśli.

Falcone rozważał jego słowa.

– Chcesz powiedzieć, że między Wallisem i dziewczyną był jakiś związek?

– Nie – zaprzeczył, spoglądając na ojca w poszukiwaniu pomocy. – Nie wiem.

– To był zwykły, nadęty bubek – dodał Neri. – Kto go tam wie, co z nią robił. Powiem wam, co myślę. W swoim czasie spotkałem paru takich jak on. Przyjeżdżają tu i wydaje im się, że mogą robić interesy, nie płacąc ani grosza wpisowego, bo są tacy niby ważni. I jeszcze jedno: widzieliście kiedy czarnego z blondynką, której nie posuwa?

D'Amato pokręciła głową, jakby ten pomysł nie przypadł jej do gustu.

– To była jego pasierbica.

– Ach, no tak – parsknął Neri. – To faktycznie robi różnicę. Gdybyś widziała, jak jakiś nadziany Włoch prowadzi się z nastolatką i uśmiecha ciągle na jej widok, jakby była jego własnością, to powiedziałabyś o nim to samo? Nie sądzisz, że tu wchodzi w grę podwójne standardy? Tacy ludzie jak on nie umieją trzymać rąk przy sobie. Wyobraź sobie, jak by to było mieć obie jednocześnie, mamę i córkę. Zresztą to jego pytajcie, nie mnie.

Falcone zdał sobie sprawę, że Neri ma trochę racji. Może Wallis był świetnym aktorem. Może jego demonstracja żalu to w rzeczywistości teatralne przedstawienie.

– A co z tobą, Mickey? – zapytała zniecierpliwiona D'Amato.

– Co ze mną? – wyjąkał chłopak.

– Podobała ci się? Była w twoim typie?

Popatrzył nerwowo najpierw na Adele, potem na ojca.

– Nie. Za chuda. I snobka. Miała w głowie ten sam historyczny szajs co jej stary. Co taka panienka mogłaby robić z kimś takim jak ja?

Rachele D'Amato uśmiechnęła się.

– A więc pamiętasz ją dość dobrze?

– Nie za bardzo – mruknął.

Neri machnął ręką.

– Dość pierdoł. Czemu gadamy o dziewczynie, która zginęła wieki temu? Co to ma wspólnego z nami?

Zapadła cisza.

– Dobra – podjął Neri. – Więc skoro mamy to już za sobą, możecie chyba iść? Dom zaczyna brzydko pachnieć. Muszę wpuścić trochę świeżego powietrza.

Rachele D'Amato uśmiechnęła się do Mickeya.

– A Barbara Martelli, Mickey? Wcale nie chuda. I miała niezłą posadkę w policji.

Chłopak w panice strzelał oczami to na Adele, to na Neriego.

– Kto? Kto? Nie mam pojęcia, o kim pani mówi, do diabła.

– Ta babka, o której pisali w gazetach, tępaku – warknął Neri. – Policjantka, która się wczoraj zabiła. Ponoć kogoś załatwiła. To prawda? Co to się w dzisiejszych czasach porobiło z policją? I jak tu człowiek ma komuś ufać?

– To my zadajemy pytania – powiedział Falcone. – Gdzie byłeś wczoraj, Mickey? Powiedz mi, co robiłeś przez cały dzień, od rana do nocy.

– Był ze mną w domu – powiedziała twardo Adele Neri. – Cały dzień. Wieczorem także.

– Wszyscy byliśmy w domu – dodał Neri. – Wyszedłem tylko na mały lunch z jednym z moich pracowników. Może za mnie poświadczyć.

Wszyscy możemy poświadczyć za siebie wzajemnie. Macie jakiś powód, żeby nas podejrzewać?

Rachele D'Amato wyjęła z torebki dwa zdjęcia. Na jednym była Barbara Martelli w mundurze, na drugim jej ojciec z czasów, kiedy służył w policji.

– Toni Martelli był policjantem. Opłacałeś go.

– Ja? – jęknął Neri. – Ja miałbym płacić gliniarzom? Nie dość już mi zżerają włoskie podatki?

– Kiedy ostatnim razem rozmawiałeś z Martellim? – zapytał Falcone. – Kiedy ostatnio rozmawiałeś z jego córką?

– Nie przypominam sobie, żebym w ogóle miał okazję ich poznać. Mówię w imieniu całej mojej rodziny, czy to jasne? Jeśli macie jakieś podejrzenia, że może być inaczej, pomówcie o nich z moim prawnikiem. Chyba że nic nie macie, bo gdybyście coś mieli, nie rozmawialibyśmy tu teraz, prawda?

Schowała zdjęcia z powrotem do torebki.

– Ci ludzie na dole... – zaczęła.

– Zamierzamy rozegrać wieczorkiem parę partii brydza. Twardzi gracze.

– Lepiej niech ta partia potrwa dłuższą chwilę – powiedział Falcone ostrym głosem. – Nie chcę ich widzieć na ulicach, rozumiemy się?

Wielki stary gangster pokręcił głową.

– Rzymianie nie mogą już chodzić ulicami własnego miasta? To chcesz mi powiedzieć? Chryste, za co mnie karzesz, że muszę wysłuchiwać takich bzdetów? Czemu mam się przejmować waszymi pogroźkami i słuchać historyjek o tym, czego nie wiecie? Tymczasem ten skurwiel z Ameryki śmieje się w głos i robi, co mu się podoba. Jemu nikt nie zadaje pytań, czy płaci gliniarzom, żeby dostać, co chce. – Neri machnął ku nim tłustą ręką. – Dlaczego tak jest, co? Rozum wam odebrało czy jak?

Falcone wstał. Rachele D'Amato też się podniosła.

– Miło było znowu was widzieć – szczechnął Neri. – Jak wam przyjdzie ochota na powtórne odwiedziny, zastanówcie się dwa razy.

– Wiesz, jaki jutro dzień? – spytał Falcone.

– Sobota. Wygrałem toster?

– Liberalia.

Neri skrzywił się z niesmakiem.

– Że niby co? Znowu jakieś święto nam Unia wprowadza? Nic mi to nie mówi.

– A jednak – powiedział Falcone. – Mówi ci to tyle, że jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zostaniesz jutro w domu i nie będziesz mi wchodził w drogę.

– Tak dziś pracują gliny – warknął Neri. – Wymyślają puste pogrożki.

– To tylko dobra rada. Pamiętam cię sprzed lat, kiedy byłem zwykłym detektywem. Obserwowałem cię. Wiem, jaki jesteś.

– Naprawdę? Tak ci się wydaje?

– Czasy się zmieniły. Postarzałeś się. Osłabłeś. Powiem ci jedno: nie jesteś już tym, kim byłeś.

– Chrzanienie! – krzyknął Neri, wstając z fotela i machając wielkimi ramionami w powietrzu. – Wypieprzać mi stąd, zanim was zrzucę ze schodów, glina czy nie glina!

Falcone już go nie słuchał. Stał z telefonem przyciśniętym do ucha, pochłonięty rozmową. Coś w wyrazie jego twarzy spowodowało, że wszyscy zamilkli w oczekiwaniu.

– Już tam jadę – mruknął Falcone.

– Leo? Coś się stało?

Popatrzył na Emilia Neriego.

– Być może. Czy nazwisko Beniamino Vercillo coś ci mówi?

– Znowu te głupie pytania – burknął.

– Tak czy nie?

– Ani dudu. Czemu pytasz?

– Nic takiego – odparł Falcone, wzruszając ramionami. – W końcu to obcy człowiek, więc po co masz się przejmować? Oglądaj wiadomości. Daj w łapę jakiemuś gliniarzowi, może dowiesz się wcześniej. Nie musisz nas odprowadzać do drzwi.

– Mickey!

Neri wskazał ich dwoje. Mickey poprowadził Falconego i Rachele D'Amato schodami w dół. Szedł pierwszy, żeby móc odwrócić się od

czasu do czasu i popatrzeć na jej długie, smukłe nogi wylaniające się spod krótkiej spódnicy.

Goście siedzieli przy okrągłym stole w dużym pokoju na pierwszym piętrze. Czytali gazety, palili papierosy i grali w karty.

– Widzę kilka znajomych twarzy – stwierdził Falcone. – Zadajesz się teraz z takimi ludźmi, Mickey?

– Nie wiem, o co panu chodzi. – Młody Neri podszedł do wielkich frontowych drzwi zabezpieczonych kilkoma elektronicznymi zamkami, przy których zamontowano kamery bezpieczeństwa.

D'Amato stanęła poza polem widzenia kamer i uśmiechnęła się do niego.

– Musisz szybko myśleć, Mickey. W takiej sytuacji to jest szczególnie ważne.

– W jakiej sytuacji?

– Kiedy następują zmiany – powiedziała i podała mu wizytówkę. – Nie czujesz napięcia w powietrzu? To mój prywatny numer. Zadzwoń, jeśli będziesz chciał pogadać. Mogę załatwić to tak, żebyś nie poszedł do więzienia. Jeśli sprawy pochrzanią się wyjątkowo, może nawet uda mi się utrzymać cię przy życiu.

Spojrzał w górę schodów, żeby upewnić się, że nikt nie słyszał.

– L...lepiej już idźcie – wyjąkał.

Ludzie z ekipy kryminalistycznej włożyli swoje białe kombinezony, w których wyglądali jak wielkanocne króliczki, i zeszli po żelaznych schodkach do piwnicznego biura przy Via dei Serpenti. Falcone obserwował ich, usiłując jednocześnie przeliczyć w myśli, iloma pracownikami w Questurze jeszcze dysponuje. Łącznie z policjantami, którzy byli już w środku, miał na miejscu zbrodni sześć osób. Za mało. W Questurze zaczęło desperacko brakować rąk do pracy. Już nawet wydzwaniał po ludziach i usiłował nakłonić ich, by wstali z łóżek. Kilku nawet go posłuchało, ale i tak miał problemy, żeby ciągnąć każdy wątek dochodzenia jednocześnie – sprawę Randolpha Kirka, Barbary Martelli, Eleanor Jamieson i być może Suzi Julius – z odpowiednio dużą ekipą. Trwał okres wiosennych wakacji, spokojna część roku, a przynajmniej każdy tak sądził. W siatce zatrudnienia już zaczęły się pojawiać luki urlopowe. Żałował, że nie może przeznaczyć więcej ludzi na obserwację

Neriego i Wallisa, żeby być pewny, że nie wpadną na jakieś głupie pomysły. Nie miał też czasu pomyśleć o córce Mirandy. W rzeczywistości częściowo podzielał obawy Nica Costy, ale w obecnych okolicznościach nie chciał podejmować żadnych działań, dopóki nie pojawią się twarde fakty, które powiązałyby jej zniknięcie bezpośrednio ze sprawą Jamieson. Wciąż nie było żadnych dowodów na to, że chodzi o coś więcej niż tylko przypadek nastolatki, która urwała się mamie, żeby się trochę zabawić. Falcone nie mógł marnować ludzi, którymi dysponował, na ściganie hipotetycznych przestępstw, podczas gdy kilka całkiem realnych domagało się wyjaśnienia.

Czarna alfa romeo Rachele D'Amato zaparkowała przy krawężniku. Przyglądał się, jak kobieta wysiada i ostrożnie wysuwa najpierw swoje szczupłe nogi, tak by obcisła czerwona spódnica nie zadarła się za bardzo. Falcone zamyślił się. Przyjechała trzydzieści minut po nim. Musiała po drodze dzwonić do biura DIA. Nie miał pojęcia, co się tam działo za zamkniętymi drzwiami.

– Ona nie musi tu być – mruknął pod nosem, po czym uśmiechnął się bez entuzjazmu.

Podeszła i popatrzyła na niego.

– Leo?

– Nie przypominam sobie, żebym cię tu zapraszał, Rachele. To nie jest miejsce otwarte do zwiedzania. Nie musisz wtrącać się w każde dochodzenie, które prowadzimy.

Wskazała głową drzwi. Kilka króliczków wielkanocnych wyszło z piwnicy. Policjanci zdjęli maski, żeby zapalić papierosa. Zabezpieczyli ślady i ekipa dochodzeniowa mogła zacząć pracę.

– Nie pozwolisz mi nawet rzucić okiem? Naprawdę uwierzyłeś Neriemu? Sądzisz, że nie znał tego człowieka?

– O ile wiemy, Beniamino Vercillo był księgowym. Nic na niego nie mamy. Nikt ważny. Mieszkał sam w Paroli. Zastaliśmy otwarty sejf. To pewnie napad rabunkowy czy coś w tym rodzaju.

Spojrzała na stojącego przy metalowych schodach Falconego, nie wierząc w ani jedno jego słowo. Denerwowało go, że zawsze zdawała się być jeden krok przed nim.

– Naprawdę? Przez radio mówili coś innego. Rozumiem, że macie



świadka.

– Nie powinnaś się w ogóle tykać policyjnego radia – powiedział. – To wbrew naszemu układowi.

– Oszczędzam tylko czas. Czas nas wszystkich. Co tu się stało?

Westchnął.

– Dziewczyna z zakładu optycznego widziała, jak do biura wszedł ktoś w przebraniu. Wyglądało jak kostium teatralny z maską. Dalej, w głębi ulicy, niedaleko Koloseum, trwają występy teatru ulicznego, więc nie zdziwiło jej to specjalnie. Sprawdziliśmy. Wystawiają *Bachantki* Eurypidesa. Faktycznie zginął im kostium. Moi ludzie przesłuchali wszystkich, co do jednego. Właśnie wtedy trwały próby sceniczne, więc albo wszyscy kłamią, albo kostium ukradł ktoś spoza trupy. Nikt tego człowieka nie widział. – Fakty nie trzymały się kupy, ślady prowadziły w różnych kierunkach. Nie miał czasu pomyśleć, nie mógł znaleźć chwili, żeby się skoncentrować na tym, co istotne. – To ostatnia rzecz, jakiej mi w tej chwili trzeba. – D’Amato nie wyglądała na zaskoczoną. – Powiesz mi, co wiesz, czy będę musiał zgadywać? – Falcone westchnął. – Dlaczego my w ogóle nie współpracujemy przy tej sprawie? Czy to ja stanowię problem? Wolałabyś, żeby ktoś inny się tym zajmował?

Dotknęła jego ramienia szczupłymi, delikatnymi palcami. Znał ten dotyk.

– Przepraszam, Leo. Nie chodzi o ciebie, tylko o mnie. To wszystko jakby... rozchodzi się w szwach. DIA działa podobnie jak wy. Spodziewamy się, że rzeczy będą układać się tak samo jak zawsze, ale w tym wypadku tak się nie dzieje.

– Rozumiem. To znaczy, że Vercillo nie był zwykłym, nudnym księgowym?

Zaśmiała się i to przypomniało mu, jaka kiedyś była: młoda, beztroska. I jak bardzo to na niego działało.

– Wcale tak nie myślałeś, prawda, Leo?

– Nie. – Falcone też miał na sobie króliczy skafander, który włożył przed wejściem na miejsce zbrodni. Widział, co się stało. Nie mógł wymazać z pamięci obrazu tej przeklętej maski. – Po prostu nie lubię wyciągać pochopnych wniosków.

– Nie udało nam się nigdy nic na niego znaleźć – podjęła. – Vercillo był bystry, musiał być. Opiekował się rachunkami Neriego. Tego jestem prawie pewna, chociaż nigdy nie znajdziemy choćby skrawka papieru, żeby to udowodnić.

W jego głowie kawałek układanki wskoczył na swoje miejsce. Falcone przypomniał sobie, co widział w biurze martwego księgowego, i zrozumiał, że tym razem D'Amato się myli, ale zatrzymał tę wiedzę dla siebie.

– Dlaczego ktoś miałby zabijać Neriemu księgowego? Podbierał szefowi pieniądze?

Już to przemyślała.

– Trudno w to uwierzyć. Dobrze wiedział, co by się stało, gdyby to wyszło na jaw. Poza tym nie sądzę, żeby Neri posyłał człowieka w masce. Vercillo siedziałby przy stole w jednej chwili, a w następnej zniknąłby na dobre.

– A więc?

– Doszły nas pewne wieści. Wczesnym wieczorem czterech, może pięciu podejrzanych Amerykanów przyleciało na Fiumicino różnymi liniami i w różnych klasach. Miało wyglądać tak, jakby się w ogóle nie znali. Być może Wallis gromadzi armię.

Falcone potarł brodę. Frustrowało go, że ona tyle wie o mafii i z taką łatwością odczytuje jej ruchy. W sumie DIA od tego właśnie była, ale i tak czuł się oszukany.

– Po co mu armia? Mówiłaś, że się wycofał.

– Racja, ale to nie znaczy, że jest głupcem. Widziałeś, jaką ma w domu ochronę. Vergil Wallis dba o swoje bezpieczeństwo nie mniej niż Neri. Tacy ludzie zawsze muszą być ostrożni, niezależnie od tego, czy przeszli na emeryturę, czy nie.

Czy to mógł być pierwszy akt zemsty Wallisa? Falcone zadał sobie w myśli to pytanie. Jego rozmyślania zakłócił hałas z ulicy. Przyjechał Księżulo wraz z resztą ekipy z kostnicy. Spóźnili się i nie było między nimi Teresy Lupo.

– Co wam tyle zajęło? – warknął na nich Falcone. Silvio Di Capua spuścił tylko wzrok i ruszył ku schodom. Chyba się czegoś bał. – A więc według ciebie tych ludzi tu wezwano? – Falcone zwrócił się do Rachele.

– Być może.

Przypomniał sobie, jak chłodno Wallis ich przywitał.

– To mogłoby mieć sens, gdyby sądził, że coś się szykuje, a na moje oko nie wyglądał, jakby przygotowywał się do wojny.

Spojrzała na niego z ukosa, jak patrzy się na naiwne dziecko.

– Nie powinieneś oceniać tych ludzi po wyglądzie, Leo. Nawet Neriego. Dzisiaj rano też byliśmy świadkami przedstawienia, chociaż jeszcze nie rozumiem, jaki miało cel. Może Vergil Wallis uznał, że nie ma wyjścia i musi zebrać wokół siebie trochę osiłków.

Falcone skrzywił się i ruszył ku drzwiom. Podbiegła, żeby się z nim zrównać.

Ludzie w króliczych kombinezonach zdjęli maski. Pędzelkowali, myszkowali, zaglądali w kąty, wkładali dowody do kopert. Falcone spojrzał chmurnie na Księżula pochylonego nad ciałem. Beniamino Vercillo siedział w skórzanym fotelu, przyszpilony do niego zagiętym mieczem na wysokości klatki piersiowej. Ciało opadło nieco w przód. Ostrze weszło między żebra i wyszło z prawej strony kręgosłupa, a jego końcówka wbiła się w oparcie fotela.

Vercillo był chudy. Falconego zastanawiało, ile trzeba było siły, żeby zadać taki cios. Szalona Teresa by wiedziała. Zawsze znała odpowiedzi na takie pytania. Nie było jej tu jednak, a Księżulo, otoczony wianuszkiem młodszych asystentów, popatrywał na niego z głębin swojego strachu i czekał, aż ktoś mu powie, co ma robić.

– Gdzie ona jest? – spytał ostro Falcone.

– Kto?

– A jak ci się zdaje kto? Twoja szefowa.

– Musiała gdzieś pojechać – wyjąkał Silvio Di Capua. – Będzie niedługo.

Falcone był zdumiony, że Teresa miała tyle tupetu, by grać w tę samą grę dwa razy w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Dokąd pojechała?! – krzyknął.

Di Capua wzruszył ramionami. Wyglądał żałośnie.

– Sprowadź mi ją tutaj – szczechnął Falcone. – Teraz. A gdzie, do diabła, są Peroni i Costa? Nikt po nich nie zadzwonił? Przecież kazałem!

– Już tu jadą – powiedział jeden z policjantów w króliczym

kombinezonie. – Wrócili do Questury. Nie wiedzieli, że pan wyjechał. Ponoć coś mają.

– Jasny gwint – zaklął Falcone. – Najwyższy czas, żeby ktoś coś znalazł. Co się tutaj dzieje?

Urwał. Rachele D'Amato stała przy ciele księgowego i z uśmiechem patrzyła na biurko. Wszędzie leżały papiery, wydruki komputerowe, strony z maszyny do pisania z notatkami sprzed wprowadzenia drukarek, a nawet kilka kartek zapisanych ręcznym, ostrożnym, jakby dziecięcym pismem. Morze dokumentów.

Jedną ze stron pokryto pismem o innym charakterze. Zapisano ją leżącym obok czarnym piórem kulkowym. Atrament był świeży. Była na niej narysowana klawiatura telefonu, a pod spodem kilka cyfr przepisanych z leżącej obok kartki, na której odpowiedni kawałek otoczono kółkiem. Falcone prawie natychmiast zrozumiał, co ma przed sobą: klucz do szyfru. Data. Numer telefonu. Suma. I kilka innych cyfr, których nie dało się zrozumieć, ponieważ określały zapewne rodzaj transakcji, o którą chodziło. Jeśli poświęcą sprawie trochę więcej uwagi, bez wątpienia będą w stanie złamać także ten fragment kodu. To był hojny dar. Rozmyślnie pozostawiona powódź informacji.

D'Amato w zachwycie sięgnęła po jedną ze stron. Powstrzymał ją.

– Jeszcze tego nie przeanalizowaliśmy – ostrzegł. – Potem będziesz mogła je zobaczyć, obiecuję.

– Czy ty wiesz, co to jest?

– Wcześniej nie wiedziałbym, ale po tym, co od ciebie usłyszałem, chyba wiem.

Rachele triumfowała. Chciałby dzielić jej radość.

– Tu jest dokumentacja całych lat działalności. Będziemy mogli na dobre pozbyć się Emilia Neriego. Przyszpilimy każdego, kto robił z nim interesy. Pomyślałeś o tym, Leo?

– W tej chwili myślę o morderstwie – odpowiedział. Czy właśnie taki mamy obrać kierunek? Zastanowił się. Czy ten krwawy, niemy film został nakręcony, żebyśmy zgubili z oczu większy, chociaż bardziej subtelny plan? Nie potrafił wykrzesać z siebie entuzjazmu dla informacji leżących na stole. Wiedział, że są bardzo użyteczne, ale niepokoił go sposób, w jaki je uzyskali. Normalnie gangsterzy nie rozpoczynali wojny

w taki sposób. Nie zabija się podwładnych i nie zostawia policji obciążających informacji o wrogu. To się po prostu nie opłaca.

Przez krótką chwilę pożałował, że nie został na Sri Lance, tylko wsiadł do samolotu i wrócił do wszystkich tych zagmatwanych spraw. Ostatnio czuł się stary. Obecność Rachele D'Amato, tym razem pozbawiona wszelkich dwuznaczności, wcale nie polepszała jego stanu psychicznego. Napięcie było czymś, co potrafił znosić. To wątpliwości mu przeszkadzały. Chciałby mieć w życiu coś pewnego, nie tylko cienie i widma.

– Gdzie są wszyscy, do cholery?! – krzyknął i po raz pierwszy od miesiąca poczuł, że powoli zbliża się do krawędzi.

Gdy Teresa Lupo wychodziła z biura Reginy Morrison, miała na linii Księżula, który krzyczał do słuchawki ile sil w płucach, informując, że Falcone jest w najgorszym nastroju od wieków i chce ją widzieć na miejscu zbrodni w tej chwili. Jechała zatłoczonymi ulicami i myślała o tym, co usłyszała. Nie zastanawiała się, jak wyjaśnić swoją nieobecność oraz to, że po raz drugi w ciągu dwóch dni z pełną świadomością wkroczyła w obszar działania glin.

Umarlaki nie uciekają. Nie mogła zrobić z tym ciałem niczego, czego nie potrafiłby Silvio Di Capua. Prawdziwa robota zaczynała się dopiero później i Falcone dobrze o tym wiedział. W dodatku zdobyła informacje. Nie oczekiwała, że będzie jej za to wdzięczny, ale liczyła, że przynajmniej jej nie ochrzani. Podczas gdy cała reszta dreptała w ciemnościach i chwytiała pajęczyny, ona znalazła coś konkretnego: zdjęcie Barbary Martelli i Eleanor Jamieson w prywatnych dokumentach profesora Kirka, człowieka, którego dzień wcześniej cudowna Barbara tak skutecznie wyprawiła na tamten świat.

– Palant – powiedziała bezgłośnie, bez żadnych emocji, do kierowcy białego vana blokującego ulicę. Jakiś Chińczyk wyładowywał z niego pudła, które bardzo powoli przenosił do małego sklepu z prezentami. Popatrzyła na witrynę. Pełno w niej było typowej chińskiej tandety: jasnoróżowe piżamy, plastikowe drapaczki do pleców, kalendarze ze smokiem. To wszystko wydało jej się tak nieistotne...

Otworzyła okno i zawołała:

– Hej, człowieku! Ruszaj się!

Mężczyzna odłożył pudło, odwrócił się i powiedział coś, co brzmiało jak: „Spierdalaj!”.

Przed jej oczami zawirowała czerwona mgła. Wyjęła legitymację, licząc na to, że facet nabierze się na pieczętkę policji stanowej, wyciągnęła ją w jego kierunku i wrzasnęła:

– O nie, dupku, to ty spierdalaj!

Burknął coś pod nosem takim tonem, że Teresa ucieszyła się, że nie zna kantońskiego, po czym powoli wsiadł do vana. Zagrzechotała skrzynia biegów.

Wciąż wisiała przed nią bezkształtna, bezbarwna zagadka. Czy to, że przyjechała wtedy na miejsce wykopalisk, było tylko zbiegiem okoliczności? Czy Barbara postanowiła sprzątnąć profesorka – dlatego że ciągle dręczyły ją nocne koszmary – a potem uznała, że musi załatwić także jedyne go świadka? A może spanikowany Kirk zadzwonił do niej, żeby powiedzieć, że jakaś kobieta przyjechała i zadaje pytania, a ona stwierdziła, że profesor musi zamilknąć na dobre? Czy tak właśnie postępuje menada – pozbywa się boga, jeśli ten stracił jaja? Chyba że Kirk zadzwonił do kogoś innego, kogoś, kto znał Barbarę Martelli, wiedział, że w którymś momencie swojego życia stała się menadą, i po prostu zlecił jej robotę: „Ruszaj, dziewczyno, czas kogoś stuknąć, a jeśli przypadkiem zobaczysz jakichś patologów na linii ognia, im także nie szczędź kulki”.

Nigdy się nie dowiedzą. Policja od razu sprawdziła zapisy rozmów telefonicznych, Teresa dowiedziała się tego rano. Nie mieli pojęcia, do kogo dzwonił Kirk. W jego przedpotopowym telefonie nie było funkcji powtórnego wybierania ostatnio wykręconego numeru, a firma telekomunikacyjna nie prowadziła zapisów numerów rozmów miejscowych.

Zaczynała myśleć jak gliniarz i trochę ją to wystraszyło. Tyle możliwości leżało w mroku, tyle bezkresnych przestrzeni wyobraźni, które zawsze musiała omijać. I te miejsca, jeśli już chciała być z sobą szczerą, zaczynały ją przerażać. To dlatego prawie się rozkleiła przed kompletnie obcą kobietą, to dlatego zbierała się do kupy przez dobry kwadrans, żeby znowu móc podjąć wyzwania dnia. Nie pomógł jej w dodatku ten cholerny wirus, który zmagął się właśnie w jej żyłach

z dwoma pięćdziesiątkami glenmorangie. O ile byłoby prościej, gdyby zmarli mogli choć na chwilę wrócić do życia i powiedzieć parę słów. Pojechałaby do kostnicy, popatrzyła na zmumifikowane ciało, które wcześniej było Eleanor Jamieson, i szepnęła: Powiedz Teresie o wszystkim, skarbie. Wyduś to ze swojej mahoniowej piersi.

A jednak te zwłoki przemówiły. Przekaz brzmiał: „Nie wszystko umiera”. Suzi Julius, blondynka tak piękna, że aż przyciągająca nieszczęście, też coś zdążyła powiedzieć. Przyczyna i skutek są obojętne wobec ludzkiej śmiertelności.

Biały van stoczył się z chodnika i odjechał w stronę odległej sylwetki Koloseum na końcu ulicy. Nowy, żółty fiat Teresy, dostarczony przez firmę ubezpieczeniową, na którego karoserii widać już było kilka świeżutkich rys, zatrzymał się na środku drogi. Z tyłu rozległy się dźwięki klaksonów.

Otworzyła okno i wrzasnęła do ponurego faceta w stojącej za nią alfie:

– Nie widzisz, że usiłuję się skupić, ty tłusta kupo rzygów?!

Delikatnym ruchem wrzuciła bieg i powoli, ostrożnie pojechała w dół Via dei Serpenti, starając się uporządkować myśli. Gdy weszła do biura Beniamina Vercilla, poczuła, że ma ochotę zakryć uszy rękami, wybiec, uciec od tego wszystkiego i zaszyć się gdzieś z chłodnym drinkiem w dłoni. Widziała to już tyle razy... Ludzie z kostnicy w oczekiwaniu na polecenia kręcili się wokół ciała, ekipa kryminalistyczna w białych kombinezonach przeczesywała miejsce zbrodni w poszukiwaniu skrawków informacji, a Falcone, rozgniewany i niekomunikatywny, w towarzystwie baby z DIA obserwował wszystko jastrzębim wzrokiem i zadawał od czasu do czasu pytania Coście i Peroniemu.

Inspektor przerwał rozmowę ze swoimi ludźmi i zwrócił się do Teresy:

– A pani gdzie się podziewała? Praca czeka, jeśli pani nie zauważyła.

Uniosła ręce w obronnym geście.

– Przepraszam – powiedziała potulnie. – Racja, niech pan nie pyta, jak się miewam. Przeważnie ktoś stara się mnie zabić.

Falcone się zawahał.

– Potrzebujemy pani.

– Zakładam, że to wyraz skruchy, chociaż zwykle przepraszam by wystarczyło. A przy okazji, jak wam idzie dochodzenie w sprawie tej zaginionej dziewczyny?

– Co takiego?

– Dochodzenie, zaginiona dziewczyna.

Falcone spojrzał na nią gniewnie.

– Niech pani żywych zostawi nam.

Popatrzyła na ciało za biurkiem. Przez te wszystkie lata miała do czynienia z taką liczbą zwłok, że chwilami czuła się, jakby pracowała przy taśmie w fabryce. Jednak tym razem było inaczej. Kiedy spojrzała na trupa, profesjonalna część jej umysłu zaczęła nieświadomie analizować to, co miała przed oczami, ale jednocześnie w jej głowie zaczął rozbrzmiewać głos sprzeciwu, najpierw cichy, potem coraz głośniejszy, który po chwili zagłuszył wszystko inne: krew, pytania, napięcie, strach.

– Nie mogę już więcej tego robić – mruknęła, zastanawiając się, kto wypowiada te słowa, ona czy głos w głowie, a może to jedno i to samo.

Księżulo, nachylony nad ciałem, patrzył na nią i czekał na wskazówki.

Głos zabrzmiał głośniej. To był jej głos.

– Czy ktoś mnie słucha?! – zawołała i nawet kryminaliści zamarli w bezruchu, pochyleni nad meblami, z pędzelkami w rękach. – Nie mogę już więcej tego robić – powiedziała trochę ciszej. – On nie żyje i kropka, za to gdzieś tam jest żywa dziewczyna, a my sterczymy tu nad trupem jak jakaś banda grabarzy.

Poczuła dłoń na ramieniu. To był Costa.

– Nie próbuj mnie uspokajać – powiedziała. Trzęsły jej się ręce i miała wrażenie, że głowa jej zaraz eksploduje. Z trudnością otworzyła torebkę i wyjęła teczkę, którą dostała od Reginy Morrison. Ledwie znalazła w sobie siłę, żeby wyciągnąć z niej zdjęcia. – Praktykowałam jako lekarka i wiem, jak odróżnić objaw od choroby. Tutaj mamy do czynienia z objawem, rzeczą mało istotną. A to...



Rzuciła plik fotografii na biurko, na kartki zapisane rzędami cyfr. Najważniejsze zdjęcie, przedstawiające Barbarę i Eleanor tuż przed obrzędem, było na górze.

– ...to jest choroba.

Falcone, Costa, Peroni i D'Amato przecisnęli się między ludźmi w króliczych kombinezonach, żeby przyjrzeć się fotografiom. Ktoś zaklął cicho ze zdumienia. Dziewczyny na zdjęciu wyglądają teraz jeszcze piękniej, pomyślała Teresa. Tak łatwo było sobie wyobrazić Suzi Julius w kadrze. Mogłaby do nich podejść i podać im dłoń, nie wiedząc, że obie nie żyją i że dzieli je szesnaście lat. Ale śmierć jest miejscem, gdzie upływ czasu nie ma znaczenia.

– Skąd je pani ma? – spytał Falcone gniewnym głosem.

– Z biura Randolpha Kirka. Byłam tam rano.

– Co takiego?! – krzyknął.

– Niech pan nie pęknie z nerwów – powiedziała cicho. – Wy tam nie pojechaliście. Nie byliście nawet zainteresowani.

– Nie miałem czasu, do cholery!

Pociągnął długim, opalonym nosem, wdychając zapach dochodzący od niej. Przypomniała sobie whisky, którą dała jej Morrison. Skurczybykowi nic nie umknie.

– Jezu Chryste, kobieto – rzucił. – Pani piła. To koniec. Z pani powodu...

Był tak wściekły, że nie zdołał dokończyć zdania.

– Co z mojego powodu?! – krzyknęła. – Z mojego powodu śliczna panienka z drogówki nie żyje? Tak pan właśnie sądzi? – Powiodła spojrzeniem po mężczyznach zebranych w pomieszczeniu. – Wy wszyscy tak sądzicie? Pozwólcie, że coś wam przypomnę. Wasza piękna policjantka zamordowała człowieka z zimną krwią. Może zrobiła to na własną rękę, a może ktoś nią kierował, ale fakt jest faktem. Zabiłaby także mnie, gdybym jej na to pozwoliła. To nie była moja wina! Stało się coś, co się musiało stać. Gdyby było więcej świadków, to mielibyśmy dwa trupy w kostnicy zamiast jednego albo jeszcze więcej. Do diabła, może zresztą faktycznie są inne ofiary, o których nie dowiedzieliśmy się przez lata i w ogóle nic byśmy nie wiedzieli, a Barbara Martelli jeździłaby na swoim motorze i rozdawała słodkie uśmiechy, od których

dostawaliście mokrych snów, jednak żadnemu z was nie przyszłoby do głowy, że ona może być tym, kim była. Dowiedzieliście się dzięki mnie. Przykro mi – powiedziała bardzo powoli, żeby do wszystkich dotarło. – Przykro mi, ale problem z odkrywaniem prawdy jest taki, że to czasami boli.

– Utrudniła pani śledztwo – powiedział Falcone zmęczonym głosem. – Przekroczyła pani swoje uprawnienia.

– Przecież zaginęła dziewczyna!

– Wiemy o tym – odparł inspektor i rzucił cztery zdjęcia, które dostał od Peroniego, na biurko obok innych. – Wiemy, że została porwana. Wiemy też, że to wszystko jest jakoś z sobą powiązane. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa i drugie w sprawie porwania, a ja, dysponując tymi skromnymi zasobami, które mam w tej chwili, dopilnuję, żeby nikt więcej nie zginął.

– Och – powiedziała cicho, patrząc na zdjęcia. – Przepraszam.

Kręciła głową. Wyglądała na całkowicie zagubioną.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Chyba mam gripę. Co za żałosne wyjaśnienie...

Costa znowu ujął ją pod ramię. Tym razem nie stawiała oporu.

– Jedź do domu – powiedział. – Przecież i tak nie powinnaś pracować po tym, co się wczoraj stało.

– Właśnie z tego powodu pracuję. Nie rozumiesz?

– Tereso – powiedział Silvio Di Capua. – Potrzebujemy cię.

– Sam słyszałeś – szepnęła, zdając sobie sprawę, że łzy wzbierające w jej oczach zaczynają płynąć po policzkach i są dla wszystkich jak sygnał: „Patrzcie na Szaloną Teresę, prawdziwa wariatka”. – Przykro mi, Silvio. Nie mogę zajmować się dłużej tym głównym.

Piwnica przesiąknięta była odorem krwi i potu. Teresa podeszła do drzwi. Chciała być już na zewnątrz i poczuć w płucach świeże powietrze, chociaż wiedziała, że zamiast tego będzie musiała wdychać spaliny Rzymu, które kiedyś zeżrą ją od środka.

Przez cały czas zastanawiała się też, co tak naprawdę szalony bóg dał Eleanor Jamieson. Wolność od tego całego bajzlu? Mroczną, prywatną kryjówkę, gdzie można być, kim się chce, gdzie nikt nie

zagląda i nikt nikogo nie osądza? Gdzie obowiązki i rutyna nie istnieją, a ogłupiające sprawy codzienności są odległe o milion kilometrów? Gdzie można wmówić sobie na chwilę, że głęboko w sobie ma się cząstkę boga? Czy to mógł być ten dar? A jeśli tak, czy jest na świecie człowiek, który zdołałby go odrzucić?

Emilio Neri nie zamierzał czać się, ukrywać jak kryminalista ani uciekać, bo nie było ku temu powodu. Nawet gdyby policja i DIA nie złożyły mu wizyty, potrafił czytać znaki i analizować informacje dochodzące do niego kanałami, które stworzył w ciągu lat. Musiał podejmować decyzje i dokonywać wyborów, ale po raz pierwszy w życiu sprawiało mu to trudność. Znalazł się w nowej, bezprecedensowej sytuacji. Na czas potrzebny, by zastanowić się, jak powinien postąpić, zaszył się w domu i usiłował ignorować nieustanne walki Adele i Mickeya. Trzeba było przestać udawać, że jest w stanie dowodzić z pierwszej linii jak dwadzieścia lat temu, kiedy z *capo* zamienił się w szefa. Teraz musiał liczyć się z wiekiem. Był już za stary na to, by kierować żołnierzami, grać rolę generała, zdobywać ich zaufanie. Musiał posługiwać się innymi, którzy mogliby działać za niego.

To było ryzykowne. Zastanawiał się, co mówią o nim na osobności. Kiedy był ze swoimi ludźmi, trzymał ich mocno w garści. Teraz powstało niebezpieczeństwo, że zaczną go postrzegać jako człowieka, który się dystansuje, i jego wpływ osłabnie. Adele i Mickey dodatkowo mu przeszkadzali. Ktoś, kto nie potrafi panować nad własną rodziną, nie może wymagać szacunku od ludzi. Kazał Bucciemu mieć otwarte uszy i nadsluchiwać szeptów, które mogłyby być pierwszymi sygnałami nadchodzącego buntu. Nastaly niebezpieczne czasy, a zagrożenie płynęło z nowych stron. Niezależnie od tego, co mówił prywatnie, musiał sprawić, by Sycylijczycy byli zadowoleni, a swoich żołnierzy przekonać, że warto trzymać właśnie z nim. Pieniądze to nie wszystko. Musiał utrwalić szacunek do siebie, żeby móc wciąż być ich szefem.

Pojawił się Bucci z nowymi wieściami na temat Beniamina Vercilla. Psy starały się nie dopuścić do przecieku, ale mafia Neriego miała dobre źródła. Wyplynał najdziwniejszy element tej sprawy:

ustalono, że zabójca miał na sobie starożytny kostium teatralny. Neri był pewny, że ten strój to wiadomość. Sytuacja przedstawiała się poważniej, niż początkowo sądził. Przez chwilę siedział oniemiały, dręczony niepewnością, bez pomysłu, do kogo się zwrócić. Obwiniął się. Powinien był zareagować natychmiast, kiedy tylko się zorientował, że zbliża się wojna. Już wtedy gdy doszły go wieści, że na Fiumicino przylecieli chłopcy z Ameryki. Jeśli konflikt jest nieunikniony, przewaga leży po stronie tego, kto uderzy pierwszy. Amerykanie rozumieli to instynktownie, a on się zawahał, i dlatego ukarali go w najbrutalniejszy, najbardziej nieoczekiwany sposób.

Vercillo nie był mafiosem. Jeżeli chcieli go nastraszyć, mogli wybrać jeden z wielu lepszych celów: sąsiedniego szefa, podwładnego, dilera, alfonsa. Zamiast tego załatwili drobnego, małego księgowego. To nie miało sensu, było obraźliwe. Neri nie poświęcał temu człowiekowi czasu. Nie był jednym z jego ludzi. Nie przyszło mu nawet do głowy, żeby go ostrzec, kazać zostać przez jakiś czas w domu i nie wychylać się, aż sprawy przycichną. Niezależnie od tego, jak zaciekle byłaby wojna, działania nie sięgały osób stojących tak nisko w hierarchii. To była niepisana zasada, granica, której się nie przekracza.

Podobnie jak zabicie krewnego, żony albo córki, pomyślał Neri.

Bucci obserwował go z niewzruszonym spokojem i czekał na polecenia.

– Szefie? – powiedział w końcu.

– Daj mi chwilę – odparł Neri gniewnie. – Muszę przemyśleć kilka spraw.

Wielki gangster z Turynu już się nie odzywał. Neri cieszył się, że ma go przy sobie. Potrzebował solidnego człowieka, któremu można zaufać.

– Co tam u chłopaków? – spytał.

– Pytasz o coś szczególnego?

– O nastrój. Morale.

Bucci poruszył się niespokojnie. Neri potrafił odczytywać takie sygnały i nie były one dobre.

– Szybko się nudzą, szefie. Tak to jest z ludźmi w takich sytuacjach. Najpierw są nabuzowani i czekają na akcję, a kiedy nic się

nie dzieje, czują się głupio. Jakby marnowali czas.

– Dobrze im za ten czas płacę – warknął Neri.

– Racja, szefie, ale wiesz, jak to jest. Tu chodzi o coś więcej niż pieniądze. Poza tym jeden z nich był kuzynem Vercilla. Teraz ma rachunki do wyrównania.

– Co byś radził, Bruno?

Bucci zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Wydaje mi się, że to może nie jest najlepsza strategia, żeby siedzieć tu i czekać, aż coś nam się znowu przytrafi. To dobre chłopaki, ale wolałbym nie przeciągać struny.

Zimne spojrzenie Neriego nie opuszczało go ani na chwilę.

– Są lojalni?

– Jasne. Tak lojalni, jak tylko można w dzisiejszych czasach. Trzeba tylko wziąć pod uwagę ich samopoczucie. Podsycić ego. To są ludzie czynu. Nie podoba im się myśl, że tu chodzi o ochronę czy coś w tym rodzaju. Byłoby naprawdę dobrze, gdyby mogli wziąć udział w jakiejś małej akcji. Pokazać dupkom, gdzie ich miejsce.

– Myślałem o tym samym – skłamał Neri. Zaczęło go gryźć coś jeszcze. Jak wypłynęła jego znajomość z Vercillem? To był człowiek, którego nie pokazywał publicznie. Pozornie nic go z nim nie łączyło. Jak Wallis go znalazł? Może księgowy był mniej dyskretny, niż Neri sądził. Może na boku przekazywał jakieś informacje i przekonał się, jak niebezpieczna jest ta gra. – Masz jakieś wieści, kto za tym stoi? Nazwiska, adresy?

– Jeszcze nie. Na ulicy chwilowo się o tym nie mówi. Zresztą jeśli brali w tym udział ludzie, których sprowadził tu Amerykanin, to nasi i tak ich zapewne nie kojarzą. Jeśli mam mówić szczerze... – Bucci urwał.

– No?

– Nie będziemy mieć więcej informacji, niż mamy teraz. Ludzie będą czekać i obserwować. Chcą zobaczyć, kto będzie na górze. Nikt poza ekipą, która razem z nami siedzi w tym już zbyt głęboko, nie będzie chciał wyświadczać ci żadnych przysług, bo nic na tym nie zyska. – Neri milczał. – Nie pogniewasz się, jeśli będę szczery... – powiedział Bucci ostrożnie.

– Nie – jęknął Neri. – Chryste, to są ludzie, którzy latami wysysali ze mnie krew!

– Słuchaj, szefie. Chłopaki naprawdę cię szanują. Tak będzie, jeśli nie przegniemy pały. Natomiast na zewnątrz... – Nie powiedział nic więcej. Nie musiał.

– Szacunek – burknął Neri z twarzą jak gradowa chmura. – Powiedz mi prawdę. Czy oni sądzą, że jestem już na to za stary?

Bucci zawahał się.

– Nie, nie sądzą – odezwał się wreszcie – ale zastanawiają się, co będzie po tobie. Sam na pewno to rozumiesz, każdy by o tym myślał w takich okolicznościach. Poza tym krążą pogłoski.

– Jakie pogłoski? – spytał Neri.

– Ludzie, których mam w policji, nie chcą o tym gadać. Falcone nie dopuszcza do tego nikogo oprócz najbliższych współpracowników. I DIA.

Neri z niedowierzaniem pokręcił głową.

– DIA? A co to ma z nimi wspólnego, do cholery?

– Zdaje się, że u Vercilla znaleźli nasze księgi.

Neri zaśmiał się.

– No pewnie, że je znaleźli! Ale gównem z nimi zrobią. Mały skurczybyk zaszyfrował je czy coś w tym rodzaju. Opowiadał mi o tym. Mogą siedzieć nad nimi przez lata i nic im to nie da.

– Odkryli klucz do szyfru. DIA to teraz rozpracowuje.

– Co?!

Trudno było sobie wyobrazić skalę problemu. Vercillo prowadził rachunki przez ponad dwadzieścia lat. Był drobiazgowym człowiekiem, wszystko zapisywał. Neri w jednej chwili pojął, że jeśli DIA i glinom uda się wejrzeć w ten mroczny lamus dawnych grzeszków, będą mieli na niego całe tony gówna: defraudacje, przestępstwa podatkowe. I gorsze rzeczy.

– Jesteś tego pewny? – spytał Neri z desperacką nadzieją.

– Tak – odparł Bucci. – Poza tym chcą cię załatwić martwą dziewczyną. Chyba sądzą, że mają tu coś na ciebie. Zdaje się, że ten zabity profesorek zostawił jakieś zdjęcia. Poza tym jest jeszcze sprawa drugiej dziewczyny, tej, która zaginęła. Myślą, że to nasza robota.

Neri był wściekły.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto chodzi po ulicach i porywa dzieci?! Po cholere miałbym to robić?

– Sądzą... że coś na nas wskazuje – powiedział ostrożnie Bucci.

Neri zrozumiał, co turyńczyk ma na myśli.

– A wskazuje?

– Żaden z ludzi, których mam pod sobą, nie ma z tym nic wspólnego, szefie.

Neri uniósł brew i czekał.

– Tylko że ja nie mogę ręczyć za każdego. Na przykład Mickey. On jest jak załadowana spluwa. Bóg wie, co wyczynia, jak żadnego z nas nie ma w pobliżu.

– Co na przykład?

– Wiemy, że zabawia się z dziwkami. Wydaje mi się, że znowu pali zioło. Być może bierze też jakieś prochy. – Bucci przerwał, po czym znów niechętnie zaczął mówić. – Nie wiem, gdzie on łązi przez pół dnia. A ty wiesz, szefie?

– Nie – burknął Neri.

– A co do tej sprawy sprzed lat, tej z martwą dziewczyną... To się działo, zanim się pojawiłem, ale gliniarze twierdzą, że on tam był.

Neri potrząsnął głową.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Rozumiem. Słuchaj, szefie, nie czuję się dobrze, mówiąc takie rzeczy, bo to sprawy między tobą a nim, tylko że... Mickey źle wpływa na to, jak chłopaki widzą pewne rzeczy.

– A ty co uważasz? – zapytał Neri. – Ten palant z Ameryki wystawia mnie glinom i DIA. Mój syn idiota nie umie utrzymać fiuta w spodniach. Jak sądzisz, co będzie dalej?

– Będzie, co chcesz. To twoja firma. Ty decydujesz, co się stanie. Ale...

Bucci przerwał. Neri nie umiał nic z niego wyczytać.

– Tak? – spytał.

– Mickey przeszkadza. On i Adele.

– Wiem – powiedział Neri, unosząc dłoń. – Wiem, wiem... Mnie też wkurzają.

Popatrzył na Bucciego. Wydawało mu się, że turyńczyk z jakiegoś powodu czuje się bardzo niezręcznie. Nawet gdy załatwiali naprawdę poważnie pochrzanione sprawy, bywał mniej spięty. Nie rozumiał, o co chodzi. Wtedy naszło go przeczucie nękające go od paru dni. Głupia rzecz. Jedna z tych myśli, które niekiedy zaprzatają bez żadnego powodu głowy starym facetom i robią z nich durniów, kiedy przypadkiem zaczną o tym paplać przy innych. A to zdarza się prędzej czy później, bo takiej myśli nie da się w sobie dusić latami.

Neri położył rękę na ramieniu Bucciego i powiedział:

– Nie okłamałbyś starego, prawda, Bruno? Zawsze uważałem, że jesteś kiepskim kłamcą. To jedno z twoich ograniczeń.

– Nie okłamałbym. – Bucci utkwiał spojrzenie w podłogę.

Neri mocno zacisnął chwyt.

– Ostatnio dużo jesteś w domu, kiedy mnie nie ma. Powiedz mi, Bruno... Mickey ją posuwa, prawda? Właśnie o to chodzi? Te ich wszystkie pyskówki to przedstawienie na mój użytek. Prawda?

Bucci westchnął ciężko i usiłował znaleźć słowa.

– Nie ma sprawy – powiedział Neri, poklepując go po ramieniu. – Jeszcze jeden kłopot na liście sprawunków. Teraz siądź, chcę z tobą pogadać.

Falcone uniósł wzrok znad fotografii rozrzuconych na jego biurku.

– Zamknij drzwi – powiedział cicho. – Nie mamy dużo czasu. Chcę znaleźć córkę Julius. Od tej chwili to ma być priorytet wszystkich naszych działań. Czy to jasne?

– Pewnie – przytaknął Costa.

Falcone popatrzył przez szybę gabinetu na salę. Udało mu się posadzić przy biurkach większość ludzi. Odbierali telefony i sprawdzali nadchodzące doniesienia.

– Położymy większy nacisk na media. Powiemy im, że dziewczyna jest w niebezpieczeństwie, ale nie zdradzimy dlaczego. Wszyscy ludzie, których udało mi się zmobilizować, zostają przydzieleni do tej sprawy. Musimy jeszcze raz wrócić do tego, co już przerabialiśmy. Niech ktoś przywiezie matkę. Kiedy już tu będzie, chcę, żebyś z nią porozmawiał. Ty, Nico, i nikt poza tobą. Jeśli będzie przy tym więcej osób, zablokuje się. Powiedz jej ogólnie, co ustaliliśmy do tej pory, a potem niech



jeszcze raz przypomni sobie każde miejsce, które odwiedziły, odkąd przyjechały. Musi pamiętać coś, co może nam się przydać.

– Ma powiedzieć jej ogólnie? – spytał Peroni. – To znaczy, że poza tym są jakieś szczegóły? Chyba mi umknęły. Co my mamy myśleć o tym, co się stało?

Falcone nie wyglądał zbyt pewnie.

– Mamy Kirka na jej zdjęciach i to mi wystarczy. On musiał być zamieszany w porwanie, a skoro tak, to trzeba założyć, że dziewczyna jest w miejscu, w którym ją zostawił. Musimy dowiedzieć się, gdzie to jest. Na pewno nie w Ostii. Mamy tam ekipę, która jeszcze raz wszystko przeszukuje. Nie znaleźli jej.

Trzej mężczyźni popatrzyli na siebie wzajemnie. Myśl, że ofiara porwania leży w jakiejś dziurze, związana i niezdolna wezwać pomocy, była niepokojąca.

– Parę rzeczy ciągle mi tu nie styka. – Peroni nie był przekonany. – Kirk był tylko lubieżnym staruchem. Matka stwierdziła, że Suzi odjechała z własnej woli. Mamy to na taśmie. Chłopak na motorze nie był facetem po pięćdziesiątce.

– Wiem – zgodził się Falcone. – Paru ludzi analizuje przeszłość Kirka. Starają się ustalić, czy miał jakichś bliskich przyjaciół. Na razie bez rezultatu.

– A Neri i Wallis? – zapytał Costa.

– Wszystko, co na nich mamy, to pogłoski z przeszłości – zauważył Peroni. – Jest sens na nowo rozniecać stare waśnie po tylu latach? Po co grać w kółko w te same gry?

Costa pomyślał o zmumifikowanym ciele w kostnicy.

– Może dlatego że znaleźliśmy Eleanor Jamieson i to coś komuś przypomniało.

– Trzymajmy się faktów – powiedział twardo Falcone.

– Jakich faktów? – spytał Peroni.

Falcone popatrzył na zdjęcia.

– Takich.

Żaden z nich się nie sprzeciwił. Wszystkie zdjęcia były wywołane własnoręcznie. Przeszukanie domu Randolpha Kirka przy Via Merulana ujawniło, że profesor miał ciemnię w piwnicy. Kilka fotografii było

całkiem niewinnych: młode, roześmiane dziewczyny, ubrane, w towarzystwie starszych panów. Większość pozostałych zrobiono jednak później, po tym, jak zaczęła się impreza. Wtedy reguły zniknęły.

Falcone spojrzał na Peroniego.

– Gianni, to raczej twoje pole działania. Nasuwa ci się jakaś myśl?

– To chyba dość oczywiste, prawda? – Peroni wzruszył ramionami.

– Mamy na to określenie w obyczajówce: klub dup. Wybaczcie język. Zbiera się kilku facetów i kilka dziewczyn, w tym wypadku młodych, i nie mówiąc nic nikomu, ustawia się w rogu aparat. Najczęściej obsługiwany zdalnie z jakiegoś innego miejsca. – Falcone odwrócił jedno ze zdjęć. Z tyłu widniała napisana ołówkiem data: siedemnastego marca, szesnaście lat wcześniej. Peroni skinął głową. – W dzisiejszych czasach są już systemy zdalnej obsługi, a nawet takie gadżety, że można z innego pokoju obserwować, co widzi aparat. Wtedy technika nie pozwalała robić takich ujęć dobrej jakości. Po prostu zwalniało się migawkę i na kliszę trafiało to, co się akurat działo. Stąd te wszystkie pośladki na pół kadru i inne fotki, na których w sumie nie wiadomo, co kto komu robi. Teraz już nic takiego się nie zdarza, dostajesz film jakości HD.

– Dlaczego mamy tu zdjęcia tylko z tego roku, kiedy zaginęła Jamieson? – zastanawiał się Falcone. – Czemu Kirk zatrzymał tylko ten komplet?

– Pytaj mnie, a ja ciebie – odparł Peroni, przerzucając fotografie. – Może wcześniej i później nie robił zdjęć, a może te wciąż miały jakąś wartość? Albo tylko wtedy zorganizowali imprezę na taką skalę. Kto wie? W każdym razie powiem wam jedno: w tę akcję nie był zaangażowany nikt, kogo mamy w aktach. Te dziewczyny to amatorki, nie dziwki. A przynajmniej ja żadnej nie poznaję. A co do klienteli, to najbardziej egzotyczny klub dup, jaki w życiu widziałem. Co to za miejsce? Via Veneto? Gdzieś obok Harry's Bar czy jak? Choroba, te fotki naprawdę są coś warte. Gdybym chciał, mógłbym podnieść słuchawkę i jeszcze dzisiaj zainkasować za nie dobrą sumkę. – Costa przyjrzał się mężczyznom na zdjęciach. Fotografie zrobiono, zanim zaczął pracować, ale i tak rozpoznawał wiele twarzy. – Mamy tu ludzi z telewizji – ciągnął Peroni – redaktorów gazet, paru bankierów,

z którymi w swoim czasie miałem do czynienia. I polityków, ich w takim miejscu zabraknąć nie mogło. Wiecie, co mnie zastanawia? Tylko jeden gliniarz. Co to za klub, w którym mają tylko jednego glinę? I to w dodatku ten gryziپیórek Mosca. Może utniemy sobie z nim pogawędkę?

– Nie żyje – powiedział Falcone. – Zmarł w więzieniu. Zadźgany nożem.

– Szkoda. Jest na prawie każdym zdjęciu. Widać, że zaprzyjaźnił się z Barbarą. To chyba mówi nam już wszystko.

– Tak? – spytał Costa.

– Jasne, Nico. Jak wspomniałem, to nie był jakiś tam wieczorek dzentelmenów. Mamy tu materiał wybuchowy. Ktoś ich wrobił. W innym wypadku dlaczego nie mieliby zaprosić takich ja my? Gdyby to była zwykła imprezka dla chłopców, zobaczylibyśmy na zdjęciach kilku znajomych więcej. Dobrze mówię, Leo?

Falcone skinął tylko głową.

– Więc to był podstęp – ciągnął Peroni. – Kiedy ci durnie już skończyli zabawę i jeden z drugim wrócił do żonki, narzekając, jak to się pociągi spóźniają, zadzwonił telefon. Goły tyłek na zdjęciu. Potrzebna wpłata na konto. Albo prośba o przysługę w przyszłości. I to jaką! Widziałeś kiedyś taką listę nazwisk, Leo?

– Nie.

Peroni uśmiechnął się.

– Żenujące, prawda? Niektórzy z nich ciągle pociągają za nasze sznurki. Może pójdziemy ich zapytać, czy nie widzieli Eleanor Jamieson, zanim umarła?

– Wszystko w swoim czasie – odpowiedział Falcone. Przerzucił kilka leżących przed nim zdjęć i wyjął jedno: szeroko uśmiechnięty Filippo Mosca z Barbarą, oboje nadzy, w uścisku na cienkim materacu leżącym na kamiennej podłodze.

– Piękne – powiedział Peroni.

Falcone rzucił na stół kolejne zdjęcie.

– To jeszcze piękniejsze.

Peroni zaklął cicho. Fotografia wyglądała prawie jak upozowana. Barbara i Eleanor stały obok siebie z lampkami wina w dłoniach,

niespokojne, jakby nie wiedziały, co ma się za chwilę zdarzyć, ale przeczuwały, że nie będzie to nic fajnego. Miały na sobie przebrania, szaty z cienkiego płótna, takie same jak ta, w której Eleanor Jamieson została wrzucona do bagna. Obok dziewczyn stali: Randolph Kirk, Beniamino Vercillo i Toni Martelli. Popatrywali na siebie z wyczekiwaniem i szelmowskimi uśmiechami.

– Jezu – odezwał się Peroni. – A więc nie tylko Mosca się w to bawił. Ten skurwiel Martelli był alfonsiem własnej córki i jeszcze się cieszył. Patrzcie na ich gęby: „Ale z nas farciarze!”. Co za dupki.

– Jednak nie byli takimi farciarzami – zauważył Costa. – Trzech nie żyje. Martelli też nie wygląda, jakby miał jeszcze długo wśród nas zabawić.

Peroni podniósł zdjęcie.

– Wezmę je i wepchnę mu do gardła. Wtedy zacznie śpiewać.

– Później – powiedział Falcone. – Martelli zniknął z pola widzenia na lata. Jak powiedziałem, musimy się skoncentrować.

– Na czym?

– Trzeba ustalić, gdzie to się stało – odparł Falcone. – Sprawdziliśmy ich historie. Wiemy, że to nie była Ostia.

Oczy Peroniego zabłysły.

– Wybaczcie, że powiem coś oczywistego, ale Toni Martelli na pewno wie, gdzie to było.

Falcone zerknął na stół.

– Chcesz spędzić z nim resztę dnia w pokoju przesłuchań i dreptać w miejscu? Rozmawiałem z nim kilka minut temu. Zaproponowałem mu układ, ale on niczego nie powie. Wy już z nim rozmawialiście. Nie możemy marnować czasu.

– Układ? – Peroni był zdumiony. – Zaproponowałeś układ człowiekowi, który był w stanie zrobić coś takiego własnej córce?

– Tak! – uciął Falcone. – Chciałbyś się o to kłócić z matką Suzi Julius? Powiesz jej, że to niewłaściwe?

Peroni spojrział na zdjęcia.

– A ja myślałem, że w obyczajówce ludzie mają dylematy moralne. Więc co robimy?

Falcone podjął już decyzję.

– Pozwolimy DIA zająć się mafią. Niech obserwują Wallisa i zbadają papiery z biura Vercilla. Może znajdą coś o jego zabójstwie. To i tak ich działka, a ja się cieszę, że nie muszę marnować dodatkowych ludzi. Natomiast my zajmiemy się sprawą dziewczyny. Gianni...

Wyglądał na zdesperowanego. To nie był Falcone, jakiego znali.

– Co mamy robić? – spytał Peroni.

– Nico, przygotuj pokój na rozmowę z matką. Spróbuj, na litość boską, coś z niej wyciągnąć. Musi pamiętać jakąś twarz, nazwisko, cokolwiek. Weź kilku wolnych ludzi i jeszcze raz przejrzyj wszystko, co znaleźliśmy do tej pory na temat dziewczyny. Może coś przeoczyliśmy.

– Dobrze – powiedział Costa i ruszył ku drzwiom. Falcone i Peroni patrzyli, jak wychodzi.

– To dobra myśl, żeby gadał z nią sam na sam – powiedział Gianni, kiedy Costy już nie było. – Jest atrakcyjną babką i Nico już to zauważył. Do diabła, nawet ja to zauważyłem. A ty nie, Leo? Oczy ciągle utkwione w jednej, co?

– Nie zaczynaj. – Inspektor wpatrywał się w zdjęcia na biurku. – Nie wysnuwaj pochopnych wniosków. Ja nie żyję przeszłością w większym stopniu niż ty.

– Racja – powiedział Peroni nieprzekonany, patrząc, jak Falcone przekłada fotografie. – Możesz mnie pytać o wszystko. W tej chwili jestem tu pachołkiem. Masz prawo pytać, o co chcesz.

Falcone rozłożył kilka zdjęć, z których spojrzały znajome twarze.

– Co ja mam z tym, do cholery, zrobić?

– Tych... – Peroni odsunął na bok plik odbitek, na których były Barbara i Eleanor – ...pilnuj jak żrenicy oka, bo być może tylko one stoją między córką Julius a grobem.

– Tyle sam wiem – odparł Falcone niecierpliwie.

– Ach. – Peroni położył palec na drugim stosie. – Więc chodzi ci o te? – Patrzył dłuższą chwilę na fotografie. – Nie lubię narażać twojego ego na szwank, ale muszę cię ostrzec, że ktoś o pozycji równej twojej może przyjąć i wsadzić w to nos. Masz teraz trzy morderstwa i porwanie. Być może gdzieś po drodze zdarzył się jakiś mały szantaż. To dużo jak na jednego człowieka. Podziel się skarbami.

– Te sprawy są powiązane – powiedział z uporem Falcone. – Już

się o to wyklócałem na górze. Gdybym chciał podzielić dochodzenie między trzy różne ekipy, zrobiłbym to. Moja – i ich także – opinia jest taka, że nic dzięki temu nie zyskamy. Po pierwsze, nie mamy wystarczająco dużo czasu ani zasobów, a po drugie, mogłyby nam umknąć jakieś powiązania. Wiem, że ledwie nadążamy za wydarzeniami, ale to w tej chwili jedyna opcja.

– Jedyna opcja? – Peroni się uśmiechnął. – Daj spokój, Leo, czyżbym słyszał ambicję w twoim głosie? Znudził ci się stołek inspektora? Celujesz w fotel komisarza? Czy może jeszcze wyżej?

– Chcę znaleźć tę dziewczynę – uciął Falcone. – Nie mierz innych swoją miarą.

– Więc dlaczego tak się przejmujesz tymi zdjęciami? Włóż je po prostu do szuflady. Poczekaj, może kiedyś się przydadzą.

– Przydadzą?

Peroni parsknął śmiechem.

– Leo, Leo, ty chyba się do tego nie nadajesz. Możesz pójść na górę i dopiąć swego w każdej innej sprawie, ale... – rzucił okiem na fotografie – ...takie rzeczy są dla ciebie żenujące, prawda?

Falcone westchnął.

– Musimy mierzyć siły na zamiary. Powinieneś uczyć się od nas, jak poszukiwać powiązań między faktami. Dlatego właśnie nie chcę jeszcze bardziej dzielić dochodzenia. Proszę cię o radę. To musiało ci się nieraz przytrafić. Robisz wjazd, a w środku ludzie, których wolałbyś tam nie zastać. Co wtedy?

Peroni zastanowił się przez chwilę.

– Przepraszam, nie powinienem był tak na ciebie naskakiwać. Masz rację, mogę się od was dużo nauczyć. Nie wiem tylko, czy ma to sens, bo wierz mi, ja w tym wariatkowie nie zamierzam długo siedzieć.

Falcone popatrzył na niego szczerze.

– Jesteś tego bardzo pewny. Jeżeli spieprzymy tę sprawę...

– Jeżeli wy spieprzycie tę sprawę. Słuchaj, Leo, oto moja odpowiedź. Nie ma prostego rozwiązania, wszystko zależy od konkretnych okoliczności. Ale jednego na pewno nie wolno robić.

Podniósł większy plik zdjęć i potrząsnął nimi w powietrzu, kręcąc głową.

– Nie trzyma się takich rzeczy pod poduszką. Albo idziesz z tym od razu na górę, albo odpuszczasz na zawsze. Jeśli będziesz się wahać, zaczną cię nienawidzić. Staniesz się niewiadomą w równaniu, człowiekiem z bombą zegarową w szufladzie. Jeśli chcesz to wyciągnąć, musisz to zrobić w tej chwili. W przeciwnym razie...

Wziął jedną z odbitek i podszedł do niszczarki stojącej przy biurowej drukarce. Wsunął zdjęcie między plastikowe szczęki i przyglądał się, jak urządzenie pochłania papier i tnie go na milion małych kawałków, niszcząc nieodwracalnie.

– Ambicja to ciekawa rzecz – powiedział Peroni. – Kiedyś ją miałem. Zdawało mi się, że jestem nietykalny, i patrz, co mi się przytrafiło. Powiedz, Leo, gdybyś był tam wtedy, w czasie nalotu DIA, i znalazł mnie z opuszczonymi gaciami, wiesz, nic specjalnego, normalna usługa, to co byś zrobił? Popatrzyłbyś w inną stronę?

Falcone nie zastanawiał się nawet przez chwilę.

– Nie. Dlatego że to musiało być coś ostrego. Po co inaczej miałbyś tam przychodzić?

– Ona była śliczna. – Peroni popatrzył na inspektora i prawie zrobiło mu się go żal. – Ty naprawdę tego nie rozumiesz, co? Dla ciebie to nie mógłby być jedyny powód?

– Nie, i wciąż nie wierzę, że dla ciebie był.

– Nie znasz się na ludziach. To dlatego że sam nie masz ludzkich uczuć czy dlatego że się tych uczuć boisz? Czasem każdy musi sobie ulżyć. Nawet ty.

Falcone wskazał brodą zdjęcia.

– W taki sposób?

– Być może o to w tym właśnie chodzi. Słuchaj, Leo, nie komplikuj spraw, chyba że masz siłę się z nimi zmierzyć. W tym wszystkim jest coś naprawdę parszywego. Lepiej po prostu znajdziemy tę dziewczynę, zatrzaśniemy drzwi i niech martwi pozostaną martwi.

Falcone popatrzył na fotografie.

– One mogą być źródłem wiedzy.

– Jak zanieziesz je na górę, to się do ciebie uśmiechną, podziękują i znieawidzą na zawsze, bo zamieniłeś im życie w piekło.

– Jeżeli je oddam DIA...

– Racja. Wtedy będą cmokać cię po rękach, mówić, jaki to jesteś cudowny i jaki nieoceniony dla policji. Może nawet udałoby ci się znowu zaciągnąć tę D’Amato do łóżka. Wiesz co potem? W ciągu sześciu miesięcy twoja kariera byłaby skończona. Kierowałbyś ruchem na skrzyżowaniu i niszczył karty kredytowe, na jakie sam nie mógłbyś sobie pozwolić. Natomiast DIA nie chciałaby cię więcej znać, podobnie D’Amato. Nikt nie kocha człowieka, który zrzuca robotę na innych, a szczególnie tak brudną robotę. Jeśli umiesz spojrzeć prawdzie w oczy, sam już to zrozumiałeś.

Falcone po raz ostatni popatrzył na zdjęcia, po czym się od nich odwrócił.

– Zrób to – rozkazał.

Peroni zaśmiał się, wziął plik fotografii i włożył go Falconemu w rękę.

– O nie, panie inspektorze – powiedział i wyszedł z biura, zamykając za sobą drzwi.

Zatrzymał się pod nimi i zaczął nadśłuchiwać. Minęła krótka chwila i z wnętrza dobiegł cichy elektryczny warkot obracających się metalowych zębów niszczarki.

Z naprzeciwka Rachele D’Amato szła uśmiechnięta korytarzem ku Peronemu. Wyglądała, jakby to miejsce należało do niej.

– Wprowadziła się tu pani? – spytał Peroni.

Nie odpowiedziała, tylko posłała mu zimne spojrzenie. Peroni wskazał drzwi za sobą.

– Niech pani nie będzie za ostra dla tego gościa. Są wśród nas tacy, którym na nim zależy, mimo że on sam o sobie nie dba. Nie chcielibyśmy, żeby stała mu się krzywda po raz drugi.

– Co do tego możecie się nie obawiać.

– Jasne. Tylko żartowałem. – Uśmiechnął się. – Naprawdę. W końcu nic nie mogłoby was znów połączyć, prawda?

– Jestem tu, bo dostałam telefon, że mnie potrzebujecie. Powinniście częściej z sobą rozmawiać. – Wskazała otwarte drzwi na końcu korytarza. – Mamy gościa.

Na krześle sztywno wyprostowany siedział Vergil Wallis. Miał przymknięte oczy i cierpliwie czekał.



Kiedy Bucci zaczął gadać, trudno go było powstrzymać. Neri słuchał, aż uznał, że dowiedział się już dość, po czym gestem kazał mu się zamknąć.

– Mogłeś mi powiedzieć, Bruno. Byłeś mi to winien.

– Ja nie... – Bucci był wystraszony. Z wysiłkiem szukał właściwych słów. – Raz rozmawiałem o tym z Mickeyem. Powiedział, że ty wiesz. Że to część układu.

Ciężkie ramiona Neriego zatrzęśły się w pozbawionym wesołości śmiechu.

– Część układu?

– Tak – odparł Bucci chłodno. – Kretyn ze mnie, nie? Chodzi o to, że... nie podoba mi się, kiedy widzę, jak cię robią w konia, szefie... – rzucił Neriemu zimne spojrzenie – ...ale niełatwo powiedzieć mężczyźnie, że żona przyprawia mu rogi. I to z jego synem. Nie mam pojęcia, jak się postępuje w takich sytuacjach. Chyba wiedziałem, że Mickey kłamie, ale prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy byłbyś wdzięczny, gdybym pobiegł zaraz do ciebie z takimi nowinami.

Gdy teraz Neri się nad tym zastanawiał, doszedł do wniosku, że Bucci faktycznie zachowywał się dziwnie w ciągu ostatnich kilku tygodni. To był dobry człowiek, lojalny porucznik. Neri rozumiał jego punkt widzenia. Perfidia Mickeya przekraczała wszelkie granice. Nie można oczekiwać, że uliczny żołnierz taki jak Bucci będzie się mieszał w sprawy zdrad wewnątrz rodziny.

– To wina Mickeya – powiedział nagle turyńczyk – nie jej. Nie twierdzę, że ona jest bez grzechu, ale wydaje mi się, że tak w głębi duszy wcale tego nie chciała. Ty nie patrzysz na chłopaka w taki sposób jak inni. On po prostu nie odpuszcza. Napiera, aż dostanie, czego chce.

Neri zastanowił się nad tym.

– Ale ona ma też innych mężczyzn, prawda?

– Nie sądzę. Chcesz wiedzieć, co o tym naprawdę myślę, szefie? To przez nudę, nic innego.

Nuda. To akurat Neri mógł świetnie zrozumieć.

– Przykro mi, szefie – powiedział miękko Bucci. – Jeśli każesz mi się spakować, jak to wszystko się skończy, to zrozumiem. Zawiodłem cię.

Szare oczy Neriego zajaśniały rozbawieniem. Świetna demonstracja skruchy.

– Zawiodłeś mnie? Daj spokój, Bruno, nie bawmy się w żadne takie.

– Ale przecież...

Neri popatrzył na niego i Bucci zamilkł.

– Żadnych ale. Zdradzę ci pewien sekret. Mnie też ogarniała nuda i zacząłem się zastanawiać, co z tym zrobić. Mam w Kolumbii domek, milion kilometrów od problemów. Tam nic mnie nie dosięgnie. – Wskazał głową schody prowadzące na górę. – W dodatku mógłbym zrzucić balast.

– No tak – potwierdził Bucci.

– Zająłbyś się interesem, kiedy bym wyjechał? Tylko szczerze. Przysięgam, że tym głównem z DIA się nie ubrudzisz. W aktach Vercilla jest tylko i wyłącznie moje nazwisko. Na odchodnym będę chciał paru ludziom zostawić jakiś prezent, żeby mnie pamiętali, sam rozumiesz, ale ty zaczynałbyś z czystymi papierami. Czysty jak niemowlę.

Bucci poruszył się niespokojnie na krześle.

– Chcesz, żebym pełnił obowiązki szefa?

– Nie. Chcę, żebyś został szefem. Ja nie mogę tego wiecznie ciągnąć. Ktoś musi przejąć firmę. Wolałbym, żeby to był człowiek, którego sam wybiorę, a nie jakiś skurwiel z nadania.

– Mógłbym to zrobić – powiedział Bucci. – Mickey nie będzie szczególnie zadowolony.

– Mickey, Mickey... Poza tą sprawą z Adele, to co o nim sądzisz? Mów szczerze. Przypuśćmy, że umiałbym go wyprostować. Myślisz, że warto by było? Czy z niego coś kiedyś będzie?

– Nie wiem – powiedział Bucci ostrożnie. – Nie umiem tego określić. On robi różne rzeczy, których nie rozumiem.

– Jakie?

Bucci rozłożył ręce w geście desperacji.

– Właśnie nie wiem. Nie chce, żebyśmy się tego dowiedzieli. A w tym jest dobry, szefie, potrafi trzymać gębę na kłódkę.

Neri pomyślał o całym głównie, które wypłynęło w ciągu ostatnich paru dni. Falcone im nie odpuści. Na pewno wróci, to tylko kwestia

czasu. Może tym razem przyjdzie z nakazem i przetrzepie cały dom.

– Będziemy musieli się tu okopać na kilka godzin. Zaroi się od glin. Ruszaj do roboty, Bruno. Dowiedz się, ile mamy czasu, zanim oni znowu się pojawią. Wyszukaj ludzi, którzy mają nasz dom na oku. Trzeba będzie komuś zapłacić, żeby na chwilę odwrócili wzrok. Kiedy uda nam się przekraść na zewnątrz, to się trochę zabawimy.

– Zabawimy?

– Jasne – zaśmiał się Neri. – Skoro idę na emeryturę, chcę po raz ostatni odpalić fajerwerki. Muszę wyrównać kilka rachunków na mieście. Jak to załatwimy, znikam. Skontaktuj się z kimś, żebym mógł się stąd jutro w nocy wydostać, dyskretnie i miło. Może Albańczycy coś wymyślą, są mi winni parę przysług.

Bucci zamrugał.

– Jutro w nocy?

– To dla ciebie za wcześnie? – Neri rozejrzał się po pokoju. – Mówię ci, Bruno, nie mogę się doczekać, żeby wyrwać się z tego bajzlu.

Bucci nie był zadowolony.

– W czym problem? – spytał Neri. – Daję ci imperium na tacy.

– Nie zrozum mnie źle, szefie, jestem wdzięczny. Wszystkim się zajmę. Chodzi o to, że pewne sprawy są poza moją kontrolą.

Rozumiał, o czym on mówi.

– Ciągłe przejmujesz się Mickeyem?

Bruno wzruszył ramionami. Był zbyt uprzejmy, zbyt pełen szacunku, żeby powiedzieć o tym wprost. Neri patrzył na Bucciego i zastanawiał się, dlaczego nie ma takiego syna. Na tym człowieku mógł polegać. Wiedział, że Bucci będzie musiał załatwić sprawę z Mickeyem, gdy nadejdzie właściwy czas, ale się tym nie przejmował. Ku własnemu zaskoczeniu to nie nowiny o synu i Adele go przygnębiły, bo w obecnej chwili nie myślał zbyt ciepło o swoich bliskich. Nachrzanili mu sporo w życiu. Żerowali na nim, nie dając niczego w zamian. Nie tego oczekuje się po ludziach z własnej rodziny. Zdał sobie sprawę, że w miarę jak się starzał, fizyczne przyjemności, których w wyrafinowany sposób dostarczała mu Adele, przestawały mu być potrzebne i lepiej się czuł w towarzystwie mężczyzn. Z nimi wiedział, na czym stoi. Póki wypełniał swoją część umowy – był dobrym, uczciwym i hojnym szefem

– miał pewność, że będą z nim trzymać.

Stary człowiek uśmiechnął się.

– Czas, żeby przetestować dzieciaka. Idź po niego. Powiedz mu, że ma się ze mną spotkać na tarasie.

– Na tarasie?

Neri szedł już w stronę schodów.

– Słyszałeś – powiedział.

Twarz Suzi Julius pojawiła się wszędzie. Powiększeniami zdjęć wytapetowano tablicę na głównej ścianie pokoju odpraw. Mniejsze kolorowe odbitki zostały przymocowane do monitorów policyjnych komputerów i rozłożone na biurkach. Costa przeszedł z Mirandą Julius między ludźmi z dwudziestoosobowej ekipy, przedstawiając ją kilku policjantom. Zależało mu na tym, żeby zrozumiała, że sprawa stała się dla nich priorytetem. Potem poszli korytarzem do mniejszego pokoju, gdzie kolejna grupa, złożona w większości z kobiet, pracowała przy telefonach, odbierając połączenia od zwykłych ludzi. Do komisariatu doprowadzono specjalną gorącą linię, na którą mógł się dodzwonić każdy, kto miałby choć cień podejrzenia, że widział zaginioną. Zdjęcie Suzi pokazywano w telewizji i niebawem miało pojawić się w gazetach. Organizowano wielką akcję poszukiwawczą. Jednak, jak w większości tego typu spraw, nad którymi Costa pracował, od początku frustrująco brakowało jakichkolwiek informacji. Nikt jej nie widział od czasu, kiedy dzień wcześniej odjechała na motocyklu z Campo dei Fiori. Nie pojawił się żaden trop, odkąd Falcone trzy godziny temu dał zielone światło, by sprawę Julius potraktować jako porwanie.

Costa wprowadził Mirandę do małego pokoju przesłuchań, którego okna wychodziły na podwórko za Questurą. Usiadła i od razu powiedziała:

– Wiem, że szukacie, Nico. Nie musisz mi tego udowadniać.

– Chciałem tylko, żebyś zobaczyła to na własne oczy.

Widać było po niej napięcie. Wrażenie, jakie Nico miał, gdy się pierwszy raz spotkali – że Miranda jest podobna do modelki, która postanowiła popracować fizycznie, żeby udowodnić, że jest coś warta – znowu do niego wróciło. Siedziała po drugiej stronie stołu ze skulonymi ramionami w swojej prostej, czarnej kurtce pilotce i zaciągała się

nerwowo papierosem, starając się wydmuchiwać dym przez półotwarte okno. Utkwiła w nim swoje czujne, inteligentne spojrzenie.

– Macie pojęcie, gdzie ona może być?

Costa zastanowił się, zanim odpowiedział.

– Potrzeba czasu.

Popatrzyła przez okno, mrużąc oczy w promieniach jasnego popołudniowego słońca.

– Chciałabym jeszcze raz przeprosić za poprzednią noc. To musiało być dla ciebie żenujące.

Zastanawiała go ta nagła bliska więź, która pojawiła się między nimi. Wiedział, że z Mirandą poszłoby mu bez trudu.

– Zapomnij o tym. Ja zapomniałem.

Przez jej twarz przemknął dziwny wyraz podobny do gniewu. Zastanawiał się, czy powiedział, co należało.

– Czasami piję – odezwała się. – Nie żeby zapomnieć, tylko dlatego, że dzięki temu wydarzenia nabierają sensu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Nie oczekuję, że zrozumiesz, o co mi chodzi.

Nigdy nie zapomniał tych straconych dni po śmierci ojca, kiedy godzinami siedział samotnie w jego wózku inwalidzkim, rozmawiał z butelką i próbował oszacować, ile bólu, który czuje, pochodzi z fizycznych ran, a ile z jego własnej duszy. Jak łatwo było zatopić to wszystko w alkoholu.

– Rozumiem. Chciałabym, żebyś coś mi obiecała.

– Nie lubię zobowiązań – odparła szybko. – Ludzie się rozczarowują, gdy okazuje się, że nie potrafię ich dotrzymać.

– Chodzi mi tylko o to, że potrzebujemy cię, Mirando. Zależy nam na tym, żebyś zastanawiała się nad każdym szczegółem, na który trafimy. Być może trzeba będzie szybko reagować. Sam nie wiem. Jednak kiedy ta chwila nadejdzie, ważne jest dla nas wszystkich, a szczególnie dla Suzi, żebyś nie była wtedy... – Nie dokończył zdania.

– Pijana? – spytała. – Nie martw się, tak nie będzie.

– Siedzieć samotnie w domu to zły pomysł. Nie może przyjechać do ciebie nikt z rodziny? Wspominałaś o matce.

– Jest w tej chwili na wakacjach w Kalifornii. Rozmawiałam z nią dzisiaj rano. Jeśli wziąć pod uwagę różnicę czasu, bukowanie biletów

i inne takie sprawy, będzie tu najwcześniej w niedzielę. Do tego czasu...  
– spojrzała na niego krótko i intensywnie – ...będziemy już wiedzieć, prawda?

Nie dało się uniknąć szczerzej odpowiedzi.

– Tak sędzę. Mimo to mógłbym załatwić dla ciebie policjantkę do towarzystwa.

– Nic mi nie jest – powiedziała stanowczo. – Nie trzeba mnie traktować jak ofiary. Ofiarą jest tutaj Suzi. To jej trzeba pomóc. Po prostu róbcie, co do was należy, a ja będę próbowała wam się przydać, na ile potrafię.

– Dobrze – powiedział, po czym wcisnął przycisk w dyktafonie i nagrał typowe wprowadzenie do przesłuchania: data, godzina, temat, nazwisko przesłuchiwanego i policjanta. Starał się wymyślić właściwe pytania, takie, dzięki którym w zmaconym bólem umyśle Mirandy pojawi się coś, co dotąd pozostawało ukryte, zagubione.

– Czy przypomniało ci się coś nowego?

– Raczej nie. – Pokręciła głową, jakby samą siebie o to oskarżała. – Usiłuję coś sobie przypomnieć, ale nic takiego nie przychodzi mi do głowy poza tym, o czym już mówiłam.

– Osoby, które widziałaś...

– Nic szczególnego. Ludzie w kolejce, ludzie w kawiarni, ludzie w restauracji. Czasem z nimi rozmawialiśmy, jasne, ale nikt nie przykuł mojej uwagi. Nigdy nie było rozmowy, która by wykraczała poza grzecznościowe formułki.

Położył na stole zdjęcie z aparatu Suzi. Wśród tłumu przy fontannie di Trevi stał Randolph Kirk. Patrzył prosto w obiektyw z dziwnym, skupionym wyrazem twarzy.

– Poznajesz go?

Popatrzyła na zdjęcie.

– Nie. Nigdy go wcześniej nie widziałam. Dopiero dzisiaj rano zobaczyłam w gazetach. Mój włoski jest dość słaby, ale zrozumiałam, o co chodzi. To ten człowiek, którego zabito na wykopaliskach, prawda?

– Tak.

Przeszła od razu do sedna.

– Sądzicie, że miał coś wspólnego z tym drugim zabójstwem? Z tą

dziewczyną sprzed szesnastu lat?

– Mamy dowody, że wykorzystywał młode dziewczyny dla własnej... przyjemności. On i kilku innych.

Zakłęła cicho.

– I co teraz będzie? Gdzie ona jest, Nico? Siedzi w jakimś miejscu, gdzie ten potwór ją zamknął? Czeka, aż ją znajdziemy? To może trwać wiecznie. Boże... – Przymknęła na chwilę oczy. – Nie mogę znieść myśli, że coś takiego może się teraz z nią dziać. To straszne.

– Rozesłaliśmy zdjęcie. Ktoś musiał ją widzieć.

– To nie ma sensu. Suzi nie uciekłaby z takim człowiekiem. Absurd. Popatrz na niego, jest stary. Co mógłby jej dać? Chyba nie sądzicie, że to on był na motocyklu, prawda?

– Nie – potwierdził. – Może ten człowiek ją tylko wypatrzył, a ktoś inny zajął się resztą.

– Ale dlaczego Suzi? Czemu właśnie ona?

– Pech – powiedział, wzruszając ramionami. – Zbieg okoliczności. Czasem tak to wygląda w tego typu sprawach. Wydaje się, że Kirk interesował się blondynkami. Może z kimś mu się skojarzyła.

Od razu zrozumiała, o czym mówi.

– Z tą martwą dziewczyną, którą znaleźliście? Widziałam jej fotografie. Chyba faktycznie są do siebie podobne.

– To tylko hipoteza. Działamy dwutorowo. Z jednej strony prowadzimy typowe dochodzenie, pokazujemy jej zdjęcie jak największej liczbie ludzi i odbieramy przychodzące z miasta telefony. Z drugiej usiłujemy zrozumieć, co tak naprawdę się działo. Dlaczego Kirk bawił się w te rzeczy. Z kim i gdzie.

– To mogło być wszędzie, prawda? – spytała.

– Nie. – To kwestia, nad którą należy się dobrze zastanowić, pomyślał. W grę wchodził jakiegoś rodzaju obrzęd. Nie odprawiano go w Willi Misteriów w Ostii, to wiedzieli na pewno dzięki wnikliwej kryminalistycznej robocie Teresy. Kirk musiał dysponować innym obiektem, większym, ważniejszym. Prawdopodobnie miejsce to znajdowało się na terenie miasta. Być może właśnie tam czekała teraz uwięziona Suzi. Ale na kogo? – Chciałbym, żebyś przyjrzała się jeszcze paru zdjęciom – powiedział i sięgnął do tekturowej teczki.

Miranda Julius popatrzyła na legitymacyjne zdjęcie Barbary Martelli.

– Ją też widziałam w gazetach. Blondynka. Policjantka? Kolejna z jego ofiar?

– Tak sądzimy.

– To dlatego go zabiła?

– Nie mamy pojęcia – wyznał. – Widziałaś ją kiedyś wcześniej, Mirando? Proszę, pomyśl. Może ty i Suzi spotkałyście kiedyś tę kobietę przy jakiejś okazji?

Westchnęła.

– Kilka razy pytałyśmy policjantów o drogę. Być może z nią rozmawiałyśmy. Nie wiem. Pewnie i tak bym nie zapamiętała.

– Racja. A jego kojarzysz?

Położył na stole zdjęcie Vergila Wallisa.

– Nie – odpowiedziała natychmiast. – To Włoch?

– Amerykanin. Rozmawiałaś z jakimiś Amerykanami od chwili przyjazdu?

Nie zrozumiała sensu pytania.

– Nie wydaje mi się. Kogoś tak szczególnego chyba bym zapamiętała. O co tu chodzi, Nico? Czemu Amerykanin miałby być zamieszany w taką sprawę?

– Potem ci wyjaśnię – powiedział. – Spróbujmy jeszcze raz. Znasz tego człowieka?

Popatrzyła na zdjęcie Beniamina Vercilla.

– Nie.

– A tego?

Brzydka, nalana twarz Emilia Neriego spojrzała na nią ze stołu.

Pokręciła głową.

– Wygląda jak gangster. Jest... potworny. Sądzicie, że ktoś tego pokroju porwał Suzi? Ona nigdy by nie poszła z takim człowiekiem. Nie jest głupia.

Costa przeglądał odbitki na stole.

– To zdjęcie zrobiliśmy mu w Questurze w czasie pewnego przesłuchania. Nie zawsze tak wygląda. Ludzie mają różne twarze na różne okazje. Niekiedy musisz umieć wyobrazić sobie, jak bardzo to, co



widzisz, może się zmienić.

– Dzięki za radę – powiedziała zimno.

– Spójrz.

Położył przed nią kolejną serię zdjęć, kupionych od fotografa, który obsługiwał pewne towarzyskie spotkanie w operze. Neri występował tam pod jedną ze swych masek: oto kochający sztukę biznesmen z żoną u boku. Oboje byli elegancko ubrani. Neri miał na sobie drogi garnitur, Adele długą, obcisłą, jedwabną suknię.

– Faktycznie wygląda inaczej – przyznała.

Popatrzyła uważnie na zdjęcie.

– To jego żona?

Costa przytaknął.

– Chyba jest dużo młodsza od niego. To mu odpowiada?

Costa milczał.

– Nico? Czy ten człowiek lubi młode dziewczyny?

– Nie jest taka młoda, na jaką wygląda, a w każdym razie dużo starsza od Suzi. On lubi wiele rzeczy. Może był zamieszany w machlojki Kirka, a może to bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje.

Jeszcze raz zerknęła na fotografię.

– Nie wygląda na szczęśliwą. Jakby była jego własnością. Czymś, co ten facet posiada.

– Potrafisz dużo wyczytać ze zdjęcia.

Przytaknęła.

– Nie zapominaj, że jestem fotografem z zawodu. To trochę tak, jakby się próbowało opowiedzieć historię. Chcesz, żeby ci, którzy oglądają zdjęcie, zobaczyli wydarzenie i wczuli się w sytuację. Żeby pojęli charakter sfotografowanych ludzi. Inaczej to będzie zwykła pstrykanina. Bez znaczenia, bez emocji, bez próby przekazania tego, co ludzkie, tylko kształty na papierze. To, co sprawia, że zdjęcie jest dobre, to historia, która się za nim kryje. – Przejrzała odbitki z opery. – Te są całkiem niezłe. Nie wiem, kim jest on i jego żona, ale stanowią ciekawy temat. Wiele się między nimi dzieje i chyba nic dobrego. Sądzę, że sama mogłabym ich fotografować. Mogłabym...

Miranda zatrzymała się nad jednym ze zdjęć. Odsunęła pozostałe i wpatrywała się w nie w ciszy i skupieniu.

– Przypominasz go sobie? – spytał Costa, kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać.

– Nie. Nie mam pojęcia, kim jest. Ale ten...

Odwróciła zdjęcie ku Coście i wskazała palcem postać na brzegu kadru. Młody, znudzony mężczyzna w wieczorowym garniturze.

– Gdzieś go widziałam. – Urwała, próbując uporządkować myśli. – To było tuż po naszym przyjeździe. Byłyśmy w kawiarni na Campo i piłyśmy kawę w ogródku na zewnątrz. Siedział przy stoliku obok. W pewnej chwili poszłam do toalety, a kiedy wróciłam, on nagabywał Suzi. Chciał jej numer telefonu, żeby się umówić.

Costa popatrzył na zdjęcie i poczuł nagły impuls podniecenia.

– I co się stało?

– Chyba nic. Nie był zbyt miły, za to bardzo natarczywy. Słabo mówił po angielsku. Nie spodobał mi się. Jak teraz o tym myślę, naprawdę bardzo mi się nie spodobał. Odrażający typek. Arogancki, młody palant. Spodziewałam się, że trzeba się będzie w Rzymie przed takimi opętać.

– Mógł zostawić Suzi swój numer?

– Niech się zastanowię...

Costa czuł, że jest o krok od czegoś ważnego. Miranda popatrzyła mu w twarz z szeroko otwartymi, pełnymi niepokoju oczami.

– O Boże, pamiętam. Suzi przez jakiś czas dziwnie się zachowywała. Jakoś podejrzanie. Prawie się pokłóciłyśmy. To było zupełnie do niej niepodobne.

– Więc mógł jej coś przekazać? Numer telefonu? Może wzięła go od niego.

– Możliwe. Nie wiem, Nico, naprawdę. To było tyle dni temu.

– Sądziś, że nie powiedziała ci?

Na jej twarzy pojawił się ból.

– Chyba nie. Dzieciaki w tym wieku robią głupie rzeczy i potem wstydzą się do tego przyznać. W każdym razie ja tak miałam. Ona faktycznie coś ukrywała. Powinam była się domyślić...

Jej oczy zaszyły mgłą.

– Jezu, ale ze mnie idiotka. Jak ja mogłam sobie wyobrazić, że dziewczyna w jej wieku będzie zadowolona, jeśli spędzi całe wakacje

z mamą, nie spotykając się z nikim innym? Jakby moje towarzystwo miało jej wystarczyć. Rany boskie. Przez większość jej życia w ogóle mnie przy niej nie było. Czemu niby miałyby się cieszyć, że jest ze mną? Byłam taka zarozumiała... – Po chwili powiedziała twardo i z pełnym przekonaniem: – Pamiętam, jak zwróciłam jej uwagę, że z tego faceta jest kompletny mydłek, dokładnie taki, przed jakimi cię ostrzegają, kiedy jedziesz do Włoch. A ona popatrzyła na mnie, jakbym opowiadała jakieś bzdury. Jakbym była stara. Potem nie rozmawiałyśmy jakiś czas, przeczekałyśmy to.

Costa niecierpliwie zbierał zdjęcia i chciał już skończyć tę rozmowę.

– Ale nie udało się przeczekać – dokończyła.

– To, co powiedziałaś, może nam bardzo pomóc.

– W jaki sposób? Wiecie, kim jest ten mężczyzna?

Costa zastanawiał się, ile ujawnić. Nachylił się i dotknął jej ramienia nad stołem.

– Mirando, w środku dochodzenia nie możemy za dużo powiedzieć. Mamy regulamin.

– Do diabła z regulaminem! Jestem jej matką. To przeze mnie się w to wplątała.

– Wcale nie przez ciebie – uniósł głos. – Suzi ma szesnaście lat. Nie jest dzieckiem, którego trzeba pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pokręciła głową.

– Nie znasz jej ani mnie. Nie powinieneś wygłaszać takich sądów.

Tu nie chodzi o uzalanie się nad sobą, pomyślał, raczej o nienawiść do siebie.

– Wiem wystarczająco dużo. Robisz wszystko, co można w takich okolicznościach. Nie obwiniaj się, zanim...

Po prostu mu się to wymknęło. Miranda popatrzyła w jasne, brudne okno i zamrugła, próbując powstrzymać łzy.

– Zanim co? Zanim znajdziecie ją martwą?

Pokręcił głową.

– Nie o to mi chodziło.

Przez chwilę milczała, pozwalając temperaturze opaść o kilka

stopni.

– Kim on jest? – zapytała. – Przynajmniej tyle możesz mi chyba powiedzieć.

– To syn tego starego. Nazywa się Neri. Mickey Neri.

Nico wstał, zastanawiając się, co Falcone zrobi, kiedy dostanie te informacje. Na zewnątrz popołudnie zmieniało się w wieczór. Wkrótce będzie ciemno. Takie operacje znacznie trudniej prowadzi się po zmroku. Musieli ruszać. Mieli mało czasu.

Stała przy nim z cieniem nadziei w spojrzeniu.

– Jaki jest ten Mickey?

– W takiej sytuacji lepiej być nie mogło – powiedział Costa z uśmiechem. – To nie jest profesor z uniwersytetu ani żadna anonimowa postać w garniturze, tylko mały gangster z przestępczej rodziny, niespecjalnie bystry. Znamy go i wiemy, gdzie mieszka. Wiemy, jak wyciągnąć od niego, co trzeba. Mirando...

Potrzebowali tylko nakazu, a dzięki temu, że Miranda zidentyfikowała Mickeya na zdjęciu, Falcone mógł dostać papiery. Wtedy będą mogli wkroczyć do wielkiego domu przy Via Giulia, zabrać Mickeya na przesłuchanie i zacząć powoli rozmontowywać imperium Neriego.

Costa położył ręce na jej dłoniach, żałując, że nie może sprawić, by i ona poczuła ten przyływ energii.

– Znajdziemy ją, obiecuję.

Odsunęła się od niego z wąpiącym spojrzeniem.

– Te obietnice... – powiedziała.

Dzień miał się ku końcowi. Emilio Neri stał na tarasie wsparty o balustradę i spoglądał w dół na ulicę, wdychając smog znad Lungotevere. Za jego szczenięcych lat Rzym był czystszy. Stanowił spójną całość. Z biegiem czasu zszedł na psy, jak wszystko na świecie. Kiedy był młody, ludzie w taką noc jak ta spacerowali sobie parami po *centro storico* i zaglądali do sklepów albo wchodzili do barów na drinka przed kolacją. Teraz biegali wszędzie, jakby się paliło, a przynajmniej usiłowali biegać, o tyle, o ile pozwalał im na to ruch samochodowy. Stali na rogach i gadali do telefonów komórkowych, zamiast porozmawiać twarzą w twarz. Pod tym względem Rzym nie był jednak taki zły. Kiedy

bywał w Mediolanie albo Londynie, zdawało mu się, że ludzie spędzają tam całe życie na samotnej konwersacji z kawałkiem plastiku. Jego rodzinne miasto zachowało przynajmniej w swoim sercu pradawne, nieprzemijające cechy miejsca, w którym można żyć. Wciąż mógł pójść na spacer na Ponte Sisto i poczuć powiew przeszłości.

Nie miał jednak na to czasu i wiedział, że nigdy już tam nie pójdzie. Ten rozdział jego życia należał do przeszłości. Teraz musiał zadbać o swoją przyszłość i wzmocnić reputację, zanim na dobre pozostawi miasto za sobą.

Obrócił się i zobaczył, jak Mickey wchodzi po schodach. Chłopak zatrzymał się obok donic z anemicznymi roślinami, które wciąż jeszcze nie odżyły po zimie. Nosił kolejny komplet kretyńskich ubrań nadających się dla młodzieży, a nie dla kogoś w jego wieku: sprane dżinsy i cienki, czarny sweter, za mały o jeden rozmiar. Miał trzydzieści dwa lata i powinien w końcu zacząć ubierać się poważnie. W dodatku cały się trząsał.

Neri przywołał go gestem. Stanęli obok siebie przy żelaznej balustradzie. Objął syna ramieniem i popatrzył na ulicę.

– Nigdy nie lubiłeś wysokości, Mickey. Dlaczego?

Chłopak spojrzał w dół i próbował cofnąć się o krok, ale wielka ręka ojca na to nie pozwalała.

– Nie wiem.

– Pamiętasz, co się przytrafiło żonie Wallisa? Kiedy już nie mogła więcej znieść, przynajmniej ja tak to sobie wyobrażam, wyszła przez okno z bloku w Nowym Jorku. Pięćdziesiąt pięter. W jednej chwili popłakuje sobie w kącie, a w następnej zdrapują ją z chodnika. Jak sądzisz, co może sprawić, że człowiek zrobi coś takiego? Poczucie winy? A może zwykła głupota?

Ramię Neriego z całej siły pchnęło Mickeya na metalową balustradę. Chłopak usiłował się uwolnić, ale Neri trzymał go mocno.

– Wiesz co – powiedział – czasem jednym prostym ruchem można rozwiązać mnóstwo problemów. Gliny znajdują rozpaćkane ciało i wymyślają sobie historyjkę, która do niego pasuje. To działa w wypadku każdego delikwenta.

– Tato... – wydyszał Mickey, bezowocnie próbując wydostać się

z uchwytu ojca.

– Zamknij się. Wiesz, czemu boisz się wysokości? Powiem ci. Jednego dnia, gdy byłeś jeszcze bardzo mały, ty i twoja mama wkurwiliście mnie do granic możliwości. To było w lecie, siedzieliśmy tu, na tarasie. W tamtych czasach po domu nie szwendali się żadni służący. Dopiero Adele wymyśliła, żeby ich tu ściągnąć. Jej przychodzi do głowy wiele różnych rzeczy, ale co ja ci będę mówił. No więc siedzieliście tu sobie z mamą. Miałeś trzy czy cztery lata i wrzeszczałeś na nią, bo nie przyniosła ci właściwej zabawki czy coś w tym rodzaju, a ja leżałem na starej, wiklinowej sofie, która tu stała, zanim pojawił się ten cały fikuśny szajs. Leżałem i myślałem sobie: „Kurwa mać. Człowiek haruje jak dzień długi, żywi te pasożyty, a w zamian dostaje tylko wrzaski i jęki”. – Neri ścisnął Mickeya za ramię i popatrzył mu prosto w oczy. – Nie pamiętasz tego, co?

– N... n... nie – wyjąkał Mickey.

– A jednak jakaś część ciebie pamięta, tylko że to wspomnienie jest gdzieś głęboko. – Na chwilę zdjął rękę z ramion chłopaka i stuknął go palcem w skroń. – Gdzieś tam, pomieszane z gównem, które masz w głowie.

– Ja nie... – zaczął Mickey, ale w tej chwili wielkie silne ramiona chwyciły go za kark i do połowy wypchnęły boleśnie za barierkę. Kocie łby z tej wysokości wyglądały jak wzór na skrzydle martwej muchy.

Emilio kopnął Mickeya mocno w nogi, tak że chłopak zawisł nad ulicą uczepiony jego ramienia, tak samo jak przed ponad ćwierćwieczem. Stary gangster czuł się równie silny jak wtedy, może nawet silniejszy, i był panem sytuacji. Trzymał twarz przy twarzy Mickeya i obaj zaczęli się obficie pocić.

– Teraz sobie przypominasz? – spytał stary. Oczy chłopaka napęłniły się łzami, a jego nogi przebierały w powietrzu, bezradnie próbując znaleźć oparcie. Neri poczuł zapach moczu wsiąkającego w sprane dzinsy. – Ohyda... – jęknął. – Usłyszałem niedawno pewną historyjkę, Mickey, bajeczkę, którą ludzie opowiadają sobie na uszko w tej cholernej norze. Ponoć pierdolisz moją kobietę. Ten was widział, tamten słyszał... No i masz jeszcze inne grzeszki, o których myślisz, że nie wiem. Popatrz na to z mojego punktu widzenia i sam przyznaj, że

świetnie by się dla mnie złożyło, gdybyś wytarł gębę brukiem. – Mickey wydał z siebie nieludzki skowyt. Nic więcej. – Milczysz, synu. Przyznajesz się do winy.

Chłopak zaciskał i otwierał oczy na zmianę, jakby liczył na to, że za chwilę zbudzi się z koszmarne go snu.

– Ja wcale...

Neri szybkim ruchem opuścił ramię. Głowa Mickeya podskoczyła i uderzyła w barierkę po zewnętrznej stronie. Dzieciak kwiknął z przerażenia i zamilkł; ojciec jednak go nie puścił.

– Nie możesz mnie okłamywać, Mickey. Jeśli uznam, że kłamiesz, puszczę cię. Na co mi syn, któremu nie mogę ufać? – Chłopak pociągnął nosem i nie odpowiedział. – Więc mów – odezwał się Neri spokojnym tonem – i dobrze się zastanów, zanim odpowiesz, czy ta historia z Adele to prawda? – Mickey energicznie pokręcił głową. – Powiedz coś – zażądał Neri.

– To nieprawda! Nieprawda!

Neri popatrzył w wykrzywioną przerażeniem twarz syna, zastanawiając się, co zrobić. Wreszcie wciągnął go i przerzucił przez barierkę na taras. Mickey, czołgając się ku ocaleniu, kopnął przypadkiem kilka doniczek. Neri patrzył, jak roztrzaskują się na bruku. Jakiś człowiek w ciemnym garniturze podskoczył wystraszony hałasem i powiódł wzrokiem po dachach.

– Powinieneś bardziej uważać – powiedział Neri i podał synowi chustkę. – Ktoś mógł oberwać.

Po twarzy Mickeya ciekły łzy. Oddychał spazmatycznie, tłumiąc łkanie. Popatrzył na ojca i spytał:

– Dlaczego? Dlaczego chciałeś to zrobić?

Neri wzruszył ramionami.

– Ojcu należy się szczerłość. Gdybyś mnie okłamał, poleciałbyś na dół. Wiesz o tym, prawda?

– Tak – szepnął, a Neri stłumił wybuch śmiechu. Szczeniak naprawdę sądził, że mu się upiekło.

– Nie byłem dobrym ojcem – powiedział. – Chroniłem cię, zamiast wystawić na całe gówno, w jakim tacy jak my muszą się babrać, żebyś stwardniał. Słyszałem, że chcesz wziąć udział w akcji.

– Tak – burknął Mickey niepewnym głosem. Nawet przez łyzy dąsał się jak nastolatek. Ma to po matce, pomyślał Neri.

– To dobrze. Najwyższy czas. – Odchylił połą marynarki i wyjął małą, czarną beretkę. Mickey zaczął się w nią wpatrywać bez słów szeroko otwartymi oczami. Neri wcisnął mu pistolet do rąk.

– Trzymaj, nie gryzie. To jedna z moich klamek. Wiem, że działa.

– C...c...co? – wyjąkał Mickey.

– Znasz zasady. W naszych kręgach nie zajdziesz powyżej pewnego szczebla, jeśli kogoś nie stukniesz. Ty nigdy tego nie zrobiłeś, synu, tylko parę razy sprawiłeś komuś lanie. To nie to samo, co? Powiedz szczerze.

– Nie – jęknął Mickey.

Neri poklepał go po plecach.

– No więc uszy do góry. Czas kogoś rozwalić. Nic trudnego, łatwa, miła robota. Wejdiesz bez słowa, przyłożysz mu spluwę do łoża i pociągniesz za spust. Dasz sobie radę?

– Sam?

– A to jakiś kłopot?

– Nie – powiedział. – Kogo?

Neri popatrzył na zegarek. Jego umysł był już gdzie indziej.

– Takiego jednego gliniarza. Przykro mi, tylko to mam dla ciebie w tej chwili. Następnym razem postaram się znaleźć ci człowieka.

Vergil Wallis miał na sobie czarny garnitur, śnieżnobiałą koszulę i czarny krawat. Wyglądał, jakby szykował się na pogrzeb.

– Chciałbym zobaczyć ciało Eleanor.

– Jest pan w żałobie – stwierdził Falcone. – Po kim? Jeszcze wczoraj wyglądało na to, że córka niewiele pana interesuje.

D'Amato spojrzała na niego spode łoża. Może nie należało do dobrych manier odzywać się w ten sposób do gangsterów na emeryturze, ale Falconego już to chyba niespecjalnie obchodziło.

– Wczoraj mnie zaskoczyliście. Nie myślałem jasno. Mam nadzieję, że nigdy nie dowie się pan, jak to jest, inspektorze, tyle lat czekać i modlić się, by poznać prawdę. A kiedy to się staje, człowiek żałuje, że kiedykolwiek tego pragnął. Zaczyna się zastanawiać, czy on sam tego nie spowodował.



– Nie znamy prawdy – zauważył Falcone. – Nie jesteśmy nawet w połowie drogi. W dodatku nie każdy godzi się nam pomóc.

Wallis skinął głową, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nie odpowiedział.

– Jeśli my zgodzimy się pokazać panu ciało, pan zgodzi się później na rozmowę – powiedziała D’Amato. – Z nami dwojgiem. – Czarna głowa znów potaknęła niecierpliwie. – Zresztą nie sędzę, żeby był pan w pozycji do negocjacji. Może wezwać adwokata?

– Nie będzie potrzebny – oznajmił Falcone. – Jeszcze nie.

Zeszli na dół i poszli do sąsiedniego budynku, w którym znajdowała się kostnica. W pracy był tylko jeden asystent, niski mężczyzna z kucykiem, o ciemnej karnacji. Falcone nigdy go wcześniej nie widział i nie dziwiło go to. Silvio Di Capua z pozostałą częścią ekipy wciąż tkwił w biurze Vercilla, usiłując zbierać informacje pod nieobecność Teresy Lupo. Niełatwe zadanie. Za mało ludzi, nie dość talentu.

Pracownik kostnicy skinął głową, gdy usłyszał nazwisko denatki.

– Mamy dla niej specjalny stół. Teresa twierdzi, że to ciało trzeba poddawać specjalnym zabiegom. To prawda, że ona zwariowała czy coś w tym rodzaju?

– Pokaż – uciął Falcone.

Człowiek z kucykiem ruszył korytarzem, mówiąc marudnym głosem:

– No to mamy przerabane. Księżulowi nie pozwolą przecież prowadzić tego interesu, prawda? Niech mnie pan źle nie zrozumie, to fajny gość i zna się na robocie, ale jeśli chodzi o zarządzanie... Powinien pan zobaczyć jego szafkę.

Weszli do jednego z bocznych pokoi. Mahoniowe zwłoki Eleanor Jamieson leżały na stole sekcyjnym otoczone przez rozmaite urządzenia, które sprawiały wrażenie zbyt późno podłączonego systemu podtrzymywania życia. Z podłogi wyrastały srebrzyste statywy, a przezroczyste przewody wiły się wokół nich, karmiąc płynami całą sieć rurek i dysz, z których bezpośrednio na ciało opadała chemiczna mżawka. Brązowa skóra w ostrym świetle lamp lśniła jak licówka. W pomieszczeniu panował intensywny zapach substancji używanej do

konserwowania zwłok, od której Falconego rozboleło gardło.

– Niech mnie pan nie pyta, co zrobię, gdy ten roztwór się skończy – powiedział asystent. – Teresa sama go przygotowała. Ponoć jakiś naukowiec z Anglii posłał jej przepis mejlem. Twierdził, że w ten sposób ciało nie rozeschnie się jak para starych butów.

– Wyjdz – szczerknął Falcone i człowiek z kucykiem zniknął w korytarzu.

Wallis usiadł na krześle w rogu pomieszczenia. Eleanor wciąż miała na sobie większą część płóciennej szaty. Sekcja zwłok jako taka w ogóle się jeszcze nie zaczęła. Falcone wiedział, że w dającej się przewidzieć przyszłości ciało pozostanie nietknięte. Te dziwne, na wpół z mumifikowane zwłoki przekraczały możliwości Silvia Di Capui. Będą musieli poprosić o pomoc kogoś z zewnątrz albo skłonić Teresę Lupo, by wróciła. Sam nie wiedział, co lepsze. Ta kobieta była nieprzewidywalna i miała tę pracę tylko z powodu swoich umiejętności. Może dochodzenie potoczy się szybciej bez kolejnych powodowanych przez nią przestojów.

D'Amato usiadła po jednej stronie Wallisa, a Falcone po drugiej. Malutkie okna pomieszczenia wychodziły na ulicę. Wpływały przez nie hałasy codziennego życia Rzymu: szum samochodów, ludzkie głosy, przypadkowe dźwięki muzyki, gniewne porykiwania klaksonów. Chociaż Falcone brał udział w mnóstwie dochodzeń w sprawach morderstw, nigdy nie czuł się swobodnie w kostnicy. Nie chodziło o ponurą obecność zwłok, ale o to, jak łatwo i bez wysiłku śmierć usadawia się pośrodku strumienia życia, tuż za kurtyną, niezauważona przez nikogo za wyjątkiem tych paru osób, których bezpośrednio dotyka.

Popatrzył na Rachele D'Amato i skinął głową, by zaczęła. Chciał znaleźć odpowiedzi na nurtujące go pytania. Rachele wprowadziła DIA do sprawy z mistrzowską wirtuozerią. Ona i jej współpracownicy zdawali się wiedzieć znacznie więcej niż policja. W dodatku wyglądało na to, że gdzieś jest przeciek, a D'Amato automatycznie uznała, że informacje wydostają się z Questury. Mogła mieć rację, w końcu każdy wiedział, że kilku gliniarzy bierze w łapę. Jednak Falconego irytowało to, że nikt w ogóle nie zadaje trudnych pytań ludziom z DIA. Czy przyszło jej kiedykolwiek na myśl, że może to ktoś z jej kolegów daje

mafii cynk? A jeśli przyszło, to czy podzieliłaby się takim spostrzeżeniem ze zwykłym gliną? To zależność jednostronna, podobnie jak ta, która kiedyś łączyła ich w życiu prywatnym. Rachele znowu miała nad nim wielką przewagę i wcale mu się to nie podobało.

– Panie Wallis – powiedziała – prawie nic w tej sprawie nie jest dla nas jasne. Nie znamy motywu, dokładnego czasu, ani nawet miejsca zbrodni. Jak pan sądzi, co się stało?

Wallis pokręcił głową.

– Czemu pani mnie o to pyta? Mówiła pani, że jestem poza podejrzeniem.

– Pewnie ma pan jakieś przypuszczenia.

– Tak pani sądzi? – spytał Wallis. – Na jakiej podstawie?

– Czy był w to zamieszany Emilio Neri? – zapytała D'Amato. – Jak dobrze znał Eleanor?

– Neri? – Zawahał się. – To nazwisko coś mi mówi... Chyba powinniście jemu zadać to pytanie.

– Spędzaliście razem wakacje – powiedziała. – Na Sycylii. Proszę nie bawić się z nami w kotka i myszkę. Byli tam Neri i jego syn. Kto jeszcze?

Wallis skinął głową i zastanowił się.

– Do licha, to się działo bardzo dawno temu. Nie pamiętam.

Falcone westchnął.

– Miałem nadzieję, że będzie mógł pan nam jakoś pomóc. Mówiłem panu wczoraj, że w bardzo podobnych okolicznościach zaginęła kolejna dziewczyna. Na pewno jest w niebezpieczeństwie.

Wallis myślał przez chwilę, po czym powiedział.

– To, co pan mówi, nie ma sensu. Przecież sam pan stwierdził, że nie znacie okoliczności śmierci Eleanor, a teraz pan mówi, że inna dziewczyna znajduje się w podobnej sytuacji. Czegoś tu nie rozumiem. Jak to jest naprawdę?

– Nie czas na gry – odezwał się Falcone. – Potrzebujemy pańskiej pomocy.

Wallis utkwiał wzrok w ciele, brązowym i błyszczącym pod prysznicem cuchnących chemikaliów.

– Nie wiem nic o tej drugiej dziewczynie.

Bardzo ostrożnie, obserwując jego reakcje, D'Amato powiedziała:

– A co z pańską żoną, matką Eleanor? – Drgnął ledwie dostrzegalnie. – Nie sądzi pan, że należy jej się sprawiedliwość?

– Jej matka sama odebrała sobie życie – odparł. – Nikt tego za nią nie zrobił.

– Nie ma pan poczucia żalu? – spytała. – Nie czuje się pan... odpowiedzialny?

– Umarła, bo tak zdecydowała. – Wallis wypowiedział te słowa z trudem. D'Amato dotknęła czułego miejsca.

– Nie pytam o nią. Zastanawiam się, co pan czuł.

Mężczyzna popatrzył na zegarek szklistym wzrokiem.

– Wolałbym nie rozmawiać o tych sprawach.

Falcone zauważył napięcie w twarzy Rachele. Była bardzo zdeterminowana i tego właśnie potrzebowali. Taka postawa sprzyjała dochodzeniu. Zmieniła się przez te lata, pomyślał. Kobieta, którą pamiętał i wobec której żywił uczucia, nie była tak zdystansowana od własnych emocji.

– Czy pan je kochał? – spytała. – Eleanor nie była pańską córką. Żona już od pana odeszła. Czy kochał je pan wtedy, kiedy małżeństwo się rozpadało?

– Jest pani bardzo natarczywa – obruszył się Wallis. – Wyjaśnijmy to raz na zawsze. One mnie zmieniły. Wcześniej byłem, kim byłem. One zobaczyły we mnie coś, czego sam nie widziałem. W zamian nauczyłem się je kochać, ale miałem też do nich pretensje. Człowiek taki jak ja nie jest stworzony do zmian. Zmienność nie sprzyja interesom. Utrudnia relacje z szefostwem.

Falcone spojrzał na zwłoki.

– Czy pana szefowie mogli to zrobić?

Nagle w oczach Wallisa błysnął gniew.

– Naprawdę sądzicie, że zadawałbym się z takimi ludźmi? To było dziecko, na litość boską! Z jakiego niby powodu... – Nie dokończył zdania. Jego głos się załamał. – To sprawa osobista. Nie będę o tym więcej mówić. To nie wasz interes. Nie mam wam nic do powiedzenia.

– Gdzie pan był dziś rano? – spytał wprost Falcone.

– W domu – odparł bez namysłu Wallis – z pokojówką.

– A pańscy znajomi? – zapytała D’Amato.

– Znajomi?

Wyjęła notes i przeczytała kilka nazwisk.

– Mamy ich na liście. To ludzie, których pan zna i którzy mają przeszłość podobną do pańskiej. Przylecieli wczoraj do Rzymu.

– No tak!

Czekali w milczeniu.

– Golf! – oznajmił Wallis. – Zdaje wam się, że każdego trzeba podejrzewać? Spotykamy się raz w roku, na wiosnę. Zarezerwowałem na niedzielę pole w Castel Gandolfo, potem idziemy na kolację. Niech pani zadzwoni do nich i sprawdzi. Robimy to od lat, odkąd po raz pierwszy przyjechałem do Rzymu. Doroczne spotkanie starszaków. Weteranów, jeśli pani woli. Emerytowanych żołnierzy. Czy gra pan w golfa, inspektorze?

– Nie.

– Szkoda. – Urwał, by dodać znaczenia słowom. – Sądziłem, że policjanci lubią bywać w klubach. Można w ten sposób poznać wielu ludzi.

– Nie wszyscy lubią – odparł Falcone. – Nie spytał pan.

– O co?

– Dlaczego chciałem wiedzieć, co robił pan tego ranka.

Wallis poruszył się na krześle. Odsłonił się, dał się przyłapać. Falcone po raz pierwszy widział lukę w jego obronie, był to obiecujący sygnał.

– Uznałem, że mi pan powie – głos Wallisa zabrzmiał cicho.

– Księgowy Neriego, niejaki Beniamino Vercillo, został zamordowany.

Nawet nie mrugnął. Oczy osadzone w tej posępnej, pozbawionej wyrazu twarzy wpatrywały się w niego i Falcone zdał sobie sprawę, że dawniej Wallis faktycznie mógł wywierać wielkie wrażenie samą swoją obecnością.

– Inspektorze, czy ja wyglądam na kogoś, kto chodzi po ulicach i zabija księgowych? Gdybym zaś rzeczywiście chciał się zabrać do czegoś takiego, to naprawdę pan sądzi, że właśnie od takiego człowieka bym zaczął?

– Żadnych wojen – ostrzegł Falcone. – Niech pan pamięta. Nie chcę żadnych strzelanin na ulicy. Jeśli chcecie załatwić jakieś porachunki, róbcie to gdzie indziej. I tak, żeby nie ucierpiał nikt postronny.

– Wojna? – spytał Wallis rozbawiony. – Kto mówi o wojnie?

– Tylko uprzedzam – powiedział Falcone, zdając sobie sprawę, jak słabo brzmią jego ostrzeżenia.

– Przed czym? – Amerykanin dotknął jego ramienia. – Nie mów pan niczego, co nie jest oczywiste. Akurat pan, inspektorze, powinien wiedzieć, że wojna jest naturalnym stanem ludzkości. To pokój i harmonia są obce naturze człowieka i dlatego tak trudno je utrzymać. Wojny nie są już częścią mojego świata. Ani tutaj, ani nigdzie. Natomiast inni... – rozłożył ręce w geście bezradności – ...mogą odmiennie widzieć te sprawy. Nic na to nie poradzę.

– A jeśli pana zaatakują? – spytała D'Amato.

Uśmiechnął się.

– Wówczas będę oczekiwał, że policja wywiąże się ze swoich obowiązków.

Falcone zrozumiał, że następne pytanie można było zadać tylko w jeden sposób: prosto z mostu.

– Rozmawiałem z Emiliem Nerim. Zaproponował, żebyśmy spytali pana, co się stało z Eleanor. Według niego wasz związek... wykraczał poza relacje ojczyma i córki.

Wallis zamknął oczy i wydał z siebie niski, niezrozumiały dźwięk.

– On sugeruje, że utrzymywaliście z sobą stosunki seksualne. Muszę pana zapytać, czy to prawda.

– Wierzy pan takiej szumowinie? – spytał cicho Wallis. – Sądzi pan, że taki człowiek powiedziałby prawdę, nawet gdyby wiedział, jak to zrobić?

– Sądzę, że on wie więcej, niż chce powiedzieć. Podobnie jak pan.

– Na to, co pan o mnie myśli, nie mam wpływu.

Falcone wyjął zdjęcie z tekturowej teczki, którą miał ze sobą. Były na nim Barbara Martelli i Eleanor, chyba nieświadoma tego, co się za chwilę stanie. Wciąż ubrane. Towarzyszyło im kilku wielbicieli.

Wallis zaczął wpatrywać się w fotografię.

– Co to jest?

– Naszym zdaniem zrobiono to zdjęcie niedługo przed tym, jak została zabita.

– Skąd je macie?

– Nie mogę powiedzieć. To dowód w sprawie. Zna pan tych mężczyzn? Wie pan, co to za... spotkanie?

– Nie – odpowiedział natychmiast.

– Wie pan, kim jest ta druga kobieta?

– Nie.

Falcone zerknął na Rachele D'Amato. Działo się coś dziwnego. Reakcje Wallisa były nienaturalne. Powinien zadawać pytania.

– Czy to zdjęcie z czymś się panu kojarzy? Jeśli się nie mylimy, pokazuje Eleanor najwyżej na kilka godzin przed śmiercią. Być może zabił ją jeden z tych ludzi. Naprawdę żadnego z nich pan nie zna?

Wskazał jedną postać.

– Tego znam. Pan też. To pański kolega z pracy. Nazywa się Mosca, prawda?

– Jak pan go poznał? – zapytała D'Amato.

– Chyba na jakimś spotkaniu towarzyskim, nic wielkiego. – Wzruszył ramionami.

Falcone uniósł zdjęcie.

– Takim jak to? Czy pan rozumie, gdzie Eleanor spędziła ostatnie godziny swojego życia? Zdaje pan sobie sprawę, co tam się działo?

Wyjął więcej zdjęć. Zrobionych później. Barbara i Mosca nadzy na podłodze.

– Ja w ten sposób nie spędzam czasu – powiedział zimno Wallis. – Nie, to nie wtedy poznałem Moscę. Nie wierzę, żeby Eleanor z własnej woli zaangażowała się w coś takiego. Czy jest na innych zdjęciach, inspektorze?

– Nie – przyznał Falcone – co samo w sobie jest interesujące. Proszę jednak zrozumieć, w czym problem. Wersja wydarzeń, według której Eleanor wyszła pewnego dnia z domu i zniknęła, uprowadzona przypadkiem przez jakiegoś nieznanego porywacza, jest nieprawdziwa. Tu widzimy, gdzie była przed śmiercią. Towarzyszyli jej ludzie ze znanych panu kręgów: przestępcy i policjanci. Wyglądało to tak, jakby

stanowiła swojego rodzaju... – przerwał na chwilę dla wzmocnienia efektu – ...podarunek.

Wallis pokiwał głową, rozważając jego słowa.

– Ciekawy pomysł. Zakłada pan jednak, że ludzie, którzy ją otrzymali, mieli do zaoferowania coś w zamian. Komu? Nie mnie.

– Być może będziemy mieć ślady DNA do identyfikacji. Pomógłby nam pan, oddając próbkę. Nasi kryminaliści się tym zajmą. To będzie tylko chwila. Wystarczy chusteczka albo włos, co pan woli.

– DNA? – Nawet nie drgnął. – Twierdzi pan, że po tylu latach uda wam się znaleźć ślady?

– Niewykluczone. Czy to jakiś problem?

– Żaden. – Wallis wpatrywał się w ciało. Zrozumieli, że to ostatni akt i Amerykanin już więcej nie zagra. – Zobaczyłem już dość. Nie chcę więcej odpowiadać na pytania. Da mi pan znać, kiedy będę mógł ją pochować?

Falcone przywołał laboranta i kazał mu pobrać próbkę. Patrzyli, jak obaj mężczyźni opuszczają pomieszczenie.

– DNA... – powiedziała, kiedy wyszli. – Interesujące. Wallis od razu zadał właściwe pytanie. Czy to możliwe? Patologowie faktycznie twierdzą, że po tylu latach w torfie nie będzie już nic do badania.

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Chciałem się tylko przekonać, czy odmówi.

– A skoro nie odmówił?

– To wciąż niczego nie wyjaśnia. Mógł tam być. Może uznał, że i tak nic nie znajdziemy. Po prostu nie mamy go na zdjęciu.

– Bez próbki z ciała to i tak jest bez znaczenia, Leo.

– Racja. A co z materiałem z biura Vercilla, który ci przekazałem? Kiedy będziecie mogli załatwić nakaz przeszukania domu Neriego? Chcę tam wejść najszybciej, jak się da.

Znowu uśmiechnęła się dyplomatycznie z miną mówiącą: „Nie ma mowy”. Bardzo się zaangażowała w dochodzenie. Chciała mieć je na własność i pozwoliła mu zawłaszczyć siebie. Pochłaniało ją znacznie bardziej, niż Falcone początkowo sądził. W jej życiu nie liczyło się w tej chwili nic innego. Te wszystkie szyczone ciuchy, to prawie kusocielskie zachowanie były niczym więcej jak sztuczkami w interesie, który



właśnie prowadziła.

– Potrzebujemy co najmniej tygodnia – powiedziała twardo. – Nie mogę ryzykować spaprzenia takiej gratki przez pośpiech. W sprawach, w których w grę wchodzi naruszenie własności prywatnej, musimy więc się między paragrafami jak piskorz. Informacje, które zdobyliście, dotyczą defraudacji, spekulacji finansowych i podatków. Musimy wiedzieć dokładnie, na czym stoimy, zanim będę mogła pójść z tym do sądu. Tobie będzie łatwiej. Dochodzenie o morderstwo. Urowadzenie. Dostaniesz nakaz, jeśli tylko poprosisz.

Skrzywił się.

– Rozmawiałem z doradcą prawnym. Na podstawie tego, co mamy, nie dadzą nakazu. Musimy znaleźć coś więcej.

– Nie mogę ci pomóc. – Zaczęła się zastanawiać. Może faktycznie chciała się przydać. – Leo, całą sprawę znacznie ułatwiłoby wydobycie jakichś fizycznych dowodów z ciała Eleanor. Problem w tym, że straciłeś swojego najlepszego patologa. Zadzwoń do Lupo. Ta sprawa jest chyba ważniejsza niż twoje ego.

Westchnął.

– Moje ego nie ma tu nic do rzeczy. Ta kobieta to przekleństwo mojego życia. Poza tym jest chora.

– Gdyby uznała, że może pomóc, wyczołgałaby się z łoża śmierci. Jeśli uda ci się ją przekonać...

– Być może.

Nachylił się nad pustym krzesłem, na którym wcześniej siedział Wallis, i popatrzył jej w twarz. To nie było zawodowe spojrzenie, tylko prywatne, szczere. Próbował na chwilę stać się kimś, kim był dawniej, żeby wybadać grunt.

– Zadajesz sobie czasem pytania z gatunku „co by było gdyby”? – zapytał. – Co by się działo, gdybym skręcił w lewo, a nie w prawo?

– Do czego zmierzasz? – spytała czujnym głosem.

– Chyba do niczego. Głośno myślę. Na przykład gdybyś przyjęła moje zaproszenie na lunch wczoraj, kiedy mieliśmy tylko ciało sprzed lat? Costa porozmawiałby z tą kobietą i zwołałby wszystkich dostępnych ludzi. My wrócilibyśmy tutaj, wsiedli do samochodu i pojechali spotkać się z Wallisem, który miałby wtedy całkiem inne zdanie na temat

sprawy.

Nie podobała jej się ta rozmowa.

– Nie wyszłoby na twoje, Leo. Ja i tak miałam to na swoim biurku.

– Wiem. Ale może przynajmniej zyskalibyśmy szansę wyprostować parę rzeczy, zanim to wszystko zważyło się nam na głowę. Żałuję, że tak się nie stało.

Wygładziła dłonią spódnicę.

– A co tu prostować? Mam ci przeliterować słowo „koniec”?

– Nie trzeba. Po tym, jak mi odmówiłaś i pojechałaś na zebranie, wykonałem jeden telefon, tak tylko, żeby sprawdzić, czy ktoś wie, gdzie jesteś. Nie było żadnego zebrania, prawda? Masz kogoś.

Zarumieniła się.

– Szpiegujesz mnie?

– Jestem gliną. – Wzruszył ramionami. – Czego się spodziewałaś?

– Jezu – syknęła, po czym dźgnęła go w pierś swoim długim, szczupłym palcem. – Zrozum jedno, Leo. Mam własne życie, które z tobą nie ma nic wspólnego i nigdy mieć nie będzie. Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Nawet nie próbuj spoglądać przez uchylone drzwi, gdy będziesz przypadkiem przechodził obok.

– On chyba nie jest gliniarzem ani prawnikiem. Wszyscy by wiedzieli.

– Na twoim miejscu skupiłabym się na czekających cię problemach, a nie moim życiu osobistym. Zadzwoń do tej Lupo. Potrzebujesz jej, Leo.

– Zadzwonię. – Skinął głową. – Przepraszam. Nie powinienem był tego robić. Chodziło mi tylko o to, że...

Już go nie słuchała. Korytarzem nadchodził ku nim Nico Costa i gdy Falcone zobaczył wyraz jego twarzy, zrozumiał, że przez jakiś czas Rachele D'Amato nie będzie zaprzętać mu głowy.

Była za piętnaście siódma wieczorem. Emilio Neri, zadowolony, wyszedł na taras w długim szarym szlafroku, z dymiącym cygarem Cohiba w dłoni i dał się ogarnąć refleksyjnemu nastrojowi. Było zimno, ale chciał zobaczyć, jak ostatnie promienie słońca gasną na zachodzie w smogu i mgle. To był jego rytuał na zakończenie dnia. Rytuały... Jeden z nich szesnaście lat temu zmienił jego życie. Wówczas

powątpiewał w jego sens, a nawet kpił. Ten profesor z uniwersytetu opowiadał jakieś głupoty. Był zwykłym, samotnym facetem szukającym okazji, żeby się zabawić tanim kosztem. Neri wszedł w to, bo raz, pomysł mu się spodobał, a dwa, uznał, że zdjęcia mogą przynieść zysk. Nie wierzył w to, co mówił Kirk. Naśladował innych, poszedł za tłumem i akceptował to, co się działo. Teraz, starszy i doświadczony przez czas, zastanawiał się, czy się wówczas nie mylił. Nigdy nie zapomniał słów profesora. Mówił, że chodziło o cykl obejmujący całe ludzkie życie: polowanie, gody, małżeństwo i jego konsumpcję. Na końcu wybuch euforii, który chyba tak naprawdę stanowił zasadniczą część obrzędu, bo w tej krótkiej erupcji szaleństwa tkwiła głęboka, lecz prosta prawda o ludzkiej naturze, o tym, że w każdym z nas od zawsze mieszka i mieszkać będzie bestia. We właściwej chwili należało uświadomić sobie jej istnienie, a potem obserwować, jak nasycona wślizguje się z powrotem do klatki. Teraz rozumiał, że nie ma od tego ucieczki. Randolph Kirk nazywał to obrzędem, dla Neriego to po prostu przejaw ludzkiej natury. Gdyby wtedy był mądrzejszy, być może zdołałby uniknąć całego zamieszania. Dziś pewnie wybrałby inaczej.

Neri nie był typem człowieka, który rozpamiętuje swoje błędy. W szykującej się bitwie widział okazję, by odbudować swoje życie, przekształcić je według własnego planu. Będzie mógł pozbyć się wszystkich snobistycznych pretensji, które dławili go przez dwadzieścia lat. Nigdy więcej nie będzie musiał marnować czasu w operze ani na wlokących się w nieskończoność przyjęciach charytatywnych wspierających obojętne mu cele. Pieniądze, władza i kontrola nad ludźmi z kręgów, w których normalnie się nie obracał, sprawiły, że przestał rozumieć, kim naprawdę jest. Poza krótką chwilą szesnaście lat temu nigdy nie wypuścił bestii z klatki, a nawet wtedy jej poczynania były mocno spętane okolicznościami. Nadszedł czas, by wyprostować życie, sprawić, żeby świat dobrze go zapamiętał, a potem przejść na wygodną emeryturę gdzieś na drugim brzegu Atlantyku, gdzie będzie nietykalny.

Bucci i trzech wybrani przez niego żołnierze stali w głębi tarasu w oczekiwaniu na rozkazy. Neri nie znał zbyt dobrze żadnego z nich, ale ufał osądowi Bucciego. Turyńczyk mógł zyskać zbyt dużo, żeby zawalić. To była noc, którą miasto zapamięta, która wejdzie do ksiąg historii

mafii. Chwila, w której człowiek ze starej gwardii pokazał innym, gdzie ich miejsce, wyznaczył granice swojego imperium, po czym osobiście postanowił się go zrzec.

Przypomniał sobie głodne kawałki, które lata temu wciskał mu Vergil Wallis. Gadał o szacunku dla historii i poczuciu obowiązku, które są wpisane w duszę każdego prawdziwego rzymianina i zawsze wezmą górę, niezależnie od tego, jakie koszty i ryzyko trzeba ponieść. Może Amerykanin nie był jednak taki głupi. Gdy teraz Neri z wysoka oglądał po raz ostatni miasto, gdzie stał dom, do którego nie będzie mu dane wrócić, czuł się tak, jakby kierowało nim przeznaczenie, a jego życie ukształtowali dawni Rzymianie.

Podszedł do czterech mężczyzn w głębi tarasu.

– Wszystko jasne? Wiecie, co robić?

Bruno skinął głową.

– Nie macie wątpliwości? – spytał Neri. – Żadnych pytań? Kiedy stąd wyjdziemy, nie będzie powrotu ani możliwości, żeby zmienić zdanie. Wszyscy musimy być pewni. Jutro obudzicie się w innym świecie. – Zwrócił się ku żołnierzom. – A pojutrze będziecie rozmawiać już z Buccim. To wasz szef. Jestem pewien, że okaże się dobry. Poza tym wiecie, co dostaniecie ode mnie w dowód wdzięczności. Będziecie szczęśliwi i bogaci. Cały świat przed wami. To miasto należy do was. Rozumiemy się?

Wyglądali na rzetelnych chłopów. Nie zawiodą go.

– Musicie zrozumieć jeszcze jedno – dodał Neri. – Nie ma miejsca na błędy. Jeśli któryś z was coś spieprzy, odbije się to na wszystkich i wszyscy będą go sądzić. Jasne?

– Wiedzą, o co chodzi, szefie – powiedział Bucci.

– Mam nadzieję – mruknął Neri, po czym zaciągnął się dogasającym cygarem, wyrzucił niedopałek za barierkę i patrzył, jak żarzy się, spadając w dół. – Wiecie, kiedy wpadną psy?

– Niedługo. Mniej więcej za pół godziny.

– I jesteś pewny, że wydestaniemy się stąd bez problemu?

– Bułka z masłem – powiedział Bucci pewnym głosem. – Twoje auto z Frankiem za kierownicą podjedzie od frontu, a potem ruszy, jakby się paliło. Półgłówki rzucają się za nim w pogoń. Kilka naszych wozów

stoi z tyłu domu. Podejźmy do nich przez Campo i nikt nas nie zauważy.

Neri popatrzył na niego.

– Na pewno? Zapłaciłeś skurwielom?

– Jasne.

– Widzicie? – powiedział Neri, dźgając Bucciego palcem. – To facet, który wie, co robi. Wy zaopiekujecie się mną, a potem on wami. Tak to właśnie działa. A teraz poczekajcie na dole. Chcę porozmawiać z rodziną. Bruno, zawołaj no tu Mickeya. Chcę wyprostować sprawy.

Wyszli bez słowa. Neri usiadł przy wielkim stole. Wciąż były na nim okruszki ze śniadania. Od strony drzwi dobiegł dźwięk kroków i pojawił się przerażony, zagubiony Mickey.

Neri wstał, podszedł do chłopaka, objął go i pocałował w oba policzki.

– Mickey, Mickey. Synu. Czemu tak kurewsko blado wyglądasz? Tego chciałeś cały czas, prawda? Usamodzielić się?

– Tak – powiedział niewyraźnie.

Neri zmarszczył brwi.

– Ciągłe jesteś na mnie zły o to, co się stało rano przy barierce? Kiedy dochodzą mnie takie wieści, muszę zapytać. Chyba rozumiesz?

Mickey popatrzył na podłogę.

– Ty to nazywasz pytaniem?

– Jasne. – Neri roześmiał się. – Więc twój stary to skurwiel. Nie pomyślałeś, czemu mieszkasz w takim domu? Czemu nigdy ci niczego nie brakowało? Ten drobny incydent jest już za nami. Teraz mam dla ciebie prezent, który powinienem był dać ci lata temu. W ten sposób się dojrzewa, synu, trzeba przez to przejść. Moja wina, że nie pozwoliłem ci na to wcześniej. Rozpieszczałem cię, Mickey, i to był błąd. Każdy ojciec chce chronić syna przed całym gównem tego świata, nie możesz mnie winić. Ale w pewnej chwili trzeba to zakończyć. Nadchodzi moment, kiedy mężczyzna musi się sprawdzić. Teraz twoja kolej. – Znowu go objął i mocno przycisnął. – Nie boisz się, prawda? – szepnął Neri. – Powiedz. Możesz być szczery ze swoim ojcem.

– Nie. – Wyglądał strasznie. Chyba znowu brał prochy, pomyślał Neri. – Tyle że...

– Bać się to nic złego, Mickey. Czasem strach oczyszcza umysł. Kiedy zabiłem pierwszego człowieka, byłem dosłownie przerażony. To był jakiś stary alfons z Monti, który nie chciał się nam opłacać. Zdawało mu się, że jest taki twardy. Stałem pod jego śmierdzącą norą dobre dziesięć minut ze śrutówką pod płaszczem, myśląc, że braknie mi jaj i nigdy nie wejść do środka. I wiesz co?

– Co? – spytał Mickey. Ze swoimi blond włoskami wyglądał bardziej kretyńsko niż kiedykolwiek. Neri zastanawiał się, czy chłopak tego wieczoru nie nałożył sobie farby na włosy, jakby miało go to przed czymkolwiek uchronić.

– Zdałem sobie sprawę, że jeśli ja go nie stuknę, to jakiś skurwiel przyjdzie i stuknie mnie. Tak to wygląda w naszym biznesie. Niekiedy nie masz wyboru, musisz iść i zrobić, co trzeba. Powiem ci coś jeszcze. – Neri przyciągnął Mickeya blisko do siebie i szepnął mu do ucha. – Potem jest łatwiej. Za pierwszym razem masz wątpliwości, zastanawiasz się, jak to jest, kiedy w oczach tego biednego palanta gaśnie światło. Ty też będziesz o tym myślał.

– Być może.

– Nie, na pewno. Inaczej nie byłbyś człowiekiem. Chodzi o to, że za drugim razem nie jest już tak źle. Przyglądasz się i zastanawiasz, co się dzieje w jego głowie. Patrzysz mu w twarz i myślisz sobie: „Hej, a może ja temu dupkowi wyświadczam przysługę? Pozna wielki sekret przede mną”. – Uśmiechnął się i klepnął syna w ramię. – Tyle że nie ma żadnego wielkiego sekretu. Za czwartym razem wiesz już na pewno. Po prostu w jednej chwili oddychasz, a w następnej cię nie ma. Tak jest i tak być powinno. Kiedy to zrozumiesz, przestajesz się w ogóle zastanawiać. A jeśli załatwisz jakiegoś skurwysyna, którego szczególnie nie znosisz, to nawet czerpiesz z tego przyjemność. Zaufaj staremu, Mickey. Masz to we krwi. Gdy już poczujesz bluesa, będzie szło jak po maśle.

Chłopak chyba nie dał się przekonać. Wyglądał, jakby myślami dryfował gdzie indziej.

– Dlaczego gliniarz?

– Bo tak trzeba. To cię martwi?

– Ludzie nie lubią, jak giną gliniarze.

Neri zmarszczył nos. Nie spodobało mu się to, co usłyszał.

– To zależy jacy. – Wskazał głową schody prowadzące w dół. – Musisz się pokazać. Jesteś synem szefa. Zawsze o tym pamiętaj. Nigdy nie będziesz mógł nimi dowodzić, jeśli uznają, że jesteś im równy. Kapujesz?

Mickey skinął głową. Neri nachylił się i wyjął pistolet z marynarki syna. Obejrzał go uważnie i sprawdził, czy magazynek jest pełny.

– Zabicie człowieka to najprostsza rzecz pod słońcem, jeśli dobrze się do tego zabrać. Po prostu podejdź, strzel szybko skurwielowi w łeb i po sprawie. Pracuj nad tym, Mickey. To talent, który będzie ci potrzebny. A teraz ruszaj.

– Co potem?

Neri spojrzał na niego niespokojnie.

– Nie mówiłem ci? Niedługo w domu zrobi się gorąco. Lepiej nie pokazywać się tu przez jakiś czas. Przez kilka następnych dni będziemy działać elastycznie. Pamiętaj, żeby nie wyłączać telefonu.

– Co? To gdzie ja się podzieję?

Chłopak nie myślał zbyt szybko. Niekiedy Neri zastanawiał się, czy naprawdę jest jego ojcem. Oddał mu pistolet.

– Zadzwoń. Zaufaj swojemu staremu. On zawsze dba o twoje dobro.

Mickey schował pistolet do kieszeni marynarki.

– W porządku – mruknął niemrawo.

– Jeśli zobaczysz Adele, przyślij ją tu na górę. Chcę z nią pogadać. – Neri zastanawiał się, jak zabrać się do pozostałych problemów z żoną i synem. Może mógłby załatwić je w inny sposób, niż planował, ale wtedy wyszedłby na człowieka pobłażliwego. To mogłoby mieć szersze reperkusje. Nie chciał komplikować spraw bardziej niż trzeba. – Wiesz co, kiedy teraz o tym myślę, dochodzę do wniosku, że nie powinienem był dać się nabrać na te bzdury o was. Zawsze wierzyłem ludziom, którzy opowiadali mi o tobie złe rzeczy, co było nie fair. Jestem ci winien przeprosiny, synu. Nie przypadliście sobie do gustu z Adele, prawda? Na swój widok wpadaliście we wściekłość.

– To prawda – powiedział chłopak, odwracając wzrok, by nie spotkać spojrzenia Neriego.

Costa szedł właśnie korytarzem na odprawę, którą Falcone

zorganizował w wielkim pokoju konferencyjnym, kiedy Teresa Lupo wyszła zza rogu.

– Wyglądasz okropnie – wyrzęziła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią, usiłując zrozumieć, o co jej chodzi.

– Naprawdę?

– Nie. Chciałam po prostu pierwsza to powiedzieć.

Zakaszłała w zwitek chusteczek, które trzymała w ręce, i spojrzała na niego przekrwionymi, załzawionymi oczami.

– Ale ty wcale nie wyglądasz tak źle – odezwał się. – Zdumiewa mnie, ile dziś potrafią działać leki.

– Kłamliwe, gliniarskie bydlę... – mruknęła.

– No, no, no. Masz gorączkę. Spróbuj zbić temperaturę.

– Powinnam leżeć w łóżku i się nad sobą rozczulać. Chodzi o to, że ten cham Falcone zrobił najgorszą możliwą rzecz. Niesamowite. – Przez chwilę wyglądała na zranioną. – Przeprosił mnie. Dasz wiarę?

Costa pomyślał chwilę.

– Nie. Masz to na taśmie?

– Niestety. Wątpię, czy jeszcze kiedyś usłyszę coś podobnego.

– Pewnie żadne z nas nie usłyszy. A poza tym co u ciebie?

– A, wpadłam tylko, żeby wypełnić wnioski budżetowe, odebrać mejle i podrapać się po tyłku. Dla takich jak ja chyba w tej chwili nawału roboty nie ma. A może się mylę?

– Teresa... – powiedział i podszedł do niej o krok.

– Stój, gdzie stoisz! Wirus. Jak mu zacznę zarażać ludzi, znowu się na mnie wścieknie.

– Wszystko u ciebie w porządku?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – Ale wracam do formy i niedługo będę równie podła jak dawniej. Przepraszam, Nico, nie wiem, co mi odbiło. Chyba za dużo myślałam o tej dziewczynie, która może być gdzieś tam, porzucona z mojego powodu. A wy tu medytowaliście tylko nad cudowną Barbarą. Odkryłam, że kiedy ktoś chce cię zabić, stajesz się deczko nerwowo.

– Zgadza się.

– No właśnie! – Rozchmurzyła się na moment. – Wreszcie mamy z sobą coś wspólnego. Możemy pogadać przy kolacji o naszych



koszmarach.

– Nie, póki to się nie skończy – powiedział. – Mam nadzieję, że już niedługo.

Wskazała głową pokój odpraw. Policjanci jeden za drugim znikali w drzwiach. Było ich wielu. Sam kwiat policyjnego chowu Questury, a przynajmniej na to wyglądało.

– Błyszczą ci oczy. Jakieś postępy?

Próbował przybrać wskazujący na pewność siebie wyraz twarzy.

– Tak sędzę.

Siąknęła nosem. Chyba jej nie przekonał.

– To dobrze. A co ja mam robić, skoro wy, cwaniaki, już macie wszystko pod kontrolą? Czemu szef szefów dzwoni do mnie i ćwiczę przeprosiny?

– Mogłabyś się chyba zająć wynikami sekcji zwłok. Twój pracownik wygląda, jakby miał się zaraz załamać.

– Silvio zawsze tak wygląda. Muszę dać tym ludziom trochę przestrzeni. Nie mogę im matkować i prowadzić za rączkę do końca świata.

– Co racja to racja. Hm, a może przyjrzyj się jeszcze ciału Eleanor Jamieson? Przydałoby się DNA do analizy.

Jej przekrwione oczy otwarły się szeroko.

– DNA? Powtarzam po raz setny: ona leżała w bagnie przez szesnaście lat, a ja w czynieniu cudów jestem, na razie, kiepska.

– Może się uda. Falcone skakałby z radości. Przy okazji, naprawdę chcielibyśmy się dowiedzieć, do kogo dzwonił Kirk, kiedy siedziałś zamknięta w jego gabinecie.

Przyłożyła palec do policzka, udając, że się namyśla.

– Hm, niech się zastanowię. Może pamiętam tony przycisków? Bip, bip, kurwa, bip. Nie, chyba jednak mi się nie uda.

– Sama pytałaś, co masz robić. Niestety, skończyły mi się pomysły. Muszę lecieć, łapać złych facetów i szukać zaginionych dziewczyn.

Znowu wycierała nos. Mimo wszystko ta rozmowa trochę ją pocieszyła.

– Rozmawialiście z babką z uniwerku po tym, jak do niej wpadłam? Z Reginą Morrison?

Pokręcił głową.

– O ile mi wiadomo, nikt u niej nie był. A dlaczego?

– Regina była nową szefową Kirka. Gdzieś w jej aktach musi być lista wszystkich wykopalisk, nad którymi pracował. On nie żyje i w ogóle, a ja nie mogę już tego sprawdzić. Bo niby gdzie człowiek jego pokroju miałby ukryć porwaną dziewczynę?

Costa skinął głową.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Postawiłam się w waszej sytuacji i próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest być gliniarzem.

Teresa nie powiedziała tego na głos, ale zrozumiał, co miała na myśli. Powinni byli sami na to wpaść. I wpadliby, gdyby dysponowali czasem i ludźmi.

– Dzięki – powiedział i ruszył korytarzem, by jako ostatni wejść do sali odpraw.

Adele Neri nie włożyła żakietu, wychodząc na taras. Być może sądziła, że będzie tam krótko.

– Trzęsiesz się z zimna. Masz. – Neri zrzucił szlafrok, podszedł do niej od tyłu i okrył jej szczupłe nagie ramiona.

– Jaki troskliwy jesteś tej nocy – powiedziała. – Co się stało?

– Twój język zrobił się za ostry, Adele. Wcześniej tak nie było.

Usiadł przy stole i przetarł dłonią blat z okruszków. Zajęła miejsce naprzeciw niego, zmieszana. Nie potrafiła wyczuć, w jakim jest nastroju.

– Jesteśmy na tym etapie małżeństwa – powiedziała – że trochę pozłotki już się starło.

Spojrzał spod oka. To było kiepskie wyjaśnienie.

– Naprawdę? Nie przypominam sobie, żeby tak było z innymi kobietami. Weźmy matkę Mickeya. Czasem się staraliśmy, czasem nie. Niekiedy nie mogliśmy się od siebie oderwać, a niekiedy mierzył mnie sam jej widok. Teraz tak nie jest. Przynajmniej ja tego w ten sposób nie czuję. A ty... sam nie wiem. Jesteś młoda. Powiedz mi, Adele, czy na mój widok chce ci się rzygać? Myślisz sobie, jaki jestem stary i w ogóle?

W jej jasnych, zielonych oczach błysnęła irytacja.

– Nie bądź niepoważny, kotku. Czemu przyszło ci to do głowy?

– Czemu? Bo jestem ohydny, starym capem. W dodatku grubym.

A ty... spójrz na siebie. Za każdym razem, gdy wychodzisz na ulicę, każdy chłopak się za tobą ogląda.

– Chłopcy mnie nie interesują, wiesz o tym.

– A ja? Czy ja cię interesowałem?

– Wciąż mnie interesujesz.

– Może – powiedział, wzruszając ramionami. – A może wszystko obraca się tylko wokół pieniędzy. Sam już nie wiem, Adele. Chodzi o to, że czeka nas rozłąka. Powody są czysto praktyczne. Narobiło się trochę problemów i nie ma sensu psuć ci nimi życia. To w końcu nie twoja broszka.

Spojrzała na niego kwaśno. Może uznała, że usiłuje wywołać w niej współczucie.

– Jestem twoją żoną. Twoje problemy są moimi problemami. Jeżeli...

– Nie, nie, nie – przerwał jej. – Skończ te bzdury. Nie musisz udawać. Nie ma już na to czasu. Pozwól, że ujmę to inaczej. Raz, że nie chcę, żebyś była zamieszana w to, co się teraz dzieje, a dwa, że mam swoje powody. To męskie sprawy. Takie, o których kobiety nie powinny nic wiedzieć. Skomplikowałabyś je tylko. – Popatrzył na żonę za stołem i stwierdził, że nic do niej nie czuje. – Być może paru osobom stanie się krzywda. Gdybyś była przy mnie, mogłoby to zostać źle odebrane. Jakbyś była częścią akcji. Niektóre rodziny na południu... czasem człowiek ma wrażenie, że to baba jest u steru. Tutaj tak to nie działa. Gdy się rozdzielimy, nie będę musiał się ciągle martwić, co powie ten twój jęzor. Jasne?

Obruszyła się.

– Nie odzywałabym się bez pozwolenia.

– Człowiek jest zdolny do różnych rzeczy, kiedy te sukinsyny z DIA pukają do drzwi. Z psami można dać sobie radę, ale tamci... – Spojrzał na zegarek. – Do rzeczy. Wyjeżdżam i nie wiem, kiedy będę z powrotem ani czy w ogóle jeszcze wrócę. Przez jakiś czas będziemy żyć osobno.

Skinęła głową. Neri nie był pewien, czy Adele się smuci, czy nie.

– Dokąd wyjeżdżasz?

Popatrzył na nią martwym, szklanym wzrokiem i nie odezwał się.

– Jak się z tobą skontaktować, Emilio? Jestem twoją żoną.

Stłumił śmiech.

– Nie martw się. Pieniądze masz na koncie. Będzie dość na rachunki i zakupy. Żyj, jak chcesz. Daj mi kilka miesięcy, a potem się do ciebie odezwę. Zrobimy sobie drugi miesiąc miodowy. Może do tego czasu przygotujemy się na to. Jeśli nie będziesz chciała, zadzwonię do prawników. Lepiej załatwić to polubownie, jeśli tylko się da.

– A teraz? – Wyglądała, jakby pragnęła na niego nakrzyczeć, że się tak zachowuje, tylko brakowało jej odwagi. – Co mam teraz robić?

Powiódł dłonią wokół.

– Zostań tutaj. Masz piękny dom. Możesz sprowadzić z powrotem tych twoich służących. Wiem, jak bardzo nie lubisz sprzątać. Ja ich nie znosiłem, ale pozwoliłem ci postawić na swoim. Może nie powinienem był. W końcu kto to widział, obcy we własnym domu. Ale teraz pal diabli, jak wyjadę, nie interesuje mnie, co będziesz robić, jak będziesz spędzać czas ani z kim się spotykać. – Ostatnią część zdania wypowiedział dobitniej, żeby dobrze zrozumiała, o co mu chodzi.

Podniosła się, zdjęła szlafrok i położyła mu go na kolanach.

– Będzie ci potrzebny.

– Tak. Powiedz mi jedno, Adele.

– Co takiego?

– Czy ty mnie kiedyś zdradziłaś? To już teraz jest dla mnie nieważne. Mam większe sprawy na głowie.

– Niby czemu miałabym to robić? – spytała.

– Nie wiem, chyba dla seksu. Albo z nudów. A może... – zdał sobie sprawę, że żadna z tych rzeczy nie byłaby dla kobiety takiej jak Adele wystarczającą motywacją – ...bo chciałaś.

– To kiepskie powody. Zbyt kiepskie, żeby ryzykować życie.

Roześmiał się.

– No tak, masz rację. Jesteś bystrą dziewczyną. Dlatego właśnie zwróciłem na ciebie uwagę, jak się poznaliśmy. Nigdy nie lubiłem tępych bab.

– Dzięki – mruknęła.

– Pamiętaj jedno. Na końcu musi zostać zachowana równowaga. Jakiś skurwiel z Ameryki zabija jednego z moich ludzi, ja robię mu coś

w zamian. Ktoś dyma mnie, ja dymam tego kogoś. Tylko że mnie to lepiej wychodzi, uderzam mocniej. Kończę sprawy. Wygrywam, bo na tym polega równowaga. Takie jest moje miejsce na szali. To nie żarty, Adele. Nie chcesz, żeby ci przytrzymał w drzwiach twój piękny nosek, wierz mi.

Wstał, podszedł do niej i pocałował w policzek. Jeden krótki pocałunek.

– Zostań tutaj, pooglądaj telewizję, zrób sobie drinka. A jak przyjdą psy, nic im nie mów. Powiedz, że pojechałem na ryby. Dobra?

Z zewnątrz dobiegł znajomy dźwięk silnika pracującego na wysokich obrotach. Na bruku Via Giulia zapiszczały opony. Emilio Neri wiedział, co to oznacza. Zaczynała się właśnie pierwsza część spektaklu.

– Ciao – rzucił i poszedł ku schodom.

Trwała zimna noc. Powietrze było czyste, na niebie jaśniały gwiazdy i srebrny, błyszczący dysk księżyca. Konwój policyjny prowadzony przez samochód z włączoną syreną rozcinał uliczny ruch wieczornych godzin szczytu. Falcone, Costa i Peroni jechali w aucie tuż przed zamykającą kolumnę uzbrojoną furgonetką wyładowaną ludźmi. Radio jazgotało nieustannie i dochodziły ich strzępy informacji, które nie zapowiadały niczego dobrego. Tajniacy rozstawieni wokół domu Neriego donieśli kwadrans wcześniej, że gangster nieoczekiwanie wyjechał. Jedna ekipa porzuciła obserwację i ruszyła za nim, ale samochód urwał im się gdzieś w okolicach rzeki. Druga grupa dostrzegła dwa inne wozy ruszające z piskiem opon z alejki na tyłach domu, ale pozbawieni samochodu policjanci mogli się tylko przyglądać, bez szans, żeby ruszyć w pościg.

– Jaki mamy plan? – zapytał Costa. – Pojedziemy za nim?

Falcone pokręcił głową.

– Za którym? Mamy numery samochodu Neriego, ale postawiłbyś pieniądze, że będzie właśnie w nim? Zobaczymy, kto został w domu. Najpierw chcę się rozmówić z synem, gdziekolwiek jest. Chryste, co za zgranie w czasie. Jak Neri się dowiedział, do cholery?

Costa i Peroni popatrzyli na siebie. Falcone zorganizował dużą operację: dziesięć wozów, w tym pięć nieoznaczonych, do tego dwa samochody DIA z Rachele D'Amato na czele. Działania na taką skalę

trudno utrzymać w tajemnicy.

Skręcili w wąską Via Giulia. Opony zahuczały na kostce brukowej. Wtedy zauważyli światła reflektorów ekip telewizyjnych, flesze aparatów fotograficznych i zgraję dziennikarzy czekających na schodach domu Neriego.

Falcone wpadł w furję, kiedy ich zobaczył. Przypomniał sobie, co Rachele D'Amato obiecała Neriemu tego ranka: że jego odejście stanie się, w taki czy inny sposób, wydarzeniem publicznym. Zaklął cicho. Spojrzał na samochód, którym jechała, i zobaczył jej szczupłą sylwetkę. Wysiadła i ruszyła w stronę domu, prześlizgując się wśród watah dziennikarzy.

– Stań tutaj – rozkazał. – Nie chcemy mieć tych sępów na karku. Poza tym wolałbym, żeby ona nie weszła do środka przed nami.

Costa zatrzymał wóz przy krawężniku obok średniowiecznej fontanny i wszyscy troje z rosnącą trwogą zaczęli się przyglądać zamieszaniu na ulicy. Ekipy telewizyjne walczyły z reporterami z gazet, przepychając się, by być bliżej miejsca zdarzeń. Podjechał pierwszy oznakowany samochód policyjny i wysiedli z niego szturmowcy. D'Amato z kilkoma swoimi pracownikami stała w oczekiwaniu, kiedy drużyna zwalistych, umundurowanych policjantów przebiegła obok, zajęła pozycje i na sygnał ruszyła z wielkimi młotami, by rozwalić kosztowne, wypolerowane drewniane drzwi. Nie mieli dużo miejsca. Mały van z logo jednego z mniejszych kanałów kablowych stał tuż przy budynku, jego tył niemalże dotykał ściany. Ludzie z młotami musieli cisnąć się za wozem, żeby wykonać zadanie. Furgonetka blokowała ich ruchy i nie mogli się porządnie zamachnąć.

Wreszcie jeden z policjantów wspiał się na karoserię i potężnie uderzył w drewnianą powierzchnię. Drzwi wypadły z zawiasów. Ktoś wsunął rękę w powstały otwór, żeby otworzyć zamki od wewnątrz. Rachele D'Amato od razu znalazła się przed progiem wraz z kilkoma ludźmi z DIA, podczas gdy gliniarze z ekipy szturmowej stali z otwartymi ustami i czekali na polecenia.

– Cholera – syknął Falcone i ruszył truchtem ku zbiegowisku. Costa i Peroni trzymali się tuż za nim. Gdy dobiegli na miejsce, ludzie w mundurach popatrzyli na nich z pytaniem w oczach.

– Następnym razem czekajcie na mnie – burknął Falcone. – Nie pozwólcie nikomu więcej wejść. Nikt też nie może wychodzić bez mojego pozwolenia.

Ruszyli schodami w górę za Falconem. Ekipa z DIA znacznie ich wyprzedziła. Pokój na pierwszym piętrze, gdzie tego ranka widzieli żołnierzy Neriego, był pusty. W popielniczce wciąż dymił niedopałek. Na niskim stoliku stał w połowie pełny kubek z kawą. Peroni sięgnął po niego.

– Jeszcze ciepła. Zaplanowali to jak w zegareczku.

– Wiedzieli, co robią – mruknął Falcone i zamilkł.

Ludzie z DIA sprzeczali się na dole, dopóki kobiecy głos nie rozkazał im się zamknąć. Rachele D'Amato weszła do pokoju ze swoją ekipą, stanęła przed Falconem i skrzyżowała ramiona. Była wściekła.

– W tym domu nie ma żywej duszy, Leo. Znowu coś wyciekło z Questury?

– Nie zaczynaj – ostrzegł Falcone. – Co ty sobie myślisz? Wbiegłaś tu przed nami. A ten harmider na ulicy to jakiś kawał? Naprawdę zadzwoniłaś po hieny? To dochodzenie policyjne, nie twoje. DIA nie ma nawet nakazu...

Sięgnęła do torebki i wyjęła plik dokumentów.

– Chcesz przeczytać?

Spojrzał na papiery spod oka.

– Mówiłaś, że...

– Zmieniłam zdanie. Informacje z biura księgowego są na wagę złota. Możemy zamknąć grubasa na lata. Jego i mnóstwo innych.

– Jeśli go znajdziecie. A jak to skomentują w telewizji?

– Leo! – jęknęła. – Ja po nich nie zadzwoniłam! Ani nikt inny z DIA! Trzymaliśmy akcję w ścisłej tajemnicy, więc to nie moja wina.

Falcone popatrzył na nią.

– No tak, wy jesteście tacy czyści.

– Co...?

Costa rozmawiał przez komórkę z centralą. Rozłączył się i powiedział:

– Znaleźli samochód Neriego. W środku siedziało tylko paru jego żołnierzy. Jeździli sobie bez celu po Testaccio. To był wabik.

– Gdzie oni są, do cholery? – zapytał Falcone. – Gdzie jego syn, żona? Nie pojechali przecież na rodzinne wczasy. Co on szykuje?

– Może ruszył na wojnę – zasugerowała D’Amato. – Mamy jego dom. Możemy przetrząsać go do woli. To podarunek.

Peroni delikatnie położył rękę na jej szczupłym ramieniu.

– Zdaje się, że mamy tu konflikt interesów, paniusiu. Przypomnę, jeśli pani zapomniała: my szukamy zaginionej dziewczyny. W tej chwili nie interesują nas wyszykowane specjalnie dla nas notatki pana Neriego. Mogą poczekać na lepszy dzień.

– Chcę znaleźć syna – powiedział Falcone, po czym podszedł do szerokiego okna i popatrzył w dół na ulicę. Harmider cichł. Ekipy telewizyjne pakowały sprzęt. Ich też nabrano. Liczyli na newsa, nieudany rajd na lokalnego mafiosa, ale się przeliczyli. Nie było żadnej akcji, nic, czym można by zaatakować z pierwszych stron gazet. Ekipa policyjna, która wyważa drzwi, to drugorzędny materiał. Ktokolwiek dał im cynk, musiał wiedzieć, że się rozczarują, co wskazywało, że mógł to być sam Neri, chociaż Falcone nie miał pojęcia, czemu stary gangster miałby to robić. Popatrzył na Rachele D’Amato. – Zajmijcie się tym domem. Jeżeli znajdziecie jakiegokolwiek informacje, które wiążą się ze sprawą Julius, zadzwoń do mnie. To nie jest prośba. Jeśli będziecie się ociągać choćby przez sekundę, ja pogadam z dziennikarzami i powiem, kto nam niepotrzebnie utrudnia dochodzenie. Musimy znaleźć Mickeya Neriego i tę babkę. Kogoś, z kim można porozmawiać.

Pokiwała mu przed twarzą długim, wypiełgowanym palcem.

– O nie, Leo. Nie próbuj zrzucać odpowiedzialności na mnie. Zajmujemy się sprawami DIA, nie twoimi. Jeśli chcesz, zostaw tu swoich ludzi.

– Ja nie mam ludzi, do cholery! – inspektor krzyknął tak głośno, że nawet gliniarze pod drzwiami przestali na chwilę rozmawiać. – Nie rozumiesz? Został jeden dzień, żeby ją znaleźć, a może mniej! Nie dysponujemy żadnymi śladami. Nie wiemy nawet, gdzie zacząć poszukiwania. W każdym razie nie tu, nie w tych twoich cholernych księgach. Najpierw trzeba znaleźć Mickeya Neriego.

Może to coś da, pomyślał Falcone. Nie wiedział nic więcej, ale sądził, że trzeba trzymać się tej strony dochodzenia, gdzie pojawiają się



ludzie. Uznał, że rezultaty osiągnie wtedy, kiedy znajdzie właściwe osoby i skłoni je do mówienia.

– Leo? Leo!

Usłyszał jej głos, kiedy był już w połowie schodów. Szła za nim, głośno wykrzykując argumenty. Po chwili stanęła, odwróciła się i dołączyła do swojej ekipy. Zaczynali pracę. Jej pracę. Falcone tego nie rozumiał. W końcu D'Amato dostała, co chciała. Neri uciekał. Miała na tacy każdy najdrobniejszy szczegół jego imperium. Czy coś by się stało, gdyby zgodziła się spłacić część długu? Czemu wendeta, której DIA chciała dokonać na Nerim, była ważniejsza niż życie nastolatki?

Szybkim krokiem wyszli z domu na ulicę, przeciskając się obok telewizyjnego vana, który wciąż stał przy rozwalonych drzwiach. Prawie wszyscy dziennikarze już się rozjechali. Garstka gliniarzy w mundurach i po cywilnemu stała opodal wejścia z wypisanym na twarzach poczuciem winy, że podsłuchiwali kłótnię.

– Możecie się rozejść. Teraz to sprawa DIA. Wracamy do Questury. Zobaczymy, czy ktoś zadzwonił.

Ludzie pokiwali głowami. Wyczuli klimat.

– Ale ze mnie idiota – powiedział Falcone, kiedy szli do samochodu.

– Po prostu mają swoje priorytety, Leo – zauważył Peroni. Falcone spojrzał na niego ostro. – Przepraszam: panie inspektorze. Można się było tego spodziewać. Może ja i chłopak wrócimy tam i się trochę rozejrzemy.

– To nie ma sensu – odparł Falcone. – Ona da nam znać, jeśli coś znajdzie. Inaczej jak by to wyglądało? Poza tym... – musiał sobie poukładać w myślach fakty – ...tam na pewno nie ma nic, co mogłoby nam się przydać. Neri zaplanował wszystko do najdrobniejszego szczegółu. Zrobił nas w konia. Zdechłby ze śmiechu, gdybyśmy tam zostali i przetrząsali wszystkie zakamarki.

– W sumie racja – zgodził się Peroni. – Teraz to widzę. Ciągłe trudno mi myśleć tak, jak myślicie wy, w dochodzeniówce. To wszystko jest takie... śliskie.

Zadzwonił telefon Costy. Nico odsunął się na bok, by lepiej słyszeć pełen emocji głos w słuchawce.

– Czemu Neri tak to ustawił? – zastanawiał się na głos Falcone. Jak na niego to działanie na zbyt małą skalę. Gliny najadły się wstydu i tyle, a on jest ponad takie drobne zagrywki. Nawet dziennikarze pojechali, kiedy zorientowali się, że nie będzie żadnego dużego aresztowania, a stary, gruby gangster nie pojawi się na schodach skuty kajdankami i nikt go nie wepchnie do samochodu głową naprzód. Więc się zwinęli.

Z wyjątkiem jednego vana.

– Szefie – powiedział Costa podnieconym głosem. – Chyba coś mamy. Właśnie dostaliśmy anonimowy telefon. Ktoś widział dziewczynę, która wygląda jak Suzi. Nie dalej niż pół godziny temu.

– Gdzie? – zapytał Falcone, wciąż pogrążony w rozmyślaniach o tym, co zaszło i co z czym się łączy.

– Gdzieś przy Cerchi. Dokładnie nie wiem.

– Niedobrze – powiedział Peroni. – Po tej ulicy można jeździć całą noc.

Cerchi biegła wzdłuż Circus Maximus, który obecnie był placem w kształcie stadionu, leżącym za wzgórzem Pałatynu. Wzdłuż niej stały ruiny pałaców z epoki Augusta.

Costa przypomniał sobie relację Teresy z rozmowy z Reginą Morrison.

– Kirk i Mickey mogli korzystać ze starych wykopalisk. Możemy pogadać z szefową profesora. Dostaniemy pełną listę miejsc, przy których pracował.

– Załatw to – polecił Falcone. Podszedł do samochodu i położył rękę na klamce, wciąż o czymś myśląc. – Idź tym śladem, Nico. Pojedziemy tam od razu. Tutaj nie ma nic.

Obejrzał się wstecz na ulicę. Stali dobre pięćdziesiąt metrów od drzwi domu Neriego. W zasięgu wzroku nie było już żadnej ekipy telewizyjnej. Tylko samotna furgonetka ciągle stała pod domem, przechylona, z kołami na krawężniku.

– Widzicie ten wóz koło drzwi? – spytał Falcone. – Ktoś z was widział, żeby dziennikarze go używali? Czy któraś z tych hien z telewizji w ogóle do niego wchodziła?

– Ja nie widziałem – odpowiedział Peroni, zaskoczony.

Falcone popatrzył na Costę, kalkulując w myślach różne

możliwości.

– Ja też nie – odparł Costa. – Sądzisz, że...

Nie dokończył zdania. Ziemia pod ich nogami zatrzęsa się, kostki brukowe podskoczyły. Zaraz potem rozległ się huk tak potężny, że prawie nierealny, jakby napał na nich dźwiękowy mur czystej furii wdzierającej się w głąb czaszki.

Z tylnej części vana trysnął gwałtowny, ognisty jęzor. Wóz uniósł się, jakby pociągnięty ku niebu jakąś niewidzialną siłą. Na ułamek sekundy cały świat zamarł, a potem nadeszła fala dzikiej kakofonii i bezlitosna, twarda, karząca pięść podmuchu.

Gdy eksplozja ucichła, Costa leżał na zimnej ziemi, zdyszany i ogłuszony. Rękami obejmował głowę. Peroni stał z otwartymi ustami oparty o samochód. Gwałtownie wdychał powietrze i wyglądał jak porażony. Falcone rzucił się do furiackiego sprintu. Tak szybko, jak potrafił, biegł z powrotem w stronę domu Neriego, gdzie burza płomieni szalała wokół czarnego wraku, który kiedyś był furgonetką, a jęzory ognia chciwie lizały rozwalone resztki domu.

Costa i Peroni podążyli chwiejnie za inspektorem. Powietrze cuchnęło dymem i zapachem spalonych chemikaliów ładunku wybuchowego. Wszędzie wokół wyły alarmy samochodów uruchomione falą uderzeniową eksplozji. Jakiś człowiek wrzeszczał, trzymając się za brzuch. Dwóch innych leżało na ziemi w bezruchu. Ze stojącego za rogiem wozu do tłumienia zamieszek wybiegła drużyna policjantów. Rozglądali się i zastanawiali, od czego zacząć.

Nie dało się jasno myśleć. Nico popatrzył po rażonych szokiem twarzach ludzi wokół i nie potrafił żadnej rozpoznać. W nagłej erupcji szaleństwa świat stał się anonimowy, zmienił się w pojemnik na ofiary.

Wybuch pochłonął dwa piętra budynku. Gdy pył zaczął opadać, Costa dostrzegł w słabym świetle latarni wnętrza pokoiów domu Neriego i stojące w nich sprzęty: stoły, krzesła, telewizor, kuchnię rozciętą na pół wściekłą siłą eksplozji. Tu i ówdzie pojawiały się języki ognia. Na drugim piętrze jakaś postać tańczyła desperacko, jakby próbując odpędzić obejmujące ją ze wszystkich stron płomienie, po czym stoczyła się z krawędzi zerwanej podłogi i runęła w chmurę pyłu unoszącą się wokół vana.

Falcone przedzierał się przez hałdę gruzu, która nieco wcześniej stanowiła fronton domu Emilia Neriego. Chwytał cegły i odrzucał je na bok, usiłując utorować sobie drogę. Leżało przed nim roztrzaskane ciało, wygięte pod dziwnym kątem. Spod dymiących resztek wystawało szczupłe, okrwawione, poczerniałe od ognia ramię, zupełnie nieruchome.

Cichy, spokojny głos odezwał się w głowie Costy: „Myśl”.

Kiedy przybyły ambulanse i wóz strażacki na sygnale, skąpany w potokach niebieskiego światła przecisnął się pomiędzy odrzuconymi siłą wybuchu samochodami, Nico Costa przejrzał swój notes, odnalazł właściwy numer telefonu, po czym wszedł do bramy sklepu z antykami, gdzie mógł znaleźć nieco ciszy, i wcisnął guzik połączenia.

– Pani Morrison – powiedział, kiedy odezwał się w słuchawce kobiecy głos. – Nie zna mnie pani. Jestem przyjacielem Teresy Lupo, detektywem policyjnym. Muszę z panią porozmawiać.

W telewizji trwała transmisja meczu Roma kontra Lazio. Wielkie miejscowe wydarzenie. Roma nie dawała szans przeciwnikom. Znowu. Toni Martelli słyszał okrzyki triumfu z sąsiednich mieszkań. On sam kibicował Lazio. Dla niego Roma wciąż była drugoligowym klubikiem dla plebsu, który niestety w dzisiejszych czasach trzymał miasto w garści. Martelli nie był na meczu od lat. Odkąd odszedł ze służby, stracił przywileje pracownicze. Teraz, kiedy Barbara nie żyła, od niej też nie dało się już wyciągnąć darmowych biletów.

Rozmawiał przez telefon z Falconem. Dowiedział się, że dostanie ciało do kremacji za tydzień, ale gdyby chciał o czymś opowiedzieć, może dałoby się wcześniej. Martelli powiedział mu, gdzie może sobie wetknąć taką propozycję. Dziewczyna nie żyła. O czym tu gadać?

Później telefon zadzwonił ponownie i Martelli usłyszał nowiny, których się chyba podświadomie spodziewał. Zamknął się w swoim wielkim mieszkaniu z wagonem papierosów i butelką grappy, którą zamówił w barze na rogu, i czekał, oglądając mecz piłkarski, tę bitwę w sportowym przebraniu, ludzką brutalność udającą, że jest czymś innym, czymś szlachetnym i eleganckim. Jak dzikus tańczący *Jezioro łabędzie*.

Tuż po dziesiątej klucz w zamku zaczął się niepewnie obracać, jakby ktoś podchmielony próbował wejść do środka.

– Kowboje. – Martelli pociągnął nosem. – Nie mają nawet na tyle przyzwoitości, żeby przysłać zawodowca.

Wyłączył telewizor i światło po swojej stronie pokoju, nadając mu taki wygląd, jaki zaplanował. Siedział teraz na wózku inwalidzkim w ciemności. Trudno było go dostrzec. Dwie mocne lampy z salonu nakierowane były na drzwi wejściowe znajdujące się z drugiej strony korytarza. Facet powinien wejść prosto w światło, może nawet zmruży nieco oczy. Toni Martelli wszystko dobrze przemyślał. Przewidywał, jaki będzie wynik pojedynku, ale nie zamierzał nikomu ułatwiać sprawy.

W korytarzu zamajaczyła ludzka sylwetka. Gość był zbyt wystraszony, by sięgnąć do włącznika. Martelli miał przy sobie pilota, którego dostał od ludzi z opieki społecznej. W końcu trzeba skorzystać z możliwości, które daje inwalidztwo. Począł, aż facet znajdzie się blisko drzwi do pokoju, po czym włączył lampy. Zaświeciły się trzy mocne żarówki umieszczone w regularnych odstępach na długim suficie. Pod drzwiami stał ubrany na czarno Mickey Neri. Wymachiwał idiotycznie przed sobą pustymi rękami.

– Mam broń, dupku – warknął Martelli z ciemności zalegającej w rogu salonu. – Wielkiego shotguna. Chcesz zobaczyć, jak z niego walę?

Mickey odwrócił się, by uciec. Martelli przeładował głośno strzelbę. Nabój kalibru dwanaście, jeden z czterech w magazynku, wszedł do komory.

– Stój, synku! – zawołał. – Chodź tu i siadaj. Niech ci się przyjrzę.

Mickey wszedł ostrożnie do pokoju i usiadł w fotelu, który ruchem głowy wskazał mu Martelli.

– Mickey. – Policjant westchnął. – Stary cię przysłał?

– Tak – odwarknął żałośnie, usiłując ukryć strach. – Czy my się znamy?

– Z dawnych lat. Różne rzeczy żeśmy razem wyczyniali. Wtedy nam się zdawało, że można je zagrzebać i zapomnieć. Nie poznajesz mnie? To naprawdę obraźliwe. Zdaje się, że... – Nagle Martelli zaczął gwałtownie kaszleć. Nie potrafił się powstrzymać. Atak trwał w nieskończoność, aż wreszcie stary policjant zdołał odkaszląć flegmę. Gdy się uspokoił, powiedział: – Zdaje mi się, że byłeś jednym

z chłopców, którzy mieli sobie poużywać, jak oddałem moją córkę w ręce twojego tatki. Niech mnie kule, jeśli wiedziałem, co się będzie działo.

– Sam pan stwierdził, że to było dawno – wymamrotał Mickey ze zmarszczonymi brwiami, jakby usiłował sobie przypomnieć stare dzieje.

– Mało kto pamięta, co działo się potem.

– Ja pamiętam.

Mickey skinął głową. Patrzył na Martellego szczerym wzrokiem. Stary policjant dobrze wiedział, jakie pytanie chłopak stawia sobie w myślach: „Czy ten kruchy staruszek jest naprawdę tak chory, jak wszyscy sądzą?”.

– A poza tym, jeśli mnie pamięć nie myli, pan też całkiem tego sobie poużywał. Nie przypominam sobie, żeby chciał się pan wycofać, panie Martelli. Wy, starzy... Chcieliście po prostu dorwać się do świeżych młódek. Równie łapczywie jak wszyscy.

Martelli zakołysał lufą strzelby i znowu zakaszłał, choć tym razem słabiej.

– Dzieciaki, zawsze takie same. Żadnego szacunku.

Nagle podrzucił lufę i pociągnął za spust. Śrut przeleciał nie dalej niż metr od przerażonego Mickeya i wywalił w stole jadalnym potężną dziurę. Toni Martelli zaczął liczyć czas. Mieszkał w bloku. Ktoś usłyszy, ktoś wezwie gliny.

– Ty pieprzony świrze! – zaskowyczał Mickey. – Ty...

– Morda w kubek. Ja i twój stary zawarliśmy układ, o którym on ci oczywiście nie powiedział. Jeśli wyjdiesz stąd żywy, on będzie z tobą kwita. A jeśli będziesz leżał rozpaćkany na podłodze, kiedy wpadną tu psy, to też dobrze. Rozwaliłem jakiegoś łobuza, który próbował mnie okraść. Emilio Neri jest moim dłużnikiem. A ja załatwiłem jego synalka. Co ty na to, Mickey? Stary się na ciebie wkurzył czy jak?

– Pan w to wierzy?! – krzyknął Mickey, wybałuszając pełne przerażenia jasne oczy. – To prawda? Bo jeśli tak, obaj jesteśmy martwi!

– Ja już jestem martwy, kretynie. – Martelli zakaszłał, potem znowu, mocniej. I nagle było tak, jakby w jego piersiach coś ożyło, jakby nowotwór wystraszył się strzałów i zamieszania. Wielka, czarna chmura bólu podniosła się z wnętrza płuc, zamrażając resztki czucia

w kręgach policjanta. Jego umysł zaciemnił agonalny ból. – Yyyeeyeee... – zawył, rzucając się w wózek ze strzelbą w rękach. Usiłował ją utrzymać, ale wydawało się, że ona ma własne plany. Chciał wstać, poprosić o czas i pójść na spacer, byle dalej od tego szaleństwa.

Gdzieś była morfina. Barbara trzymała ją dla niego. Odkąd umarła, nie potrzebował leków. Wydawało się, że coś w jego wnętrzu powstrzymuje bolesne nawroty choroby. Lecz teraz rak uderzył ponownie, przesłonił mu wzrok, zaćmił myśli.

Martelli nie mógł tego dłużej znieść. Wypuścił strzelbę z dłoni, pozwolił jej opaść na kolana i wolną ręką z całej siły napał na koło wózka. Sam nie wiedział, jak to się stało, że przeładował broń, najpierw raz, potem drugi. Dwie eksplozje huknęły w pokoju. Pierwszy strzał rozwalił duże okno wychodzące na podwórze. Ryknęły dźwięki meczu i dzikie wrzaski kibiców w salonach sąsiednich mieszkań, dał się też słyszeć niski pomruk wystraszonych ludzkich głosów.

Druga porcja śrutu poleciała w innym kierunku, mniej więcej w stronę Mickeya, który rzucił się z fotela na podłogę, próbując się ukryć.

W głowie Martellego przejaśniło się trochę, a ból zelżał. Wózek przestał kręcić się w miejscu. W gardle policjanta zamarł skrzekliwy, głupawy pisk. I w tej chwili Toni Martelli zdał sobie sprawę, że w taki czy inny sposób za chwilę dotrze do końca drogi. Oferta Neriego nie miała znaczenia. Uniosła się nad nim większa, mroczna siła, która szykowawała się, by go pochwycić i wszystkie mafie świata nie potrafiłyby jej powstrzymać.

Młody Neri wił się po podłodze. Martellego doszły jego desperackie jęki. Zastanawiał się, jak mocno przywalił dzieciakowi. Pokręcił głową.

– Nasz mały króliczek – zaskrzeczał. – Czemu tak piszczy? Z bólu? Czy dlatego, że wie, co ból zakończy? Trochę odwagi, chłopcze.

– Ty stary, popieprzony durniu – wychrypiał Mickey skądś poza nikonącym polem widzenia Martellego. – Miałem coś dla ciebie. Obaj mogliśmy z tego wyjść.

– Chrzanisz – powiedział krótko policjant. – Nikt już niczego dla mnie nie ma. – Podniósł strzelbę, wiedząc, że w komorze został ostatni

ładunek i trzeba użyć go dobrze, bo inaczej Mickey Neri jakoś wyjdzie z jego mieszkania żywy, a to bez wątpienia byłoby przestępstwo.

Martelli znowu zaczął kaszleć i trwało to tak długo, aż usłyszał świst powietrza w płucach, a potem kaszlał dalej. Krztusił się własną krwią. Zastanawiał się, skąd się wzięła i dlaczego konowały nie powiedziały mu nigdy, że tak to się skończy. Strzelba wciąż leżała na jego kolanach, ale nie miał siły jej unieść. A Mickey Neri nie wił się już po podłodze. Leżał w drzwiach i patrzył na niego z iskierką nadziei w oczach. Mały skurwiel nie był nawet draśnięty.

– Co, do kurwy nędzy... – zaczął mamrotać Martelli, ale nie mógł wymówić słów, bo w ustach miał pełno czegoś lepkiego, a w głowie kompletny miszmasz.

W dodatku ból...

Tym razem jakby inny.

Spojrzał w dół, na broń. Była pokryta krwią. Jego własną. Tą samą, która jakimś cudem wylała się z jego płuc i zaplamiła przód koszuli.

Chciał poczuć gniew. Chciał zabijać.

Przez drzwi weszła jakaś kobieta. Szczupła, ruda, z takim wyrazem twarzy, że ogarnął go strach.

– Co, do kur... – zaczął.

Miała w ręce pistolet. Trzymała go fachowo, tak jak trzyma się przedmiot, którego zamierza się użyć.

Mickey podniósł się na kolana i popatrzył w górę, jakby z jej błyszczących oczu spłynęło na niego boskie światło. Kobieta pokręciła głową z wyrazem dezaprobaty. Rude włosy poruszyły się powoli w półmroku starego domu.

– Tak to się robi – powiedziała, a potem podeszła do policjanta, uśmiechnęła się do niego krótkim, zimnym uśmiechem i wpakowała mu kulkę w łeb.

Peroni miał pełne ręce roboty.

Cegły, szkło i beton cięły opuszki jego palców. Gryzący, duszący pył wypełniał usta i szczypał w oczy. Za każdym razem, gdy wraz z Falconem próbowali zrzucić kawał gruzu z poranionego, nieprzytomnego ciała Rachele D'Amato, inny kawał wpadał na miejsce tamtego. Dom gangstera wyglądał, jakby miał się zaraz rozpaść do



reszty, podobnie jak cały świat wokół nich. Starodawna konstrukcja traciła spójność, a w jej środku ziała potężna wyrwa. Było bardzo mało czasu. Falcone walczył z belką, strzaskaną jak długi, spróchniały konar, która leżała na piersi kobiety. Belka nie chciała się ruszyć, a Peroniemu przyszło do głowy, że może to i lepiej. W ciemności trudno było stwierdzić, która część zniszczonego budynku wspiera się na której. Gdyby chwycili zły fragment, ledwie stojące ściany mogły w jednej chwili runąć.

Położył rękę na ramieniu Falconego.

– Leo – wydyszał, pozbawiony oddechu. – To nic nie da. Jeszcze zawalimy na nią cały budynek. – Wysoki inspektor nie przerwał pracy. Chwytał i odrzucał kawałki gruzu oraz cegły. Peroni potrząsnął jego ramieniem. – Leo!

Falcone znieruchomiał. Wydawał się zagubiony. Peroni nigdy wcześniej nie widział go w takim stanie. Zaniepokoił się. Potrzebowali trzeźwego osądu inspektora. Cały wydział wspierał się w tej chwili na jego barkach. Był niezastąpiony.

– Jest tu ekipa ratunkowa. Znają się na swojej robocie. To ich praca. Zajmijmy się naszymi sprawami, dobra?

Zewsząd zjeżdżały się pojazdy. Z wyposażonych w podnośniki wozów strażackich wysypali się strażacy, których dowódcy chodzili teraz ostrożnie wśród resztek po wybuchu, próbując ustalić, jak najlepiej ogarnąć sytuację. Sanitariusze w jaskrawożółtych kurtkach rozglądali się, od kogo zacząć.

– Ona oddycha – wydyszał Falcone. – Widzę, że oddycha...

Rachele D'Amato żyła. Ledwie. Peroni ruchem głowy wezwał grupkę ratowników, którzy właśnie zajęci byli rozkładaniem czarnych, plastikowych płacht na kilku ciałach.

– Kobieta ma szczęście. Mamy co najmniej trzech zabitych.

Peroni wiedział, że mogło być gorzej. Policjanci w uzbrojonym wozie mogli z niego wyjść, zamiast siedzieć wewnątrz. Pijawki z mediów mogły jednak nie odjechać, tylko węszyć wokół. Poczuł, że to za dużo na jego głowę. Mieli do czynienia ze świadomie zorganizowaną masakrą, wyrachowanym aktem wielokrotnego morderstwa na skalę nieznaną wcześniej temu miastu.

Dwaj strażacy przepchnęli się ku nim i przyjrzeni D'Amato, po czym kazali się odsunąć policjantom.

– Próbowaliśmy pomóc – zawołał do nich Peroni.

– Miło z waszej strony – odparł jeden ze strażaków. Ciągnął za sobą jakiś podnośnik i wydał polecenie, by drużyna wsparcia przyniosła więcej sprzętu. – A teraz zróbcie nam miejsce.

Falcone zamknął na chwilę oczy, usiłując stłumić gniew. Chwycił strażaka za ramię.

– Dowodzę tą akcją... – zaczął, ale coś w oczach mężczyzny sprawiło, że przerwał.

– Nie interesuje mnie, kim pan jesteś, do diabła – powiedział strażak. – Myśmy tu przyjechali, żeby wyciągnąć ludzi spod gruzów, a jeśli mi pan będziesz wchodził w drogę, to niech Bóg ma pana w opiece.

– Dobrze, w porządku – powiedział ugodowo Peroni, delikatnie odciągając Falconego.

Strażacy już nie słuchali. Dwóch z nich było przy D'Amato. Ostrożnie zdejmowali z niej gruz, wołając o więcej sprzętu i sanitariuszy.

Falcone przyglądał im się z rozpaczą na twarzy.

– Gianni... masz papierosa? To nie jest dobry dzień na rzucanie palenia.

Peroni, na ile to było możliwe, otrzepał z pyłu ubranie swoje i Falconego. Obaj byli brudni, ale nie zwracali na to uwagi.

– Jeśli chodzi o fajki, zawsze jestem przygotowany. Chodźmy stąd. Nawiasem mówiąc, jestem zaszczycony, że znów mówisz do mnie po imieniu. Już sądziłem, że nigdy do tego nie wrócimy.

Falcone poszedł za nim na chodnik na tyle daleko od zniszczonego domu gangstera, by dym i zapach spalenizny dało się znieść. Trzy kolejne karetki przyjechały brukowaną ulicą i zatrzymały się z piskiem opon. Dodatkowe ekipy ratowników medycznych wysypały się z jasno oświetlonych wnętrz pojazdów i ruszyły na miejsce wybuchu. Za karetkami pojawił się sznur czarnych aut. Obaj wiedzieli, co to oznacza. Zjeżdżały się grube ryby: ludzie ze służb bezpieczeństwa, pracownicy rządowi, wierchuszka DIA. To już nie było proste dochodzenie

policyjne. Sprawa ocierała się o terroryzm, co znacznie podnosiło stawkę.

Peroni rękawem startł pył z maski stojącego przy ulicy renault megane, na której obaj usiedli. Zapalił papierosa i podał go Falconemu. Szczupłe, opalone dłonie inspektora drżały. Zaciągnął się parę razy, po czym zaklął i rzucił papierosa na ziemię.

– Wiesz, ile to cholerstwo kosztuje? – spytał Peroni. – Jestem jedynym człowiekiem w Questurze, który normalnie, uczciwie kupuje fajki w kiosku. Żadnych czarnorynkowych przekrętasów.

– No tak – burknął Falcone. – Ty i twoja obsesja uczciwości. Nie rozumiem. Byłeś jedynym gościem w obyczajówce, któremu mogłem zaufać i nagle ot tak schrzaniłeś wszystko z powodu kobiety. Dlaczego?

Peroni spojrzał na Falconego z ukosa. Inspektor był przystojnym mężczyzną, jeśli ktoś lubił twarde, pozbawione emocji typy. Nie potrafił sobie uświadomić prawdziwego źródła swojego lęku (którym był los Rachele D'Amato) i ta słabość sprawiała, że przez chwilę wydawał się bardziej ludzki.

– Pozwól, że ci przypomnę: to była piękna kobieta. Dziwka, to prawda, ale za to jaka! Ludzie od czasu do czasu robią z siebie głupców, Leo. Każdy z nas ma w sobie gen świra. Oszukujesz się, że jest inaczej. Mówisz: „Nie, nie, praca jest ważniejsza albo żona, albo dzieciaki”. Myślisz: „Mogę zepchnąć te pomysły w głąb, w ciemność, skąd wylazły”. I nagle, kiedy się tego najmniej spodziewasz, nadchodzi taki dzień, że gen świra budzi się, a ty wiesz, że nie ma sensu walczyć. Przynajmniej przez jakiś czas. Dlatego że opór mógłby przynieść tylko więcej szkód. Ale myślę, że o tym już chyba wiesz.

Falcone spojrzał na chaos po drugiej stronie ulicy.

– Bomba... Czemu Neri to zrobił, do cholery?

Myśli Peroniego biegły tym samym torem.

– Jesteś pewny, że to on? Miał wrogów. Na przykład Wallisa.

Falcone popatrzył ze smutkiem na strażaków próbujących uwolnić Rachele D'Amato.

– Po co podkładać bombę pod pusty budynek? Nikt nie jest taki głupi. Neri wiedział, że się pojawimy. Skurwysyn zostawił nam prezent... – Falcone starał się powiązać w myślach fakty. Peroni nie lubił

go oglądać w takich chwilach, pełnego wątpliwości. – To nie ma sensu. Dla niego to koniec. Z tego się nie wywinie. Nie zadzwoni do znajomego polityka, nie przekupi gliniarzy, żeby odwrócili wzrok.

To prawda, pomyślał Peroni. Oto koniec kariery Neriego. Nie było innej możliwości. Lub też, ściśle rzecz biorąc, oto czyn, którym Neri obwieścił zamknięcie swojej działalności w Rzymie. Z jakiegoś powodu uznał, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Może sprawiły to dokumenty znalezione na biurku martwego księgowego, a może zaszły jeszcze jakieś inne okoliczności, których nie rozumieli. Uciekał z nadzieją, że uda mu się znaleźć schronienie w jakimś anonimowym miejscu, gdzie nie dosięgnie go ręka włoskiego wymiaru sprawiedliwości.

Peroni pomyślał o brązowym, lśniącym ciele na stole sekcyjnym Teresy Lupo. Wszystkie wątki miały początek w momencie odkrycia zwłok. Każde następne wydarzenie było nim spowodowane, a jednak wciąż nie wiedzieli, dlaczego spod ziemi wyleciały zabójcze demony przeszłości, gdy tylko szpadel wszedł w kawałek bagna niedaleko Fiumicina.

Nagle Falcone spojrzał ostro na Peroniego, jakby chciał wymusić szczerą spojrzaniem.

– Powiedz prawdę. Sądzisz, że sprawy wymykają mi się z rąk? Że to dla mnie za dużo?

– Co? – Peroni wpatrywał się w niego. Na chwilę zabrakło mu słów. – Kiedy stałeś się supermanem? To za dużo dla każdego z nas. Szaleństwo ogarnęło cały świat... – wskazał ruiny po drugiej stronie ulicy – ...nie tylko sukinsyna Neriego.

Od strony budynku dobiegł hałas. Uruchomiono dźwig ratunkowy, by uwolnić Rachele D'Amato. Strażacy wykrzykiwali do siebie komendy. Drewniane belki poruszyły się. Ściany zadrżały. Teraz było tam więcej światła: włączono jasne, bezlitosne reflektory ekip telewizyjnych, które wróciły, by oglądać to, co prawie je dotknęło.

Falcone podniósł się i otrzepał pył z ubrania. Był gotowy wrócić do pracy. Peroni wstał również i położył mu dłoń na ramieniu.

– Leo – odezwał się – nic nie możesz zrobić. Niezależnie od tego, w jakim stanie jest ta kobieta, nic na to nie poradzisz. W dodatku jeśli się

ocknie, wpadnie w szal, kiedy zobaczy, że siedzisz przy niej jak jakiś przygłupawy mężuś.

– Naprawdę? – Falcone posłał mu znajome zimne spojrzenie. – Znasz ją tak dobrze?

– Wiem tyle, że robota pochłania ją co najmniej tak samo jak ciebie. Kiedy się obudzi, pierwsze, o co spyta, będzie, czy dorwałś skurwieli, którzy to zrobili. Ty jej podasz bukiet kwiatów, a ona wepchnie ci go do gardła. Mam rację?

Falcone popatrzył na niego, a Peroni zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem jego relacji z D'Amato nie odczytał na opak.

– Sądzisz, Gianni, że właśnie o to chodzi między mną a nią?

– Sam nie wiem – mruknął. W głowie Falconego działo się więcej, niż Peroni sądził.

– Ona ma innego – powiedział inspektor płaskim głosem. – Sama mi powiedziała.

– Daj spokój – odparł Peroni bez namysłu. – Czy ona wygląda jak kobieta w związku? Bawi się tobą. Ot, baby.

– Może.

Falcone skupił wzrok na zgromadzeniu po drugiej stronie ulicy. Ludzie, którzy przyjechali czarnymi samochodami, zorganizowali naprędce małe zebranie w pobliżu miejsca wybuchu. Wiedział, że powinien do nich dołączyć, odpowiadać na ich pytania, robić wszystko, żeby byli zadowoleni.

Peroni popatrzył na zmasakrowany budynek i westchnął.

– Na litość boską, Leo. W takich chwilach ludzie zwracają wzrok na ciebie. Jeśli ciebie dręczą wątpliwości, to niby jak oni mają sobie poradzić? Trzymaj. – Zapalił następnego papierosa i podał drugiego Falconemu, który przyjął go po chwili wahania. – Posłuchaj Gianniego, swojego starego przyjaciela, bo to zwykły głupi glina z obyczajówki, którego mały mózdzek nie nadąza za akcją i nie ma pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Gen świra ma się bardzo dobrze tej nocy. Skąd on się bierze, Leo? Kto go uwalnia? Dlaczego? – Falcone podrapał się w brodę i nie odpowiedział. – O, świetnie – powiedział ostrożnie Peroni. – Wskaźnik aktywności mózgowej. No dalej. Wymyśl coś.

Falcone pokręcił bezradnie głową i wyrzucił papierosa na ziemię.

– Kosztujesz mnie fortunę, człowieku... – jęknął Peroni. – No dobra, zmienmy temat. Posłuchaj tego. Wiem, że naraziłem się na opieprz. Mniej więcej pół godziny temu, chociaż nie mam pojęcia, kiedy dokładnie, Costa pojechał, żeby na własną rękę sprawdzić informację o blondynce na Cerchi. Wcale nie chciał jechać... nie, inaczej, jechać chciał, ale nie chciał dać tego po sobie poznać. Więc powiedziałem mu, żeby brał tyłek w troki i wsiadał do auta. Kto wie, może coś znajdzie? Tak czy inaczej, to ja wydawałem mu polecenia. Teraz możesz mnie zabić.

Twarz Falconego na chwilę pojaśniała zainteresowaniem. Peroni cieszył się, że osiągnął chociaż tyle.

– Ktoś doniósł, że widziano blondynkę? – spytał inspektor. – Tylko tyle, że jest podobna do Suzi Julius?

– Tak, tylko tyle – przyznał Peroni. – To było tuż przed bombą. Wydawało mi się, że uznałeś, że warto się tym zająć.

– Bo tak było. Do diabła, warto. – Już nie patrzył na drugą stronę ulicy. Jego umysł wracał w swoje dawne koleiny. – A może...

– Może co? – Stary Falcone czał się gdzieś w jego głowie. Ten Falcone, który nie dawał za wygraną. Ludzie w czerni zaczęli się rozglądać i szukać go wzrokiem. Najwyraźniej zastanawiali się, czemu nikt nie raczył zauważyć, że przyjechali. – Nie czas na sprzeczki, Leo. Albo się teraz zbierzesz do kupy, albo ktoś w Questurze znowu pośle cię na urlop i znajdzie jakiegoś młodego mądralę, żeby ogrzał twój fotel. Kto wie, czy nie na dobre.

– Tak, tak – zgodził się Falcone. – Może dzieje się to, o czym Rachele mówiła od samego początku. Wojna. A córka Julius w jakiś sposób... – Powiódł ręką w stronę gruzowiska po drugiej stronie. – Ci wszyscy ludzie... Jak się na to mówi? Przypadkowe ofiary. Nieboracy złapani w krzyżowy ogień. To jest wojna. Neri przeciw Wallisowi, a może Neri przeciw nam, światu, wszystkim... Nie wiem.

Peroni chyba nie dał się przekonać.

– Do wojny powinien być powód.

– Dziewczyna. Pasierbica Wallisa. Neri albo jego syn coś jej zrobił. Wallis chce się zemścić, ale Neri pierwszy wykonuje ruch. Działa przeciw nam wszystkim.

– Żyjesz w naprawdę skomplikowanym świecie. Jak tam trafić?

– Nie jestem „tam”. Nie jestem nawet w połowie drogi.

– Więc co robimy? Co gliny powinny robić w czasie wojny?

Falcone popatrzył na niego twardo.

– Mamy ludzi pod domem Wallisa?

– Nie. DIA go obstawia, tak ustaliliśmy.

– Racja. – Falcone pokiwał głową. – Pamiętasz, co powiedział

Wallis?

– Każde słowo. Co masz na myśli?

– Wojna jest naturalnym stanem ludzkości.

– Pierdoły – zaprzeczył Peroni. – Naturalnym stanem ludzkości jest apatia. Spójrz na ten bajzel! Co w tym naturalnego?

– Nic – odparł inspektor, spoglądając na zegarek. – A zarazem wszystko, jeśli uruchomisz gen świra. Źle patrzyliśmy na tę sprawę, Gianni. Próbujemy zrationalizować coś, co nie jest racjonalne.

Peroni poklepał go w ramię.

– No proszę! Jeśli się postarasz, umiesz gadać jak stary Falcone. A teraz czy możemy ruszyć tyłki i zająć się dochodzeniem? To nie miejsce dla nas. Później zadzwonisz do szpitala. Mamy robotę. A poza tym... – wskazał grupę mężczyzn po drugiej stronie ulicy, którzy wyglądali na porządnie wkurzonych – ...wydaje mi się, że cię oczekują.

Falcone skinął głową i podszedł do nich. Peroni znowu siadł na masce renaulta i zapalił kolejnego papierosa. Starał się przemyśleć to, co właśnie usłyszał. Ponury głos inspektora rozbrzmiewał w mroku. Sprzeczał się z tymi anonimowymi ludźmi, podawał argumenty, udowadniał swoje racje, a wszystko to brzmiało w uszach Peroniego jak muzyka. Falcone naprawdę nigdy się nie poddawał. Dzięki temu był wyjątkowy i niezastąpiony, a jego pracownicy poszliby za nim w ogień, nawet jeśli przez większość czasu nie mogli go ścierpieć.

W halogenowym świetle kamer telewizyjnych wśród gruzów pojawiły się nosze. Rachele D'Amato, otoczona grupą ratowników medycznych, z których jeden wysoko trzymał kroplówkę, niesiono do ambulansu. Peroni ledwie widział jej twarz. Była nieprzytomna, prawdę mówiąc, wyglądała jak trup. Znowu pomyślał o tym, co powiedział Falcone, i odniósł niejasne wrażenie, że za jego zainteresowaniem

sprawami D'Amato leżała ciekawość, a nie zazdrość. Ona nie zachowywała się jak kobieta, która kogoś ma. Po prostu chciała powiedzieć: „Spadaj, Leo”, i nic więcej. Tyle tylko, że Falcone w tych sprawach działał nieporadnie i dlatego przekaz do niego nie dotarł.

Inspektor, rozmawiając z ludźmi w czarnych garniturach, patrzył na nosze z pozbawioną emocji twarzą. Skończył rozmowę. Zaklął z cicha i ciężkim krokiem podszedł do drzwi karetki.

Peroni zbliżył się do niego.

– Jest w dobrych rękach, Leo.

– Tak, wiem.

Umysł Falconego był skoncentrowany na czymś innym. Peroni nie wiedział, czy ma się cieszyć, czy martwić.

– Co ci powiedzieli? – Zimne szare oczy wpatrywały się w niego bez słowa. – No tak, prawda – zreflektował się Peroni. – Głupie pytanie. Powiedzieli: „Idź, ogarnij ten bajzel”. Wiem, o co chodzi.

Falcone popatrzył spod oka na ludzi w garniturach, którzy wsiadali do swoich samochodów.

– Nie martw się o nich. Chcę znaleźć córkę Julius. Miałeś wieści od Costy?

– Jeszcze nie.

– Skontaktuj się z nim.

Peroni zadzwonił na komórkę Nica, raz, potem drugi. Ogarniał go coraz większy gniew wywołany mnóstwem różnych drobnych rzeczy: tym, że nie może się połączyć, zachowawczą postawą Falconego, chaosem panującym w jego własnej głowie. Zadzwonił na centralę i spytał, czy meldował się Nico Costa.

Operatorka, która odebrała telefon, nie wierzyła własnym uszom.

– Czy pan ma pojęcie, co się teraz dzieje w mieście, detektywie? Wybuchają bomby. Strzelanina na San Giovanni. A pan chce, żebym się dowiadywała, do którego baru poszedł pana partner?

– On nie pije! – warknął Peroni do słuchawki.

Tylko czy mógł być tego pewien? Może wszyscy powinni wychylić kielicha. Po flaszcze czerwonego wina wydarzenia nabrałyby pewnie więcej sensu.

– Tak, jasne – powiedziała cierpko operatorka. – Więc może



poszedł na ćwiczenia chóru męskiego.

Rozłączyła się, a Peroni wciąż nie wiedział, co robić. Zastanowił się nad tym, co usłyszał, i nagle skojarzył fakty.

– Jasna cholera – mruknął.

– Gdzie on jest, do diabła? – spytał Falcone, odwracając wzrok od ambulansu, który ruszył wąską ulicą na sygnale.

– Nie wiem – odparł – ale są kłopoty na San Giovanni. Czy ta nazwa coś ci mówi?

Ulica Cerchi biegła pod masywem wzgórza Palatynu. Łączyła Skalę Tarpejską przy Kapitolu z tłocznią, nowoczesną ulicą San Gregorio wiodącą do Koloseum. Nico Costa zaparkował przy placu, gdzie dawniej znajdował się Circus Maximus. Żałował, że cynk od świadka przywiódł go właśnie tu. W nocy ta część miasta stawała się nieprzyjemna, pełna żuli i dilerów, którzy czaili się w ciemnych zaułkach, żeby nie rzucać się w oczy policjantom.

Pojechał na wszystkie pięć wykopalisk, z którymi według Reginy Morrison mógł mieć związek Randolph Kirk. Były to rozległe tereny o wielu wejściach, a poruszanie się po nich wcale nie wydawało się łatwe. Zajęło mu to trochę czasu, ale pozwoliło stwierdzić, że wszystkie dawno temu opuszczono i zabito na głucho. Pokazał zdjęcie Suzi kilku okolicznym włóczęgom, jednak byli za bardzo wystraszeni albo naćpani, żeby powiedzieć coś sensownego, a ci, którzy mogli coś wiedzieć, nie zamierzali pomagać glinie. Peroni miał rację: Cerchi to długa ulica.

Pomyślał o swoim partnerze i całej reszcie ekipy z miejsca wybuchu pod domem Neriego. Costa zostawiał ich z ciężkim sercem, ale Peroni nalegał. Jedna para rąk więcej nie zrobiłaby żadnej różnicy, a sprawę Suzi Julius trzeba było kontynuować. Prawdę mówiąc, trochę ją zaniedbali i Miranda wiedziała o tym równie dobrze jak oni. Widział to w jej bystrych, przenikliwych oczach. To niedopatrzenie być może trudno będzie naprawić.

I co teraz? – spytał się w myśli Costa.

Jedź do domu, powiedział znużony głos w jego głowie. Idź spać.

Wrócił do samochodu. Uświadomił sobie, jak bardzo jest zmęczony i jak przyjemnie byłoby paść na wielkie, puste podwójne łóżko w domu przy Via Appia i nadsłuchiwać kojącego szumu odległych

głosów z przeszłości. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo ważna jest dla niego rodzina, ta twierdza chroniąca przed okrucieństwem świata.

Nawet rodzina rozdarła tragedią.

Ta myśl poruszyła jego sumienie. Wciąż odczuwał ból po przedwczesnej śmierci ojca, ból, którego nie życzyłby nikomu. Była już prawie północ. Jeśli mieli rację, szesnaście lat temu Eleanor Jamieson została brutalnie zamordowana podczas jakiegoś tajemnego obrzędu. Kto brał w nim udział? Rodzina rzymskiego mafiosa? Grupa przypadkowych imprezowiczów, którzy chcieli się zabawić i nie wiedzieli, że aparaty fotograficzne Neriego wszystko rejestrują? Taki sam los mógł w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin spotkać Suzi Julius, i to tylko z tego powodu, że miała pecha wyglądać podobnie do innej dziewczyny, w nieodpowiedniej chwili skręciła w złą uliczkę. W dodatku nikt nie wiedział, gdzie ona jest. Neri i jego syn zniknęli, zostawiając za sobą krwawą ścieżkę zniszczeń. Vergil Wallis trzymał się chyba poza sprawą. Nie było żadnego poważnego tropu, tylko chaos, anarchia i przemoc.

Rozejrzał się raz jeszcze, po czym skupił wzrok na kształtach majaczących w półmroku mniej więcej dwadzieścia metrów od niego. Wśród cieni zalegających pod stromą skałą Palatynu dostrzegł ruch. W ciemności zamajaczyła postać jasnowłosej dziewczyny. Jakiś mężczyzna szedł tuż obok niej. Znikli wśród cieni. To mogła być tylko para kochanków. Albo przełom w sprawie, o który od dawna się modlili.

Costa sprawdził, czy beretta tkwi bezpiecznie w kaburze pod marynarką, po czym ruszył w stronę masywu, nad słuchując dźwięków nocy: gruchania zaspanych gołębi, niskiego pomruku ruchu ulicznego, popiskiwania szczurów przy nierównej skalnej ścianie osadzonej u stóp ruin cesarskiego pałacu.

Kobięcy głos o błagalnym tonie, ledwie słyszalny z tej odległości, odbił się echem w gardzieli jaskini, na której ścianach widać było poblask płonącego wewnątrz jasnego światła.

Nico Costa wyjął telefon, wiedząc, co zobaczy. Znajdował się dokładnie pod skałą Palatynu, której masyw blokował sygnał. Rozsądnie byłoby wyjść z powrotem na ulicę i zadzwonić do Falconego po pomoc, ale nie chciał stracić dziewczyny z oczu. Zresztą to mogła być tylko ukrywająca się przed światem parka. Nie lubił bohaterstwa, ale

uznał, że w tym wypadku nie ma wyjścia. Powoli wszedł między cienie, oparł się plecami o pokrytą pyłem skalną ścianę i popatrzył w stronę, z której dobiegały światło oraz głos – tym razem męski, tak niski, że nie dało się rozróżnić słów.

Costa kierował się na słuch, co nie było łatwe. Jaskinia okazała się złożonym zespołem kiepsko oświetlonych komnat połączonych ze sobą kolejno jak ogniwa łańcucha. Wszedł wejściem będącym prawdopodobnie jednym z wielu wgrzyzionych w masyw skały otworów podobnych do gigantycznych mysich nor. Ten kompleks powinien być na liście wykopalisk, przy których pracował Randolph Kirk. Może się tam znajdował, lecz Regina Morrison nigdy o nim nie słyszała. A może, jeśli stanowił sekretne, osobiste sanktuarium profesora, miejsce najświętsze ze świętych, Kirk trzymał je w ukryciu z sobie tylko znanych powodów.

Costa przeszedł przez cztery małe pomieszczenia, z których każde, tak jak w Ostii, było kiepsko oświetlone światłem pojedynczej żarówki zwisającej na kablu z sufitu. W półmroku dostrzegał kolejne komnaty i mroczne korytarze biegnące w głąb, w ciemność. Cała ta sieć pomieszczeń stanowiła podziemny starożytny labirynt wykuty w skale. Zaczął żałować, że nie poczekał na wsparcie. Był ciekaw, co mówi mężczyzna, którego głos dobiegał z oddali.

Usiłował sobie wyobrazić rozkład pomieszczeń, ale okazało się to niemożliwe. Kierował się na słuch, ale za każdym razem, gdy skręcał, wchodził coraz głębiej w nieprzeniknioną ciemność. Po pewnym czasie nie potrafił już określić, skąd przyszedł. Powłóczył nogami po nierównej podłodze. Bolała go głowa. Kilka razy potknął się i narobił dużo hałasu. Odległe, niezrozumiałe głosy otaczały go zewsząd.

W pewnej chwili pochylił się, by przejść do kolejnego pomieszczenia przez niewielki otwór w ścianie, a gdy się wyprostował, to, co zobaczył, zupełnie go zaskoczyło.

Z sufitu zwisały się trzy żarówki płonące niczym miniaturowe słońca. Wszędzie do kamiennych ścian komnaty poprzyczepiano kolorowe fotografie. Zachodziły jedne na drugie, tworząc jakby pokrytą obrazami tapetę. Wszystkie przedstawiały ten sam kadr: dwie twarze w dwóch jednakowych pozach, Suzi Julius, wesoła i roześmiana,

i Eleanor Jamieson. Odbitki wyblakły nieco pod wpływem czasu. Dziewczyny były tak szokująco do siebie podobne, że mogłyby być siostrami, pomyślał Costa, zresztą nie po raz pierwszy. Nic dziwnego, że na widok Suzi Kirkowi przypomniało się wiele rzeczy.

Rozglądał się po pomieszczeniu. Instynktownie próbował namacać kolbę pistoletu, zastanawiając się, gdzie dalej iść i co robić. Czuł, że kręci mu się w głowie.

– Chryste! – odezwał się nagle z ciemności kobiecy głos. Odległe słowa zamilkły i coś ze świstem przecięło powietrze.

Potylica Nica Costy eksplodowała paraliżującym bólem. Poczuł, że pada, wciąż oszołomiony jasnym światłem żarówek. Potem nastąpiła ciemność.

## LIBERALIA

Coś poruszało się w zakamarkach umysłu Teresy Lupo, huczało w mrocznych zakątkach jej snu, bzycało, ruszało się, zbliżało i oddalało. Zaklęła, otworzyła ciężkie powieki i podniosła głowę z biurka w samą porę, by ujrzeć, jak zaspana pszczoła zmierza rozkołysanym lotem w kierunku otwartego okna kostnicy.

Był ciepły wiosenny ranek, tuż po siódmej. Za oknem miasto już żyło. Dźwięki wydawane przez samochody i ludzi brzmiały tak znajomo i zwyczajnie, że dobrą chwilę zajęło jej, zanim uświadomiła sobie, że ten dzień nie będzie taki jak inne.

Zwróciła się po pomoc do karabinierów, wydziału zdrowia, emerytowanych kolegów po fachu, studentów medycyny pragnących nabyć praktykę i wszystkich innych ludzi, którzy przyszli jej do głowy. Zamiast odkrywać nowe ślady, musiała zmierzyć się z napływającym materiałem. Trochę po trzeciej w nocy położyła głowę na biurku i zasnęła. Silvio Di Capua wpadł na podobny pomysł i leżał teraz w pozycji embrionalnej na podłodze w kącie. Kilku ludzi z administracji, z których mało kogo kojarzyła, zajmowało się papierkową robotą. Grupa patologów pracowała przy stołach sekcyjnych. Mały księgowy doczekał się wreszcie swojego miejsca w kolejce. Następny był ojciec Barbary Martelli.

– Ktoś jeszcze do obsługi? – spytała jednego z administratorów.

– Nie.

– Dzięki Bogu. – Nie była pewna, czy dałaby radę kolejnym zwłokom, ba, nie była nawet pewna, czy da radę załatwić te, które już przyjechały. Czuła się tak, jakby ktoś wsadził jej do nosa mokre waciki, a do gardła papier ścierny. Włosy przesiąkły jej potem. Wyglądała koszmarnie i wiedziała o tym, ale miała to gdzieś.

W drzwiach pojawił się Gianni Peroni, tak wypoczęty i podekscytowany, że aż było to podejrzane. Podeszedł i spojrzał jej w oczy z ciekawością.

– Co bierzesz, żeś taki świeżutki? – spytała. – Przyniosłeś mi trochę?

– Postawię ci kawę, ale nie tutaj. A przy okazji, widziałaś może Nico?

– Nie... – To pytanie ją zdziwiło. Prawie zapomniała, że kiedyś należała do świata, w którym nie ma błyszczących stołów sekcyjnych.

– Chodź – powiedział i ujął jej zmęczone ramię, po czym poprowadził ją korytarzem na światło poranka.

Zaczynał się piękny dzień i słyszała nawet ptasie trele. Może dlatego że po ostatnich traumatycznych wydarzeniach jej umysł zaczął wszystko intensywniej odbierać. Już od pewnego czasu miała wrażenie, że coś jest nie tak z jej głową. Jednak po tym, jak złapała trochę snu, poczuła się inaczej. Była zmęczona, wyczerpana psychicznie i fizycznie, ale potrafiła się już kontrolować i był to na pewno krok naprzód.

Peroni zabrał ją do kawiarni za rogiem, zamówił dwie duże kawy i wsypał do filiżanek parę łyżeczek cukru ze szklanego pojemnika na barze.

– Kiedy pracujesz w obyczajówce – powiedział – musisz wyrobić sobie umiejętność przetrwania nocy. Po pewnym czasie zaczynasz to nawet lubić. Świat wydaje się jakby uczciwszy. Jest ciemno, ludzie nie muszą patrzeć ci w twarz, kiedy kłamią. Zaczynasz też dostrzegać wartość kawy. Zdrowie.

Stuknęli się filiżankami.

– Czego chcesz ode mnie? – zapytała.

– Dobrej nowiny. Informacji. Oświecenia. Na przykład chciałbym się dowiedzieć, do kogóż to zadzwonił Randolph Kirk, że rozpętała się taka jatka.

– Nico też mnie o to pytał – powiedziała. – Zróbmy tak: jak tylko wrócę do kostnicy, zapytam profesorka.

– Dobra myśl. Masz dla mnie jeszcze jakieś odkrycia na wagę złota?

– Czekają w długiej kolejce. Powiedz, co u Falconego? Co z jego kobietą?

Pokiwał dłonią, jakby chciał powiedzieć: „Tak sobie”.

– Jest na intensywnej terapii. Powinna przeżyć. To baba z żelaza. A co z Leem, tego nie wiem. Już nie wygląda jak porzucony kochanek. Jego chyba też wkurza cała sytuacja. Zresztą kogo to obchodzi. Mamy

masę roboty, może nawet więcej, niż jesteśmy w stanie wykonać. Musimy natychmiast na coś trafić. Teraz widzisz, dlaczego do ciebie przyszedłem. Potrzebna nam każda pomoc.

Po raz pierwszy w życiu poważnie zastanowiła się nad Peronim. Nie był takim aroganckim palantem z obyczajówki, za jakiego go początkowo uważała. Pod zaskakująco brzydką powłoką zewnętrzną posiadał sztywny, nieugięty kręgosłup, przez co jego upadek był tylko bardziej poruszający i mniej zrozumiały. Falcone i Costa mogli uważać się za szczęściarzy, że z nimi pracował. Zastanawiała się, czy Peroni także się z tego cieszy.

– Kiedy wracasz do poprzedniej roboty?

Peroni mrugnął porozumiewawczo. Wyglądało to tak komicznie, że prawie udało jej się roześmiać.

– Mówiąc między nami, tak szybko, jak tylko pozamiatamy cały ten szajs. W nocy na korytarzu wpadłem na mojego poprzedniego szefa. Jego też zmobilizowali. Miły facet, rozumie ludzi. Miał kilka ciepłych słów dla staruszka Gianniego. Dzięki Bogu. Ta detektywistyczna babranina to nie moja działka. Człowiek musi się tu stykać z typami, których wolałby nie znać.

Odczekała chwilę, żeby się upewnić, że dobrze zrozumiała ostatnie zdanie.

– A w obyczajówce tak nie jest?

– W obyczajówce spotykasz tylko takich, którzy chcą cię uszkodzić na ciele. A tutaj ciągle kręcisz się dookoła ludzi, którzy próbują ci namieszać we łbie. – Teresa nic nie odpowiedziała. – Zresztą sama już chyba o tym wiesz.

– Racja – przyznała. – Powiedz, co powinnam robić według ciebie?

– Według mnie? – spytał Peroni. – Choroba, sam nie wiem. Żadne z nas nie ma pojęcia, od czego tu zacząć. Najstarsi gliniarze nie pamiętają wojny gangów w Rzymie. Jeśli to się właśnie dzieje...

– A co innego?

– Pytaj mnie, a ja ciebie. Ale jeśli to jest właśnie wojna, to chyba brakuje przeciwnika, nie sądzisz? Wallis siedzi sobie za swoim płotem, nie ma żadnych żołnierzy, jeśli nie liczyć tych paru kumpli od golfa, a jednak udaje mu się sprzątnąć Neriemu księgowego i wyciągnąć na

światło dzienne jego papiery, przez co Neri musi się zwijać... Chyba przez to. Potem grubas dostaje jakiegoś bojowego szału i na odchodne zostawia nam prezent na progu swojego domu.

Wiedziała, co ma na myśli.

– Faktycznie dziwna ta wojna.

– Trochę pozbawiona równowagi. Amerykanin siedzi w swojej hacjendzie, robi młynka palcami i zgrywa niewiniątko. DIA podsłuchuje jego telefony, a pewnie i rozmowy w domu, bo o ile wiem, uwielbiają techniczne gadżety. Ale on nie oddaje ciosu. W ogóle nic nie robi, o ile jesteśmy w stanie to stwierdzić.

Teresa się wyprostowała. Znowu mogła porozmawiać o gliniarskich sprawach i podobało jej się to. Wyglądziła przód zmiętej, niebieskiej koszuli i pomyślała, że może czas zrzucić trochę wagi. Była grubokoścista, tak zawsze mówiła jej mama. Jednak jeśli chciała, mogła wziąć się za siebie i grać z glinami w jednej lidze.

– A ojciec Barbary Martelli? Chcesz powiedzieć, że Wallis nie ma z jego zabójstwem nic wspólnego?

– Akurat o tej sprawie coś wiemy – powiedział Peroni pewnym tonem. – Wallis tego nie zrobił, chyba że to on dyryguje rodziną Neriego. Pewien facet opisał nam gościa, z którym minął się w drzwiach wejściowych bloku Martellego na krótko przed tym, jak stary zginął. Okazuje się, że zabójcą jest Mickey. Głupek zostawił nawet odciski palców. To ma sens. Neri pewnie obawiał się, że Martelli powie nam, co się tak naprawdę działo w tym ich klubie dup, więc posłał swojego chłopaka, żeby go uciszył. Ale jakby mnie kto pytał, to jest ciągle za mało, żeby wywołać wojnę.

– A może już jest po wojnie – zasugerowała. – Może Amerykanin wywiesił białą flagę.

Peroniego to chyba nie przekonało.

– Może, i coś we mnie ma nadzieję, że tak jest. Kłopot w tym, że jeśli to prawda, nigdy nie odkryjemy całej historii. Nie dowiemy się, czemu biedna Barbara stuknęła profesora, a potem wpadła w wykop pod metro, ścigając ciebie.

Ten powtarzający się refren zaczynał już ją wkurzać.

– Biedna Barbara! Czemu niby biedna?



Jej pytanie go zaskoczyło.

– Bo nie żyje, Tereso. Cokolwiek się stało, cokolwiek chciała ci zrobić, to nie była ona, tylko coś innego, coś, co na nią wpłynęło. Chyba to rozumiesz?

Rozumiała, ale aż do teraz nie chciała się do tego przed sobą przyznać. Kilka razy znalazła się na krawędzi. W powietrzu wisiało szaleństwo.

– A co z biedną Suzi Julius?

Wzruszył ramionami w geście bezradności.

– Był telefon wczoraj w nocy. Ktoś twierdził, że ją widział. To było tuż przed fajerwerkami. Nico pojechał, żeby sprawdzić ten trop... – Peroni urwał i wahał się, czy mówić dalej.

– No i? – ponagliła go.

– Od tamtego czasu nie ma od niego wiadomości. Komórka milczy. Na ulicy nikt go nie widział. Do domu nie pojechał.

Zawsze tak odbierała złe wieści: obraz osoby, której dotyczyły, od razu pojawiał się w jej głowie. W ciągu ostatniego roku, być może nie do końca świadomie, bardzo się do niego zbliżyła. Miał cechy, których ludziom z Questury często brakowało: upór, empatię i niezachwiane poczucie sprawiedliwości. Co więcej, nigdy nie zaraził się wirusem cynizmu i to powodowało, że jeszcze bardziej wyróżniał się na tle innych.

– Niech to szlag. Co się mogło stać?

– Nie mamy pojęcia – uczciwie przyznał Peroni. – Ale ja lubię tego szczeniaka, Tereso. Kiedy wrócę do swojej starej roboty, będzie moim szoferem. Nikt mi tego przywileju nie odbierze.

Skulił swoje masywne ramiona. Do Teresy dotarło coś jeszcze na jego temat: Peroni nie był człowiekiem, który się łatwo poddaje.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć wcześniej.

– Nie chciałem cię martwić.

– Więc co mam teraz robić twoim zdaniem? – spytała ponownie.

– Nie zamierzam cię pouczać, jak pracować, i to, co powiem, nie jest żadnym oficjalnym poleceniem od Falconego. Nasza ekipa chwytą się każdego śladu. Chcę przekazać ci tylko jedno. Wiadomo, że mamy braki w ludziach i musimy myśleć o naszych priorytetach. Jesteś dobrym

patologiem, znasz reguły i się ich trzymasz, przynajmniej zazwyczaj...

Dokończyła kawę, popatrzyła mu prosto w oczy i powiedziała:

– Przestań chrzanić i przejdź do rzeczy.

– Dobra, dobra. Chodzi o to, że ciągle mam wrażenie, że gdzieś tam, wśród ciał na stołach jest coś, co może nam pomóc. Te ślady pewnie nie są oczywiste i nie znajdują się na zwłokach przywiezionych niedawno. Wiem, że musisz zająć się tymi wszystkimi biednymi skurczybykami, ale chciałem ci zasugerować, żebyś nie koncentrowała się na prostych przypadkach takich jak Toni Martelli albo Vercillo, czy ludzie sprzed domu Neriego. My wiemy, że oni nie żyją, i rzecz jasna potrzebna jest analiza kryminalistyczna, ale wydaje mi się, że nie tu powinniśmy szukać odpowiedzi. Natomiast...

Urwał, licząc, że Teresa chwyci przynętę.

– Natomiast? – powtórzyła.

– Jezu, czy ja to muszę mówić? Miałaś rację od samego początku. To, co wywołało całe zamieszanie, zaczęło się od dziewczyny z bagna. Jeśli uda nam się dowiedzieć, co się z nią stało i gdzie zginęła, może zaczniemy rozumieć, o co chodzi.

Spojrzała z ukosa na szczupłą barmankę, która bawiła się swoim kucykiem, i powiedziała:

– Jak umyje pani ręce, proszę mi zrobić jeszcze jedną kawę.

Dziewczyna znikła na zapleczu, po czym wróciła i zaczęła ustawiać ekspres do kawy. Peroni popatrzył na Teresę z cieniem podziwu.

– Bez owijania w bawełnę. To mi się w kobietach podoba.

– Mickey Neri załatwił Martellego. Matka Julius zeznała, że kręcił się wokół jej córki.

– Tak...?

– I jeśli sobie dobrze przypominam – ciągnęła – tenże Mickey Neri poznał Eleanor Jamieson. Czytałam notatki. Wallis i Eleanor spędzili z Nerimi rodzinne wakacje na Sycylii mniej więcej sześć tygodni przed jej śmiercią.

– Fakty się wiążą.

– Właśnie. – Wypiła jednym łykiem pół kawy i poczuła, jak kofeina i cukier zwierają szyki.

– Lepiej uważaj z kawą – powiedział. – Jak przesadzisz, będziesz mieć koszmary.

– Do tego akurat kawa nie jest mi potrzebna. A tobie?

Peroni spojrział na zegarek.

– Co dalej?

– Prawie nie ruszyliśmy wczoraj z nową pracą – powiedziała. – Większą część nocy spędziłam na kończeniu sekcji Eleanor Jamieson. Próbowałam z wami o tym porozmawiać mniej więcej o drugiej trzydzieści, ale jeśli mnie pamięć nie myli, byliście wszyscy bardzo zajęci.

Peroni tak łapczywie chłonał informacje, że aż otworzył usta. Teresa z rozmysłem powoli dopiła kawę, otarła piankę palcem wskazującym i zlizala ją, wydając ciche jęki przyjemności.

– Proszę... – powiedział błagalnym tonem.

– Dwa razy bardzo poważnie się machnęłam. To nie była żadna ofiara z dziewicy, a raczej ofiarą była, ale nie dziewicą. Poza tym nie jest prawdą, że nie da się pozyskać DNA z ciała, które szesnaście lat leżało w kwaśnym torfie. W pewnych okolicznościach jest to możliwe.– Popatrzyła na niego. – Chcesz zgadywać w jakich?

– Nie!

– Jeśli jest płód. Nawet mały. Eleanor Jamieson była w ciąży. Mniej więcej szósty tydzień. Pewnie dopiero coś zauważyła i zastanawiała się, jak powiedzieć tacie.

Oczy Peroniego lśniły nadzieją i podnieceniem.

– Chryste, cudowna kobieto!

– Mówiłam, żebyś nie chrzaniał. Chodzi o to, że mamy ciążę jakieś sześć tygodni po tym, jak Eleanor poznała Mickeya Neriego, który ponoć niedawno kręcił się wokół jej współczesnego sobowtóra i ten sobowtór zniknął.

To stało się tak nagle, że nie zdążyła i nie miała siły zareagować. Gianni Peroni przysunął się, ujął jej twarz w dłonie i szybkim ruchem pocałował w usta. Siedziała oszołomiona. Kelnerka z kucykiem przyglądała się im.

– Nigdy więcej tego nie rób – wyszeptała, po czym dodała: – A przynajmniej najpierw spytaj.

– Więcej informacji!

– Nie mam więcej – powiedziała. – Będzie, kiedy przyjdą wyniki badań DNA z laboratorium. – Uśmiechnęła się. – Mickey Neri ma u nas kartotekę. Dwa lata temu był oskarżony o gwałt, ale sprawa z jakiegoś powodu nie skończyła się w sądzie. Być może te wyniki czekają już u mnie na biurku.

– Słodki Jezu. – Gianni Peroni jaśniał zadowoleniem.

– Nie próbuj mnie znowu całować – ostrzegła. – Jest za wcześnie rano. Lepiej idź, poszukaj Nica.

– Dobra rada – zgodził się, kiwając głową.

Wychodząc, zatrzymał się w drzwiach i popatrzył na drogę. W stronę Questury zmierzała wysoka, czarna postać. Vergil Wallis w skórzanym płaszczu zawijającym mu się wokół nóg szedł energicznie jak człowiek z zadaniem do wykonania.

– Dwa cuda na minutę – mruknął Peroni. – Może jednak Bóg istnieje.

Nico Costa obudził się na wielkim, podwójnym, starym łożu w cuchnącym wilgocią, zimnym, zakurzonym pomieszczeniu. Bolała go głowa. Ostrożnie przesunął palcami po śliwie na potylicy, po czym usiadł prosto i zrzucił nogi na ziemię. Próbował się skupić. Jego marynarka leżała byle jak na podłodze. Wyjął z kieszeni telefon komórkowy i popatrzył beznadziejnie na ekranik. Znajdował się głęboko we wnętrzu masywu Palatynu, gdzie sygnał przekaźnika nie docierał. Nigdzie nie widział swojej broni. W pobliżu nie było żywej duszy.

Wstał, odczekał chwilę, aż ból z tyłu głowy zelżeje, po czym przeszedł wzdłuż ścian komnaty. Wyglądała na miejsce, którym Randolph Kirk mógłby się interesować zarówno w celach zawodowych, jak i prywatnych. Ściany pokrywały starodawne, nadgryzione przez czas malowidła, których nikt nie restaurował od setek lat. Wpatrywał się w połączone z sobą obrazy biegnące we fryzie wysokim na dobry metr. Przedstawiały ten sam motyw co w Ostii: ceremonię inicjacyjną. Młoda dziewczyna, z wyrazem raczej zdziwienia niż przerażenia na twarzy, dawała się prowadzić przez szpaler uczestników obrzędu, z których tylko nieliczni mieli ludzką postać. Kiedy szedł od jednej sceny do drugiej, zdał sobie sprawę, że tutaj ceremonia przedstawiona jest nieco inaczej.

Gwałt miał bardziej charakter uwiedzenia. Dziewczyna nie stawiała oporu, a może nawet poddawała się z ochotą, cieniem przyjemności w jasnym, rozumiejącym spojrzeniu. Jedno z malowideł przedstawiało scenę jej stosunku z bogiem: zamknięta w potężnych ramionach miała przymknięte oczy i ekstatycznie rozchylone usta. Nie była to jednak ostatnia scena opowieści. Umieszczono ją mniej więcej pośrodku. Po niej następowały obrazy dzikiej orgii, w której dziewczyna chętnie uczestniczyła, z wyrazem wyższości i oddalenia na twarzy przyglądając się walkom, miłosnym zbliżeniom, aktom dzikich zapasów i krwawej przemocy. W ostatniej scenie znowu znajdowała się w centrum. Stała przed przerażonym, skulonym ze strachu bogiem, który miał ręce skrępowane sznurami trzymanymi przez dwie adeptki, i wbijała nóż w jego prawe oko. Krew plamiła strąki włosów boga, z ust dobiegał bezgłośny krzyk. Dziewczyna śmiała się szaleńczo. Coście przyszedł na myśl Randolph Kirk, zastrzelony w swoim obskurnym biurze przez menadę podobną do tej, wiedzioną żądzą zemsty za jakieś niepoznane, niewyjaśnione przewinienia. Czy dziewczyna z fresku zawiodła się na bogu w jakiejś sekretnej sprawie, podobnie jak na innym bogu zawiodła się Barbara? Czy teraz ona jest ważniejsza niż on? A może Costa miał przed sobą finałową część spektaklu, w którym dzika furia każdego z uczestników, mężczyzny i kobiety, człowieka i stwora z mitów, osiągała ekstremum przekraczające wszelkie wyobrażenia?

Do tej sprawy przestało pasować proste wyjaśnienie, że bóg w postaci Kirka wraz z grupą znajomych wykorzystywał seksualnie młode dziewczyny. Costa zrozumiał, że chodziło o układ korzystny dla obu stron, za którego złamanie groziła zemsta.

Nico zmusił się, by oderwać wzrok od malowideł. Miały tak hipnotyzującą, erotyczną siłę, że patrząc na nie, trudno było zebrać myśli. Powiódł spojrzeniem po ciemnych rogach komnaty. Przyzwyczał się już do panującego półmroku. Za łóżkiem znajdowały się drzwi ledwie widoczne wśród cieni. Podeszedł do nich i dotknął powierzchni: stare, grube drewno. Były zamknięte, ale kiedy szarpnął za klamkę, z drugiej strony dobiegł go cichy okrzyk zaskoczenia. Głos kobiety.

Przypomniała mu się blondynka, która w nocy znikła w paszczy jaskini i której zwielokrotnioną postać widział na zdjęciach

pokrywających ściany centralnej komnaty. Costa przysunął się do szpary w wypaczonych drzwiach, próbując dojrzeć, co jest po drugiej stronie. W tamtym pomieszczeniu panował taki sam mdły półmrok jak w tym, w którym się znajdował.

– Suzi – szepnął w szczelinę. Ktoś się poruszył w drugiej komnacie. Słyszał, jak oddycha. – Suzi – powiedział znowu, trochę głośniej. – Nazywam się Nico Costa, jestem policjantem. Proszę, przyjrzyj się drzwiom. Może uda ci się je otworzyć. Chcę ci pomóc.

Dziewczyna po tamtej stronie milczała. Nico spróbował postawić się w jej sytuacji: zamknięta w pułapce, zagubiona, nie wie, co robić i komu ufać.

– Rozmawiałem z twoją mamą – powiedział normalnym, opanowanym głosem. – Martwi się o ciebie. Wszystko się ułoży. Zaufaj mi, proszę.

Zdawało mu się, że usłyszał stłumione łkanie. Może nie była tam sama? Może Mickey Neri siedział obok, trzymał jej nóż przy gardle i rozważał, co dalej zrobić z ich dwojgiem? Costa do tej pory nie miał czasu skupić się na tym, co go spotkało, i teraz, kiedy o tym pomyślał, zastanowiło go jedno: dlaczego Mickey zostawił go przy życiu? Gdyby jego ojciec chciał, żeby Costa zginął, to tak by się stało, a w każdym razie byłby teraz gdzieś daleko od centrum wydarzeń.

– Suzi – powiedział po raz ostatni.

Od strony drzwi dobiegł dźwięk odsuwanej rygli.

Costa skupił się i próbował myśleć jak policjant. Potrzebował broni. Musiał się dowiedzieć, gdzie, u diabła, jest i jak się wydostać z tej wilgotnej, zatęchłej nory.

Usłyszał, że osoba po drugiej stronie odeszła kilka kroków.

– Wszystko w porządku – powiedział. Ujął klamkę w dłoń, nacisnął i pchnął ostrożnie. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Komnata, którą zobaczył, przypominała tę, gdzie się obudził: była mała, prawie okrągła, z malowidłami na ścianach, na jej środku stało podwójne łóżko, z sufitu zwisała żarówka, a naprzeciwko w cieniu dawał się dostrzec zarys kolejnych drzwi.

Dziewczyna opierała się o nie plecami. Jej włosy błyszczały w słabym świetle. Kulila się z przerażenia i chyba płakała.

Nico podszedł i położył ręce na jej ramionach. Nie potrafił odwrócić wzroku od kaskad lśniących, złotych włosów.

– Suzi...

Nagle gwałtownym ruchem wtuliła twarz w jego pierś i objęła go, przyciskając mocno do siebie.

Trzymał w ramionach napięte, szczupłe ciało. Myśli w jego głowie zaczęły wirować. Nie wiedział, czemu ma wrażenie, że coś jest nie w porządku.

Wilgotnymi, ciepłymi ustami musnęła jego szyję, jej język dotknął jednodniowego zarostu.

Nico sięgnął dłonią do głowy dziewczyny, poczuł miękkość jej włosów i delikatnie ją odsunął.

– Suzi... – powiedział, po czym zamilkł.

Miał wrażenie, jakby dwie osoby zlały się w jedną. Albo jakby w rzeczywistości nigdy nie były różnymi osobami.

Ze łzami, które zaczęły płynąć po jej policzkach, i błagalnym spojrzeniem Miranda Julius popatrzyła mu w twarz i przyciągnęła go jeszcze mocniej do siebie.

– Przepraszam, Nico – powiedziała. – Nie chciałam, żebyś tu trafił. Przepraszam.

– Nie przepraszaj – wyszeptał. Jego ramiona zamknęły się wokół niej, usta zbliżyły do błyszczących włosów, a oczy utkwiły w sylwetkach tańczących postaci.

Za szybą biura Falconego w Questurze wrzało jak w ulu. Rywalizujące ze sobą oddziały DIA, karabinierów i policji zdecydowały się na ten jeden raz połączyć siły i działać wspólnie. Dzielili się informacjami i oczyszczali ulice z ludzi Emilia Neriego. Stary gangster zszedł pod ziemię, a oni szybko stwierdzili, że dobrze się zakamuflował. Z tego, co Falcone wiedział, wynikało, że mógł być już poza granicami kraju. Sieci informatorów wszystkich trzech organizacji wypłyły z siebie kilka tropów. Upewnił się w tym, co już podejrzewał: eksplozja pod domem przy Via Giulia to robota samego Neriego, prezent pożegnalny, obliczony specjalnie na przyjazd policji. To była ścieżka bez powrotu. Od tej chwili Neri musiał ukrywać się za granicą, pewnie w miejscu, w którym, jak sądził, nie działa prawo ekstradycji.

Vergil Wallis siedział naprzeciw Falconego w długim skórzanym płaszczu, z brązową torbą podróżną na kolanach. Jego czarna twarz była niewzruszona jak gład.

– Cieszę się, że znalazł pan dla mnie czas w takich okolicznościach – powiedział.

– Odniosłem wrażenie, że przychodzi pan z ważną sprawą – odparł inspektor.

– Tak jest. – Wallis, otworzywszy torbę, wyjął cyfrowy aparat fotograficzny. Włączył wyświetlacz i nad stołem podał urządzenie Falconemu.

– Co to jest, do diabła? – spytał inspektor.

– Ktoś wrzucił go na teren mojej posesji o trzeciej w nocy – wyjaśnił Wallis. – To także. – Pokazał telefon komórkowy. – Psy zaczęły szczekać. Dziwię się, że pańscy ludzie, którzy obserwują mój dom, nie widzieli, kto to zrobił.

Falcone spojrzał na mały ekranik.

– To nie moi ludzie, tylko DIA. – Podniósł aparat. Peroni podszedł, stanął za nim i zaklął cicho. Na zdjęciu widniał Nico Costa. Leżał nieprzytomny na łóżku w jakimś nieznanym pomieszczeniu.

– To moja wina – jęknął Peroni.

Falcone nacisnął przycisk. Następne zdjęcie przedstawiało Mirandę Julius. Miała włosy ufarbowane na taki sam kolor, jaki w tej chwili wszyscy kojarzyli z jej córką, i krzyczała do obiektywu, przywiązana do krzesła. Na trzecim zdjęciu oświetlenie było nieco ostrzejsze.

Fotografię zrobiono w innych okolicznościach. Przedstawiała młodą dziewczynę, blondynkę, która patrzyła w obiektyw z twarzą pozbawioną wyrazu. Ją również przywiązano do krzesła, ale znajdowała się w innym pokoju niż Miranda.

– Czy to jest ta zaginiona dziewczyna? – zapytał Wallis.

– Suzi Julius – potwierdził Peroni. – Matka pokazywała nam jej zdjęcia. To ona.

Amerikanin zawiązał płaszcz wokół siebie, jakby stanowił jego drugą skórę.

– Jest też wiadomość. Uruchomcie ostatni plik w pamięci aparatu.

Tak zrobili. Zaczął się odtwarzać film z Mickeyem Nerim w roli



głównej. Chłopak patrzył w obiektyw. Był przerażony do szpiku kości i spoglądał na boki, jakby ktoś spoza kadru wydawał mu polecenia. Przełknął ślinę i odezwał się, niezamierzenie parodiując głos filmowego twardziela: „Vergil, masz przynieść to, co chcę, o dziesiątej. Weź telefon. Zadzwoń o siódmej i powiem ci, gdzie masz się stawić po odbiór. Potem zadzwonię o dziewiątej i powiem, gdzie masz to dostarczyć. Będiesz znał drogę. Masz być sam. Żadnych, kurwa, numerów. Zrobisz coś nie tak i oni pójną do piachu”.

– Pewnie już nie żyją – mruknął Peroni.

– Być może – przyznał Wallis z irytacją w głosie. – Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. To nie moja sprawa. Jaką niby funkcję mam pełnić, chłopca na posyłki? Co tu się dzieje? Możecie mi to wyjaśnić?

Falcone jeszcze raz obejrzał zdjęcia.

– Dostał pan wiadomość o siódmej?

– Punktualnie. Miałem pojechać do jakiegoś prywatnego agenta finansowego przy Paroli. On już czekał, też dostał telefon. Dał mi paczkę. Gdy tylko ją zobaczyłem, wiedziałem, że zaraz dostanę polecenie, żeby przekazać ją wam.

Wallis otworzył torbę. Były w niej nowe banknoty, same duże nominały w plikach związanych banderolkami.

– Pół miliona euro.

– Czyje to? – spytał Peroni.

– Bankier powiedział, że dostał je od kobiety nazwiskiem Miranda Julius. Wydała polecenie, żeby je wybrać w ciągu nocy. Był przerażony. Nie dziwię mu się. Wyjaśnicie mi, czemu pracuję jako posłaniec niejakiej pani Julius i noszę jej pieniądze na okup?

Peroni spojrzał na Falconego, szukając potwierdzenia, czy może odsłonić karty.

– Ponoć Emilio Neri i jego chłopak wpadli po uszy w gówno. Nie wiemy dokładnie, o co chodziło, może o córkę Julius, chociaż to nie w stylu starego Neriego. Wydaje nam się to dość oczywiste, że Mickey ją porwał, a teraz ma też naszego człowieka. No i matkę. Pieniądze by mu się przydały. Może chce odpocząć od dotychczasowego życia i otworzyć knajpkę czy coś w tym guście.

Wallis patrzył na nich chmurnym wzrokiem.

– Naprawdę przykro mi to słyszeć. Jednak nie dostałem odpowiedzi na swoje pytanie: co to ma do diabła wspólnego ze mną?

– Pamięta pan Mickeya? – spytał Falcone.

Ciemne oczy Wallisa zabłysły.

– Niech wam będzie... Tak. Pamiętam. To był krętacz i dureń, wdał się w ojca. Ale to wciąż nie wyjaśnia, czemu akurat mnie wybrał na swojego posłańca. Nie jestem głupi. Ten mały śmieć chce mnie w coś wrobić.

– Wrobić? – zdziwił się Peroni. – Niech pan nie żartuje. Pan jest grubą rybą, a my mówimy o Mickeyu Nerim. Chyba pan nie wierzy, że taki wypierdek będzie się porywał na kogoś takiego jak pan.

Peroni przyglądał się reakcji Wallisa. Jakże trudno ukryć dumę.

– Nie zadaję się z takimi szumowinami jak on – powiedział w końcu Amerykanin.

– Więc dlaczego pan tu przyszedł? – zapytał Falcone.

– Jestem po prostu porządnym obywatelem. Teraz wyznaczcie kogoś z was, niech zajmie się sprawą.

– To się nie uda – powiedział Peroni. – Sam pan słyszał. Albo pan, albo nikt.

– Chcecie, żebym wam pomógł? – W jego głosie była nuta rozczarowania. – Te kobiety nie mają ze mną nic wspólnego. To problem policji. Słyszycie? To nie mój interes!

Falcone uniósł ręce obronnym gestem.

– Zgadzam się. W dodatku mamy politykę, która zabrania nam odpowiadać na żądania okupu. Nawet wyrażone w tak nietypowy sposób.

Wallis owinał się płaszczem, szykując się do wyjścia.

– Tak więc nie mamy już o czym rozmawiać. Zatrzymajcie aparat i pieniądze – powiedział, ale nie wstał. Falcone popatrzył na Peroniego i zastanawiał się, czy obaj myślą o tym samym. Vergil Wallis chciał w tym uczestniczyć. Pewnie dlatego nie miał nic przeciwko dzieleniu się wiedzą z gliniarzami, że Mickey Neri sam podpisał na siebie wyrok tym głupim filmikiem. Lecz coś we wnętrzu kusilo Wallisa, żeby ciągnąć sprawę.

Peroni podsunął mu kartkę.

– Jeśli chodzi o Mickeya Neriego...

– Chrzanić go – przerwał Wallis.

Peroni delikatnie położył rękę na ramieniu Amerykanina i nieoczekiwanie zdał sobie sprawę, że górowanie nad nim sprawia mu pewną satysfakcję. Gdyby się postarał, mógłby czerpać z tego prawdziwą przyjemność.

– Wallis, Wallis – powiedział łagodnym głosem. – Niech pan się uspokoi. To tylko i wyłącznie pańska decyzja.

Czarnoskóry mężczyzna podniósł dokument. Jego wzrok przykuła fantazyjna urzędowa pieczęć policyjnego laboratorium umieszczona na górze strony.

– My tylko chcemy, żeby pan był dobrze poinformowany, to wszystko.

Siedzieli obok siebie na łóżku. Miranda Julius miała na sobie niewiele więcej poza krótkim podkoszulkiem i trzęsa się w jego ramionach okryta starą, burą kapą. Patrzyła mu w twarz.

– Gdzie on jest? – spytał Costa.

– Nie wiem. Drzwi od mojego pokoju są zamknięte tak samo jak od twojego. Przez większą część nocy nikogo nie słyszałam. – Chwyła jego rękę za nadgarstek, przekręciła ją i spojrzała na zegarek. – Powiedział, że wróci po mnie koło wpół do dziesiątej.

– I co dalej?

Pokręciła głową.

– Nie wiem nic więcej.

Costa przypomniał sobie głos, który słyszał poprzedniej nocy.

– To ten sam człowiek, którego widziałas na zdjęciu? Mickey Neri?

Przytaknęła.

– Zadzwoił do mnie wczoraj w nocy. Powiedział, że chce porozmawiać. Kazał mi ufarbować włosy, żeby mógł mnie rozpoznać. To było, rzecz jasna, głupie wyjaśnienie... – Opuściła głowę i oparła o jego pierś. – Tylko że nie potrafiłam jasno myśleć.

Znowu powiódł wzrokiem po ścianach. Wiedział już, że właśnie to miejsce widział na zdjęciach – jedno z wielu pomieszczeń ukrytego, podziemnego pałacu rozkoszy Randolpha Kirka. W każdej komnacie

stało łóżko mogące opowiedzieć wiele historii. Na jednym z nich zmarła Eleanor Jamieson.

Miranda przyłożyła dłoń do jego czoła.

– Dobrze się czujesz? Słyszałam, jak cię walnął. Brzmiało okropnie.

– Nic mi nie jest – odparł. Wziął ją za ręce i popatrzył w wypełnione strachem oczy. – Musimy znaleźć sposób, żeby się stąd wydostać, Mirando. Nie wiem, jakie są zamiary tego faceta, ale chyba nie planuje nic dobrego.

W głowie mieszały mu się różne wątki i fakty. Sam nie wiedział, które są prawdziwe, a które stworzyła jego wyobraźnia. Neri uciekał przygwożdżony dowodami znalezionymi w biurze księgowego. Pod jego domem wybuchła bomba. A Nico mimo to, kiedy jego ranni i ogłuszeni koledzy leżeli wokół na ziemi, przekonał Peroniego, że powinien jechać i sprawdzić informację, że zauważono Suzi. Czy to była zdrada? Wówczas wydawało mu się, że podjął właściwą decyzję, ale teraz nie umiał zebrać myśli na tyle, żeby zrozumieć, co się później stało.

Miranda wzięła jego dłonie w swoje i popatrzyła mu w twarz.

– Posłuchaj, Nico. On jest zdesperowany. Zależy mu tylko na pieniądzach.

– Ile? – Nie to pytanie chciał zadać.

– Prawie wszystko, co mam. Ale to nie ma dla mnie znaczenia. – Westchnęła i popatrzyła w dół, na łóżko. – Odnoszę wrażenie, że coś pokrzyżowało mu plany. Szczerze mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Suzi żyje, widziałam ją. Była tutaj, zanim mnie tu zamknął. Chcę ją uwolnić. Oddam wszystko, co mam, żeby była wolna.

Starął się sobie przypomnieć, czy poprzedniej nocy nie słyszał przypadkiem dwóch głosów w ciemnościach, zanim dostał w głowę.

– Gdzie ona jest teraz?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – W tym miejscu jest chyba wiele takich pokoi. Może on lubi z nich korzystać. Albo...

Jej twarz pociemniała i Costa wiedział, o czym myśli.

– Może jednak tu nie chodzi tylko o pieniądze – podjęła. – Nie interesuje mnie to, póki jej nie odzyskam. Musiałam wykonać kilka telefonów do domu, żeby zorganizować tę sumę. Być może Mickey

trzyma gdzieś Suzi, żeby mieć pewność, że nie wykręcę żadnego numeru. Jest jego zabezpieczeniem. Jeśli będzie miała szczęście, nic jej nie zrobi. Przepraszam, Nico. Wiem, że powinnam była zadzwonić, ale... – Popatrzyła na niego nieugiętym wzrokiem. – Wiedziałam, co byś zrobił. Ruszyłyby policyjne procedury. Nie mogłam podjąć takiego ryzyka. A tu chodzi tylko o pieniądze.

Costa wyjął telefon z kieszeni marynarki i znowu popatrzył na ekran. Wciąż nie było zasięgu. Rozejrzał się po pomieszczeniu, próbując odkryć jakąś drogę ucieczki.

– Nie wydostaniemy się stąd, Nico – szepnęła. – Próbowałam. Będziemy tu siedzieć, aż on wróci. Co to w ogóle za miejsce?

Usta Mirandy były tak blisko jego szyi, że czuł jej ciepły, wilgotny, żywy oddech. Drżała wtulona w niego.

– Chyba coś w rodzaju świątyni.

– Jakiego boga?

Znał odpowiedź. Oboje ją znali.

– Zatracenia.

Mirandę objął jakiś dziwny spokój, którego przyczyny Costa nie znał. Może przestała się denerwować, bo wiedziała, że Suzi żyje?

Zadrżała mocno. Otoczył ją ramionami. Sięgnęła w dół do torebki i wyjęła srebrne puzderko na lekarstwa, z którego wytrząsnęła na dłoń dwie czerwone powlekane pigułki.

– Muszę to zażyć – powiedziała, drżąc. Zamknęła oczy i odrzuciła głowę w tył, odsłaniając idealną białą szyję. Costa nie mógł przestać na nią patrzeć, przejęty bólem i głodem Mirandy, przykuty do łóżka jej pięknem podkreślonym jeszcze przez cierpienie.

Sprawy potoczyły się szybko. Miranda osunęła się w jego ramiona i szczupłą dłonią ujęła go z tyłu głowy. Jej usta, miękkie, wilgotne, chciwe, zamknęły się na jego wargach. Odpowiedział na pocałunek. Wsunęła język między jego zęby i zaczęła zdzierać z niego koszulę. W wyobraźni Nica rozbłysło coś czerwonego, dzikiego.

Zdawało mu się, że wyszeptała jego imię, a potem natarczywy, badawczy język powrócił, szukając drogi do jego gardła. Poczł coś twardego i połknął to, ale w ogniu podniecenia prawie nie zwrócił na to uwagi.

Nico zamknął oczy, przestał myśleć, oddał się w jej ręce. Pozwolił, by na nim usiadła. Urósł, gdy go dotknęła. Dyszał, pożądał, czuł żar, który między nimi wzrastał, oczyszczając umysł z wszelkich wątpliwości.

W strumieniu obrazów przepływających gorączkowo przez jego wyobraźnię postacie ze ścian wpatrywały się w niego ze świecącymi oczami, a z ich szeroko otwartych ust dobiegał śmiech. Cząstki martwego, suchego pyłu ożywały i zamierały w oczekiwaniu, aż syrena wyda z gardła swoją starożytną pieśń i ekstaza je połączy.

Nico zamknął oczy i zasnął. Kiedy się obudził, Miranda cicho nuciła piosenkę z dawnych lat, którą jego ojciec miał na winylowej płycie, jednej z wielu leżących niegdyś na stosie w domu przy Via Appia. Rozpoznał głos Grace Slick, wokalistki Jefferson Airplane, kultowego zespołu sprzed czterech dekad. Miranda raz za razem śpiewała tę samą linijkę.

– Po jednej tabletkie urośniesz...

Jej niski, chrapliwy głos brzmiał w głowie Costy jak we śnie.

– Że niby co on mi proponuje?!

Emilio Neri nie wierzył własnym uszom. Może od samego początku nie doceniał syna. Była prawie ósma trzydzieści rano. Właśnie kończył śniadanie w piwnicy bezpiecznego domu przy Wzgórzu Awentyńskim po najlepszej od lat nocy spędzonej samotnie w łóżku. Bruno Bucci podjął decyzję i Neri prawie zdążył zapomnieć, że kiedyś trząśł tym miastem. Jego nazwisko pojawiała się we wszystkich gazetach i wiadomościach telewizyjnych. Był oskarżany o przygotowanie wybuchu bomby zeszłej nocy. Jeden z dzienników wyznaczył nawet nagrodę dla każdego, kto pomoże ustalić miejsce jego pobytu. Neri nie przejmował się tym. Bucci dobrze się spisał. Zapłacił właściwym ludziom i zamknął usta tym, którym marzyło się przejęcie władzy. Albańczycy donieśli, że są gotowi wywieźć Neriego z kraju tego popołudnia. W nocy dotrze do północnej Afryki. Kilka dni później znajdzie się w Kapsztadzie, gdzie zafunduje sobie małe wakacje, a stamtąd odbędzie podróż przez Atlantyk do swojego nowego domu. Gdy tylko opuści rodzinne strony, nikt nie będzie w stanie go złapać. Zostawi za sobą długi ślad pieniędzy smarujących tryby instytucji

kolejnych przyjaznych państw.

Jednak traf chciał, że właśnie pojawiła się pewna mała pokusa. Gdy tylko usłyszał propozycję Mickeya, wiedział, że nic go nie powstrzyma przed jej przyjęciem.

– Powtórz – powiedział – niech mam pewność, że mi się to nie śni.

Bucci skrzywił się od samego początku niezadowolony z całej sprawy.

– Jeśli mu wybaczysz i pozwolisz żyć z Adele, dostaniesz Vergila Wallisa na tacy. Chce tylko trochę pieniędzy i gwarancję.

– Gwarancję? – Neri przechadzał się po pokoju, kręcąc głową. – Daj mi go do telefonu, pogadam z dzieciakiem. Będzie miał swoje gwarancje. Czemu nie zadzwonił od razu do mnie? W końcu jestem jego ojcem, do cholery, co nie?

Bucci zaprzeczył ruchem głowy.

– On nie chce z tobą rozmawiać, szefie. Jest na ciebie wkurzony. Mówi, że Toni Martelli miał go rąbnąć wczoraj w nocy i ty o tym wiedziałeś. To chyba dla niego obraza czy coś w tym rodzaju.

– Pewnie. – Neri zaśmiał się. – Może i obraza. Ale to Martelli ma dziurę we łbie, a on żyje, więc o co się tu obrażać? Ile chce?

– Żąda udziałów – powiedział ponuro Bucci. – Od dzisiaj dziesięć procent od wszystkiego.

Neri poklepał wesoło Bucciego w policzek.

– Ejże, uszy do góry, Bruno. Wiele się może zdarzyć. Myśl realnie. Nic nie jest wykute w kamieniu.

– Jak sobie chcesz, szefie. – Bucci zbyt często powtarza to zdanie, pomyślał Neri. Można się zirytować.

– Wiedziałeś, że to się dzieje? – spytał. – Że Mickey na boku porwał sobie panienkę? Mów szczerze, nie gniewam się na ciebie.

Bucci wyprostował się, jakby to, co usłyszał, było zniewagą.

– Nie. Pierwszy byś o tym wiedział. On ciągle coś kombinował. Mały, głupi gnojek. Po cholere nam to szambo? Jaki w tym cel?

– Jego fiut wskazuje cel. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Bucci westchnął i spojrzał na Neriego porozumiewawczym wzrokiem.

– Głupi, mały...

– Nie bądź niewdzięczny, Bruno. Kiedy wieść o tym się rozniesie, wyjdiesz na równego chłopa. Nikt nie chce popaprańca u steru. Ty przejmiesz biznes, ja pojedę na emeryturę, a ten czarny skurwiel Wallis dostanie w czapę i to będzie dobra nauczka dla każdego, komu się wydaje, że może nam robić koło dupy. Rozumiesz?

– Pewnie. – Bruno nie wyglądał na uradowanego. – Słuchaj, szefie, naszykowaliśmy naprawdę niezły plan i bez problemu mogę wyciągnąć cię z kraju. Tylko że jeśli zaczniemy mącić, to sam nie wiem...

Neri uśmiechnął się.

– Dasz radę.

– A może zostaw Wallisa mnie albo któremuś z chłopaków? Załatwimy go na cacy.

– Jasne. – Neri skrzywił się. – Mickeya i Adele też, co? Myślisz, że jestem głupi?

Bucci milczał. Neri poklepał go po ramieniu.

– Na twoim miejscu też chciałbym ich stuknąć. A zresztą nie oszukujmy się, ty i tak to zrobisz, jak tylko zniknę. Chodzi o to, że z Vergilem Wallisem mam swoje prywatne porachunki. Chcę mu zadać parę pytań, na które ma udzielić przytomnej odpowiedzi. Rąbnął mi księgowego. Oddał moje papiery DIA. To dzięki niemu teraz odchodzę. Należy mu się odrobina wdzięczności. Jasne?

– Jasne, tylko czy to jest warte ryzyka?

– Tak – uciął krótko Neri. – Jest warte. Poza tym, jeśli ty to zaplanujesz, żadnego ryzyka nie ma. Dobrze mówię? – Bucci spojrzał na niego dziwnie. W jego głowie działało się coś, czego Neri nie umiał przeniknąć. – Dobrze mówię, Bruno?

– Nigdy cię o nic nie prosiłem, szefie, więc pozwól, że teraz cię poproszę o jedną rzecz. Trzymajmy się tego, cośmy ustalili, i nie kombinujmy. Jedź na emeryturę i wypoczywaj, a ja wszystkiego dopilnuję.

Neri chciałby się zgodzić i zmienić swoje plany, ale za daleko zabrnął w tę uliczkę i Bucci chyba już to pojął.

– Na razie to ja ciągle tu decyduję – warknął stary gangster – i zrobisz, co ci, kurwa, powiem. To moje dziedzictwo, Bruno, i nie wpieprzaj mi się w drogę.



Bruno mruknął coś niezrozumiale.

– No więc gdzie i kiedy mamy się spotkać? – zapytał Neri.

– Oddzwoni do nas.

Stary mafioso pomyślał o swoim synu. I o Adele. Przeczuwał, że to wszystko jej sprawka. Pewnie obiecała Mickeyowi, że go ustawi do końca życia. Co za parka. Adele będzie się pieprzyć z szoferem, nim nadejdą święta.

– Wiesz, jednej rzeczy nie rozumiem – powiedział bardziej do siebie niż do Bucciego. – Jak, do diabła, Mickey namówił Wallisa, żeby tak się odsłonił? I to po tym wszystkim... Zdurniał chłop na stare lata?

– Może też myśli o emeryturze – zasugerował Bucci. – Może chce wyjaśnić sprawy.

Emilio Neri uśmiechnął się.

– O tak, pójdzie na emeryturę. To wiem na pewno.

Leżą spleceni na zimnym, wilgotnym łóżku. Razi go światło. Spojrzenie jego rozszerzonych źrenic krąży wokół, sięga miejsc, których wołałyby nie widzieć. Ona mu się przygląda, jej twarz blisko jego twarzy, jej oddech na jego skórze. Uśmiecha się, myśli.

Nico spogląda w jej oczy i w tej jednej chwili, kiedy jest całkowicie w jej władzy, słyszy, że Miranda odzywa się dziwnym, niskim głosem, który mógłby należeć do kogoś innego: „Każdy dobry uczynek potrzebuje świadka, Nico. Za każdą zbrodnię musi zostać wymierzona kara. Jeśli nie...”.

Costa wybucha śmiechem, nie może się powstrzymać, nie może uwierzyć, że ona mówi takie rzeczy.

Wezwij gliny, odzywa się. Po to tu jesteśmy.

Miranda wślizguje się na niego, opiera szczupłe, mocne ciało o jego pierś. Silne palce chwytają go za głowę, musi spojrzeć jej w oczy. Potem znowu patrzy na postaci z malowideł, roztańczone, roześmiane, gadające w jakimś nieznanym języku. Zamyka oczy. Gdzieś w nieokreślonej głębi brzmi głos, szorstki i okrutny, wypływa z wnętrzości i wydostaje się przez mięsiste wargi szalonej maski.

Patrz, sukinsynu, patrz, mówi. I tak nie masz wyjścia.

Nie. Zdaje sobie sprawę, że to słowo zostaje tylko w jego myślach.

Za drewnianych drzwi dochodzą dźwięki. Ludzie. Impreza. Czy to

się dzieje naprawdę, czy to tylko wspomnienia, cienie przeszłości wsączające się w terażniejszość?

Myślę, mówi Miranda, że tu kiedyś była dziewczyna. Wiele lat temu, ale nie na tyle dawno, żebyśmy zapomnieli. Młoda. Były też inne, ale ta była szczególna.

Każdy jest szczególny, mruczy Nico. Dlaczego ona?

Bo była piękna.

Każdy jest na swój sposób piękny.

Zza ukrytej maski dobiega szorstki, pogardliwy śmiech.

Do jego uszu napływa gorący oddech, strumień słów zmienia się w jego głowie w serię obrazów. Pojawiają się w wyobraźni zrodzone z tego, co słyszy, i z działania pulsującej w żyłach substancji. Stoją teraz obie, wyprostowane jak nieśmiałe uczennice, tyłem do niego, z zaciśniętymi piąstkami. Ich długie blond włosy opadają na szczupłe ramiona i płócienne szaty. Mają na szyjach kwietne girlandy, a ich młode głowy zdobią wianki. Wcielenie miłości, lilie poświęcone śmierci. Ich zapach, ostry, ciężki, z jakąś dodatkową nutą przypominającą narkotyczne perfumy, wypełnia komnatę, przenikając do najgłębszych zakamarków umysłu.

Jedna z postaci odwraca się i Nico rozpoznaje Barbarę Martelli, szesnaście lat młodszą niż kobieta, której nigdy tak naprawdę nie poznał. Długie loki opadają jej do pasa, uśmiechnięta twarz przybiera ciepły wyraz, jakby cieszyła się, że kogoś widzi.

Barbara otwiera usta, lecz nie wydaje żadnego dźwięku. Jest podarunkiem. Costa poznaje to od razu po tym, jak dziewczyna stoi, jak układa ręce. Coś w wyrazie jej twarzy mówi mu, że ona również jest tego świadoma.

Szczupłe, opalone ramiona Barbary, wciąż trochę dziecięce, wyciągają się ku niemu, licząc, że dotknie ich mężczyzna, a wraz z jego dotykiem przyjdzie dar.

Barbara wie, myśli Costa. Barbara pragnie.

Miranda przysuwa usta do jego ucha, wilgotne, płożące.

Szepcze, szepcze natarczywie: „Patrz”.

Druga dziewczyna także się odwraca i jego serce zamienia się w kamień, a z płuc znikają resztki powietrza.

Stoi przed nim Eleanor Jamieson, pełna życia, uśmiechnięta. Miranda ma rację. Jest najpiękniejsza spośród nich – nie z powodu urody, ale dlatego że z jej oczu emanuje światłość, blask prostej, naiwnej niewinności, tak intensywny, że przyćmiewa wszystko wokół. To zapowiedź jej zguby. Mężczyźni dostrzegą ten płomień, być może kobiety również, i kierowani zazdrością będą chcieli z niego czerpać, wykradać jej życiową moc. A ona tego nie rozumie. Po prostu się uśmiecha.

Ona nic nie wie, kretynie, skrzeczy głos spod maski. Nie ma zielonego pojęcia.

Rozciągnięte w uśmiechu usta Eleanor Jamieson rozchylają się i odsłaniają zęby, które przybierają ciemnobrązowy kolor. Jej duże, niewidzące oczy stają się jeziorami czerni, głębokimi i martwymi jak zatrute wody Tybru.

W gardle dziewczyny coś lśni, pobłyskuje srebrem i złotem. To moneta dla przewoźnika.

Za jej plecami, w cieniu coś się porusza.

Vergil Wallis milczał dobre kilka minut po tym, jak przeczytał raport z laboratorium. Na znak swojego szefa Peroni wyszedł po kawę, a przy okazji postanowił sprawdzić, czy są jakieś nowe wieści. Ludzie przeczesujący teren nic nie znaleźli. Mickey Neri był człowiekiem zaskakująco dobrze zorganizowanym.

Peroni wrócił do pokoju, stanął za zgarbioną sylwetką Wallisa i dyskretnie pokręcił głową, po czym postawił przed nim kubek z kawą. Oczy Amerykanina były pełne łez. Otarł je wierzchem dłoni.

– Przepraszam – powiedział wreszcie. – W tym zamieszaniu co rusz wyskakują jakieś niespodzianki.

– O tak, zbyt wiele – odparł Falcone. – Nie wiedział pan o tym? Nie zauważył pan, że ona i Mickey spędzali ze sobą czas?

To ta chwila, pomyślał Peroni. Vergil Wallis może podtrzymać swoją starą wersję, udawać, że cały czas mówił im mniej więcej prawdę, i spróbować pomniejszyć znaczenie całej sprawy. A jeśli tak się stanie, Nico Costa, Miranda Julius i jej córka zginą. Wszystko zależało od decyzji starego bandyty.

– Nie – powiedział Wallis głosem pełnym bólu. – Wciąż nie mogę

w to uwierzyć. Naprawdę nie dało się tego poznać, kiedy się na nich patrzyło. Eleanor była bystra... może trochę naiwna. Pewnie dlatego od czasu do czasu byłem dla niej pobłażliwy. Mogła pójść na każde studia, jakie by sobie wymarzyła. Za to syn Neriego był zwykłym parszywcem. Gorszym niż jego ojciec, jeśli to możliwe.

– Może to jej się w nim podobało – podsunął Peroni. Starał się rozmawiać z tym człowiekiem spokojnie i rozsądnie, bo wiedział, ile od tego zależy. – Sam mam dzieci. Z biegiem czasu zacząłem to rozumieć. Niekiedy postępują dokładnie odwrotnie, niż chcę, tylko dlatego żeby zrobić na przekór. To wcale nie znaczy, że trzeba się obwiniać za to, co nawyczyniały. Po prostu taka jest ludzka natura.

Wallis pokiwał głową.

– To prawda.

– Może teraz, kiedy już się pan dowiedział – ciągnął Peroni – przestaniemy bawić się w kotka i myszkę? Wiemy, że ona nie zaginęła tak po prostu, zupełnie przez przypadek. Wydaje mi się, panie Wallis, że pan wiedział o tym od samego początku. Odpuśćmy sobie podchody. Nie zostało dużo czasu do terminu wyznaczonego przez Mickeya. Niech pan nam powie, co tak naprawdę stało się tamtego dnia.

– Naprawdę? – W gorzkim głosie Wallisa zabrzmiała nuta rozbawienia. Peroniemu nie podobała się postawa, jaką przyjął. Ten człowiek mógł im pomóc, ale ani na chwilę nie tracił nad sobą kontroli i do końca nie zamierzał odsłonić wszystkich kart. – Nie mam pojęcia. Taka jest prawda. Przysięgam. Gdybym się o tym dowiedział...

Nie dokończył zdania.

– To co? Zabiłby go pan? – podsunął Peroni. – Tylko za to, że spodobała mu się dziewczyna?

Wallis skinął głową.

– Biorąc pod uwagę, kim wtedy byłem... Tak, zabiłbym go.

– A dzisiaj?

– Dzisiaj mieszkam w Rzymie i czytam dużo książek – powiedział cicho Vergil Wallis. Jeszcze szczerzej owinął się płaszczem. – Niekiedy zdarza się, że człowiek żyje złudzeniami. Czy coś w tym złego?

Falcone i Peroni wymienili spojrzenia. Inspektor postanowił wrócić do meritum.

– Jak pan sądzi, dokąd tamtego dnia wybierała się Eleanor?

– Jechała na jakąś imprezę. Neri wiedział, co mnie interesuje i co interesuje ją. Na te wspólne wakacje wybraliśmy się tuż po urodzinach Eleanor. Powiedział, że chce dać jej prezent. Niespodziankę. Coś z przeszłości. Ode mnie dostała na urodziny książkę Kirka. Bardzo jej się to cholerstwo spodobało, przeczytała całą w parę dni. Wspomniałem o tym Neriemu i może dlatego... – Wallis przerwał i westchnął. – Niedługo potem dowiedziałem się, że Neri organizuje w swoim domu spotkanie. Zaprosił mnie i profesora, który aż przebierał nogami, żeby zrobić imprezę swoich marzeń. Gdybym się nad tym porządniej zastanowił, może odezwałby mi się w głowie dzwonek. Nie miałem pojęcia, na czym polegały obrzędy dionizyjskie. Może dlatego Kirk cały czas się na mnie gapił takim dziwnym wzrokiem. Ja sobie tego po prostu... nie umiałem wyobrazić. – Po tych słowach zawahał się. – Eleanor na pewno wiedziała. Bachor Neriego musiał ją we wszystko wprowadzić.

– Gdzie to się miało wydarzyć? – spytał Peroni.

– Nie wiem – odparł Wallis. – Nigdy nie pytałem. Mogłem się przyłączyć, gdybym chciał, ale nie chciałem.

– Dlaczego? – spytał Peroni.

Wallis popatrzył na niego spode łba.

– Żeby oglądać, jak dzieciaki tańczą poprzebierane w jakieś kostiumy? Myślałem, że tak to właśnie będzie wyglądało. Byłem już w Rzymie na tyle długo, żeby dostać alergii na cały ten chłam dla turystów, który wciskają człowiekowi na każdym kroku pod hasłem promowania kultury. Sądziłem, że to będzie jakieś przedstawienie dwa domy dalej. Eleanor chciała w nim uczestniczyć – zgoda, ja miałem lepsze pomysły na zabicie czasu.

Peroni posłał Falconemu spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Nie przekonał mnie”.

– Zawiózł ją pan tam?

– Nie. Pojechała na swoim skuterze. Już wam mówiłem.

– Naprawdę nie ma pan pojęcia, gdzie to mogło być?

– Zielonego. I taka jest prawda.

Czekali. Wallis nie zamierzał powiedzieć im wszystkiego prosto

z mostu. Falcone postanowił go nacisnąć.

– Jest dziewiąta rano i dziewczyna wyjeżdża na maskaradę. Ma na sobie ten strój, w którym ją znaleźliśmy?

– Zabrała go do torby. Wcześniej podrzucił jej go Kirk razem z paroma innymi rzeczami.

– Co się dzieje potem? – spytał inspektor.

Wallis przyknął oczy, a Peroni poczuł, że jego serce na chwilę zamarło. To był punkt, w którym Amerykanin mógł stwierdzić: „Ani kroku dalej”. – Potem nic się nie działo. Mijały godziny. Zajmowałem się swoimi interesami. Rozmawiałem z ludźmi, wykonywałem telefony, po prostu o tym nie myślałem. Dopiero wieczorem uświadomiłem sobie, że Eleanor nie powiedziała, o której wróci. Pojechała tak podekscytowana, że zapomniała powiedzieć, kiedy to się skończy.

– Więc zadzwonił pan do Emilia Neriego, tak? – domyślił się Peroni. Znał to z doświadczenia. Tak postępuje ojciec. Nie dzwoni do dziecka bezpośrednio, nawet jeśli wie, jak się z nim skontaktować. Tego się nie robi. To obciachowe. Dzwoni się do innych ojców i mówi: „Słuchaj, stary, jest problem...”.

– Neri sam do mnie zadzwonił. – Wallis potrząsnął głową. – Ja nigdy nie tknąłem narkotyków, chociaż mnóstwo sprzedalem. Nie myślałem o nich, bo nie istniały w moim prywatnym świecie. Nigdy nie dotknęły żadnej osoby, którą kochałem, nawet w dawnych czasach, kiedy byłem czarnym chłopakiem z czarnej dzielnicy. Prochy po prostu były. Ułatwiały nam życie tak jak woda i prąd.

– Bardzo lukratywne udogodnienie, panie Wallis – zauważył Peroni. – Dzięki niemu postawił pan sobie miły pałacyk na wzgórzu.

– Posiadam tylko część domu. To nie do końca tak, jak pan sądzi.

– Czy to pana nie boli? Świadomość, że pańska córka zginęła przez narkotyki?

Przez krótką chwilę Peroni miał wrażenie, że Vergil Wallis wyjmie swoją wielką, czarną pięść z kieszeni płaszcza i trzaśnie go w twarz.

– Ale tak się przecież nie stało, prawda? – zapytał Amerykanin spokojnym głosem. – Ktoś podciął jej gardło. To Neri twierdził, że przedawkowała. Zachowywał się tak, jakby jego samego to dotknęło. Powiedział, że kiedy przyszedł na imprezę, zauważył, że dzieciaki biorą

na boku. Ponoć nawet profesor o tym nie wiedział. Twierdził, że...

Peroni uznał, że Vergil Wallis byłby dobrym aktorem. A może wciąż czuł ostrze tamtego noża na gardle, mimo że upłynęło tak wiele lat.

– ...zdarzył się wypadek – ciągnął Amerykanin. – Ponoć Eleanor przedawkowała, bo brała jakieś prochy, które przemycił na imprezę jeden z dzieciaków, ale nie Mickey. Wpadła w śpiączkę. Zadzwonili po znajomego lekarza. Próbował wszystkiego, ale nie udało się. Zmarła. Nic nie mogli zrobić.

– I co dalej?

Wallis popatrzył na swoje długie, czarne dłonie. Siedział zgarbiony w płaszczu i przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz.

– Przez godzinę czy dwie byłem w amoku. Biegałem po domu, wszystko niszczyłem. Biłem ludzi. Chciałem znaleźć kogoś, na kogo mógłbym zrzucić winę.

– Obwinał pan sam siebie – powiedział Peroni i wbrew sobie poczuł cień współczucia do tego człowieka. – Tak to właśnie działa.

– Tak to działa.

– Co pan zrobił – ciągnął Peroni – kiedy się pan uspokoił? Poszedł pan na policję? Nie, przecież sam ma pan sporo za uszami, a przestępcy nie chodzą do glin. Zaczęlibyśmy zadawać niewygodne pytania, na przykład skąd się wzięły narkotyki.

Wallis skinął głową i nic nie powiedział.

Peroni zastanowił się nad tym.

– Pańscy szefowie w Stanach też nie biliby braw. Ale tak czy inaczej, ja na pańskim miejscu chciałbym zobaczyć ciało.

– Widziałem wiele ciał, drogi panie – mruknął Vergil Wallis. – Nie chciałem, żeby to jedno nawiedzało mnie w nocy. Kazałem Neriemu zająć się sprawą. Załatwił dzieciaka, który przyniósł narkotyki, a przynajmniej tak mi powiedział. Natomiast ja zamknąłem się w skorupie. I rozpamiętywałem. – Czarne oczy spojrzały na nich i zabłysły. – Wszystko dobrze zapamiętałem.

– Prochy... – Peroni nie cierpiał spraw, w których w grę wchodziły narkotyki. Nic nie dawało się wówczas przewidzieć. – Gdy się tylko pojawiają, wszystko się chrzani. Ostatecznie skąd wiadomo, że to nie

one ją zabiły? Może małemu Mickeyowi popieprzyło się od nich we łbie i wyobrażał sobie, że jest bogiem miłości, a kiedy ona powiedziała mu, że nie chce i że przy okazji ma dla niego nowinę, stracił nad sobą panowanie i ją pociął?

Wallis wcisnął wielkie pięści głębiej w kieszenie płaszcza.

– Czego wy ode mnie chcecie? Ona już nie wróci, nic nie mogę zrobić.

Peroni skrzywił się.

– Są dwie kobiety i gliniarz, którym pan może pomóc wrócić, panie Wallis.

– Czemu ja?

– Mickey Neri twierdzi, że zna pan drogę – przypomniał mu Falcone.

– Nie mam pojęcia, co on wygaduje. Mogę się domyślać tego samego co wy. On chce mnie załatwić. Musiałbym mieć naprawdę dobry powód, żeby ryzykować skórę dla ludzi, których nawet nie znam.

Falcone popatrzył na zegar ścienny. Za dwie dziewiąta.

– Mógłby się pan dowiedzieć, kto ją naprawdę zabił. Czy to nie wystarczy? To właśnie przynęta, którą Mickey macha panu przed nosem. Będę za panem stał ja i połowa rzymskiej policji. Zdejmiemy ludzi z ulicy, wstrzymamy akcję poszukiwania zamachowców, odpuścimy na tę noc złodziejom, dilerom, alfonsom i mordercom, a zamiast tego będziemy chronić pański zakłamaną tyłek. Wybór należy do pana, panie Wallis, ale jeśli po tym wszystkim będę miał w kostnicy kolejne ciała, pański słodki, miły układ z DIA pójdzie do kosza. Już panu chyba przestało być wygodnie w tym wielkim domu na wzgórzu, prawda?

Wallis się skrzywił.

– Właśnie to macie mi do zaoferowania? Ja zagram w tę grę, a wy w zamian zejdziecie mi z ogona?

Peroni gwizdnął cicho przez zęby. Był wściekły.

– Jeśli tak pan to rozumie – odparł Falcone.

– I zdaje wam się, że jesteście aż tak dobrzy, żeby mnie ochronić? W ciągu kilku ostatnich dni widziałem w wiadomościach tyle trupów, że nie postawiłbym na was orzechów przeciw diamentom.

Falcone wzruszył ramionami.



– Wchodzi pan w to albo nie. Tak czy inaczej, wycofujemy ludzi spod pańskiego domu. DIA to nie firma ochroniarska. Kto wtedy będzie pilnował pańskich pleców? Pewnego dnia kumple od golfa będą musieli wrócić do domu, a chłopcy Neriego nigdzie się nie wybierają. Pewnie zechcą wyrównać rachunki za księgowego. Swoją drogą dzięki za prezent.

Vergil Wallis nachylił się nad biurkiem i wymierzył długi czarny palec w pierś Falconego.

– Posłuchaj pan. Ja nie tknąłem tego człowieka. Jestem na emeryturze, jasne? – powiedział, po czym opadł na krzesło i zamknął oczy w oczekiwaniu.

Mickey Neri był punktualny. Dokładnie co do minuty zadzwonił telefon. Obaj policjanci wpatrywali się w Wallisa. Odczekał dłuższą chwilę, akurat tyle, by zaczęli się robić nerwowi, po czym podniósł słuchawkę do ucha. Wcisnął przycisk i warknął:

– Mów.

Słuchał. Nie trwało to długo.

– I co? – spytał Falcone.

Wallis sięgnął pod płaszcz i wyjął elegancki, długi, srebrzysty pistolet, którego marki żaden z policjantów nie rozpoznał.

– Mam nadzieję, że nie będziecie chcieli mi go teraz odebrać?

– O rety – powiedział Peroni. – Czego to w dzisiejszych czasach nie noszą przy sobie emeryci. Dostał pan na to jakąś zniżkę dla seniora?

Amerikanin otworzył torbę i wrzucił do niej broń.

– Frontowe schody kościoła San Giovanni. Dwadzieścia pięć minut. Auto, w którym będę jechał, ma prowadzić Pan Cwaniaczek. Słyszałem, że kiedyś grał w pierwszej lidze. Nie chcę, żeby jacyś amatorzy deptali mi po palcach.

Mickey Neri chwycił w nozdrza martwe powietrze jaskini, żałując, że nie ma odwagi wyjść na zewnątrz, w światło dnia, daleko od tego całego zamieszania. Jednak to nie wchodziło w grę. Adele kazała mu wykonać telefon. Powiedziała, że nie mają wyboru. Potrzebowali pieniędzy. Musieli od jego ojca dostać szansę, żeby zacząć jeszcze raz, wolni od jego gniewu. Więc siedzieli w jednym z pomieszczeń tego zatęchłego, ciemnego labiryntu i próbowali się nie kłócić. Mickey nie

potrafił zapamiętać rozmieszczenia komnat. Adele chodziła po jaskini, jakby była u siebie. Znała każdy zakręt i zakamarek. Wkurzało go to. Sądził, że to on będzie szefem. Był jej wdzięczny za akcję w mieszkaniu Martellego, ale zabiłby skurwiela bez pomocy... jakoś.

Jeśli plan wypali, będą mieli trochę pieniędzy i zawrą rozejm ze starym, a on im podziękuje. Mickey dobrze znał ojca. Miał swoje wady, ale doceniał, kiedy ktoś grał fair, i potrafił się odwdzięczyć. Uznawał to za ważną cnotę. Gdyby udało im się wystawić Neriemu Wallisa, możliwe, że wszystkie złe uczynki zostałyby im wybaczone, a przynajmniej poszłyby w niepamięć. Adele ciągle podkreślała, że nastał czas zmian. Dla Emilia nie było już drogi powrotnej, nie mógł znowu stać się rzymskim gangsterem po tym, jak bomba posłała do piachu sforę psów. Tracił władzę. Natomiast Mickeya gliniarze nie mogli o nic oskarżyć. Mógł siedzieć brzuchem do góry i spijać śmietankę z interesów. Z Adele lub bez niej – nie podjął jeszcze decyzji.

Wszystko zależało od tego, czy Vergil Wallis się pojawi. Jeśli nie, oboje zginą. Ta myśl nie wprawiała go w optymistyczny nastrój.

Na miejscu tego snobującego się, czarnego bandyty z domu na wzgórzu na pewno nie chciałby robić jako chłopiec na posyłki u swojego największego wroga. To nie miało sensu.

– A co, jeśli Wallis się nie pojawi? – spytał.

– Pojawi się.

– Jesteś taka pewna?

– Ty nic nie kapujesz, co nie? – ucięła. – To poważni ludzie. Fakt, może będą chcieli się nawzajem pozabijać, co by nawet było dla nas dobre, ale tacy jak oni zawsze są skłonni rozmawiać. Nawet w środku wojny. Chcą wiedzieć, na czym stoją i czy mają szansę się dogadać. Wallisowi zależy, żeby załatwić tę sprawę, tak samo jak Emiliowi. A poza tym... – posłała mu otwarte spojrzenie, które przeszło go na wylot – ...sądzę, że on będzie chciał wiedzieć, co się stało szesnaście lat temu. A ty?

– Czemu mnie pytasz? – powiedział. – Nigdy nie znałem tej smarkuli. Nawet jej nie dotknąłem.

– Nie? – Chyba nie była przekonana.

– Nie. Zresztą to było strasznie dawno. Czas, żeby ludzie zaczęli

się interesować tym, co mają przed nosem, a nie prehistorią kopalną.

Roześmiała się, potrząsnęła doskonałymi, błyszczącymi włosami i popatrzyła na niego z wyrazem twarzy, który często widział u ojca, jakby chciała powiedzieć: „Nie bądź niemądry”.

– Tak to jest, kiedy się człowiek starzeje, Mickey. Nie ma już przed sobą długiej przyszłości. To przeszłość staje się bardziej realna.

– Co ty o tym możesz wiedzieć? Jesteś ode mnie starsza o rok czy dwa.

– Powiedzmy, że wcześniej dojrzałam – powiedziała, patrząc, jak Mickey sięga po papierosy. – Nie pal.

– Czemu?

– Bo jeśli sprawy się pochraniają, ludzie będą strzelać w ciemnościach. Raz w życiu pomyśl. Łatwiej się celuje na zapach.

Zaklął i rzucił paczkę na podłogę.

– A jeśli się nie pochraniają? Co wtedy?

Przysunęła się do niego, uśmiechnęła, położyła dłoń na jego piersi i zaczęła się bawić guzikami koszuli. Wiedział, że z niego kpi.

– Wtedy odziedziczymy wszystko. Ty i ja. Możemy żyć razem. Prawda?

– Jasne. – Słyszał niepewność we własnym głosie. Usiłował być panem sytuacji. To nie było łatwe. – Co tu robi ten gliniarz, Adele? I ta babka? Co my z nimi zrobimy?

Wzruszyła ramionami, bawiąc się koniuszkiem jego kołnierzyka.

– Nie przejmuj się niczym poza swoim ojcem. Resztę zostaw mnie.

– Ten gość to glina. Jak pomyślą, że go rozwalilem, nigdy nie dadzą mi spokoju. Kiedy stąd wyjdziemy, ten szajs musi być pozamiatany. Nie mogą nic na mnie mieć.

– Mickey – powiedziała stanowczo – kiedy mówię, że to nie twój problem, to tak jest.

Próbował się zaśmiać, ale wypadło to sztucznie.

– Więc teraz ty jesteś szefową? Sama załatwisz Emilia i tę bestię, Bucciego? Jest nas tu tylko dwoje. Niby jak mamy dać sobie radę?

Uśmiechnęła się jakoś obco. Nie był pewny, czy ją w ogóle poznaje.

– O Bucciego się nie martw. Pieprzyłam się z nim, zanim zaczęłam

się pieprzyć z tobą.

Mickey Neri nagle poczuł pustkę w głowie.

– Naprawdę? – Nie umiał zebrać myśli, wiedział tylko, że chyba go obraziła. – Milutko.

Zimne oczy zamrugały i popatrzyły na niego.

– Tak, milutko, ale tylko raz. Więcej nie trzeba było. Dzięki temu dostałam cynk, co się uroiło Emiliowi w tym jego chorym łbie, kiedy się o nas dowiedział. Dzięki temu wiedziałam dość, żeby wydostać nas z domu, zanim wypieprzył go w kosmos, i uratowałam twoją żalną dupę. My żyjemy i Bucciemu też się nieźle powodzi. To się nazywa dyplomacja, Mickey. Umiejętność, którą musisz nabyć. Bruno wie, że nie da rady poprowadzić rodziny, bo się nie zna na tych sprawach. Za parę miesięcy będzie wojna, którą on by przegrał. Jest numerem dwa. To facet na tyle bystry, że zdaje sobie z tego sprawę.

– Dobrze – powiedział Mickey. – Póki trwa taki układ, Bucci nie musi się o nic martwić.

– To prawda. – Wodziła go za nos, a on nie mógł nic z tym zrobić. Przynajmniej nie w tej chwili.

Zeszłego dnia Adele rozjaśniła włosy. W żółtym świetle żarówki widać było, że ten nowy kolor blond zmieszał się z rudym. Wyglądała inaczej, jakby bardziej elegancko. I odmłodziła.

– Farbowałaś włosy – powiedział i wysunął rękę, żeby ją pogłaskać. Zastanawiał się, czy nie udałoby się trochę pobaraszkować. Może w tej wilgotnej, cuchnącej norze pod ziemią byłoby całkiem ciekawie. Mogłaby zjechać głową między jego nogi, a może nawet zostaliby w tym pokoiku i poszli na całość. – Podobają mi się.

Odsunęła jego rękę.

– Nie farbowałam ich, głupku. To naturalny kolor. I nie dotykaj mnie bez pozwolenia.

Spróbował sobie przypomnieć, jakie miała włosy kilka lat temu. Faktycznie, była blondynką, chociaż z jakiegoś powodu wkrótce zrobiła się na rudo.

– Czemu nie?

Spojrzenie zielonych oczu było teraz twarde, przepełnione uczuciem bliskim nienawiści.

– Bo musisz się nauczyć, co znaczy słowo „nie”. Traktuj to jako pierwszą lekcję.

Urwała. Zdawało się, że coś ją absorbuje, a on nie potrafił określić, czy to dobrze, czy źle.

– Pamiętasz, co ci mówiłam? – spytała. – Mogę na tobie polegać, Mickey?

– Tak. Tylko nie wydymaj mnie na sam koniec.

Jej szczupła dłoń dotknęła jego policzka.

– Jasne – powiedziała z uśmiechem, po czym wstała i bez dalszych wyjaśnień ruszyła do wyjścia.

– Adele? Adele?!

Zatrzymała się w cieniu otwartych drzwi i posłała mu buziaka.

– Od tej chwili musisz sobie radzić sam, Mickey – powiedziała. – Mam inne sprawy na głowie.

Gdy Teresa Lupo wróciła do swojego biura, słowa Peroniego wciąż dźwięczały wesoło w jej myślach. Komplementy policjanta brzmiały szczerze. Zaczęło jej się przejaśniać w głowie. Złośliwy wirus grypy był w odwrocie bombardowany aspiryną, dzięki czemu mogła klarowniej myśleć. Wyjęła trzymane w szafie biura ubrania na zmianę, wzięła prysznic i poczuła się czysto i świeżo.

Uczesała włosy, znowu układając je w fryzurę businesswoman. Gdyby popatrzyła w lustro, czego robić nie zamierzała, spostrzegłaby, że nie ma już tak przekrwionych oczu. Jej dobry nastrój był zaraźliwy. Księżulo też odzyskał rezon, kiedy przyszedł raport z laboratorium. Wynikające z niego wnioski potwierdziły przypuszczenia, które miała w głębi ducha. Odkrycie ojcostwa płodu zachowanego w ciele Eleanor Jamieson należało już teraz bardziej do sfery podbudowywania morale policji niż prowadzenia śledztwa. Nikt nie miał pojęcia, dokąd w nocy uciekła rodzina Nerich. Jednak morale miało znaczenie. Co prawda detektywi wciąż krążyli po omacku, ale przynajmniej teraz mogli się od czegoś odbić.

Jedna rzecz wciąż ją dręczyła. Teresa zaoszczędziłaby wszystkim wiele pracy, gdyby przeprowadziła konwencjonalną sekcję zwłok zaraz po dostarczeniu ciała. Źle oceniła sytuację i nie dawało jej to spokoju. Skoro pomyliła się raz, mogła pomylić się kolejny. Ile rzeczy przeoczyła

w tym przeludnionym królestwie umarłych? To, co Peroni powiedział i spuentował pocałunkiem, miało sens. W takich chwilach trzeba myśleć o priorytetach, zaglądać pod te kamienie, które wydają się obiecujące, a nie usiłować wszystko pobieżnie obejrzeć. Nie była dostatecznie skoncentrowana. Co więcej, nie skupiła się nawet na profesorze Kirku, co było dziwne, bo wpadł w jej ręce wskutek zdarzeń dziejących się o krok od niej, a coś takiego nie przytrafiło się jej nigdy w karierze zawodowej. Trzeba było od samego początku skupić się na powiązaniach. Gdyby odkryła schemat, wszystkie kawałki układanki wskoczyłyby na swoje miejsce.

Silvio Di Capua wszedł do sali z korytarza. Popatrzył w jej uśmiechniętą twarz z przerażająco psim oddaniem. Gdy to zobaczyła, poczuła, że czarne chmury depresji nie oddaliły się od niej tak daleko, jak jej się zdawało.

– Silvio, mój ty rycerzu – powiedziała wciąż nieco zachrypniętym głosem. – Jakie nowiny w sprawie naszego profesora?

– Nowiny? – spytał zdziwiony. – Dostał kulkę i umarł. Jakich ty byś chciała nowin?

– No wiesz, co on o tym wszystkim sądzi. Może chciałby do kogoś zadzwonić.

No tak, była jeszcze sprawa tego telefonu. Wspomnienia sprzed dwóch dni wydawały się jej kosmicznie odległe. Kirk zadzwonił do kogoś i nagle rozpętało się piekło. Obowiązująca w Questurze wersja wydarzeń była taka, że to Eleanor Jamieson była Pandorą dnia i jej na wpół zmumifikowane zwłoki przyzywały czterech jeźdźców, którzy wywołali tę małą apokalipsę.

– Ale do rzeczy... – powiedziała sama do siebie.

Księżulo znowu się wystraszył.

– Co takiego?

– To był Randolph Kirk. – Przypomniała sobie jego obrzydliwy nawyk dłubania w nosie. – Jaś Smarkojad. To on rzucił gówno w wentylator. Dziewczyna z bagna leżała już przecież w kostnicy od dwóch tygodni i nic się nie działo.

Silvio Di Capua zamrugał i skulił się dokładnie tak, jak czynią to przerażone króliki.

– Mamy masę pracy, Tereso. Miła, rutynowa robota. Ty już dałaś naszym koleżkom policjantom mały prezent. Z tego, co słyszałem, mają mnóstwo nowych zmartwień.

Nastawiła uszu.

– Mnóstwo nowych zmartwień?

Nie powiedział ani słowa.

Teresa podniosła nożyczki i ciachnęła nimi kilka razy w powietrzu.

– Gadaj, Silvio, zanim najdzie mnie nieprzeparta ochota, żeby kogoś wykastrować.

Przełknął ślinę.

– Słyszałem to od jednego gościa po drodze. Ponoć syn tego bandyty sam się podłożył, nawet jeśli nie brać pod uwagę sprawy ojcostwa. Wygląda na to, że próbuje załatwić sobie kieszonkowe. Żąda za nich okupu.

– Za nich? – Nie zrozumiała. – On ma tylko Suzi Julius.

Znów głośno przełknął ślinę.

– Już nie. Teraz ma też jej matkę. – Zawahał się i zniżył głos do szeptu. – No i glinę.

Coś zimnego przesunęło się wzdłuż jej kręgosłupa. Podeszła do Silvia, wciąż ściskając nożyczki w ręce.

– Jakiego glinę?

– Tego, którego lubisz – powiedział słabym głosem. – Costę. Bóg wie, jak go złapał. I gdzie. Przysłał zdjęcie jego i tej kobiety. Związał ich i gdzieś trzyma.

– Ma Nica? – wychrypiała. – Cholera jasna... I co zrobimy? – Rozejrzała się po pokoju, szybko rozważając możliwości. – Trzeba się nad tym zastanowić.

Silvio Di Capua wyprostował się nagle, dzięki czemu był teraz od niej niższy tylko o pół głowy, i zawołał:

– Nie! Czy ty nic nie rozumiesz?! Nie zamierzam się nad tym, do cholery, zastanawiać! Nie po to tu jesteśmy!

Nigdy wcześniej nie doprowadziła go do takiego stanu. Widziała w tym swoje niedopatrzenie, bo ten nowy, asertywny Silvio wydawał się jakby bardziej ludzki.

– Na litość boską, Tereso, przestań mówić „my”. – Trochę się

uspokoił. – Oni: gliniarze. My: patologowie. Inne zawody, inne budynki. Czemu nie chcesz tego pojąć?

– Dlatego, że Nico Costa to mój przyjaciel.

– No i świetnie. Ale to także ich przyjaciel, prawda? Nie chcesz dać im się czasem pobawić w bohaterów? My będziemy tu sobie ciąć i zszywać, a rzeczy niech toczą się swoim naturalnym kursem.

– Naturalnym kursem? – powiedziała trochę za głośno. Była tego świadoma, ale nie mogła się opanować. – Czy ty wiesz, co się działo przez ostatnich parę dni, Silvio? Co w tym popapraństwie jest naturalnego? A poza tym...

– Nie, nie, nie. – Pochylił głowę tak, że jego łysy czubek zaśnił w ostrym świetle lamp. Długie włosy, teraz nawet bardziej zaniedbane niż zwykle i od dawna niemyte, lepiły się do fartucha na tłustych ramionach.

Księżulo uniósł głowę i z beznadziejnym wyrazem twarzy spojrział jej w oczy.

– Obiecuj mi, Tereso, że tym razem nigdzie nie pojedziesz. Obiecuj mi, że nie postawisz nogi poza tym budynkiem. Falcone sam da sobie radę z porwaniem i resztą. Tu chodzi o okupy, pieniądze, inwigilację i inne rzeczy, o których nie mamy pojęcia. Może teraz dla odmiany zajmijmy się tym, za co nam płacą, co? Nie powinnaś maczać w tym palców. Gdybyś siedziała w pracy, to gówno w ogóle by nie wypłynęło.

– Gadasz jak jeden z nich – powiedziała.

Jego pulchne policzki opadły, jakby dała mu w twarz.

– Może. Jednak taka jest prawda.

– Wiem, ale... – Jak mogła mu to wyjaśnić? W tym, co się stało dwa dni temu, było coś bardzo osobistego. Nie chodziło tu tylko o jej własne doznania na granicy życia i śmierci. Dręczyło ją wspomnienie Kirka, Jasia Smarkojada. Umarł w jej obecności, a jego cień przemknął obok, zbyt szybko, żeby się pożegnać.

Po tym, jak do kogoś zadzwonił.

Jaś Smarkojad. Pan Samotnik, którego zwyczajnie na pewno odstraszały każdego, z kim mógłby się zaprzyjaźnić, chyba że akurat miał na sobie maskę, a w pobliżu kręciło się kilka nieletnich dziewczyn.

Spojrziała na Księżula.



– Znalazłeś cokolwiek interesującego w kieszeniach Kirka? Jakiś notesik z adresami czy coś w tym rodzaju? Może kawałek kartki z numerem?

– Nie – odparł głucho. – I zanim spytasz, powiem ci, że patrzyłem. Skrzyżowała swoje okazałe ramiona i zaczęła przechadzać się po sali.

– Każdy czasem musi coś zanotować – powiedziała, ruszając w stronę szuflad, w których przechowywano ciała. Księżulo poszedł za nią i marudził przez całą drogę.

Teresa odnalazła szufladę z wypisanym nazwiskiem Kirka, pociągnęła za rączkę i usłyszała znajomy hurgot kółek w prowadnicy. Zaraz potem w jej nos uderzył znany smród odczynników chemicznych.

– Co robisz? – jęknął Księżulo. – Skończyliśmy z nim. W kolejce mamy tyle innych ciał, że następni chętni będą musieli dzwonić po rezerwację.

– Wtedy powiedz, że nie mamy wolnych stołów.

Randolph Kirk wyglądał nie inaczej niż każdy człowiek po sekcji. Sztywny, blady i trochę naruszony. Księżulo nie byłby dobrym krawcem.

Zlustrowała trupa okiem zawodowca, po czym podniosła kolejno jego ręce i obejrzała wnętrze nadgarstków.

– Myłeś go?

– No pewnie! – odparł Księżulo. – A potem zrobiłem manikiur i poszedł do solarium. A co myślałaś?

– Tak się tylko zastanawiałam.

– Nad czym tu się zastanawiać?

Silvio zaczynał drażnić Teresę, ale nie zamierzała się przejmować, gdyby to zauważył.

– Skoro pytasz, zastanawiałam się nad tym, czy może nie zapisał numeru telefonu na dłoni albo nadgarstku. Roztargnieni ludzie często tak robią. A może nie powinnam tego wiedzieć? Może ci to nie pasuje do definicji zawodu patologa?

– Masz rację – odezwał się cicho. – Przepraszam.

Wróciła do swojego biurka, wyjęła zrobione poprzedniego dnia notatki, wykręciła numer Reginy Morrison i usłyszała zdumiony głos

z edynburskim akcentem po drugiej stronie linii.

– Znalazłaś czas, żeby do mnie zadzwonić? – powiedziała sucho profesor. – Kto by pomyślał. Chyba nie jest tak źle, jak piszą w gazetach.

– Jest, jest – ucięła krótko. – Nawet gorzej. Mam do ciebie jedno pytanie, Regino. Czy Randolph Kirk trzymał na uniwersytecie jakąś książkę z adresami? Znalazłaś coś takiego w czasie swojego przeszukania?

Przez chwilę trwała cisza. Teresa pamiętała, żeby poprawnie wymówić imię Reginy. Ale to nie wystarczyło. Konieczne były różne grzecznościowe podchody, na które nie było czasu.

– Nie. Czyli to nie jest rozmowa towarzyska?

– A kieszonkowy kalendarzyk? Używał czegoś takiego? Może miał jakiś elektroniczny gadżet?

W słuchawce zabrzmiało długie westchnienie.

– Widać, że nie spędziłaś w jego towarzystwie dużo czasu. To był najbardziej beznadziejny przypadek nieustannej wojny człowieka z maszynami, jaki w życiu widziałam. Nie dałabym mu do rąk nawet tosterka.

– Cholera. Więc wychodzi na to, że wszystkie zamiary miał w głowie?

– Jakie zamiary? On się z nikim nie przyjaźnił.

A jednak. Musiał. Zadzwonił do kogoś i wszystko pieprzeło. Chociaż może tak nie było, może jej przyjazd tylko trochę przyspieszył katastrofę, która już się szykowała. Tak czy inaczej, Kirk do kogoś telefonował.

Teresa rozłączyła się, świadoma, że Regina Morrison mówi właśnie coś, co brzmiało mniej więcej jak zaproszenie na kolację.

– Co się dzieje z tymi ludźmi, u licha – pomyślała głośno.

Wróciła do szuflady z ciałem Kirka i popatrzyła na zwłoki. Żałowała, że nie może obudzić go tylko na minutkę i zadać paru prostych pytań.

Wróciła myślami do biura profesora. Widziała w wyobraźni, jak pracuje palcami w nosie, pomagając sobie ohydą chusteczką.

– Nie dłoń w nosie, boś nie prosię... – wyszeptała sama do siebie. Wiedziała, że Księżulo patrzy, gotowy w każdej chwili dzwonić do

wariatkowa. – Nigdy w życiu nie widziałam chustki do nosa w takim stanie, nawet w środku epidemii grypy. Nawet...

Di Capua wpatrywał się w nią, skamieniały.

– Nie pozwolę ci wyjść z tego pokoju – ostrzegł. – Zamknę drzwi i zwiążę cię bandażami, przysięgam.

– Mój Boże! – zawołała, po czym zrobiła słodką, lisią minkę.

– Proszę... – zaskamlał Silvio.

– Jego ciuchy. Dawaj mi tu jego ciuchy.

Są ubrani, wstają, wychodzą przez drzwi w chłód jaskiń. Costa ma nogi jak z ołowiu, nie kontroluje ruchów. Miranda musi mu pomagać w drodze przez ten zagmatwany labirynt tuneli. Wkraczają w żółte kałuże światła przypadkowych żarówek i znowu wchodzą w ciemność.

– Idź w cieniu – mówi – aż ci dam znać.

Wchodzą do następnego pomieszczenia i Miranda prowadzi go blisko ściany z daleka od światła. Nico pamięta to miejsce, tę wielką komnatę, jasno oświetloną pośrodku, zakurzoną. W centrum pokoju stoi stół, a wokół niego kilkanaście rozchwierutanych krzeseł, być może dwanaście. U końcu stołu pod jednym z nich, większym i wyróżnionym wysokim oparciem, leży różdżka – jak ją nazwała Teresa Lupo? – tyrs. Teatralna maska o wykrzywionych ustach, z dreadami, leży na sąsiednim krześle i czeka jak martwy totem, aż ktoś ją ożywi.

Z poprzedniej nocy najlepiej zapamiętał fotografie. Jedna obok drugiej, blondynka przy blondynce, z kolorem włosów takim jak u Mirandy. Suzi Julius i Eleanor Jamieson, młode i niewinne, śmieją się do aparatu i myślą, że będą żyć wiecznie. Są jak duchy, które nawiedziły ten pokój. Ich błyszczące oczy śledzą każde poruszenie.

Miranda Julius wchodzi w krąg światła i sięga po tyrs. Wymachuje nim, a drobiny kurzu tańczą w żółtym świetle. Dobiega go mdły, słodkawy zapach starego kopru.

Kobieta odkłada różdżkę, wraca i spogląda na niego. W oddali słyhać głosy. Ten wijący się labirynt tuneli może mieścić w sobie setki pokojów. Nico usiłuje myśleć za nich oboje. Miranda kładzie rękę na jego ramieniu. Jej oczy płoną jasno.

Za stołem znajduje się nisza. Costa wciąga ich oboje głębiej w ciemność i od tego wysiłku zaczyna go boleć głowa, a oddech się

rwie.

Ujmuje w dłonie jej twarz. Myśli już trochę jaśniej. Słyszy własny głos i wie, że jest prawdziwy.

– Mirando, musimy stąd wyjść. To najlepsze, co możemy zrobić. Potem wezwiemy pomoc i wrócimy po Suzi.

Na jej twarzy jest strach. Miranda obejmuje Nica, sięga za jego głowę po coś, czego on nie widzi, potem przesuwając wargi po szyi i gryzie mocno w kark. Obejmuje go, wpija się ustami w jego usta. Tym razem jest pewny. Na końcu jej zwinnego języka jest mała kulka, która wciska mu się do gardła. Nico krztusi się, zatacza, a głos w jego głowie śpiewa: „Po jednej tabletkie urośniesz...”.

Otwiera oczy i widzi, że to Miranda wypowiada te słowa, to jej usta się poruszają. Tak długo trzyma palce na jego wargach, aż jest pewna, że połknął tabletkę.

Silvio Di Capua popatrzył na leżący na stole przedmiot, zadrżał i wydał z siebie długi, bolesny jęk. Miał przed sobą chusteczkę Randolpha Kirka: dawniej była śnieżnobiałym, nieskazitelnym kwadratem materiału, obecnie – małą, zmiętą kulką, utrzymaną w swoim kształcie przez mieszaninę zaschniętych zielonych i szarych glutów.

– Tylko mnie nie obrzygaj, Silvio – powiedziała Teresa. – Skalpel.

– Daj spokój – poskarżył się. – Mam ci jeszcze znaleźć maskę chirurgiczną?

Teresa Lupo posłała mu szczególnie lodowate z zimnych spojrzeń, które trzymała na specjalne okazje.

– Niezła myśl.

Burknął pod nosem i podał narzędzie.

– To jest chore. To najbardziej chora rzecz, jaką widziałem w ostatnim chorym czasie.

– Jaś Smarkojad gdzieś zapisywał sobie numery – wyjaśniła. – Nie na ręce, nie na mankiecie. A na tej chustce było coś więcej niż tylko gluty. Nie przypomniałam sobie tego wcześniej przez wrodzone zamiłowanie do higieny.

Mogłaby przysiąc, że na te słowa Księżulo tupnął swoją małą nóżką w podłogę.

– Teresa! Twoje pomysły są dziwaczne! Nawet jeśli masz rację, powinniśmy to oddać kryminalistynom.

– To ludzkie wydzieliny. Nasza działka.

– Wybacz, że ci o tym przypominam, ale my nie szukamy wydzielin, bo mamy ich tu na wiadra. Szukamy numeru telefonu, który ten dziwaczny sukinsyn zapisał sobie przezornie wśród smarków, i mam nadzieję, że użył niewidzialnego atramentu. Wynika stąd, że, primo, wyczyniamy bardzo dziwaczne rzeczy, secundo, jest to bez wątpienia sprawa dla kryminalistów.

Znalazła miejsce, gdzie można by zrobić pierwsze nacięcie, i trzymając koniec chusteczki palcami dłoni w rękawiczce, zaczęła sunąć ostrzem po materiale.

– Gdybyś osobiście poznał pana profesora, tobyś tak nie mówił. Uznałbyś, że to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

Pod naciskiem tępej krawędzi skalpela odsłonił się obszerny kawałek materiału.

– Kiedyś operowałam – powiedziała dumnym głosem.

– Chusteczkę?

– Tu chodzi o umiejętność dostosowywania się, człowieku. Żyjemy w nowoczesnych czasach. Tę sztukę trzeba opanować do perfekcji. Patrz...

Mieli przed sobą numery telefonów. Siedem małych, postawionych drżącą ręką numerów, zapisanych tak dawno, że zaczęły rozmywać się na materiale. Jeden rozpoznała od razu – Regina Morrison. To faktycznie był jego notesik. Nie chciała myśleć, do kogo są pozostałe numery. Może do pralni? Czy profesor Kirk kiedykolwiek uświetnił swoją osobą tak skromny przybytek?

Jeden telefon wydawał się obiecujący. Tusz był świeży, pociągnięcia drżącej ręki jeszcze nierozpuszczone. Ten rząd cyfr nigdy nie przeszedł przez pranie tak jak inne. Może zapisał go dzień czy dwa przed śmiercią, pomyślała.

– Dawaj mi ten raport – zażądała.

Przycisnął dokumenty do piersi.

– To nie w porządku. Nie możemy tego zrobić. Musimy przekazać tę informację ludziom, którzy jej potrzebują. Niech oni zdecydują, ile

jest warta. To nie nasza sprawa...

Wściekłość w jej spojrzeniu kazała mu zamilknąć.

– Silvio, jeśli jeszcze raz będziesz próbował przypominać mi, co należy do moich obowiązków, a co nie, to przysięgam, że cię wywalę z roboty, i to na dobre. Jeżeli jeszcze nie zauważyłeś, nasi kochani policjanci zajmują się właśnie ściganiem poważnych bandytów i urządzili wielką nagonkę. Łapią podkładaczy bomb. Morderców. Porywaczy. Jeśli pójdę do nich z chusteczką, choćby i nietypową, wyśmieją mnie. Kto wie, może wymyślą mi ksywkę. Hm, Szalona Teresa byłaby niezła. Jak sądzisz, pasuje?

Głośno przełknął ślinę i nie odpowiedział.

– Dawaj.

Oddał dokumenty. W poszukiwaniu numerów telefonów przesunęła wzrokiem po stronach raportu, który Księżulo jakimś sposobem zwinął rano z Questury.

– Domowy Neriego. Komórka Neriego. Komórka Mickeya. To biuro niedaleko komisariatu, Barbara Martelli... Cholera jasna!

– Może to jego aromatoterapeutka.

– Zamknij się!

– Teresa, daj to glinom, oni po prostu wstukają numer do komputera i wyskoczy nazwisko.

– Ale ty jesteś naiwny – syknęła. – Naiwny jak małe dziecko.

Jej spojrzenie padło na notes leżący obok jego listy. Były w nim notatki z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Robiła je od chwili, gdy powzięła plan rozwiązania zagadki najnowszego rzymskiego nabytku archeologicznego, czyli liczącego sobie dwa milenia ciała z bagna.

– Inny czas życia – wyszeptwała. – Inny...

Wpatrywała się w kartkę, nie wierząc własnym oczom.

– Teresa?

Nie mogło być pomyłki. Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Nie była w stanie sobie wyobrazić, co to mogło oznaczać dla całego dochodzenia. Musiała natychmiast zobaczyć się z Falconem, przekazać mu swoje odkrycie, a potem zaszyć się w jakimś barze na rogu i zatopić swoje najdziksze przypuszczenia w wódce.

– Gdzie nasz kochany inspektor? – spytała. – Naszła mnie nagła

ochota, żeby zamienić z nim parę słów.

– Wyszedł kwadrans temu. Był gotowy do akcji. Zabrał z sobą legion ludzi. Zajęty człowiek.

– Hmm. – Myśli kotłowały się w jej głowie. Gdzieś tam Nico Costa tkwił po uszy w szambie. Nie było czasu na podchody. – Silvio, czy ty ciągle przyjeżdżasz do pracy na tym swoim skuterku?

– No tak, ale co to ma do... – Białe policzki nagle zapłonęły. – Ooo nie, nie, nie, nie, nie!

Chwyliła go za kołnierz białego fartucha i potrząsnęła, zbliżając jego twarz do swojej.

– Dawaj kluczyki. Muszę pogadać z Falconem.

Odsunął się, skrzyżował pulchne ramiona, żeby dodać swojej osobie trochę godności, i przybrał tak cierpiętniczy wyraz twarzy, jak tylko pozwalała jego ograniczona mimika.

– Chcesz wziąć mój skuter, żeby złapać Falconego i z nim porozmawiać, tak? O to chodzi?

– Tak, Silvio – odparła spokojnym tonem. – Właśnie o to chodzi.

– Dobra – powiedział bardzo powoli. – Zrobimy więc tak. Czy wiesz, co to jest?

Spojrzała na to, co trzymał w ręku, i zrozumiała, że wygrał.

– To jest coś – powiedział Silvio Di Capua – co my, Ziemianie, nazywamy telefonem.

Tunel biegnący pod pałacem na Kwirynale, przecinający skałę czterystumetrowym odcinkiem, był pomyślany jako przejazd dla autokarów, które skracały sobie nim drogę, zamiast stać w korkach na wzgórzu. Duże, pełne turystów autobusy parkowały od strony Piazza di Spagna. Wylewały się z nich potoki ludzi zmierzających na krótki spacer do fontanny di Trevi. Przeciwnie koniec tunelu jak zawsze blokowały maszyny budowlane, używane przy niekończących się robotach na Via Nazionale. Teoretycznie była to najkrótsza droga z Questury do dzielnic położonych na wschodzie miasta i Falcone rozkazał nią jechać. Peroniego i Wallisa umieścił w aucie jadącym na przodzie, a samochody z ludźmi wsparcia puścił kawałek dalej za nimi.

Peroni nie czuł się pewnie w swojej roli. Siedział skulony za kółkiem i zastanawiał się, na co mu przyszło. To wszystko było tak

dalekie od doświadczeń z obyczajówki i tak odległe od świata, który znał, że czuł się jak stażysta, który za chwilę popełni jakiś głupi błąd.

Wjechali do gardzieli tunelu i wpadli prosto w korek. Peroni uderzył pięścią w kierownicę i popatrzył w lusterko. Falconego i wozów wsparcia nigdzie nie było widać. Może udało im się przejechać inną trasą.

Wallis w milczeniu i bez żadnych emocji na twarzy siedział w fotelu pasażera. Wyjął telefon komórkowy i popatrzył na ekran.

– Brak zasięgu. – Poklepał połą skórzanego płaszcza, pod którą ukryty był mikrofon. – To pewnie także nie działa.

Peroni zerknął na Amerykanina. Nie mógł opędzić się od myśli, że coś tu jest poważnie nie tak.

– Panie Wallis – powiedział przyjaznym tonem – skorzystajmy z okazji i pogadajmy. Zrzuć to pan z wątroby. Powiedz mi pan, co tu się naprawdę dzieje. Poza nami dwoma nikt się nie dowie.

Wallis popatrzył na niego z wyższością.

– Jest pan bardzo podejrzliwym człowiekiem. Robię wam wielką przysługę. Trochę zaufania by nie zaszkodziło.

– Zaufania? – Peroni spojrzał na niego kpiąco. – Pan wybaczy, panie Wallis, ale ja nie kupiłem tej historyjki o spokojnym emerycie. Ani wtedy, kiedy wkręcała mi ją ta suka D'Amato, ani wtedy, gdy pana poznałem osobiście. Lampart nie umie zrzucać cętek. Przestępcy nie wyświadczą glinom darmowych przysług. Daj pan spokój. Mój przyjaciel siedzi w tym bagnie. Pogadajmy uczciwie.

Wallis westchnął przeciągle i popatrzył w górę na brudny sufit tunelu. Powietrzem w samochodzie nie dało się oddychać: kilka ostatnich atomów tlenu walczyło z gęstymi kłębamii spalin wypluwanych przez stojące wokół samochody.

– Wie pan, co jest tam, nad nami?

– Zmieniamy temat, co? No cóż, to chyba zrozumiale. Tak, mieszka tam pan prezydent w swoim pięknym pałacyku. Jakże my wszyscy go kochamy. Kiedyś, jako żółtodziób, pełniłem nawet na Kwirynale wartę honorową.

Wallis posłał mu zaciekawione spojrzenie.

– To bardzo interesujące. Znaczą się historia tego miejsca.



– A, no tak. Pan wybaczy. Jestem Włochem. Nie mam pojęcia o historii.

– Tutaj mieszkały Sabinki. Pamięta pan tę opowieść? Jest w niej gwałt, więc współczesnemu człowiekowi może zapaść w pamięć.

Faktycznie, Peroni coś z niej pamiętał. Była ważna. Romulus czy Remus, w każdym razie jeden z nich, porwał jakieś babki i zmusił je do współpracy. Z tego burdelu, z gwałtu i morderstw, narodził się Rzym.

– Tu mieszkały? Myślałem, że je wzięli gdzieś z daleka, że to były jakby kobitki z zagranicy czy coś w tym rodzaju.

– Właśnie tam – odparł Wallis i wskazał dach. – Ale pana reakcja jest interesująca. Być może w ten sposób radzimy sobie ze złymi wspomnieniami. Sądzymy, że zło dzieje się tylko ludziom gdzieś daleko, w obcej krainie. Tak jest dużo łatwiej.

– Co racja to racja. – W sznurze samochodów, na tle dziennego światła u wylotu tunelu, pojawiła się przerwa. Za chwilę korek powinien ruszyć. – Muszę przyznać, że pana podziwiam. Tak dużo wie pan o historii i w ogóle. Ale jak człowiek tyle się dowie, to chyba przestaje zauważać pewne sprawy. Ciągle nie rozumiem, czemu tak jest.

– Czemu? – Wallis pokręcił głową i roześmiał się przyjacielsko. Peroni rozluźnił się trochę. – Bo to Rzym. Tu się wszystko zaczęło. Przeszłość tego miasta pokazuje nam, jaki człowiek może być wielki albo podły, zależnie od tego, co wybierze.

– Naprawdę? – Peroni położył rękę na dźwigni biegów.

– Naprawdę. Powiem coś panu – oznajmił Amerykanin swoim niskim, spokojnym głosem. – Przyjemnie mi się z panem rozmawia. Mam wrażenie, że w innych okolicznościach nasze rozmowy byłyby bardzo pouczające dla nas obu.

– Fakt, ja też tak myślę. – Jakiś baran z przodu stał, zamiast ruszać. Peroni wdusił gniewnie klakson. – A jednak, panie Wallis, wciąż mi się wydaje, że z pana jest zakłamanym skurczysyn.

– Pańska wola. Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że teraz, cokolwiek by się stało, macie już Neriego w garści? Wiecie, że to on podłożył bombę. Dałem wam aparat cyfrowy, więc macie też Mickeya. Są skończeni, prawda?

– Tak. – Peroni musiał podzielić uwagę między rozmowę, w której

nastąpił nagły zwrot, a lukę w korku.

– Co by pan powiedział na mały układ. Pan da mi trzydzieści minut, żebym mógł załatwić swoje prywatne sprawy z tym palantem. Potem dam wam sygnał. Wchodźcie i robicie, co wam się podoba.

Peroni spojrzał na niego i w jednej chwili pojął, że w tej sytuacji nigdzie nie zawiezie czarnego gangstera, tylko zatrzyma się i poczeka na Falconego. Działo się coś, czego nie rozumiał.

Wallis położył dużą, mocną dłoń na jego ramieniu.

– Peroni – powiedział. – Wiem, co się stało parę miesięcy temu.

– Tak?

Peroni zastanowił się nad tym i pożałował, że nie są w Questurze i nie mają więcej czasu, żeby spokojnie przemyśleć wszystkie szczegóły. Nico zaginał trochę przed północą. Vergil Wallis odebrał pół miliona euro niecałe osiem godzin później. Co to był za prywatny agent finansowy, z którego usług korzystała Miranda Julius? Kto u licha miałby taką ilość forsy pod ręką, żeby w mgnieniu oka wyładować torbę banknotami?

– Słyszałem, że ostro pana przyskrzynili – powiedział Wallis. – Jak pan sądzi, czemu wybrałem właśnie pana na kierowcę? Z tego, co się panu przytrafiło, wyciągnąłem pewne wnioski. Raz, że jest pan człowiekiem otwartym na różne opcje, a dwa, że przydałaby się panu gotówka.

Peroni zobaczył, że samochody przed nim ruszają, i zastanawiał się, jak szybko dałby radę zawrócić.

– Rozczarował mnie pan, Wallis. Naprawdę bardzo słabo zna się pan na ludziach. Najlepiej będzie, jeśli zawrócimy w tej chwili i omówimy sprawę jeszcze raz przy inspektorze Falconem, tylko tym razem z detalami i bez kłamstewek.

Miejsca było dość, gdyby tylko kretyn przed nim ruszył się, żeby dać mu zawrócić.

– Uczciwy glina – powiedział Wallis, kiwając wielką głową. – Kto by pomyślał? Podziwiam pana. I z tego powodu rąbnę pana słabiej, niż zamierzałem.

Peroni nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Zdjął nogę z pedału, skrzywił się i spytał:

– Co?

Gdy popatrzył w stronę Wallisa, zobaczył, jak wielka czarna pięść zmierza ku niemu. Działo się to tak szybko, że mógł tylko patrzeć. Cios trafił go tuż pod prawym okiem. Zamroczyło go trochę. Kliknął odpinany pas. Mikrofon Wallisa poleciał na podłogę. Wielka noga śmignęła nad Peronim, kopnęła w drzwi i otworzyła je. Silne ramiona chwyciły go i wypchnęły na zewnątrz.

Upadł na brudny asfalt. Coś strzyknęło mu w plecach. Jak tylko zaczął znowu oddychać, rozkaszał się od spalin.

Nieoznakowany policyjny samochód zawrócił gwałtownie i ruszył z powrotem w stronę miasta, na pewno nie ku San Giovanni. A czarna, uśmiechnięta postać w środku – i Gianni był pewny, że będzie to długo pamiętać – machała mu na pożegnanie.

Miranda szepcze, a on patrzy i widzi wszystko przez chemiczny ogień buzujący w jego głowie. Tyrs spoczywa w tym samym miejscu, lecz teraz jest zielony i pod szyszką ma przywiązane kolorowe wstążki. Światła palą się jaśniej. Do komnaty sztywnym krokiem wchodzi mężczyźni w średnim wieku. Wymieniają konspiracyjne spojrzenia. W ich dłoniach błyszczą kieliszki pełne purpurowego wina. Kilku pali długie skręty, z których ku skalistemu sufitowi unoszą się kłęby niebieskoszarego dymu. Rozmawiają ze sobą. Są tam Emilio Neri, mały księgowy Vercillo, Randolph Kirk, Toni Martelli i inni – anonimowe twarze skryte w cieniach.

Mickey, wystraszony, spięty, niepewny tego, co tu robi, czai się za nimi.

Rozmowy przeciągają się, a Nico Costa zaczyna rozumieć dlaczego. Ci ludzie, potężni i wpływowi, denerwują się. To dla nich nowa sytuacja. Eksperyment, złamanie konwencji. Spoglądają na Randolpha Kirka, a ich oczy mówią wszystko. Lepiej, żeby się udało, bo jak nie...

Kirk o tym wie. Jest bardziej spięty niż pozostali i tak się niecierpliwi, że nie może usiedzieć w miejscu. Mówi coś, ale nie słyhać słów. Klaszcze w ręce i chociaż nie powstaje żaden dźwięk, mężczyźni przestają rozmawiać i zwracają na niego spojrzenia. Przy drzwiach zbiera się grupka młodych postaci. To dziewczyny w płóciennych

szatach z kwiatami we włosach, młode, bardzo młode. Niektóre chichoczą, inne palą. Mają jasne, chociaż zamglone oczy. Boją się, podobnie jak Randolph Kirk.

Wszyscy czekają na jedno słowo, jeden gest, który przełamie czar.

Barbara, młoda, ale świadoma tego, co się dzieje, podniecona i ożywiona, wychodzi z grupki adeptek. Jej dłoń dotyka maski, palce suną wzdłuż brzydkich rysów, pieszczą bulwiasty nos.

Patrz, mówi chemiczny głos boga we wnętrzu Nico, tak silny, że nie da się go stłumić.

Złota dziewczyna unosi martwą, brzydką twarz, spogląda na każdego z mężczyzn i uśmiecha się.

Wyszli z domu na Awentynie tuż po dziewiątej rano. Bruno Bucci prowadził. Neri siedział rozparty na tylnym siedzeniu z ochroniarzami po obu stronach. Mercedes zagłębił się w boczne drogi, kluczył w wąskich uliczkach, aż wyłonił się na Via dei Cerchi, gdzie miało nastąpić spotkanie.

Emilio Neri nie potrzebował zresztą wskazówek. Nigdy nie zapomniał tego miejsca. Zbyt wiele przerażających wspomnień spoczywało w tej ziemi.

Samochód zatrzymał się na chodniku. Wysiedli i weszli w cień zbocza Skały Tarpejskiej. Słońce wznosiło się powoli, oznajmiając kolejny pogodny, wiosenny dzień. Gdyby ruch samochodowy był trochę mniejszy, Neri mógłby nabrać powietrza głęboko do płuc i uwierzyć, że będzie tęsknił za Rzymem.

Bucci popatrzył na niego i wskazał głową ciemną gardziel jaskini widoczną za wyłamaną bramą ze starodawną tabliczką miejskiego wydziału archeologicznego z napisem „Wstęp wzbroniony”.

– Tak, tak – powiedział Neri i wszedł w cień. – Sam to załatwię. Wy tylko dopilnujcie, żeby on niczego z sobą nie zabrał, jasne?

– A Mickey? – spytał Bucci.

– A jaki z nim problem? – Neri zaśmiał się. – To tylko durny bachor. Dam sobie radę z własnym synem. – Popatrzył na Bucciego i zastanowił się, czy dobrze go ocenił. – Sądzisz, że postępuję głupio, prawda?

Bucci milczał.

– Dobra, nie odpowiadaj. Powiem ci, że jestem z tobą bardziej niż fair.

– Jasne. Ale i tak chciałbym pójść z tobą, szefie.

Czy tu chodziło o sentymenty, czy o demonstrację troski? Zresztą może Bucci miał rację. Neri da sobie radę z synem, ale co będzie, jeśli gnojek kogoś przyprowdzi?

– Słyszałeś, żeby ktoś przeszedł na stronę Mickeya? – spytał.

Bucci zaśmiał się.

– Żartujesz? Chyba jakiś skończony debil.

Neri wskazał głową ciemne wejście do jaskini.

– Więc będzie tam tylko on i może Adele. Naprawdę sądzisz, że nie dam sobie rady z własnym synalkiem i tą zdradliwą suką, która by się połamała od jednego klapsa?

Bucci przestąpił z nogi na nogę.

Neri wziął to za odpowiedź twierdzącą.

– Dopilnuj tylko, żeby Wallis wszedł sam i nic przy sobie nie miał – powiedział. – Tej przyjemności nie chcę z nikim dzielić. Poza tym przemyślałem pewne sprawy i muszę mu zadać parę pytań. To rodzinne brudy, nie chcę wywlekać ich przy innych.

– Będę w pobliżu na wszelki wypadek.

Neri mocno dźgnął go palcem w pierś.

– Słałem ludzi do piachu, Bruno, zanim ty się urodziłeś. Nie bądź nadgorliwy. Wzięłeś sznur i taśmę, jak kazałem?

Bucci potaknął i podał je szefowi.

Emilio Neri poklepał połą marynarki, pod którą poczuł kolbę pistoletu, po czym odwrócił się i wszedł w mrok, zaskoczony, jak zimno się zrobiło i jak mało światła dają tu żarówki.

Chyba pamięć płatała mu figle. Przed laty było znacznie jaśniej.

Falcone patrzył, jak Peroni na tylnym siedzeniu delikatnie obmacuje swoją głowę.

– Siniak w drodze – stwierdził. – Masz pojęcie, gdzie Wallis mógł pojechać? Powiedział cokolwiek?

– Tak. Najpierw spytał, czy na sto procent mamy w garści Neriego i jego syna. Potem próbował dać mi w łapę, żebym na pół godzinki odwrócił wzrok, kiedy on będzie rozliczał się z grubasem. Właśnie

wyjaśniałem mu, w jak trudnym położeniu znalazło się moje wrażliwe poczucie bezinteresownej służby publicznej, kiedy walnął mnie w łeb. Powiedział, że to lekko, bo mnie podziwia. Cieszę się, że nie byłem na jego czarnej liście. Skoro bije w ten sposób jako wielbiciel...

Rozjazgotało się radio. Wallis porzucił samochód policyjny na poboczu obok fontanny di Trevi i zniknął w tłumie turystów. Falcone zaklął i zarządził poszukiwania. Wysocy, czarni mężczyźni w skórzanych płaszczach nie chodzą po Rzymie stadami. Ktoś powinien go wypatrzeć.

– Może pojedzie taryfą – podsunął Peroni. – Zimny z niego sukinsyn. Wiesz, co myślę? On to planował od samego początku. Chciał załatwić sprawy na własną rękę. Do nas przyszedł tylko po to, żeby podrzucić aparat, zrobić Mickeya i dopilnować, by rodzina Nerich już nigdy nie wylazła z szamba.

Falcone wziął mikrofon i zarządził akcję poszukiwawczą na pełną skalę wokół Via dei Cerchi. Swojemu kierowcy też kazał tam jechać. Był to rejon, gdzie po raz ostatni widziano Costę. Jeśli im się poszczęści...

Trudno było jasno myśleć. Zaczął dzwonić telefon Falconego, co rozproszyło go zupełnie.

– Nie teraz – powiedział stanowczo.

– Właśnie że teraz! – krzyknęła na niego i Falcone zaczął się zastanawiać, dlaczego z Teresą Lupo tak rzadko rozmawia normalnym głosem. – Niech pan słucha. Przed chwilą jeszcze raz przejrzałam rzeczy Kirka. Znalazłam numery telefonów. Jeden z nich to naprawdę bomba. Zapisany niedawno. Być może pod niego dzwonił zaraz przed śmiercią.

– Być może?! – zawołał Falcone. – Co mi teraz przyjdzie po jakimś „być może”?

– On dzwonił do Mirandy Julius – powiedziała lekko. – A przynajmniej ma jej numer na swojej zasmarkanej chusteczce. Jest tu, wyraźny jak Murzyn na śniegu. Julius dała mi swój telefon, gdy byłem w jej mieszkaniu. Nie wydaje się to panu ciekawe? Chwilę przed śmiercią Randolph Kirk dzwoni do matki dziewczyny, o której mamy myśleć, że ją porwał.

Falcone potrząsnął głową, usiłując uporządkować myśli. Kazał

kierowcy zatrzymać samochód na poboczu.

– Co takiego?

– Kirk miał przy sobie jej numer. Nie ma wątpliwości. To był bardzo roztrzepany człowiek i dlatego wydaje mi się, że zapisał ten telefon wskutek jakichś wydarzeń, które zaszły niedawno. Nie wiem, co to było, może pan wie.

Leo Falcone odchylił się i zapadł w miękki fotel alfy romeo. Popatrzył przez okno na turystów kłębiących się u wylotu tunelu, którzy krok za krokiem w ślimaczym tempie przesuwali się w kierunku placu, żeby zobaczyć przereklamowaną fontannę. Miranda Julius dała policji zdjęcie, na którym krótkowzroczny Kirk przypatruje się jej córce. Albo tak się miało wydawać na pierwszy rzut oka.

– Spotkajmy się w jej mieszkaniu – powiedział, z wysiłkiem obniżając ton głosu. – Wyślę po panią samochód.

– Hola! – zawołała, zdziwiona. – Jestem tylko patologiem, nie chcę się wtrącać w...

– Niech pani tam będzie! – krzyknął i się rozłączył.

Mickey Neri stał w cieniu obok Adele i patrzył, jak jego ojciec wchodzi do wielkiej, jasno oświetlonej sali. Stary uśmiechał się na widok malowideł na ścianach uradowany, jakby naszyły go przyjemne wspomnienia z przeszłości. Mickey wiedział, że to niemożliwe. Coś innego musiało go tak cieszyć.

Cienie w tej cholernej norze były tak gęste, że można było stanąć w rogu i poczuć się jak duch, który ogląda to, co się dzieje w świetle. Mickey z przyjemnością zostałby w ciemnościach. Mógłby przemknąć wzdłuż ścian do jednego z kilku wyjść, o których mówiła Adele, i wyjść na światło dnia. Ale ona dała mu tylko buziaka, szepnęła: „Ciao”, i wypchnęła na środek komnaty.

Neri otworzył ramiona powitalnym, ojcowskim gestem.

– Synu, mój synu... – Mickey nie poruszył się. Neri zrobił w jego stronę dwa kroki. – Mickey! Skąd ta wisielcza mina? Będziemy się na siebie boczyć do końca świata? – Chłopak stał niepewnie, przerażony obecnością starego gangstera. – Podałem cię próbie, Mickey, a ty ją przeszedłeś koncertowo. Nie tylko kropnąłeś tego gadatliwego skurwiela Martellego, ale i zrobiłeś ojcu prezent. Różnąłeś Adele... No i co z tego?

Wszystko zostaje w rodzinie. Nie mam żalu. Seks jest już naprawdę mało ważny dla człowieka w moim wieku. – Neri rozejrzał się po komnacie. – Jezu, w swoim czasie poszliśmy tu w niezłe tango. A gdzie jest Adele?

– Nie wiem – wymamrotał Mickey. – Powiedziała, że zostawi nas samych i potem do ciebie dołączy.

Stary posłał mu zimny uśmiech.

– Jasne. Może i tak. Problem w tym, że ja już nie zostanę długo we Włoszech i przez jakiś czas nie będę się umawiać na spotkania towarzyskie. Z tą babą ciągle to samo. Prowadzi własną grę. Jak człowiek zapomni, może mieć kłopoty.

Mickey miał ochotę rzucić się na tę ciężką, uśmiechniętą postać przed nim, chciał kopać ją i wrzeszczeć. Neri zachowywał się tak, jakby dzień wcześniej nic się nie stało.

– Pieprzyć ją! Ty mnie prawie zabiłeś! Chciałeś się mnie pozbyć!

Neri podszedł jeszcze o krok i objął syna, otoczył swoją potężną, dominującą osobą. Mickey nie pamiętał, kiedy ojciec ostatni raz tak go dotykał, ale wtedy też nie zwiastowało to niczego dobrego.

– Nie hałasuj tyle – szepnął stary gangster. – Trupa byś obudził.

– Ty...

Mocne ramiona przycisnęły go do wydatnego brzucha.

– Byłem kiepskim ojcem, wiem. Masz powody, żeby się na mnie wściekać.

– Jasne, że...

– Cicho – powiedział Neri. – Ja mówię. Źle cię wychowałem, Mickey. Za długo byłeś z tą suką, twoją matką. A jak nie byłeś przy niej, to za mało czasu z tobą spędzałem.

– Tak, ale...

– Szszsz. – Neri położył gruby palec na ustach syna. – Słuchaj.

Mickey wydał wargi, jakby miał znowu dziesięć lat. Emilio prawie się roześmiał.

– Tylu rzeczy cię nie nauczyłem. Na przykład tego, kiedy jest czas na szczerą. Ludzie tacy jak my muszą to wiedzieć. Niekiedy to jest ważniejsze niż cokolwiek innego. – Popatrzył na zdjęcia przyklejone do ścian. Wciąż mocno trzymał Mickeya. – Naprawdę niezła była ta jego



przyszywana córka. Chciałbyś coś teraz o niej powiedzieć swojemu staremu albo o tej drugiej? Tyle gierk na boku, Jezu...

Mickey pokręcił głową.

– Nie, nie mam nic do powiedzenia.

– Sądysz, że to właśnie chce usłyszeć Vergil Wallis? On się nie dał nabrać na ten numer z okupem, Mickey. Ma w dupie, z kim się zadajesz i co kombinujesz. Chce wiedzieć, czemu go wtedy okłamaliśmy. Jedzie tu po to, żeby dostać odpowiedzi. Prawdę mówiąc, Mickey, zdaje mi się, że mu się one należą. – Cuchnące usta gangstera zbliżyły się do twarzy chłopaka. – Powiesz mu, jak było, synu?

– Ja nic nie zrobiłem!

– Mickey, Mickey. – Neri cały czas się uśmiechał, jakby cieszył się chwilą. – Posuwałeś ją na Sycylii. Może i byłem kiepskim ojcem, ale tyle zauważyłem. Tak ją chwacko wydymałeś, że zanim wróciła, już jej rósł w brzuchu twój bękart. Sam raz mi o tym powiedziałaś, kiedy stłukłem cię jak burą sukę, pamiętasz?

Mickey nie patrzył ojcu w twarz. Sądził, że to martwe sprawy.

Neri znowu spojrzał na fotografie.

– Dziewucha śliczna jak aniołek, ale kurewsko tępa. Tak jak ty, ale w inny sposób. Wiesz, rozumiem, czemu nie chciało ci się przejmować gumą. Czasem się zastanawiałem, czy zakładasz osłonkę, jak idziesz na te twoje afrykańskie dziwki. Ale ona... chyba po prostu nic nie kumała. Powiedz mi, tam, na Sycylii, to był jej pierwszy raz, prawda?

– Tak – mruknął Mickey.

– Ma to sens. Jak ci powiedziała, że ma dla ciebie radosną nowinę, to się poważnie zmartwiłeś. Vergil mógłby się wcale nie ucieszyć z takiego zięcia.

– Powiedziałem ci to już lata temu. Ja jej nie z... z... z...

Wyglądał, jakby znowu był dzieckiem, nawet zaczął się jąkać.

– Ty jej nie z... z... z...?

– Z... zabiłem.

Neri uwolnił syna z uścisku i popatrzył na niego surowo.

– Może i nie. Wiesz, co ci powiem? Po tylu latach to już chyba nie ma znaczenia.

Położył delikatnie rękę z tyłu głowy chłopaka i pogłaskał jego

miękkie włosy, żałując, że są tak idiotycznie ufarbowane. W oczach Mickeya zebrały się łzy.

– Nie płacz, synu – powiedział Neri i jednym mocnym ruchem uderzył jego głową o stary, drewniany blat stołu. Nie zwracał uwagi na wrzaski.

Wyjął taśmę klejącą i owinął ją wokół ust i oczu Mickeya. Potem związał mu ręce w nadgarstkach i kopnął pod kolanami, tak że chłopak opadł twardo na najbliższe krzesło. Sznurem przywiązał go mocno do oparcia.

– Później będzie dużo czasu na płacz.

Neri popatrzył na swoje dzieło.

– Słyszysz, Adele?! – ryknął w ciemność. – Potem będzie na to masa czasu! Słyszysz?!

Dwie linie czasu zlewają się w jedną. Idzie naprzód, rozgląda się, przemierza cienie zalegające pod ścianami. Miranda jest o krok za nim i szepcze. Jej słowa wywołują wizje. W jednej z bocznych komnat świeci się światło. Podkradają się do drzwi, zagląдают do środka. Zdjęcia, które widzieli w biurze Falconego, znowu pojawiają się w ociężałej głowie Nica, ale tym razem widzi je naprawdę, ma je przed oczami. Gruba, biała, naga postać porusza się na łóżku nad inną, leżącą pod nim, niewidoczną. W powietrzu czuć trawkę. Zużyta igła leży na stole. Na podłodze spoczywa kwietny wieniec dziewczyny i płócienna szata, odrzucona jak stara skóra z okazji ponownych narodzin. Mężczyzna pochrząkuje jak prosiak. Dziewczyna pod nim piszczy z bólu i obrzydzenia. Czy to jej pierwszy raz? W tej wilgotnej, podziemnej norze cuchnącej zastałą wodą i błotem? W ramionach starego mężczyzny, który z wieńcem na szyi przyniósł jej zapomnienie w strzykawce?

Widzisz, kto to jest? – pyta Miranda.

Nie, odpowiada Nico, nie przyglądając się.

Musisz się dowiedzieć.

Rusza przed siebie i wie, że ona idzie tuż za nim, wciąż szepcząc. I oto są w kolejnej komnacie, trochę jaśniejszej niż poprzednia, głębiej w tętniącej żyłce skały. Tu też rozbrzmiewają krzyki bólu i szloch młodej dziewczyny.

Patrz, mówi.

Costa opiera się o zakurzoną ścianę. Oddycha nierówno. Jego ciało jest jak zepsuta maszyna, której nie da się kontrolować. Czuje podniecenie i wstyd jednocześnie. Miranda widzi jego wzwód. Dotyka go tam.

Czasem jesteśmy tylko zwierzętami.

Nie, odpowiada, tylko wtedy gdy na to pozwolimy.

Wtedy odzywa się inny, znany głos, głęboko w nim. Nie da się go zignorować. Patrz, sukinsynu, patrz i ucz się.

Postać w cieniu bierze od tyłu dziewczynę, która z szeroko rozstawionymi nogami ściska oparcie fotela, z twarzą zwróconą ku nim.

W oczach Eleanor Jamieson lśnią łzy. Patrzy na nich błagalnie przez przepaść lat. W głowie Costy walczą z sobą dwa głosy, jeden młody i niewinny, drugi stary i doświadczony.

Mężczyzna zwiększa tempo i wpycha się w nią z brutalną, karzącą siłą. Dziewczyna krzyczy w agonii. Błaga o pomoc.

To tylko sen, chłopcze, przeszłości nie da się zmienić, chrypi stary głos.

Wtedy Eleanor krzyczy. Powiem, powiem, o wszystkim powiem!

Nic się nie zmienia, nawet rytm poruszeń dyszącego mężczyzny.

Postać uderza mocniej, krzesło podskakuje. Z ciemności wyłania się twarz w brzydkiej masce. Chrząka, pomrukuje.

Costa nie chce tego oglądać, ale maska wpatruje się w niego. W czarnych, nieruchomych oczach jest coś żywego. Stary głos w jego głowie narasta, śmieje się. Patrz, sukinsynu, patrz.

W mroku, w rogu pomieszczenia, ktoś jest. Para młodych, jasnych, przerażonych oczu przygląda się aktowi.

Adele wyszła z jaskini tą samą drogą, którą weszła – przez główne wyjście wiodące na Via dei Cerchi, gdzie Neri zostawił swoich ludzi. Zamrugła, gdy znalazła się w ostrym świetle dnia. Starła kurz i pajęczyny z czarnej, kaszmirowej marynarki. Bruno Bucci i jego ludzie stali w cieniu obok słupka z tabliczką „Wstęp wzbroniony”, sterczącego ukośnie z ziemi za kolczastym drutem wieńczącym płot, który otaczał wejście.

Uśmiechnęła się i podeszła do nich. Bucci skinął jej głową.

– Pani Neri – powiedział ostrożnie. Pozostali ludzie wpatrywali się w niego czujnie. – Czy pani mąż jest cały? Prawdę mówiąc, trochę się niepokoję.

Położyła szczupłą dłoń na jego ramieniu.

– Jasne, że jest cały. – Powiodła spojrzeniem po ludziach Bucciego, aż spuścili wzrok. – Znacie go przecież.

Bruno usiłował spojrzeć jej w oczy, ale nie udało mu się. Adele zapaliła papierosa i popatrzyła na szeroką, zatłoczoną ulicę.

– Powiedział ci, co masz robić, prawda? – spytała, nie oglądając się na niego. – Mickey nie da rady go skrzywdzić.

– To nie Mickeya się obawiam – burknął Bucci.

Przysłuchali się, jak ze wzrokiem utkwionym w gardzieli jaskini, z twarzą pozbawioną wyrazu i torbą w ręce, pogwizdując z cicha jakąś starą melodię, idzie ku nim powoli Vergil Wallis. Zatrzymał się, podniósł wysoko ręce i powiedział do Bucciego:

– Więc?

Para mocnych rąk rozpięła skórzany płaszcz i obszukała go z góry na dół, najpierw marynarkę, potem spodnie. Bucci zaklął i zza lewej kostki Wallisa wyjął srebrzyście lśniący nóż myśliwski. Podniósł go i przysunął do jego twarzy.

– O czymś pan zapomniał.

– Na to wygląda – odparł Amerykanin spokojnie. – To przez wstawanie o świcie. Jestem już na to za stary.

Bucci popatrzył na nóż i podał go jednemu ze swoich ludzi.

– Sprawy zaszły już dość daleko, panie Wallis. Czemu pan po prostu nie odejdzie? Przekażemy pieniądze i wiadomości. Może pan na mnie liczyć, dostanie pan to, za co pan płaci. Ta... sprzeczka musi się zakończyć.

Wallis zaśmiał mu się w twarz.

– No proszę! Wiedziałem, że Neri stoi na niepewnym gruncie, ale nie sądziłem, że to już. Od kiedy podejmujesz decyzje za niego, Bruno?

Gangster z Turynu z trudem się opanował.

– Chcę tylko odkreślić cały ten bałagan grubą kreską.

Wallis poklepał go mocno w ramię.

– Nie martw się. Ciągle się nie orientujesz w pewnych sprawach. –

Wskazał głową skałę. – Nie będziesz chyba bił własnej monety, póki stary wciąż tu jest. Neri chce widzieć się ze mną, a ja z nim. Prosta sprawa.

Bucci pokręcił głową i sięgnął po skórzaną torbę. Adele chwyciła ją pierwsza.

– Ja to zrobię.

Rozsunęła metalowy zamek błyskawiczny i dobrą minutę przeglądała zawartość. Następnie podniosła głowę i uśmiechnęła się do Wallisa.

– Dużo ma pan tu pieniędzy – powiedziała. – Mam nadzieję, że to jest tyle warte.

– Też mam taką nadzieję – mruknął i złapał torbę, którą mu rzuciła. A potem zanurzył się w ciemność. Przez jakiś czas słyszeli jeszcze jego pogwizdywanie, a później dźwięk ucichł.

Adele przysunęła się blisko do Bucciego, spojrzała w dużą, niespokojną twarz gangstera i powiodła palcem po jego ramieniu.

– Bruno – powiedziała – czy ty i twoi chłopcy naprawdę chcecie sterczeć tu cały dzień?

Kiedy Teresa Lupo dotarła do mieszkania Mirandy Julius, ekipa wsparcia zdążyła już wyważyć drzwi. Wszędzie kłębili się ludzie – otwierali szuflady, wyrzucali ich zawartość na podłogę i szukali jakichkolwiek tropów.

Weszła prosto do pokoju Suzi. Tam jeszcze nie dotarli i cieszyła się, że będzie mogła pomyśleć w spokoju.

Dobiegło ją ciche chrząknięcie. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Falconego. Miał na twarzy wyraz najgłębszej wdzięczności, na jaki go było stać.

– Dzięki, że pani przyjechała – powiedział.

– Czemu mnie pan wezwał?

Falcone pogłaskał swoją srebrną bródkę i przez chwilę wyglądał tak, jakby właśnie zadawał sobie to samo pytanie.

– Chyba na szczęście. Może robię się przesądny na stare lata, ale szczęście by nam się przydało.

– Żadnych wieści o Nicu albo Wallisie? Usłyszałam, co się stało, zanim tu dotarłam.

Pokręcił głową.

– Czemu weszła pani najpierw do tego pokoju? Myśli pani, że tu może być coś, czego powinniśmy szukać?

– Nie. Nico i ja dość dobrze obejrzelśmy ten pokój. Chodzi o to, że... – Przekonanie narastało w niej z prędkością policyjnego wozu na sygnale. – Chyba powinnam była wspomnieć o tym od razu, kiedy tu byliśmy poprzednio. Mam wrażenie, że w tym pokoju nikt nie mieszkał. Ludzie zostawiają ślad obecności. Jeśli wejść do pokoju matki, można ciągle poczuć, że tam żyła. Panuje bałagan, chaos. A tu...

Rozejrzała się jeszcze raz dla pewności.

– To zostało zaaranżowane na nasz użytek. Czy my wiemy na sto procent, że Suzi Julius w ogóle istnieje?

Falcone wpatrywał się w nią.

– Mamy film, na którym ktoś wsiada na motocykl. Mamy też fotografie, które dała nam jej matka.

– Wiem. Ale poza tym?

– Nic więcej. – Falcone usiadł na tanim krzeselku i rozejrzał się po pokoju. – Możliwe, że to było zaaranżowane. Spójrzmy prawdzie w oczy. Gdyby ktoś chciał zrobić małe przedstawienie przed policją, nie mógłby wybrać lepszego miejsca niż Campo dei Fiori. Zawsze tam jesteśmy. Wiedziała, że nie będzie musiała wołać zbyt długo. Nie trzeba być geniuszem, żeby się zorientować, że jest tam też monitoring wideo. Kamery są przyłączone do latarni.

Teresa wiedziała, że inspektor ma rację.

– Ale po co?

Falcone bez słowa wrócił do salonu. Poszła za nim. Zza okien dobiegły ją dźwięki ruchu ulicznego.

– Proszę spojrzeć – powiedział, wskazując stertę starych mappek. Były to szczegółowe rysunki miejsc wykopalisk w Rzymie, na przedmieściach i za miastem. Przerzuciła kilka pierwszych planów. Nazwy nic jej nie mówiły. – Julius tym się interesowała – powiedział. – Ile można mieć powodów, żeby zbierać takie plany?

Peroni siedział pochylony nad laptopem Mirandy i klepał zapamiętałe w klawiaturę. Teresa podeszła do niego i bezwiednie położyła mu rękę na ramieniu. Zaskoczona przyglądała się, jak wpisuje

polecenia do systemu.

– Skąd ty, do diabła, znasz się na komputerach? – spytała.

Przerwał na chwilę i popatrzył na nią, zdziwiony. Jego prawe oko było prawie niewidoczne pod czerwoną masą opuchlizny.

– Ja mam dzieci, Teresa. Kto inny miałby postawić im peceta na nogi?

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że rodzina może człowieka tak zmienić, ukształtować w takich drobnych, nieoczekiwanych miejscach. Obraz Peroniego, który miała, zanim go poznała, okazał się całkowicie fałszywy.

– Gianni – powiedziała miękko. – Co ci się stało, u licha? Widział cię lekarz?

Zaśmiał się.

– Daj spokój, to tylko bęcka w twarz. Spytaj mnie o coś ciekawszego. Na przykład o motywacje tej babki.

– Więc pytam – powiedziała, zastanawiając się, czy naprawdę chce wiedzieć.

– Sama zobacz. – Peroni otworzył na komputerze kilka plików ze zdjęciami.

Teresa patrzyła na kolejno pojawiające się fotografie i żałowała, że nie została tam, gdzie jej miejsce – w bezpiecznej kostnicy.

Peroni pokazał jej ujęcie Randolpha Kirka. Profesor stał nad wykopaliskami w Ostii i najwyraźniej nie miał pojęcia, że ktoś z ukrycia robi mu zdjęcie. Na jego twarzy widniał wyraz zdziwienia i niepokoju.

– Ciągłe nie wiemy, kim ona tak naprawdę jest. Brytyjczycy twierdzą, że jedyna kobieta o tym nazwisku z aktualnym paszportem ma sześćdziesiąt siedem lat. Znaleźliśmy też to... – Na stole leżała sterta paszportów. – Dodatkowy brytyjski, amerykański, kanadyjski, nowozelandzki. W każdym wygląda inaczej: inny kolor włosów, inny styl. Gdybyś mi to pokazała dawno temu, kiedy pracowałem w narkotykowym, powiedziałbym, że ta kobieta to mrówka, przemytnik. Ale teraz już sami nie wiemy. Na pewno zajmuje się fotografią. To... – pokazał zdjęcie Kirka – ...posłużyło do zrobienia fotki, którą nam dała, żebyśmy myśleli, że między nim a Suzi jest jakiś związek. Ale związku nigdy nie było. Julius po prostu wycięła głowę profesora na komputerze

z jednego zdjęcia i wkleiła do innego, na którym Suzi stoi przy fontannie. Kirka nigdy tam nie było. Nigdy nikomu nie zagrażał.

– Może było jeszcze inaczej – wtrącił Falcone. – Może Julius szantażowała Kirka.

Teresa starała się przypomnieć sobie zachowanie Mirandy. Jeśli ta kobieta cały czas udawała, to szło jej cholernie dobrze.

Peroni wyjął kopertę i wyciągnął z niej dwie odbitki, a jej wydało się, że w mroku zajaśniało światło. Wyglądało na to, że zdjęcia pochodzą z teczki, którą dała im Regina Morrison. Miały tę samą niską jakość i podobne tło. Pokazywały wydarzenia sprzed szesnastu lat. Na jednym z nich młoda Miranda Julius – czy jak tak naprawdę nazywała się ta kobieta – stała obok Emilia Neriego z promiennym, niewinnym uśmiechem na twarzy i lampką wina w ręku. W jaśniejszych niż obecnie blond włosach miała kwiaty, których płatki opadały na tę kretyńską szatę obrzędową. Teresa chciała chwycić zdjęcie i podrzeć na strzępy, jakby można było w ten sposób odwrócić czas.

Peroni wyjął drugą odbitkę i położył na pierwszej. Miranda była naga, jej blade ciało wspierało się pijackim gestem na czymś w rodzaju taniej imitacji rzymskiej sofy. Nogami obejmowała w biodrach tęgiego mężczyznę, który zapamiętała z nią kopulował. To był Beniamino Vercillo, już wtedy stary i zwiędły. Teresa wpatrywała się w szkliste, młode oczy dziewczyny i zastanawiała się, jak by to było uczestniczyć w czymś takim. Może sądzili, że Miranda jest tak nieprzytomna, że nie rozumie, co się dzieje. Że jeśli wlać w te dzieci odpowiednio dużo wódki i naszprycować heroiną, zapomną połowę z tego, co zaszło, a o drugą połowę będą obwiniać same siebie na równi z dorosłymi. Taka sztuczka udała się z Barbarą Martelli, której jeszcze na osłodę dodali miłą posadkę w policji. Z Mirandą nie poszło tak dobrze. W jej twarzy był fizyczny ból, odraza, nienawiść do zwierzęcia, które odebrało jej niewinność w zatęchłej jamie na taniej sofie.

– Jest tego więcej – powiedział Peroni i sięgnął po zdjęcia. Falcone szybkim ruchem położył dłoń na kopercie.

– Nie w tej chwili. – Spojrzał na Teresę. – I co pani o tym sądzi?

Tu nie trzeba było geniusza. Przejechała ręką po swoich czarnych włosach, zastanawiając się, jak bardzo paskudnie wygląda. Miała na



sobie świeże ubrania i panowała nad swoimi myślami, ale ciągle nie czuła się zbyt dobrze.

– Miranda, czy jak tam się ona nazywa, wróciła, żeby się zemścić. Tylko po co czekała tyle lat?

– Bo tu nie chodziło po prostu o gwałt na nieletniej – odezwał się Peroni. – Jedna z tych dziewczyn umarła i Neri powiedział wszystkim, że przedawkowała. Wallisowi także. To było chyba dość wiarygodne wyjaśnienie. Dopóki nie wyjęliśmy ciała z bagna.

Niby logiczne, pomyślała. Ale wciąż coś tu nie styka.

– Więc dlaczego po prostu nie zabiła sukinsyna? Po co tyle zachodu?

Peroni wyjął chusteczkę i przyłożył do oka, z którego chyba coś ciekło i które musiało go boleć jak sto diabłów.

– Tylko którego sukinsyna? Mickeya? Może nie była pewna, a może wiedziała od samego początku, ale bała się powiedzieć. Aż pewnego dnia zdała sobie sprawę, że ma dowody, i bingo! Leci pierwszym samolotem do Rzymu. Barbara odbiera telefon i słyszy głos Mirandy: „Hej złotko, jestem w mieście i nigdy byś nie zgadła, czego się dowiedziałam. Nasza stara kumpelka z klubu dup nie przedawkowała. Jakiś skurwiel poderzwał jej gardło i nikt nic mu za to nie zrobił”. Wyobrażasz sobie, żeby Barbara się ucieszyła, nawet ta trochę skrzywiona Barbara?

Teresę wciąż zdumiewał szacunek, jakim otaczali swoją koleżankę morderczynię. Pochyliła się, wyjęła chustkę z ręki Peroniego i kilka razy dotknęła nią ostrożnie opuchlizny. Miał rację, skóra nie była rozcięta. Oko spuchło tylko i ciekły z niego łzy. Delikatnie dotknęła jego policzka, by zetrzeć płynącą kroplę.

– To by także wyjaśniało, czemu cudowna Barbara chciała mi wpakować kulkę w łeb. W tym miejscu możesz wycierać, ale jeśli zaczniesz majstrować przy oku, konfiskuję tę chusteczkę i wysyłam cię do szpitala, jasne?

Peroni poruszył się niespokojnie w swoim szarym garniturze, odebrał chustkę i dotknął twarzy w dozwolonym punkcie.

– Dzięki. Bądź ze sobą szczerą, Tereso. Co byś zrobiła na jej miejscu w takiej sytuacji? Zaczęła wyjaśniać? To były kobiety z misją.

Niech Bóg ma w opiece tych, którzy staną im na drodze.

Falcone nachylił się i popatrzył w uszkodzone oko Peroniego.

– Miranda też kogoś zabiła. Beniamina Vercilla. Znaleźliśmy maskę, leżała niedaleko w śmietniku. Są na niej blond włosy. Zależało jej też na tym, żeby wypłynęły dokumenty i żeby pogrążyć Neriego na dobre. Sama sprawa zaginionej dziewczyny mogłaby nie wystarczyć. To, że Barbara zabiła Kirka, odciągnęło naszą uwagę.

– I mnie... prawie – wtrąciła Teresa.

– I panią – zgodził się inspektor. – Miranda musiała dbać o tempo akcji. Zidentyfikowała gumkę do włosów z Ostii, która mogła należeć do kogoś, i rozpoznała Mickeya, kiedy zacząłem wątpić, czy on kiedykolwiek zbliżył się do tak zwanej Suzi. A co do reszty, sam nie wiem. Może inaczej trudno by jej było się dostać do Neriego i Mickeya? Może... – Falcone łączył elementy i po omacku szukał powiązań. – Nic mu nie będzie, prawda?

– Tak, jeśli nie będzie grzebał w oku – stwierdziła Teresa. Przypomniało jej się, co mówiła Regina Morrison o funkcji, jaką w obrzędzie pełni każdy z uczestników. – Ona jest tym, co Neri i cała reszta z niej zrobili: menadą. Kobieta, która w spokojnych czasach uśmiecha się, ogrzewa cię w łóżku i jest wcieleniem ideału. Ale kiedy czuje, że coś grozi jej albo którejś z jej sióstr, zamienia się w piekielnego demona. Pomyślcie o tym z punktu widzenia Mirandy. – Wskazała zdjęcie, na którym postać w masce gwałciła dziewczynę. – Kogo chcielibyście zabić? Tylko tego jednego żalostnego sukinsyna?

– O nie, całą zgraję – powiedział miękko Peroni. – I to tak krwawo, jak się da. Chciałbym patrzeć, jak się zagryzają nawzajem, a potem zatańczyłbym na ich grobach.

Popatrzyli po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć. Podeszła do nich policjantka, która uśmiechnęła się krótko do Teresy i powiedziała:

– Zatrzymaliśmy porucznika Neriego i kilku jego żołnierzy na Cerchi. Nie chcą gadać.

Peroni uniósł zmaltretowaną, zakrwawioną brew.

– O, doprawdy?

Emilio Neri siedział u szczytu starego stołu, palił cohibę, ignorował jęki syna i bawił się czarnym pistoletem, którego używał tyle razy, że

stał się dla niego dodatkową kończyną. Gęsty dym unosił się w ciemność i wirował niesiony nieodczuwalnym ciągiem powietrza. Gangster patrzył, jak do pomieszczenia wchodzi Vergil Wallis. W jednej wyciągniętej ręce ścisnął rączkę skórzanej torby, a drugą trzymał w górze. Neri powiódł po nim wzrokiem i spytał:

– Spotkałeś mojego człowieka na zewnątrz?

– Tak. Jak on się zwie? Bucci?

Neri nie znosił Wallisa. Na cholere mu wiedzieć, jak się nazywają jego porucznicy?

– Dobry chłop. Ufam mu. Ale mimo to... – Gestykułując pistoletem, powiedział: – Torba na stół. Płaszcz rzuć na ziemię. Stój prosto. Ręce z daleka od ciała. Zaczynasz kombinować, spluwa pójdzie w ruch.

Wallis ostrożnie zdjął płaszcz i pozwolił mu opaść na podłogę, a potem wstrzymał oddech, kiedy Neri wstał, podszedł do niego i zaczął go fachowo obszukiwać.

– Siadaj – powiedział wreszcie stary gangster, wskazując lufą jedno z krzeseł przy stole. Wrócił na swoje miejsce naprzeciw Mickeya. – Pokaż forszę. Nie sięgaj do środka, tylko otwórz i wywal zawartość.

Wallis chwycił torbę od dołu i odwrócił ją do góry dnem. Powiązane banderolkami pliki banknotów o dużych nominałach posypały się na stół.

Neri spojrzał na nie pogardliwie.

– Więc mój durny synalek robi tyle zamieszania za coś takiego. Dałbym mu więcej jako kieszonkowe, gdyby poprosił.

– Może o to właśnie chodziło – powiedział Wallis. – Może miał dość proszenia i chciał wyzwolić się z twoich więzów.

Neri zaśmiał się i spojrzał krótko na Mickeya.

– I co, udało się? – Potem popatrzył na zdjęcia wiszące wszędzie na ścianach. – Co ty chcesz za to kupić, Vergil? Mickey coś gdzieś ukrywa? Mnie nie pytaj o szczegóły, nic nie wiem i nie chcę wiedzieć. To jego własna inicjatywka. Sam wiesz, że ja bym się w czymś takim nie babrał.

Wallis zmarszczył brwi.

– Chciałeś, żebym przyszedł. Jestem.

– Żądasz sprawiedliwości czy czegoś takiego?

– Czegoś takiego.

– Dobra. – Neri sięgnął do kieszeni, wyjął sprężynowiec, otworzył ostrze i położył go na stole. – Zawsze grałem fair. Dam ci, czego chcesz. I powiem ci, że szesnaście lat temu sam prawie to zrobiłem. Trwa miła imprezka, wszyscy się dobrze bawią i nagle co? Mój pieprzony synek przychodzi nawalony prochami po czubek głowy, rozhisteryzowany jak panienka i jęczy: „Ojej, ojej, moja dziewczyna nie żyje, ma podcięte gardelko”. Patrzę na niego, jak się wiję i skomle, i myślę sobie: „No to będzie do pary. Bo zasługuje, gównojad, po tym, co zrobił”. Nie wiem jak ty, ale ja nigdy nie byłem za biciem kobiet. Zdarzyło się parę razy, że trzeba było jakąś uciszyć, ale na pewno nie ze złości albo dla jakiejś chorej, ćpunowskiej frajdy. A poza tym... – Neri ostatni raz zaciągnął się cygarem i rzucił niedopałek na podłogę – ...zepsuł naprawdę miły wieczór. Musiałem dopilnować, żebyś ty się nie dowiedział. Szczegółów już nie pamiętam. Co tu kryć, sam byłem na orbicie.

Spojrzał w twarz Amerykanina, szukając śladu emocji. Wallis siedział nieporuszony z dłońmi na stole.

– Wszyscy byliśmy niezłe zrobieni – ciągnął Neri. – Przerwa w koncentracji. Niebezpieczna rzecz. Ale co tam, impreza była naprawdę dobra. O ile dobrze pamiętam, zaliczyłem trzy różne dziewczuchy. Adele była najlepsza i dlatego potem się z nią chajtnąłem. Wyobraź sobie, trzy w jedną noc! To dopiero coś.

Nachylił się ku Wallisowi z uśmiechem.

– A ty, Vergil? Powiedz mi jak facet facetowi. Ile ty wydymałeś, co?

Miranda trzyma w dłoniach jego głowę. Jej język trzepocze wewnątrz ust Nica.

Co widzisz? – pyta.

Costa spogląda w czerń korytarza. Usiłuje zebrać myśli i jakoś się stąd wydostać.

Wiesz, co ja widzę, mówi.

Miranda kładzie mu ręce na skroniach i zmusza, by popatrzył w jej jasne oczy. Nie, Nico, nie chodzi mi o to, co już wiesz. Co widzisz za rogiem?

W swojej wyobraźni pobudzonej przez jej słowa widzi ją. Leży skulona ze wstydu i strachu. Ukrywa się w ciemności, bo tam czuje się bezpiecznie.

O czym ona myśli? – pyta Miranda.

Ty mi powiedz.

Jej głos się łamie. Ona rozumie, wie, że nigdy nie odważy się nikomu powiedzieć.

W tym śnie na jawie postać na łóżku łka, gryzie się w dłoń, by zagłuszyć szloch.

Kto to jest, Nico? Kto to?

– Nie chcesz powiedzieć. No cóż, na pewno miałbyś się czym pochwalić.

Wallis odchylił się na oparcie. Wyglądał na znudzonego, nic nie mówił.

– Może odświeżyć ci pamięć? W końcu to było tak dawno. Powiem ci, że dziwi mnie tu parę rzeczy. Kiedy sprawy zaczęły się pieprzyć i dowiedzieliśmy się, że ta dziewczyna, która zmarła, to twoja pasierbica... Tak, właśnie, pasierbica. Nie prawdziwa córka, krew z krwi i kość z kości, bo takiej w ogóle nie masz, prawda? Jakiś wstydlivy problem czy coś w tym rodzaju?

Wallis ruchem głowy wskazał Mickeya.

– Myślisz, że jestem zazdrosny?

Neri parsknął śmiechem.

– O tego zafajdańca? Dajże spokój. Ale znam Mickeya. To tylko durny, słaby szczył, taki sam teraz jak wtedy. No i zacząłem się zastanawiać. Próbowałem ustalić, jak to było. Niełatwa sztuka po tylu latach. A jednak w końcu coś sobie przypomniałem. – Wallis popatrzył na swoje paznokcie. – Vergil, Vergil. To poważna sprawa. Mówimy tu o losie twojej przyszywanej córuchny.

– No więc co sobie przypomniałeś, Emilio? – uciął Wallis.

– Dwie rzeczy. Gdy Mickey zaczął paplać, że zrobił brzuch tej idiotce, ja w ogóle nie zapytałem, dlaczego poderżnął jej gardło. I druga sprawa: ona wcale nie chciała współpracować. Twierdziłeś, że ten patafian z uniwerku ją nakręcił, że wszyscy się zabawimy. No i my faktycznie się bawiliśmy, ale nie ona. Nie chciała się pieprzyć z nikim

poza Mickeyem. A prosiłem ją, grzecznie i miło. Toni Martelli tak samo. Było mruganie oczami, gadka szmatka, postawię ci drinka, a potem obracasz się, a ona znowu przyklejona do Mickeya. Może to nie była impreza w jej stylu, a może chodziło o to, powiem bez ogródek, że to nie był jej pierwszy raz jak w wypadku pozostałych panienek. A to była jedna z reguł, które profesorek jasno określił. Powiedział, że jeśli któraś nie będzie dziewicą, to mogą się zdarzyć niedobre rzeczy. Wychodzi na to, że miał rację. Właściwie skąd ty go wystraszałeś? Psy myślą, że ten gość miał coś wspólnego ze mną. Tak jakby...

Wallis przechylił głowę i nasłuchiwał, starając się określić, czy w smoliście czarnych korytarzach jest ktoś jeszcze.

– Poruszam się w szerokich kręgach, Emilio.

– Racja, wykształcony z ciebie gość. Zapomniałem. No dobra, przejdźmy do rzeczy. Obiecałem ci Mickeya i nie złamię obietnicy. Rób z nim, co chcesz. Ale tylko nożem.

Pchnął sprężynowiec ku Wallisowi po blacie. Jego dłoń zamknęła się na rękojeści fachowym, wyćwiczonym chwycem. Mickey Neri, zdrętwiały z przerażenia, siedział ze zwieszoną głową i łkał.

– Możesz go załatwić tak jak on dziewczynę. Tylko... – Neri zastanowił się przez chwilę. – Dajmy dzieciakowi szansę. Niech powie swoją wersję. Grajmy fair.

Nie spuszczać oczu z człowieka naprzeciwko, Neri podniósł się powoli i jednym ruchem zerwał taśmę z oczu Mickeya, a potem z ust. Chłopak krzyknął z bólu, popatrzył nad stołem na Vergila Wallisa z nożem w ręku i dźwięk zamarł mu w gardle.

– Chryste – wyszeptał. – Tato, nie rób mi tego.

– Człowiek ma prawo wiedzieć, co się przytrafiło jego dziewczynie – powiedział surowo Neri. – Lepiej wyrzucić to z siebie, synu, zanim będzie za późno.

Ta dziewczyna to ty, mówi Nico martwym głosem.

Kto?

Ty.

Miranda bierze jego obolałą głowę w dłonie i patrzy na niego jasnym spojrzeniem, tym z teraźniejszości, całuje go, płacze, drży z ulgi.

Costa wpatruje się w młodą Mirandę Julius w swojej wyobraźni.

Czas poczynił wiele zmian w jej twarzy, tyle odjął. Żadnych zmarszczek, żadnych trosk. Żadnych zachłannych prób akceptowania niedoskonałego świata.

Jesteś taka piękna, mówi.

Wysoki, nieprzekonujący śmiech brzmi tu, w jego własnym kawałku wywalczonej przestrzeni. To jej śmiech.

Tylko z wyglądu, Nico. Wygląd nic ci nie powie. Wygląd kłamie. Prawda kryje się w wyobraźni. Jeśli o tym zapomnisz, nie ma nic, tylko ciemność.

W jaskini rozbrzmiewa echo krzyków. Fale strachu i złości – prawdziwe, nie wyobrażone – zakłócają jego senne majaki.

Próbuje iść i potyka się. Chemiczny ogień płonie w jego głowie. Miranda podtrzymuje go. Nico dygocze, jest zlany potem. To nie koniec, mówi.

– Ja ją po prostu przeleciałem – zaskomlał Mickey. – Nic więcej. Sama o to błagała, cały czas. Prawdę mówiąc, już mi się nudziła. Miałem zamiar pobawić się trochę z innymi panienkami, tak to miało wyglądać, ale ona nie chciała mnie puścić, tylko Mickey, Mickey, Mickey. Mówiłem jej, że nie o to w tym chodzi, że powinna iść między ludzi, ale ona nie chciała słuchać. Ona... – Przerazone spojrzenie Mickeya biegało od jednego mężczyzny do drugiego. – Powiedziała, że jesteście zwykłą bandą starych łajdaków. Nie zamierzała iść na skrobankę. Bez przerwy nawijała tylko o miłości i takich tam. Cały świat był cudowny, nawet to, że jej zmajstrowałem dzieciaka, było cudowne, a ja myślałem tylko o tym, żeby ją zabrać na zabieg i załatwić sprawę. Jaka miłość? Przecież ja ją tylko posuwałem.

Wallis patrzył na niego, bawił się nożem i milczał.

– Widzisz – zauważył Neri – tak jak mówiłem. Dziewczyna w ogóle nie chciała się bawić. Jej wybór. Tylko po co w takim razie w ogóle przyszła?

Mickey wskazał głową Amerykanina.

– Bo on ją zmusił. Wcale nie chodziło o żaden prezent urodzinowy. Stwierdził, że to dobrze wpłynie na interesy. Sama mi to powiedziała.

Neri przechylił głowę, zastanawiając się nad tymi słowami.

– Trudno mi w to uwierzyć, Mickey. Vergil to światły człowiek.

Sam wpadł na pomysł tej imprezy. Wszystko załatwił, te szaty, wieńce itepe. Ja dostarczyłem tylko prochy i kilku facetów, którzy byli mi wdzięczni, że mogli się dorwać do młodego tyłka. Przecież musiała się orientować, o co chodzi.

– Żadna z nich nic nie wiedziała! – krzyknął Mickey. – Tak się skułeś, że to do ciebie nie dotarło, prawda? On i ten profesor wpakowali w dziewczyny tyle wody i prochów, że im uszami wyszło, a potem zaprowadzili je do pokoju pełnego facetów z wackami na sztywno i przekręcili klucz w zamku. One nie miały wyboru. Robiły, co im kazaliście. Potem, jak sprawy się pochrzaniły, uznaliście, że wystarczy parę obietnic, żeby siedziały cicho.

Neri popatrzył na Wallisa.

– To prawda, Vergil? Po tylu latach nie wszystko już pamiętam.

Amerikanin spojrzał na Mickeya nienawistnie.

– Ten głupek tak się naćpał, że...

Neri pokiwał głową.

– Zgadzasz się, Mickey. Chcesz uniknąć prawdy. Zrobiłeś bachora biedaczce, kiedy ją poznałeś na Sycylii. Tej nocy, kiedy tu przyjechaliśmy, przeleciałeś ją jak ta lala. I co dalej? Powiedziała ci, że pójdzie do mnie i Vergila, żeby nas zaprosić na ślub z przymusu? A może prochy i imprezowy klimat nawaliły ci w głowie i nagle się ocknąłeś z nożem w rękę nad trupem?

– Nie!

Neri się skrzywił.

– To nas donikąd nie prowadzi. Nie mamy czasu się tu z tobą cackać. Vergil zaraz weźmie się do dzieła.

Mickey odwrócił się w stronę ojca i powiedział błagalnym tonem:

– Wysłuchasz mnie, na litość boską?! Wyszedłem na dwór na dymka. W jaskini zaczynałem już powoli świrować. Starzy faceci posuwali dziewczyny, wkręcali im jakieś głodne kawałki, jakby byli o dwadzieścia lat młodszy. A to miejsce... czułem się jak w grobie. Nie było mnie może godzinę. Chciałem zwinąć się do domu, ale wiedziałem, że będziesz na mnie wściekły. Więc wróciłem do pokoju, który nam daliście, i zobaczyłem, co zobaczyłem. Wy też to potem widzieliście. Ale ja tego nie zrobiłem! – Usta Neriego zwężyły się w pozbawioną krwi



kreskę. Spojrzał bez słowa na zegarek. – Tak jest przecież zawsze... – ciągnął Mickey. – Jak sprawy się pieprzą, do kogo masz pretensje? Do mnie. W ogóle nie spytałeś, co się stało. Spojrzałeś na nią, potem na mnie i pokręciłeś głową jak zawsze. Wiesz, ile razy tak robiłeś przez te wszystkie lata?

– Dziewczyna umarła, Mickey – powiedział cicho Neri – a tylko ty z nią byłeś. Miałem robić poważne interesy z jej ojczymem, który siedział kilka pokoiów dalej nawalony jak bąk, bawił się w boga i rznął wszystko, co się rusza. Gdybym się wtedy zawahał, gdybym pozwolił, żeby się dowiedział, że posuwałeś tę panienkę i załatwiłeś jej brzuch, to i tak byłbyś trupem. Czy kiedykolwiek przyszło ci to na myśl?

Mickey zamilkł, jakby zapaliła mu się w głowie lampka.

– Nie – mruknął.

Część jego umysłu pogrążona jest w półśnie i słucha słów Mirandy, ukryta za zamkniętymi oczami. Druga część obserwuje. Bóg się gniewa. Dziewczyna wrzeszczy. Pięści idą w ruch, błyskają paznokcie. We śnie Nico słyszy, jak ich krzyki odbijają się od mokrych, skalistych powierzchni ścian. Dziewczyna pada, z jej pięknych ust leje się krew.

Człowiek jednym ruchem zdejmuje maskę. Czarna, wykrzywiona furią twarz domaga się hołdu, lecz otrzymuje jedynie pogardę.

Powiem, powiem, o wszystkim powiem! – wrzeszczy wściekle dziewczyna.

Mężczyzna staje za nią, unosi rękę. W żółtym świetle srebrzysty błysk. Przerażone oczy lśnią w ciemnościach, patrzą, pamiętają.

Sen się kończy. Nico unosi powieki, rusza ku głosom i światłu.

Neri spojrział w ciemność, szukając wzrokiem czającej się gdzieś Adele. Wskazał Mickeya głową.

– No, Vergil, na co czekasz? Załatwisz go wreszcie?

Głowa chłopaka opadła na piersi. Zaczął pochlipywać.

– A co potem? – spytał Amerykanin. – Rozwalisz mnie?

– Daj spokój. Po co? Ty straciłeś córkę, ja stracę syna. Pewnie trudno będzie ci w to uwierzyć, ale nigdy nie zabiłem człowieka bez powodu. Nawet te psy przed moim domem sobie zasłużyły. Prawdę mówiąc, narobiłeś mi z nimi masę kłopotów, ale też wyświadczyłeś przysługę. Przypomniałeś mi, że czas iść na emeryturę. Człowiek

powinien wiedzieć, kiedy zejść ze sceny. Ty wiedziałeś, prawda?

Wallis nieokreślonym gestem leniwie powiódł ostrzem w powietrzu.

– Poza tym – ciągnął Neri – jeśli teraz spakuję manatki i zostawię cię w samym środku bajzlu, będziesz musiał się sporo natłumaczyć. A ja będę siedział sobie w jakimś ciepłym, miłym, ustronnym miejscu, czytał gazety i rechotał. Może nawet zdechnę z uśmiechem na gębie.

– To możliwe – stwierdził Wallis wesoło.

– Więc jak widzisz, oko za oko – powiedział Neri, także się uśmiechając. – Tak powinno być. Sztama? Wszystko kończy się tu i teraz?

– Tak – powiedział Wallis. – Tu i teraz.

Neri popatrzył na niego z aprobatą.

– Świetnie. Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli zadam ci jeszcze jedno pytanie? Ciągle dręczy mnie pewien mały szczegół...

– Doprawdy?

– Jeden z moich kolegów z policji powiedział mi coś, co mnie kompletnie zaskoczyło. Ponoć jak znaleźli dziewczynę, okazało się, że miała w ustach monetę. Przypadek, pomyślałem. Ale ten facet spojrzał na mnie tak, jak ty często patrzysz, jakbym był przytępawy czy coś w tym rodzaju. Zdaje się, że moneta miała jakieś znaczenie, Vergil. Wkładało się ją tam z jakiegoś powodu. Myślisz, że Mickey wiedziałby, co to za powód? Ja nie wiedziałem. To nie myśmy ją włożyli, kiedy pozbywaliśmy się ciała koło lotniska. Bo widzisz, my nie jesteśmy wykształceni. – Neri podniósł broń i skierował ją w stronę stołu. – Za to ty jesteś, ty byś wiedział, po co ta moneta. Mój koleżka policjant podsunął mi trafną myśl: że to tak, jakby się mówiło „do widzenia”, a może i „przepraszam”. Ten twój profesorek też by się w tym orientował, ale spójrzmy prawdzie w oczy. To był zwykły, mały zбочek, którego znalazłeś gdzieś po drodze, żeby załatwić za ciebie parę rzeczy. Nie miał jaj, żeby zabić. Zresztą po co? Za to gdybyś ty to zrobił... Może wkurzyłeś się, gdy powiedziała „nie”? Może dowiedziałeś się o małym prezencie Mickeya? A może nie umiałeś wymyślić, jak wyjaśnisz matce, że posuwałaś jej córkę?

Oczy Wallisa zapłonęły.

– Jedno pamiętam, jakby to było wczoraj, Vergil. – Neri wskazał głową maskę leżącą u szczytu stołu. – Tobie noszenie tych kretyńskich przebrań sprawiało prawdziwą frajdę. I wiesz, co sędzę? Że jak miałeś je na sobie, to naprawdę zdawało ci się, że jesteś jakimś bogiem. Kimś lepszym od całej reszty, kto może robić z innymi, co mu się podoba, i nigdy nie ponieść konsekwencji. To właśnie dlatego tu dzisiaj przyszedłeś. Boisz się, że sekrecik wypłynie. Wolałbyś, żeby leżał zagrzebany pod ziemią, a najlepiej, gdyby dało się wrobić we wszystko Mickeya. – Neri popatrzył na syna, a potem na Wallisa, mrugając oczami w ogarniającej go furii. – Nie jesteś żadnym bogiem. Nikt z nas nie jest. Tylko udajesz, a świat się pieprzy. Przez ciebie, przez to, że nie umiałem dostrzec pewnych rzeczy, całe lata pomiałałem tym moim biednym, durnym synalkiem.

Podniósł pistolet i zaczął wymachiwać nim w kierunku postaci przed nim.

– Jezu, Vergil, żałuję, że nie mam dla ciebie więcej czasu. Chciałbym to zrobić porządnie, tak żebyś...

Mrok przecięła eksplozja. Emilio Neri opadł ciężko na krzesło i chwycił się za brzuch, czując, jak jego wnętrzności puszczają w szwach. Runął na podłogę. Podparł się ręką i zobaczył w uniesionej znad sterty pieniędzy dłoni Wallisa mały pistolet, przyklejony pod jednym z plików banknotów.

– Bruno...! – zaskrzeczał w czerwieniejący mrok ustami pełnymi krwi.

Policjanci w mundurach ustawili Bucciego i trzech jego żołnierzy pod murem opodal głównej drogi. Buccci miał na twarzy zatwardziały wyraz, który Falcone i Peroni świetnie znali. „Pytajcie do usranej śmierci, i tak nikt nic nie powie”.

– Wiesz, po co oni tu przyjechali? – spytał Falcone umundurowanego sierżanta.

Peroni jednym rzutem oka rozpoznał w Buccim szefa grupki. Podszedł do niego od razu i zbliżył twarz do jego twarzy. Jeden wielki kark wyrósł naprzeciw drugiego.

– Nie – odpowiedział sierżant. – Kiedy ich zatrzymaliśmy, właśnie się przechadzali. Chyba wypatrzyli nas pierwsi.

Falcone podszedł do Bucciego i powiedział:

– Nie chcę marnować na ciebie czasu, chłopcze. Gdzieś tam jest mój człowiek i jeśli zginie, przysięgam, że zrobię ci z życia piekło. Neriego dopadły stare sprawy. Będziesz się go trzymać, pójdziesz na dno razem z nim. Jasne?

Bucci popatrzył na swoich trzech gangsterów i się zaśmiał.

– Słyszycie, chłopaki? Miasto schodzi dosłownie na psy. Przyzwoity Włoch spaceruje sobie spokojnie, a jakiś pieprzony brzydal z policji podchodzi i gapi mu się w twarz.

– Brzydal? – spytał Peroni. – Mówisz, że jestem brzydki? Nikt nigdy mnie tak nie nazwał. Obraziłeś mnie.

Bucci znowu się roześmiał teatralnie, w sposób, jaki zna każdy glina.

– Otóż to! Brzydki. Brzydki jak...

Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że nawet Falcone był zaskoczony. Peroni błyskawicznym ruchem trafił Bucciego czołem w nos. Wielki gangster zatoczył się i uderzył plecami w mur. Po jego twarzy poląła się krew i śluz, zaczął się dusić. Peroni walnął go znowu i jeszcze raz. Wielką pięścią uderzył bandytę w brzuch, a kiedy ten upadł, zasypał go gradem kopniaków. Bucci wił się we krwi i krzyczał.

Peroni chwycił jednego z jego żołnierzy, chudego facecika po trzydziestce, o oczach koloru błotnistej zieleni teraz wielkich jak spodki, i odsunął go na długość ramienia, szykując się do bicia.

– To tam, kawałek dalej, w jakieś cholernej pieczarze! – zawył gangster. – Nie bij, proszę...

Gianni Peroni nie czekał na nikogo. Pierwszy ruszył biegiem w stronę jaskini. Chwilę później wszedł w jej mroczną, zatechłą czeluść i w mętym, żółtym świetle labiryntu wiodącym w czerń próbował zorientować się, dokąd iść.

Mickey Neri skomlał. Złał się w spodnie. Gorący strumień parzył go w nogi jak kwas.

– Niech pan tego nie robi. P... p... p... proszę.

Wallis podkradł się do niego z nożem w ręku jak kot do myszy. Wzrok miał utkwiony w leżącej na stole masce, która obserwowała ich martwymi oczami.

– Muszę – szepnął, okrążył krzesło i stanął za przywiązany­m chłopakiem. Złapał Mickeya za włosy, odchylił jego głowę i przycisnął ostrze sprężynowca do bladej szyi.

Obserwują ukryci w ciemnym rogu. W głowie Nica zderzają się dwa czasy. Ten, kogo widzi w tej chwili przed sobą, nie jest żadnym bogiem, to zwykły człowiek. Stoi w jasnym świetle żarówki i z bezlitosną determinacją nachyla się nad wrzeszczącą, przywiązaną do krzesła postacią.

Nie zawieź mnie, Nico, mówi Miranda. Pamiętaj, kim jesteś. Nie każ mi znowu patrzeć na to w milczeniu.

Chwyta go za rękę i wsuwa mu w dłoń jakiś przedmiot. Costa czuje chłód metalu. Stare, znane, bezwolne narzędzie.

Potężne ramię uniosło się... unosi się.

Jakaś postać wychodzi z mroku. Vergil Wallis zamiera i patrzy zaskoczony. Jej imię spływa z jego ust i zawisa w przestrzeni. Opuszcza wzrok, wskazuje głową stół.

Masz swoją forszę, mówi, wpatrując się w jej utlenione włosy i chciwie błyszczące oczy. Przypomina sobie. Wiesz, jaki jest układ. Zmykaj.

Jej twarz promienieje, wręcz oświetla komnatę. Błyszczą żywym światłem, jakby czerpała je z fotografii rozwieszonych wszędzie na ścianach. Drży, dygocze, stoi jak przykuta do ziemi, boi się, ale się nie boi.

Wallis macha ku niej ostrzem noża. Bierz pieniądze!

Żadnego poruszenia. Strach i determinacja.

Ja wiem, mówi ona.

Wallis zamiera, nie rozumie, o co chodzi. Złote włosy falują, gdy kobieta potrząsa głową. Ma w oczach łzy, mówi z wysiłkiem.

Widziałam, wiem, nigdy nie miałam odwagi powiedzieć.

Wallis spogląda na martwą maskę i wybucha śmiechem. Zastanawia się, czyby jej znowu nie przymierzyć.

Chyba się później zabawimy, mówi, śmiejąc się i wpatrując pożądl­iwie w lśniące włosy.

Ostrze wznosi się i opada. Na białej skórze pojawia się czerwona linia.

Masz talent obserwatora, moja mała, mówi Wallis i nagle zamiera. Patrzy za nią, w ciemność, skąd ogień i huk rozdarły ciszę.

Wpatruje się w niewyraźną postać w cieniu i próbuje ryknąć, obudzić w sobie boga. W jego gardle wzbiera krew. Pada na ziemię. Wśród dymu i ostrego zapachu prochu Nico Costa czuje, że jego też opuszcza świadomość. Kręci mu się w głowie, nie może ustać na wacianych nogach.

Leży na ziemi, robi się ciemno. Przychodzą ostatnie obrazy.

Kobieta pochyla się nad leżącym mężczyzną i otwiera jego zakrwawione usta, które wciąż poruszają się i próbują wypowiedzieć jakieś słowo. Moneta błyska w jej palcach i wpada do środka.

Inna komnata, mniejsza. Mętna poświata rozjaśnia ciemność. Costa słyszy spokojny, nieporuszony głos jej starszego wcielenia.

Kochany Nico. Ocaliłeś nas oboje.

Nie, mówi. Jego głos odbija się echem w powykręcanych, skalnych wnętrznościach.

Siedzi na krześle. Miranda siedzi na nim i trzyma jego policzki w dłoniach. Nico ma przed sobą jej twarz, poza nią nie widzi niczego.

Czasem trzeba nakarmić bestię. To jedyny sposób, żeby ją kontrolować.

Starając się zapanować nad własnymi rękami, chwyta brzeg jej koszulki i unosi go.

Słyszy, że stary głos się śmieje.

Gdzieś z głębi niebieska antyczna maska z dredami patrzy na niego zwycięsko. Usta Nica zamykają się na jej poplamionej skórze, połykają gardłowy głos, jego zęby wbijają się w nią, żują, liżą, wysysają błękitną truciznę z porów, połykają w narastającym uniesieniu.

Głosy w korytarzu, głosy w jego głowie. Łapie oddech. Teraz rozumie. To dopiero początek. Narkotyk krąży we krwi i opanowuje coraz większe przestrzenie jego nieograniczonej wyobraźni.

I wtedy znajomy głos przecina ciemność labiryntu jak koło ratunkowe rzucone ze świata normalności. Rozbrzmiewa odległe echo.

Nico! Nico!

Wołanie ze starego świata. Prawdziwego.

Jedna cię pomniejszy... śpiewa Miranda Julius.

Nico!

Nachyla się i całuje go, przesuwa krótko językiem po jego ustach.

Nie szukaj mnie, szepcze i znika pośród cieni, zostawiając swój dotyk na jego skórze i wrażenie obecności lśniącej w głowie.

Światła gasną. Robi się ciemno i zimno. Nico drży w samotności.

## APRILE

Było późne popołudnie pierwszego kwietnia. Siedzieli w starym ogródku na dziedzińcu szpitala przy Via di San Giovanni i grzali się w promieniach zachodzącego słońca. Peroni skończył jeść panino, zmiął papierową torebkę w kulkę i wrzucił ją do różanego klombu.

– Miło, że znowu z nami jesteś, Nico – powiedział. – Nigdy nie miałem partnera, któremu zdarzają się narkotykowe nawroty. Jak to jest?

Costa popatrzył na niego posepnie.

– Dam ci znać, kiedy to się stanie.

– Jeszcze cię nie dopadło, co? Ludzie z laboratorium już wiedzą, co za miksturę ta babka w ciebie wpakowała?

Oko Peroniego prawie się zagoiło, chociaż wciąż miał wokół powieki czerwoną obwódkę. Na tle całokształtu jego twarzy siniak nie rzucał się szczególnie w oczy. Wydarzenia nie zmieniły starego policjanta. Nico Costa spoglądał w lustro i zastanawiał się, czy można by powiedzieć to samo o nim. Wyglądał starzej, jakby dostał kopa od świata. Znalazł nawet nad uchem kilka siwych włosów. Natomiast wśród ludzi z Questury jego pozycja najwyraźniej wzrosła. Nie był może bohaterem, ale kiedy tego popołudnia szedł korytarzem pierwszy raz od końca dochodzenia, zauważył, że stał się gościem, za którym inni się oglądają.

– Jeśli nawet wiedzą, nie powiedzieli mi.

– Podrzucić Teresie buteleczkę z sikami – podsunął Peroni. – Ona się dowie raz-dwa. Ta kobieta to geniusz, mówię ci.

Chyba ma rację, pomyślał Costa, w końcu w sprawie Julius odegrała bardzo poważną rolę.

– Ciągle nie wiecie, kim naprawdę jest Miranda?

Peroni pokręcił głową.

– Nie, ale namierzyliśmy jej „córkę”. Zresztą na niewiele nam się to zdało. Okazała się nastoletnią modelką z Pragi. Chciała zostać aktorką. Ktoś wybrał ją na podstawie portfolio. Zapłacił jej za pobyt w Rzymie i zdjęcia próbne w paru miejscach. Zgadnij, kto je robił.



Dziewczyna wystąpiła też przed kamerami i gliniarzami na placu w scenie z motocyklem.

Costa zastanowił się nad tym.

– Nie wie nic o Mirandzie? Wybrano ją tylko na podstawie zdjęcia?

– Tak. Miranda twierdziła, że jest poważnym łowcą talentów z Ameryki. Sądzisz, że aspirująca gwiazdka będzie w takiej sytuacji zadawać jakieś pytania? Dostała bilet lotniczy i pokój w przyzwoitym hotelu. Po zrobieniu zdjęć próbnych na motorze wsiadła w taksówkę, pojechała na Fiumicino i poleciała do domu. Musisz przyznać, że Miranda odwaliła kawał dobrej roboty. Myśmy sądzili, że jej córka leży naćpana w jakiejś jaskini i czeka na śmierć, gdy zabawia się z nią Pan Zwierzak, a tymczasem panna chodziła na lekcje i puszyła się przed koleżankami, jakiej to nie zrobi kariery w Hollywood. Nie miała pojęcia, kim jest Miranda. I wiesz co? Wątpię, czy kiedykolwiek się dowiemy.

Costa sam nie wiedział, co czuje.

– Falcone odpuszcza?

Peroni zawahał się, próbując ostrożnie dobrać słowa.

– Nie ująłbym tego tak ostro. Musisz pamiętać, Nico, że on odpowiada przed wierchuszką. Tamci trzymają łapę na kasie i pytają, czy warto. A ty jak sądzisz? Spytaj sam siebie. Warto?

– Sześć osób nie żyje. Zdaje mi się, że tak.

Peroni odetchnął głęboko.

– Jeśli wziąć w rachubę Eleanor Jamieson, siedem. Nie licząc tych biedaków pod domem Neriego.

Costa pokręcił głową. W wybuchu zginęło pięć osób, część z DIA, część z policji. Mogło być znacznie gorzej.

– Nie możemy tak po prostu odpuścić.

Jego partner westchnął.

– Nico, porozmawiajmy o tym teraz i już nie wracajmy do sprawy, dobrze? Większość rzeczy wyszła na dobre. Mamy mocne dowody, że Mickey Neri załatwił tego sukinsyna Martellego, za co stanie przed sądem, jak tylko wyjdzie ze szpitala w kaftaniku bezpieczeństwa. Barbara Martelli stuknęła Randolpha Kirka, żeby nie miał jęzorem, zanim sama znikła w jamie pod Fiumicinem. Dzięki tobie wiemy, jak

wyglądały inne sprawy. Wallis zamordował własną pasierbicę i zdążył załatwić Nerię, nim go powstrzymałeś. To wszystko... – Peroni klepnął dłonią w kolano dla podkreślenia swoich słów – ...polepsza statystyki. Ludzie nad Falconem żyją statystykami. Jak sądzisz, to możliwe, że Szalona Teresa robi do mnie słodkie oczy? Ostatnimi czasy patrzy jakoś inaczej.

– Nie – zaprzeczył Costa. – A co z...

– Panem Vercillo? Jego sprzątnęła Miranda Julius, czy jak tam się ona naprawdę nazywa. Znaleźliśmy na stroju z teatru mikroślady. Jest też krew na koszuli w jej mieszkaniu. Widzisz teraz, w czym problem? Czy mamy marnować pieniądze podatników, i to zapewne niemałe, żeby latać po całym świecie za babką, która, bądźmy szczerzy, wyświadczyła wielkie przysługi włoskiemu społeczeństwu? – Costa jęknął i nie odpowiedział. Peroni powąchał młode, ledwierzokwitłe róże na krzaku rosnącym obok nich. – Wiosna się zbliża, Nico. Zapomnijmy o tej sprawie.

– Próbuję – mruknął.

Peroni położył wielką dłoń na ramieniu Costy i popatrzył mu w twarz.

– Jasne. Wiem. Sprawdziłem w aktach. Pierwszy raz zastrzeliłeś człowieka. To cię dręczy i nie dziwię ci się. Ja nigdy nikogo nie zastrzeliłem.

Costa spojrział Peroniemu prosto w oczy.

– A chciałeś?

Twarcz starego policjanta się zaróżowiła.

– Nico, przestań się nad sobą użalać. Traf chciał, że będę musiał być twoim partnerem trochę dłużej, niż oczekiwałem. Nie zamierzam siedzieć i patrzeć, jak się dławisz, próbując to przełknąć. Sądzisz, że którykolwiek z nich, Neri czy Wallis, wypuściłby cię z tej jaskini żywego? Masz cholerne szczęście, że babka dała ci wyjść. Przyznam, że nie wiem czemu. Wpompowała w ciebie mnóstwo narkotyków, zanim to się stało. Jeśli szukasz winnych, wiń ją.

Costa delikatnie odsunął rękę partnera.

– Nie martw się. Mnie chodzi o coś innego. Przejąłem się tym, że się nie przejąłem. Nie chodziło tu o prochy, a przynajmniej nie tylko. Ja

chciałem go zabić. To był potwór.

Gianni spojrział na niego i Costa nie był pewny, co wyraża twarz partnera. Może był wstrząśnięty.

– Przykro mi to słyszeć, Nico – odezwał się wreszcie stary policjant. – Wiesz, jakaś część mnie ma ochotę powiedzieć ci: „Witamy w prawdziwym świecie, panie Costa, gdzie większość z nas ma takie myśli każdego dnia”. Inna część ma nadzieję, że nie złapiesz tego samego bakcyła co wszyscy. Niech ci to nie wejdzie w krew, dobra? To łatwe i kuszące rozwiązanie... Umowa stoi?

– Jasne – odparł Costa zawstydzony.

– To dobrze. – Jego partner uśmiechnął się, przez co zaczął wyglądać młodziej i trochę strasznie.

– Dlaczego mówisz, że będziesz dłużej się ze mną trzymał? – spytał Costa. – Myślałem, że wracasz do obyczajówki przerzucać papiery.

Peroni ponownie spojrział na budzący się do życia pączek na krzaku róży. Oderwał go dwoma palcami i wsunął do kieszeni kurtki.

– Nie uwierzysz, jak ci powiem. Ten skurczysyn Bucci, któremu dałem parę klapsów na Cerchi, złożył na mnie skargę. Niesamowite. Może nawet będzie oskarżenie sądowe. Brutalność policji. Pierwszy raz przywaliłem w pracy człowiekowi, a w dodatku bandycie i mordercy. Ludzie z góry od razu przypomnieli sobie o sprawie z dziwką i chcieli mnie w ogóle wykopać z roboty. Ale stary dobry Leo wkroczył do akcji i objechał wszystkich równo, czy to szef, czy nie szef. Przynajmniej tyle się dowiedziałem, bo on nie powiedział mi o tym ani słowa.

Costa usiłował rozgryźć wyraz twarzy Peroniego.

– To dobrze czy źle? Zostajesz ze mną?

– Dla mnie dobrze – powiedział stary glina. – Ciągle mam pracę i całkiem znośnego partnera. A ty co sądzisz?

Costa wzruszył ramionami.

– Muszę się nad tym zastanowić.

– Chryste – westchnął Peroni. – Będziesz analizował każde jedno pieprzone zdarzenie na powierzchni tej planety do końca świata? Jest jak jest i nic tego nie zmieni. Po co się głowić?

Costa zachichotał.

– Mógłbyś popracować nad swoim poczuciem humoru – jęknął Peroni. – Chłopcy z wioski, tacy jak ja, nie chwytają co subtelniejszych żartów.

– Przepraszam, Gianni, naprawdę. A co z twoją żoną?

Peroni zmieszał się.

– Spotkaliśmy się w weekend. Byłem w domu na pogrzebie. Chciała się pogodzić, ale... Wiesz, czego się tu od was nauczyłem? Że martwe znaczy martwe. Nasze małżeństwo umarło. Postaram się doglądać dzieciaków, ile będę mógł.

Nic nie dało się wyczytać z jego zmaltretowanej twarzy.

– Pogrzeb?

– Tak. Stary gliniarz. Z zamiłowania chirurg plastyczny. – Peroni wskazał swoje blizny. Costę zaskoczyło, jak bardzo do nich przywykł. Gianni po prostu tak wyglądał i już. – Ten przyjemniaczek, który mi to zrobił.

– Pojechałeś po to do Toskanii? – spytał Costa zdumiony.

Peroni zaśmiał się i potrząsnął głową.

– Jezu, ale z nas para nędznych detektywów. Nie rozumiesz tego i ja też bym nie pojmował na twoim miejscu. On mnie pocałował. Mam połowę jego genów. To był... cholera, nawet teraz trudno mi wymówić to słowo. To był mój ojciec. Pewnie mama myślała, że przymilanie się do niego to część regulaminu pracy za barem. Kto wie?

Costa popatrzył na partnera. Zawsze uważał go za niewzruszoną skałę, odporną na tragedie ziemskiego padole. Teraz zrozumiał, że jest zupełnie inaczej.

– Kiedy się dowiedziałeś? – spytał, chociaż domyślał się odpowiedzi.

– Zaraz po świętach. Kiedy lekarze się do niego wzięli, jego wątroba właśnie wywiesiła białą flagę. Chciał mnie zobaczyć po raz ostatni. No to pojechałem... I wiesz co? Jemu zależało na tym, żeby mi wyjaśnić, że ta masakra to nie było nic osobistego. On w ten sposób ukarał samego siebie za to, że zdarzył mu się bękart. Wylaliśmy razem trochę łez, a że jestem kompletnym durniem, dwadzieścia cztery godziny później złamałem swoje życiowe zasady i wylądowałem w łóżku z czeską prostytutką, mówiąc sobie: „Czemu nie, do diabła”. – Peroni

w zamyśleniu położył wielką rękę na brodzie. – A swoją drogą, mylisz się co do Teresy. Czuję to.

– Ale... – Coście cisnęło się na usta mnóstwo pytań.

– Ciii – uciszył go partner, wskazując głową wysoką postać inspektora przechodzącą szybkim krokiem pod arkadami naprzeciw. Następnie zerknął na Costę. – To, co ci powiedziałem, musi zostać między nami. Nikt spoza rodziny o tym nie wie i nikt się nie dowie. Niesiesz teraz ze mną część mojego brzemia, a ja, jeśli będziesz chciał, mogę ponieść z tobą część twojego, zanim wrócę do swojego prawdziwego powołania i ty zostaniesz moim kierowcą. Wtedy pewnie w ogóle nie będę się do ciebie odzywał. Takie są reguły walki klas.

Costa roześmiał się.

– Nie mogę się doczekać tego dnia.

– Świetnie. Zresztą kiedy razem wrócimy do służby, obaj będziemy musieli dźwigać brzemię starego Falconego. A to nie byle co.

Falcone przyzywał ich gestem. Wyglądał elegancko i szykownie, miał na sobie swój najlepszy garnitur na specjalne okazje. W rękę ścisnął wielki bukiet róż i goździków.

– Szpitalne odwiedziny – powiedział Peroni, po czym wstał i poklepał kwiatek róży w kieszeni. – Wszyscy je kochamy.

Rachele D'Amato siedziała wyprostowana na łóżku w pojedynczym pokoju. Miała na sobie białą jedwabną koszulę z rękawem rozciętym do łokcia, by zrobić miejsce na gips. Była przykryta do pasa kołdrą. Na jej czole widniały nienagannie ślady siniaków. Leo, pod czujnym spojrzeniem Peroniego i Costy stojących w drzwiach, pocałował ją lekko w policzek, wręczył małe, złoczone pudełko czekoladek, po czym wyjął z wazy stare kwiaty i włożył te, które przyniósł.

– Kwiaty – powiedziała z uśmiechem. – Czekoladki. Och, Leo, jakie to... urocze.

Trzej mężczyźni popatrzyli na nią i zrozumieli, że wszystko zostało po staremu. Ciągle doskonale panowała nad swoimi emocjami. Nawet bomba nie mogła zmienić Rachele D'Amato.

– Cieszę się – mruknął Falcone.

– Usiądź, jeśli chcesz. Myślałam... – Popatrzyła na Costę

i Peroniego. – Myślałam, że wy wpadniecie wcześniej, a ty przyjdiesz sam, kiedy znajdziesz trochę czasu.

Falcone nie usiadł.

– Przykro mi. Lekarze mówią, że dobrze się czujesz. Jeszcze kilka dni...

Bawiła się kwiatami, poprawiając ich ułożenie.

– Nie mogę się doczekać. Śmiertelnie się tu nudzę. Chcę wrócić do pracy. – Zawahała się. – Słyszałam dużo dziwnych historii. Powiedz, znajdziecie tę kobietę?

– Znajdziemy. – Skinął głową.

– Naprawdę? – Stanowczy ton w jego głosie zaskoczył Rachele. – Ponoć góra twierdzi, że to strata czasu. Julius opuściła kraj. Nie wiecie, gdzie zacząć. Nie znacie nawet jej prawdziwego nazwiska.

– Nie wierz we wszystko, co ci mówią.

Zaczęła wpatrywać się w krzesło przy łóżku, aż Falcone usiadł. Otworzył skórzaną teczkę na dokumenty, którą z sobą przyniósł.

– Kiedy wrócisz do pracy, będziesz musiała zająć się tą panią.

Rzucił na pościel kolorowe zdjęcie młodej Adele Neri. D'Amato podniosła je i utkwiała w nim wzrok.

– Skąd je masz?

Falcone stracił już trochę swojej zimowej opalenizny. Był wyraźnie zmęczony i przytłoczony problemami.

– Julius nie zabezpieczyła się dobrze. Zeskanowała zdjęcia Kirka do laptopa, żeby robić fotomontaże albo jako kopie zapasowe. Sądziła, że część z nich skasowała, ale tak się nie stało. Naszym specem od komputerów udało się odzyskać dość dużo. Na kilku jest Adele Neri.

– Ach tak. – Popatrzyła na fotografię, po czym oddała ją Falconemu. – Chcesz powiedzieć, że mafia Neriego jest teraz w rękach wdowy? Czasy się zmieniły. Wiem, że to się zdarza na północy, ale w Rzymie? Coś tu jest nie tak.

– To prawda – zgodził się.

– Myślisz, że była zamieszana w wydarzenia? Planowała przejąć władzę?

– Częściowo tak, jestem tego pewny.

– Możesz to udowodnić?

Nic nie powiedział. Patrzył, jak Rachele otwiera pudełko czekoladek, wyjmując jedną, wkłada do ust, uśmiecha się przelotnie i zamyka pokrywkę.

– Życie będzie bardzo interesujące, kiedy wyjdę z łóżka – powiedziała, ssąc czekoladkę.

– Racja – odparł i nagle, ruchem tak szybkim, że nie zdążyła zaprotestować, chwycił jej rękaw nad gipsem, szarpnął obiema rękami i powiększył rozdarcie aż po ramię.

– Leo!

Trzej policjanci wpatrywali się w bladą łatkę wielkości monety. Może znamię. Skóra w tym miejscu była jaśniejsza, inna.

– Pamiętam to – powiedział Falcone.

– Wyobrażam sobie – odparła – że pamiętasz większą część mnie. Biedny Leo. Nie sądziłam, że to w twoim typie. Leżysz sam w łóżku w nocy i rozmyślasz o mojej osobie? Próbujesz sobie przypomnieć, jak wyglądałam, kiedy byłam z tobą pod pościelą? Nie jesteś już aby na to za stary?

Falcone nie mógł oderwać wzroku od jasnej plamki na skórze.

– To nigdy nie wychodzi tak, jak obiecują, prawda? Mówią ci, że nikt nawet nie zauważy. Tatuaz zniknie, a w jego miejscu będziesz mieć normalną skórę. – Dotknął jej ramienia. – Ale dostajesz nową, która nie starzeje się równo z resztą ciała.

– To znamię mam od urodzenia – powiedziała cierpliwie. – Na pewno ci o nim mówiłam.

Falcone nie słuchał.

– Neri bardzo się starał, żeby zatrzeć wszystkie ślady, a was udobruchać. Z jedną z was się ożenił. Barbarę umieścił w policji. Ciebie posłał na studia prawnicze, a potem do DIA. Natomiast Julius z jakiegoś powodu uciekła. Wiedziała od samego początku, że Eleanor Jamieson nie umarła z przedawkowania, ale nie miała odwagi nikomu o tym powiedzieć. Kiedy znaleźliśmy ciało, postanowiła zaprowadzić porządek. Wróciła, żeby wam pokazać prawdziwą cenę tego, co kupiłyście.

Rachele D'Amato ssła już drugą czekoladkę.

– Są naprawdę pyszne. Nie będziecie mieli mi za złe, że się nie

podzielię? Odzyskam dzięki nim siły. W końcu wciąż jestem prawie inwalidką. Poza tym, szczerze mówiąc, zawsze uważałam, że dobre słodczyce się marnują, jeśli dać je mężczyźnie.

– Więc powiedziała Wallisowi, który za tym wszystkim stał – ciągnął inspektor. – Pewnie sfinansował całą akcję, na przykład to wyreżyserowane porwanie. Współpracował z Randolphem Kirkiem. Nie domyślał się jednak, że wy wiedziałyście już, kto zabił Eleanor. Chciałyście dopaść nie tylko jego, lecz wszystkich, z nim na szczycie listy.

D'Amato zamknęła pudełeczko.

– Koniec przyjemności. Już dość przytyłam w tym szpitalu. Muszę przyznać, Leo, że jesteś dzisiaj naprawdę zabawny. Czy w ten sposób policja będzie teraz pracować? Zgaduj-zgadula, aż się wymyśli składną wersję wydarzeń.

Falcone nie zwrócił uwagi na jej słowa.

– Ktoś musiał powiedzieć Julius o Vercillu. Kirk go nie znał, dla niego był tylko twarzą z imprezy. Nie ma też powodu sądzić, że to Wallis dał jej namiar na księgowego. Natomiast DIA...

– Nie ma powodu? – Zaśmiała się. – Obgadałeś te fantazje z prawnikiem? Czy tak się dzisiaj uzyskuje dowody w policji?

Pokręcił głową.

– Ktoś musiał też przewieźć fałszywą Suzi Julius na motorze. Ty masz prawo jazdy na motocykl.

Rachele D'Amato patrzyła spokojnie na ich trzech.

– Mam prawo jazdy? No tak, to się kwalifikuje pod sąd.

– Skojarzyłem fakty dopiero po jakimś czasie. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy tamtego dnia i powiedziałaś, że musisz biec na spotkanie? Mówiłem ci, że to sprawdziłem. W planach DIA nie było wtedy żadnego zebrania.

– A ja ci mówiłam, że poznałam mężczyznę. Przykro mi, że to rani twoje czułe ego.

– Jak on się nazywa? – spytał Falcone.

– Jest żonaty. Nie zamierzam go w to mieszać dla zaspokojenia twojej chorobliwej ciekawości. – Wskazała głową Costę i Peroniego. – Po to ich tu przyprowadziłeś? To oficjalne przesłuchanie?



– Ja wpadłem tylko życzyć pani zdrowia – oznajmił Peroni, kłaniając się lekko. – Bardzo się cieszę, że tak szybko wraca pani do swojej zwykłej formy.

– Rety – mruknęła – ten człowiek staje się potworniejszy z każdym dniem, Leo. Musiałeś go tu ciągnąć?

– I ten pani urok – powiedział Peroni z uśmiechem. – Także powraca.

– Nie było żadnego mężczyzny – odezwał się Falcone. – Nigdy nie było. Ja też się nie liczyłem. Do czego mnie potrzebowałaś, Rachele? Do awansu? A może już wtedy przekazywałaś informacje Neriemu?

– Jesteś żaloszny – syknęła.

– To właśnie z wami zrobili – ciągnął. – Z wami wszystkimi. Z tobą, Barbarą, Mirandą Julius... Odebrali wam szansę na życie w normalnym związku. Może to bolało was najbardziej, nawet bardziej niż świadomość, że oszukali was w sprawie Eleanor.

Rzucił na łóżko jeszcze jedno zdjęcie. Popatrzyła na nie.

– A to co znowu?

– Ty. Przebrana i gotowa, tak jak pozostałe. Byłaś tam. Pamiętasz, kto cię dostał? Toni Martelli? Wallis? A może się zmieniali?

Rzuciła w niego odbitką.

– Zabieraj to. Idź znaleźć sobie coś lepszego do roboty, Leo.

– To ty – powtórzył z uporem. – Nawet namówili cię, żebyś przefarbowała włosy na blond. Czyj to był pomysł?

Zaśmiała się w głos.

– O czym ty mówisz? Popatrz na tę dziewczynę, na tym zdjęciu może być ktokolwiek!

– Ale jesteś na nim ty.

Rachele westchnęła, odchyliła się i oparła o poduszkę.

– Wydaje ci się, że mógłbyś przekonać tym sędziego? A nawet jeśli mógłbyś, czy to w ogóle jest istotne? To tylko zdjęcie.

– Co z ludźmi sprzed domu Neriego? – spytał Costa. – Czy ich rodziny nie zasługują na jakieś wyjaśnienie?

– Przypomnę panu, że byłam wśród nich – odcięła się. – Neri podłożył bombę, Neri nie żyje. Co tu jeszcze wyjaśniać?

Peroni pociągnął nosem i spojrzał na nią.

– A Barbara Martelli nic panią nie obchodzi?

Sięgnęła po następną czekoladkę i powiedziała:

– W ogóle nie znałam tej kobiety.

– Rachele – powiedział Falcone z ledwie słyszalną błagalną nutą w głosie. – Nie możesz tego tak po prostu pogrzebać.

– To już jest pogrzebane, Leo, tylko ty tego nie widzisz. Zadaj sobie pytanie: czy żyjemy teraz w lepszym świecie, czy w gorszym?

– O tym nie my decydujemy.

– Nie! – krzyknęła. – Nie wciskaj mi takich kawałków. Ty podejmujesz decyzje, tak samo jak każdy. Jeśli sądzisz, że masz przeciw mnie choćby cień dowodu, to go użyj. Jeśli nie, proponuję, żebyś się zamknął i spróbował złapać jakiegoś bandytę, zamiast walczyć z wiatrakami. A teraz wynoś się i zabierz tych dwóch ze sobą!

Chwyciła flakon z kwiatami i rzuciła go w ścianę, tuż obok miejsca, w którym stali Peroni i Costa. Pęki z hukiem. Trysnęła woda, poleciały kawałki szkła i płatki róż.

Kiedy wyszli, było już ciemno. Falcone przyciskał do piersi skórzaną teczkę i wyglądał na zagubionego. Costa, przygarbiony, powłóczył nogami. Nic nie mówił, pogrążony w myślach.

– Mam pomysł – podsunął Peroni głosem pełnym nadziei. – Chodźmy na drinka i wrzucmy coś na ruszt. Znam jedno fajne miejsce tu niedaleko.

– Dają dobre wino? – spytał Falcone. – Nie piję żadnych starych sików.

– Ja tak samo – rzucił Costa. – I nie zadowolę się byle sałatką.

– Chłopaki – zawołał Peroni. – Trzymajcie się starego wujka Gianniego, a on się wami dobrze zaopiekuje.

Dziesięć minut później siedzieli w małym barze za Koloseum. Falcone z upodobaniem zaciągał się aromatem kosztownego brunello i prosciutto crudo. Costa wypróbował toskańskie chardonnay i grzyby porcini na chrupiących grzankach. Gianni Peroni zdołał osuszyć już jedno piwo, które zagryzł kilkoma półprzezroczystymi plastrami drogiej szynki lardo na pajdzie wiejskiego chleba.

– Mogę przekazać wszystko, co mam ludziom z DIA – powiedział Falcone w powietrze. – Zobaczymy, co się stanie z jej karierą.

– Racja, Leo, możesz – powiedział Peroni. – A swoją drogą, dzięki, że się za mną wstawiłeś.

Wysoki inspektor odchylił się w krześle, jakby usłyszał obrażę.

– Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. Zapytali mnie o opinię, więc ją wyraziłem.

Peroni zamówił jeszcze jedno piwo i powiedział:

– I właśnie za to jestem ci wdzięczny. Pozwól, że w zamian dam ci radę. Naprawdę myślisz, że DIA się ucieszy, jeśli będziemy drążyć tę sprawę? Jeśli już się sami dowiedzieli, to ich problem, a jeśli nie wiedzą, to nie jestem pewny, czy będą zadowoleni, gdy podasz im fakty na tacy. D'Amato jest niezła w tym, co robi, prawda? Nikogo nie zabiła. Nie zrobiła nic złego. Może tylko przejechała się na motorze i parę razy dała cynk Neriemu, ale tego i tak nie możemy udowodnić. Poza tym oni mogą się domyślać, że ktoś z ich firmy jest na zdjęciach z imprezy. Może właśnie ci, z którymi będziesz gadał? – Przerwał na chwilę. – Zastanawiałeś się nad tym?

Falcone spojrzał na niego chmurnie.

– Czy ty wrócisz kiedyś do obyczajówki?

Kolejne piwo wylądowało na stole. Peroni pociągnął długi łyk.

– Kto wie? Kto w ogóle może być czegokolwiek pewny w tych czasach? Jak tam picie i jedzenie? Dobrze?

Falcone powąchał wino.

– Brunello całkiem niezłe jak na tę cenę. A szynka... w porządku. – Upił trochę i pokiwał głową z aprobatą, po czym powiedział: – Wciąż nawet nie wiemy, jak ta cholerna kobieta się nazywa.

Peroni westchnął i zapatrzył się w swój kufel.

– Świetne białe wino – odezwał się Costa, unosząc kieliszek do światła. – Dobrze wyważone, może trochę za mało schłodzone.

W żółtawym świetle świec stojących na barze miało kolor zleżałego siana. Wypił łyk, większy niż zwykle, i zamarł, gdy alkohol nagle i nieoczekiwanie uderzył mu do głowy.

Po jednej tabletkie urośniesz, śpiewała Miranda, a on znowu zaczął się zastanawiać, czemu tamtej nocy pofarbowała włosy na blond.

Przypomina sobie przerażoną, wściekłą twarz umierającego człowieka, w którego gardle coś błyszczący i który krztusi się, usiłując raz

za razem wypowiedzieć w rozbrzmiewającą echem ciemność jedno jedyne słowo.

– Wiemy, jak ma na imię – mówi Costa. Część jego umysłu ucieka od wspomnień, a inna część ku nim lgnie jak ćma krążąca wokół płomienia. – Ciągle nam je powtarzała.

Ale nikt nie był na tyle głupi, żeby słuchać, odzywa się stary, okrutny głos, uwięziony w tyle jego głowy.

– Ma na imię Suzi.

